I.

# PIEŚNI NABOŻNE.

---

## I. Poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam go koło siebie.

Wielu snem śmierci popadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.

## II. Adwentowa.

Grzechem Adama ludzie uwikłani,
Wygnani z raju, wołali z otchłani:
„Spuśćcie, niebiosa, deszcz na ziemskie niwy,
I niech z obłoków zstąpi sprawiedliwy".

Błąkał się człowiek wśród okropnéj nocy,
Bolał, i nikt go nie wspomógł w niemocy,
Póki nie przyszła, wiekami żądana,
Z judzkiéj krainy Panna zawołana.

Ona pokorą i oczy skromnemi
Boga samego ściągnęła ku ziemi,
Że którego świat nie objął wielkości,
Tego panieńskie zamknęły wnętrzności.

Kiedy z obłoków Pan do nas zstępował,
Świat, jak rozległy, człeka poszanował,
Człeka, przed którym napotém zginano
Niebieskie, ziemskie, piekielne kolano.

Nie naszą jaką zasługą ściągniony:
Miłość Go sama wiodła w ziemskie strony;
Wziął ciało ludzkie, z niém ból, niedostatki,
Zbratał się z nami, był synem u matki.

Dajmyż mu za to dzięki, zborze wierny,
Że kochając nas, był nam miłosierny;
I, wznosząc ręce ku niebu jasnemu,
Śpiewajmy chwałę Bogu najwyższemu.

## III. O Narodzeniu Pańskiém.

Bóg się rodzi, moc truchleje;
Pan niebiosów obnażony;
Ogień krzepnie; blask ciemnieje;
Ma granice Nieskończony;
Wzgardzony—okryty chwałą,
Śmiertelny—Król nad wiekami!...
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.



Cóż, niebo, masz nad ziemiany?
Bóg porzucił szczęście twoje,
Wszedł między lud ukochany,
Dzieląc z nim trudy i znoje.
Nie mało cierpiał, nie mało,
Żeśmy byli winni sami.
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

W nędznéj szopie urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano!
Cóż jest? czém był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! was to spotkało
Witać Go przed bogaczami!
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Potém i króle widziani,
Cisną się między prostotą,
Niosąc dary panu w dani:
Mirrę, kadzidło i złoto.
Bóstwo to razem zmieszało
Z wieśniaczemi ofiarami!...
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Podnieś rękę, Boże Dziécię!
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jéj siłę—swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I Twoje wioski z miastami.
A Słowo Ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

## IV. O Męce Pańskiéj.

Człowiek drogę cnót porzucił,
Z niebem i z sobą się skłócił;
Sam Bóg wśród ludzi przychodzi,
Niespokojne plemię godzi!

Co naucza, zaraz iści,
Pracuje nam dla korzyści.
Nieść mu z nami ciężar miło,
By lżéj człowiekowi było.

O dobro nasze stroskany,
Odpoczywał zmordowany!
Znosił niewczas, głód, pragnienie,
Niszczy Go ludzkie zbawienie.

Cóż Mu oddał ród zacięty?
Przyszedł do swych, nieprzyjęty.
Jeszcze nań potwarz włożyli,
I ludzie Boga sądzili!...

Wycierpiał policzki, bicze,
I więzienie niewolnicze,
Sprawca wolności człowieka
W ciemnym lochu zgonu czeka.

Potém go na śmierć wiedziono,
Z ciernia koronę włożono,
Gwoździami na krzyż przybito,
I włócznią bok mu przeszyto.

Tak, świętą krwią zlany cały,
Umarł sromotnie Pan chwały!...
I gdy w ludziach twarda dusza,
Cała natura się wzrusza.

Drży ziemia, słońce zaćmione!
Groby zmarłych otworzone,
W przestrzeniach nieba głos kwili:
„Ludzie Chrystusa zabili!"

Boże! miłość i złość była,
Co Cię o śmierć przyprawiła!
Najwyżéj każda się wznasza
Miłość Twoja, a złość nasza.

Te gromy karać nas bieżą!
Lecz w któreż miejsce uderzą
Twe pioruny niewstrzymane,
By nie było krwią Twą zlane?



Raczéj miéj litość nad nami,
Twojemi winowajcami...
I niechaj miecz Twój nie tyka
Pokornéj szyi grzesznika.

## V. O Zmartwychwstaniu Pańskiém.

Nie zna śmierci Pan żywota,
Chociaż przeszedł przez jéj wrota...
Rozerwała grobu pęta
Ręka święta!

Adamie! dług twój spłacony!
Okup ludzki dokończony...
Wnijdziesz w niebo z szczęśliwemi
Dziećmi twemi.

Nie skarby jakiemi płaci:
Wszystko, co mógł stracić, straci:
Całą dla nas krew swą sączy,
Dzieło kończy.

Próżno, żołnierze, strzeżecie!
W tym grobie Go nie znajdziecie;
Wstał, przeniknął sklepu mury
Bóg natury!

On znowu na ludzkie plemię
I na miłą patrzy ziemię,
Jak drogo dzisiaj przybrana
Kosztem Pana.

Przez Twe święte Zmartwychwstanie,
Z grzechów powstać daj nam, Panie!
Potém z Tobą królowanie.
Alleluja!

## VI. O Duchu Świętym, tłómaczone *Veni Creator.*

Duchu Boży, mieszkaj z nami;
Nawiedź myśli obłądzone,
Bogacąc nieba łaskami
Serca od Ciebie stworzone.

Pocieszycielu prawdziwy!
Darze Boga wysokiego!
Ty miłość, ogień, zdrój żywy,
Ty olej światła dusznego;

Ty darami siedmioraki,
Ty moc ojcowskiéj prawice;
Ty ruszasz język wszelaki,
Spełniasz nieba obietnice;

Oświecaj zmysłów ciemności,
Wlej miłość Twojém natchnieniem,
Ciała naszego krewkości
Podpieraj Boskiém ramieniem;

Broń nas od nieprzyjaciela,
Byśmy zawsze pokój mieli,
I przy Tobie, wśród wesela
Przygód wszelkich uniknęli.

Niech nas przez Cię Ojciec słucha,
Niech Syna Jego poznamy,
I od Nich obydwóch Ducha,—
Niech Cię wiarą ogłaszamy.

Chwała bądź Ojcu Królowi;
Synowi oddajmy chwałę;
Chwała Świętemu Duchowi,
Teraz i przez wieki całe!

## VII. O Wierze, Nadziei i Miłości.

Ojców naszych Boże stary!
My nie znamy inszéj wiary,
Tylko, którąś sam objawił,
I pierwszy się kościół wsławił.
Wiara dla ludzi Niebo otwiera,
Przy niéj spokojniéj człowiek umiera;
Gdy nas przyciska jaka przygoda
Któż, gdy nie ona, rękę nam poda?



Nadziejo, coś mi błysnęła,
I w krótkim czasie zniknęła...
Nie téj, którą w losie mamy,
Albo w ludziach pokładamy...
Ale nadziei wzywam prawdziwéj,
W któréj cieszę się, gdym nieszczęśliwy...
I choć od przygód będę zgnębiony,
Zostanę zawsze niezwyciężony.

Ilekroć oczy tęskliwe
Podniosę w niebo szczęśliwe,
Nadzieja mi wnet przypomnie,
Co tam obmyślono o mnie...
Ona mi Boga mego wskazuje,
Jak mój majątek, co się nie psuje...
Gdy wiem, że mym się zatrudnia stanem,
W nędzy największym czuję się panem.

Po wierze i po nadziei,
Miłość święta na kolei,
Ona ziemię z niebem godzi
I życia gorycze słodzi.
Kocham... pewna mię wzajemność czeka;
Nie umie zwodzić Bóstwo człowieka!
Albo bliźniemu, gdy serce dajem,
I on nie kamień, wzruszy się wzajem.

Boże! do Twojego nieba
Przez te trzy drogi iść trzeba!
Tędy, od złych przygód próżny,
W Twym domu stanie podróżny.
Ty moje siły wzmacniaj w tym biegu,
Niźli do mego przyjdę noclegu;
Naprzeciw śmierci niech stanę w zbroi
Wiary, Nadziei, Miłości Twojéj.

## VIII. O Opatrzności Boskiej.

Opatrzny Boże na niebie i ziemi!
Znać to, żeś Ojciec, my dziećmi Twojemi!
Codzień Ci jakieś powinniśmy dzięki
Za dar widomy z niewidomej ręki.

Słońce i księżyc za Pana Cię znają,
I zawsze Ci się najlepiéj sprawiają,
Dzienną i nocną odbywając stróżą!
Ma im być dobrze, bo tak dawno służą!

Ty, opatrznością Twoją nieodwłoczną
Ubogiéj ziemi dajesz barwę roczną;
Ziarno wśród mrozu grzejesz parą tajną
I siłę jego umacniasz rodzajną!...

Do Ciebie, czy głód, czy cierpi pragnienie,
Oczy podnosi wszelakie stworzenie;
Twoim nakładem, z Twéj jedzą komory
Wszystkie powietrzne, ziemne, wodne twory!

Podróżny, Twoją ręką prowadzony,
Na dobrą drogę wyjdzie obłądzony;
Twojém staraniem zguba nam się wróci,
Bo żal Ci, gdy się Twój człowiek zasmuci.

Dajesz pogodę i deszcz w swojéj porze,
Bydlętaś nasze zrachował w oborze...
A gdy o każdém pamiętasz stworzeniu,
I dzieci nasze znasz po ich imieniu.

Opatrzny Boże! na ziemi i niebie,
Nie odstępuj nas w wszelakiéj potrzebie:
Bo gdy co zrobim naszą tylko siłą,
Zaraz to poznać, że Ciebie nie było.

## IX. O Miłosierdziu Boskiém.

Boże! Twoje zlitowanie
Dobrze padło na człowieka!
On w swoim nikczemnym stanie
Miłosierdzia tylko czeka.



Czémżem to sobie zasłużył,
Żeś mię Twéj nauczył wiary;
Do Swegoś mię boku użył,
Dusznemi poświęcił dary?

Do stołu Twego z drugiemi
Idę, godownik szczęśliwy!
Nie zazdroszczę bogactw ziemi:
Skarbem moim Bóg prawdziwy.

Karą śmierci bunty czyje;
Gdym się na Boga podnosił,
On to widział, i ja żyję!...
Chce tylko, bym Go przeprosił.

A czasem, choć nas zasmuci,
Że potrzebę kary czuje;
Wnet rózgę na ogień wrzuci...
Jak ojciec znowu żałuje.

Ten, szczęśliwéj sprawca doli,
Sam nas do cnót przyprowadza:
Daje łaski z swojéj woli,
Potém je niebem nagradza.

Sprawiedliwość, gdy na szali
Z miłosierdziem Jego stanie,
Zawsze-śmy to poznawali,
Że przeważa zlitowanie.

Ale w ostatnią godzinę
Największéj litości trzeba!
Ufam, Boże, że nie zginę:
Tyś dla grzesznych zstąpił z nieba.

## X. O Cierpliwości Chrześcijańskiéj.

Będę cierpiał, bom zasłużył!...
Panu-m się memu zadłużył,
Aby mię w sądnym dniu onym
Nie znalazł niewypłaconym.

Czyli mię człowiek kłótliwy
Lży przez język uszczypliwy,
Tém się będę zaspakajał:
„Bóg przysłał go, by mię łajał!"

Czy choroba dom mój psuje,
Czy mię potwarz prześladuje,
Nie mruczę pod mym ciężarem,
I karę uznaję darem.

Niech mam zmartwienie w sąsiedzie,
Niech mię przyjaciel zawiedzie,
Pan mię mój przyjmie z weselem,
I będzie mi przyjacielem.

Mór bydła, wylewy wody,
Grady, ogniowe przygody...
Choćby Bóg więcéj kar złączył!
Wiemy jak z Jobem zakończył!

To, co nas po śmierci czeka,
Nad wszystko wspiera człowieka!...
A zmartwi mię zła godzina:
Niebo, cierpliwych kraina.

## XI. O Dniu Sądnym.

Nie próżnoś Boga, grzeszniku, znieważał:
On twoje kroki najmniejsze uważał!...
Kiedyś do świata rachunków zasiędzie,
I Ten twój świadek — sędzią twoim będzie.

Co tylko w sercu tajemnego było,
Coś myślił, że się wśród nocy ukryło,
Wszystko to promień prawdy Jego zbada
I wszystko winne sumienie wygada.

Biada ci, ojcze i matko niedbała!
Żeś wstydu dzieci twych nie nauczała:
Powstaną na was te córki i syny,
I złorzeczyć wam będą téj godziny.

Wy! coście swego bliźniego skrzywdzili,
Na życie, sławę, majątek godzili,
Prawo was boskie będzie potępiało,
Które bliźniego kochać rozkazało.



Wy! coście, gorsząc, niewinność skazili,
Albo małżeństwa święte pogwałcili,
Albo przed Bogiem nie zgięli kolana,
Sprawiedliwego w Nim znajdziecie Pana.

Wy! coście w zbytkach świata utonęli,
Że Bóg na niebie żyje, zapomnieli!...
Głos was ogromny Sędziego obleci:
„Nie znam was, nie znam. Wy nie moje dzieci.

„Czyżem was codzień nie czekał w kościele,
Czym dla ubogich od was żądał wiele,
Czylim nie kazał, nie dał wzoru cnoty,
Czy to zysk mały, Niebo za kłopoty?

„Sypałem łaski, choć-eście, zuchwali,
Ani prosili, ani dziękowali.
Odbierzcież karę, któréj wiek nie zmaże!
Serce jéj nie chce: sprawiedliwość każe."

Wtenczas okropna zacznie się godzina.
Żegnać się będzie z rodziną, rodzina!
I przyjaciele, wpośród narzekania,
Opłaczą moment tego pożegnania.

Teraz do Boga kwap się, zborze wierny!
On dziś odpuszcza, On dziś miłosierny;
Bo, kiedy sądzić świat cały zasiędzie,
Któż z ręki Jego grzesznika dobędzie?

## XII. Na pamiątkę.

Boże! ludzie Twoi przyszli
Dziękować Ci w Twojéj sieni,
Że z dawnych nierządów wyszli,
Łaską Twoją podźwignieni!
Sąsiad stanął zadziwiony:
„Tenże to naród zgubiony?"

Zdziwiło to ziemię całą,
Jak się kraj nasz chwały dobił.
Bo nie wiedzą, co się stało:
Że Bóg sam wszystko to robił!
Boże! widzieliśmy sami,
Że Ty byłeś między nami!

On to w nasze niepogody
Zbierał serca na swe łono,
I natchnął je duchem zgody,
I dał stałość niezwalczoną...
Tak... Sam pełniąc dzieło całe,
Jeszcze nam stąd zjednał chwałę.

Teraz, Jego wyzwoleńce,
Niedawno prześladowani,
Chodzimy, włożywszy wieńce,
Szatą łask Pańskich odziani!
Narody miejsce zrobiły,
Gdzie stanie lud Bogu miły.

Za to wszystkie kraju stany
Niesiemy Ci, Boże, dzięki,
Że każdy z nas ratowany,
Mocą dzielnéj Twojéj ręki;
I dzień ten Pańskiéj opieki
Święcić będziemy na wieki.

## XIII. O dobro rady Stanom Narodu.

Ty, który jeden znasz proste drogi,
Człowiek prosi Cię, Boże!
On ociemniony, on Twój ubogi:
Ratuj go! upaść może.

Światła Twojego oświeć promieniem
Stanów zebranych rady!
Owieczki Twoje prowadź skinieniem!
Pójdą za Tobą w ślady.



Oni się w Imię Twe zgromadzili,
Dolą kraju zajęci;
Przed sąsiadami Cię rozgłosili,
Że nas ratujesz z chęci.

Nie zawodź naszéj nadziei, Panie!
Oświecaj nasze myśli,
Abyśmy, radząc o kraju stanie,
Gdzie przyjść potrzeba, przyśli.

## XIV. O błogosławieństwo krajowi.

Boże! kiedy wiarę świętą
W kraju naszym czcić zaczęto,
Dałeś nam prawo do Twéj opieki,
My Ci się dali na wieki!

Niech Cię złość nasza nie trzyma:
Zwróć się w tę stronę oczyma,
Gdzie miłosierdzie czyni nadzieję,
A sprawiedliwość zwolnieje.

Pobłogosław tę Twą ziemię,
I na niéj żyjące plemię,
Króla i stanów sam sprawuj wolą,
Najlepszą im wybierz dolą.

Pobłogosław miasta Twoje,
Wioski i wieśniacze znoje,
I dzieci nasze, dla Twojéj chwały!
Daj nam zdrowie, pokój stały.

Koło niwy rolnik chodzi,
Ona bez Boga nie zrodzi.
On-to sam plenność tylko jéj daje;
Pobłogosław urodzaje!

Daj, co widzisz potrzebnego,
Dla dobra narodu Twego!
Niech prosto chodzim w Twoim zakonie,
Błogosław w życiu i w zgonie!

## XV. O powołaniu i podległości rządowi.

Chwalcie Boga wszystkie stany!
Z Jego wszystko jest woli;
Czy kto siedzi między pany,
Czy pracuje na roli.

Cóż się o miejsce kłóciemy,
Na ziemskiéj stojąc śmieci?
Wspólnie Go ojcem zowiemy,
Wspólnie słucha swych dzieci.

Czyliż-to z pańskiego gmachu
Bliższa droga do nieba,
Niż z pod ubogiego dachu
O nędznym kęsie chleba?

Posłuszny memu stanowi,
Jak się obudzę rano,
Drogą mą ku zachodowi
Idę, jak iść kazano;

W téj podróży postępując,
Chociaż mię co uciśnie,
Wnoszę, że mię Bóg probując
Ten cierń rzucił umyślnie.

Przykładem posłusznych dzieci,
Wszystkom pełnić gotowy,
Co mi moja zwierzchność zleci,
Co rząd każe krajowy.

Nie mruczmy na swe zwierzchniki!
Bo jak niebo usłyszy,
Za boskie się namiestniki
Ujmie, i nas uciszy.

Nad wszystko lepiéj nam, Panie!
Pod rozkazy Twojemi,
Niech się wola Twoja stanie,
Jak w niebie, tak na ziemi.



## XVI. O miłości Bliźniego.

Prawo to święte na ziemi i niebie:
„Kochaj bliźniego, jak samego siebie",
Gdy Bóg stanowił, dał się ludziom dociec,
Że dla swych dzieci napisał go Ociec.

Niech mię, jako chce, mój bliźni szkaluje,
Niechaj mię krzywdzi, niech mię prześladuje:
Oddać wet za wet, nacóżbym się silił?
On bratem moim, on-to się pomylił.

Niewinność moja, jeśli przy mnie stanie,
Z wiatrem się ludzkie rozejdzie gadanie.
A zamiast swarów, wzajemnéj przygany,
Daruję bliźnim, i będę kochany.

Pod jednym żyje naród ludzki Panem:
On się każdego z nas zatrudnia stanem,
Daje nam barwę, z Jego stołu jemy...
Czeladko Pańska! za cóż się kłóciemy?...

„Kochajcie Boga nad wszystko dobrego,
Kochajcie bliźnich, jak siebie samego".
Te dwa naczelne boskie przykazania
Postanawiamy pełnić do skonania.

## XVII. O powinnościach Chrześcijańskich.

We dnie i w nocy Bóg nad nami czuje,
I wszystkie nasze uczynki spisuje;
By nas godnemi swego znalazł nieba:
To nadewszystko wykonywać trzeba.

Znaj Boga twego, chowaj przykazanie;
Grzechyś popełnił, szczerze żałuj za nie.
Kochaj bliźniego, odpuść przewinienie,
Nie czyń mu krzywdy; miej czyste sumienie.

Rodzice dzieciom przykładem być mają;
Niechaj ich wiary i cnót nauczają.
Dzieci rodziców swych będą szanować,
I w starości ich powinni ratować.

Niech swoich przysiąg małżeństwo pamięta;
Skromność młodzieżą niechaj rządzi święta;
Prawda niech tylko z ust naszych wychodzi,
I niech nasz język nikomu nie szkodzi.

Jeśliś pan, bądźże ludziom miłosierny;
Jeśliś poddany, bądź dla pana wierny.
Szanujmy zwierzchność swoję i krajową,
I obyczajność chowajmy surową.

Oto są długi każdego człowieka;
Z nich obrachunek wszystkich ludzi czeka.
Kiedy na Pańskie stanę zawołanie,
Szczęśliwym! jeśli takim mię zastanie.

## XVIII. Na processyą Bożego Ciała.

Zróbcie mu miejsce, Pan idzie z nieba,
Pod przymiotami ukryty chleba!

Zagrody nasze widzieć wychodzi,
I jak się dzieciom jego powodzi.

Otocz Go wkoło, rzeszo wybrana,
Przed twoim Bogiem zginaj kolana.

Pieśń chwały Jego śpiewaj z weselem:
On twoim Ojcem, On przyjacielem.

Nie dosyć było to dla człowieka,
Że na ołtarzu codzień go czeka:

Sam ludu swego odwiedza ściany,
Bo nawykł bawić między ziemiany.

Uścielajcie Mu kwiatami drogi,
Którędy Pańskie iść będą nogi.

Okrzyknijcie to na wszystkie strony:
„W środku nas idzie Bóg błogosławiony."



Straż przy nim czynią anieli możni...
Nie przystępujcie blizko, bezbożni.

Obyście kiedyś i wy poznali,
Jekiegośmy to Pana dostali!

On winy nasze darować lubi,
Jego się wsparciem ten naród chlubi.

W domu i w polu daje nam dary;
Serc tylko naszych żąda ofiary.

Niesiemy Ci je, Boże, niesiemy!
Dawaj nam łaski, serca-ć dajemy.

I téj zamiany między stronami
Niebo i ziemia będą świadkami.

My nie słyszymy, jak nam niebiosy
Odpowiadają swemi odgłosy.

## XIX. Podczas pracy w polu.

Boże! z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy!
Z Ciebie plenność miewa rola,
My zbieramy z Twego pola.

Wszystko Cię, mój Boże, chwali;
Aleśmy i wraz poznali,
Że najmilszą Ci się zdała
Pracującéj ręki chwała!

Co rządzisz ziemią i niebem!
Opatrz dzieci Twoje chlebem.
Ty nam daj urodzaj złoty;
My Ci dajem trud i poty.

Kiedyś przyjdziem na godzinę,
Gdy, kończąc ziemską gościnę
Z Łazarzem, po naszym zgonie,
Odpoczniemy na Twém łonie.

### XX. O pogodę.

Dosyć, Boże, deszcze lały!
Twoje się dzieci zebrały,
Proszą od Ciebie pogody.
Błyśnij słońcem: spłyną wody!

Spojrzyj na niwy zgubione,
Na sługi Twoje strwożone;
Wróć plon, który nas posili,
Ażebyśmy Ci służyli.

### XXI. O deszcz.

Ciebie, Boże, lud Twój wzywa!
Grozi głodem oschła niwa:
Niech tylko Pan chmurom rzecze,
A obfity deszcz pociecze.

Wzrusz się dla nas, Ojcze miły!
Dzieci Twe Cię obstąpiły.
Jeżeliśmy łaski godni,
Masz chléb w ręce, a my głodni!

### XXII. Podczas chrzcin dziecięcia.

Wpisujcie w księgę żołnierza bożego!
Wyrzekł się czarta i wszystkich spraw jego,
Wiernie pod znakiem Boga i człowieka,
Przez całe życie wojować przyrzeka.

Nie płacz, niemowlę! cieszyć się potrzeba,
Wzięłoś już prawo na dziedzictwo nieba!
I choć na troski przyszłoś na tę ziemię,
Nagroda trudów twych przeważy brzemię.

Chwal Pana twego, każda duszo żywa,
Że z łaski Jego na ziemi przybywa
Nam bliźni, człowiek krajowi potrzebny,
Rodzicom dziecię, i Bogu służebny.



### XXIII. Podczas ślubów małżeńskich.

Oto, Boże! serc tych dwoje
Spuszcza się na łaskę Twoję:
Żeby się wiernie kochali,
W zgodzie do śmierci wytrwali.

Niech się licznie rozradzają,
Dzieci w służbie Twéj chowają;

Niech im się w życiu powodzi,
Niech im zły człowiek nie szkodzi.

A w starości, po ich zgonie,
Niech znowu złączywszy dłonie,
Po nagrodę obiecaną
Z weselem przed tobą staną.

### XXIV. Przy pogrzebaniu umarłych.

Zmarły człowiecze! z tobą się żegnamy!
Przyjmij dar smutny, który ci składamy:
Trochę na grób twój porzuconéj gliny
Od twych przyjaciół, sąsiadów, rodziny.

Powracasz w ziemię, co matką twą była,
Teraz cię strawi; niedawno żywiła!
Tak droga każda, którą nas świat wodzi,
Na ten ubity gościniec wychodzi!

Nie długo, bracie (*albo siostro*), z tobą się ujrzemy,
Jużeś tam doszedł; my jeszcze idziemy.
Trzeba ci było odpocząć po biegu!
Ty wstaniesz, boś tu tylko na noclegu!...

Boże, ten zmarły w domu Twym przebywał,
U stołu Twego jadał, Ciebie wzywał;
Na Twéj litości polegał bezpieczny:
Daj duszy jego odpoczynek wieczny!

### XXV. Do Najświętszéj PANNY.

Niebieskiego dworu Pani,
Do Ciebie z płaczem wołamy;
Ewy synowie wygnani,
Litości Twojéj żądamy.

Na wielu nam rzeczach zbywa,
Nędza człowieka uciska;
Tylko swą nagość okrywa
Tém, co z łaski Stwórcy zyska.

Ty, najbliższa Twego syna,
Powiédz Mu o naszéj doli:
Niech wad naszych zapomina,
Lepszego bytu pozwoli.

Matko, my dziećmi Twojemi!
Patrz na stan nasz, nie na winę;
Módl się za nami grzesznemi,
Teraz i w śmierci godzinę.

### XXVI. Wieczorna.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy!
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiéj broń nas szkody;
Miéj nas wiecznie w Twojéj pieczy,
Stróżu i Sędzio człowieczy!

### Do Boga.

Boże mych potrzeb! Boże niezmierzony,
Proszę Cię tylko, że chcesz być proszony;
Ale twa dobroć dała mi się dociec:
Ty i sam wesprzesz Twe dziecię, boś Ociec.

---

II.

# SIELANEK

KSIĘGA JEDNA.

---

### I. Do Justyny, o wdzięczności.

Dokąd płyniesz, rzeczko mała!
Niesiesz dań królowi twemu;
Wodyś od morza dostała,
Wracasz ją morzu swojemu.

Nic cię w biegu nie zatrzyma,
Ni drzewo, ni brzeg zielony,
Justyna z swemi oczyma,
Ni Koryla flet uczony.

Justyno! patrz, ta smereka
Jak bardzo w górę się wspina!
Mniemasz od ziemi daleka,
Że już o niéj zapomina?

Spuszcza jéj swoje nasienie,
Stąd ją młodzieżą okrywa;
I za samo wyżywienie
Stem darów jeden dar zbywa.

Bądź wdzięczną; ty nie znasz tego,
W twym uporze nieodmienna.
Nie życzę-ć ja ci nic złego;
Aleś jest sroga, kamienna.

Może me zasługi małe
Nie warte twojéj wdzięczności;
Ale to serce zbolałe,
Warte całe twéj litości.

Kiedyś cię kto spyta z boku:
A gdzież jest to dobre chłopię?
A ja w tym wdzięcznym potoku
Już się natenczas utopię.

## II. Pożegnanie z Lindorą w górach.

Pójdźmy na koniec smutnego Kluczowa,
Tam ją wśród łąki będziemy żegnali;
I choć przed okiem naszém las ją schowa,
My jeszcze za nią będziemy wołali:
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Rzeczko ty mała! w które tylko kraje
Popłyniesz, wszędzie powiadaj po drodze:
Że już Lindora z nami się rozstaje,
Bądź świadkiem, jak jéj żałujemy srodze.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Powiedzcie lasy, i wy góry dawne:
Czy piękniejszego co w tych stronach było?
Jak wy będziecie odtąd z tego sławne!
Lecz jak się prędko światło wasze skryło!
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Wieśniak swym małym dzieciom kiedyś powie:
Dziatki! Lindory wyście nie widzieli:
Piękna, jak wiosna, i czerstwa, jak zdrowie,
Biała, jak ten śnieg, co się w górach bieli.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.



Pasterze trzody swoje porzucali,
Żeby ją widzieć, a harde z pięknego
Ciała pasterki twarz swą zasłaniały.
Dziatki, ciężkoż wam widzieć co równego!
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

Już po nad rzeczkę nie będziesz chodziła,
I bielszéj nogi nikt w niéj nie umyje!
Oko wesołe, usta i twarz miła,
Wszystko się z twojém oddaleniem kryje.
Lindoro! cóżeś zrobiła!
Sierotyś nas zostawiła.

Niemasz Lindory! czegóż tu czekamy?
Rozbiegnijmy się w różne gór tych strony!
Co nam po wszystkiém? Lindory nie mamy.
Został nam po niéj żal nieutulony.
Lindoro! cóżeś zrobiła?
Sierotyś nas zostawiła.

## III. Do Justyny. Tęskność na wiosnę.

Już tyle razy słońce wracało,
I blaskiem swoim dzień szczyci;
A memu światłu cóż to się stało,,
Że mi dotychczas nie świeci?

Już się i zboże do góry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać;
Całe się pole zazieleniło:
Mojéj pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,
Gaj mu się cały odzywa;
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni:
A mój mi ptaszek nie śpiéwa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała
Po onegdajszéj powodzi;
W różne się barwy łąka przybrała:
A mój mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,
Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił:
Wróć mi urodzaj kochany!

### IV. Rozstanie się Medona.

Rzucając trzodę i dawne koszary,
Zrażony Medon w insze brał się kraje;
Napróżno mu to Filon ganił stary;
On sobie mówić i słowa nie daje.

Uparł się; znowu radby się odmienił;
Często się tedy obejrzy nieznacznie,
Gdzie się Palmiry piękny sad zielenił.
Nareszcie usiadł, i tak śpiewać zacznie:

„Ona tam może ze mnie się naśmiéwa,
I te łzy wierne dzieciństwem nazywa;
Albo ten żal mój sądzi za zmyślony:
Już, mówi, poszedł Medon naprzykrzony.
Palmiro! ja się nie wrócę,
Ciebie więcéj nie zasmucę.

„Wśród pięknych nocy czasem mi kazała
Śpiewać: jam śpiewał, chociaż już i spała.
Tém sobie słodząc, gdy mi się przykrzyło:
Jak się obudzi, będzie jéj to miło!
Palmira się obudziła,
I wdzięczna mi tego była.

„Po wiele razy, za jéj zgubionemi
Owcami biegłem przepaściami temi,
A ona tylko z góry téj patrzała,
I owca jéj się ze mną powracała;
Palmira w rączki zapleszcze:
Medon, szukaj jednéj jeszcze!

„Raz ją widziałem, jak przy źródle piła
I śliczną swoję nogę ubłociła;
Nazajutrz kwiatem brzeg cały usłany,
Tam, gdzie białemi klękała kolany.
Palmira mię słodko wspomnie:
Medon i tu myślił o mnie!



„A wtenczas, kiedy biegła przestraszona,
Co ją był napadł zły pies Palemona,
Ja, za psem goniąc, nogę poraziłem;
A potém, jak się z sąsiadem kłóciłem!
Palmira mi wśród trwogi
Przykładała ślaz do nogi.

„Ale się dzisiaj ona odmieniła!
Kiedym jéj śpiewał, to sobie przykrzyła.
Przezemnie jéj się owce rozproszyły;
W kwiatach przy źródle, mówi, kolce były.
Palmira (o Boże żywy!)
Wyrzuca mi, żem był kłótliwy.

„W dalekiéj jakiéj żyć będę krainie,
Gdzie już Palmiry biała twarz nie słynie;
Tam smutno chodząc, dam przykład każdemu,
Jak mało wierzyć sercu kobiecemu.
Palmiro! swojeś zrobiła:
Jam zginął, a tyś zdradziła.

„A gdyby ona jeszcze to poznała,
I mnie do dawnych łask przypuścić chciała!
Medonie!... próżna nadzieja odmiany;
Jéj wyrok zawsze był nieodwołany.
Palmiro! i za cóż jeszcze
Kocham cię? i za cóż jeszcze?...”

Tak śpiewał Medon, łza mu z oczu płynie;
Ledwie się podniósł, ledwie że się czuje
Na téj, pod którą spoczywał, buczynie,
Tak swój żal ciężki krótko opisuje:

„Drzewo to mijaj, siekiero!
Tu, rozstając się z Palmirą,
Łzami, Medon, wylanemi
Poświęciłem je mojemi.
Jeśli z kochających jaki
Na te kiedy trafisz szlaki;—
A także w swojéj miłości,
Kochałeś bez wzajemności:

Odnów, dla wieku późnego,
To pismo kompana twego.
A ty, o drzewo kochane!
Drzewem łez będziesz nazwane."

## V. Do Justyny o Stateczności.

Otóż mój pies powraca do dawnego pana!
Obroża na nim strzaskana;
I kawałek łańcucha, którym był więziony,
Przyniósł z sobą zbyt schudzony.
Wszakżeś tam miał wygodę, żywił cię dom cały,
Mój ty poczciwy psie biały!

Przecie schudł; całeby mu porachował krzyże:
Patrz on mi rękę liże.
Justyno! ten pies mię wzrusza;
W tobie jakaś twarda dusza
Moję stateczność, tak dawną,
Zbywa oziębłością jawną.

Sama Dorys onegdy, gdybyś to wiedziała,
Jak mi się oświadczała!
Ona z żalem nademną często mi wspomina:
Nie kocha cię Justyna!
Porzuć tę niewdzięcznicę. — I płakać zaczęła.
Mnie także żałość zdjęła.
Choć-em płakał dla ciebie; ona się cieszyła.
Żal mi jéj, że się myliła.
Wszystko mi obiecywała,
Żeby mię jak oderwała,
Słaba to zasadzka była:
Rozpusta sidła stawiła.

Bogaty Akast rad mię w swym domu przyjmuje;
Co mi nie obiecuje?
Z jednego z nim puharu piję; jedna stawa
Przed nim i mną potrawa.
Wraz z nim chodzę, wraz sypiam; ja go jeden bawię,
Nocy z nim tęskne trawię.



Nie ma nic tak drogiego, coby mię znęciło.
Z tobą mi bardzo miło,
Sto inszych za ciebie daję.
Ja zawsze przy tém obstaję:
Akaście! niechże ja zginę,
Nie masz nad moję Justynę.

Filon, ów mój przyjaciel, ów mój doświadczony,
Raz mnie pytał strwożony:
Czego tak smutny chodzisz? i za jaką stratą
Nudzisz? Jam westchnął na to.
Nie jesz, mówił, nie sypiasz: ej! czy nie Justyna
Tego smutku przyczyna?
Płakać potrzeba było; ja czczym śmiechem zbyłem,
Przyjaciela zdradziłem!
Otóż mi radził doktory...
Wtenczas, gdym dla ciebie chory,
O żadne leki nie stoję...
Justyno! ty, zdrowie moje.
Cóż jest? żeś nieużyta na przeciąg tak długi
Mojéj wiernéj zasługi!
Często sobie mówiłem: biedny Korydonie!
Lżéj ci będzie na stronie.
Porzuć, kiedy niewdzięczna. Potém żal mi było
Lat, co się przepędziło.

Żal i ciebie porzucić. Cóż zrobię stroskany!
Tylko czekać odmiany.
Justyno! pies mój powrócił,
Nie darmo się biedny smucił.
Jego stateczność mię wzrusza...
W tobie jednéj twarda dusza.

## VI. Do Motyla.

O jakież skrzydełka jego!
Barwa błękitna z różowém;
Na głowie coś zielonego,
A sam w pancerzu stalowym.

Motylu, piękny motylu!
Ja ciebie dziś złapać muszę;
Tylko stanę przy tym dylu,
Złapię, gałązki nie ruszę.

Do mojéj miłéj Justyny
Poniosę cię z skwapliwością;
Mój ty motylu jedyny,
Z jakąż cię przyjmie radością!

Ona ci porobi klatki,
Majem cię wkoło osłoni,
Każe zbierać różne kwiatki,
Jeść będziesz z jéj białéj dłoni.

Żeby ci tęskno nie było,
Ja szukać drugiego będę;
Jeśli wam tak w parze miło,
Jak ja z Justyną gdy siędę.

Nie bój się śmierci z jéj ręki,
Żyj, póki zechcesz na świecie:
Ona nie patrzy bez męki,
Choć brzydką muchę kto gniecie.

Och! on poleciał w gęstwiny!
Nie złapię... próżno się kłócę;
Z czémże do mojéj Justyny,
Z czémże ja z pola powrócę?

## VII. Do Skowronka.

Skowronku! cóż cię tak rano zbudziło?
Do wschodu słońca ma być jeszcze wiele,
Ja spać nie mogę, bo mi żyć niemiło;
Ale co ciebie budzi w tym popiele?

Nie śpię, że moja przy mnie nie nocuje;
A ty, że twoja przy tobie spoczywa.
Równo nas szczęście i smutek kosztuje,
Tylko twój niewczas słodkim się nazywa.



Jakże się w górę coraz wyżéj wznosi,
Zostawiwszy swą samicę wśród roli!
Niby ją łaje, niby o coś prosi;
Niby się smuci, i niby swywoli.

On zawsze zrana swéj kochance śpiewa;
Ona się cieszy, jak nad nią wzlatuje.
Czasem nad głosem jego się zdumiewa,
A czasem sama coś mu potakuje.

Jego gorętszych pora pewnie była
Miłości, co nim tak w górę rzuciły,
Która, kiedy go razem wyniszczyła,
Równo ku ziemi upada bez siły.

Nikt nie opowie żal nieutulony
Patrzącéj na to smutnéj jego pary...
Jakaż pociecha, kiedy otrzeźwiony
Znalazł się blizko swéj kochanki szaréj.

Skowronku! ja cię mam za szczęśliwego:
Skuteczne leki masz na pogotowiu.
Mnie nic podobno nie zleczy chorego;
Zazdroszczę twojéj słabości i zdrowiu.

## VIII. Korydon.

Łąko zielona! nie zwabisz mię więcéj,
Ani, pieszczony przedtém głos ptaszęcy,
Ani, swym słodkim szumem głaszcząc uszy,
Strumień mię wzruszy.

Wszystko to z dawną wolnością mi ginie.
Strumień dziś tylko smutno mrucząc płynie;
Sama okropność po łąkach przebywa;
Jęcząc, ptak śpiéwa:

Palmiro! wróć mi pierwszą wolność moję;
Albo weź życie, o które nie stoję,
Jesteś niewdzięczna, choć wiesz, że cię lubię...
O!... ja się zgubię.

Kiedy to mówiąc, rozpacz już go brała,
Wszystkiego tego Palmira słuchała,
Ukryta w krzaku, razem cała zbladła;
Bieży i padła.

Nie gub się, rzekła, mnie żyć z tobą miło;
Ja miałam miłość, śmiałości nie było.
Pozwólcie czasem bronić się płci naszéj,
Odwadze waszéj.

Kiedy ostatnich słów tych domawiała,
Okropna przedtém łąka odmłodniała;
Róża się razem rozwija, ptak wkoło
Śpiewa wesoło.

### IX. Korydon szczęśliwy, myśl z Katulla.

Tu, tu, Palmiro! na téj murawie
Słodkich ust twoich dasz mi całować:
Tu razem będziem, w miłéj zabawie,
Pocałowania nasze rachować.

Pocałuję cię naprzód tysiąc razy,
I potém zaraz razy sto tysięcy.
Słodka Palmiro! Palmiro bez zmazy,
Pocałowania wartaś jeszcze więcéj.

Ale nic nie mów, choćby cię kto badał,
Pocałowania żeć tyle rachuję:
Ażeby człowiek złośliwy nie gadał,
Że się Palmira tak wiele całuje.

### X. Korydon smutny, na śmierć Palmiry.

Korydon dopadł pożądanéj ciszy,
W któréj go tylko zwierz lasowy słyszy.
Tam flet o drzewo tłucze, z nóg się wali,
I tak się żali:

„Już ja grać więcéj nie będę na tobie,
Moję Palmirę położywszy w grobie;
Już z nią na chłodzie pod sosną nie siędę,
Grać jéj nie będę.



„Niech tam wilk srogi dusi moje trzody,
Niech pije, kto chce, mym kuszem do wody;
Nie masz Palmiry, co wraz ze mną piła,
Gdy spieka była.

„Płacz, mój psie wierny: ona cię lubiła,
Ona cię serem i mlekiem karmiła.
Ty teraz zdechniesz z głodu; mnie z żałości
Wyschną te kości.

„Przyjdźcie, pasterki, z okolicy całéj!
Na grób jéj kwiaty będziecie rzucały,
I chodząc wkoło zimnéj jéj mogiły,
Tę pieśń nuciły:

„Palmiro! pewnie ty nie czujesz tego,
Jak bolejemy z rozłączenia twego!
Ni Korydonem twym się nie turbujesz:
Ty nic nie czujesz.

„Wczoraś tak miło na nas poglądała:
A dziś, jakbyś to nigdy nas nie znała;
Zimno u siebie twe siostry przyjmujesz:
Ty nic nie czujesz!

„Któż między nami jaką zrobi sprawę?
Kto nam na wiosnę powydziela trawę?
Kto zgadnie, wiele owce mleka dały
Na wydój cały?

„Nieśmyż, w ostatnie góry i niziny,
Smutne sieroctwa naszego nowiny:
Niech skała skale podaje żal szczéry
Z straty Palmiry".

Tak jéj śpiewajcie. A ja kamień biały
Położę na jéj grobie; i ten mały
Sam swoją ręką nagrobek wyznaczę:
Tu swéj Palmiry Korydon płacze!"

## XI. Laura i Filon.

LAURA.

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,
I coś tam klaszcze za borem.
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod umówionym jaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę splątany;
Bobym się bardziéj jeszcze spóźniła:
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje,
I tę plecionkę różowę:
Maliny będziem jedli oboje;
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała.
Gdybyś mi skrzydła przypięła,
Żebym najprędzéj bór przeleciała,
Potém Filona ścisnęła!

Oto już jawor... niemasz miłego!
Widzę, że jestem zdradzona!
On z przywiązania żartuje mego;
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swéj, czarnobrewki Dorydy,
Rozrywkę sobie okrutną czyni
Kosztem méj hańby i biédy.

Pewnie jéj mówi: że obłądzona
Wpieram się w drzewa i bory,
I... zamiast jego białego łona,
Ściskam nieczułe jawory.

Filonie! wtenczas... kiedym nie znała
Jeszcze miłości szalonéj,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała
Oczach i w mowie pieszczonéj.



Jakże mię mocno ubezpieczała,
Że z tobą będę szczęśliwą!
A z tém się chytrze ukryć umiała,
Że bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz, wracając do domu,
Nauczać będę moją przygodą,
Żeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie: przypadek jaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki,
Możem ja próżno strwożona?

Lepiéj mu na tym naszym jaworze
Koszyk i wieniec zawieszę,
Jutro paść będzie trzodę przy borze...
Znajdzie!... jakże go pocieszę!

Och nie! on zdrajca; on u Dorydy,
On może teraz bez miary
Na sprośne z nią się wydał bezwstydy...
A ja mu daję ofiary...

Widziałam wczoraj, jak na nię mrugał;
Potém coś cicho mówili:
Pewnie to dla niéj ten kij wystrugał,
Co się mu wszyscy dziwili.

Jakżeby moję hańbę pomnożył,
Gdyby od Laury uwity
Wieniec na głowę Dorydy włożył,
Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię splatała,
Krwiąm cię rąk moich skropiła:
Bom twe najmocniéj węzły spajała,
I z robotąm się kwapiła,

Teraz bądź świadkiem mojéj rozpaczy,
I razem naucz Filona:
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
Prawdziwa miłość, wzgardzona.

Tłukę o drzewo koszyk mój miły,
Rwę wieniec, którym splatała;
Te z nich kawałki będą świadczyły,
Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy w chrościnie Filon schroniony
Wybiegł do Laury spłakany,
Już był o drzewo koszyk stłuczony,
Wieniec różowy stargany.

FILON.

O popędliwa!... o ja niebaczny!...
Lauro!... poczekaj... dwa słowa...
Może występek mój nie tak znaczny,
Może zbyt kara surowa.

Jam tu przed dobrą stanął godziną;
Długo na ciebie klaskałem.
Gdyś nadchodziła, między chróściną
Naumyślnie się schowałem,

Chcąc tajemnice twoje wybadać,
Co o mnie będziesz mówiła?
A stąd szczęśliwość moję układać;
Ale czekałem zbyt siła.

Pierwsze twe skargi o Dorys były.
Sądź o mnie, Lauro! inaczéj:
Kogożby wdzięki tamte wabiły,
Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda, że czasem z nią się bawiło,
Mając znajomość od długa;
Ale kochania nigdy nie było:
Nie już ten kocha, co mruga.



Oto masz ten kij; po nim znamiona
Niebieskie gładko rzezane,
W górze zobaczysz nasze imiona,
Obłędnym węzłem związane.

Cóżem zawinił, byś mię gubiła
Przez twój postępek tak srogi?
Czyliż dlatego, żeś ty błądziła,
Ma ginąć Filon ubogi?

Jeśli się za to twych gniewów boję...
To mię twa rozpacz strapiła:
Drogom kupował ciekawość moję;
Łzamiś ją swemi płaciła.

Ale w tém wszystkiém złość nic nie miała:
Wszystko z powodu dobrego.
Ja wiem, dlaczegoś tyle płakała;
Ty wiesz, mój podstęp dlaczego?

LAURA.

Dajmy już pokój troskom i zrzędzie:
Ja cię niewinnym znajduję;
Teraz mój Filon droższy mi będzie,
Bo mię już więcéj kosztuje.

FILON.

Teraz mi Laura za wszystko stanie,
Wszystkim pasterkom przodkuje;
I do gniewu ją wzrusza kochanie,
I dla miłości daruje.

LAURA.

Jedna się Dorys wyłączyć miała;
Jéj pierwsze miejsce naznaczę.
Na to wspomnienie drżę zawsze cała:
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

FILON.

Dla twego, Lauro, przypodobania,
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania,
W żadną nie wnijdę rozmowę.

LAURA.

Czémże nagrodzę za te ofiary?
Nie mam prócz serca wiernego;
Jedne ci zawsze przynoszę dary,
Przyjmij, jako co nowego.

FILON.

Któżby dla ciebie nie zerwał węzły
Przyjaźni, co mię nęciły?
W twéj pięknéj twarzy wszystkie uwięzły
Nadzieje moje i siły.

LAURA.

Ja mam miéć z płaczu po twarzy smugi;
Ale, jak mi się nadarzy
Spleść i ułożyć warkocz mój długi,
Mówią, że mi to do twarzy.

FILON.

Gdyby mi Akast dawał swe brogi
Ze złotem swojéj Izmeny,
Rzekłbym: Akaście! tyś jest ubogi,
Bo moja Laura bez ceny.

LAURA.

Ani ja pragnę szczęścia wielkiego,
Które (choćbym téż i miała)
Za jeden uśmiech Filona mego
Zaraz-bym z chęcią mieniała.

FILON.

O światło moje wpośród téj nocy!
Zagrodo mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojéj mocy,
A ja czuję ją!... o moja!



LAURA.

Połóż twą rękę, gdzie mi pierś spada,
Czy słyszysz to serca bicie?
Za uderzeniem każdém ci gada,
Że cię tak kocha, jak życie.

FILON.

Daj mi ust... z których i niepokoje,
I razem słodycz wypływa...
Tą drogą poślę zapały moje
Aż gdzie twa dusza przebywa.

LAURA.

Czy w każdym roku taka z kochania,
Jak w osiemnastym, mozoła?
Jeśli w tém niemasz pofolgowania,
Jak człek miłości wydoła?

FILON,

Ściśnij twojego, Lauro! Filona;
Ja cię przycisnę wzajemnie:
Serca, zbliżone łonem do łona,
Rozmawiać będą tajemnie.

LAURA.

Ty mię daleko ściskasz goręcéj,
A jam cię tylko dotknęła;
Nie przeto, Filon, kochasz mię więcéj:
Miłość mi siły odjęła.

FILON.

Lauro! coś dotąd dla mnie świadczyła,
Jeszcze dowodzi to mało,
Że mię tak kochasz, jakeś mówiła:
Jeszcze mi prosić zostało.

LAURA.

Tegom się miała z ciebie spodziewać?
Jakże to skarga niezbożna!
Nie proś, nie każ mi; ty mię chcesz gniewać...
Kochać cię więcéj nie można.

FILON.

Kiedyż mię za to nie będziesz winić?
I kiedy będziesz wiedziała,
Co do dzisiejszéj łaski przyczynić;
Że taka miłość nie cała?

LAURA.

Filonie, widzisz wschodzące zorze?
Już to drugi raz kur pieje.
Trochę przydługo bawię na dworze...
Jak matka wstała!... truchleję.

FILON.

Żal mi cię puścić, nie śmiem cię trzymać...
Kiedyż przyśpieszy czas drogi,
Gdy z moją Laurą i słodko drzymać,
I bawić będę bez trwogi?

LAURA.

Miesiącu! już ja idę do domu!
Jeśliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryjomu,
Nie świeć, niech na nich dżdże idą!

## XII. Pasterz do owieczki straconéj.

Na te bezdroża, owco ulubiona,
Idziesz bez twego pasterza!
Burzliwy wicher, zima uprzykrzona,
Ciężkie ci przejścia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodzić
Będziesz, méj trzody ozdobo!
Wszędzie mój smutek za tobą ma chodzić,
I tęskność moja za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi,
I da bezpieczne noclegi;
Może cię jako zwierz dziki prześlepi:
Boś jest tak biała, jak śniegi.



Owieczko moja! duszy mojéj duszo,
Nadziejo mojéj nagrody!
Żadne mię teraz rozrywki nie wzruszą,
Bom stracił czoło méj trzody.

Ja się po tobie dosyć nie zasmucę,
Nie strawię żalu przyczyny;
Ja dziewięćdziesiąt i dziewięć porzucę:
Pójdę cię szukać jedynéj.

## XIII. Do przyjaciół po rozstaniu się z Rozyną.

Goście wy moi, moi przyjaciele,
Jakże was smutno przyjmuję!
Rozyna moje zabrała wesele:
Samego siebie nie czuję.

Filon! połóż mi twą rękę na głowie,
Klitus niech piersi pilnuje.
Może się waszym uściskiem pozdrowię,
Może mi boleść sfolguje.

Jam jéj przed samym już wyjazdem śpiéwał,
Ona mię wdzięcznie słuchała.
Kto wie? możem się na tém oszukiwał,
Że za mną szczery żal miała.

Przyszedł nieszczęsny moment pożegnania:
Żegnam słodkiemi wyrazy...
Mnie się Rozyna po dwa razy kłania,
Spojrzała na mnie... dwa razy.

Kiedy wychodząc próg nasz przestąpiła,
Dopiéro mnie ból przygniecie,
Ona coś do mnie jeszcze przemówiła,
Jam nie pamiętał o świecie.

Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,
Na wyższe miejsce wstąpiłem;
Jeszczem chciał światła zachwycić jéj twarzy,
Które pomału gubiłem...

Wreszcie zniknęła — a boleść przebiegła
I tęskność — na nic nie czuła;
Jedna z nich całą głowę mi zaległa,
A druga serce otruła.

Filonie! wkrótce jedziesz w tamte kraje,
W których Rozyna siaduje,
Powiedz jéj, że ja życiu memu łaję,
I że dotychczas choruję.

Ale z nią w długie nie zachodź rozmowy,
Jeśli chcesz, żebyś wypłynął,
Słodkiemi łatwo zaleje cię słowy;
Jam sobie ufał i zginął.

Nie patrz jéj w oczy, jeśli chcesz ujść cały:
W tém ją najciężéj zmocować;
Nie wiem, co tam z nich te rzuca postrzały,
To wiem, że trzeba chorować.

Chociaż jéj nie znasz, sam ją zgadniesz w tłumie,
Poświadczy tamta kraina:
Co najpiękniejszą ma twarz przy rozumie,
To pewnie będzie Rozyna.

## XIV. Do Justyny.

Drzewa! wyście małe były,
Gdym się rozkochał w Justynie,
Dzisiajście się rozkrzewiły:
Gałąź wasza chłodem słynie;

Insze mi już owoc dały,
Com je w drobném ziarnku sadził,
Na szczęście mojéj zuchwałéj,
Drzewa, jakżem ja się zdradził!

Ona mnie dotąd nie kocha,
Choć jéj wzgardy znoszę skromnie:
Trzyma mię, że jest nie płocha;
Martwi, że nie dba i o mnie.



Justyno moja! Justyno!
Patrz, jak mam usta spieczone;
Jak z oczu moich łzy płyną?
Ach! ty nie patrzysz w tę stronę.

Przystąp jeno ku mnie bliżéj,
Bo wy czasem i leczycie:
Ta się choroba choć szérzy,
Jéj zaraza jest na życie.

Nie wiesz, co miłość kosztuje?
Jak ogień wnętrzności trawi;
Jak rdza żelazo, zmocuje,
I raz głęboki zostawi.

Skłonność twoja do litości
Głośna w okolicy całéj;
Saméj nie znając miłości,
Ranisz mię, choć-em zbolały.

Kiedyś tak w uporze trwała,
Otóż ja cię odstępuję.
Ach! tyś łaskawie spojrzała!
Nie wierz mi: ja to żartuję.

## XV. Dafne i Korydon.

Jakiż to kraj jest? (Dafne się żaliła)
Ani tu pięknych owiec widać siła,
Ani tu drzewo proste rośnie w górę,
Liściem okryte ledwie znaleźć które;
I ptactwo leśne śpiewać tu nie umié;
I potok brudny smutno tylko szumi;
I lud tutejszy, dla zupełnéj zgody,
Taki, jak owce, drzewo, ptactwo, wody.
Korydon, który za drzewem schowany
Wszystko to słyszał, wzruszył się tém znacznie,
Bo kochał Dafnę, i chciał być kochany —
Dlatego z żalem odpowiadać zacznie:

O Dafne! kiedyś pierwszy raz stanęła
W téj okolicy, jakeś nas ujęła
Twemi oczyma, twém ruszeniem ciała!
Nie toś, och! nie to nam obiecywała...
Wszystko tu ganisz, aż do drzew i wody.
Cóż ci zrobiły owiec naszych trzody?
Wszystkie, posłuszne swemu pasterzowi,
Zgadują prawie, co im tylko powié,
Żadna swą wolą nie pójdzie na stronę:
Pasą spokojnie, chociaż nie strzeżone,
Idą na nasze skinienia z ochotą,
Kochają zwierzchność... i to jest ich cnotą.
Piękna topolo, tyś u Dafny krzywa.
Tu często pasterz przed słońcem spoczywa;
Tu w miłym chłodzie pasterek zabawa;
Tu prawie zawsze zieleni się trawa;
Mirtyl Klorydy tu pochwały śpiéwa:
Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa.
Spokojne drzewa, schronienie pasterza,
Mieszkanie ptaków i leśnego zwierza,
Jam jest wam wdzięczny, was za świadków miałem,
Jak często Dafnę tutaj wspominałem!
Wyście jéj imię, przez wasz odgłos miły,
Cale do moich uszu przynosiły...
O jakże mię ta jéj niewdzięczność gniecie!
Szczęśliwe drzewa, że nic nie czujecie!
Oto ten czyżyk, ten czyżyk zielony,
Tylko od saméj natury uczony,
Śpiewa, jak umie, swéj samicy szaréj,
Ale jéj pilnie dochowuje wiary;
On na tę gałąź zawsze przylatuje,
Gdzie wie, że jego kochanka nocuje;
Ledwie... co zorza poranna zaświta,
Już ją pieśniami swych miłości wita...
Ona... się ciesząc z téj jego ofiary,
Nową ma słodycz, chociaż w pieśni staréj.
Miły strumieniu! brudnym cię nazwano:
Brudnyś, ale twéj cnoty nie poznano:
Ty zawsze wierny twojemu brzegowi,
Choć jakie słoty zleją, nikt nie powié,
Żebyś, swe dawne opuściwszy brzegi,
Po obcych łąkach miał swoje noclegi.



Tak jest, o Dafne! w którą spojrzysz stronę,
Wszystko wierności cechą naznaczone:
I lud tutejszy, dla zupełnéj zgody,
Taki, jak owce, drzewo, ptactwo, wody.
W téj okolicy, skądeś tu przybyła,
Może piękniejszych pasterzów jest siła,
Może ci piękniéj miłość opisują;
Ale jéj nigdy tak mocno nie czują!
A choćby czuli, pewnie nie na długo.
U nas... jest panią, u nich... miłość sługą,
Oni, co miasta często nawiedzają,
Tam się obłudy duchem napawają.
Nam tu, niewinną żyjącym prostotą,
Wierność miłością, a miłość jest cnotą.
Tu, kiedy pasterz powie, żeś mu miła,
Już z tém i umrze, choćbyś go zdradziła.

Dafne... coś chciała mówić o miłości;
Ale Korydon zemdlał od żałości.

## XVI. O Justynie.

Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,
Rozzielenił się las mój gałęzisty.
Oczyma swemi wszystko czaruje,
Sprowadza burzę, albo wstrzymuje.

Gdzie tylko serce kochające było,
Wszystko się do jéj białych nóg skłoniło.
Piękna królowo! cóż to się stało,
Że w twojém państwie wesołych mało?

Wyszła Justyna, mówić mi zaczęła,
I zaraz radość serce me przejęła.
Rzekła: coś mi się o tobie śniło...
I to jéj mówić do twarzy było.

## XVII. Dzieci u matki.

Gałęzie lasu obsypał szron siwy,
Pościnał rzeki Luty przeraźliwy;
Pławne na brzegi pozarzucał łodzie,
I kazał chodzić po zdrętwiałéj wodzie.

W tak twardéj porze Kloryda z Filonem,
Piękna Palmira z swoim Korydonem,
Miłe ich dzieci, i przyjaciół grono,
Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.

Próżno ich sypkie zatrzymują śniegi,
I lodem wzdęte odpychają brzegi;
Przeszli zawady, bo miłość szła wprzódy:
Zmiatała śniegi i topiła lody.

Już się nakoniec, po długiéj podróży,
Znajoméj sobie dobrali ostróży.
Filon, co w młodych leciech tędy bywał,
Znaczniejsze miejsca dzieciom pokazywał.

„Ta, mówi, miedza końcem gonitw była,
Gdy się ruchawa Chloe rozegziła;
Temu, co pierwej przy nogach jéj stanie,
Dawała jabłko i pocałowanie.

„Tu często Filis przy tém źródle spała,
Tu różno-wzorą kosę zaplatała;
Tu ją Korydon raz napadł w kąpieli,
Za co się potém długo nie widzieli.

„W tym lesie Oront, od swych psów zjedzony,
Stracił na psiarnię swój byt, wiano żony;
A potém chodził od głodu wybladły:
A cóż, nie prawda? że go swe psy zjadły".

Tak rozmawiając, wreszcie u wrót staną,
I powitają zagrodę kochaną;
Ale Korydon zaczął im rozwodzić:
„Mnie się nie zdaje całym tłumem wchodzić.

„Wielkie pociechy szkodliwe bywają,
Że nam się bardzo rzadko przytrafiają...
A do nieszczęścia człek przyzwyczajony
Zniesie go łatwiéj, jak z niém oswojony.



Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małém
Weszła najpierw; a wy potém całym
Przyjdziecie tłumem. Tak idąc powoli,
Radość nie cięży, i smutek mniéj boli"-

Poszli za radą, i wnet się w kat wkradną;
Ale ich czujne sobaki opadną:
Bryś wysłużony uszyma postrzyże,
Poznał swe pany, i ręce im liże.

Strach się dopiero w pasterkach ugasi,
Gdy widzą, jak się Filonowi łasi:
Skacze do góry w radości niezmiernéj,
Ten, co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.

Palmira z swoim miłym Korydonem,
Wiadomym jemu, przebiegła uchronem.
Przyszli pode drzwi nic nie postrzeżeni,
I mroźną odzież strzepywali w sieni.

Justyna wtenczas modły gorącemi
Błagała Boga za dziećmi swojemi:
„Jeśli, powiada, choroba im szkodzi,
Jeśli nad niemi zły człowiek przewodzi;

„Jeśli zamysłom ich opak się wiedzie,
Jeśli zmartwienie mają w złym sąsiedzie;
Ty, który lubisz wspierać łaską człeka,
Odmień to, Boże, boś dobry od wieka.

„Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,
Jako te drzewa ich ręki szczepienia.
Niech pamiętają na Twoich łask siła,
A potém na mnie, com ich porodziła."

Gdy matkę takie nabożeństwo trzyma,
Weszła Palmira z siwemi oczyma,
Dziecię na ręku, gładka w twarzy, w stanie;
Za nią Korydon przyszedł niemieszkanie:

„O dzieci moje! (zawoła Justyna)
Jakże to prędko Bóg na mnie wspomina:
On mię wysłuchał, ledwiem wymówiła,
Daje mi łaskę, jam nie zasłużyła!

„Niechże tu całe sąsiedztwo się zgarnie;
Niech wezmą owcę najlepszą z owczarnie,
I niech to wino dobędą co prędzéj,
Coby go mógł pić choćby syn książęcy.

„O wielki Boże! cóżbym jeszcze dała,
Żebym Filona dzisiaj oglądała!"
Na to Korydon: „Matkę wszyscy znamy;
„Filona kocha, jak i my kochamy."

Wtém wejdzie rzeźwa Kloryda z Filonem,
Z pięknemi dziećmi i przyjaciół gronem.
Rzuci się matka, łza jéj z ócz wytryska,
Mówić nie może, i tylko je ściska.

Kiedy tym zbytkiem radości się poją,
I dzieci matkę otoczyły swoją,
Dawszy coś czasu na płacz pożądany,
Wreszcie zaczęli śpiewać na przemiany:

Pasterki.

Zwarzyła zima piękne nasze zioła,
Cośmy z nich wili wielo-farbne pleci;
Otaczając cię z radością dokoła,
Oto masz, matko, wieniec z twoich dzieci.

Pasterze.

Miłe koszary i słodką zagrodę
Porzucił pasterz: do matki się śpieszy.
Któż za swe trudy miał większą nagrodę?
My jéj śpiewamy, a ona się cieszy.

Wszyscy razem.

Święta miłości ku rodzicom dzieci!
Co pierwsza świecisz pomiędzy gwiazdami,
Jeśli do ciebie ten głos nasz doleci,
Mów tam za matką naszą i za nami.



Bóg wtenczas spojźrzał z wysokiego nieba:
Nad to, co jeszcze żyć im było trzeba,
Przyczynił wszystkim wieku tyle drugie,
Żeby z nich przykład brały lata długie.

## XVIII. Na odmienione Nad-Prucie.

Prucie! w którego przeźroczystéj wodzie
Białe umywa nogi Pokucianka,
Pożal się Boże! już po twéj swobodzie,
Po twych rozrywkach w wieczór od poranka!
Ja, siadłszy nad twoim brzegiem,
Patrzyłem z rozkoszą duszy,
Jak czasem ślicznym szeregiem
Pań twoich tabor się ruszy.

Te, często w jednę zebrane gromadę,
Przy twoich wodach obóz zakładały,
Wesołych swoich zabaw czyniąc radę,
Przechodnia w jego drodze zatrzymały.
Ta leżąc pod krzakiem śpiewa;
Ta jakąś do swych ma mowę;
Insza co śmielsze zagrzewa:
Przebrnijmy rzekę Prutowę!

Drugie, po równym goniąc się zarynku,
Za Korydonem kamyczki rzucają;
Tylko mu przez to nie dają spoczynku,
Ale samochcąc w niego nie trafiają.
Potém, zgonionego, hurmem
Obsiadłszy, gniotą kolany,
On ledwie dysząc pod szturmem,
Cieszy się, że jest złapany.

Prucie! jakżeś jest bardzo odmieniony!
Wody twe dzisiaj cicho upływają,
Smutnym gra tonem Korydon zniszczony;
Ślicznych twych córek ścieżki zarastają.

Nie słychać głosu Klorydy;
A Filis smutnemi ściegi
Wyszywa klęski Dorydy:
Ja przecie kocham twe brzegi.

## XIX. Nice do niestatecznego.

Już wiosna kończy odmiany,
Świeci pogoda dzień cały;
Filonie nieutrzymany!
Tyś tylko jeden niestały.

Wspomnij na pierwsze momenta
Poznawania się naszego;
Jakem ja była kontenta
Być więźniem więźnia mojego.

Jam ci się oddała cale
Serca najczystszą ofiarą;
Ty niém tak gardzisz zuchwale,
Niech ci ten będzie dar karą.

Filonie! słyszysz te grzmoty?
Ja na cię pomsty nie kładę;
Ale wiedz, dla twéj zgryzoty,
Że się mści niebo za zdradę.

## XX. Na posągi Rolnictwa i Poezyi.

Piękne boginie młodego świata!
Wtenczas, gdy jeszcze kochał brat brata:
Wtenczas, gdy żadnéj nie znano wojny,
I było szczęściem: żyć wiek spokojny...

Jedna z potrzeby, druga z miłości,
Matek, zrodzone, wyście w słodkości
Światem rządziły, przychylne człeku,
Dwie rówieniczki pierwszego wieku!



Dzisiaj po większéj części pogardzone,
Poszłyście w kraje jakieś oddalone,
Tu tylko wasze obrazy zostały,
Marne te dawnéj wyrażenia chwały.

Wróćcie się, wielkie ziemianów boginie!
Zbiorę tych jeszcze, gdzie wasza cześć słynie;
Wystawię ołtarz, pierwszy was pochwalę,
I sam wam święte kadzidło zapalę;

A potém u nóg waszych, wraz z Justyną,
Złożę ofiarną pszenicę i wino:
Wy nam obojgu wtenczas pozwolicie
Śpiewać szczęśliwe kochających życie.

## XXI. Rocznica imienin zmarłéj księżniczki Teresy Czartoryskiéj, jenerałównéj Ziem Podolskich, w Powązkach *) obchodzona.

*Dnia 15 Października 1780 r.*

Dzień przyszedł, który dawniejszemi laty,
Póki się los nasz nie pokłócił z nami,
Słodko był pędzon — dziś... od jednéj straty
Samemi wszystko oddycha żalami.

Jakeś nam tylko, Tereso, zniknęła,
Poszła za tobą rozrywek ochota;
Zazdrośna! tyś nam wszystko zagarnęła,
Rzuca nas nawet twój domek sierota; **)

Od gospodyni swojéj opuszczony,
W dzikie gęstwiny lasu ustępuje...
Niby się wstydząc, że jest pogardzony,
W ustroniu szczęścia dawnego żałuje;

*) Powązki jest to nazwisko małéj wioski pod Warszawą, gdzie księżna jenerałowa Czartoryska, dzieci jéj i przyjaciółki miały niegdyś, każda, osobny domek swój, z wierzchu słomą pokryty, i po prostu postawiony, wewnątrz zaś najgustowniéj umeblowany.

**) Domek zmarłéj księżniczki po śmierci jéj z pomiędzy inszych domków całkiem przeniesiony, i na ustroniu w lasku, w miejscu najdzikszém postawiony.

Tam czuła matka i wierne sąsiady —
Chcąc uroczyście odprawić roczyny —
Gdzie je przewodnik wiedzie, smutek blady,
Krepą wiązane niosą rozmaryny;

Insze z cyprysu wieńcem otaczają
Domek, i gdy.., je żałość przycisnęła,
Wśród łez po blizkich głazach wyrażają,
Co któréj tkliwa boleść poszepnęła;

Te na wpół z liścia wierzbach obnażonych
Jękliwe swoje cytry zawiesiły:
Nie pora tonów zgadzania pieszczonych...
Smutek im zabrał ochotę i siły;

Drugie, gdzie głębsze wody spoczywały,
Gdzieś się, Tereso, czasem przeglądała:
Gdy tam obrazu twarzy twéj szukały,
Każda z nich tylko łzy swoje widziała;

Potém nad czystym stanąwszy strumieniem:
Ona (mówiły), jak ty, czysta była....
Twoim podziemnym upływając cieniem,
Czy nie zdybałeś, żeby się gdzie skryła?

Ale, jak wszystko nic nie odpowiada,
Tak czysty strumień stawił się okrutnie:
Próżno mu każda o swéj szkodzie gada,
On może co wie, bo coś mruczał smutnie.

Ptaki powietrzne, co tyle zwiedzacie
Krain!... z was może... czego się nauczy!
Ale i ptaki, nie odpowiadacie,
Milczały insze, tylko puszczyk huczy.

Gdzieś tylko przedtém, Tereso, bywała,
Odkryte pola, albo las zawiły,
Niezbyte piaski, nieużyta skała;
Wszędzie cię szukał głos ci kiedyś miły.

Kiedy tak łkaniem las cały zmięszany,
I smutnym głosem okolica kwili,
Przechodzień, w swojéj drodze zatrzymany,
Pomyślił: znać tu wszystko utracili.



Ale ta, która najwięcéj cierpiała,
Najwięcéj, bo już wytrzymać nie zdoła,
Nie mogąc płakać, choć najbardziéj chciała,
Strapiona matka, w rozpaczy zawoła:

„Na cóż ją próżno pragnę powrócić?...
Ginie! kto poszedł w tę drogę!...
Chciéć, co nie mogę... i niebo kłócić..!
Lepiéj pójść za nią... co mogę."

Wtém okoliczna gęstwina zaszumi,
Trwoga na pola ptactwo wypędziła,
Strumień do góry wracając się tłumi,
I lasem trzęsie niewidoma siła;

Po całém puszczy pracującéj łonie,
Jak błyskawica ogień polatuje;
Ale jak drogie kadzidło, gdy płynie,
Świeci i wonność razem rozsypuje.

Nie lękajcie się, strwożone sąsiadki,
Może ta burza nie znaczy nic złego;
Mówią, że takie bywają przypadki
Znakiem posłańca świata szczęśliwszego.

Tak jest, w pośrodku zbitéj świata bryły,
Z temiż oczyma, i z temi wdziękami,
Wyście Teressę swoję obaczyły
Taką, jak kiedyś przebywała z wami;

W stroju jéj tylko różność nastąpiła,
Że w tamtych krajach ubiór wasz nieznany:
Biała zasłona bielsze ciało kryła,
Cały strój głowy, wieniec był różany.

Kiedy z popłochu wraca się wam życie,
I święta bojaźń ku ziemi was zgina,
Chciwe swe oczy ku niéj podnosicie,
Wtenczas, gdy ona tak mówić zaczyna:

„Matko! dlatego, żeć córka ginie,
Pofolguj życiu własnemu;
Winnaś go ojcu memu, rodzinie,
Winnaś go Bogu twojemu.

„Czemu na losu narzekasz wodze,
I chcesz się spierać z wyrokiem?
Noga za nogą idź w twojéj drodze,
Gdy zakazano poskokiem.

„Gdybyśmy miały w pośrodku nieba,
Jako na ziemi, łzy wolne:
Was opłakiwać bardziéj-by trzeba,
I szczęścia wasze niezdolne!

„Róża, która mi kwitnie na głowie,
Nigdy swéj farby nie traci;
Nasze się niczém nie psuje zdrowie;
Nikt niém za zbytek nie płaci;

„Nasze przyjaźni nas nie zawodzą,
Nasze rozrywki nie nudzą;
Ani nam ostre języki szkodzą,
Ani nadzieje ułudzą.

„Dlaczegoż płakać, widząc mię żywą,
Na takie moje dostatki!
Któraż na świecie będzie szczęśliwą
Matka... jak widząc swe dziatki?

„Odtąd, jeżeli ten dzień uważać
Na mą pamiątkę zechcecie,
Wiedzcie, że łzami temi znieważać
Moję szczęśliwość będziecie;

„Raczéj w rozmowach słodkich przystoi
W tym dniu przytaczać dowody:
Jak jest niewinność piękna, jak swojéj
Cnota nie traci nagrody."

Światło, Teresa, i głos nikną razem,
Sąsiadki chwilę jeszcze wzrok trzymały,
Wzniesiony w górę, za miłym obrazem...
Nie, że co widzą; lecz, że widzieć chciały.

---

# PIEŚNI.

## KSIĘGA I.

### I. Zabawa na ustroniu. Myśl z angielskiego Arystypa.

Czyli pogodne słońce świecić będzie,
Czyli się niebo chmurami zakryje,
Równiem ja kontent, w szybkim lat mych pędzie,
Na łonie słodkiéj spokjności żyję.

Prawda, że człowiek podległy jest, żeby
Śmiał się, lub płakał; bał się losu swego,
Albo wyniośle żył, według potrzeby
Losu, w światowy rząd wpływającego.

Jak kameleon, co łatwo przyjmuje
Zbliżonych rzeczy kolorów odmiany;
Albo instrument swém brzmieniem to czuje,
Jakim gra tonem drugi z nim związany:

Tak człowiek, czém jest otoczony wkoło,
To się na jego miękkości piętnuje:
Z odmianą rzeczy, i on raz wesołą,
Drugi raz smutną postać okazuje.

Filozofia, którą insi może
Szczęśliwém nazwą głupstwem, mnie prowadzi
Za rękę, krwawe słodząc mi bezdroże,
Wśród samych ciosów wesołą myśl radzi.

Ja w małych rzeczach, co mię w smutek wiodą,
Przez moję sztukę słodyczy kosztuję;
Co inszych więzi, to dla mnie swoboda,
Ja i w złém nawet dobre wynajduję.

Naprzykład w lasku, w śród nocy głębokiéj,
Wtenczas, gdy słowik żałośną pieśń śpiewa
Swoich miłości, że same obłoki
Porusza jego skarga uciążliwa,

Na wszystkie jego jednakim odmiany:
Czyli się zdaje płakać przez głos cienki,
Czy łając grubiéj, ukontentowany...
Słucham wdzięcznego śpiewaka jutrzenki;

Tu echo z jego groty, mchem utkanéj,
Po skałach blizkich ciężki żal rozdaje...
On się tém bardziéj uciska stroskany,
Gdy powtarzają to, na co on łaje.

Z wierzchołka góry lecąca kaskada,
Tłucząc się o głaz, niesie szum daleki,
Z dębami, które po drodze napada,
Oblewając je, żegna się na wieki;

W dolinie, wraz się jéj wody złączają,
Po dnie krzemiennem płynąc lżejszym biegiem;
Tam mrucząc smutno, niby powiadają
Zabawny jakiś romans przed swym brzegiem...

Ja wtenczas, w słodkich myślach zatopiony,
Rozpamiętywam starych wieków dziéła,
I zapuszczam się tak w kraj oddalony,
Którędy noga ludzka nie chodziła;

Uważam potém: jak cierpiała wiele
Ta młodzież, któréj sławne przeciwności
Są opisane w pamięci kościele
Przez nieśmiertelnych kapłanów wieczności.



Ta mię myśl w dzikie miejsca zapędziła,
Bez biedzenia się życia troskliwością,
Która, jeśli mię kiedy napadała,
Jam ją ugłaskał samą odludnością.

Zawsze posłuszny memu wyrokowi,
Przeciwko niemu nie walczę, ale się
Natarczywemu poddając szturmowi,
Płynę za wodą: gdzie chce, niech mię niesie.

Ledwie, nad brzegiem bystrego potoku,
Młoda latorośl że się rozwinęła,
Przypadkiem burza, przy wielkim wód stoku,
Słabą jéj gwałtem gałązkę odjęła.

Ta, w potok wpadłszy, czasem wierzchem płynie,
Posłuszna wodzie, która ją unosi;
A czasem w Warcie pogrążona ginie,
I znowu niby na wierzch się wyprosi.

Tak mija miasta, góry, doły, knieje,
Gorące piaski, i ciemne dziczyzny;
Aż... utraciwszy powrotu nadzieję...
Niezmierne morskie połkną ją głębizny.

Mój to jest obraz: na wszystkie obroty
Ostrego losu wypogadzam czoło;
Bylem méj nigdy nie odstąpił cnoty,
Jak mogę, nie jak chcę, żyję wesoło.

Na swoich skrzydłach niesie mię czas prędki,
Jak ta gałązka, co po wodzie płynie;
W miejscu wszelakiém mój się humor giętki
Uchyla, że go srogi pocisk minie.

Żartuję z tego, co tylko, w szeleście
Świata przechodząc, słyszę o przeszłości,
Aż póty, póki i ja téż nareszcie
Nie pogrążę się w zakręcie wieczności.

Niech, opętani przez interes ludzie,
Biegną za szczęściem po téj ostréj drodze
Środkiem przypadków; po największym trudzie
Niech płaczą, że są oszukani srodze.

Jam dostał nici, przez którą wiedziony
Ułożonych mi dojdę pomyślności,
Nie będąc nigdy niczém omamiony
W tym czarowanym kraju szczęśliwości;

Przywiązywać się do jéj wyszukania
Nie chcę, ani się o nię przypochlébię;
A... bez wielkiego życia zabiegania
Pewnym jest, że ją gdziekolwiek nadybię.

## II. Do przyjaciela.

Ty jeden umiesz łzy z oczu ocierać,
Ty strapionemu sercu folgę czynić;
Od ciebie można zarówno odbierać,
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić;
Na twojém łonie zasnąć mi najmiléj,
I twoja rada najlepiéj posili.

Na równe części los mój z tobą dzielę,
Ty jeden wchodzisz w skrytość mego ducha;
Razem się z tobą smucę, czy weselę...
Ciebie uparta nawet skłonność słucha;
Twój rozum moję popędliwość trzyma,
Takimbyś miał być, ale cię nikt niéma!

## III. Trwoga człowieka blizkiego śmierci.

Już się dach zepsuł, i przez mdłe ściany
Lada się wicher przekradnie;
Słusznie, gospodarz, chodzę stroskany,
Widząc, że mi dom upadnie.



Jeszcze, na wstręcie wiatrów upartych,
Jak na nieszczęście stawiony,
Sto do upadku ma bram otwartych,
A żadnéj zniskąd zasłony.

Cóż to za szelest? kto mi ma szkodzić?
Trzęsienie z jakiéj przyczyny?
Któż będzie gwałtem w drzwi moje wchodzić?
Idą posłowie ruiny.

Ach widzę! jako już wszystko ginie,
Co miałem i... co nie miałem.
Jednę przynajmniéj ratujcie skrzynię,
W któréj nadzieję schowałem!

## IV. Przeciwko Deistom.

Niech się, jako chce, swym pozorem zdobi
Czarne Deistwo, wszędzie go poznają:
A Bóg, jak żyje, i żyjąc coś robi,
Tak końca Jego działania nie mają.

Na górach siano i zwierzętom zioła
On wyprowadza; On rzeczami rządzi;
Bez Niego nawet ruszyć się nie zdoła,
I wśród pewności sam człowiek pobłądzi;

Nie mógł zostawić naturze téj siły,
Żeby już wsparcia żadnego nie chciała:
Bo-by rzec można, że te czasy były,
W których o pomoc najwyższą nie dbała.

Król poddanemu tyle dać nie może
Aby już nie dbał o łaskawość Pana;
A tybyś tyle naturze dał, Boże,
Żeby nie znała tego, że poddana?

Bez woli Jego na ziemię nie padnie
Mizerny wróbel i na głowach włosy
On porachował; On jeden tak snadnie
Wyrabia w swoich formach polne kłosy.

Nie masz takiego państwa w całéj ziemi,
Któreby dobry rząd utrzymać chciało;
Przecież gardziło sobą rządzącemi,
I na... jednym losie polegało;

A Bóg-by wszystko powierzył losowi,
Losowi, który tak łatwo pobłądzi!
Poszłoby zatém, żeby był (któż powié?)
Taki rząd w świecie, jaki los, co rządzi.

Nie płynie morzem okręt bez żeglarza,
I bez rolnika rola nie zrodziła;
Dom pustoszeje, gdy bez gospodarza,
A świat by losu fałszywość rządziła?

Tajemną ścieżką w pośrodku nas chodzi,
I rozporządza wszystkie ludziom lata,
Tych głębiéj martwi, owym przykrość słodzi,
Karze i głaszcze Bóg, gospodarz świata.

Co się w ciemnościach niedoszłéj jaskini
Czołga i błąka; co wśród ziemi porze;
I co w powietrznéj zamknęło się skrzyni;
I co w bezdenném łonie żywi morze:

Wszystko to ręka niewidoma wodzi,
Na wszystko patrzy niezmrużone oko...
A gdy w przepaściach Oceanu brodzi;
Wraz na powietrzu znajdziesz Go wysoko.

A jeśli tak jest w porządku natury,
Że sami sobą władnąć nie możemy;
W nadprzyrodzonym porządku, a który
Pojmie to rozum, że sami chodziemy?

Kto może własną siła dojść do słońca?
Kto z planetami na ich kręgu siędzie?
Kto firmamentu, od końca do końca,
Nieprzemierzoną rozległość przebędzie?

Nie może słaba potrafić w to siła.
Nawet mówimy, że jest niepodobna,
Ażeby kiedy sama się wzmocniła,
Tak w porównaniu ciał niebieskich drobna.



A jakże człowiek przyrodzoną siłą
Nad swoję nizkość tak się podnieść zdoła?
Żeby tam stanął, gdzie, zgodą tak miłą,
Wieczny rzemieślnik nakręca te koła?

Jak przestronności firmamentu panem
I niebios będzie? jak sobie poradzi,
Jeśli, nad jego zlitowana stanem,
Najwyższa siła tam go nie wysadzi?

Idź drogą twoją, jak idą mężowie,
Za blaskiem jakim, co ci się płomieni;
Bez tego światła, co się łaską zowie,
Nie wybłąkasz się z pośród swoich cieni:

Bo nie tak ważna zasługa, choć jaka
By nieskończonych nagród wartą była;
Sama to tylko łaska będzie taka,
Co z nią złączona, tak ją podrożyła.

Wszystkie twe kroki, gdzie idzie o cnotę,
Wszystkie dla nieba czynione skłonienia,
Z Boga są: On jest, co czyni ochotę,
I co dopełnia roboty stworzenia;

Przez nieskończone sposoby cię wzywa,
Codziennie u drzwi serca twego czuje;
Miesza się wszędzie opatrzność troskliwa...
A jakże powiesz, że Twój Bóg próżnuje?

### V. Na piorun, blizko uderzający,

Z jakim się gwałtem ta chmura tłoczy!
Ogień ukryty nią waży;
Piorun, co tylko że nie wyskoczy,
Z częstym się grzmotem kojarzy.

Oto już wypadł, ach! gdzież zawita?
Widzę — do mego sąsiada.
Wśród swoich modeł biedna kobieta
Jego postrzałem upada.

Przed tym pociskiem, chcąc się kto schronić,
Próżno drzwi, okna, zamyka;
Pewnie rozumie, że ciężko zgonić
Wielkiemu Bogu grzesznika?

Boże! który znasz mych złości miarę,
Nagrzeszyłem się nie mało:
Może mię chowasz na większą karę...
Niechbym był zginął tą strzałą!

## VI. Czas.

Raz zamyślony: jakie są obroty
Czasu, i jak go dotąd przepędzałem? —
Stanąłem nagle przed jakiemiś wroty,
Które nieśmiałą ręką otwierałem;

Na pola potém, niezmierzone okiem,
Wyszedłem i w nich ścieżki uzierałem;
Lecz między ziemią a czystym obłokiem,
Nic, prócz samego błędu nie widziałem.

Tak chodząc długo bez śladu i drogi,
Na widowisko straszne razem przyjdę:
Mąż, duży wzrostem, a spojrzeniem srogi
Goni człowieka, rzucając nań dzidę;

Już w pół osłabiał młodzian nieszczęśliwy,
Przecież ucieka, co mu siły staje;
I choć się z swojéj odstrzela cięciwy,
Tylko odbiera rany, nie oddaje.

Sporą już kupę, równéj z nim młodzieży,
Sprzątnąwszy pierwéj, i na tego godzi;
Niesyty łupem, co mu u nóg leży,
Tym okrutniejszy, im ciężéj zaszkodzi.

Gdy z tego miejsca przestraszony zbiegam,
Chcąc się uchronić od niebezpieczeństwa;
Aliści inszy plac śmierci postrzegam,
Gdzie nowe ślady widzę okrucieństwa:

Całe usłane trupem pole było,
Tak, że się jednym grobem być zdawało;
I gdzie najwięcéj ciał zbutwiałych gniło,
Tam kilkadziesiąt olbrzymów leżało.



Przystąpię do nich; ci, jakoby z matki
Jednéj zrodzeni, podobieństwa takie;
Przy wszystkich bronie, ich dzielności świadki,
Twarz, stan i wzrosty u wszystkich jednakie;

To tylko jednę różnicę czyniło,
Że nie wraz wszyscy mieli być pobici;
Bo jednym twarze dobrze poznać było,
Drudzy dawności popiołem zakryci...

Smutną w tém miejscu twarz ziemia nosiła:
Trawy z korzenia swego wyniszczone;
Powietrze całe mgła gruba zakryła;
I słońce nigdy nie patrzy w tę stronę.

Zewsząd okropność napełnia oczy,
A zimna bojaźń już w sercu stanęła
Nie dbam, choć noga same trupy tłoczy,
Byle z postrachu najprędzéj umknęła.

Góra się jakaś zwolna zaczynała,
Długa spadzistość wstęp na nią czyniła;
Pod tę mię moja trwoga zapędzała,
I na niéj szukać schronienia radziła.

Mgły jéj przeszedłszy i wielkie przeszkody,
Stanę, gdzie sama pogoda mieszkała:
Tu się z dniem wiecznym mile bawią chłody,
I wonne kwiaty rozkosz rozsypała.

Góra się przecie jeszcze wyżéj wspięła;
Ale już wierzchu dojźrzéć można było.
Gdym podniósł oczy, trwoga mię objęła,
I coś mię skrycie wewnątrz pokorzyło.

W tém ujźrzę starca na samym wierzchołku:
Siwą mu brodę wiatr wolny rozwiewał;
Ogromny kamień trzymał na podołku,
I złotem tkaną szatą połyskiwał.

W czole wesołość, a oczu ruszenia
Z błyskawicą się szybką porównały;
Twarz swoję wdzięki z młodym wiekiem mienia,
Chociaż włos głowę przyozdobił biały.

Blizko nóg jego, z środka żywéj skały,
Rzeka się wielka nagle dobywała:
Powietrze całe szumy napełniały,
Gdy się z wyniosłych gór na dół spuszczała.

Nie śmieją natrzéć bojaźliwe nogi,
Przez wzgląd tajemny ku starcowi temu;
Ani się zdało deptać święte progi
Zuchwałym wstępem człeku śmiertelnemu.

Ale się na bok pomału uchylę,
I idąc myślę; coby to znaczyło?
Zapomnianemu przez jakowąś chwilę,
Znowu się nowe widzenie zdarzyło.

Rzeka ta, która z gór w szumie spadała,
Cudnéj piękności pannę z sobą niosła;
Płaczącym głosem na coś narzekała.
W łodzi płynęła, lecz w łodzi bez wiosła.

Rzuca nią zakręt: bronić się czém niéma.
Próżno stroskana ręce załamuje;
Próżno na brzegi pogląda oczyma,
I łaje wodzie, z którą się pasuje.

Tknęła mię litość nad niedolą cudzą.
Niebezpieczeństwa swego zapominam;
Darmo mi przejście bystre wały trudzą:
Wskoczywszy w wodę, do łodzi się wspinam.

Że blizko brzegu natenczas płynęła,
Sądziłem, że ją poratować mogę:
Dopadłem łodzi, lecz mię woda wzięła,
I w tęż kazała razem płynąć drogę.

Spłakana pani rękę mi podała,
Ratowaniem mię zmordowana znacznie;
A gdy mię do swéj łodzi przesadzała,
Głęboko westchnie i tak mówić zacznie:

„Nie bój się: zginąć nie możesz w tej toni;
Mnie tylko jednę ta nawalność goni;
Ażebym, ledwie co życie zaczęła,
Zaraz tonęła.

„Ród mój szlachetny, z którego pochodzę,
Od pierwszéj świata kolebki wywodzę.
Los mój nieszczęsny i ta pora była,
Gdym się rodziła.

„Ten, coś go widział siedzącego w górze,
On żadnéj jeszcze nie przepuścił córze;
Wszystkie w tęż drogę, co i mnie wyprawia:
Życia nas zbawia.

„Ojciec mój Czas jest, król ten wielki, który
Po świecie całym pogląda z téj góry.
Jego stolicą sławna ta kraina;
A jam Godzina.

„On na mnie patrzy, jak tą rzeką płynę:
W momencie siostrę rodzi, gdy ja ginę.
Jedna po drugiéj na śmierć następuje;
A on wiekuje.

„Tę, pod tą górą coś widział gonitwę,
Widziałeś mdłego roku z wiekiem bitwę.
Próżno się bronił młodzian nieszczęśliwy:
Zginie, jak żywy.

„A trupy, które pole tam usłały,
Wszystko to lata, co poprzemijały.
Olbrzymi wszyscy; równi jak pod miarę,
Są wieki stare.

„Ten kamień, który, wielki ojciec trzyma;
Na tego, co się bił, czeka olbrzyma.
Gdy pora jego do miary dopłynie,
Spuści i zginie.

„Pocisk on nigdy ma nie uchybiony;
Sięga przez długie olbrzyma zagony;
Podobną śmiercią wszyscy pogubieni
Jego rodzeni.

„Takie są ojca naszego zabawy:
Rodzić i czynić zabój dzieci krwawy.
Ale, prócz tego, bawi się innemi
Dziełami swemi.

„On, po niezmiernych swojego mieszkania
Gmachach przechodząc, codzień się nakłania
W starość ostatnią i codzień młodnieje,
Trwa i niszczeje.

„On w rzeczach przeszłych jest nieodwołany;
W przytomnych bieg swój czyni niezrównany;
A przyszłych łańcuch powiązał daleki,
W potomne wieki.

„Wiecznie wystarcza, choć się wiecznie trawi;
Mija w momencie i najdłużéj bawi.
Po ścieżkach swoich niezgoniony chodzi;
Pomaga, szkodzi.

„On na Fortunę wędzidło zakłada,
Aby, gdy ludziom hardo odpowiada,
Albo się cała ich żądzy wylała,
Czasem przestała.

„On królów szazęściem i królestwy władnie:
Przyjdzie, a każde wstanie, lub upadnie.
W nim ludzie tyle miast powystawiali,
I on je wali.

„On się nad ziemią władzą swoją wznosi;
Obiedwie nieba szanują go osi.
On rzeczy wszystkich, nie bawiąc się długo,
Panem i sługą.

„Ale jak ludzie czasu zażywają!
Kiedy jest, oni wtenczas go nie mają;
Minął: nie wspomną; a zawsze się chwieją
Marną nadzieją.

„Na każdy moment miéć trzeba baczenie;
Każdy z nich swoje miewa przeznaczenie;
Jeden stracony rwie łańcuch całego
Szczęścia przyszłego.

„Z rzeczy téj, która już przeminęła się,
Układaj przyszłą; rób opatrznie w czasie.
I wiedz, że z czasem każdego człowieka
Czas liczby czeka."



Wtém mię pchnie z łodzi, gdzie najbystrzéj było;
Ale na brzegu złożyły mię wody.
Czym to ja widział;, czy mi się to śniło?
Bo znalazłem się wśród mojéj zagrody.

Siwy król z góry z myśli mi nie zginie,
I los nieszczęsny córek jego smutnych.
Nie będę tego powiadał Justynie:
Nie lubi starych, a jeszcze okrutnych.

## VII. Lament Gołębicy.

Dawno na niego nieprzyjaciel godził!
Na dzikie pola często go uwodził;
Często go zagnał pod wysokie chmury:
Zginął mój goląb, goląb żółtopióry!

Jam zaklinała: chroń się téj dębiny,
Gdzie pełno srogiéj jastrzębiéj rodziny!
A on podobno dlatego był śmiały,
Że go się nasze samce obawiały.

Gdybym to kiedy była przewidziała...
Pewnie za niego umrzéć-bym wolała,
Niźli dziś płakać w opuszczonym stanie:
Ale przychodzi zły los niespodzianie.

Teraz pozbieram pióra rozrzucone,
I na tém miejscu, gdzie jeszcze zbroczone
Piaski i ziele w krwi się jego myje,
Z nich sobie gniazdo i grób mój uwiję.

Tam smutno jęcząc, może ptasznik jaki
Weźmie mi życie, temi idąc szlaki;
Albo téż jastrząb, mym głosem ściągniony,
Dokona razem i męża i żony.

A jeśliby tak nie przyszło mi skończyć,
Będę umiała żal z głodem połączyć,
Póki śmierć, jedno moje pocieszenie,
Smutku i duszy ze mnie nie wyżenie.

## VIII. Sady *) i Fatym.

Sady z Fatymem przed słońca upałem,
Do blizkiego się lasu schronili.
Tu, mówi Sady, kilka razy spałem,
Tu mi rozmyślać bywało najmiléj.

Patrz, jak to czysty środkiem potok płynie!
Bezpieczna ryba igra wierzchem wody;
Najmniejszy kwiatek nad brzegiem nie zginie;
Widać w niéj drzewa, pasterzów i trzody.

Ach! cóż to będzie? o mój ty Fatymie!
Karuna widzę w zaciszy śpiącego.
Zadrży wraz ze mną na to straszne imię;
Nieprzyjaciel to narodu ludzkiego!

On w całém mieście przychylnego niéma;
Nikomu chleba swojego nie łamał;
Co krzywd poczynił przed memi oczyma!
Jak wiele razy zdradził, zabił, skłamał!

Boże! na tylu złości popełnienie,
Jak spokojnego jeszcze mu snu staje?
Mnie-by się zdało, że słodkie uśnienie
Samym Bóg tylko sprawiedliwym daje.

Och! nie dla niego ten się las zieleni:
Nie godnym go jest, tylu ludzi stratą;
Ni téj murawy, ni téj cichéj cieni,
Ani snu tego. A Fatym mu na to:

„Często pozwala Bóg snu złośliwym,
Aby czas folgi dał sprawiedliwym.“

*) Filozof perski.



## IX. Na dzień urodzin Maryanny z Kalinowskich Ponińskiéj, Wojewodzicowéj Poznańskiéj.

Pod białém ciałem dziewczyny
Cnota się dziś urodziła!
Otwarta, skromna, bez winy,
Jaka pierwszych wieków była.

Nieśmiertelność także miała
Razem się w tym dniu narodzić;
Ale, jak w raju została,
Tak jéj nie każą wychodzić.

Pani, bogdajbyś nieśmiertelną była!
Ziemiaby się pocieszyła
Że, gdy za złemi ściga ukaranie,
Cnota się zawsze zostanie.

Składając te moje wiersze,
Na myśl mi téż przychodziło:
U ojca to dziecię pierwsze
Jak w domu witane było?

Przybył przyjaciel z daleka;
Matka się przed nim chwaliła:
Dał nam Bóg na świat człowieka,
Maryąm córkę powiła!

Gościu mój miły, siądź bliżéj koło mnie,
Niech wszyscy przyjdą do mnie.
Żeby tu radość i muzyka była;
Maryąm córkę powiła.

Takie w tym domu wesele
Podczas narodzenia twego;
Jak go nam przybyło wiele
W tym dniu obchodu rocznego.

Nadzieja już wzięła skutek,
Jużeś przykładnie cnotliwa.
W tobie pociechę ma smutek,
Z ciebie się nędza odziewa.

Przyjacielowiś i radą i chwałą,
Słowem, jesteś cnotą całą.
Czegoż ci życzyć, gdyś już wszystko wzięła?
Idź drogą, którąś zaczęła.

## X. Na imieniny tejże.

Gdyby się jako dobrać do téj skrzyni,
Gdzie dla człowieka wyroki schowane:
Niech mię, jak kto chce z moich kroków wini,
Brałbym najpierwéj zdrowiem cechowane.

Nabrałbym inszych, co długiemi laty
I pomyślnością stateczną znaczone;
Dopiero w takie wiązania bogaty,
Dałbym ci z niemi lata niesprzykrzone.

Ale na cóż mi czernić duszę swoją
Tém świętokradztwem? kiedyś ty swe cnoty
Wysłała pierwéj? pewnie już tam stoją,
I odbierają dla ciebie wiek złoty.

One przez ciemne tych wyroków gmachy
Śmiało idąc, noc tamtę oświecają;
I niedostępne dla inszych postrachy
Przy ich się nogach łagodnie skłaniają.

Przed niemi sama okropność zadrżała,
Im się żelazne wrota otworzyły;
Im dane klucze, im dana moc cała,
Żeby cię w życiu szczęśliwą zrobiły.

Pani! gdy jeszcze pójdą ci posłowie
Od ciebie, wspomnij na moje stękanie:
Niechaj tam jako wyrobią mi zdrowie,
Bo mnie na takie poselstwo nie stanie.



## XI. Na obraz tryumfu śmierci.

Nieprzebłagana! co, jak kwiaty z trawą,
Wycinasz króle razem z poddanemi;
Drży przelęknicna pod twą ręką krwawą
Natura, próżno prosząc cię za swemi.

Królestwo twoje jest w głębokim grobie,
Który kraj wieczném dziedzictwem posiadasz;
Jednym choroba daje znać o tobie,
Na drugich sama z nienacka napadasz.

Tu Semiramis, Sezostr, Hektor, Greki,
Salomon, Cyrus, Aleksander ginie:
Pirrus, Annibal, Scypion powieki
Zamknął, i Cezar dokonywa w gminie.

Nienasycona tak wielkiemi plony,
Na słabe nawet porywasz się dzieci:
I biała piękność i jéj włos trefiony
Pod nieuchronnym twym pociskiem leci.

Ale tak cię to tylko bojaźliwe
Malują dusze, co nie są tak śmiałe
Przystąpić, żeby te larwy fałszywe
Zdjęły, któremi straszysz wieki całe.

Tyś jest najlepszą mistrzynią méj wiary;
Ty kończysz życia ziemskiego przykrości;
Ty mi się stajesz pierwszym darem z kary,
Otwierając mi wielkie drzwi Wieczności.

## XII. Smutek.

Gdzie promień słońca nigdy nie dochodzi,
Gdzie był najgłębszy w środku skały przedział:
Smutek, co twarzy swéj nie wypogodzi,
Między tęsknotą i rozpaczą siedział.

Czasem rękoma oczy mu zakrywa
Rozpacz, a czasem nadzieja odpycha
Nadzieję, która wstępu tam nie miewa,
Gdzie z głębi serca blady smutek wzdycha.

W sporych naczyniach, napełnionych łzami,
Tęsknota gorzkie piołuny mięszała;
Takim napojem, dużemi miarami,
Omdlewający Smutek napawała.

On, choć się wzbrania, choć usta kryje,
Próżno na ciężką gorycz utyskiwał:
Częstym powrotem brudny napój pije,
Który wnet z oczu czystą łzą wypływał.

Na wierzchu skały kruki przeraźliwe
Powietrze wrzaskiem zmięszały dokoła:
Zlewają deszcze, grzmi niebo gniewliwe;
Puhacz żałobny bez przestanku woła.

Blizko Przypadek niespokojny siedzi:
Tento przewodnik smutku zawołany,
W ostatnim kącie człowieka wyśledzi;
Zwyczajnie przyjdzie, kiedy niespodziany.

W najpopędliwszym bez rozmysłu locie
Obiedwie sobie powybijał oczy;
Choć sam się w swojéj natłucze ślepocie,
Przecież on wszędzie omackiem doskoczy;

On nie zna ludzi, a lubi ich męczyć,
Gdzie miłe dziecię, albo syn złośliwy,
Równie pod jego pociskiem zajęczéć
Temu, co dobry i temu, co krzywy.

Powstał przypadek; razem smutek wstanie,
Zaszumi wicher, ziemię wzruszy drżenie:
Żywa się skała z ciężkim hukiem kraje,
I przelęknione jęknęło stworzenie,

Na którą tylko obrócił się stronę
Smutek, gdzie westchnął, gdzie spoczął zemdlony,
Gorącym jego oddechem sparzone
Pomdlały trawy, usechł liść zielony;



Pierzcha zwierz dziki, a gad jadowity,
Gdzie miał przechodzić, kupami się snuje;
Gryząc się wzajem, prześladek ubity
Swą zaraźliwą posoką farbuje.

Książęta ziemi! schylcie się w pokorze,
Nie obronią was twierdze niedobyte;
Ani ogromna straż przy waszym dworze,
Ani imiona w kraju znakomite.

Widziałem, kiedy matka was rodziła,
I jak was czasem przypadek unudzi.
Mara jakowaś tak wszystko skłóciła,
Że i wy także podobni do ludzi.

### XIII. Do Faustyny, na niestateczność.

Faustyno! nie mów już więcéj o sobie,
Żeś jest stateczna; twoje przyrzeczenia,
Które się w samym miały kończyć grobie,
Jedno powianie fortuny odmienia.

Ani twój rozum, ni wielkie przymioty
Nie odmieniły nałogu twojego.
Chociażby inszy zbierał ci kłos złoty,
Ty przecie zawsze wolisz co nowego.

Pamiętasz, kiedym całując twą rękę,
Odbierał wzajem czułe uściśnienia:
Dziś bez zmięszania patrzysz na mą mękę,
I śmiechem zbywasz moje umartwienia.

Kiedy w las pójdę, bym tam zamyślony,
Tucząc myśl gorzką, mym ogniem się trawił;
Gdy się do ciebie powracam stęskniony,
Ty mię tém witasz, żem się krótko bawił.

Moje dziś wiersze słabe ci się zdają,
Moje przysługi przewrotnie nicujesz;
Dyskursa moje choć wszyscy uznają
Za sprawiedliwe, ty je prześladujesz.

Cóż się to stało? Jam się nie odmienił!
Jeszcze się wzmaga we mnie ta chęć wieczna,
Żebym się więcéj w oczach twoich cenił.
Wiesz co, Faustyno? Tyś jest niestateczna!

## XIV. O uspokojeniu z cnoty.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jéj wdzięków ujmuje.
Ona się mile uśmiécha,
Ócz nie zawraca, nie wzdycha;
Wszystkie przygody jednako pojmuje:
Szczęście, nieszczęście, równie ją kosztuje.

Próżno zaostrza swe strzały
Przypadek na nię zuchwały:
Jak skała falą tłuczona,
Burzę swym statkiem przekona;
Albo jak ogień, im bardziéj się wzmaga,
Tém do piękności złotu dopomaga.

Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę;
Wypił i daje bez trwogi
Swym przyjaciołom przestrogi.
Anitus *) bardziéj mięsza się i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego ten biega stroskany,
Rwie włosy łzami zalany?
Za tém mu się płakać zdało,
Co być koniecznie musiało.
Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
Na jeden fenig szkody nie powróci.

*) Anitus, fałszywy oskarżyciel Sokratesa.



Łańcuch od wieków związany
Każdéj na świecie odmiany;
Ten go przerobić sam zdoła,
Który powiązał te koła.
Na cóż się smucić? Co jest albo było,
Wszystko przedwieczny wyrok uiściło.

My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy;
Za cóż ten kwasić czas mały!
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolników złota strach obleci:
Czego się trwożyć mają boskie dzieci?

Po drodze tkanéj cierniami,
Kwiaty rzucając przed nami,
Idźmy, nie dbając na bole,
Choć nas co czasem ukole.
Tam, powiadają, gdzie bez kolców róże,
Każda się rana prędko zgoić może.

## XV. O wielkości Boga.

Tam, gdzie się chyląc, natura upadła,
Twarz niewidzianą odsłoniła wiara;
Wieczność dziedziczne przepaści posiadła;
Niestworzoność się rozciągała stara.

Przebywszy pierwéj planet, gwiazd tysiące,
Których człowieka oko nie wyśledzi,
Noc, i zastępy jakieś pałające,
W środku samego siebie Bóstwo siedzi.

Niepoliczone przed Niém stoją gminy,
Stworzenia, których język nie wysłowi,
Jak nad różnemi przełożone czyny,
Służą swojemu i wieków królowi.

Światłość, którą Mu oblicze się żarzy,
Tamtych przestrzeni oświeca zagony;
A obijając się o stojących twarzy,
Nowe rozrzuca światła miliony.

Czy wstrząsł naturą na jakoweś końce,
Czy roczne pory po światach prowadzi,
Czy ma stłuc księżyc, albo zgasić słońce:
On tylko siebie samego się radzi.

Za tron, na którym nie miał poprzednika,
Kiedy swe boskie obróci powieki,
Nieogarnione przepaści przenika
Za ostatniemi stworzenia zasieki.

Tam na zarodach światów, co być mają,
Wieczność zasiada z czasem na przemianę:
Jedne z nich prędzéj wyklucia czekają,
Insze za tysiąc wieków spodziewane.

Tam światło w bryle nieograniczonéj,
Z grubą ciemnością wiecznie się mocuje:
Nie śmie postąpić promień przytępiony,
Gdzie zaciemniona okropność panuje.

Tam leżą masy, z których przed wiekami,
Niźli niesforność wciągniona do sprawy,
Wieczny rzemieślnik swojemi rękami
Wyrabiał gwiazdy, i księżyc bladawy—

Którym za czasem przez niebios przestrzenie
Nieuchybione powyznaczał ruchy;
Insze przywiązał, jak drogie kamienie,
Pod tronem swoim złotemi łańcuchy.

Wielkiżto pan jest! i szeroko włada;
Mocniejszy nad moc, baczniejszy nad zdrady;
Bezpieczny w swojém, bo nie ma sąsiada,
Żeby mu Jego napadał osady.

Rozkosz i chwała, ten Jego skarb dawny,
Jak został panem, nietykany stoi,
Bo choć kto będzie wśród stworzenia sławny,
W nim ma cześć, słodycz, ale nie ma swojéj.



Tuż przy podnóżku tronu zastąpiły
Rot nieśmiertelnych tysiąców tysiące:
W barkach ich widać niezłamane siły,
Wierną miłością twarze pałające.

Kochanków pańskich nacisk nieprzejrzany
Zastąpił daléj świetnemi orszaki:
Wszyscy nim pasą wzrok niezmordowany,
Zawsze go większym widząc, choć jednaki.

Potężny Boże na ziemi i niebie!
Gdy spojrzę na dzieł Twoich widowisko,
A potém oczy obrócę na siebie:
Jak mię ta wielkość upokarza nizko!

Przecież, chociażem istotą tak małą,
Pójdę do Ciebie... Twa dobroć mi znana!
I wlać mi chciałeś jakąś duszę śmiałą,
Co się chce przedrzéć do samego Pana.

Ale odarty... jak przed Tobą stanę?
Cechę wierności z piersi moich starłem;
I niewinności odzienie mi dane,
Ocierając się między ludźmi, zdarłem.

Jakże się w środku pokażę tak wiela
Paniąt, nakładem co drogiéj wyprawy,
Ubrani w szaty Łaski i Wesela,
W przybytkach Twoich zasiadają ławy?

Zgubiwszy pismo przechodu wolnego,
Jak się tamtędy przebierać odważę?
Gdzie hufiec półku milionowego
W przysionku Pańskim odprawuje straże?

Przecież ja pójdę, cokolwiek mię czeka,
Pójdę do Ciebie!... bo mi powiadano,
Że byleś Ty się obejrzał na człeka,
Zaraz go w stanie szczęśliwszym widziano.

Tak, jak dziś jestem niedołężnym płazem,
Zbitém naczyniem, o które nie stoją,
Pokorę tylko wziąwszy z sobą razem,
Poniosęć głupstwa, i nikczemność moją.

Mnie się rozstąpią wybranych Twych rzesze,
Mnie nic nie będzie po drodze ustraszać;
Jeszcze ich mojém przybyciem pocieszę,
Bo powiem, że ja idę Cię przepraszać.

Gdy będą Twoi Aniołowie stali,
Pójdę; i jak im przypomnę zdaleka
Ich towarzyszów, co poupadali,
Nad ułomnością zlitują się człeka.

Potém przed tronem Twym padnę i powiem:
„Z dalekich krajów przyszedłem w te strony,
„Za moim skarbem, weselem i zdrowiem,
„Ubogi, smutny, na siłach zwątlony.

„Jużbym ja nie chciał miéć pana inszego,
„Ani Twéj woli w czém kiedy być sprzeczny;
„Ale gdy moję znasz skłonność do złego,
„Trzymaj mię Ty sam, bo ja niestateczny".

## XVI. Do Wolności.

Zieloną różdżkę w ręce trzymała,
Z drugiéj ptak wolny wzlatuje;
Oczy do góry wzniesione miała;
Mdły się pod nogą gad snuje.

Włos rozpuszczony okrywał ciało,
W strój ją niewinność przybrała;
Coś niby mówi, i tak się zdało,
Jakoby śmiało bieżała.

Wolności! córko wysokiego nieba:
Jakże na ziemi było cię potrzeba!
Ten ci to posąg wystawił świat młody,
Wtenczas, gdy jeszcze nie znano niezgody;

Kiedy żelazo wygodzie służyło,
Ani krwią ludzką pomazane było.
Nikt sobie ziemi nie ogradzał płotem,
Nikt się potęgi nie dokupił złotem.



Ani znał żaden człowiek tych słów dwoje:
Moje, i Twoje. [1]).

Pycha w wnętrznościach ziemi zagrzebana,
Nie rozdawała nazwisk: sługi, pana;
Sama w pośrodku swych kruszców bogata,
Nie ozionęła niewinnego świata.

Sława, która dziś krwią się ludzką pasie,
W samém rolnictwie żyła w tamtym czasie,
I za nagrodę wynalazcom dano,
Że ich pieśniami wszędzie wychwalano.

Rozkosz ich cała: wśród łąki zielonéj
Zbiegać się na głos słowika pieszczony,
Świeżo odkryty strumień czystéj wody,
I pierwszy owoc, który dał szczep młody.

Miłość ich, samą skłonnością rządzona,
Inszym nie była względem uprzedzona:
Prócz, że Teona miła i niepłocha,
Kocham ją jeszcze, bo ona mię kocha.

---

[1]) Opisywali różni uszczęśliwienie wieku złotego, czyli ludzi początkowych na świecie. Wolter znajduje ich najnieszczęśliwszemi, że tyle wynalazków zrobiło życie nasze teraźniejsze nierównie wygodniejszém; kiedy tamci, grubym pokarmem karmieni, na niestatek powietrza wystawieni, podłemi skórami okryci, życie prawie zwierzęce wiedli. Zapomniał Wolter, że, mając to, co do utrzymania tylko życia koniecznie potrzebne, a nie znając, ani umiejąc sobie wystawić wyobrażenia stanu lepszego, człowiek zapewne spokojnym będzie, bo do tego tęsknić nie możemy, czego nie znamy. Dawny Spartańczyk swoim smakiem przyprawioną wątrobę za najlepszą w świecie potrawę sądził; ani go to zatrudniało, jak tam w Persepolis przemyślny Azyi tyran bankietuje. Ludzi pierwszych wieków niepodległość nikomu przestawała spokojnie na małém bez zbytecznego starania i zabiegów. Zdrowie czerstwe, skutek pokarmów niewymyślnych i jednakich—oto są istotne dobra ich. Wolter wieków naszych żył w wygodach, ale miał swego Frerona, na którego się skarżył ustawicznie. Miał tyle przesądów wieku, którym ulegać, tyle prześladowania, które ponosić musiał. Oto jest piołun, który wygodniejsze teraz życie goryczą zaprawia. Wszystko od mniemania ludzkiego zawisło; ubóstwo i niewygody za lat dawniejszych nie były nieszczęśliwością.

Sędziwość prawo zwierzchności tam miała,
I same tylko dzieci rozsądzała.
Bo starsi kłótni głośniejszych nie znają;
Sami się zgodzą, kiedy się kochają.

Mówili sobie wolno, co myśleli:
Języka złości jeszcze nie wiedzieli.
Zganienie szczere było tylko zyskiem,
Co dziś zmieszano wraz z urągowiskiem.

W czas dnia świętego, po bożéj ofierze,
Rzeźwa się młodzież pod twój posąg zbierze;
Tam swoję miłość pasterz śmiało śpiéwa,
Tak, jak go natchnie skłonność jego żywa.

Żadnych prawideł mówienia nie znają,
Któremi dzisiaj tak nas przyciskają;
Natura swojéj zostawiona sile,
Mówiła krócéj, a mówiła mile.

Wolności! matko prawdziwéj wymowy, [1])
Ty sama chyba wiesz, jakiemi słowy
Wyrazić można, że cię już nie mamy!
Niemasz wolności, wymowy nie znamy.

Naprzód, po złotym zaufania wieku,
Zaczynał zwolna nie wierzyć człek człeku;
Potém się zazdrość wkradła z rzeczy małéj,
Że owce Lidy piękniejsze się zdały.

Wraz się zaczęła szerzyć miłość własna, [2])
I wielka ziemia zrobiła się ciasna;
Każdy się silił, czyli moc, czy zdrada,
Miéć to, co lepsze widział u sąsiada.

---

[1]) Wolne narody były zawsze najwymowniejsze; świadkiem Grecy i Rzymianie dawni, po których tak piękne dotychczas pamiątki mamy.

[2]) Początkiem złego na ziemi: zazdrość i miłość własna.

Tak chciwość przyszła, a z nią tyle złego, [1])
Z których najpierwsze prawo mocniejszego.
Próżno natura za słabszym mówiła:
Nieużyta ją przemoc zagłuszyła.

Dopiero bojaźń, jak zwyczajnie bywa,
Lud zalękniony zewsząd pozwoływa, [2])
Chcąc bronić świętych ołtarzów wolności
Przeciw gwałtownéj kupie przemożności.

Stąd towarzystwa swój początek miały, [3])
Które się pierwéj wolne opierały
Bez krwi wylania i bez losu wojny;
Aż wreszcie przyszedł Belus niespokojny. [4])

Ten pychy pełen (jeśli był człek który
Równy mu), tłumiąc w sobie głos natury,
I wszystkie względy braterskiéj miłości,
Rzucił się na cię, niewinna Wolności!

Tysiącem trupów drogę sobie ścieli:
Płynie krew, któréj dotąd nie widzieli;
On nią zbroczony, tych nakoniec wali,
Co się świętego ołtarza trzymali.

Potrzykroć rękę podnosił zuchwałą,
Potrzykroć coś go skrycie zatrzymało;
Wreszcie wstydząc się, że się coś użalił,
Posąg twój święty na ziemię obalił.

---

[1]) Chciwość jest płodem miłości własnéj; z chciwości zaś urosło prawo mocniejszego, które, jako dotychczas zwierzętami rządzi, tak najpierwsze i między ludźmi na ziemi było.

[2]) Bojaźń jest własnością powszechną stworzeń żyjących na ziemi, którą im Opatrzność w większéj, albo mniejszéj cząstce, wszystkim podobno do zachowania każdego rodzaju, wlać chciała. Bo ponieważ odwaga jest zaufanie siłom własnym, w tém zaufaniu rzucając się zwierzę jedno na drugie, wyniszczyłyby się do ostatka; kiedy teraz przez bojaźń, uchylając się, ocalone zostają.

[3]) W bojaźni ratując się, ludzie zebrani w gromady byli początkiem towarzystwa.

[4]) Belus w historyi świeckiéj, Nemrodem w Piśmie Świętém nazwany.

Rzeki się w swoim biegu zatrzymały,
I do swych nazad źródeł powracały;
Słońce nie śmiało pokazać się rano,
Widzieć tak ciężko ziemię ukaraną.

Żeby pogardy więcéj przyczyniono,
W tém miejscu bałwan Bela postawiono,
Przed którym potém klękając obrazem,
Wolność i wiara legły jednym razem. [1])

Takeś upadła, Wolności bez winy!
I od téj zaraz nieszczęsnéj godziny
Wszędzie cię ścigał, jak nieprzyjaciela,
Wieczny następca zuchwałego Bela. [2])

Gdzie dzikie lasy, niedostępna skała,
Tam się goniona Wolność ukrywała;
I co ją bardziéj jeszcze pokorzyło,
Ród swój szlachetny taić trzeba było.

Aż potém przyszły, po długim lat biegu
Czasy, gdzie mały lud przy morskim brzegu,
W swym szczupłym kącie tyranów wygładził,
I Wolność na swéj stolicy posadził. [3])

Ale daleka od piękności dawnéj:
Wiele jéj ujął ów Likurgus sławny, [4])
Kiedy z nią razem ważąc i bój krwawy,
Przy jéj posągu kładzie posąg sławy.

Ani strój taki, jaki przedtém miała,
Ale wojenną zbroję przyodziała.
Sąsiad pod nogą przyciśnioną stęka;
I cudzą ziemię pokazuje ręka.

---

[1]) Początkiem bałwochwalstwa był posąg Belusa, wystawiony przez Nina, dla czczenia pamiątki tego dzikiego bohatera, którego z czasem za Boga czczono.

[2]) Despotyzm w Azyi, od Bela zaczęty, dotychczas się utrzymuje.

[3]) Harmodyusz i Arystogiton w Atenach tyranów wyniszczyli.

[4]) Likurgus, prawodawca Spartańczyków.



Ten ołtarz, który samemi kwiatami
Zdobiono przedtém, wtenczas ofiarami
Krwi ludzkiéj spłynął, i w dalekie strony
Niósł miecz Spartańczyk, sławą zaślepiony.

Podobnąż wolność i Rzymianie mieli:
Poddających się w niewolą przyjęli;
A tym, u których była wolność miła,
Wojnę broń rzymska pewną przynosiła.

Wolności! jakeś z nieba wychodziła,
Spokojność pierwéj na ziemię zstąpiła;
Potém ojciec twój wysłał cię z inszemi
Równéj piękności siostrami twojemi:

Miłość i dobroć obok z tobą były,
Ażeby smutną ziemię pocieszyły;
Potém na serce swoje cię zaklinał,
I łagodnemi słowy napominał:

„Córko! (mówił on) ty idziesz w tę stronę,
Gdzie tak skłonności będą poróżnione:
Pamiętaj zawsze znosić się z siostrami,
A niebo będzie między ziemianami.

„Tyś być powinna bez pychy, zazdrości,
Bez próżnéj sławy, bez uszczypliwości;
Tyś być powinna udzielna, wspaniała!
Litośna słabszym, i dla wszystkich cała."

Gdzież dziś znajdziemy te wolności znaki?
Gdzie miłość bratnia i gdzie wzgląd jednaki?
Kto jéj takiego nazwiska pozwoli,
Gdy chce cudzego życia, lub niewoli?

Jeśli gdzie będzie, będzie prawie głucha,
Co żadnych przyczyn bliźniego nie słucha,
Swém własném tylko dobrem zaprzątniona,
Albo ze wszystkiém z kraju wypędzona.

I tam nie wolno obrządku jéj czynić
Głośno, chybabyś życie chciał obwinić;
Skrytą ofiarę tylko w sercach miéwa,
A przed wyniosłém sercem się ukrywa.

Wolności! dziecię największego Pana,
Za nierządnicę dzisiaj poczytana;
Z któréj miłością w kącie kryć się trzeba,
Jakbyś nie była nigdy córką nieba!

Jak wiele jeszcze mówić należało,
Co naszym wstydem, i twoją jest chwałą!
Ale próżno się na ten zamach ważę:
Bo co napiszę, to mi bojaźń zmaże.

## XVII. Duma Lukierdy [1]) czyli Luidgardy.

Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy;
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyśle mi braty obrońce
I łuków syrbskich tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

[1]) Wypis z kroniki Bielskiego o Przemysławie i Luidgardzie. „Piszą o tym królu, iż to była pomsta boża na nim, o nielitościwy uczynek, który uczynił nad pierwszą żoną swoją Lukierdą, którą potajemnie pannom jéj udusić kazał, nie mając do niéj przyczyny żadnéj, jeno tę, że niepłodną była; jakoby to na woli jéj było, a nie w rękach boskich. Acz, choć też miał drugą żonę Ryssę królewnę szwedzką, tedy z nią tylko jednę dzieweczkę miał, która w ośmiu leciech po nim została; tę pojął Wacław, jako o tém będzie niżéj. Pisze Długosz, iż jeszcze pieśń staroświecką zastał, którą złożono o téj Lukierdzie a o Przemysławie, i śpiewano ją w Wielkiéj Polsce, w któréj go prosiła żona jego, aby ją był w jednéj koszulce do domu odesłał, a okrucieństwa tego nad nią nie czynił. Była ta Lukierda z książąt Serbskich z Sasi *), albo kaszubka."

*) Syrbia nazywał się dawno kraj, między Odrą i Elbą położony, względem Polski na zachód leżący.



Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne:
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię méj młodości zbawił;
Onby się może poprawił.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Szczęśliwa wiejska dziewico!
Któréj miłość tajemnicą.
Nie znasz jeszcze sercu pana;
I ty, co kochasz, kochana!
Ja, króla mężnego żona,
Kochając go, pogardzona.
Gdy mię dojmie rozpacz sroga,
Bluźniąc, klnę siebie, i Boga.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Czego błyszczysz, złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne:
Ten lud, przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się, mężu twardy...
Jeden uśmiech... a mniéj wzgardy...
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Ale on nieubłagany!...
Pójdę do matki kochanéj,
Pójdę choć w jednéj koszuli:
Ona mię w smutku utuli.

Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mię nazad sprowadzi:
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała; jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą
W serce, które go kochało.
Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

---

# PIEŚNI.

## KSIĘGA II.

### I. Stateczność.

Próżno z mocnemi walczyć niebiosy,
I na uparte narzekać losy!
Mą statecznością samą cieszę się,
I płynę z wodą, gdzie mię poniesie:
Filonie! póki tych oczu stanie,
Które z słodyczą na cię patrzały,
Póki mi serce bić nie przestanie,
Póty mi będziesz nad wszystko miły.
Mienią się lata, noc za dniem żenie:
Ja się w miłości méj nie odmienię.

Czyli w dalekiéj żyjący stronie,
Na ukochaném schylony łonie
Szczęśliwéj jakiéjś rywalki mojéj,
Miłość wam usta słodyczą spoi:
Choć tę z goryczą przyjmę nowinę,
Wspomniawszy, że twe serce mém było,
Przecież cieszyć się znajdę przyczynę,
Że cię kochanie uszczęśliwiło.

Mienią się lata, noc za dniem żenie:
Ja się w miłości méj nie odmienię.

Czy się twe cnoty do góry wzniosą,
I przyjdzie szczęście niebieską rosą,
Które, gdyby mnie usłuchać chciało,
Ciebieby tylko za cel swój miało:
Ja, na wiadomość szczęścia twojego,
Gdy méj pociechy w sercu nie zmieszczę,
Zgubiwszy pamięć stanu mojego,
Z radości pierwsza w ręce zapleszczę.
Mienią się lata, noc za dniem żenie:
Ja się w miłości méj nie odmienię.

Mnie jakiekolwiek czekają losy,
Czy mi fortuna gotuje ciosy,
Czyli zamyśla cieszyć mą biédę,
Za przeznaczeniem spokojna idę.
Nie zginie u mnie pamięć Filona,
Ani się żadnym odmieni stanem:
Czy przy nim jestem, czy oddalona,
On serca mego do śmierci panem.
Mienią się lata, noc za dniem żenie:
Ja się w miłości méj nie odmienię.

## II. Zwycięstwo.

Hoża Temiro, jakową siłą
Sto ócz w twych oczach lgnących widziałem!
A gdy cię między nami ubyło,
Ja na nic więcéj patrzéć nie chciałem.
Miéć więźniów ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

Kiedy pierwszy raz cię obaczyłem,
Uśmiechając się biegłaś z pośpiechem;
Na porę siły twojéj trafiłem,
Boś najmocniejsza wdzięcznym uśmiechem.
Miéć więźniów ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.



Myślałem zaraz: „Jak ona siła
Nieszczęśliwemi narobi sobą!"
Tyś mi natenczas coś przemówiła,
I już z drugiemi biegłem za tobą.
Miéć więźniów ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

Zwycięstwa takie możeć smakują,
Gdzie ci się zniżyć muszą zuchwali;
Ale zwycięzcy mile przyjmują
Tych, którzy im się zaraz poddali.
Miéć więźniów ciebie nic nie kosztuje;
Ale ja ciężar mych więzów czuję.

## III. Smutek.

Przy strumyku łąka mała;
Wdzięczne ją drzewa zdobiły.
Tam się Lindora schraniała,
Kiedy ją smutki trapiły.

Pojechał Filon kochany,
I zabrał z sobą swe oczy,
Żal zostawił niezrównany,
Co cierpiące serce tłoczy.

W jękach jéj przeszedł dzień cały,
Łzy po pięknéj twarzy płyną;
Te strumień czysty zmięszały,
Tamte się kłócą z krzewiną.

## IV. Trzeba się kochać.

Trzeba się kochać, słodka Rozyno,
Póki rzeźwiejsze lata nie miną:
Na to ci serce i piękność dana,
Żebyś kochała, była kochana!

Trzeba się kochać, wszystko ci gada,
Co tylko żyje, co sobą włada;
Temi prawami rządzi się wiecznie:
Trzeba się kochać, trzeba koniecznie.

Kiedy się trafią oczy przychylne,
Wprzód się szukają przez drogi mylne,
Potém zdybane, niby niechcący
Rozpalają się w płomień gorący.

Zaraz się zwierzą swéj tajemnicy,
Źrenica mówi cicho źrenicy;
Co serca słyszą, a nikt na stronie,
To przyjacielskie stwierdzają dłonie.

Prawda, że czasem miłość dokuczy,
Nie śpi, nie jada, troszczy się, mruczy;
Ale i wtenczas kiedy ją klątem,
Czułem, że była moim żywiołem.

Miłość sprowadza ludy w gromady,
Matka pokoju, zabrania zwady;
Miłość pociechą w życiu jedyną;
Trzeba się kochać, słodka Rozyno.

## V. Róża.

Ja róża, pierwsza, wiośniana,
Jeszcze nie jestem tykana;
Jeszczem dopiéro się rozwinęła,
I piękną tę barwę wzięła.

Kiedy wiatr zimnem powieje,
Albo gorąco przygrzeje,
Chrońcie się ze mną, bom niecierpiąca
Ni zimna, ani gorąca.

Można mi się przypatrować
I zdaleka się dziwować;
Ale nie mam być jeszcze zrywana,
Boby mię szkoda, żem rana.

Wy, w których rosnę ogrodzie,
Dziwiąc się mojéj urodzie,
Śpiewajcie wkoło i czeladź cała:
„Róża się nasza udała."



## VI. Zdrada.

Kiedyś na mnie, Temiro,
Pierwszy raz spojrzała,
I twą ręką nieszczérą
Miłość zapewniała:
Za blaskiem oka twego
Puściłem się śmiało,
Jak gdyby mi nic złego
Trafić się nie miało.

Poznałem błędy swoje,
Nadzieje kłamliwe;
Te piękne świateł dwoje,
Jak były zdradliwe!
Długo mię ukradzioną
Ścieżką prowadziły;
Nakoniec w niezbrodzoną
Przepaść pogrążyły.

Zgasły światła fałszywe,
A ciemność przybiegła.
Miejsca, kiedyś szczęśliwe,
Okropność zaległa.
Same na wszystkie strony
Napadam przykrości,
I żal nieutulony
Straconéj wolności.

Wpośród lasów zarosłych
Chodząc w méj tęsknicy,
Pytam się drzew wyniosłych
I czystéj krynicy:
Którędy wyniść mogę
Na dzień utracony;
Wszędzie zaległ mi drogę
Obłęd pokręcony.

## VII. Tęskność, z francuskiego.

Jam ją swą ręką sadziła,
Jak rosła, jam ją widziała,

Co się dziś tak rozkrzewiła,
Ta wdzięczna, ta róża biała,
Gdzie ptaszki każdego ranku
Swoje schronienie miewają,
I pod oknem bez przestanku
Na jéj gałązkach śpiewają.

O wy, niewinne ptaszęta!
Przez litość będę prosiła:
Trzodo, miłością przejęta,
Nie śpiewajże mi tak siła!
Kochanka, com go lubiła,
W którym szczęście moje było,
Kiedym teraz utraciła,
Nic mi już więcéj nie miło.

Dla swoich zysków na świecie
Poszedł za wody i lasy,
Niedbały, choć go trud gniecie,
I uciskają niewczasy.
Czegóż on szuka po ziemi?
Gdyby tylko chciał żyć skromnie,
Widziałby oczyma swemi,
Szczęście, które ma koło mnie.

Jaskółki! co, niechybnemi
Zwroty na wasze siedliny
Lecąc czasy wiośnianemi,
Czynicie nam nawiedziny!
Wędrowne wy moje ptaki,
Znajome domu mojego,
Sprowadźcież go swemi szlaki,
Sprowadźcież go roku tego.

### VIII. Ona się nie skryje.

Kiedyś, nadobna Klorydo,
W pośrodku nas przebywała,
Każda nam się chwila śmiała;
Dziś całe smutno dni idą.



Jeden tu za drugim chodzi,
Często się i nie poznamy,
Chociaż do siebie gadamy:
Taki nas wszystkich błąd wodzi.

Klorydo, twoje schronienie
Na nic się pewnie nie przyda,
Światło twych oczu cię wyda,
I same wydadzą cienie.

Za miedzianemi ścianami
Niechaj Kloryda się schroni,
Szacunek nasz przejdzie do niéj:
Dar ma rozumu z wdziękami.

### IX. Pożegnanie.

Oto godzina, cnotliwa Palmiro,
Godzina, w któréj rozłączasz się ze mną:
Czas ci myśl moję opowiedzieć szczérą,
I odkryć miłość dotychczas tajemną.
Ręka, coć daję na to pożegnanie,
Zaręczać będzie to moje wyznanie.

Gdy w oczach moich nie umiałaś czytać,
Co łzy dla ciebie wylane znaczyły,
Ni o mój smutek nie chciałaś się pytać,
Ni cię wyrazy wierne oświeciły;
Co smutek, i co łzy nie mogły szczére,
Usty wyrażam, że kocham Palmirę.

Kocham Palmirę, bo warta kochania.
Żyje cnotliwie, ma poczciwą duszę;
Może jéj serce co mi się dziś wzbrania,
Może je wierną statecznością wzruszę.
Jakiéjbądź każe trzymać się kolei,
Miło pocierpieć dla takiéj nadziei.

Gdy do smutnego powrócę się domu,
Moi sąsiedzi zaraz się poschodzą;
Choć o mym smutku nie powiem nikomu,
Oni w przyczynę mych trosków ugodzą;
Jak im opiszę moją ukochaną,
Smutkowi memu dziwić się przestaną.

## X. Nieszczęście.

Dogodziło się memu przeznaczeniu:
Już, jak żądało, jestem nieszczęśliwy;
Cała mi folga została w westchnieniu,
I zysk z miłości — żal mój niecierpliwy.
Palmiro, czemuż gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niém nie zaginie?

Żyłem z słodyczą, kiedyś mię kochała;
Kiedy przestajesz, wiek mi mój nie miły;
Nie tak mię twoja ręka zapewniała,
Nie to mi oczy Palmiry mówiły.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niém nie zaginie?

Gdzie się obrócę, twój obraz napadam;
Widzę go w kwiatach, z ptaszęty mi śpiewa;
Któremu kiedy o mym smutku gadam,
Zda mi się, że się z łez moich naśmiewa.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niém nie zaginie?

Marna pociecha: nie mam już nadzieje,
Którą za trudów tak wiele kupiłem;
Zgasło mi słońce, wiatr z innych stron wieje,
Czyliż żyć można tém, że kiedyś żyłem?
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niém nie zaginie?

Nie wołam zemsty, chociaż urażony;
Jestem życzliwy, jak zawsze ci byłem;
Nie odmieni mię los mój uprzykrzony:
Miéj słodycz w życiu, którą ja straciłem.
Palmiro! czemuż, gdy szczęście przeminie,
Razem i pamięć o niém nie zaginie?



## XI. Muzurek.

Dobra noc Jacenta,
I wam, usta czyste,
I słodkie oczęta,
I piersi parzyste!

Ja nie spać statecznie
Całą noc gotowym:
Bo kto śpi bezpiecznie
Przy skarbie takowym?

Wzięłaś mi sen cały
Oczu twych czarami;
Nie będę zuchwały,
Żartował z oczami.

Pójdęż ja do fary,
Jak się na dzień zbierze,
Na te twoje czary
Zakupię pacierze,

Kupięż ja i świécę
Za złotowiec cały,
Bym nie miał tęsknice
Po Jacentej białéj.

Przynajmniéj uproszę,
Jeśli jest zuchwała,
By, co ja ponoszę,
Tożsamo cierpiała.

## XII. Szczęśliwość.

Niech komu wielka nadzieja zabłyśnie,
Niech komu szczęście sili się umyślnie:
Ja przy Temirze, gdy siądę bez świadka,
Z całego świata żartuję ostatka.

Gdyby mi za nią król dawał swe grody,
Nie mieniałbym jéj za jego dochody:
Téj on w koronie słodyczy nie czuje,
Jaką ja w ustach Temiry znajduję.

Nie na tém ci to szczęśliwość, nie na tém,
Gdy kto na ziemi potężnym, bogatym,
Gdy go sług liczne otaczają zgraje,
Gdy kiedy zechce gniewa się i łaje.

Często pod pańskie bogate zasłony,
Smutek z rozpaczą wszedł niepostrzeżony,
Który wśród nocy głębokiéj ich budzi,
I niecierpliwe serce im zatrudzi.

A ja z Temirą o cóż się turbuję?
Ja skarb, ja zdrowie, w twéj twarzy znajduję?
A gdy mi powie, żem jéj wdzięków panem,
Możeż być z moim co zrównane stanem?

## XIII. Wieśniaczka.

Przestań, Damonie, szydzić,
Już mi wychodzisz z głowy,
Nie chcę cię ani widzieć,
Ani pragnę rozmowy.
Próżnoby mi to gadał,
Że mnie kocha jak życie;
On to samo opowiadał
Niedawno Teklicie.

Wezmę wieniec różany,
I uplotki świąteczne,
Zwinę warkocz splatany,
I otrę łzy serdeczne.
Choćby się Damon spadał,
Igrać będę z Filonem,
Żeby sąsiad nie gadał,
Że tęsknię za Damonem.

Jeszczem nie przestarzała,
Rok mi ośmnasty płynie,
Będę ich jeszcze miała;
Męska mać nie zaginie.
Który żyć będzie skromnie,
Co mało zna kochania,
Ten się nich tylko o mnie
Ojcu i matce kłania.



## XIV. Kloe nazwana Leszkiem Białym.

Za panowania Leszka Białego
Chciało się blizko być króla tego;
Wszystkie się za nim oczy zwracały:
Bodaj to Leszko królował Biały!

On tylko spojrzał, wnet się zbiegano,
Skinienia jego uprzedzić chciano.
Oczyma twarde poruszał skały:
Bodajto Leszko panował Biały!

Leszko zapłakał — wszędzie płakano;
Myślał — po wszystkich kątach myślano;
Śmiał się — powiaty wszystkie się śmiały:
Bodaj to Leszko panował Biały!

A gdy mu czasem gniewać się chciało,
Winny, niewinny, wszystko to mdlało.
Kocha, boi się Leszka lud cały,
Bodaj to Leszko panował Biały!

Leszku jedyny! jak może wiele
Rozum dokazać w nadobném ciele!
Niech tam komu chcą, dają pochwały:
Bodajto Leszko panował Biały!

## XV. Już ja nie ten.

Lata moje ustąpiły!
Nie wiodą tak o mnie spory,
Jak się dziewczęta kłóciły
Za czasów pięknéj Lindory.
Dzisiaj podstarzały,
Próżno dla kochanki
I śpiewam dzień cały
I przynoszę wianki.
Schylam się już do wieczora:
Już ja nie ten, com był wczora.

Przedtém, gdy mi młodość służy,
Każda mię ujmować chciała,
I do boku bukiet z róży
Sama Kloe przypinała.
Dziś ledwie wyproszę,
By mi kwiatek dały,
I łudząc się, noszę
Ten znak dawnéj chwały.
Schylam się już do wieczora:
Już ja nie ten, com był wczora.

Rzeka w górę nie popłynie,
I nie wrócą się me lata;
Wiek mu cały marnie zginie,
Kto z młodu nie użył świata.
Idź Filon, w podróży,
Gdzie wiedzie pieszczota;
Dziś ci pole służy,
Jutro będzie słota!
Schylam się już do wieczora:
Już ja nie ten, com był wczora.

## XVI. Przeciwko pojedynkom.

Na cóż ten pożar wzmaga się umyślnie?
I sam się niszczy, i miasto pustoszy?
Za co na brata brat z bronią się ciśnie?
Szuka w swéj śmierci, lub w cudzéj, rozkoszy?
Nie sam nas rozum podniósł nad bydlęta:
Mamy i dzikość większą niż zwierzęta.

Gdy ludzi bóstwo tworzyło na ziemi,
Kto zgadnie, z jakiéj miéć chciało przyczyny,
Abyśmy byli wszyscy błądzącemi,
Jeden drugiego okrywając winy.
Mylnym na świecie każdy idzie torem:
Ty błądzisz rano, a brat twój wieczorem.

Czemu niebacznie wymówione słowo
Ma tyle ważyć, co życie człowieka?
I chociaż nawet umyślnie złą mową
Nieprzyjaciel ci zawzięty wyrzeka,
Gdy będzie warte śmierci złe gadanie,
Wkrótce człowieka na ziemi nie stanie.



O cóż ci chodzi?... żyjesz-że poczciwie
I nie zawiodłeś twego powołania?
Niech na cię gada, jak kto chce złośliwie:
Ty jesteś cały, cnota cię zasłania.
Jeszcze prócz tego to odniesiesz w zysku,
Że twój potwarca będzie w pośmiewisku.

Ale, jeżelić prawdę wyrzucono,
Za to, żeś winien, chcesz zabić drugiego!
Wszak coś sam stracił, w tém cię nie skrzywdzono,
Ni twoją zgubą wyjdziesz na lepszego.
Kogo, czy siebie, za co życia zbawić?
Mnieby się zdało, lepiéj się poprawić.

Świat, mówisz, życiem każe bronić sławy;
Najgrubszy przesąd wiedzie cię w zapale.
A twardeż na to, co mówią ustawy,
Które ci bronią pojedynków cale?
Porzuć świat ślepy; w sprawie z twoim bratem,
Przed oświeceńszym rozprawiaj się światem.

Cała podobno przyczyna zostanie
Twego uporu nieprzełamanego,
Że w obelżywym żyć nie mógłbyś stanie,
Gdyby cię miano za bojaźliwego.
Odwago! marny zapęd cię uwodzi!
Nie wszystko ci się, co pomyślisz, godzi.

W sprawie narodu staw się znamienicie,
Broń, gdy cię żąda bliźni nieszczęśliwy;
Śmiele w potrzebie ratuj twoje życie:
Zrobiłżeś co z tych?... toś niebojaźliwy.
A jeślić taka nie przyszła przygoda,
Nie trwoń krwi twojéj; lać ją marnie szkoda.

Lecz zapalczywość kiedy się roznieci,
Na wszystkie względy i ślepa i głucha,
Skąd ma uciekać, tam na zgubę leci,
Że Boga nawet samego nie słucha,
Który już na plac biegnących napada,
I wśród im serca za swém prawem gada:

„Gdzie, mówi, bieżysz, gdzie niesiesz to życie?
Czyż-em nie twój Bóg, który ci je dałem?
Czyś już pokończył wszystko należycie?
Czego na ziemi po tobie żądałem?
Co mię w twém sercu tak mogło obrzydzić,
Żebyś miał Boga twego nienawidzić?"

Widziałem, kiedy biegnący w zapale
Czasem się w swoim pędzie zahamował,
Coś się zamyślał, coś mruczał zuchwale;
I gdy tak z swoim Bogiem się mocował,
Wyrwał się i biegł za złém przedsięwzięciem,
Jakby się wstydził być Jego dziecięciem.

Potém przez tłumy ludu pokrewnego
Ciśnie się; ten go wstrzymuje dokoła;
Ten-by go pragnął obronić samego,
Inszy za jego przeciwnikiem woła:
„Jeśli go, mówi, zbawisz tego świata,
Oto ja żyję i stanę za brata".

Tak zgodne kiedyś miesza pokolenia,
Przeciw rodowi pobudza ród człeczy,
Że stąd powszechne widząc zawaśnienia,
Każdy go mija, każdy mu złorzeczy:
„Niech, mówią, pamięć jego wyniszczeje,
Że skrzywdził wszystkich, i samę nadzieję."

Już wydarłszy się i ludziom i Bogu,
Na naznaczoném miejscu postawali:
Śmierć się obudwóm ukaże na progu
Żelaza, które do siebie składali;
Kiedy mało im znana, niespodzianie
Matka Ojczyzna w pośrodku nich stanie.

Wtenczas, kiedy z ran żywa jéj krew bieży,
Z ran, co w przygodzie świeżéj odebrała,
Nieszczęścia w zdartéj znać było odzieży,
A w twarzy smutek, który w sercu miała.
Broń im śmiertelną rękami rozjęła,
I na pół z płaczem tak mówić zaczęła:



„Syny!... Nie tędy droga wam do sławy!
Tu życie razem, i cna się traci.
Przodkowie wasi wśród wojennéj wrzawy
Znachodzili ją—nie w zaboju braci;
Do mnie należy rozdawać wam sławę,
Któréj nie wzięły pojedynki krwawe.

„To prawo, które dane mi jest z góry:
Szafować waszém życiem w méj potrzebie,
Czyli na siebie ma zlane z was który?
Czy znacie wartość ojczyzny i siebie?
Życia waszego szacunek niemały,
Bo jedno może ocalić kraj cały.

„Dlaczego, gdy was ślepy gniew zajmuje,
Wasze urazy tak drogo cenicie?
A ja w mych klęskach ręki nie znajduję,
Żeby powszechne zasłoniła życie!
A ja w ostatniéj hańbie zaniedbana,
Ani zemszczona, ani żałowana!

„Schowajcie tę broń! która, spadkiem sławnym,
Piękna, po dziadach waszych się została;
Dziś, znieważona zarzuceniem dawném,
Pierwszego blasku swego płakać miała;
Aż póki sama w ręce zjednoczone
Nie podam jéj wam na moję obronę.

„Może cierpieniem winy pomażemy,
I los mię przykry goniąc, zmorduje się;
Na cóż rozpaczać, kiedy nie zgadniemy,
Co przychylniejsze jutro nam przyniesie?
Wielkość nieszczęścia wielkie względy wzbudza:
Może nas słabych wesprze litość cudza.

„Jedną potęgą Europa się chwali:
Ta mogąc wszystko, nie zechce źle zrobić;
Ona, jak matka, w żalu rózgę spali,
Jeśli jéj przyszło dziecię swoje pobić.
Najsłodszemi ją przemianami wzrusza
To litość serca, to wspaniała dusza.

„Tam się udajcie!... tam was widzieć wolę;
Ona wam góry pozniża wyniosłe;
Ona honoru pokaże wam pole,
I sławy szlaki odkryje zarosłe.
Tak ratując was wspaniałością rzadką,
Stanie się nową matki waszéj matką".

## XVII. Do Ign. Potockiego, pisarza Lit., po śmierci żony jego Elżbiety z książąt Lubomirskich.

Nad domu twego zwaliskiem
Czego stoisz zapomniony?
I zdajesz się być przyciskiem
Ciężkiego losu schylony.

Mężu wielki! nie wiesz tego,
Że z nieba widać na ziemi,
Jak wśród zapasu gorzkiego
Człek walczy z losami złemi?

Szczególne dawszy ci dary,
Niebo piękniejsze układa
Pewnie po tobie zamiary:
Niech słabość łatwo upada;

Ty nie zwodź górnéj nadzieje,
Walcz śmiało z twemi losami,
Wznieś oczy—nieboć się śmieje,—
A ziemię depczesz nogami.

Gdy ci przyjaciela brała
Natura, łzy wylewałeś;
Już zapłaconą została,
Długi jéj z lichwą oddałeś.

Ale wierzyciel twój drugi,
Rozum, praw swoich nie traci:
Przykrzy ci się o swe długi,
Których oddanie bogaci.



On, chociaż z tobą narzeka
I szkodę twoję uznaje,
Lecz razem uczy, że człeka
Wielkość, nieszczęście wydaje.

Z środka powszechnéj ruiny,
Przygody ślepéj mścicielki,
Gdzie słabe poległy gminy,
Wzniósł głowę całą mąż wielki.

Pokazał się niestrwożonym,
Nic mu nie mogło zaszkodzić,
Rzekł żywiołom zawaśnionym:
„Ustąpcie, bo mam przechodzić".

Za temi smutku mogiły
Wdzięczne panuje polecie!
Mówisz, że świat ci niemiły,
Aleś ty został na świecie.

## XVIII. Głos zabitego do sądu.

Sędziowie! którym jednym prawo z góry
Życia i śmierci dał sprawca natury,
Jakby nie było sądu i Pana,
Oto bez wiedzy waszéj krew przelana!

Byłem niewinny, a choćbym miał winę,
Prawo mię mogło ukarać jedynie.
Dwóch tu przed wami ukrzywdzonych stawa:
Ja—o me życie; o pogardę—prawa.

Sprawiedliwości powróci się cale
Miecz, który zbójca wydarłszy zuchwale,
Spokojność ludzką na chwilę zakłóci.
Ale kto mi życie, kto mi życie wróci?

Tam gdzie ja jestem, o słońcu nie wiedzą;
Smutni mieszkańcy w środku nocy siedzą.
Wy jutro białe obaczycie rano,
A mnie na wieczne ciemności skazano.

Wy powrócicie do żon, do rodziny,
Witające was powychodzą syny;
Moja mię nigdy nie ogląda żona,
Wieczną sierotą po mnie zostawiona!

Sędziowie! groby otworzą się ciemne,
I wyjdą z Ablem mieszkańce podziemne;
Sądowe wasze otoczywszy ławy,
Czekać będziemy krwi niewinnéj sprawy.

Jeżeli jakim uwiedzeni względem,
Główny kryminał osądzicie błędem,
I staniecie się jak współzabójcami,
Jam naznaczony iść wszędzie za wami.

Gdy przyjaciołmi otoczeni wkoło,
Pędzić będziecie godziny wesoło,
Sądząc, że chwile daleko stroskane,
Ja niespodziany w pośrodku was stanę.

Do stołów waszych, na wasze festyny,
Przyjdę, mieszkaniec nieznanéj krainy,
Z strawą, z napojem, co go wam nalali,
Zmieszam krew moję, którąście zdeptali.

Kiedy po dziennem zapoceniu czoła
Sen do miłego spoczynku zawoła,
Nie chcąc spokojność mieszać innych ludzi,
Was tylko jednych larwa moja zbudzi.

W tłumie, w ustroniu, w domu, w polu, w drodze,
Najmilszym waszym rozrywkom przeszkodzę;
Ja wszędzie zgonię mego przeciwnika:
Przylecę z głosem dzwonu, lub puszczyka.

Ale wy bacznie zaradzać gotowi
Swemu i razem memu spoczynkowi.



## XIX. Na imieniny swojéj pani.

Ta, która w złotéj kądziele
Życia twego nici przędzie,
Jeszcze nawoju ma wiele,
Jeszcze na długi wiek będzie.
Już dziś nie smutna, nie wzdycha,
Przy robocie się uśmiécha.

Za mocnemi siedzi wroty,
Pozamykana na klucze,
Gdzie jéj kosztownéj roboty
Ślepy przypadek nie zbrucze,
Gdzie ją ustronie zakrywa,
Burza przelotu nie miéwa.

Pani! widziałem zdziwiony,
Jak przykre losy gonione,
Gdzie tobie tór wyznaczony,
Ażeby nie szły w tę stronę:
I przygoda smutkom rada,
Co i na piękność napada.

Nawet o wdziękach twéj twarzy
Staranie pilne miéć chciano;
Oko, coć się ogniem żarzy,
Wśród płomienia zachowano.
Ogniem ciska w każdą stronę,
Choć samo niezapalone.

Przychylne ci przeznaczenia
Z drogi, którąć naznaczyły,
Wszystkie napotém zmartwienia,
Wszystkie przykrości spędziły;
Jedna zazdrość pozostała,
Co się odegnać nie dała.

## XX. Przyjaciołki nieszczęśliwe.

Gdy się twa dusza z moją jednoczyła,
Jam czuła zaraz, jak smutek mniéj władał;
Miejsce to całe przyjaźń zastąpiła,
I goi rany, co mi tamten zadał.

Przyjaźni! darze łaskawego nieba,
Ty jedna ludzi wspierasz ręką szczérą!
Mnie,któréj z trosków umrzéć dawno trzeba,
Żal jeszcze życia dla ciebie, Temiro.

## XXI. Przewaga zawiści.

Gdybym cię nie kochała, szczęśliwszą-bym była,
Z oddaleniem się miłość moja pomnożyła;
Wszystko mi tu o tobie jednostajnie gada,
Sen ucieka, żal mię troskliwy napada.

Próżno wzdycham, zwrócona często na tę stronę,
Gdzie moje w jednym tobie szczęście zostawione:
Ty nie słyszysz jęczenia!... A może niestały,
Gdy cię nowe miłości jakie uwiązały,

Rozrywkę sobie czynisz z méj niespokojności!
Kleonie! nie chciéj gniewać prawdziwéj miłości.
Gdy klękniesz przy Dorydzie, wejdę niespodzianie:
Zawstydzę ciebie, siebie, i jéj dowierzanie.

## XXII. Do Mądrości.

Mądrości! Matko cnoty! przyjaciółko człeka,
Wago świata, i szczęście dwojakiego wieka!...
Nie ty, co mię nauczasz, jak się kraje rządzą,
Które gwiazdy statkują, które gwiazdy błądzą,
Jak ziemia soki swemi ożywia rośliny,
Jak wielki drogi dyament z podłéj robią gliny;
Nie ty, która mię wiedziesz lochy podziemnemi,
Gdzie ogień, woda, walcząc z wiatry szalonemi,
Tłuką się i mieszają, że ziemia drży cała,
I żywym ryczy ogniem niecierpliwa skała;
Ani ty, która mierzysz niezmierzoną ziemię,
Gdzie pusta, gdzie ją człecze zamieszkało plemię,
Gdzie się podniół Kaukazus, albo gdzie Nil bieży:
To raczéj wiadomością nazwać przynależy.
Lecz ty, mądrości! która w skromniejszéj postawie
Lubisz zasiąść z nędzarzem na ubogiéj ławie;
Cieszysz go w jego smutku, że cnotę szanował —



On płakał, lecz cnotliwym, że był, nie żałował;
Ty, kiedy prześladuje człeka los pijany,
Uśpisz go niepamięcią, i goisz mu rany;
Albo kiedy fałsz świata inszemi kołacze,
On śmieje się, gdzie płaczą, gdzie śmieją się, płacze;
Ty, co wielkość prawdziwą ludzkiego żywota
Nie imieniem, godnością, ani kupą złota,
Ale mierzysz cnotami, -- ten ci znakomity,
Kto serca poczciwego chlubi się zaszczyty;
Ty, co wady bliźniego chcesz, abym darował,
Wlewasz mi w duszę słodycz, gdym go poratował,
Co w sumieniu do życia wskazujesz mi drogę,
Każesz znać Boga, chociaż pojąć go nie mogę:
Mądrości, gdzie ty mieszkasz? czy chroniąc się wrzawy
Ulubiłaś ustronia, gdzie swoje zabawy
Z tobą miewał Sokrates, gdzie z inszemi dary
Dawałaś mu naukę i cnoty i wiary.
Czy ty lubisz niziny, czy mieszkasz na górze?
Gdybym ja zajść mógł kiedy na twoje podwórze,
Prosiłbym cię przed twoim nachylonym progiem:
„Czy ty jesteś boginią! czy ty jesteś bogiem,
Zabłyśnij twym promieniem, bo w ciemności stoję;
Chciałbym iść twoim torem, lecz się nocy boję!...
Drogę mi pozalegał fałsz świata, wzgląd marny,
Nadzieja za pochlebstwo, za zdradę zysk czarny.
Prowadź mię światłem twojém, bym nie zbłądził z drogi;
Jabym nie chciał iść tędy, gdzie się ten lud mnogi
Zbiega zewsząd i z taką gorącością tłoczy,
Który tylko ma ręce, ale stracił oczy.
Wolałbym gdzie ścieżkami przyjść nieubitemi,
Bym się jako nie zdybał z bogaczami temi,
U których całém mojém przewinieniem było,
Że ja jestem ubogim, a im się szczęściło;
Żebym mógł niedostatek cierpliwie ponosić
I nie prosił, kto nie wart, ażeby go prosić;
Żebym swe namiętności wstrzymywał na wodzy, —
Być przynajmniéj cnotliwym, kiedyśmy ubodzy;
Żebym w domu nie czekał losu, ażby przyszedł,
Ale przeciwko niemu za granicę wyszedł,
I tam na polach łaski i nadziei onéj,
Czekał nieprzyjaciela, nic nie zatrwożony,
Mając cnotę w posiłku i świadkiem niebiosy,
Kosztem Boga samego walczył z złemi losy.

Żebym przy twoich nogach powieki zawierał,
I nigdy nie żałował, żem żył lub umierał."

## XXXIII. Przeciwko Fanatyzmowi.

Krzyż w jednéj ręce, żelazo ma w drugiéj,
Zasłonił oczy, pozatykał uszy:
Tak świat obiega, jak jest w sobie długi;
Wszystkiego dotknie i z gruntu poruszy.

Gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany
Dojdziesz go czarnym zostawionym śladem.
Lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany,
Pije łzy cudze, tuczy się swym jadem.

Gdy złych od dobrych świat obaczy przedział,
Który swym uczniom wyraźnie powiedział,
Temu sędziemu co natenczas rzeczem?
„Ja was na ziemię nie posyłam z mieczem."

Czy Molochowe wskrzeszamy obrządki,
Gdzie krwią człowieka błagany bóg srogi?
Czy Buzyrysa milsze nam pamiątki,
Który zabijał przychodnia w swe progi?

Oto syn, tłumiąc przyrodzone prawo,
Z własnego ojca uczynił ofiarę:
Ten padł, ów nad nim trzymając broń krwawą,
Wraz woła ranny z raniącym: „za wiarę."

Wiaro! ty czysta przysłana na ziemię,
Ale cię człowiek zabobonem szpeci;
Ty chcesz, by ludzkie kochało się plemię
Jako jednego ojca, ojca jedne dzieci.

Bóg od nas wszystkich wyciąga swéj chwały;
Pod jednym żyje naród ludzki Panem:
Afryckich pustyń tulacz ogorzały
Z Laponem, albo Chińczyk z Luzytanem.

Za cóż dla wiary miecz kto w ręku nosi?
Pokrzywdza niebo i prawa natury?
Kiedy ktoś ręce równo ze mną wznosi,
Nie potępiać go: on je wzniół do góry.



Czyż to nie lepiéj Rzym rozumiał stary?
Aby zamieszkom powszechnym zaradził,
Szczęśliwe skutki ze złéj robiąc wiary,
Bogi narodów w stolicę wprowadził.

Gdy różne bóstwa ręce sobie dały,
Serapis został Jowiszowym bratem,
Eufrat się z Tybrem w jedno łoże zlały:
Rządził Rzymianin uciszonym światem.

Jeśli niebaczność była dotąd głucha,
Idź, ktoś wykroczył przykładami temi:
Człowiek szczególny niech zwierzchności słucha,
A zwierzchność Boga, — który ojcem ziemi.

Nie mamy prawa z bronią w ręku pytać,
I o rzecz świętą pastwić się nad bratem;
Ty, co te wiersze będziesz kiedyś czytać,
Wspomnij, że chciałeś być sędzią i katem.

Jam ci z rąk wyrwał oręż zgotowany
I ślepy zapęd z wolna ułagodził,
Żeś się nareszcie, już sam przekonany,
Z rozumem, z sercem, i z wiarą pogodził.

Ojczyzno moja! nikt nie widział ciebie,
Abyś się kiedy zmazała tą plamą!
Gdy przyjdzie pora, ratuj się w potrzebie,
A niebo mocne nie da się i samo.

## XXIV. Do pani Elżbiety z książąt Poniatowskich Branickiéj, Kasztelanowéj Krakowskiéj, H. W. K., w dzień imienin jéj, Obraz cnoty.

Skromnie odziana, z składu saméj twarzy,
Z postaci całéj szanować ją trzeba;
Mieszkaniem swojém padół ziemski darzy,
Ale jest córką szczęśliwego nieba

Zazdrość, czy potwarz oczy na nię zwróci,
Zazdrość, czy potwarz nic jéj nie zaszkodzi;
Słodkie spojrzenie z ich pozorem skłóci,
Tak jad śmiertelny ich oczu łagodzi.

Na wierzchu góry mieszkanie zakłada;
Jeszcze ją wkoło broni mur potężny;
Gdzie przy jéj nogach nikczemnie upada
Zuchwały losów pocisk niedołężny.

Tam lubi mieszkać, że i niebo bliżéj,
I z swojéj góry widzi padół ziemny,
Jak na nim pycha daleko się szérzy,
Jak jéj bez cnoty zabieg nadaremny.

Schodzi i na dół często, nie żądana
Od ludzi, dla nich zstąpiwszy na ziemię:
Chociaż gardzona i prześladowana,
Świętym uporem lubi człowiecze plemię.

Jak słońce gdy się z za chmury dobędzie,
Rój pszczół roboczych ku niemu wzlatuje,
Tak nędza, pierwsza szukając jéj wszędzie,
Pospolicie ją najpierwéj zdybuje.

Tym łzy ociera, tym zawija rany,
Aż się ukoi boleść niecierpliwa;
Tym swoją ręką chléb łamie żądany,
Chléb cnoty, który posilniejszym bywa.

Indziéj, nawałem lasu zagłuszona,
Nędzna roślina ledwie że się czuje;
Ona jéj słabe podnosi ramiona,
I ożywnemu słońcu pokazuje.

Na nię wspomniawszy człek prześladowany,
Nieszczęścia swoje swym statkiem przemoże;
Niewinnym dźwigać pomaga kajdany,
I wygodniejszém robi nędzy łoże.

Dzieci jéj żywioł szanuje surowy;
Z władzą nakaże zapalonéj chmurze:
„Tak chce Pan gromu: nie tykaj téj głowy.“
U nóg padł piorun, bokiem poszły burze!



W pośrodku nocy, gdy bogacz łakomy
Skarb swój ogląda, sobie go wychwala;
Lubieżnik, wszedłszy w swych miłostek domy,
Kradzionym ogniem płonie i zapala.

Wtenczas na łonie cnoty człowiek prawy
Spokojnie zasnął, we śnie się uśmiécha;
Bo mu się marzą niewinne zabawy,
I rozkosz z cnotą, do któréj śpiąc wzdycha.

Pani! imienin twoich przypomnienie
Przypomniało mi razem obraz cnoty;
Niemasz w nim sztuki, tylko dobre chcenie.
Lepiéj go twoje malują przymioty.

## XXV. Do młodéj panienki.

Teklo! potrzebna nauka młodemu;
Kto ufał wdziękom i wiekowi swemu,
Jak się cokolwiek schylił do wieczora,
Zwyczajnie płakał na zdradliwe wczora!

Ale ten, który w czasie swéj młodości
Potrzebnych jakich nabył wiadomości,
Niemi na różne uzbrojony ciosy
I wieku przykrość ugłaszcze i losy.

Jak się pachnące nazywają wody,
Jakie z Paryża wywieziono mody,
Jak trefią włosy, jak się pierś odkrywa:
Nie to się, nie to, ćwiczeniem nazywa!

Znaj twego Boga, twego Boga, który
Na wszystkie twoje sprawy patrzy z góry;
Masz mu być wierną, bliźniemu i sobie;
Nie mów o nikim: nie będą o tobie.

I choć masz cnoty, myśl, jakbyś nie miała,
Bo na tém cnota zasadza się cała;
Po takiém serca twojego ćwiczeniu
Pomyśl o głowy twéj doskonaleniu.

Nie czytaj tych ksiąg, z których gadać śmiele,
Ale te, z których robić można wiele;
I to, co teraz za pogardę wzięli,
Nie wstydź się czasem usiąść do kądzieli.

Szczęśliwe twoje babki tak myślały,
Szczęśliwym zięciom cne żony dawały!
Dzisiaj w tém wielki widać niedostatek,
W małżeństwach mało mamy żon i matek!

## XXVI. Żebrak przy drodze.

Dawne człeka panowanie
Nie wyniszczone do końca!..
Zostało mu używanie
Wolne powietrza i słońca.

Resztę rękami twardemi
Dała możnym przemoc krwawa!
Na cóż mię było na ziemi,
Gdy nic do niéj nie mam prawa?

Ptastwo wolne przelatuje
I wyżywia się z téj niwy;
Tu rybak część swą znajduje;
Wziął, wiele chciał, zwierz pierzchliwy.

Ja, równym człekiem stworzony,
Próżno pokarmu wyzieram,
Na bujne patrzę zagony,
I z głodu przy nich umieram.

Oto tłum ludzi i koni
Przydróżne zboże wytłacza;
Szum się po powietrzu goni:
Wozy to idą bogacza.

On, nad innych roztargniony,
Z gorącem, z pyłem się biédzi,
Chmurą prochu otoczony,
Że go i niebo nie widzi.



Pochlebca go fałszem truje!
Co zjadło me wyżywienie,
Na ręku przed nim piastuje
Ulubione pańskie szczenię.

Bogacz mym głosem zwrócony,
Na tę stronę głowę skinął,
Gdzie ja leżę zapomniony!
Widział kalekę i minął.

Boże! przy mém prawie stoję,
Zwę cię Ojcem ze wszystkiemi:
Nie widzisz!.... Ja dziecko Twoje
Poniewieram się po ziemi!

Już mi się oczy stępiły,
Próżno lejąc łzy codzienne;
Nieba się z ziemią zmówiły,
I stały mi się kamienne!...

Nic mię w tém życiu nie cieszy;
Wszystko mija mą koleję:
Śmierć się tylko ku mnie śpieszy,
Za rękę wiodąc nadzieję.

## XXVII. Do pani Ogińskiéj, hetmanowéj W. W. X. Lit., na Aleksandrów, dom wiejski.

Cóż to za siła tym krajem włada,
Co wśród żywiołów nierządu,
Wieczystym bagnom z ufnością gada:
„Weźcie kształt wody i lądu!"

Silnym postrachem gad uderzony
Dawne opuszcza siedliska;
I w oddalone wlokąc się strony,
Krwawemi cętki połyska.

Na jego miejsce ciepłe żórawie,
I od południa ptak mnogi,
Łabędź i strojne zleciały pawie,
Zaległy wodę i drogi.

Tam cicha cnota ma swe schronienie,
Kiedy się z tłumu wyrwała;
Ona nad blaski przekłada cienie,
Byle coś nieba dojźrała.

Tam czystą myślą, w znowionym czasie,
Wierność kochankę całuje;
Tam się niewinność z owcami pasie
I z pasterkami żartuje.

Tam się zdaleka podróżny zwrócił,
Ani go bierze ochota
Do domu, który dawno porzucił:
Tak miło bawić, gdzie cnota.

Tam z między tylu znajomych, pieniem
Pędząc najsłodszą godzinę,
Śpiewał też także pod drzewa cieniem
Pasterz, co kochał Justynę.

## XXVIII. Do dwóch Synogarlic.

Tę od sąsiada, zdaleka drugą,
Pisklęty jeszcze nabyłem;
Wychowałem was moją posługą,
Rękami memi żywiłem.

Dziś was od domu chronię hałasów,
Mieszkaniem darzę zaocznem;
By wam miłosnych nikt nie psuł wczasów,
Okiem nie zajźrzał uroczném.

A moja matka, ubogim chlebem
Wykarmiwszy mię małego,
Zostawiła mię pod szczerem niebem,
Zostawiła mię samego.



Temira żyje w dalekiéj stronie,
W któréj ja miałem nadzieję!
Gdy za nią częstem westchnieniem gonię,
Może się z moich łez śmieje.

Synogarlico! cóż za przyczyna?
Czego tam wołasz tak zrana?
Czego tam któraś mi przypomina,
Że kochasz, wzajem kochana!

## XXIX. Przypomnienie dawnéj miłości.

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory:
Tam ja z tobą, Justyno,
Słodkie pędził wieczory.

Noc się krótka zdawała,
Żegnamy się z świtaniem;
Miłość sen nam zabrała:
Miłość żyje niespaniem.

Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Raz się chmura zebrała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ściskała,
Mówiąc: „Sama nie zginę."

Oto przy tym strumieniu,
Oto przy téj jabłoni,
Wieleż razy w pragnieniu
Wodę piłem z jéj dłoni?

Dziś, kiedy nas w swym gniewie
Los rozdzielił opaczny,
Znaki nasze po drzewie
Popsuł pasterz niebaczny.

I ślady się zmazały!
Las zarasta krzewiną!
Potok, drzewa, zostały:
Ciebie niémasz, Justyno!

### XXX. Szczęście przy Dorydzie.

Kiedy ja usiądę koło méj Dorydy,
Oczy w nię wlepię i zapomnę biédy.

A ona mi jeszcze powié, jak mawiała:
„Daj mi twe serce, jam ci moje dała."

A ona mię jeszcze ściśnie, pocałuje;
Wtenczas, Dorydo, nic mię nie turbuje.

Niech, jak chcą, gadają ludzie nieżyczliwi,
Jeszcze się przy mnie Doryda wyżywi.

Czyli palić słońce, czy bić będą słoty,
Dla jéj miłości, pójdę do roboty.

Śpiewając przy pracy pieśni o Dorydzie,
Zorzę mój zagon, zapomnę o biédzie.

---

# PIEŚNI.

## KSIĘGA III.

### I. Chustka Aryadny.

Chustko! świadku twéj pani radości i smutku,
Jéj szczęśliwych kłopotów, jéj wzdychań bez skutku,
Czy się do niéj obłudnie uśmiechał los zdradny,
Czyli szukał otwarcie zguby Aryadny,—

Ciebie ona, gdy słońca upały znosiła,
Tyle razy kroplistym potem urosiła;
Goniąc swoje nadzieje, swoje niepokoje,
Ciężkie smutki dźwigając, ocierała znoje.

Tobą ona, gdy ziemia południem pałała,
Albo gdy gęsta rosa wieczorna spadała,
Tobą ona najbielsze zakrywała łono,
I głowę długowłosą, i twarz wypieszczoną.

Wtenczas, gdy pierwszą schadzkę z swym kochankiem mieli,
Miłość ich oczy wiodła, wraz na nię spojrzeli:
Wtém ją wstyd zarumieni; co gdy taić chciała,
Oczy chustką zakryła, a serce wydała.

Wtenczas gdy ją kochanek pierwszy raz napada,
W białe piersi całuje i do serca gada,
Między piersi i usta równym ogniem tchnąca,
Niechętnie wsuwa chustkę i niby go trąca.

Ale kiedy fortuny zwróciły się koła,
Aryadna za szczęściem upłynioném woła,
Przeklina dzień okropny, niebo jękiem wzrusza,
Kłóci skały po stracie swego Tezeusza.

Kiedy zginął jéj luby, z nim nadzieja cała,
A tylko przy niéj pamięć straty pozostała.
I żalem i rozpaczą nękana kobiéta
Siebie, ziemi i wody o kochanku pyta.

Wtenczas, czy na wschodzące słońce pogląd ała,
Czy ziemię okropności nocnéj zostawiała,
Dzień i noc łzami zlanéj powieki nie zmruży,
Chce umrzéć, znowu nie chce, aby płakać dłużéj.

A jeśli ją, chcąc ulżyć wyniszczonéj sile,
Sen, przyjaciel nieszczęsnych, pokrzepił na chwilę,
Zrywa się, o kochanku marzeniem złudzona,
Gada z nim i przyciska do białego łona.

Sny marne uleciały!... Ta, zapamiętała,
Jeszcze omackiem cienia po kątach szukała.
Rozum nadszedł i gdy ją w dawnym smutku grzebie,
Łaje razem sen, niebo, kochanka i siebie.

Chustko! zawsze przytomna, gdy pani płakała,
Tyle razy potokiem łez zmaczana cała,
Tobą ona, gdy miłość dopieka jéj duszy,
Gorącą pierś ochładza i razem cię suszy.

Komuś ryją w marmurze życia jego losy,
Kogoś nam wspominają góry i kolosy:
Ta chustka była świadkiem doli nieporadnéj
Nieszczęściem i czuciem go sławnéj Aryadny.



## II. Do Temiry.

Na tę nótę: Kiedy ja usiędę i t. d.

Ile razy słodkie oczy twe zdybałem,
Zawsze, Temiro, zawsze pomyślałem:

„Może na mnie patrzy, że jéj jestem miły,
„Może z jéj sercem oczy się zgodziły!

Lecz jeśli zawodzić chcesz nadzieję moję,
Nie patrz w tę stronę, gdzie, nieszczęsny, stoję.

Znasz mię, bo mię moje przygody wsławiły:
Ja-to, co byłem celem twojéj siły!

Ja-to ten, którym ci, gdyś mém życiem chwiała,
Całował rękę, co mię zabijała.

Już dosyć te burze narobiły szkody:
Może, Temiro, zaczną się pogody.

## III. Odpowiedź do Filona na tęż nótę.

Filonie! w twych ustach widzę twoję duszę,
Mówisz, że kochasz: ja cię kochać muszę.

Ku twoim ja oczom moje posyłała,
Cóżbym na ziemi milszego widziała?

Czemuż nasze oczy gdy się zdybywały,
Te posły, zgody poznać ci nie dały?

Zła dola boleści równe nam rozdała;
Tylkoś ty stękał, ja milczéć umiała.

Teraz losem, sercem, stałością zrównani,
Cierpimy wzajem: kochamy kochani.

## IV. O Temirze.

Temira kłótnie robi mi w domu,
Przyjaźń w mém sercu z miłością drażni;
Pierwszéj chcę, drugą gdybym dał komu,
Miłość kraść będzie czas u przyjaźni.
Temiro, pokój zrobisz mi stały:
Weź przyjaźń, miłość i czas mój cały.

### V. Do Pasterki.

Pod mojém oknem, gdzie ma chatka mała,
Lilia wonna sadzona.
Gdy na nię spojrzę, jak wdzięczna i biała,
Myślę o tobie: „To ona".

Jest téż tam u was dąb w twoim ogrodzie,
Wierny miejscowi przez swój zgon;
Gdy go nadybiesz, spocznij w jego chłodzie,
I pomyśl o mnie: „Oto on".

### VI. Do Dobréj.

Gdyby się dobroć malować miała,
Z twojéj-bym twarzy brał na nie wzory:
Tybyś przyjaźni model mi dała,
Albo cnotliwéj obraz pokory.
Z tak kosztownemi darami w świecie,
Jeszcze mi czasem powiesz: „Lubię cię".

### VII. Do Zosi.

Słońce promieniem świeci urażliwym,
Kwiaty swą barwę straciły;
Łąka się wdziękiem uśmiecha fałszywym:
Jam sobie, światu i świat mi niemiły.

W śmierci mi jedna pociecha została,
Co mię i los mój zagrzebie!
Zosiu! tyś na mnie łaskawie wejrzała,
I żal mi było słońca, ziemi, ciebie.

### VIII. Na dedykacyą Ołtarza dobroci Elżbiety poświęconego.

Szczerość dobroci daje ofiary,
Niewinne kwiaty dla skromnéj cnoty:
Takie świat młody dawał jéj dary,
Gdy człek bez złota pędził wiek złoty.

Ten ołtarz wdzięczne serca stawiały,
Te kwiaty czysta miłość zbierała.
Ty mile patrzysz na ten dar mały,
I dość nam na tém, żeś go widziała.



Póki powietrzem tém tchnąć będziemy,
Które brzmi teraz twemi pochwały,
My w tobie zawsze dobroć znajdziemy;
Ty przyjmij od nas życia bieg cały.

Wieczny ten układ czynimy z tobą,
Przy tych dwóch światłach, co noc z dniem wiodą,
I przy téj ziemi, coś jéj ozdobą,
I przy tych niebach, co twą nagrodą.

### IX. Duma.

Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały,
Kiedy się do nas korony świata ubijały?
Kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się,
I od północy Moskwicin twardy berło niesie!

Póki po zbroi Polaka brodę wiatr rozwijał,
Jadł swoje zboże, pił swoją wodę, — wtenczas bijał.
Ale, jak zbytki, co wszystko psują, nastąpiły,
Z polską się bronią same mocują rdze i pyły!

Wstań z zimnych grobów, obudź zaspałe, mężu jaki!
Pokaż do sławy pozarastałe męstwa szlaki!
I kiedy z siebie nie damy szydzić do ostatka,
Swoich się dzieci nie będzie wstydzić Polska matka.

### X. Do X. A. S. G. A. L.

W twéj duszy, którą masz mężną,
Szukając w smutkach ulżenia,
Otrzyj oczy, młoda księżno:
Dziś dzień twego urodzenia.

Patrz, jak się to niebo chmurzy,
Ćmią powietrze śniegi skrzepłe!
Ale po zimowéj burzy
Przyjdą kiedyś czasy ciepłe.

Kłócąc niebiosa od rana,
Wpośród gorących łez biegu,
Siedzisz nad rzeką stroskana,
A szczęście na drugim brzegu.

Nie dbaj, że wody wezbrały:
Na drugą stronę płyń śmiało!
Niebo, przez swój układ stały,
Szczęście przewadze oddało.

Czemuż swéj sama chcesz winy,
Skarżąc się na wyrok wieczny?
Przyjaciół twych i rodziny
Ten dzień łzą hańbisz świąteczny.

Na ciebie piękny syn woła:
„Matko żyjmy dla nadzieje;
Ona, co dziś nie wesoła,
Ale się jutro rozśmieje!"

Tyś dla niego urodzona,
A on dla ciebie się rodzi;
Nie będziesz w nim pokrzywdzona:
Młody lew na lwa wychodzi.

### XI. Matka do córki.

Śmiało, Anusiu, córko ulubiona!
Oto jest ciężar, a ty masz ramiona!
Widzisz tę górę; po niéj ostra ścieżka:
Na samym wierzchu piękna cnota mieszka.
Wszystko zostaw tu na dole,
Śpiesz się do góry;
Tam łagodzi nasze bole
Niebo bez chmury.

### XII. Do Boga.

Gdym był tak światem, jak insi struci,
Strzegłem pańskiego ruszenia,
Rychło w tę stronę Pan oczy zwróci,
Gdziem stał, czekając wejźrzenia.



Boże! twe oczy ku mnie zwrócone
I ręka, co mię uściśnie;
A ja tymczasem patrzę na stronę,
Bym cię nie widział umyśnie.

Wtenczas, kiedy mię karmisz i poisz,
I nauczasz mię twéj wiary,
Chociaż cię czuję, że przy mnie stoisz,
Biorąc dar, ganię twe dary.

Góry i drzewo wierzchołki swemi
Ku pięknym niebom się wspina:
Człek, jak kret ślepy, nurza się w ziemi,
I słońce twoje przeklina!...

W dniu kary świata nie trać mię, Boże,
By się dziwiono wiecznością;
Jak się daleko zapędzić może
Człek głupstwem, a ty—litością.

### XIII. Ołtarz wdzięczności NN.

Ręka, która wam kadzidło pali,
Waszemi łaski ruszona;
Niechaj kto dobroć serc waszych chwali,
Jam czuć, nie mówić, stworzona.

Już raz, jak moja wdzięczność jest tkliwa,
Łzami wam memi mówiłam;
Jeśli wymownym płacz kiedy bywa,
Ja tak wymowną już byłam.

Pewnie milczenie me was nie zraża;
Dogadzam waszéj skromności:
Słońce w cichości ziemię obdarza,
Ona mu wdzięczna w cichości.

Dawszy wam myśli, dla was ja żyję,
To mi przyświadczy ma dusza;
Czuję, jak serce teraz mi bije:
Moja to wdzięczność niém rusza.

## XIV. Do grzecznéj tylko Lindory, w Lutym.

Kochanków ręce szczęśliwe,
Gdy jedna skłonność was łączy,
Ściskanie częste a żywe,
Nigdy się u was nie kończy.

Lindora mi usty życzy,
Ale to iści nieskoro:
Wiele mi mówisz słodyczy,
Mało mię ściskasz, Lindoro.

Serce masz twarde, jak krzemień!
Jeśli co prośbą wymogę,
Lindoro! serce twe przemień,
Ja żyć kamieniem nie mogę.

Porzuć jakieś twe tam końce,
Zacznij z ludźmi żyć goręcéj,
Tyś pogodna, jak dziś słońce,
Ale chciéj miéć ognia więcéj.

## XV. Na Wokluz, wody i dom gocki pod Białymstokiem.

Nad brzegiem góry siedzi dom samotny;
Co dawne Goty piękniejszego miały,
Jak przed lat tysiąc budował wiek zwrotny,
Okna, drzwi, ściany i skład domu cały, —
Wszystko to ręka widoma zebrała,
Nowéj robocie starą duszę wlała.

Z pomiędzy arkad, na których gmach wsparty,
Najżywsza woda z wielu miejsc wybiega,
I tam, gdzie padół czekał ją otwarty,
Jakoby w jedno jezioro się zbiega.
Tam ryba między milczącemi brzegi,
Ma wśród wód cichych spokojne noclegi.



Daléj tamami zatrzymane wody
Z pośrodka głazów z szumem lecą z góry;
Poniżéj strumień i drzew wieczne chłody,
Z których wierzchołkiem chociaż walczą chmury,
Pień ich ogromny i grunt ich zielony,
Spokojnie patrzą na wicher szalony.

Tam rozmyślanie swe godziny miéwa;
Tam i ja miejscem przychodzę ściągniony;
Tam ze mną chodzi nadzieja troskliwa,
Posępny smutek, żal nieutulony.
Nad tym strumieniem najmiléj mi siadać,
Ilekroć chciałem z sercem mojém gadać.

Stamtąd poglądam, jak te wody siadły,
Co w spokojności swych brzegów pilnują;
Potém się jednym zakątem wykradły,
I gwałtem z swoich łożysk ustępują;
Potém z szelestem po zielonéj błoni,
Wdzięcznym strumieniem woda wodę goni.

Mój to jest obraz!... zapędzony w lata,
Spokojne mi się podobają wczasy.
Lubię ustronia, gdzie mniéj widzę świata,
Lubię tę cichość, którą mają lasy;
A mimo tego częstokroć, jak młody,
I śpiewam pieśni, i biegam w zawody.

Stamtąd poglądam na ten ołtarz święty,
Ołtarz Dobroci, świeżo wystawiony,
Gdziem i ja, względem próżnym nieujęty,
Śpiewając, splatał wieniec zasłużony;
Gdzie wraz z drugiemi cnocie kwiaty dałem,
Bo nie chce złota: ja go téż nie miałem.

Tam czasem myślę, jak bez mojéj winy
Często mię język złośliwy szkalował,
I choć do gniewu nie dałem przyczyny,
Przecież zły człowiek źle mię oszacował.
Środkiem gałęzi, któremi wiatr chwieje,
Uzieram nieba, i ból mój wolnieje.

Tam przypominam, jak pełna obłudy
Miłość, przed którąm kolano naginał!
Jak marniem tracił westchnienia i trudy!
I właśnie wtenczas, kiedym ją przeklinał,
Wtenczas, gdym myślił, że stoję na ziemi,
Brzeg się usunął, i płynę z drugiemi!

Jak wiele razy, którą ja szanuję,
Przyjaźń swą dla mnie odmieniała postać!
Chociaż tak wiernie ustaw jéj pilnuję,
Przy gorzkim tylko żalu przyszło zostać:
Że na dar serca mojego nie dbano;
Wzięto go dzisiaj, jutro zapomniano!

Tak smutne myśli kiedy mię trapiły,
Eliza z domu swojego wyjźrzała:
Oczy jéj ciemność lasu objaśniły;
Śpiewa ptaszyna, łąka się rozśmiała;
Weselsza ryba igrała po wodach:
I jam o moich zapomniał przygodach.

### XVI. Korynny żal po młodości.

Nad bystrym potokiem stała,
Biegnących lat żałowała,
I kwiat, co się brzegiem wspinał,
Przeszłą młodość przypominał.

Gdzież teraz, myśliła sobie,
Ten, co mię miał kochać w grobie?
Gdzie te kochanków orszaki?
Uleciały bujne ptaki!...

A choć się mi co zaświeci,
Słaby lgnie ptak w słabéj sieci!
Wszystko gładsza Kloe wzięła,
Mnie daje kwiat, który zmięła!...

### XVII Do Zosi.

Tyś tyle razy życia mego chciała!
Tuczysz się łzami mojemi!
Jakby to rozkosz jakowaś być miała,
Gdy kto panuje nad nieszczęśliwemi;



Gdyby twa dusza w moją się zmieniła,
Ażebyś czuła mém czuciem,
Ja-bym cię nigdy nie karał tak siła,
I żyć nie chciałbym, Zosiu, twém zepsuciem.

### XVIII. Do Macieja.

„Macieju! na świat fałszywy,
Skąd ci ta cnota bez skazy?
Skądeś tak o raj troskliwy?
Skąd szczere serca wyrazy?

„Wynijdź z téj twojéj ustroni,
Niechby o tobie świat wiedział;
Złość się przed tobą zapłoni."
Maciéj mi na to powiedział:

„Cóż robić? już mię widziano;
Rzekł każdy, kto do mnie przyjdzie:
Przed wiekiem ten pieniądz brano,
Dziś ta moneta nie idzie."

### XIX. O św. Kazimierzu, królewiczu polskim, do Aleksandry z Czartoryskich Ogińskiéj, hetmanowéj W. X. L.

On tu na ziemi w swych zwłokach spoczywa!
Anioł go jeden skrzydłami okrywa,
Drugi tłum ludu zniża na kolana,
I milczéć każe dla śpiącego pana!
On tam na niebie, uwieńczywszy skronie,
Bogiem, na boskiém opojony łonie,
Bierze z skrzyń złotych sprzęt łask nieprzebrany,
I rzuca szczęście na głodne ziemiany!
Czegóż ty nie masz być pewną,
Będąc Kazimierza krewną?...

### XX. Do tejże, na dzień urodzin jéj.

Słońce codzień rano wstało,
I patrząc po całéj ziemi,
Mało ci równych widziało,
Dary serca najlepszemi.

Gdzie nędza w zakącie stęka,
Gdzie się przyjaciel frasuje,
Tę twoja dźwignęła ręka,
Tego twe serce zdybuje.

Przystępna bez upodlenia,
Szanowana bez bojaźni;
Dzień twojego urodzenia,
Świętem nędznych i przyjaźni.

## XXI. Prawdziwa rozkosz.

Pieśń przetłómaczona z chińskiego.

Przez lat trzydzieści obłudy i błędów,
(Którym dotychczas, oszukany, łaję)
Na końcu marnych postrzegłem zapędów,
Że prawda tylko szczerą rozkosz daje.

Gdy w téj samotnéj bawię okolicy
Niebo tu tylko spraw moich jest świadkiem,
A myśli moje są jak na kotwicy,
Między ubóstwem i między dostatkiem.

Jeżeli sława nic o mnie nie gada,
Ani tu potwarz trapi moję duszę;
Mało natrętów we drzwi nasze wpada,
I przed mało się ludźmi chronić muszę.

Żeby się podnieść, żeby kogo zrzucić,
Nie myślę o tém od porannéj zorze,
I nie chcę bardziéj świat skłócony kłócić:
Z brzegu poglądam na burzliwe morze.

Jeśli pogodne powietrze śmieje się,
Słodyczy jego z rozkoszą używam;
Lecz kiedy zimna lub upały niesie,
Z książką w mych ręku miłéj wiosny wzywam.

Mój stół zbytkami nigdy nie pobłądzi:
Z moją potrzebą, możność moję żenię;
Moim obiadem mój apetyt rządzi,
I mym noclegiem moje utrudzenie.



Często pod chłodném drzew leżąc pokryciem,
Wyzywam Echo; i odpowiada mi:
„Że żyć poczciwie, jest prawdziwém życiem,
I że śmierć można osłodzić cnotami.”

Gdzie się obrócę, i co tylko pocznę,
Kiedy mię cnota przy boku mym krzepi,
Jéj towarzystwo sprawuje uroczne,
Że coś wygodniéj, coś mi niby lepiéj!...

Żadne przygody mię nie zasmuciły;
Gdy ona przy mnie, na niczém nie tracę!
Zdrożności tylko, które się trafiły,
Gorzkiém westchnieniem albo łzami płacę.

Ktoś tam na życie uprzykrzone fuka,
Truciznę trosków przyśpiesza skończenie!
Inszy napojów nieśmiertelnych szuka,
Aby swe późne przeżył pokolenie.

A mnie w mém życiu czegóż nie dostaje,
Kiedy żyć dobrze nad wszystko obieram?
I niechaj tylko dziś mi się udaje,
Jutro, na mą śmierć spokojny, umieram.

## XXII. Do Przyjaciela.

Na tém tu miejscu z wami ja żyłem,
Z wami tu wodę Niemnową piłem,
Też same brzegi, też same ściany,
Gdzie was kochając, byłem kochany.
Ściśnij mię, Filon, wzajem ściśnięty;
Śpiewajmy słodycz przyjaźni świętéj.

Za co mi stanie, że mówię śmiało:
„Nic mię od ciebie nie oderwało.”
Ktoś kłóci ludzi, ktoś miasta wali:
My się w zaciszu stale kochali.
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty;
Śpiewajmy słodycz przyjaźni świętéj.

Niech mi tu twardy kamień postawią,
Którego późne lata nie strawią;
Na nim dam napis niestarty wiekiem:
„Dwóch ludzi było jednym człowiekiem."
Ściśnij mię Filon, wzajem ściśnięty;
Śpiewajmy słodycz przyjaźni świętéj.

## XXIII. Córka tęskniąca do Ojca.

Ojcze! z twéj łaski niczegom niegłodna;
Aleś zapomniał, żem sama została!
Wyczerpaj dla mnie twoje dary do dna:
Gdy cię nie widzę, jakbym nic nie miała!

Ciebie najpierwéj witam obudzona,
Dziennéj tęsknocie z ciężkością wydołam;
Kiedy co piszę, twe kreślę imiona,
I kiedy śpiewam, ciebie ja to wołam.

Często żałosna poglądam w tę stronę,
Kędy podróżny podróżnego goni;
I po szlaku mi kurzawy wzniesione,
Nadzieję czynią twych wozów i koni.

Ale poznawszy, że ktoś mi nieznany,
Myślę: „Ojciec to jakowyś bezmała,
„Może do córki śpieszy ukochanéj,
„Co mu się lepiéj zasłużyć umiała."

Ta myśl duszę mi przenika stroskaną!
I chociaż mało nadziei odbieram,
Chociaż niewarta, bym była kochaną,
Środkiem łez w oczach jeszcze cię uzieram.

Powracaj, ojcze! powracaj, zaklinam;
Patrzyć mi na cię największą pieszczotą.
Bo wtenczas tylko o tém zapominam,
Że nie mam matki, i jestem sierotą.



## XXIV. O prawdzie X. K. P. w dzień imienin jego.

Prawda i śmiałość kiedyś w zgodzie żyły,
Podległym światem spokojnie rządziły.
Ratowały się wspólnemi siłami:
I było niebo między ziemianami.

Człowiek, którego ciekawość zgubiła,
Chcąc wiedzieć, ziemia co w środku ukryła,
Wszedł w jéj wnętrzności, kopiąc się powoli;
I znalazł złoto, źródło swéj niedoli.

Bóg go przed nami umyślnie tam schował,
I pychę z nieba strąconą przykował:
Aby niewinnéj nie kaziły ziemi,
Poprzywalał je góry ogromnemi.

Wyszło Bogactwo przez wrota otwarte,
Z nim Pycha, rogi poostrzając starte;
Ale w początkach skromnie się stawiły,
Prawdzie z Śmiałością spokojnie służyły.

Niedługo potém Pycha się wzburzyła,
Że z zgiętym karkiem za Prawdą chodziła:
Swemu Bogactwu wmawia nowe siły,
By się twardego panowania zbyły.

Ślepe Bogactwo jak ślepe się bało;
Przeciw jéj władzy nic począć nie chciało.
Otóż jedynie na to się uwzięli,
Żeby od Prawdy Śmiałość odciągnęli.

Złoto swym blaskiem ludzi omamiało;
Śmiałości z Pychą połączyć się dało.
I w krótkim czasie skończyło się na tém,
Że ten był pysznym, śmiałym, kto bogatym.

Gdy się tak wzmogło to potrójne stadło,
Dziedziczne Prawdy panowanie padło,
Nad którą w swojém szczęściu zaufały,
Jakże się znęcał sługa spanoszały!

Gdzie obelżenie swe przechody miało,
Wszędzie niewinną Prawdę spotykało;
Że, którą kiedyś pod nieba wznaszano,
Niegrzeczną, dziką i zuchwałą zwano.

Tak od całego świata znieważona,
Chociaż pięknością była obdarzona,
Choć ród szlachetny z nieba wywodziła,
Nie dbano o nię, bo ubogą była.

Otóż porzuca osady nielube,
Czuła na wzgardy i na naszę zgubę;
Kiedy jéj serce boleść przyciskała,
Jeszcze na dom swój obejrzéć się chciała.

Już górnéj Pychy dym miasto przycisnął,
Skąd czasem głową złoty bałwan błysnął:
Lała go próżność, chciwość ubóstwiła,
A podłość przed nim kolano schyliła.

Na większe swoje słysząc udręczenie
Okrzyk przemocy i słabszych jęczenie,
Nad losem ludzkim łzy gorzkie roniła:
Tak mocno prawda człeczy ród lubiła!...

Długo się potém błąkając nieznana,
Gdy chce do ojca wrócić, skąd przysłana,
W dzikich pustyniach nędzę nadybała;
Ręce na piersiach, oczy w niebie miała.

Przy niéj kawałek chleba opleśniały,
I zdarte szaty nagość odkrywały;
Suchego ciała ostry głód dowędza,
Siedząc pod strzechą wyrzekała nędza:

„Wyznając Prawdę, wszystkom utraciła:
Jedna pociecha! żem jéj wierną była!
Gdyby to, Boże, nie Ty, i nie ona,
Któżby mógł znosić ubóstwa brzemiona?"

Wtém Prawda chleba kawałek spleśniały
Łzami swojemi, gdy obmyła cały,
Poda go razem nędzy zażalonéj:
„Oto masz, rzecze, chléb twój osłodzony!

„Jeżeli jeszcze, nieszczęśni ziemianie,
Nie wszyscy moje rwiecie panowanie;
Jeżeli matka na ubogiéj śmieci
Nauczać będzie prawdy swoich dzieci:



„Z wami ja, z wami, ubodzy, zostanę,
Będę wam oczy ocierać spłakane.
W waszych mi chatach, jak w moim kościele,
Ołtarzem darnie, a ofiarą ziele."

Książę! imieniem zacny, duszą więcéj!
Kiedy fałsz światu dogrzał najgoręcéj,
Tyś prawdę z swoich tajni wyprowadził,
Obok przy sobie z dostatkiem posadził.

Dałeś jéj śmiałość, towarzyszkę dawną,
Pychęś daleko odpędził niesławną,
Tak koło ciebie, na ziemskie żądanie,
Prawda swe dawne wskrzesza panowanie.

Ty z nią do króla, do obywatela,
Do nieznajomych, i do przyjaciela,
Śmiało przychodzisz, nie dbając na względy,
Zawstydzasz fałsze, i wytykasz błędy.

Gdzie przed przemocą niewinność klęczała,
Gdzie sprawiedliwość dla ubogich spała,
Tę silną ręką dźwignąłeś, tęś zbudził;
O Prawdę, nikt cię dwa razy nie trudził.

Przyznaj, szczerością serca sławny panie:
Nie masz słodyczy, nad Prawdy wyznanie!
Ja téż sam (z tego, com widział i słyszę),
Czuję tę słodycz, gdy o tobie piszę.

## XXV. Życie w osobności (z francuskiego).

Szczęśliwy! co na roli żyjąc w osobności,
Bez bojaźni, bez żądań blasku i zazdrości,
Komu lata jednako przepędzone płyną,
Co go jeden dach widział starcem i dzieciną!...

Kiedyś po tymże brzegu pacholę igrało,
Gdzie mu dziś wyniszczone odpoczywa ciało;
A kij, na którym biegał w zawody z drugiemi,
Teraz podpiera starca zgiętego ku ziemi!

Nie daleko od jego domu las zarosły,
Którego drzewa wraz z nim rodziły się, rosły;
A ten dąb gałęzisty, który mu chłód sprawił,
W dziecinnych jego ręku żołędzią go bawił!

Chytra zawsze fortuna kiedy inszych truła,
Do wozu go swojego nigdy nie przykuła.
Po krajach nie włóczył się dla marnych pieniędzy,
Aby, szukając szczęścia, nacierpiał się nędzy.

Jego ogród do sytu stół mu opatruje,
W wodzie zdroju swojego najlepszy smak czuje;
A do miasta blizkiego, kiedy inszych bodła,
Ciekawość nigdy go tam widzieć nie powiodła.

Pracą i odpoczynkiem dni swych robił przedział:
O Rzymian historyi nic wcale nie wiedział;
I gdy przygodę jaką chciał wspomnieć przed laty,
To rachował na żniwa, nie na konsulaty.

## XXVI. Pieśń mazurska.

Dla hożéj swojéj żony,
Maciek wypędzony.

Porzucił dom, stodoły,
Uciekł prawie goły.

Widziałem mało potém,
Jagnę w czepcu złotym.

Przy karczmie na uciesze,
Podkówkami krzesze.

Przewodzi muzykami,
Sypie złotówkami.

Ręce jéj pobielały,
Oczy poczerniały.



Wszyscy ją szanowali,
Bo się pana bali.

Nie dbają, choć to pleban
Broni do mężatki.

Oj, będąż w piekle goreć
Po same łopatki!

## XXVII. Do Elżusi.

Elżusiu! nie dufaj sobie:
Błądzą ludzie w mojéj dobie,
A w twojéj, błąd częściéj bywa:
Młodość rzadko oczy miéwa.

Na takie w życiu bezdroże,
Któż śmiało puścić się może?
Kto zapewni, że bez szkody
Niebezpieczne przejdziesz brody?

Ten słodkiemi ludzi słowy;
Ten twarzy, ten pięknéj głowy;
Ten się od nich złotem różni:
Wszystko to zbójce podróżni.

Rozumiész, że ten blask słońca
Służyć ci będzie do końca?
Ty nie widzisz, jak z za góry
Zbierają się czarne chmury:

W godzinie burza i grzmoty,
Zaczną może długie loty.
Elżusiu! póki czas służy,
Weź towarzysza podróży,

Bo wśród niepogód i gromu
Każdy zechce siedzieć w domu.
Pięknyż to widok na ziemi!
Elżusia z oczyma swemi,

Z rozumem, i z cnót orszakiem
Idzie doli swojéj szlakiem.
Przy boku jéj człek poczciwy,
O nię nad wszystko troskliwy,
Od niepogód ją zakrywa,
I pieśń swego szczęścia śpiéwa.

## XXVIII. Pieśń dziada Sokalskiego, w kordonie cesarskim.

Śladem bieda przyszła, śladem,
Za zbytkami, i nieładem!

Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknać bała.

Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała.

Wolności niebieskie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko.

W klatkę cię mocno zamknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto.

Przedtém u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu,

Jak ojciec dzieci przyjmował,
Jak swych przyjaciół częstował.

Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psiętami zbierają.

Głowę, kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trącał nogą!...

Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają.

Ot, mówią, kość polizuje,
Dawnéj wolności żałuje.



## XXIX. O znikomości świata.

Świecie z ślepemi oczyma,
Jak z ludźmi przestajesz?...
Tylu dobrych szczęścia niéma:
Tylu złym go dajesz!...
Nie jeden sam śmiały
Wrota sobie otwiera;
Inszy, mniéj zuchwały,
Pode drzwiami umiera.

Pod fałszywéj hasłem sławy
Czemu świat wojuje?
Tych naraża na bój krwawy,
Wieczność obiecuje!
A człowiek, co zgody
Nauczał lud zhukany,
Jakież wziął nagrody?
Niepamięcią skarany.

Ten cnotliwy w gnoju leży;
Ów zbrodzień bogaty!
Ten za szczęściem wszędzie bieży;
I zdybuje straty.
Próżno walcząc z losem,
Ku niebu wznosi głowę:
Niebo jego ciosem
Nie wzrusza się stalowe.

Boże! co światów tak wiele
Masz dziedzicznych wszędzie;
Jedne z nich kładziesz na czele,
Insze niżéj w rzędzie!
Już na téj ziemicy
Jakieś przeżyłem lata:
Przenieś mię z tęsknicy
Gdzie do lepszego świata!

### XXX. Z przypadku mostu spalonego w Wilnie, do księdza Poczobuta, rektora Akademii Wileńskiéj, i księdza Kundzicza, kanonika inflanckiego.

Zacni męże! wasze szkody
Przeszły aż do méj zagrody.
Poczułem je duszą całą;
Umiem czuć, bo się cierpiało.

Most wasz wodom się narażał,
I dzień i noc im odgrażał;
Nie chce (gdy przyszła przygoda)
Ratować go gniewna woda.

Lecz niech się żywioły wadzą;
Niech nam, ludziom, pokój dadzą!
Gdy tak chwieją naszym stanem,
Jakimże człowiek ich panem!..

W troskach szukajmy ulżenia;
Prócz inszych dróg umartwienia,
Przez ten także iść potrzeba
Most wasz spalony do nieba.

### XXXI. Żona do zmarłego męża.

Mężu! jeszcze tém słodkiém łudzę się nazwiskiem!
Jeśli w grobach jest litość nad ziemian uciskiem,
Czyliż cię stan mój wzrusza?.. Omyłka się stała:
Ty płakać, a ja twoje miejsce zaledz miała.

Nie pójdę, gdzie koło tych zwłoków na przemiany
Śpiewać będą twój pogrzeb posępne kapłany,
Rzucając na twarz ziemię!.. Twarz ta, dla mnie miła,
Samym kiedyś wejrzeniem smutki me koiła.



Bóstwo, które mi życie zostawia za karę,
Zabrania z niego czynić żalowi ofiarę;
Pewnie-by go mi wzięła ta jędza zajadła,
Rozpacz, co oto teraz obok przy mnie siadła.

Przed śmiertelnemi prędzéj złożyłabym wroty
Krótkie ziemskie pociechy, a długie kłopoty;
Zwłoki me z jegoby się złączyły popiołem,
I w światach tamtych ducby nasze żyły społem.

Tyle lat z nim przeżywszy, co więc zgoda miała,
Wszystkie swoje słodycze na nas wylać chciała;
I co obcym patrzącym do zazdrości było,
Dom, sprawy, słowa, myśli, — nic nas nie różniło.

Prawdziwa miłość, którą same tylko znają
Serca, co poczciwości prawideł słuchają, —
Miłość codzień w domek mój takie dary niosła;
Śmierć wzięła wszystkie; przy mnie zostawiła posła.

Teraz nic mi nie miłe; z myślami się kłócę;
Siebie i mych przyjaciół narzekaniem smucę.
Jedną stratą tak razem ubyło mi wiele!
Przecięta nić przędzona ze złotéj kądziele!

Was, którzy go znaliście, pewnie to nie dziwi,
Że nad inne sieroty żal mój biorę tkliwy;
Bo wspomniawszy na szkodę, czujecie ją sami,
I łzy moje waszemi pochwalicie łzami.

### XXXII. Przeciwko samobójstwu Filon do Palmiry.

Palmira świat obrzydziła,
Choć ją ziemia ulubiła;
Na złe jakieś mruczy losy,
Kłóci siebie i niebiosy.

Próżno do skał głuchych gada:
Echo tylko odpowiada;
Jakby chcąc przyczynić męki,
Palmiry powtarza jęki.

Tak szukając końca złemu,
Życiu klęła nieszczęsnemu;
I gdy jéj boleść dobodzie,
W rozpaczy biegła ku wodzie.

Nad brzegiem stał Filon tkliwy,
Więcéj nad nią nieszczęśliwy;
Ale oswojony z ciosy,
Umiał głaskać srogie losy.

„Dokąd, rzecze, popędliwa,
Zapędzasz się, śmierci chciwa?
Że nad te słońca promienie
Przekładasz grobowe cienie?

„Za cóż ci ziemia niemiła?..
Dla ciebie się przystroiła
W tę zieloną szatę w kwiaty,
Niosąc co dzień dar bogaty.

„Dla ciebie szumią potoki,
Igra z chmurą dąb wysoki,
I w szeleście wdzięcznym liście
Krząta się na pani przyjście.

„Tobie słowik pieśni śpiéwa,
Niesie kłosy bujna niwa,
I na spragnione zagony
Deszcz pada nieprzepłacony.

„Jakież ma zyski zniszczenie?..
Czy to, żem skończył cierpienie?
Nie chcąc czuć, jak los srożeje,
Chcesz grzebać szczęścia nadzieję!

„Któż wié, co cię jutro czeka?..
Może chwila niedaleka,
Może, jak zmienny dziwacznie,
Z tobą się los pieścić zacznie.



„Nad wszystko: czyś długi one,
Z urodzeniem zaciągnione,
Powypłacała każdemu:
Bogu, sobie i bliźniemu?

„Któż to z nas powiedzieć może,
Że Ci się uiścił, Boże?
Któż to z ludzi rzecze śmiało:
„Odbyłem powinność całą?"

„Czekaj, może na cię czeka
Ten, który nie ma człowieka,
By jego uśmierzył głody,
Spragnionemu podał wody.

„Pożyczoneć życie przyszło,
Z ręki Wszechmocnego wyszło;
A kto, kiedy chce, umiera,
On się w pańskie prawo wdziera.

Czyliż nie lepiéj, na grobie
Że kiedyś napiszę tobie:
„Palmira, płci swojéj chwała,
Tu legła!.. cierpieć umiała."

„Niż ginąć rozpaczą biédną;
Mogiłę twoję ohydną,
Przez wrodzony wstręt dla człeka,
Przechodzień minie zdaleka.

„Ja, co nieszczęściami słynę,
Umiem przetrwać złą godzinę.
Sroży się cios naderemnie,
On zawsze słabszym nademnie.

„Do mnie to wszystkiemi wroty
Wchodzą, kiedy chcą, kłopoty,
I zły los, folgując komu,
Mnie zawsze zastanie w domu.

„Ze mną się mój krewny wadził,
Fałszywy przyjaciel zdradził;
Mnie szarpała potwarz podła,
Nadzieja i miłość zwiodła.

„Grad mijał czyjeś zagony:
Mój plon cały wyniszczony.
Mnie nieprzyjaciel odzierał,
Przyjaciel w ręku umierał.

„Przez takie cierniowe drogi
Idąc, kwiat rzucam pod nogi;
Idąc, śpiéwam bez mruczenia
Pieśń mojego przeznaczenia.

„Ciężar ludziom podzielony,
Jak kto udźwignie ramiony;
I mnie się tyle dostało,
Co się Panu podobało.

„Palmiro, piękne te wody,
Dla twéj stworzone wygody;
Nie, żeby ci życie brały
I z daru karą się stały.

„Nie zostawiaj nas w żałobie:
Ziemia nam milsza przy tobie!
Tylu nas twój uśmiech trzyma,
Twojemi żyje oczyma!..”

Palmira się zarumieni:
Pojrzała nań za znak zgody;
Tak oboje zwyciężeni,
Ten wejrzeniem, ta — dowody.

## XXXIII. Na Wiązownę, dom wiejski księżnéj Radziwiłłowéj M. W. X. Lit.

Wszystko tu pięknem utkano,
Gdziem przyszedł, gdziem w cieniu siadał,
To mi słowik mówił rano,
To, biegnąc, strumień powiadał.

Tu Ceres niesie snop w dani,
Gdzie przedtém dzikość mieszkała;
Tu się na głos miejsca pani
Smutna natura rozśmiała.



Strumyku! śpiesz się w przeprawie,
Złączyć się z Wisłą za chwilę;
Powiedz tam tęsknéj Warszawie:
Spokojność od niéj trzy mile.

## XXXIV. Matka do swego dziecięcia.

Lasem wiatry zaszumiały,
Dzień ku zachodowi godził,
Deszcze z grzmotami zlewały,
Kiedyś się, mój synu, rodził!
I gwiazda jakaś niemiła
Rodzicom twoim świeciła.

Nie mnie to słońce wschodziło:
Wszystko mi się czarne zdało;
Jeśli co nadziei było,
Dla niéj tylko żyć się chciało,
I srogi się los opierał,
By mi nikt łez nie ocierał.

Bujasz, me dziecko, po błoni:
Chrońże mi się od przygody.
Ona wszędzie za mną goni;
Znają do nas drogę szkody.
Synu! uśmiechnij się do mnie:
Dusza ma smutku zapomnie.

## XXXV. O Tęczyńskim.

Widział Tęczyński wdzięki Wandalki;
Ta mu spokojność z serca ruszyła,
A na to miejsce z tęsknotą walki,
Łzy i bezsenne nocy włożyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nie ten do swego domu powrócił:
Róża się twarzy w bladą zmieniła;
Siebie i matkę cierpliwą smucił;
Cichość go trula, cichość bawiła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Obraz kochanki wszędzie zdybuje.
Ona z nim w dzikich lasach błądziła,
I gdy na chwilę snu zakosztuje,
Ona mu tylko zawsze się śniła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Przez długie morza płynie do swojéj;
Miłość go ogniem wśród wód paliła.
Woda pomniejsze pożary koi,
Ale ten wielki był: nie zgasiła!
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Już brzeg Wandalski zdaleka zoczy,
Góra się sosną zazieleniła!
Kiedy go nagle wkoło otoczy,
Zbójeckich Danów wojenna siła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nie jeden poległ z morskich siepaczy,
Bo ich dwoista potęga biła:
Rozpacz miłości, miłość rozpaczy
Wzajemném męstwem długo broniła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Ale przemogły zbójeckie gminy,
I choć odwaga życiem gardziła,
Jeden zostawszy z swojéj drużyny,
Oddał się więźniem: przemoc zwalczyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Z tęsknego gmachu, gdzie był trzymany,
Łzami skropione listy posyła;
Wyrzeka tylko na srogie Dany,
Chociaż go ciężéj miłość więziła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Na cóż mu błyszczy to złoto marne!
Próżno mu droga służba świeciła,
Gdy w tego oczach wszystko jest czarne,
Kogo nieszczęsna miłość skwasiła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..



Wreszcie pod trosków ciężarem pada,
Całe mu siły żałość zwątliła;
W chorobie o swéj kochance gada,
Wołał jéj, by mu bolu ulżyła.
Gdzież taka miłość, jak dawno była!..

Nad samym zgonu stojący progiem,
Jeszcze się walka nie zakończyła
Między miłością i między Bogiem;
Dusza mu wyschłą krew opuściła.
Gdzież taka miłość, jak przedtém była!..

## XXXVI. Do A. T.

Powiédz mi, poetko młoda,
Czemu czystsza w źródle woda,
Niźli która w rzekach przyszła?
Bo ta świéżo z domu wyszła;
Tamta różny gdy ląd zmywa,
Pobrzeżnych brudów zarywa.

Gdy patrzę na twój wiek młody,
Ty źródło, my rzeczne wody.
Chroń się w dalszym twoim biegu
Nad wszystko brudnego brzegu.
Z czém się spotkać, a co minąć,
Odpowiedz mi, jak chcesz płynąć.

## XXXVII. Do tejże.

Ty nie chcesz pól kamienistych,
A do łąk wzdychasz kwiecistych.
Kiedyś i do przykréj drogi
Przygotuj cierpliwe nogi.
Zamiar twój widząc zdaleka,
Nie wiész, co cię w drodze czeka.
Pod różną postacią różni
Grożą ci zbójce podróżni.
Zdybie cię rozkosz burzliwa,
Co się słodyczą pokrywa.

Wewnątrz ma ze wstydem żale;
Chroń się zguby przy téj skale.
Zdybie próżność obłędliwa,
Zwieść zechce przyjaźń fałszywa.
I złotych blasków pochodnia
Ciągnie za sobą przechodnia.
Na te rozdroża, Bellino,
Iść trzeba prostą drożyną;
Zagłuszył ją oset próżny,
Bo rzadki nią szedł podróżny.
Tam góra w pięknéj przestrzeni,
Pełna ciernia i kamieni,
Pomiędzy nie wązka ścieżka,
Na wierzchołku cnota mieszka.
Jeżeli pisać ochota,
Odpowiedz mi, co jest cnota?

## XXXVIII. Do mojéj przyszłéj.

Ty! co mym będziesz przywarom ulegać,
I późny ogień miłości zażegać,
Czego po tobie żądałbym i wzajem
Obacz, coć za twe ofiary oddajem.

Nie chcę cię, młodym ozdobionéj wiekiem,
Ani przyprawnych jagód róży z mlekiem:
Zima nadchodzi, minąłem się z latem;
Na cóż na mrozy narażać się z kwiatem?

Z którą się wiekiem różnimy niewiele,
Która ma cnotę i rozum w podziele,
Która zna ludzi, ulega w ich błędzie,
Ta méj wędrówki towarzyszką będzie.

Ta, która ucisk jaki wycierpiała,
Znieść złą fortunę i dobrą umiała,
Dźwigając skromnie nałożone brzemię,
Raz w niebo, drugi spoziera na ziemię, —

Przy niéj ja stanę, gotów do podróży.
Słota nam, albo pogoda posłuży,
Czy szlak przestrony, czyli się zacieśni,
Szczęścia mojego śpiewać będę pieśni.



Kiedy się burza zaweźmie umyśnie,
I łzy jéj z oczu niewinnych wyciśnie,
Ja zebrawszy je, w sercu mojém złożę,
Żal podzielony, nie tak trapić może.

Nie przejdą do niéj złéj fortuny strzały,
Piersi ją moje będą zasłaniały;
Gdy od pocisków schronię ją do końca,
Nazwę to szczęściem, raniony obrońca.

Dla niéj już tylko me poświęcę rymy,
I kiedy zgonem bieg nasz dokończymy,
Jeśli kto zechce o me pisma pytać,
I o niéj będzie wiek potomny czytać.

## XXXIX. Szczęście i Nieszczęście, z francuskiego.

Szczęście z nieszczęściem, rodzeństwo,
Nigdy się zgadzać nie chciało,
Fortuny z Losem małżeństwo
Zgodne na świat ich wydało.
Nieszczęście miało złą minę,
I źle je téż traktowali,
Lecz szczęście, piękną dziecinę,
Ojciec i matka kochali.

Ledwie doszli téj młodości,
By się czego nauczyli,
Zaraz je do szkół w blizkości
Rodzice zaprowadzili.
Nieszczęście pojęcie miało,
Dobrą skłonność, dowcip czysty,
Szczęście z głową przygłupiało:
Był to nieuk wiekuisty.

Nieszczęście do pracowania
Przez swych metrów potępione;
A żyć wpośród próżnowania
Na szczęścia przypadło stronę.

Ale raz Filozofija
Do szczęścia się przywiązała;
Szczęście więcéj głupstwu sprzyja:
I wzajemności nie miała.

Nikt nieszczęścia kochać nie chce,
Niezgrabne, zła postać ciała;
Pycha, która z nauk łechce,
W cichości go pocieszała.
Otóż szczęście bez rozsądku
Wnet doszło wieku starego,
Schorzałe w lat swych początku:
Skutek to był zbytków jego.

Ale nieszczęście wśród klęski,
Wśród ciosów się otwardziło;
Nie tracąc odwagi męskiéj,
Wszystkie zawady zwalczyło.
O małżeństwie téż oboje
Nareszcie stale myślili,
I wszystkie starania swoje
Na to tylko obrócili.

Szczęście lepszéj pary chciało,
Dobrego domu, bogatéj;
Skromniejsze żądania miało,
Skromniejsze nieszczęścia swaty.
Szczęście Niestałość pojęło,
Razem z losem nieżyczliwym;
Nieszczęście Nadzieję wzięło,
I sądziło się szczęśliwém.

## XL. Kupido okradziony, z francuskiego.

Kupido, raz od swojéj matki oddalony,
Odpoczywał pod cieniem zielonego krzaku.
Chłopiec jakiś przechodzi, widząc, że uśpiony,
Wykrada mu strzał kilka z boskiego sajdaku.



Pyszny taką kradzieżą, w nadziei zdobyczą,
Zawsze potém udawał, że jest Kupidynem:
Przecież z tych, co na jego usłudze się liczą,
Samych tylko kokietek otoczony gminem.

Ale on do czułości podobieństwa niéma.
Tamten zawsze dyskretny, delikatny, stały;
Ten się płochości, głupstwa, zuchwałości trzyma,
Jeden z nich prawym bogiem, drugi—dziecko cały.

Pocisk jednego, pewną ręką wymierzony,
Zapala ogień, który żywi i pożera;
Lecz drugiego niezręcznie postrzał wypuszczony
W jednym dniu goi ranę, jak w jednym otwiera.

Pierwszemu ja oddając hołd mój, słodycz czuję;
Lubi serce do zgonu chodzić jego drogą.
Gdy moją Kloę do swéj służby on przyjmuje,
Ona wie, że raz tylko ludzie kochać mogą.

## XLI. Do Księżnéj Lubomirskiéj, Wojewodziny Kijowskiéj, w roku 1794.

Księżno! gdzież dom równy twemu
Przed lat dwudziestu widziano?
Tam się zabawić każdemu;
Tysiąc gości przyjmowano!

Dziś cię ustronie ukrywa,
Choć wszystkim otwarte wrota;
Nie tak często ktoś przebywa,
Ale mieszka Bóg i cnota.

Winszujęć tych domowników:
Oni z twém sercem gadają,
Oni z tobą bez okrzyków
Bawią, do stołu siadają.

Oby kiedy ten gość z nieba
Zwrócił ku domkowi memu!
Ale ja go czém, jak trzeba,
Nie mam przyjąć po twojemu.

## XLII. Pieśń przyjacielska przy kielichu.

Niechaj kto wzdycha do zbytków:
Jest coś droższego od złota;
Nie żądam wielkich pożytków:
Niech żyje przyjaźń i cnota!
Tu myśli nasze mięszamy
W napoju, który pijemy;
Jednego człeka składamy,
Bo jedną duszą żyjemy.

To u mnie pierwsza przewaga:
Kochać się, — to pierwsza rada;
Przyjaźnią wszystko się wzmaga,
Niezgodą wszystko upada.
Niech kłótnia szuka swéj zguby!
Nam ręka z ręką się łączy.
Oto przyjacielskie śluby,
Które śmierć chyba zakończy!

## XLIII. Pieśń Siostry do Siostry, na imieniny.

Marcyanno, dziś twe święto!
Już to drugie imię było,
Którém ciebie zwać zaczęto;
Pierwsze mi więcéj znaczyło.
Jeszcześ imienia nie miała,
Jam cię moją siostrą zwała.

Dzieciństwo nasze schodziło,
Dobréj matce ulegając;
Nic nas w życiu nie różniło,
Ją, siebie, wzajem kochając:
Jak go z kolebki zaczęto,
Trwa do dziś miłości święto.

Daj mi rękę, siostro miła,
By nam skąd nie przyszła strata;
Ty mię będziesz prowadziła,
Wpośród ciernia tego świata.
Idąc wyroków nakazem,
W deszcz, w pogodę, byle razem.



## XLIV. Pieśń pasterska do Zosi.

W Zosi wszystkie me żądze,
Zosia — moje pieniądze;
Kiedy przy mnie przebywa,
Na niczém mi nie zbywa.

Jeśli-bym ją utracił,
To-bym zdrowiem zapłacił;
Tylko gdy ją całuję,
Wtenczas życia moc czuję.

Na zielonéj leszczynie
Ptaszek śpiewa ptaszynie,
I chwali ją i prosi:
A ja śpiewam méj Zosi.

## XLV. Pieśń do Laury wodą płynącéj na wiosnę.

Ciesz się, Lauro, ja się nudzę!
Mém nieszczęściem serce tkliwe!
Ciebie tam w twojéj żegludze
Otacza wszystko szczęśliwe.

Słowik, bo kochany, śpiéwa,
Ryby, bo wolne, pływają,
Kwiaty, bo je Laura zrywa,
Dzieci, bo cię, matkę, mają.

Płyń zdrowa, płci twojéj chwało,
Niech cię zły los nie dotyka,
Niech cię szczęście przejmie całą,
Jak woda wodę przenika!

# WIERSZE RÓŻNE.

## I. Człowiek i Kamień, bajka.

Kamień leżał w środku drogi;
Mimo przechodząc ubogi,
Stłukł nogę, łajał kamienie:
„Na cóż to próżne stworzenie?
On siebie nie zna, czy lato,
Czyli go śniegi przysuły!"
A kamień odpowie na to:
„A tobież lepiéj, żeś czuły?"

## II. Podróżny i Strumień, z francuskiego.

Dafnis, straciwszy w kochance nadzieję,
Niepocieszony, od dawna łzy leje;
Temu, co na żal jego zbytni gadał,
Taką przypowieść powiadał:
Zmięszawszy wody swoje dwa strumienie,
Jeden je zapęd, jedna skłonność żenie;
W tak słodkiéj zgodzie nie przykro im było,
Choć się co złego po drodze trafiło.
Mijając miasta, góry, doły, knieje,
Czy się im łąka wesoła rozśmieje,



Czy wśród okropnych przechodzili cieni,
Na nic nie dbają, sobą zatrudnieni.
W takiéj jedności na to się uwzięli,
Żeby tak razem do morza płynęli,
Gdzie pochłonieni wód tamtych wielkością,
Skończy się razem pamięć ich z miłością.
Potrzebaż tego? żeby los zawodny
Miał się opierać miłości tak zgodnéj?
I wśród ich biegu dał nieprzyjaciela,
Skałę okrutną, która je przedziela?
Jedna połowa, w swém osieroceniu,
Głośno po dzikim szumiała krzemieniu,
Że w smutném echu okolica cała
Tak zażalony głos jéj powtarzała.
Nadszedł przychodzień. Fuknie nań z ostrością:
„Czemuż nie płynąć sobie z powolnością?
Twój szum mi przykry i mięsza mi w głowie";
Ale mu strumień odpowie:
„Po drugiéj stronie skały, co nas dwoi,
Równie jęk smutny połowicy mojéj,
Czyż go nie słyszysz, jak narzeka srodze?
Przechodniu! w twojéj postępując drodze,
Proś Boga, żebyś tego nie zagubił,
Coś raz ulubił".

## III. Brat i Siostra.

Koryl swéj siostrze przyniósł ptaszynę;
„Oto, powiada, całą godzinę
Czekałem na nię, kiedy przyleci
Pożywić swoje zgłodniałe dzieci,
Które gdy od niéj swój pokarm brały,
Przykryłem ręką z matką ród cały.
Taka jest, jakie lubisz ptaszęta:
Piórka zielone, drobne oczęta,
Wiele piękności, a mało ciała;
Słyszałem nawet, kiedy śpiewała,
Blizko jéj gniazda paszący trzodę;
Dzieci nie brałem, bo jeszcze młode".

„Miła mi zawsze, rzekła Temira,
Dla méj przysługi twoja chęć szczéra,
Ale coś zrobił, dobry Korylu!
Wydarłeś matkę sierotom tylu!
Próżno powrotu jéj będą czekać,
Litośnym piskiem na cię narzekać,
Aż przyjdą na nie głody z tęsknotą,
I tych niewinnych ofiar dogniotą.
Ty to pamiętasz, gdy się nam była
Matka na jakiś czas oddaliła:
Chociaż mieliśmy w domu wygody,
A nie czuć było nie można szkody.
Wolno tę biedną puśćmy ptaszynę,
I pocieszmy jéj smutną rodzinę!
Uczyńmy dobrze podług możności:
Na co i ptaszkom robić przykrości!"
A Koryl na to: „Temiro miła!
Nie myśl, żebyś mię tém zasmuciła,
Że ci ten mały dar nie smakuje,
Więcéj stąd twoje serce szacuję.
Puszczam ptaszynę!... Jeszcze prócz tego
Przy jéj gniazdeczku ziarna różnego
Nasypię, codzień przyniosę wody,
By łatwiéj mogła żywić płód młody.
Żem jéj do smutku podał przyczyny,
Tém się nagrodzi!... Puszczam ptaszynę!
Jak się tam drobne pocieszą dziatki!
Och! bo to prawda, że źle bez matki!"

## IV. Wilk i Liszka.

Liszka wilkowi przyjaciół psuje,
Po całym lesie go ogaduje,
Że żarłok nigdy nienasycony,
Że szkody robi na wszystkie strony.
Ja, mówi liszka, czémże ja szkodzę?
Jedną się prawie kurą obchodzę?
On konie, owce, woły pożera,
Jeszcze mi czasem kurę wydziera.



Wilkowi liszka winniejszą się zdała,
Że i źle robi, i jeszcze gadała.
Choć, kto ma siłę, temu przyczyn stawa,
Przecież ją wolał pociągnąć do prawa.
Gdy lew z sędziami zasiedli ławy,
Pies po trzy razy zawył do sprawy.
Po wysłuchaniu pisarz sądowy,
Małpa czytała wyrok takowy:
Ponieważ równie złe czynić chcecie,
Robiąc go tyle, ile możecie,
Równie oboje ten dekret wini:
Jeden a jeden to dwa uczyni.

## V. Bajka z francuskiego.

Młody książę z swym Mentorem
W lesie przechadzki zażywa,
I nudzi się, panów wzorem,
Bo ten zysk wielkości bywa.
Słowik zaśpiewał na pręcie,
Widzi go, słyszy głos rzadki,
Że był księciem, chciał w momencie
Złowić i wsadzić do klatki.
Ale gdy bieży z hałasem,
Ptaszek uleciał tymczasem.
— „Czemuż, rzekł książę markotny,
Słowik, co tak śpiewa mile,
Kryje się w lasach samotny,
A w mym domu wróblów tyle?"
— „Oto: byś miał, Mentor rzecze,
Naukę życia przyszłego:
Że głupi sam się przywlecze;
Trzeba szukać cnotliwego".

## VI. Orzeł i Sroka.

Sroka orłowi przymawiać się zdała,
„Tyś ptak milczący, ja z ludźmi gadała".
Ale ten, na to odpowie gadanie:
„Sto srok za orła jednego nie stanie".

### VII. Słup i Telega, bajka.

Słup, stojący blizko bramy,
Nacierpiał się od każdego:
Wjeżdżamy, czy wyjeżdżamy,
Zawsze się otrzéć o niego.
Różny nań przechodzień kłamał,
Że słaby, zwalić go miano.
Lecz jak raz telegę złamał,
Zdaleka go omijano.
To nastąpiło, co nastąpić miało:
Słup został słupem, telegi nie stało.

### VIII. Wiersze z poddanych czterech słów.

---

*Strumyk, Dąb, Myśl, Pamiątka.*

Strumyku! tyś miał czyściejsze wody,
Ten dąb wdzięczniejsze dawał nam chłody.
Siedzącym z Kloą, od dnia początka
Cóż się zostało? Myśl i pamiątka!

*Wdzięki, Wiosna, Pieszczoty, Nadzieja.*

Lubisz wdzięki, pieszczoty, wiosnę i nadzieję.
Te masz i temiś i tąś jest, a ta ci się śmieje...

*Niewinność, Pszczoła, Kwiaty, Miłość.*

Niewinność, pszczoła, miłość, kwiaty ubarwione,
Chciałaś, ażeby w wierszu mogły być zgodzone;
Nie łaj, Kloe, że chodzę za twemi oczyma:
Miłość się niewinności, pszczoła kwiatu trzyma.



*Wieczność, Pamiątka, Smutek, Nadzieja.*

Wieczność mi moję nadzieję odjęła,
Czemuż pamiątki i smutku nie wzięła?
Gdyby się była ze mną znosić chciała,
Ja-bym jéj jeszcze i życie me dała.

*Insze na toż.*

Najczęściéj smutek z nadzieją chodzi:
Co ten zakwasi, to ta osłodzi.
Mój smutek wieczność rozłączyć chciała:
Wzięła nadzieję, pamiątkę dała.

### IX. Do Kloryny.

Czego się śmiejesz, Kloryno?
Wkoło ciebie ludzie giną!
Ten na nię płacze, ten wzdycha,
Czego się ona uśmiécha?

### X. Nagrobek Nadziei.

Tę, którą żadna nie wstrzymała tama,
Im więcéjm gonił, tém prędzéj biegła,
Że zmordowana upadłszy sama,
Tu pogrzebiona nadzieja legła.
Przechodniu! dosyć przyszłością żyłem:
Ty się spodziewasz, a ja skończyłem.

### XI. Przestroga do Eufrozyny.

Już w twoich oczach Bóg miłości siedzi:
Zamknij się, bo jak serce ci nawiedzi,
On wchodzi z śmiechem, a radość umarza:
Ten gość zwyczajnie niszczy gospodarza.

### XII. Do pracującéj na kościół.

Zdobisz ołtarze ręki twojéj pracą:
Rób śmiało, dobrzeć robotę zapłacą;
Ja, za me trudy cóż z góry usłyszę?
„Lepiéj ta szyje, niżeli on pisze".

### XIII. Z Antologii poetów greckich niektóre tłómaczenia.

*Z Lucyliusza.*

Olimpi darował mi konia, jak żądałem;
Lecz gdy przyszło odbierać, ogon odebrałem.
Był téż tam koń, który stał przy tym ogonie,
Zamyślony o swoim nadchodzącym zgonie.

*Z tegoż.*

Jeśli masz nieprzyjaciół i chciałbyś ich zguby,
Próżno na ich zniszczenie czynisz bogom śluby.
Jam doświadczył, dlatego z wszystkiemi się swarzę,
Bóg późniéj, Symon lékarz prędzéj ludzi karze.

*Z tegoż.*

Kto pan?... Temira prawdziwa jest pani!
Czy się ja śmieję, czy płaczę, to dla niéj.

*Z Pallady.*

Prędzéj fortuny zniosę pocisk twardy,
Niżeli jeden wzrok bogacza hardy.

*Z Teognidesa.*

Nie dbam o skarby!... moje sprzęty złote:
Być w stanie miernym, i obok miéć cnotę.



*Z tegoż.*

Nic mię, ani w młodości, ani w starości nie cieszy:
Ta mi prędko ucieka, a ta ku mnie śpieszy.

*Z autora niewiadomego.*

Brzuchu obmierzły! przez twoję to sprawę,
Pochlebca przedał wolność za potrawę.

*Z niewiadomego.*

Pod murem leżącego bóg Serapis we śnie
Przestrzegł zbójcę: „Mur padnie, uciekaj stąd wcześnie".
Przebudzony z pośpiechem odbiegł trochę daléj,
Wtém prawdziwie tam, gdzie spał, mur się cały wali.
Ten, przed ludźmi chwali się, jak jest niebu drogi,
Jak go na coś wielkiego zachowują bogi.
Aliści znowu we śnie Serapis mu stanie:
„Źle sobie, rzekł, tłómaczysz moje przestrzeganie.
Odkrywam przeznaczenia twego tajemnicę,
Ty masz zginąć nie przez mur, lecz przez szubienicę".

*Z niewiadomego.*

Dzbanie gliniany, dzbanie!... pijąc z ciebie wino,
Wspominam, żem jest z gliny, mam być kiedyś gliną.

*Na posąg Nioby, z niewiadomego.*

Z żyjącéj gniew Jowisza w kamień mię obraca,
Praksytel mię z kamienia znowu życiu wraca.

*Na obraz Dydony, z niewiadomego.*

Eneasza w mém życiu nigdym nie widziała,
Ani za jego czasów miasto zakładała.
Byłam piękną! i gardząc ślubem z Jarbą grubym,
Zabiłam się, woląc śmierć, nad życie z nielubym.
Muzy! za cóż Marona na mnieście wzruszyły,
Że moję jego wiersze wstydliwość zczerniły?

*Z niewiadomego.*

Gdy mię starość z ubóstwem razem przyciskała,
A skąpa ręka ludzka wesprzéć mię nie chciała,
Wszedłem sam w grób, i umarł głodem przymuszony:
A tak, przed śmiercią jeszcze jestem pogrzebiony.

*Z Filippa.*

Arystyd miał coś, na swe ubóstwo surowe:
Owcę jednę za trzodę, za oborę—krowę.

*Z Antypatra.*

Boiska matka z córką swą Rodopą ginie,
Nie chorobą jakową, nie w poległych gminie,
Ale kiedy Korynt ich palił Mars zwycięzki,
Same sobie zgon życia obrały nadmęski.
Ta żelazem,—powrozem matka ginąć woli,
Że im wolna śmierć milsza, nad życie w niewoli.

*Z tegoż, na Dyogienesa.*

Kij, torba Dyogiena, suknia i płaszcz stary:
Oto już wszystkie, które w życiu miał ciężary.

*Z tegoż, na Posąg Wenery w Knidzie.*

Wenus w Knidzie, o boskie swe zazdrosna wdzięki,
Przyszła widzieć swój posąg Praksytela ręki.
Rzecze, pięknością sztuki będąc zadziwioną:
„Kiedyż mię to Praksytel widział obnażoną!"

*Z tegoż, na grób zatopionego.*

Zatopionego w morzu jestem grobem człeka,
Wszelako od żeglugi niech nikt nie ucieka;
Bo gdyśmy zatonęli, naszą klęską sławni,
Tak pływano po morzu potém, jak i dawniéj.



*Z Heraklidy.*

Rolniku! ten grunt łzami oblany,
Twe pługi temu grobowi szkodzą;
Chybi cię pewno zbiór pożądany:
Tu same tylko płacze się rodzą.

*Z Agatyasza na Niobę skamieniałą.*

Ten grób wewnątrz nie ma ciała,
Ten trup zewnątrz grobu niéma,
Grób się swego ciała trzyma,
Niobe to skamieniała.

*Z Antyfona.*

W zdroju zmył mężobójca ręce krwią zbroczone,
I wnet wyschło do szczętu źródło znieważone.

*Z Leonidy.*

Menestrat, Faetonta i Deukaliona
Odmalowawszy, spytał: jak téż zapłacona
Praca jego być mogła? Ktoś rzekł: „Nie bez szkody,
„Faeton wart jest ognia, Deukalion wody."

*Z Samii.*

Umierająca Porga te czułości świadki,
Ostatnie słowa z łzami rzekła do swéj matki:
„Matko! rzucam cię, idę w niewiadome kraje,
Tu się przy tobie jeszcze mój ojciec zostaje,
Co szczęśliwsze odemnie urodzisz mu dziécię,
Przy którém waszą starość słodko przepędzicie".

*Z Krynagory na obraz Nerona.*

Czyli to wschód, czy zachód, obie świata osi,
Wszystko dzieła Nerona nieśmiertelne głosi.
Wschód widział, jako przed nim Armenia klękła,
Zachód—jak się go ziemia Giermanów przelękła.
Ren i Arakses jego dziełami chwalebne,
Z których piją narody Nerona służebne!

## XIV. Do Księżnéj Eleonory Czartoryskiéj K. W. X. L.

Cnoty twe z twym się wiekiem nie starzały,
Tyś niemi codzień, jak przed laty sławną:
Tak gwiazdy, w które nieba się ubrały,
Świecą jednako, chociaż świecą dawno.

## XV. Do N. N.

Coś wdzięcznemi usty rzekła,
Na co spojrzysz piękném okiem,
Wszystkoś słodyczą powlekła,
I miłym robisz widokiem.
Patrz na nas, może też i my
W składniejszych się przemienimy.

## XVI. Pod portretem Elizy.

Oto obraz Elizy! lecz któż odmaluje
Jak rozumna! jak słodka! jak skromna! jak czuje!

## XVII. Niezawsze-śmy słowni.

Któż zawsze dotrzymał słowa?
Ten nie był: boli go głowa;
Ten nie mógł zjechać, bo słota;
Ten nie wszedł: zamknięte wrota;
Ten nie dosłuchał, bo plotki;
Ten nie biegł, bo ma nagniotki.
Panna Klara dziś nie była,
Bo wczora w nocy rodziła.
Próżno-byście, rodzie człeczy,
W tym wątpliwym biegu rzeczy,
Wszystko po swéj woli chcieli!
Nic na świecie bez *Jeżeli.*



## XVIII. Nadedrzwiami domu leśnego księżnéj Radziwiłłowéj K. W.

Zostańcie troski za drzwiami:
Ja tylko wnijdę z dziatkami.
Wnijdź, rzadka przyjaźni w świecie,
A troski idźcie, gdzie chcecie.

O, wy niewinne ptaszęta!
Moje tutejsze sąsiady!
Was pieści natura święta,
Żyjecie bez trosków, zdrady.

Nam, ludziom, oddano trudy,
Obmowy, fałsze i nudy.
Dano rozumu ofiarę,
I czułe serce, za karę!...

## XIX. Do Marcina Zaleskiego.

Że ktoś tam wierszami słynie,
Chcesz pisać, panie Marcinie,
I żeby miéć jakąś chwałę,
Nie dosypiasz nocy całe.
Idź, gdy ci ta droga miła,
Ale pierwéj trzeba siła
Zrobić, niźli zrobisz wiersze.
Twoje obowiązki pierwsze:
Oddać, co czyje, każdemu,
Bogu, ojczyźnie, bliźniemu.
Gdyś z temi wierzycielami
W pokoju, baw się wierszami.
Wiersz twój niech szanuje wiarę,
Obyczaje przodków stare,
Niech nie szarpie cudzéj sławy,
Z win ludzkich nie chce zabawy;
Wiersz twój niech ma piętno cnoty,
Niech cieszy ziemskie kłopoty,
Niechaj chwali czyn chwalebny,
Nigdy nie będąc służebny,
Niech obywatelstwem słynie:
Tak nam pisz, panie Marcinie.

## XXI. Do księcia Konstantego Czartoryskiego, list wymawiający się.

Żeć nie służę, daruj książę:
Do domku mojego dążę,
Ciebie droga matka czeka,
Na zwłokę czasu narzeka,
W tę stronę oknem wygląda,
Skąd powrotu twego żąda.
I mnie w ubogiéj osadzie
Wieśniak z ojcem swoim kładzie,
Klnie tych, co mię tu chcą bawić.
Tyś wart, by cię błogosławić.
Jak tylko mię wśród wsi zoczą,
Zaraz nakoło otoczą.
Starszy mię uprzejmie wita,
Dziecko o gościniec pyta.
Postają koło mnie w szranki
Odbierać swe obwarzanki.
Ten wziął dwa, choć mu zjeść chce się,
Drugi dla swéj siostry niesie.
Tak, gdy ją prawdziwą czuję,
Tanio mię rozkosz kosztuje.
Szczęście czasem, jak mą znacie,
Lubi mieszkać w takiéj chacie.

## XXII. Reguły powszechniejsze dla gospodarzów domu.

I.

Przysłowie niesie: jaki pan i słudzy tacy;
Gospodarz ma dać przykład do cnoty i pracy.

II.

Lenistwo traci, praca zyskuje ostrożna:
Nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można.

III.

Dla każdéj rzeczy miejsce naznaczyć należy:
Uważaj, czy każda rzecz na swém miejscu leży.



IV.

Zajrzyj często w każdy kąt. By ich nie karano,
Pilni będą służebni, robiąc, co kazano.

V.

Trzeba tę opinią zrobić w niższych domu,
Że rządca umie rządzić, bez krzywdy nikomu.

VI.

Jak najprostsza linia jest najkrótszą wszędzie,
To, co może być proste, niech krzywe nie będzie.

VII.

Przewiduj, zapobiegaj, byś straty nie miewał,
Głupi mówi po szkodzie: „Jam się nie spodziewał."

VIII.

W zagrodzie i blizko niéj niech się nic nie pali:
Ogień wielu pogubił, co mu dowierzali.

IX.

Masz się zawsze do robót gruntownych sposobić:
Nie dosyć to jest zrobić, ale dobrze zrobić.

X.

Nie polegaj ze wszystkiém na inszych posłudze,
Ile można sam dojrzyj: ślepe oczy cudze.

XI.

Miéj dozór, twój robotnik żeby nie próżnował:
Miéj litość, i nad siłę żeby nie pracował.

XII.

Dziś napraw, co potrzeba koniecznie naprawić,
Jutro może taż praca w dwójnasób zabawić.

XIII.

To rób w pogodę, a to odkładaj na słotę;
Ale zawsze namyśl się, nim zaczniesz robotę.

XIV.

Nie umiesz czego zrobić, lepiéj szukać rady,
Niż ze szkodą popełniać w twéj robocie wady.

XV.

Nie pytaj się, czy pełnia, czyli kwadra nieba:
Pracuj każdego czasu, gdy co robić trzeba.

XVI.

Porządne ochędóstwo, i w domu, i wszędzie
Dobrego gospodarza pierwszym znakiem będzie.

VXII.

Nie dokończysz wszystkiego, pracując dniem całym:
Ma co robić gospodarz, byle chciał być dbałym.

XVIII.

Gospodarz długo śpiący zrobi zbioru mało:
Spał dosyć, gdy siedm godzin spanie mu zabrało.

## XXIII. Brutus o nieśmiertelności duszy.

Brutus w pośrodku Rzymian, jak wśród braci, żyje:
Głodnemu chleb swój daje, nagiego okryje.
Sławy bliźnich nie szarpie, cudzego nie chciwy,
Nie rozpustnik, nie chytry, nie zdrajca, nie mściwy.
Przykładem jest w kościołach, i pomocą w radzie;
Przy dobru pospolitém życie swoje kładzie.
To sobie zawsze za wzór życia miał prawdziwy:
Brutusie! bądź poczciwym, a będziesz szczęśliwy.
Otóż ojczyzna ginie; z tą wolnością starą,
Z tą braterską równością staje się ofiarą
Zuchwałości jednego! Kościoły złupione;
Domy obywatelskie w popiół obrócone;
Wszystkie kąty rzymskiego państwa pełne wojny,
Gdzie krew leje domową Cezar niespokojny.
Na taki to Rzym patrząc Brutus sprawiedliwy,
Płacząc gorzko, pomyśli: także to złośliwy
Nad cnotą weźmie górę? i ujdzie bezkarnie
Z łupem zdartym z poczciwych? i także to marnie
Wydziera matkom dzieci, i ołtarzom złoto!
A Bóg się i natura nie upomni o to?...
Bogowie! jeśli cnotą moją się zasłonię,
A wyście sprawiedliwi, ja Rzym ten obronię.



Tak myślił, i do boku broń swą przypasuje.
Próżno wierna czeladka płacząc zatrzymuje:
Rzuca dom, zbiera wojsko na Cezaryany,
Pewien, przy dobréj sprawie i cnocie, wygranéj.
Brutusie! cóż ja widzę! wojska twe zniesione,
Nadzieje twe upadłe, piersi krwią zbroczone,
Z których szlachetna dusza (o ojczyzny strato!)
Przez rany dobywa się. A Brutus mi na to:
„Fraszka cnota, i próżne ma tylko nazwisko.”
O Brutusie! i za cóż tak ją kładziesz nizko?
Któréj tron nad poziome rzeczy podnieść chciano,
Któréj tryumf na ziemi: być prześladowaną!
Brutusie!... synu bogów! synu ukochany!
Obaczysz, żeś w twéj cnocie nie jest oszukany.
Znamienitego życia nie plam końcem takim:
Ty zawsze byłeś wielkim; bądź w śmierci jednakim.
Ne polach filipińskich pod jednymże głazem
Sławy i twéj nadziei z ciałem nie kładź razem.
Jeśli bogowie rządzą, rząd ich sprawiedliwy,
Toć, jeżeli nad cnotą przemaga złośliwy,
Jeżeli zuchwałemu wiedzie się statecznie,
Dusza twa nieśmiertelną być musi koniecznie.
Bo gdyby umierała — ach, żleby rządzili,
Żeby zbrodniom niewinność gnębić pozwolili,
A złoczyńcom, w nagrodę złości ich służyło
Szczęście, i to się wszystko wraz z śmiercią kończyło.
Dziś jeszcze twą nagrodę odbierzesz.—Wtém z ciała
Czysta dusza Brutusa ku niebu wzleciała.

## XXIV. Szczęście czyli opisanie Raju.

Któżto jest nad tym brzegiem czystego potoku?
Szyszak z głowy zdejmuje, i broń swą od boku
Odpasuje. Uczciwa na głowie siwizna;
I tyle blizn! może to jego jest ojczyzna,
Za którą on, przy wodzu swoim zawsze wierny,
Od młodości bojował, i kraj ten niezmierny
W nagrodę trudów swoich posiada spokojnie.
Zdaje się, że o dalszéj już nie myśli wojnie:

W twarzy jego spokojność, którą człowiek miewa,
Co się znikąd przykrości żadnéj nie spodziewa.
Często broń swą ogląda, co w potrzebach wielu
Chwalebnie jéj doświadczał na nieprzyjacielu.
Z pociechą, razy po niéj rachując, wspomina
Co poniósł, co go która kosztuje godzina.
Znać, że w jakimsiś długim być musiał niewczasie;
Z bladéj twarzy rumieniec słaby dobywa się,
I chociaż mu siwizna głowę obsypała,
Młodość z ciała całego ustąpić nie chciała.
W kraj ten piękny niedawno ma być sprowadzony,
Bo słucha, bo na wszystko patrzy zadziwiony.
Lecz któżby się nie dziwił? W tém to miejscu cała
Natura z swojemi się skarbami wylała.
Czysta rzeka przez środek niezmiernéj płaszczyzny
Zwolna płynie. Tysiącem kwiatów brzeg jéj żyzny,
W wodzie się odbijając, ogród nowy grodzi,
W którym bezpieczna ryba śmiało się przechodzi,
I w zbytku swych rozkoszy w górę podskakuje,
A tak piękny swój ogród, nierozmyślna, psuje.
Indziéj gaik zielony nad samym wód stokiem;
Tam się ptastwa drobnego naleciało tłokiem.
Słowik najpierwszy dawną swoję pieśń zaczyna.
Nuż potém kiedy cała ozwie się drużyna!
Tysiące pięknych głosów jeden głos składają,
Którym swoich miłości pochwały śpiewają.
Żadnego tu zapewne drapieżnego ptaka
Niemasz, kiedy drobiazgu tego liczba taka;
I żaden tu zwierz dziki na nie się nie skrada,
Ani nielitościwy ptasznik sieć zakłada.
Owca chodzi samopas, nic ją nie zatrzyma:
Znać tu ani pasterzów, ani wilków niéma.
Ale skąd się ta wonność niezwyczajna wzięła?
I całe to wesołe powietrze objęła?
Małe w pięknych równinach lasy się zielenią:
Tam się żywym balsamem tłuste drzewa pienią,
Tam gałęzie owoców różnych pełne wiszą;
Tam, lekkim tknięte wiatrem, kwiaty się kołyszą;
Wszystkie razem, cudowną tę wonność składają:
Może tu przy téj woni i o smak nie dbają.



Otóż z innego miejsca znowu jakieś głosy
Wesoło śpiewających chwalą swoje ciosy;
Przypadkom swym dziękują, że z ich ręki mają
To szczęście, co bez trwogi niém się nasycają.
Skądinąd jeszcze słychać instrumentów brzmienie;
Swarność ich nad same jest większą zadziwienie!
I w téj godzinie pieszczonéj gwałtem ciągną duszę,
Że ledwie nadewszystko nie do nich lgnąć muszę,
Ale co dziwniejszego! tu nie widać słońca:
Światłość się tylko jakaś od końca do końca
Przeciągnęła; we wszystkie śmiało patrzaj strony,
Nigdzie wzrok nie jest ostrym promieniem zrażony.
Toć już tu naprzykrzonych upałów nie będzie!
Już pasterz udychany w chłodzie nie usiędzie
Przed spieką; nie będzie tu nigdy nocy ciemnéj,
Ani zwyczajnéj ziemi pary nieprzyjemnéj.
Zima stąd w nasze kraje uciekła i słoty
Razem z rolą nas moczą. Tu-to ów wiek złoty!
Tu czystego powietrza chmura nie zasłoni,
Ni się trwożąca ludzi błyskawica goni;
Ani piorun lękliwą ptaszynę nie płoszy,
Ani grad pełne kwiatów ogrody pustoszy.
Nie bywa tu posuchy, nie bywa powodzi;
Ziemia się swą tłustością bez słońca obchodzi.
Jak tylko na swe pory rok tu się nie dzieli,
Toć już wiecznie niewinna lilia się bieli,
Wiecznie róża czerwieni; z kwiatem frukt dojrzały,
Na jednéj się gałęzi razem pomięszały.
Niemasz uschłego drzewa, ni znaku boleści:
Ze wszystkiém tu łaskawsza natura się pieści.
Zadna drogi w te lasy nie znała siekiera,
I zdaje się, jakoby nic tu nie umiera.
Któż to jest nad tym brzegiem? w jakimże to kraju?
Niepodobna: to święty, a ja jestem w Raju.

## XXV. Mrówka.

Po co jedziesz, Ksymenie, w oddalone kraje
Szukać umiejętności?... Naturać się staje

Na każdém miejscu szkołą: to drzewo, ta woda,
Ta łąka pełna kwiatów, to ptastwo, ta trzoda,
Byleś tylko chciał myśléć, na całe cię życie
Zatrudni pożytecznie. Naturo! ty skrycie
Wszystko robisz przed nami, żeby obdarzony
Człowiek myślą, w badaniu dróg twych zatopiony,
Tęsknotę tego życia rozrywał. Ksymenie!
Pójdź ze mną na to pole: tam z gór rzeka żenie;
Tam się wesołe trzody pasą, pasterz śpiéwa,
I deszczem opatrzona mgli się góra siwa.
Siądźmy na téj murawie... Otóż mrówek stado!
Jak liczną za żywnością wychodzą gromadą!
Jak z pilnością szukają! potrzeba, mistrzyni,
I sprawność im i przemysł w ich staraniach czyni.
Ale patrz-no: zdaleka idzie coś obcego,
Ciągnąc za sobą muchy pół tusza przedniego;
Od tutejszych odmienna barwą swoją szarą
I mniejsza! Pódźmyż za nią okiem... Z jakąż wiarą
Prawa tu gościnności w tym kraju chowają!
Tysiąc ich wkoło biega, a nic nie tykają;
Gościa przechodzącego ani się kto spyta.
Przeszła kraj cały mrówek czerwonych bez myta.
Nie spuszczajmy jéj z oczu... Jakże biedna krwawo
Pracuje! już podobno tu między tą trawą
Jéj się zdobycz zostanie, upada na sile,
Tyle drogi przebywszy, i niewygód tyle!
Między dwiema trawkami zdobycz jéj splątana
Próżno ciągnąc swój ciężar, prawie na kolana
Upada; próżno często spoczywa, i siły
I sposobów próbuje, bo ją opuściły.
Otóż upracowana, odpocząwszy mało,
W tył zachodzi i spodem tę machinę całą
Podsunąwszy się dźwignie; tak w wierzchołkach trawa
Uchyla się, i ciężar za przeprawą stawa.
Ziemia dopiero deszczem rzęsistym się zlała,
I jeszcze się miejscami woda nie schowała.
O, jak przez wiele biedna rzek się przeprawiła!
A wszędzie przemysł więcéj ważył, niźli siła.
Już teraz pewnie zginie, albo łup swój zgubi:
Kraj tu czarnych olbrzymów, i ci zbójce grubi



Otoczyli ją wkoło; zdobycz odebrali,
Przecież część tylko wziąwszy, resztę jéj oddali;
Ależ potém wzdłuż idąc téj krainy całéj,
Już jéj się rozbójnicze roty umykały.
Może i pismo jakie przeprawy jéj dano,
Że ją z taką bacznością wszędy przepuszczano.
Otóż tu szare mrówki: pewna jéj dziedzina!
Te, co biegną najpierwéj, może to rodzina!
Z drogi swoję siostrzyczkę przodem wyszła witać,
I o jéj powodzeniach najpierwéj się pytać.
Gdybyś im, mrówko! o twych przygodach wspomniała,
Cała-by szara twoja rodzina płakała.
Ale czas był radości: sypią się tłumami,
I tak ją wprowadzają w bramy z tryumfami.
Ksymenie! wszakżeśmy to miejsce naznaczyli,
Gdzieśmy ją najpierwszy raz idącą zoczyli,
Ktoby się był spodziewał? na kroków trzydzieści
Po przykréj drodze uszła; a to co bez wieści
Naszéj pierwéj ujść mogła! Patrz na rzecz dziwniejszą:
Ktoby z nas drogę dla niéj wynalazł prościejszą?
Kto prowadził tak równo, że nic nie zbłądziła?
Od kogo się czterech plag świata nauczyła?
Jeśli ma pamięć! pamięć jest nad zadziwienie,
Żeby tak szczupłe w sobie i błahe stworzenie
Dar ten nieba mieć mogło; ale cóż kosztuje
Boga, czy ją Aniołom, czy mrówkom daruje?
A jeśli węch, albo wzrok mają téj ostrości,
Znowu cud, że je w takiéj zamknięto szczupłości.
O! jakże ta rzecz mała wiele nam probuje!
Bóg się większym w najmniejszéj rzeczy pokazuje.
Ale otwórzmy nożem gmachy ich podziemne.
Tam ich rady, tam ich rząd, tam ich miasto ciemne
Obaczymy... Oto już wejście się skończyło;
I jakiś rynek: tysiąc drzwi go otoczyło,
Z których się obywatel wśród miasta gromadzi
I około dostanéj świeżo pastwy radzi.
Już ją na kilkanaście części podzielili:
Jedni wzięli, a drudzy jeszcze się przykrzyli
O swój udział. Wtém, blaskiem noża przestraszone,
Rozbiegły się, każda w swą schroniła się stronę.

Darujcie nam, niewinni mieszkańcy téj ziemi!
Nas tu wniosła ciekawość: ani za waszemi
Dobytkami idziemy, nie niesiem wam wojny;
Ani dlatego chcemy trząść dom wasz spokojny,
Żeby wam wolność, albo miły płód odbiérać;
Od tego noża żadna nie będzie umiérać,
I żadna się krwi kropla waszéj nie przeleje:
Nas tu wniosła ciekawość. Pewnie to nadzieje
Nieurodzajów w czasie i ciężka potrzeba
Ten publiczny magazyn założyła chleba.
Wśród zimy obywatel gdy zbierać nie może,
Stąd pomiernym podziałem wydają mu zboże.
I tak o jednym chlebie letniéj czeka pory,
W któréj pełne mięsiwa różnego komory
Zboże mu ochraniają: tu całe much tusze,
Tu jakieś nogi, a tu robaczki bez dusze
Leżą w jatkach publicznych. Złota tu nie znają;
Żadne monety biegu swojego nie mają;
Jednym dają za pracę, a drugim za długi:
Najpiękniejszy kawałek kupisz za zasługi.
Sprawiedliwość tę rządzi szczęśliwą krainę.
Komu się mniéj dostało, zna, że to za winę.
Nie zazdrości sąsiadom, owszem kontent z tego,
Że się pomiędzy sobą znają, kto wart czego.
Nie przeto ciężkiéj pracy zaniecha tam która;
Zdaje się sama na ich zapędy natura
Wzdrygać, kiedy z najdalszych miejsc wleką ciężary,
I większe i ważniejsze od nich, że do wiary
Ledwie będzie podobna, aby w ich szczupłości
Tak siła przemysł służył krajowéj miłości.

Pójdźmyż teraz po domach. Jakie ochędóstwo!
Jaka zgoda! a jakie familii mnóstwo!
Sprzętów żadnych nie widać; dom się ich nie dzieli:
Z krągła go, ale czysto, w twardéj ziemi rżnęli.
Wszystko tu ma znak jakiś niewinnéj prostoty,
Szczęśliwego ubóstwa i ciężkiéj roboty.
Prawo ma być surowe, aby nic dla siebie
W swym domu nie miéć; ale o publicznym chlebie
Żyć wszystkim, chcąc zapobiedz tym wyrokiem złotym
Przemożności mieszkańca i niezgodzie potém.
Ale cóżto za wejście większe od zwyczajnych?
Może tam będzie izba rad narodu tajnych;



Może tam niedołęgów chorych utrzymują,
Których wdzięczna powszechność żywi, choć próżnują.
Nie zgadliśmy, Ksymenie! patrzno, jak tu wiele
Mrówcząt młodych snuje się, jeszcze im na ciele
Sukienkę znać niewinną, i wzrost ich szczuplejszy,
I nogi jeszcze słabe, i barwy jaśniejszéj.
Kilka starych w pośrodku jakieś im nauki
Zapewne dawać muszą: już one tam sztuki
Tańcować, śpiéwać, albo nabycia czczéj chwały
Nie uczą; ni jakiby planety bieg miały,
Czy się ziemia obraca, czyli stoi słońce;
Insze ich do téj szkoły sprowadziły końce:
Być zdatnym w powszechności, niewygód cierpliwym,
Nie chciwym dobra swego, w pracy nie leniwym,
Żyć pomiernie, i bronić krajowéj całości,
Prócz powszechnéj, nie znając inszéj szczęśliwości.
Któż wié? może to mrówki Likurgowi dały
Te prawa, które Spartę tak długo trzymały;
Tam także z publicznego stołu wszyscy żyli;
Tam krwią i życiem swojéj całości bronili;
Tam wzięta od rodziców młodzież się ćwiczyła
W powszechnéj szkole, matką ojczyzna jéj była.
Nic dla siebie nie robiąc, zawsze pracowano;
Ani obywatela przemożnego znano.
Skarbów żadnych nikt nie miał i za spadek cały
Cnotę po swoich rodzicach dzieci posiadały.
Wspomnijmyż sobie teraz Spartańczyków dziéła,
Jak się przed ich nogami Persya schyliła.
Równo z poziomym chwastem deptali korony,
Tylu tronów panowie, nie dbając o trony.
Skutek to był szczęśliwy Sparty pomierności,
Pracowitego życia i kraju miłości.
Ksymenie! cóż masz dzisiaj równego w Europie?
Kto tam, jak wódz spartański, swoję ziemię kopie?
I razem pysznych posłów Azyi przyjmuje?
Pokój czyni, albo im wojnę obiecuje?
Bogaty zbytek nasze opanował kraje,
Stąd się miękkość podniosła, odwaga ustaje;
Miłość dobra własnego wszędzie rzuca siatki:
Co zechce, niech się dzieje, byle miéć dostatki.
Na cóż się po Europie trudzić nadaremno?
Lepiéj uczmy się w domu, patrz na mrówki ze mną.

## XXVI. Wezyr Giafar do Haruna [1]) Al-Raszyd.

Strumień najczystszy, co w Firuzbad [2]) płynie,
Który pasterza w upału godzinie
Siły orzeźwia: róża rozkwitniona,
Jeszcze człowieczą ręką niedotkniona,
Jutrzenka, która biało świeci z rana:
Oto Abassy piękność opisana.
Wielki Kalifo! który w całéj ziemi
Sprawiedliwym się zwiesz [3]) między wiernemi [4]),
Od rzeki Indu [5]) aż gdzie ziemia stała
Silnym się morzom zachodnim poddała;
W krajach tych wszystkich panowania twego
Smutnego ciężko znaléźć poddanego.
Jeden Giafar, stróż twojéj pieczęci,
Tłómacz twych myśli, wykonywacz chęci,
Jeden Giafar troszczy się i nudzi
W pośrodku tylu najszczęśliwszych ludzi.
Nie chcąc rozrywek twych dzielić na dwoje,
Otworzyłeś mi Abassy pokoje,
Żebym z nią razem tęskność twoję bawił,
A czcześ mi męża nazwisko zostawił.
Okrutny to dar, dzika łaska była,
Co mię w Abassy harem [6]) wprowadziła.
Bo cóż mi potém nazywać ją żoną,
Gdy na nią tylko patrzyć pozwolono?

---

[1]) Harun Al-Raszyd z domu Abbasydów, wielki Kalifa muzułmanów, około roku od Narodzenia Chrystusa 800 panujący, Giafara, najsprawiedliwszego czasów swoich, do rządu państwa i na urząd pierwszego wezyra podniósł, i jeszcze tak się w nim rozkochał, że wszystkie zabawy bez Giafara przykrzyły mu się. Ale że razem Kalifa i do siostry swojéj Abassy, która go rozumem swoim bawić umiała, był przywiązany nie chcąc rozrywek swoich na dwoje dzielić, Giafara tytularnym mężem Abbasy robi (co dało prawo wezyrowi temu wchodzenia do pokojów Abassy), ale z najsurowszym zakazem naruszenia czystości jéj.

[2]) Firuzbad, jest położenie miejsca najpiękniejsze na zachodnim końcu Parsyi. Wschodnie narody nazywają to miejsce rajem ziemskim.

[3]) Słowo Al-Raszyd z arabskiego znaczy „sprawiedliwy." Przydano to do tytułów Kalify Haruna, dla jego wielkiéj sprawiedliwości.

[4]) Słowo „Muzułman", znaczy: wierny.

[5]) Harun Kalifa od rzeki Indus aż do Oceanu Atlantyckiego posiadał kraje na mil blizko 1500. Szerokości zaś na mil blizko 500.

[6]) Harem jest to skryte mieszkanie kobiet muzułmańskich, gdzie pod gardłem nikomu z mężczyzn wchodzić nie wolno.



Duże jéj oczy, włos i brew ciemna,
Czerstwy rumieniec, i białość przyjemna,
Piękny skład twarzy coś wielkiego znaczył;
Takąm Abassę pierwszy raz obaczył.
Gdy potém z wstydu nieco opłonęła,
Bardziéj mię jeszcze rozumem ujęła,
Rozumem, który słynie w powszechności,
Jako ty słyniesz ze sprawiedliwości.
Ostatni to był moment méj swobody;
Bo potém miłość z rozpaczą w zawody,
Albo na życie ręce uzbrajała,
Albo je jakąś nadzieją trzymała.
Wielki proroku! co mię w téj godzinie
Słyszysz, i święta którego krew płynie
W żyłach Abassy [1]): czemuś nie przeszkodził,
Gdym miał pokochać? albo gdym się rodził?
Albo... Abassa na co się rodziła!..
Karz mię, Harunie, bo już mówię siła:
Ona w podróży zawsze za mną goni,
Przed nią się w lasach Giafar nie schroni;
Płynie po rzece, za mną na koń wsiada;
Ze mną je, pije, ze mną cień jéj gada,
Nawet kiedy to w moim smutku piszę,
Zdaje się, że, ją cieszącą mię, słyszę.
W Mekki kościele [2]) od początku ziemi,
Gdzie Bóg przebywa z synami ludzkiemi,
Daleki pielgrzym łzami próg [3]) obmywa
A mnie Abassa modlitwę przerywa.

---

[1]) Abbas (którego domu był Harun) był stryjecznym Mahometa fałszywego proroka; stykają się te dwie linie pod Haszem, dziadem Mahometa i Abbasa. Dla tego Abbasydowie nazywali się Haszemitami. Dom Abbasydów panował w Azyi pod imieniem Kalifów (czyli rządców duchownych, razem i świeckich muzułmańskich) przez lat 520. Ze wszystkiém wyniszczony przez Holagu, hana Tatarów, czyli Mongołów, roku 1258, kiedy i ostatni domu tego Kalifa Mostazem zginął.

[2]) Mają z tradycyi mahometanie, że na tém miejscu, gdzie jest ten kościół w Mekce, Adam wystawił był przybytek, gdzie się modlił Bogu z potomstwem swojém. Abraham po potopie na témże miejscu ofiarował Izaaka: zatrzymany w téj ofierze od Anioła, wystawił tamże kościół Bogu, który tenże sam dotychczas (jak powiadają) utrzymuje się. To pewna, że ten kościół zawsze będzie bardzo dawnym, gdyż pamiętnika w historyach nie masz o inszych początkach jego. Ma wzdłuż łokci 24, wszerz 23, zwyż łokci 27.

[3]) Próg w tym kościele jest bardzo podniesiony. Pielgrzymi zwyczajnie przy tym progu modlą się, a mahometanie to między cudami tegoż kościoła rachują, że każdy tam przychodzący płakać musi.

Bóg na mój ucisk spojrzał niezmierzony,
I darował mi, bom myślał do żony.
Darował mi to, bom myślał niechcący,
Między nim i nią dzieląc płacz gorący.
Woda ta, którą Agar [1]) nasza piła,
Mówią, że tylu chorych uzdrowiła:
Próżne gadania... bo ją próżno piłem...
Znać, żem był nie wart łaski... i bluźniłem.
O ty! co z twego spokojny kochania,
Trzymasz się Boga, i bez narzekania
Na los twój żyjesz! nieznośnych nie mają
Nigdy przypadków ci, co się kochają.
Kalifo! skróć mi ten wiek mój niemiły;
Zabić się nie mam ni prawa ni siły.
Twoje zakazy przezemnie zgwałcone:
Kocham Abassę tak, jak mąż swą żonę.
Miłość kiedy się trafi nieszczęśliwa,
Stanu ludzkiego poniżeniem bywa.
Jak wiele razy, na wzgardę natury,
Być przemienionym chciałem w ubiór który,
Co się białego jéj dotyka ciała,
I co najbliższe koło siebie miała!
Albo w przepaskę, która jéj stan dzieli,
A czasem w płótno jakie jéj pościeli;
W chustę tę, którą w łaźni się ociéra:
Takeś twojego upodlił wezyra!
Sen, to pomocne zapomnienia ziele,
Ta jedna folga tych, co cierpią wiele,
On mię odstąpił: ona go zabrała!
Jakby nie dosyć całego dnia miała,
Zawsze się do mnie wciśnie i żartuje
Z ogromnéj warty, co przy mych drzwiach czuje.
Wczora już ranny szmer się po Bagdadzie [2])
Rozchodził i czas był zasiadać w radzie,

[1]) Agar z Izmaelem, głową Izmaelitów czyli Arabów, będąc zostawiona od Abrahama na puszczy. w pragnieniu przez Anioła miała sobie pokazaną wodę. Tradycye muzułmańskie twierdzą, że taż sama jest studnia przy Mekce, teraz nazwana „Zemzem". Z tradycyj podanych przez Omara jest, jakoby często mawiał Mahomet: „kto z téj studni pije, od chorób ciała uzdrowionym będzie: kto zaś obficiéj pije, i grzechy mu jeszcze będą odpuszczone."

[2]) Bagdad, miasto w dawnéj Chaldei, przez Kalifę Almanzora, z domu Abbasydów drugiego, przy rzece Tygrys założone, przez lat 500 było stolicą Kalifów.



Sen mię ogarnął: Abassę ujrzałem
W stanie, w jakim ją nigdy nie widziałem.
Jedną się ręką za włosy targała,
A w drugiéj grubą koszulę trzymała;
Potém mi rzecze, pełna łez i łkania:
Oto są skutki twego przywiązania!
Harunie! jeśli sen swą prawdę miewa,
Abassa niech się ubóstwa spodziewa;
Które odemnie zacząć by się miało,
A na nią prawem mych nieszczęść spadało.
Tak jest, Kalifo! odbierz pieczęć twoję,
I wielkie skarby, o które nie stoję;
Pozwól, niech potém przed Abassą klęczę:
Może jéj nędzą moją nie odstręczę,
Może to na niéj krwawe łzy wymogą,
Że pójdzie mojéj złéj fortuny drogą.
Jak słońce zajdzie, księżyc się pokaże,
Wyjdziemy z miasta... Och! na cóż się ważę?
Najszlachetniejszą krew na całéj ziemi...
Siostrę Kalify... pomiędzy cudzemi
Tułać narody... wnukę muzułmańską
Dać może w pośmiech i wzgardę pogańską!..
Nie chcę... niech raczéj zginę! albo jeszcze,
Jeśli się w twoich dawnych łaskach mieszczę,
I przez grób święty proroka w Medynie [1])
Daj mi Abassę! tak, jak dajesz ziemi
Słodką szczęśliwość rządami twojemi:
Żeby nie mówił kiedyś kto złośliwy,
Że był w twém państwie jeden nieszczęśliwy [2]).

## XXVII. Sumienie.

Quos diri conscia facti
Mens habet attonitos, et surdo verbere caedit.
Juven. Sat. 13.

Noc przyszła i z nią razem ciemna jéj drużyna
Po dołach się rozbieży, po górach się wspina.

[1]) Medyna jest słowo arabskie, i znaczy miasto; nazywało się przedtém Jatreb. Dopiéro po ucieczce tam fałszywego proroka z Mekki (co jest początkiem Hegiry, czyli liczby lat mahometańskich), zaczęto go nazywać, Medynat, albo Nabi, to jest miasto proroka.

[2]) Giafar złamał zakaz Kalify, widywał się skrycie z Abassą; urodzone

Czarnym kirem naturę przykrywając całą,
Aby słodko stworzenie zmordowane spało.
Jeden mój nieprzyjaciel nigdy nieuśpiony,
I jako do potrzeby zawsze uzbrojony,
Czuwa na mnie; sen miesza, stawia sidła w cieniu,
Zaraz mię napadając po mém przebudzeniu.
Szczęśliwy! z którym rada niewinność przebywa:
Ona go od snów strasznych swą ręką zakrywa;
O zabawne dla niego marzenia się chwyta,
I zwolna zbudzonego uśmiechem swym wita.
Za lat młodszych ja także tak szczęśliwy byłem,
Wpośród nocy głębokiéj sam wesół chodziłem,
I patrząc na ten księżyc, i na tych gwiazd zgraje,
Z pociechą śpiéwał temu, który im bieg daje.
Dzisiaj je blade widzę, chociaż świécą jasno:
Między łzami mych oczu promienie ich gasną.
A nawet patrzyć na nie przychodzi oporem:
Wstyd mi się pokazywać przed tym nieba dworem.
Szum wody przeszłą świata przypomina karę,
I zdaje się, że znowu morza brzegi stare
Poddały się, falami zbite gwałtownemi,
Nowym grożąc zalewem obwinionéj ziemi.
Ptak nocny, inszym dla mnie stając się tyranem,
Okropny głos swój miesza z nocą i z mym stanem.
Niby mię za coś łaje, i coś wywołuje;
A mój mu nieprzyjaciel jeszcze potakuje.
Wezmę żałośną lutnię i przez tęskne tony
Powiadam cichym ścianom stan mój uprzykrzony,
Które toż powtarzając podczas tonu przerwy,
Niby się pouczają, com im zadał pierwéj.

---

dziecię posłali do Mekki; o czém wkrótce dowiedział się Kalifa, i Giafara zabić rozkazał. Głowę jego nad mostem bagdadzkim zawieszono i surowy na całe miasto zakaz wyszedł, ażeby nikt o nim w posiedzeniach nawet wspominać nie ważył się. Dom nadto cały Giafara wygubił: ojciec i trzech braci jego mizernie w więzieniu poginęło. Tak nędznie upadł zacny ten, bo z królów perskich wyprowadzający się dom Barmecydów, który bogactwy wielkiemi, i najbardziéj miłością u ludzi, głośno słynął.

Abbasę zaś z pałaców cesarskich wyrzucono: I do takiéj potém nędzy przyszła, że chlebem żebranym żyła.

Kondemir powiada, że Harun Kalifa, z przywiązania zbytecznego, które miał do Giafara, do trzydziestu milionów drachm w srebrze na rok jeden dawał w prezentach Giafarowi: po zabiciu zaś Giafara, ledwie kilka na potrzeby pogrzebu jego ze skarbu dano.



Próżno ogień rozniecam, co swoim płomieniem,
Co różnością farb swoich, co mię bawił cieniem:
Dziś mię straszy, że wkrótce dni zemsty nastają,
Gdzie spłoną suche góry, co mnie otaczają.
W takiéj trwodze wyglądam porankowéj zorzy:
Azali mi mój smutek cokolwiek umorzy
Czas, w który, powiadam, jakąś folgę czują
Ci, co, słabością ciała złożeni, chorują.
Już ptaki pierwszy słońca promień przywitały,
Gór wierzchołki ożywném światłem zajaśniały;
Rolnik budzi do pracy czeladkę zaspanę....
I ja cokolwiek oczy przecieram spłakane.
Przecież mój nieprzyjaciel próżnować nie lubi;
Wszystkie moje rozrywki, w ich początkach gubi;
Z goryczą mięsza wszystko, co jadam i piję;
Z jego ręki, codziennie umierając, żyję.
Okrutną jakąś rozkosz i pociechę miewa,
Gdy widzi, jak mi czasem srogi ból dogrzewa.
Lubi jątrzyć me rany, lubi gdy się trwożę,
Ale zabić mię nigdy nie chce, czy nie może!
Co mię tylko otacza, zarazą ozionął;
Boję się słońca, chmury, wiatru, co powionął.
Smutno mruczą strumyki, ptak żałośnie śpiéwa,
Łąka się stała tęskna, i róża nieżywa.
Zacząwszy od przyjaciół, których nie mam w biédzie,
Wszystko za jego wozem tryumfalnym idzie,
Wszystko groźną piorunem pooblekał chmurą,
I z całą mię mój tyran pokłócił naturą.
Sumnienie! kto ty jesteś, żeby ci bezkarnie
Ujść miało tyle ludzi uciśnionych marnie?
Od pierwszego człowieka, co się w czémsiś zmylił,
Próżno się każdy oprzéć twojéj broni silił.
Krwawe twoje chorągwie od kolebki świata
Rozwinąwszy, wojujesz przez tysiączne lata,
Chlubą nadęty; łupów zwycięskich bez liku
Nawieszałeś po świecie, stary najezdniku!
Czemu, walcząc pod hasłem niezwyciężonego,
Zabiegasz aż do kąta ziemi ostatniego?
Strach robiąc cię bożyszczem, wspiera wielkość twoją:
A tymeś tylko mocny, że się ciebie boją.
Ja wydam twój ród podły: zdejmę tę maszkarę,
Pod którąś dokazywał na twéj sławy wiarę.

Zbiorę lud rozpierzchniony, dam na cię oręże:
Przynajmniéj cię zawstydzę, kiedy nie zwyciężę!
Zmięszanie cudzołożne wielu niecnót w ciszy
Dało ci życie, które głupstwem naszém dyszy;
Które, jako słabieje, gdy się ustatkujesz,
Tak go rozbojem szlaków bitych utrzymujesz.
Kto ma męstwo poczciwe, szuka przeciwnika,
Który się z nim równemi siłami potyka:
Nie znieważaj swéj broni rzezią tłuszczy krwawą;
Ty napadasz bezbronnych, i zowiesz to sławą!
Żyj, święta wspaniałości! a tyś ją umorzył,
Komuś kiedy darował, choć się upokorzył?
Srożejesz, gdy przed tobą drżę ze strachu cały;
Podłyś jest, i dlatego w twém szczęściu zuchwały,
A ja złorzeczę temu, którego się boję!...
Sędzio, świadku i panie, daruj głupstwo moje!
Nie przyczyniaj mi nowéj do dawnych ran rany!
O groźny mój tyranie! o nieubłagany!
Chciałbym zejść z oczu twoich, mój dozorco srogi;
Aleś mi do ucieczki pozalegał drogi.
Jużeś mię ścisnął zblizka... ziemi wywołaniec,
Zamknę się chyba w sobie, w mój ostatni szaniec.
Tak jest; gdziem dotąd jeszcze (jakbym go się wstydził).
Nie był nigdy, i wiernych progów nie odwiedził,
Pójdę do serca mego, i tam troski moje
Na łonie przyjacielskiém cokolwiek ukoję.
Pójdę! mój ten przyjaciel, mój ten zawołany,
Kiedym tak w domu jego dawno pożądany,
Nazwie to dniem szczęśliwym, gościną przyjemną:
Odpocznę w sercu mojém, i serce me ze mną.
Zostańcie przy drzwiach troski, tęskne zamyślenia,
Narzekania tajemne, i głośne jęczenia!
Ja sam tylko tu wnijdę, w tę pociechy bramę:
Do was już nie powrócę, zostańcie tu same.
Jam to mówił — a los mój poszedł swoją drogą.
Zdrada jest: w pośrodku mnie oszukany-m srogo!
Mój główny nieprzyjaciel, nie wiem jakim kształtem,
Opanował me serce i mieszka w niém gwałtem.
Marna moja nadziejo! jedno miejsce było,
Co mi za ostateczne schronienie służyło.
Mój tyran w całym świecie, jak w swoim się krząta:
Mnie małego w mém sercu pozazdrościł kąta.



Och! on tu, widzę, nie sam: jakże się rozrodził!
Całą swoję rodzinę na mój koszt pozwodził.
Zdają się być bezpieczni, jak w swojéj stolicy;
Mają kształt towarzystwa, chociaż wszyscy dzicy.
Oczy krwią zapłynione, najeżone włosy,
Pozór wszystkim zabójczy, i chrypliwe głosy;
Twarz śniada, wysuszona, kolor w ustach siny:
Podobni, jak gadzina bywa do gadziny.
Wołają się imiony swego pokrewieństwa;
Są między niemi bracia, siostry i małżeństwa.
Płeć biała, zamiast wdzięków i powabnych oczy,
Ma surowość na twarzy, węże u warkoczy.
Wszyscy się pilną swoją robotą krzątają:
Ci brudny jakiś napój z goryczą mięszają;
Ci na długim rejestrze liczą jakieś kréski;
Ci na mnie kręcą łyka, ci ostrzą pociski.
Serce moje zdradliwe! czyż nie ja to pierwszy
Do domu twego byłem? czyż nie ja ci szczerszy,
Niźli ci, co nastają na dziedzinę moję?
Tyrani cię obsiedli: ja u progu stoję,
Ja!? od ciebie wzgardzony, którym siłą całą
Zawsze się o to starał, czegoś tylko chciało;
Którym ci tyle razy służył zdrowia stratą!
Którym cię tak szanował. A serce mi na to:
Gościu ty mój niewczesny! cóżem temu winno?
Wtenczas, gdy cię wiązano pieluchą dziecinną,
Usłużny kapłan ten twój domek ochędożył,
I tron Bogu wielkiemu wpośrodku położył.
Jam czuło, kiedy wchodził Pan nieogarniony:
Najpierwéj wskroś mię przejął strach upokorzony;
Potém niewymówiona wonność weszła tłumem,
I z nią cichość głęboka: Bóg nie idzie z szumem.
Ogień na wielu miejscach domu tego błyśnie;
Potém się nawał światła białego naciśnie;
I mdłe zmysły zalała słodycz niepojęta.
Boże! któż Cię obaczy? Jam cię tylko czuło,
Tak jest, gościu, mieszkał Bóg, ale się popsuło
Z czasem wszystko, nóg Jego ślady pościerane,
I wyszły z domku twego cnoty zapłakane.
Prawda, żem prędko mego szczęścia zapomniało:
I poszło, gdzie zepsute prowadziło ciało;
Ale ci na to rozum udzielony z góry,
Żebyś nim był hamował złą skłonność natury.

Czemuż tak łatwo żądzom moim pozwalałeś?
Jeżelim było ślepe, to ty światło miałeś.
Teraz moję i twoję zgubę widzisz jaśnie:
Zła iskra, i dom spali, i sama zagaśnie.
Na kogóż skargi twoje rozkładasz i żale?
Tyś winniejszy nademnie, żeś rządził niedbale.
A ci, których twojemi zowiesz tyranami,
Są własnym naszym plodem, naszemi synami.
Rozum, zbestwionych żądzy ponętą ujęty,
Zapomniał stanu swego, złączył się z bydlęty.
Jakaż z takiego łoża pociecha być miała?
Pomięszana natura straszydła wydała...
Dopiero nędzne serce zwolna mię uczyło,
Jak mi się to jaszczurcze gniazdo rozrodziło.
Przypominało wiernie czasy, znaki, ziemię,
Żem wreszcie, przekonany, uznał swoje plemię.
Boże, jam Cię najpierwéj poznał po dobroci!
Twoje niebo, chociaż się dla człowieka słoci,
Zabłyśniesz jasném słońcem: rozbiegną się wody,
Wyjdzie niespodziewana plenność z pośród szkody.
Ty masz rozkosz jakowąś świadczyć dla stworzenia!
Rozradzasz, uszczęśliwiasz ludzkie pokolenia.
Jak gdyby dobre dzieci już Ci się przebrały,
Mnie się tylko najgorsze z twéj ręki dostały.
Nie mruczę na te moje najostrzejsze stróże:
Ty z pośrodka tych kolców możesz dobyć róże;
Ale niechby powolniéj, niechby z mniejszą władzą,
Niech mi cokolwiek miejsca w sercu mojém dadzą!
Jakby o tobie nigdy, żeś jest, nie wiedzieli,
Znęcają się synowie nad krwią, z któréj wzięli.
Wstyd mi, przed memi dziećmi padać na kolana.
Pozwól! ja się powrócę do dawnego pana.

## XXVIII. Kato o nieśmiertelnosci duszy, z francuskiego.

Tak, Platonie! prawda jest: nie umiera dusza,
Żyje Bóg, co w niéj mówi, i który nią rusza.
Bo skądżeby bez tego były w nas przeczucia,
Niesmak w dobrach znikomych, i bojaźń zepsucia?
Czuję to, że mię wciągasz w nieskończone lata;
Że pokruszę kajdany mych zmysłów i świata.



Że umrę i zostawię na ziemi te kości,
Których barłóg wrota mi zawalał wieczności.
Wieczności! — słowo straszne, i pociecho jedna!
O światło! o ciemności, przepaści bezedna!
Któżem ja? dokąd idę? gdziem jest? skąd się wziąłem?
W tamtych krajach nieznanych, jakowémże czołem
W momencie śmierci mojéj istność moja stanie?
Duch ten, co dziś o sobie tak ciemne ma zdanie,
Ach! coż w sobie ta przepaść nieprzejrzana dusi?....
Jeśli Bóg jest, to Kato szczęśliwym być musi.
Jest pewnie: ja się jego ręki dziełem czuję;
On na sercu niewinném obraz swój piętnuje:
On się zemści swéj sprawy, i złośliwych zgniecie,
Ale w jakimże czasie? i na którym świecie?
Tu cnota przyciśniona pod złoczyńcą stęka;
Tu niewinność przed zbrodnią na kolana klęka;
Tu za wozem fortuny co żywo się ciśnie
Jakby świat dla Cezara zrobiony umyślnie.
Śpieszmy więc, by się z tego jak dobyć więzienia!
I patrzyć na cię prędzéj, o prawdo bez cienia!
W czasie snu, ty przed nami kryjesz twe promienie:
Życie nasze jest to sen, a śmierć — przebudzenie.

## XXIX. Irus blizki śmierci [1]).

Irus, który zwiedzał kraje,
Znał ludzi i obyczaje,
Bywał w szczęściu i niedoli,
Żyjąc na świecie do woli,
Przed śmiercią, by im co radził,
Syny i wnuki zgromadził.
Wtenczas, gdy człek ptawdę gada,
Tak im rzecz swoję powiada:

[1]) Nazwisko Irus, tak u dawnych pisarzów, jak u teraźniejszych, daje się człowiekowi ubogiemu. Najpierwszy Homer dał to nazwisko żebrakowi, którego Ulisses, powróciwszy do Itaki, zabił w zapaśnictwie. Nasz Irus niby żyje między 50 i 70 Olimpiadą. Umiera zaś w Sardes, stołecznem mieście Lidyi, po drugiém zburzeniu i spaleniu tegoż miasta za Daryusza Olimpiady 69 około 500 lat przed narodzeniem Chrystusa.

„Dzieci moje! śmierć mię ciśnie,
Jużem blizki mego końca,
I nie ujrzę tego słońca,
Które wam jutro zabłyśnie.
Na jedno to dla człowieka,
Czy w środku swojego wieka,
Czyli pełen lat umiera:
Obom śmierć wszystko zabiera.
Na co pragnąć, by żyć długo?
Każdy człowiek co dzień wzdycha;
Skłonności twych jesteś sługą,
I żądza żądzę popycha.

Kiedym o chlebie żebranym
Chodził, a o zawołanym
Krezusie mi powiedziano, [1])
Że go za jednego miano,
Co mu dostatkiem i chwałą
Nic na świecie nie zrównało.
Wszedłem w Sardes — kiedyś możne, [2])
Dziś go pustkami widzicie! —
Okryły warty ostrożne
Te pana, te pańskie dziecię! [3])

Krezus na złocie obiada,
Po złocie chodzi i siada.
Szumne bogom śle ofiary, [4])
Złote daje sługom dary;
Ja kiedy na to patrzyłem,
Pomyśliłem:

[1]) Krezus, syn Haliatta, piąty i ostatni król Lidyi z linii Mermnadów, był panem Azyi Mniejszéj aż do rzeki Halis granicznéj od Mezopotamii, i słynął w starożytności niezmiernemi bogactwami. Zaczął zaś panować w Lidyi Olimpiady 55 na 560 lat przed Narodzeniem Chrystusa.

[2]) Sardes, miasto stołeczne Lidyi i państw Krezusowych, zburzone było dwa razy: przez Cyrusa w czasie zawojowania Lidyi, drugi raz za Daryusza; po którém spaleniu miasta tego, niby tamże nasz Irus umiera.

[3]) Krezus miał syna Atysa, którego niechcący Adrast, pokrewny, zabił na polowaniu.

[4]) Sławne są u dawnych bogatemi darami i wspaniałością dwa wielkie poselstwa Krezusowe do Delfów dla Apollina.



„Irusie, ciebie z drugiemi
Równie w bólu matka rodzi:
Za cóż Krezus nad inszemi,
A Irus żebrając chodzi?
Za co mnie strawy nie staje?
Ten ma nadto, choć rozdaje?"

Zazdrościłem doli pańskiéj,
Póki od wschodniéj krainy
Nie przyszedł Cyrus tyrański [1])
Lidyjskie pouczać syny;
Póki zwycięskiemi czaty
Nie zabrał kraj ten bogaty.
Wtenczas Krezusowe złoto
Brałem wraz z perską gołotą,
I popijał z Tmolu wino [2])
Z inszą wojskową drużyną;
A Krezus leżał związany,
Łzami oblany. [3])
Myślałem na to igrzysko:
„Ja w szczęściu!... Krezus tak nizko
Ciężkim rzucony prymusem!...
O! nie chcęż ja być Krezusem."

Gdy się Cyrus rozpościerał,
I świat pod siebie zabierał,

[1]) Cyrus, fundator monarchii perskiéj, syn Kambizesa i Mandany, niżeli zawojował Babilonią, i objął tę monarchią, zaczął od sprzymierzonych Babilonii, jakim był Krezus Lidyjski. Krezus wyszedł przeciwko nieprzyjacielowi aż za rzekę Halis, granicę państwa swego, ale zawiedziony wyrocznią Apollina, zbity na głowę, i Sardes miasto, na końcu 58 Olimpiady, razem z całem państwem lidyjskiém zawojowane.

[2]) Tmolus, góra winorodna, pod którą leżało miasto Sardes nad rzeką Paktol, sławną w starożytności wyrzucaniem piasków złotych.

[3]) Krezus złapany od wojsk Cyrusowych, związany, i na stos ognia prowadzony, gdy często powtarzał; Solon, Solon! spytany, coby to znaczyło? wyznał; że dawniéj mędrcy Solonowi pokazując dostatki i chwałę swoję, mędrzec odpowiedział: aby się z tego nie wynosił, bo nikt w życiu do końca szczęśliwym nie był. Dla pamiątki tedy Solona darowana kara Krezusowi, i do łask Cyrusa przypuszczony.

Jużem się brał mu zazdrościć.
Jakoż nie mógł długo gościć:
Fortuny dary nieszczére;
Trafił na swoję Tomirę. [1])

Lecz cóż się tu uwieczniło?
Patrzcie na tych wież zwaliska,
Dzisiaj zwierząt legowiska;
Potężne tu Sardes było.... [2])
I gdzie kiedyś mur był silny,
Co wstrzymywał orszak dziélny,
Dzisiaj kozy przeskakują,
Z ludzi żartują!...
Cóż było waleczniejszego
Nad rycerza lidyjskiego?
Teraz, kiedy Cyrus srogi
Pęta mu włożył na nogi,
Kiedy go upodla wszędzie;
Dziś Lidyjczyk kądziel przędzie, [3])
Lub, ciągnąc pługi wieśniacze,
Dawnéj swojéj chwały płacze!
Takich przypadków na świecie
Napatrzywszy się niemało,
Jak mocny słabszego gniecie,
Jak się wielu oszukało,
Gdy świat złoczyńców bogacił:
Wziął cnocie a im zapłacił—

[1]) Cyrus, wplątawszy się w wojnę z Tomirą, królową Massagietów, złapany podczas bitwy, ścięty, i głowa jego w naczynie pełne krwi ludzkiéj z rozkazu téjże królowéj, wrzucona; aby (jak mówiła) pił tę krew, któréj tak żądał.

[2]) Sardes po zburzeniu swojém znowu się odbudowało, i za monarchów perskich było mieszkaniem Satrapów rządzących Azyą Mniejszą. Teraz pod panowaniem tureckiém nazywa się Sardo; małe ma tylko drewniane chaty, i jeden dom murowany dla gościnnych, bo tamtędy przechodzą karawany z Smyrny do Alepu.

[3]) Zawojowani Lidyjczykowie, że się buntowali, Cyrus broń im odebrał, i umyślnie do miękkich i podłych robót zażywając, zniewieścił ich. Kawalerya lidyjska najsławniejsza była u dawnych w Azyi, i ta jedna opóźniła przez 14 dni dobycie Sardes, gdzie się sami tylko obywatele bez wojska inszego bronili.



Trofoniusz w bogów gronie: [1])
Ty między ludźmi, Solonie! [2]) —
Widząc, jak szczęście dziwaczy,
Zacząłem myśléć inaczéj
I dziś wierzę,
Że, co dał los, to los bierze.

Dzieci moje! Cnota jedna
Życie wam szczęśliwe zjedna,
I myśl o sprawcy natury,
Że mu wszystko widać zgóry.
W jakiéj krainie mieszkacie,
Prawa jéj zachować macie;
Z jakim żyjecie sąsiadem,
Naprawiać go swym przykładem.
Dajcie, co czyje każdemu,
Bogom, sobie i bliźniemu,
A o tych, co was skrzywdzili,
Myślcie, że się pomylili.
Kiedy się trafi przygoda,
(Ona, gdy się kto jéj poda,
Każdy kąt domu zabiera)
Człek mądry sień jéj otwiera,
A dalsze zamyka wrota,
Gdzie mu mieszka Bóg i cnota.
Wtenczas gdyś w kalectwa biédzie,
Zapomnieć trzeba o wstydzie,
I prosić swego bliźniego,
Aby wsparł niedołężnego.

[1]) Erginus miał dwóch synów: Trofoniusza i Agameda, którzy w Grecyi najpierwszemi byli mularzami. Wymurowali kościół dla Apollina w Delfach, a potém skarbiec dla Hiryeusza, w którym Trofoniusz tak nieznacznie kamień jeden wmurował, że się łatwo dobywać mógł. Złożył w skarbcu złoto swoje Hiryeusz, a Trofoniusz z Agamedem kiedy chcieli, w nocy wspomniony kamień dobywszy, brali złoto, znowu dziurę kamieniem zakładając. Poznał szkodę Hiryeusz, sidło żelazne przy skarbie położył; Agamed wlazł najpierwszy i sidłem złapany został. Trofoniusz zaś, ażeby brat na mękach nie wydał go, uciął głowę Agamedowi, aby tak trup nie był poznany. Trofoniusza po śmierci jak boga czczono, miał swój kościół w Lebade, z sławną tamże wyrocznią pod imieniem swojém.

[2]) Solon, prawodawca ateński, życiem cnotliwém i prawami sławny. Umarł Olimpiady 55 éj.

Ale kiedyć służą siły,
Ręce ludzi wyżywiły.
Praca do bytu tór ściele,
Ręce, szczerzy przyjaciele.
Pracuj na dziś, i na potem,
I gdyś bogacz zdrowiem, złotem,
Jak śmiesz, prosząc, podnieść powiek,
By cię wspomógł równy człowiek?
Nie mów, że los wszystkiém władnie:
Ty sam często szczęścia nie chcesz;
Chciéj to, co miéć możesz snadnie,
A będziesz miał to, co zechcesz.

Dzieci moje! żyjcie zdrowi,
Już słońce ku zachodowi;
Ale zaraz miesiąc wschodzi,
Ziemi swém światłem nagrodzi.
Ja, gdy raz zamknę powieki,
Nie ujrzę światła na wieki.

## XXIX. Podróż z Dobiecka na skałę.

Z Dobiecka, gdzie pan miejsca w dawnéj swéj dziedzinie,
Staropolską szczerością i cnotami słynie,
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,
Że jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,
Drugie, patrząc z pilnością na starszych przykłady,
Myślą: „I my téż kiedyś pójdziemy w ich ślady" —
Z Dobiecka zebrawszy się Kamilla, Albina,
Ja przy nich, człek przy koniu, *madam* i Kloryna,
Wyszliśmy skałę widziéć nad wieczorną porą.
Konia miała Kamilla, nas pieszych pięcioro.
Nad samym dwór dobiecki brzegiem Sanu leży,
Który niestatecznemi zakrętami bieży;
Wdzięczne kępy czystemi ramiony okrywa,
Chytry, sam je porobił, i sam je zaléwa.
Tam wzgórki rozkosznemi drzewami się stroją,
Gdzie słowik swą pieśń śpiewa, a pasterka swoją,
Do któréj gdy Aleksy przyszedł na godzinę,
Całować się zaczęli i poszli w gęstwinę.



Tu niewinna na bujnéj łące owca pasie,
Nad nią zuchwała koza po skałach wspina się,
I wisząc nad przepaścią, chlubi się z swéj sławy,
Że doszła nietykanéj od nikogo trawy.
Indziéj z gęstwiny lasku wioska wyskoczyła,
Żeby się tak pięknemu porzeczu dziwiła;
A gdy się cudzym wdziękom przypatrywać rada,
Sama z drugiemi widok najpiękniejszy składa.

Na lewéj dworu stronie, po przechadzce małéj,
Pierwszy nam dał się widziéć wzgórek okazały.
Czyli go ręka ludzka kiedyś usypała,
Czy wiekami natura nad nim pracowała;
Ale go człowiek jakiś dawniejszego świata
Drzewami poobsadzał, na których choć lata,
Chociaż poznać nadpsucie, prawie go nie czują,
Jeszcze teraz i z burzy, i z czasu żartują.
Kaplica, od pobożnéj ręki wystawiona,
W środku wzgórka dawnością stoi uświęcona,
Gdzie i dziś, wieśniak z pola idąc, w dobréj wierze,
Ocierając pot z czoła, szepce swe pacierze,
W których, z chudobą, z dziećmi, z tém, co mu nie staje,
Co ma w gruncie, co posiał, na Boga się zdaje.
Tam i pasterz, straciwszy owcę, Bóstwo kłóci,
I mówią, że mu zawsze zguba się powróci.
Tam i my, że się chciało odpocząć Klorynie,
Przyszedłszy, obsiedliśmy tę polną świątynię.

Ja, patrząc na porzecze wdziękami okryte,
Świstałem sobie moją piosnkę faworytę.
Albina, dobrowolnie pragnąc swojéj straty,
Okrywa pierś kwiatami piękniejszą nad kwiaty;
Kloryna coś tam sama do siebie gadała.
Madam mię już ostatniém słowem zapewniała,
Że żadnemu mężczyznie nigdy nie dowierza;
A nikt z nas przy kaplicy nie zmówił pacierza.
Kamilla wtém zawoła: „Cóżem ja odkryła!"
Razem z piasku kość głowy człowieczéj dobyła.
Przybliżymy się ku niéj, szukając miejscami;
Ta piszczel, a ta spinę znalazła z żebrami;
Oto masz jeszcze głowę, oto jeszcze szczękę!
Mnie smutna myśl obleci, i do naszych rzekę:

„O! szanujcież to miejsce! Szanujcie te kości!
Jak są białe! jak lekkie! znak to ich dawności.
Ta ziemia, wielkich kiedyś rycerzów siedlisko,
Pewnie to w boju ległym dała grobowisko.
Może na tych równinach, gdzie ta trzoda pasie,
Szumnych naszych wojaków rota ścierała się.
Gdy uderzy pierś o pierś i strzemię o strzemię,
Niejeden krwi poczciwéj strumień zlał tę ziemię.
Ten, co sile przeciwnéj nie wydołał sprostać,
Wolał poledz na placu, niż w niewoli zostać,
I mocując się z śmiercią, zachęcał drużynę:
„Te mnie rany nie bolą, za ojczyznę ginę".
Po potyczce, przy smutnych pieśniach rota cała
Pewnie na to tu miejsce ciała sprowadzała.
Może gdzie my siedzimy, tędy matki stały,
Między trupem zrąbane syny poznawały.
Ta poznawszy swojego, sama ledwie żywą,
W zbolałe tłucze serce ręką popędliwą.
Ta ją w żalu hamuje: „Wszak i mój nie minął,
„Toż to za nic, że syn twój za ojczyznę zginął?"
Ta, gdy konia białego, na którym wysłała
Swojego jedynaka, przypadkiem poznała —
Przy nim tarcza i szabla na łęku wisiały,
A po karku mu pełno krwi zaskorupiałéj;
Rzuci się doń: „Otoż my razem sierotami!"
Krew spiekłą łzami płócze, ociera ustami.
Wtém z trupów zbroje zwłóczą, w dół składają ciała;
Troistym je okrzykiem rota pożegnała,
A jeden z naczelników mówił do gromady:
„Oni legli, ale wam zostały przykłady".

Gdy tak o staropolskich rycerzach gadamy,
Z uszanowaniem kości z piasku dobywamy,
I składając w kaplicy te zwłoki święcone,
W dalszą podróż pośpieszym, serca napełnione
Mając obywatelstwem, i żalem wzruszeni,
Jakeśmy dziś od przodków naszych odrodzeni!
Cicho z nas każde idzie. Wtém z pod ziemi niby
Głos się jakiś odezwie — duch jest bez ochyby,
Duch jest, tylko nie wiemy: zła czy dobra dusza?
Madam się zarumieni i ramiony wzrusza;
Razem nam pokazuje, że korek złamała,
I o jednym trzewiku tylko pozostała.



Widać to było po niéj, że przypadek czuje,
Już gęściéj, niźli przedtém wachlarzem pracuje,
Już czasem uszczypliwém słówkiem przycinała,
Bo prawdę powiedziawszy, Albina się śmiała.
Ja, który na tym świecie doznałem wszystkiego,
Jak czasem z małéj rzeczy przyjdzie do wielkiego,
Przyjacielskim sposobem zacząłem w to wchodzić,
Jakby madam z Albiną i z jéj korkiem zgodzić.
Korku lipowy! jakżeś kosztował mię siła!
Któż to wszystko wyrazi, co niechęć zrobiła?
Pożar swój zapalała po małéj iskierce,
Potém mię niejeden raz zabolało serce.
Równie kiedyś i Cezar, z rzeczy pewnie małéj,
Że mu się jakieś fochy Pompeja nie zdały,
Z drobnych początków, wreszcie goniący ostatnią,
Usiadł na kark Rzymowi i toczył krew bratnią.
Ale smutne przeczucia i przeciwne losy
Na te, co niemi rządzą, spuściwszy niebiosy,
Idziemy w dalszą drogę, w któréj nas wstrzymuje
Rów długi i głęboki; Kamilla wskazuje,
By jéj konia podano, chcąc objechać wkoło.
Znowu to nasza madam przyjmie nie wesoło,
Bo sądząc sprawiedliwie, jéj to należało,
Na nią prawo jechania po korku spadało.
Ale gdy się nieszczęście na kogo usadzi,
Tysiączne przeciwności ze wszech miar gromadzi,
I tak idzie złe po złem, los z losem się łączy,
Wreszcie przyjdzie najgorszy, i człeka dokończy.
Już i nasze nieszczęście zaczęło łańcuchem!
Kamilli dano konia; jakże składnym ruchem
Ku niemu przystępuje! Cmoknie, w grzbiet uderzy,
Krzyknie nań, schwyta grzywę, wsiądzie jak należy.
Kamilla na gniadoszu wkoło poleciała,
My prosto puszczamy się. Znowu burza wstała.
Kiedy przyszło i błoto i łozy przebywać,
Madam o poniewierkach zacznie przebąkiwać.
Więcéj jeszcze: Albinę kiedym przeprowadził,
Służalec wziął Klorynę i na brzeg wysadził;
Ona sama zostawszy, gdy przeskoczyć chciała,
I drugiego trzewika w błocie postradała.
Dopieroż już wyraźniéj z Kornela, z Rasyna,
Z Boalego wziętemi wierszami przycina,

W których do tego zmierza, co wspiera jéj sprawę,
Że lepiéj życie stracić, aniżeli sławę.
Dzięki sludze! Od dalszych kłótni nas wybawił:
Dobył z błota trzewika, i sławy poprawił.

Te zawady przebywszy i kłótnie domowe,
Po nad brzegi rozkoszne idziemy Sanowe.
Kamilla nadjechała, tak nasz tabór cały
Nakoniec do żądanéj przybliżył się Skały.
Jakże to wielki widok! Woda popędliwa,
Przeciw skałom na pomoc czasu przywoływa,
I chociaż wody miękkie, chociaż czas leniwy,
Przecież krają na poły kamień uporczywy.
Właśnie wtenczas pogodne słońce zachodziło
I białych skał wierzchołki same czerwieniło,
Po których nad urwiskiem idącą drożyną
Pasterz bydło popędzał; na dole rozwiną
Sieci z czołnów rybacy. My rzucamy okiem,
Nie wiedząc, którym pierwéj napaść się widokiem.
A jeszcze te ozdoby nam się podwajały;
Bo wszystko najczyściejsze wody odbijały,
Że dwoistym bawim się za jednymże razem,
Pasterzem, bydłem, czółnem, rybakiem i głazem.
Hej! kto nie był na Skale, jakby nigdzie nie był!
Czółnem z madam, z Kloryną, z Albiną jam przebył;
Kamilla po swojemu w bród San przejechała.
Pnie się znowu pod górę rota nasza cała,
Już na wierzchu stoimy! Inszy widok cale:
Ziemia, woda, opoka, które tak zuchwale
Z dołu patrząc, niebiosom panować się zdały,
Stąd widziane, przy saméj pysze pozostały,
A niebo stare swoje panowanie wzięło:
Ziemię z wodą, z lasami, w swém łonie zamknęło.
Tam każde z nas w pokorze Bogu się pokłoni,
Który znowu i niebo ogarnął w swéj dłoni.
A że już słońce zaszło, czas w domu się stawić,
Smutni, Skałę rzucamy, że dłużéj zabawić
Na niéj nie można było. Gdy nad San przyjdziemy,
Ja, Kamilla, Albina, czółnem przepłyniemy.
Służalec z koniem już nas czekał pod kępiną;
Po madam wrócił rybak przewieść ją z Kloryną,
A my, tymczasem idąc wolnemi krokami,
Nim się madam przewiezie i połączy z nami,



Albina myśli swoje o Skale powiada,
Że jéj zawsze ten widok coś nowego gada,
Że czuje piękność świata! Tak słowo po słowie,
O niczém nie myślący, staniemy przy rowie.
Obejrzymy się razem: Kloryny nie stało!
Ale niemasz i madam! Serce mi zadrżało!
Gdzieśmy na ląd wysiedli, ku temuż brzegowi
Powrócę: niemasz naszych! rybak tylko powié:
„Że je przewiózł szczęśliwie; że choć nas widziała,
Ta pani, wraz wysiadłszy, za rękę porwała
Młodszą, co była przy niéj i nie już za nami,
Ale w prawą dzikiemi poszła manowcami;
Że coś niezrozumianym językiem mruczała,
Ale dyabła, jak mówił, często wspominała".

Gdym wysłuchał, wnet wszystkie staną mi w pamięci
Od korka fatalnego zaczęte niechęci,
I ta świeża, żeśmy się w drogę pokwapili,
A ją samę z Kloryną tylko zostawili.
Otoż, żeby nas martwić, umyślnie błądziła,
Choćby siebie niebaczna i dziecię zgubiła.
Już noc padła; oczy mi na nic się nie zdały,
Ażeby obłąkanych po polach szukały.
W ciężkiéj tedy rozpaczy wołam: madam! madam!
Madam milczy, a z samém tylko echem gadam.
Złączyłem głos z rybakiem, by dosięgnąć daléj;
Aleśmy próżno oba potrzykroć wołali.
Wszystkie mi nocne w myśli stanęły przygody,
Zwierz najbardziéj, co świeżo ponarabiał szkody,
Zwierz najbardziéj okrutny, który trafi gdzie chce,
Kiedy nieubłagany los człowieka zechce.
Dopiero nad Kloryną cały mój żal wzbudzę,
Bom cierpiwał i czuły m na nieszczęścia cudze,
„Kloryno! Już twój ojciec z matką wiek skończyli,
Ciebie sierotę w ręku krewnych zostawili:
Na to-żeś ich przeżyła, żebyś, świecąc mało,
Zgasła śmiercią okropną!... Już może się stało!
Już może teraz srogi źwierz je dokonywa,
By prędzéj wygnał duszę, krwi zewsząd dobywa:
Gładkie piersi kaleczy, kazi twarz rumianą,
Razem piękność i znaczne pożerając wiano!
Jutro na polu może znajdę trochę kości,
Co się od rozjuszonéj zostaną dzikości.

Te poniosę w dom ciotki reszty twego ciała;
Ale jéj nie pokażę, boby wraz skonała,
I tylko domownicy kiedy cię obaczą,
Równie nad tobą krewni i obcy zapłaczą,
A nie będzie co pogrześć!.. "

*Caetera desunt.*

## XXXI. Do dziecięcia rodziców nieszczęśliwych.

Dziecko małe! Ty nie wiesz gdzieś jest? coś jest? czemu
Przyszłoś na świat, posłuszne przeznaczeniu twemu?
Niźli z czasem przykra cię nauka utrudzi,
Wiedz, żeś na świecie człekiem, masz żyć w środku ludzi.
Gdybyś mógł widzieć pierwéj, niźliś widział słońce,
Na jakowe, na ziemię, wysłano cię końce,
Próżne nic podobnoby lepsze ci się zdało,
Pogardzając tym byciem, któreby cierpiało.
Żyć na świecie, żyć człekiem, żyć wśród ludzi grona:
Jakże to twardy ciężar na jedne ramiona!
Wkrótce poznasz, dla jakiéj doli wziąłeś życie;
Matka cię mdleć nauczy, ojciec—płakać skrycie.
W zepsutym wieku samo zepsucie cię czeka;
Trudno wydołać wszystkim powinnościom człeka!
A ludzkie społeczeństwa, jakże pełne wady!
Będziesz człekiem poczciwym? spodziewaj się zdrady.
Dziecko! tak ci zapłacą, żeś został człowiekiem!
Ale to z dalszym twoim ma nastąpić wiekiem.
Teraz (jak cię nazywa pycha), królu ziemi!
Za przypadkami po niéj czołgasz się swojemi;
Gdyby cię nie chroniono, jakeś mdły i goły,
Zgniótłby cię twój poddany, żwierz, albo żywioły;
Zewsząd ci grozi nieszczęść rodzaj wieloraki.
Królu ziemi! gdzież twego panowania znaki?
Lecz kiedy tylko na złe ty płaczesz dzisiejsze,
My płaczemy na przeszłe, przyszłe, teraźniejsze!
Matko! któraś to dziecię na świat urodziła,
Ty wiesz, jak nam na ziemi trzeba cierpieć siła!
Nie dawno, pozwoliwszy sercu zbyt czułemu,
Byłem przytomny płaczom i mdleniu twojemu.
Wśrodku łkania ciężkiego wołasz na niebiosy:
„Albo mi serce, albo odmieńcie me losy!"



Teraz, chodząc po kątach ojczystego domu,
Bojąc się strofowania, płaczesz pokryjomu.
Chodząc po kątach, szukasz straconéj swobody,
Którą tu kiedy miałaś!... A szkodą twe szkody!
Przepraszasz ojca, matkę, co twój smutek czują;
Oni się nie gniewają, ale się litują.

Kiedy twemu dziecięciu rozum się obudzi,
Ucz go naprzód, jak ma być ważonym u ludzi,
Ucz potém, jak się obejść z losami przykremi;
To szczęście: umieć znosić nieszczęścia na ziemi!
Gdy w nim męstwo utwierdzisz nauczaniem długiém,
Będzie silny: sam zniesie, i pomoże drugim.

## XXXII. Powrót z Warszawy na Wieś.

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnofarbne, piec niepolewany,
I nizka strzecha moja!... Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło!
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa!
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa;
Z swéj obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój, i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniéj myślił, oszukany!
I w ukrytym gdzie kącie żył raczéj nieznany;
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!
Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli".
Com zyskał, na wysokie pańskie pnąc się progi!
Gdzie po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem!...
Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie:
„Idź, mówił, synu na świat; w jakiéj będziesz stronie,

Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci.
Zostawiam cię ubogim! prawda cię zbogaci".
Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany;
Takem pisał, lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto, święta Cnoto, porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba,
Choćby mi jeszcze wolniéj miało szczęście pociec;
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ociec.
Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze.
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.
Nadziejo! czyż ja ciebie w złotéj chciał miéć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem? drugiemi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojnym będąc na tém, co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole: niech kto inny pnie się.

W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy;
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa;
Po wieku mego wiosny niewróconéj szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Symonidesów, albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył
I pismem pożytecznem narodowi służył.



Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy;
I, co mi będzie lepiéj w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo! siostro moja! jakżeś się kwapiła!...
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem,
Wesprę cię, już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was, jak popadła, tak statecznie gniecie!
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie.
Opłakana rodzino! Wy myślicie, ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiéj".
Byłem, i byłbym pewnie panom na coś zdatny:
To wiem, a tego nie wiem, za com nie popłatny.
Stało się! Nie mam swojéj: kopmy cudzą grzędę!
Podeprzéć tę lepiankę! jeszcze w niéj przebędę.

## XXXIII. List do Joachima Chreptowicza.

Czemuż, zacny Littaworze,
Nie chcesz tytułów, w pokorze?
Ciebie cnota czyni jasnym;
Tyś bogacz majątkiem własnym.
Kogoś cudze wiozą cugi:
Twą ziemię orzą twe pługi.
Ktoś ludziom zwierzem się stawi:
Twój cię wieśniak błogosławi,
I piękne nakoło dziatki
Z twoich pól niosą ci kwiatki.
Czemu, zacny Littaworze,
Stoisz pod górą w pokorze,
Mówiąc, na niéj głośnéj rymem,
Żem mieszkańcem, ty pielgrzymem?

Kiedym twoje wiersze czytał,
Za bratam cię w sztuce witał,
I na twe piękne wyrazy
Klasnąłem w ręce sto razy.
Wstąp na górę: znanać droga,
Znasz Muzy, i wierszów boga.
Jeśli twéj spółki wart będę,
Ja koło ciebie usiędę;
Jeśli nam dadzą nektary,
Pić będziemy z jednéj czary;
I gdy ojczyzna z śród wiela
Wieńczy cię, obywatela,
Weźmiesz jeszcze wieniec nowy,
Nieśmiertelny, wawrzynowy.
Ale na ważniejsze czyny,
Oddawszy twoje godziny,
Nie dbasz o Muz wszystkich łaski
I marne świata poklaski.
Zadziwiasz się w twoim liście
Czemu biegnąc oczywiście
Na troski, zdrowia zepsucie,
Zjechałem tu na Pokucie?
O święta ziemio! którędy
Chodząc, wspominam na błędy,
Na me zabawy niewinne,
Gdym lata pędził dziecinne!
Tu się rodził, tu mię stary
Ojciec uczył cnót i wiary.
Tu patrzę na ten las dziki,
Gdzie lat moich rówienniki,
Silne drzewa wybujały.
Szczęśliwe! na miejscu stały!
Stanisławów blizko leży,
Co szkołą był dla młodzieży,
Tam mi pochwała czy kara,
Gdy mię spytano z Alwara.
Patrzyłem dziś na te pola,
Gdzie mię ściągała swawola;
Z żakami zrobiwszy ligi,
Ćwierć milim biegł na wyścigi.
Teżem rzeki dziś przebywał,
Którem o zakład przepływał;



I też dęby jeszcze stoją,
Gdziem ja, gdy się insi boją,
Wlazł na wierzch, i miał do grona
Jaką mowę z Cycerona.
Tuśmy się w tydzień trzy razy
Schodzili na suche razy,
Dla bitew w kije niewinnych,
Dobywania twierdz dziecinnych.
Kiedy się walka skończyła,
Strona, która zwyciężyła,
I ci, którzy się poddali,
Wzajemnie się przepraszali.
Łzy w oczach, ręka skrwawiona,
Cisnęło łono do łona,
I od nas zdrapany cały,
Całował nas Tomcio śmiały;
Tak do domu z dobrym mirem,
Szedł bohatyr z bohatyrem.
Gdzieżeś mi, wieku mój młody!
Upłynął z szybkiemi wody!
Pociech prawdziwych pozbawił,
I ślady tylko zostawił...
Te ślady same mię bawią,
Że mi przeszłość w myśli stawią.
Nie mając pociech tym razem,
Szczęścia cieszę się obrazem!
Tyś także, przyjaźni miła,
W tę strony mię sprowadziła,
Gdzie skoro ludzi poznałem,
Twe święte skarby składałem.
Ale ta, która nie zaśnie,
Przygoda, czekała właśnie,
Kiedym stąd był oddalony:
Littaworze! jam skradziony!
I Dzieduszycka cnotliwa,
I Skarbkowa wiekiem żywa,
I Koziebrocki zabawny,
I Górski sędzia nasz dawny:
Wszystko to żyło przed rokiem,
Wszystko mieszkało pod bokiem!..
Dziś u nich w domach rozpacze,
Gdzie dwadzieścia sierót płacze,
Którym gdy żale rozwodzę,

Nie wiem, pomagam, czy szkodzę.
Może, Littaworze miły,
I ja tu się swéj mogiły
Doczekam, i żaden po mnie
W moim nagrobku nie wspomnie:
Żem kochał równie jak siebie,
Żem tak kochał... kogóż? Ciebie.

## XXXIV. Starzec i Córka, myśl z Voyageur sentimental, do U. D. S. W.

Pani! co lubisz wspierać i umiész być tkliwą,
Przyprowadzam ci starca z córką nieszczęśliwą!
On tu wchodzi, od nędzy ubitemi ślady,
Wié, że w sercach litosnych ubogiego składy.
Ale nie chce jałmużny, ani prosi chleba!
Są nędzni, których tylko łzami wspomódz trzeba.
Starzec ślepy, ubogi, siedział nad strumieniem;
Przy nim torba, przy nim kij, co za pożywieniem
Chodził z niemi, póki mu nie ustały siły.
Ta głowa, którą lata ku ziemi schyliły,
Te oczy wypłynione, i ten głos płaczliwy,
I opuszczenie, w którém jęczał nieszczęśliwy:
Wszystko to, co widziałem, pomyślić mi dało,
Że niebo o swém jedném dziecku zapomniało.
„Starcze, rzekłem, czyż nie masz człowieka jakiego,
By cię prowadził?" — „Nie mam, odpowie, żadnego!"
Co z takiém wyrzekł czuciem i wzruszeniem ciała,
Żem pomyślił: — „Natura bezludną się stała!"
„Żona, ośmioro dzieci, rzekł daléj, wszystko to,
Wszystko mię opuściło!.. zostałem z ślepotą!..
Ale im to odpuszczam!.. (i taką niewdzięk
Znać, że szczerze odpuszczał, kładąc na pierś rękę).
Potém ciężko westchnąwszy: „Ale moje życie!
Ale ta córka moja!.. którą, będąc w bycie,
Mniéj ważyłem nad insze, teraz w méj niedoli
Wodzi mię, żywi, cieszy, i wraz ze mną boli.
Ode dnia wczorajszego tu mię zostawiła,
I pierwszy raz w swém życiu przykrość mi zrobiła.
Już dziesięć lat, jak światu umarłem na poły",
(Pokazując mi oczu wypłynionych doły),
„Już dziesięć lat, jak proszę matki mojéj, ziemi,
Żeby mię zagrzebała nieszczęściami memi.



Tylu biednych nadzieja jakaś przecie łechce;
Nie mam żadnéj, a życia Bóg odebrać nie chce!"
— Dobry starcze! nadzieja nas nie odstępuje!..
Może będziesz szczęśliwszy, ktoś cię poratuje:
— „Jeszcze będę szczęśliwy!.. I ktoś mię wspomoże?!
Mospanie, cała królów potęga nie może
Wrócić mi promień światła, który utraciłem!.."
Tą jego odpowiedzią tak wzruszony byłem,
Żem się chciał (tam gdzie słońce świeciło zwrócony)
Zapewnić, żem posiadał wzrok nieprzepłacony.
On chwilę milczał z głową ku ziemi schyloną,
Która go wołać w swoje zdawała się łono;
Potém, ciężko westchnąwszy:— „Bez tego dziecięcia,
Bez téj córki, już dawno mego przedsięwzięcia
Dopełniłbym, i na me nie narzekał bycie!
Ale kiedym to nędzne chciał zakończyć życie,
Kiedym głodem chciał umrzéć, Aneta troskliwa
Płacze, za nogi ściska, ojcem mię nazywa;
Swą prośbą od śmierci mię żądanéj odwraca,
A to z tém przymileniem!.. Ależ nie powraca!..
Córko moja! jakże to w mém sercu pomieszczę?
Umrzéć, a raz ostatni nie ścisnąć cię jeszcze,
Ani ci błogosławić!.. Czyliż więc, mój Boże!
Twoja dobroć człowieka tak opuścić może!"
Te słowa takiém wyrzekł czuciem przyciśniony,
Że i ja, aż do głębi serca przenikniony,
Z łzami w oczach ku niebu zwróciwszy się, rzekę:
— „Boże! za cóż on stracić miał twoję opiekę!.."
Odszedłem trochę daléj chcąc ulżyć bólowi,
A postrzegłszy biegnącą córkę ku starcowi,
Wnet powracam, żebym mu doniósł tę nowinę,
I widział w życiu jego choć jednę godzinę
Szczęścia, którego nie znał!.. Wtém się przybliżyła
Aneta udyszona!.. że się opóźniła,
Cnota była pazyczyną cnotliwéj dziewicy,
Żebrząc na żywność o ca głębiéj w okolicy.
Z jakiémże się uczuciem ściskali, cieszyli!..
O Russo! o Ryszardson! gdzieście wtenczas byli?
Gdyby przy waszych grobach był widok tak miły,
Zimneby się popioły wasze poruszyły!..
„Tyżto jesteś, rzekł starzec, Aneto, przed nami?"
(I w niedostatku oczu szukał jéj rękami):

„Gdzieżeś? niechaj do serca przycisnę cię mego,
Spóźniłaś się powrócić do ojca twojego!..
A ja jednéj bez ciebie nie wytrwam godziny!..”
Aneta widząc, że ją posądzał bez winy,
Szanowną głowę ojca ściska ramionami,
I siwe skrapia włosy niewinnemi łzami.
Ludzkość, gdy na wagę cnót tę łzę położyła,
Znalazło się, że cnoty insze przeważyła:
„Jam się tego spodziewał, drogie moje dziécię,
Że powrócisz i z sobą przyniesiesz mi życie!..
Przystąp, niech cię raz jeszcze do serca przycisnę!..”
— Pewnie, rzekłem Anecie, na losy zawisne,
Na ten widok i ślepotę nadewszystko dbała,
Nigdy nie będziesz starca tego porzucała.
Mimo jego ubóstwo, słabość uprzykrzoną,
Szczęściem nazwiesz dla niego usługę czynioną.
Jakżeż? czyż nie umiałem twoich myśli dociec?”
— Niewiesz Waćpan? — Cóż nie wiem?
— Wszakże to mój ociec!..

## XXXV. Do Dymitra Koszelewa, Litewsko-Grodzieńskiego Gubernatora, oddając mu księżkę Rozmów Platona.

Czytając to dzieło moje,
Gdzie przyjdzie rzecz o cnotliwym,
O mądrym, grzecznym, szczęśliwym,
To będą obrazy twoje.

A tak nadzieja mi tuszy,
Że kiedy maluję ciebie,
Książka jest według twéj tuszy,
I w niéj musisz kochać siebie.

A jeśli chciałbyś wiedzieć,
Kto téż cię kocha na ziemi?
Ciężko wszystkich wypowiedzieć:
Oto są: między pierwszemi.

Monarcha, bo usłużony,
Cnotliwy, bo go szanujesz,
Ten, co padł, bo podźwigniony,
Nieszczęsny, bo się litujesz.



Mężu zacny! złemu w czoło
Zabiegasz zręcznością całą.
Nie słyszysz, okrzyki wkoło?...
„Ten dojdzie, bo idzie śmiało.”

## XXXVI. Horacyusza Oda XIV do Postuma.

O Postumie! Postumie! szybko biegną lata!
Ani cię twoja cnota i wziętość u świata
Zasłoni przed starością, która następuje!
Ani od nieużytéj śmierci wyratuje!
Gdybyś potrzykroć na dzień hekatomby palił,
By się nad tobą Pluton nieczuły użalił:
Z którym ogromny nie mógł dojść Geryon sprawy,
I Tycyona pognał na Styksu przeprawy!
Tak jest: wszystkim nam trzeba te brody przebywać,
Komu tylko na ziemi przyszło przemieszkiwać.
Czyś ty król, z pod dachówki wyjść trzeba, bogaty,
Czy wieśniakowi droga tędy z jego chaty.
Napróżno ochraniasz się mężobójczéj wojny,
Albo morza wzdętego burzy niespokojnéj.
Napróżno zbyt troskliwy pory jesiennemi
Zasłaniasz się przed wiatry zdrowiu szkodzącemi.
Trzeba ci będzie widzieć i Kocyt leniwy,
I Danausa córek ten ród nieszczęśliwy:
I chytrość Syzyfową, jaką wzięły płacę,
Syzyfa Eolidy nieskończone prace.
Trzeba rzucić tę ziemię, ten dom, miłą żonę!
Żadne z drzew, co przez ciebie tak pilnie sadzone,
Krótkich lat pana swego nie tknięte żałobą,
Prócz smutnego cyprysu, nie pójdą za tobą,
Dziedzic twój, jak się tylko twych lat nić przecina,
Za stem kluczów chowane zaraz spija wina,
I te pyszne podłogi najprzedniejszém zlewa,
Jakie najwyższy kapłan u wieczerzy miewa.

## XXXVII. O podejrzliwości Jana Jakóba Rousseau. Wyjątek o imaginacyi przez L'Abbé De-Lille.

Autor, który kolejno uczył powszechności,
Co jest głosem rozumu, co głosem miłości!

Jakiż talent! jakiéj on mądrości obrazem!
Ale co za niesłuszność? co za słabość razem?
Bojaźń jakaś zaraz z nim od kolebki była,
Bojaźń go aż do grobu jego wprowadziła.
Wy! co smakować w jego pismach znacie sztukę,
Wy! którzy mu winniście i łzy i naukę.
Dla tych darów (jeżeli obrazu nie skażę)
Przystąpcie, serca tkliwe, ja go wam pokażę.
On nie natręt, lecz pełen swéj podejrzliwości,
Rzadko lubi się bawić w ludzi przytomności.
Pół przyjaciel, lub gdzie go tajny uchron skryje,
W smutnéj niepodległości w środku lasów żyje.
Czasem na gór wierzchołki tęskność go zawodzi,
By widział pierwszy promień słońca, które wschodzi.
Czasem do brzegu rzeki przyjdzie zamyślony,
Słucha szumu, lub patrzy na bieg jéj spieniony.
Albo pyszny, że sławie swojéj się wyrywa,
Wieśniaka nieznanych mu dziejów posłuchiwa.
Słucha i wnet ucieka. Bez żądz i starania
Z swoją dziką rozkoszą przed ludźmi się schrania.
Lecz jeśli go ujźrzycie: przez naturę proszę
Któréj piórem wymownem malował rozkosze,
Nie jątrzcie go, szanujcie los, jego mordercę.
Słowami łagodnemi głaszczcie dzikie serce.
Ach! to serce ogniste, co dziwacznem było,
Jeśli sobie jest męką, nam rozkosz sprawiło.
Dbajcie o jego szczęście, bawcie tęskność jego,
Cieszcie go z losu, z ludzi i z niego samego.
Próżna rada! nic jego rany nie zagoi.
Człek obcy, któremu się słyszéć o nim zdarzy,
Co wielbi pisma jego, a nie widział twarzy,
Starzec gasnący, chłopiec jaki bojaźliwy,
Co jeszcze nie zna tego, co to kto zdradliwy,
Gospodarz domu, krewny, przyjaciel, mu winny.
Lęka się, by kto nie chciał być mu dobroczynny!
Jestże człowiek, który się w godzinie skonania
Wesprzéć na ręce miłéj przyjaciela wzbrania!
Coby nie patrzył na łzy w zgonie rozrzewniony,
Swego brata, lub siostry, syna lub swéj żony?
On nieszczęsny ostatniéj gdy godziny tyka,
Ledwie miał rękę, co mu powieki zamyka!
Żaden z przyjaciół nie był z nim przed jego końcem.
Z samém tylko na ziemi pożegnał się słońcem!



Nieszczęsny! więc śmierć tylko stały uchron tobie?
Ach! przynajmniéj spokojny spoczywaj w tym grobie.
To jezioro, te kwiaty, ta murawa żywa,
Te topole!... wszystko cię do pokoju wzywa,
Od téj podejrzliwości już odetchnij rzadkiéj,
Oto biegną ku tobie i żony i matki;
Patrz kochanków idących! każdy w swéj przykrości,
Idzie lać na twym grobie łzy tkliwéj miłości.
Obacz to grono dzieci, co w cieniu igrają,
Oneto za swą wolność tobie hołd oddają;
I patrząc na ten widok, powiedz: „Ja to byłem,"
„Jam był nieszczęsny!... ale ich szczęście zrobiłem."

## XXXVIII. Pieśń do Najjaśniejszego Imperatora Aleksandra, przez dwanaście panien ubogich, z powodu przybycia jego do Grodna wyposażonych przez obywatelów, śpiewana.

Kiedyś się do nas przybliżał, Panie,
Radość przed Tobą pierwéj przybiegła,
Wstąpiła w każde Grodna mieszkanie,
I mieszkających serca zaległa.
Widzisz ją w twarzach, jeszcze to mało:
Jakże jéj wiele w duszy zostało!

A teraz z Tobą razem przybyła:
Ludzkość, łagodność i cnót gromada,
Która Ci wszędzie towarzyszyła,
W domu i w drodze bawić się rada.
Ciebie i gości takowych nieba,
Trudnoż to ludziom przyjąć jak trzeba!

Z podniety Twojéj pańskiéj litości,
Zajął się ogień obywateli,
Że na pamiątkę Twéj tu bytności
Posagi rozdać ubogim chcieli,
Wiek opóźniony będzie Cię chwalił,
Któryś ten święty ogień zapalił.

Rzucajmy wszędzie kwiaty z wieńcami,
Którędy ojciec narodów idzie,
Te kwiaty zwiędną, bo są kwiatami,
Na czułość naszę ten los nie przyjdzie.
Słodycz dnia tego, czuć będziem stare:
Bo widzę jakąś słodycz nad miarę!

## XXXIX. Wyjątek z poema pana Delille o politowaniu nad służącemi.

Nie hańb sługi, co twemu oddał się skinieniu,
Niech służy twéj potrzebie, nie zaś uprzedzeniu.
Pokryj twarzą ojcowską ostrość władzy twojéj;
Niechaj przy surowości zawsze słodycz stoi.
Niech pan łagodny, kiedy ma sługę wiernego,
Mienia z nim dobrodziejstwa za gorliwość jego.
Każdy z nich swoim węzłem widząc się związanym,
Ten zdaje się nie władać, ów nie być poddanym.
Serce pierwéj zgadnie, niźli co kazali,
Idzie za swą ponętą i ponętę chwali.
A tak skłonność z dobrocią dokaże powoli,
Że posłuszeństwo weźmie postać dobréj woli.
Przyjaźń to nad powinność lepiéj usługuje!
Ale to, co ci litość nad wszystko wskazuje,
Postarzały w twym domu ten twój sługa miły,
Co go już lat i służby ciężary schyliły,
Pofolguj mu, niech jego dawność spracowana
Ma za przychylność jakąś nagrodę u pana;
Już nie zdoła, wszelako chce robić dzień cały,
Jego przykład ci służy, gdy ręce zemdlały.
Nestor służących: jego wiek im rozkazuje,
Jego uśmiech pochwala, zwrot oka strofuje.
Gdyby wreszcie gorliwość jego czczą być miała,
Czyż zechcesz, by mu w nędzy starość upływała?
Czyż możesz nieczułości twéj zostawić świadki,
Dni straconych dla ciebie zapomnieć ostatki?
Litość i sprawiedliwość tego broni zgoła,
Ale jeżeli trudom w mieście nie wydoła,
Niechby gdzie mieszkał na wsi, w tym słodkim uchronie,
Jeszcze ci użytecznym mógłby być na stronie.
A ty, gdy cię w dniach pięknych chęć na wieś pożenie,
Przyjdzie ci tam z rozkoszą na niego spojrzenie.
(Tego świadka twych uciech, smutku domowego)
Jak na jakie wypisy świata dawniejszego.
On przez twoich dawniejszych robót wspominanie,
Stawi ci w myśli twoje bitwy, polowanie,
I czynów twego życia historyą całą,
Sprawy wygrane; i to oblężenie z chwałą,
Gdzieś był ranny; wesele i twe słodkie chuci,
A ta ci powieść młodość niejako powróci.



## XL. Do Elżbiety z Poniatowskich Branickiéj, kaszt. krakow. z okoliczności sług jéj starych.

Pani! imieniem, rzeczą, jakich znaleść mało,
Tobie to tłómaczenie prawem należało.
Delill, serca poeta, tu miałby rycerzem,
Sług twych od lat pięćdziesiąt, Gaspra z Kazimierzem.
Oni nie chcą być na wsi na łaskawym chlebie,
Bo nic tam nie obaczą milszego nad Ciebie.
Długim wiekiem z usługą oswojeni twoją,
Chociaż stać ledwie mogą, za krzesłem twém stoją,
Albo gdy po ogrodzie masz przechadzki małe,
Wloką jeszcze za tobą nogi ociężałe.
Myśląc: „może się potknie, to ją poratuję"
Biedny! a on to ledwie, że ma ręce, czuje.
Oni wieczorem dzieje młodszym powiadają:
Co to za nieboszczyka pana trudów mają.
Szumne na osób dwieście stoły zastawiano;
Tu muzyka, tu tańce, tam teatra grano.
Teraz blizko czterdzieści lat, jak owdowiała,
Mniéj pani tak wystawnych obiadów dawała.
I spokojniejszy przy niéj wiek mają służebni.
Co jéj przepych nie zabrał, to wzięli potrzebni.
Umie jak sobie począć w szczęściu i w przykrości,
A zawsze idąc dobrze, przyszła do starości.
Pani! lat siedemdziesiąt z górą Bóg cię chowa,
Jak i te twoje sługi, żyj do stu lat zdrowa,
Po których po nagrodę z góry obiecaną,
Ty, jako dobra pani, ci jak słudzy staną.

## XLI. Klorys i Egla.

Klorys z Eglą nazwałbyś aniołami dwiema.
Obiema skromność rządzi, niewinność obiema.
Nad Eglą Klorys miała nabytych cnót z górą,
Starsza: bo była matką; a Egla jéj córą.
Tobie (mówiła Klorys) tobie, miłe dziécię,
Aby ci szło spokojnie i wiodło się życie,
Nadewszystko przestrzegać skromności należy,
Co cię to ma wstrzymywać, że kto, jak chce, bieży.
Idź prostym torem cnoty, każda ubocz krzywa,
A występek i czerni i wzgardą okrywa.

Trzeba ci z sobą walczyć, Eglo ukochana,
I nie iść tam, gdzie droga wiedzie kwiatem słana.
Świat cię czeka obłędny i piękne pozory,
Zgłębiać masz, co fałszywe, co brać masz na wzory,
Kochaj cnotę nad wszystko, znaj, żeś w Boga pieczy,
Jedna cnota, jeden Bóg, o dwie proszę rzeczy.
Eglo! z pociechą widząc wiosny twojéj porę,
W te cię kwiaty przystrajam, nie więdnieją które.
Idźże tak, jak ci radzę, abyś nie zbłądziła,
Ciebie ja o to proszę, com cię urodziła!
Zaklinam cię na los twój, on prac moich płatą!
O ty! jedno me dziecię!... Rzecze Egla na to:
Wzorów cnót upatrywać każesz mi bez wady?
A w tobie cóż ja widzę?... alboż nie przykłady?...

## XLII. Trzy panny do wybrania, niewinna, piękna, bogata.

Ja niewinność mam na czele,
Chociaż majątku niewiele,
Czego mi nikt nie poruszy,
Mój dostatek w mojéj duszy.
Insza się twarzą nadstawi,
Inszéj morze złoto pławi,
Téj w skarbach, téj ufność w ciele,
Ja niewinność mam na czele.

Jam zdrowa i wiek mój młody
Różą mi zdobi jagody,
Ledwie mię kto z chłopców zoczy,
Sto ich koło mnie się tłoczy,
Co z miłością stanie w rzędzie,
Wszystko od niéj niższe będzie,
Wszystko zastąpi uroda,
Ja-m zdrowa, piękna i młoda.

Ja bogata! kto bogaty,
Najpierwsze do niego swaty.
Złoto światem całym włada,
I najkrócéj ludziom gada.
Wielka piękność bywa szkodną,
Głodna niewinność jest głodną.
Wdzięki i ty głodny wstydzie!
Z drogi, z drogi! złoto idzie.



## XLIII. Pieśń wieśniaków puławskich w dzień imienin swojéj pani.

Księżno, twój-li wieśniak śpiewa,
Za któréj zwróceniem powiek,
Wszystko się w szczęście odziewa:
Kwiaty, drzewa, bydlę, człowiek.

Nasza księżna lud swój lubi,
Dobrze się nam przy niéj dzieje,
Wieśniak nią się pyszny chlubi,
Jak słońce, świeci i grzeje.

Nikt przy niéj nie doznał licha,
A twarz jéj wypogodzona
Zawsze się do nas uśmiécha;
Jak sosna, zawsze zielona.

Agata smutna chodziła,
Widziała ją, jużci śpiéwa.
Księżna oczom naszym miła,
Jak pięknéj pszenicy niwa!

Żyj najdłużéj, kobiet chwało:
Niech cię zły los nie dotyka,
Niech cię szczęście przejmie całą,
Jak woda wodę przenika.

## XLIV. Pieśń do Kloi.

Nieś, potoku, te łzy moje,
Blizko ciebie Kloe żyje,
Umywać będzie twarz swoję,
W nich się umyje.

Gdyby jeszcze skosztowała
Téj ze łzą zmięszanéj wody,
Możeby ze mną płakała
Mojéj przygody.

## XLV. Pieśni gości na zapustach do Maryanny Prozorowej, Wojewodziny Witebskiéj.

Za twoje serce najlepsze w świecie
Serca ci nasze kiedy oddamy;
Choć nas w twym domu tak wiele, przecie
My na téj zmianie zysk jeszcze mamy.

Żyj długo, pani, i ciesz się z nami,
To mówią starsi, to mówią młodzi;
Bóg twój przed złemi stanie losami,
Że ci na świecie nic nie zaszkodzi.

## XLVI. Pieśń na imieniny Felicyanny z Głuchowskich Laskowskiéj, Wojsk Kobr. śpiewaną od dzieci i wnucząt.

Twoje nam imię szczęście oznacza,
Twa dobroć błędy nasze wybacza,
Tyś u nas pierwsza, tyś u nas sama,
Tyś domu tego radość i mama.

My teraz młode, lat mało mamy,
Gdy sią starości swéj doczekamy,
Jak dziś, każda ci wtenczas toż powie:
Felicyanno!... szczęście ci, zdrowie.

## XLVII. Pieśń na drożyznę.

Jakaż to drożyzna! jaka!
Czegoś dostał za szóstaka,
Dzisiaj ceni talar cały;
Jeszcze towar przeleżały.

Kiedy człeka zdejmą żądze,
Nie dba wtenczas o pieniądze,
Wszystko, co ma w worku, złoto,
Wrzuci razem w słodkie błoto.

Ale potém, jak zmiarkuje,
Ze rozkosz drogo kupuje,
Woli na chleb schować grosze,
Z tamtém czeka na uprosze.



## XLVIII. Fragment o sławie.

Tu sola animos, mentemque peruris
Gloria!... Te viridem vidit, immunemque senectae
Placidis in ripis stantem, juvenesque vocantem.
Valerius Flaccus de Jasone.

Sławo! któréj powaby najsilniéj nas wiodą!
Ciebie to Jazon widział hożą, wieczny-młodą.
Gdyś go z wysokich Fazu brzegów wyglądała,
I burzliwą z nim młodzież ku sobie wołała.

Ciebie dawnemi krzywdy Greków zajątrzony.
Szukał po krańcach ziemi młodzian Macedony,
Płakał, że mu świat jeden zamała opłata;
Ciebie znalazł krwi kosztem i swojéj i świata.

Bohater, żeby się nim daleki wnuk chlubił,
Tysiąc razy sam ginął, tysiąc razy ubił;
Jak trawy ludy krajów w zapale wykosił;
Pozmiatał baszty z ziemi, góry poprzenosił.

## XLIX. Na obory puławskie.

Krówko! w tobie Io chodzi,
I ten byk hoży z centkami,
Od tego ród swój wywodzi,
Co świeci między gwiazdami.

Tak na puławskie obory
Ziemia z niebem się składały,
Żeby między bydląt twory,
Co najpiękniejsze, to miały.

## L. Z okoliczności jabłoni, przezemnie szczepionéj w Brzostowicy, u szefa Stryjeńskiego, przyjaciela.

Połóż kamień przy jabłoni,
Cośmy ją razem szczepili,
Siadać będziemy koło niéj.
Siąść z przyjacielem najmiléj.

Posadź żonę, szczęście twoje,
Nad nas dwoje któż ci szczerszy?
Podziel to jabłko na troje,
Jeść będziemy owoc pierwszy.

Powiedz twemu Zygmuntowi,
Gdy nań spadnie ta włość cała,
Niech co rok święto odnowi
Przyjaźni, co nas wiązała.

Że tę jabłka imię mają:
Niech przyjaciołom swym powie:
Niech im nas przypominają;
To się Franciszek, a to Jan zowie.

## LI. Do Marcina Badeniego, kawalera ord. św. Stanisława, przyjaciela.

Wśród ludzi mam tu krainę samotną;
Jakże tu kopno, ale nie namłotno!
Ta ziemia szczerych przyjaciół nie rodzi,
Tu zysk zwyczajnie przed przyjaźnią chodzi.

W jakże dalekiéj ode mnie krainie,
Mieszkasz, cnotliwy Badeni Marcinie!
Jabym żył dłużéj, żyjąc bliżéj ciebie,
Tu mię przed czasem mój smutek pogrzebie.

W mym domu, między obrazami wielu,
Nie mam portretu twego, przyjacielu,
Przynajmniéj wpośród ustawnéj tęsknoty,
Ten wizerunek bawiłby mię cnoty.

Do szczęścia, które po śmierci nas czeka,
Ja i to kładę za szczęśliwość człeka:
Że tam się przyjaźń nigdy nie rozdzieli,
Będziem wciąż widzieć Boga i siebie widzieli.

Wtenczas dopiéro poznasz z przekonania,
Jaki był stopień mego przywiązania;
Gdy dusza moja z twą się duszą spoi,
Tak rany tęskne śmierć mi chyba zgoi.



## LII. Do Antoniego Karniłowicza Misyonarza, Nauczyciela Wymowy i Poezyi w szkole Łyskowskiéj.

Ledwoś mieszkańcem został w naszéj stronie,
A już me serce pozyskałeś sobie;
Bądź pewien o tém, iż w miłych mych gronie,
Liczyć cię będę, póki legnę w grobie.
Wszystko, co tylko przyjaźń zawięzuje,
Wszystko w osobie twojéj się zawiera,
Cnota, nauka, w czém ja słodycz czuję,
Oto jest właśnie, co mą przyjaźń wspiera.
Jesteś lat młodych, to z większą twą chwałą,
Że nam się starym przypodobać umiesz;
Każdy osądzi, iż to sztuką całą
Zawsze tak czynić, jak czynić rozumiesz.

## LIII. Pieśń do trzech Panien.

Antonina Radziwiłłówna — Izabella Brzostowska — Anna Błędowska.

A ja stary, a wy młode,
Jakąż z wami mam zabawę?
Trudno zgodzić z ogniem wodę,
Stary z młodą przegra sprawę.

W smutku, chcąc rozrywki w świecie,
Czynię wam z serca ofiary;
Jakże wy to przyjmujecie?
Biedny! zapomniał, że stary.

W najpierwszém téj pieśni słowie,
Wszystkie trzy jesteście w szyku,
Wy mi w sercu, wy mi w głowie,
Ja wam tylko na języku.

# JUDYTA

# KRÓLOWA POLSKA

TRAGIEDYA.

## OSOBY.

WŁADYSŁAW HERMAN, Król Polski.
JUDYTA, Królowa, siostra Henryka IV. Cesarza.
BOLESŁAW, syn królewski, pasierb Judyty.
ZBISŁAWA, Księżniczka Kijowska.
WSZEBOR, Hetman zestarzały Bolesława Śmiałego.
SKARBIMIR, Hetman Władysława Króla.
MIRKOD, wódz Połowców.
ŻELISŁAW, poufały Bolesława.
PRAKSEDA, poufała Królowéj.
TEOFILA, poufała Zbisławy.
ROTMISTRZ, posłaniec od wojska.
Żołnierze.

SCENA W KRAKOWIE.

# AKT I.

Dekoracya sali teatralnéj.

*Przy ścianach zawieszone w festony: zbroje, szyszaki, tarcze, kopije, pałasze; na stole: korona, mieczów kilka dobytych, buławy, buzdygany, maczugi i t. d. Żołnierze w pancerzach z dobytemi pałaszami na warcie.*

## SCENA I.

**Bolesław, Żelisław.**

(*Bolesław bierze na piersi kirys, który mu przywięzuje Żelisław*).

**Bolesław.**

Aż do téj nieprzyjaciel śmiałości przychodzi,
Że o milę od miasta swą drużynę zwodzi!
Mocny naszém lenistwem, lecz nie z własnéj siły,
Urąga nam, swém szczęściem i trunkiem opiły.
Żelisławie!... zda mi się, że jęczenia słyszę!...
Wy to jesteście przyszłych prac mych towarzysze,
Dziś zebrani w niewolą szlachetni młodzieńce;
Zacne imię i swoje zagrzebiecie wieńce,

Gdy wam hardy zwycięstwem nieprzyjaciel powie:
„Wy, do kajdan w Przemyślu; a wy, w Czerniechowie.“ [1])
Mówią, do trzech tysięcy, że saméj młodzieży
Wziął nam zbójca, i z niemi tu nad Wisłą leży.
Król téj nocy ma wysłać z miasta ochotnika
Pod wodzą Skarbimira; czyby niewolnika
Nie odbił co Rusinom. Jaż tu drzymać będę?
Albo jako niewieściuch do kądzieli siędę?

**Żelisław.**

Mam wiadomość, że mego wzięli także brata;
I choćby go uwieźli gdzie na koniec świata,
Pójdę go wszędzie szukać. Ale tobie, książę,
Pewnie król i Zbisława tę zbroję rozwiąże.
Oni ci z garstką ludu nigdy nie pozwolą
Narażać na przygodę w tobie kraju dolą.
A jeszcze w nocnéj porze, jeszcze na tłum taki!

**Bolesław.**

Na tłum z garstką; ale téż ja idę z Polaki.
Zbisława chwały szukać nigdy mi nie wzbroni,
I kto nie szedł tą drogą, nie przyszedł aż do niéj.
Prócz tego, ci książęta razem z Połowcami,
Są jéj ojca, jak Polski, nieprzyjaciołami,
Na króla mam Judytę; ojciec dla niéj słaby,
Co tylko zechce, na nim wszystko wymogłaby.
Przed tobą, przyjacielu, z niczém się nie chronię:
Ona mnie kocha!... Ja się jéj miłości bronię.
To mię ciągnie prośbami, to zemstą ustrasza,
Codzień się na mnie gniewa, i codzień przeprasza.
Szanując ojca mego święte z nią przymierze,
Zbisława mi stateczną będzie!... Ja tak wierzę.
Otóż, jedno z królową przez moment bawienie,
Jeden mój uśmiech, jedno jéj ręki ściśnienie,
Wszystko na niéj wymoże; że wesprze mą sprawę
Przed królem, i wraz pójdziem zarabiać na sławę.
(*Ściska Żelisława*).

[1]) Na czele książąt ruskich, grasujących natenczas w Polsce, był Włodzimierz Monomach Czerniechowski, i Wołodar Przemyski.



A gdybym nawet chciał być (jak lubię) prawdziwym,
I nie słodził Judyty uśmiechem fałszywym,
Sam ojca prosić będę; on czuje, co traci,
Że tyle nieprzyjaciel zabrał naszych braci!...
Polacy! Król was kocha! Wy mruczycie w ciszy,
Że spokojny, zbyt dobry; któż dobrocią grzészy?
Jego serca, jakim jest dla was, mogłem dociec,
Bo mi mawia: „Jam pierwéj ich, potém twój ociec.“ [1])
On wie, że ze mną pewniéj uda się robota,
I do sławy dzisiejszéj nie zamknie mi wrota.

## SCENA II.

**Władysław, Bolesław, Skarbimir, Żelisław.**

**Władysław.**

Czemu to, Bolesławie, nie nosząc w dzień zbroi,
Wziąłeś ją, gdy noc pada?

**Bolesław.**

Nieprzyjaciel stoi
Prawie pod miastem, bo stąd ledwie będzie w mili;
Któżby spał, gdy tak w mieście wszyscy się strwożyli?

**Władysław.**

Mamy wiadomość, że on o mieście nie myśli,
Oni tylko tak tłumnie na rabunek wyszli;
Ale twierdzy dobywać takiéj, jak Krakowa,
Obóz ich machin nie ma, a przemysłu głowa.
Zewsząd łodzie ściągają, bo na jutro rano
Przeprawiać się przez Wisłę wszystkim rozkazano.

**Bolesław.**

Ojcze! kiedy z twéj woli ochotnik wychodzi,
Ażeby mógł co odbić zagarnionéj młodzi;
Pozwól, żebym z drugiemi, gdzie mię sława wzywa,
Do dzisiejszego razem mógł należeć żniwa.
Jakże mi będzie więzień ten obowiązany,
Któremu swoją ręką rozbiję kajdany!

**Władysław.**

Wyznam, synu, że twojéj bojąc się żywości,
Umyślnie z Skarbimirem kleiłem w skrytości
Tę wyprawę dzisiejszą; żebyć z garstką małą
Narażać się, a jeszcze w nocy, nie zachciało.

**Żelisław.**

Kilka tysięcy naszych, miłościwy panie,
Przebrańszego w tę podróż ochotnika stanie;
Nieba gdyby przywalić Bolesława chciały,
Na oszczepach wstrzymamy; wyjdzie książę cały.

**Władysław.**

Mówi się, Żelisławie, a nie śpi przygoda;
Jeszcze gdy się kto na nią dobrowolnie poda.
Żyj szczęśliwy, ale masz kilku twoich braci;
Matka wasza, jeżeli jednego utraci,
Drudzy ją cieszyć będą!... Ten Piastów ostatek
Chcesz, ażebym narażał na losu niestatek? [2])

**Bolesław.**

Królu! nie nazywam to niebezpiecznym bojem,
Nieprzyjaciel już zbity snem, trudem, napojem;
My ich tylko bić będziem, nie wojować z niemi.

**Skarbimir.**

Z pięcią to książętami sprawa potężnemi.
Włodzimierz Czerniechowski, Wołodar Przemyski, [3])
Jarosław Jaropełka, ślepy na pociski,
Dawid Pereasławski, z swym bratem Olegiem.
W osobach swych nad Wisłą stanęli noclegiem,
Chociaż straszni byliby w téj potędze sami,
Mają jeszcze Mikroda z jego Połowcami. [4])
W sile, w odwadze, nikt ci nie wyrówna, panie!
Ale téż Mikrod jeden za obóz im stanie!
Taką zaś liczbę człeka wojskowego mają,
Że na jednego z naszych trzydziestu czekają!



**Bolesław** (*żywiéj*).

Przestań już, Skarbimirze, wynosić ich siły;
Róbmy tak raczéj, dziady jak nasze robiły.
O liczbę nieprzyjaciół nigdy nie pytali,
I dopiéro po bitwie trupy rachowali.
Panie! nie wartbym nigdy miéć ciebie za ojca,
Gdybym się raz zląkł w życiu ruskiego mołojca;
Oni w tłumy ufają, ja w mojéj szablicy,
Którą ponowię jeszcze znak na ich stolicy; [5])
Co im z łaski zostawił dziad Chrobry, stryj Śmiały,
W to się dzisiaj uzbroił Rusin spanoszały,
I podnosi swą rękę na starego pana,
Przed którym świeżo w Łucku padał na kolana. [6])
Tylko mu krócéj trochę przyciągniemy lecy,
Poda nam z biczem polskim oswojone plecy.

**Władysław.**

Synu! nieprzyjaciół twych, choćby było liche,
Pogardzać nie należy. Bóg poniża pychę.
Wyjdź trochę, aż opłoniesz.

SCENA III.

**Władysław, Skarbimir.**

**Skarbimir.**

Na dziesięć tysięcy
Żołnierza mamy w mieście. Wszyscy najgoręcéj
Żądaliby iść na ten podjazd przeciw Rusi,
Ale przy tobie, panie, część zostać się musi.
Nawet, zdałoby mi się, zostawić połowę,
Żeby nie ogołacać z ludzi państwa głowę.
Bo jeśliby fortuna z zbójcami trzymała,
I my tam dzisiaj legli; ta potęga cała
Ośmielona zwycięstwem Kraków obledz może.

**Władysław.**

Dobra rada. Od przygód obraniaj nas, Boże!
Nawet gdyby posiłku brakować nam miało,
W takiéj blizkości stądby łatwo się posłało.

**Skarbimir.**

Pułki te ze mną pójdą. Jaksy, Żelisława,
Sieciecha, Borzywoja, Zemy, Świętosława;
Będzie i z ludźmi swemi Zbilud z Odolonem. [7])

**Władysław.**

Jak mam z szpiegów, ponieważ Ruś swoim zagonem
Nie zagarnęła lasu, przy którym nocują;
Wy się weń wkraść możecie! Tam, gdzie obozują
Połowcy, chrońcie mi się najpierwéj nacierać;
Mikrod baczny, zwyciężać umié, i umierać.
Wstrzymałby was na sobie; tymczasem Ruś cała
Przyjśćby mogła do ładu, i was pokonała.
Ale napaść z téj strony, gdzie ludzie książęcy,
Napaść z okrzykiem i jak można najgoręcéj.
Tak nie mogąc przez Wisłę uciec ruska rzesza,
Zwali się na Mikroda i obóz mu zmiesza.
Skarbimirze! jeśli Bóg poszczęścić wam zechce,
Nie chcę ja nigdy mordu ostatniego, nie chcę.
Nie mażąc się krwią w drogę, radbym świat porzucił;
Jużem się dosyć z Bogiem i ludźmi nakłócił.
Więźniów uwolnić, cała jest wasza robota;
Oddajcie mi me dzieci, proszę was, sierota.
Idź, Skarbimirze, ludzie niech będą gotowi.

SCENA IV.

**Władysław** *sam, potém* **Wszebor.**

Pewnie jeszcze Bolesław swoje prośby wznowi!..
Żal mi go stąd wypuszczać, żal tu go zostawić;
Młody, śmiały, ma siłę i chciałby się wsławić...
Ale niech prosty żołnierz ślepo w ogień leci,
Ochraniać się powinny króle i ich dzieci...
Lubię mój piękny naród, i przez to że lubię,
Bolesława mu chowam, marnie go nie zgubię.
Gdybym miał więcéj synów, gdybym nie był stary,
Któżby téj dla ojczyzny żałował ofiary?...
(*Wszebor wchodzi*).
Wszeborze! nie widziałeś kędy Bolesława?
Smutny jest; dzisiejsza mu wzbroniona wyprawa.



**Wszebor.**

Nie wiem, panie, gdzie książę; wiem o moim synu,
Żem ledwie go wydobył z pomiędzy tych gminu,
Którzy ze Skarbimirem chcą iść na Rusiny.

**Władysław.**

Naród polski wojenne zawsze lubił czyny,
I choć klęski mieliśmy, nigdy do ostatka
Rodzić nam nie przestała bohatyrów matka.
Krew, którą człowiek mężny leje, nieba koi.
Kilkunastu ich padnie, a kraj cały stoi.

**Wszebor.**

Kraj stoi, chociaż ten jest udział méj ojczyzny,
Że ledwie kiedy doszedł mąż dzielny siwizny.
Ja nie wiem, jak dotychczas zostałem się całym.
Z twym jeszcze ojcem, panie, i z twym bratem Śmiałym,
W stu przygodach, tylu ran skaleczone ciało,
Skleiło się, i duszy wypuścić nie chciało.

SCENA V.

**Władysław, Judyta, Zbisława, Wszebor, Teofila.**

**Judyta.**

Królu! kiedy nasz żołnierz za pewném zwycięstwem
Wsiada na koń zagrzany i sławą i męstwem;
Czemużby twój syn tylko gnuśnie w domu leżał,
Jakby do tych zaszczytów jeden nie należał?
Padnie Ruś, gdy świat przed nim drżéć zaczyna słaby,
Szanując w nim krew waszę, i Ryksy prababy. [8])

**Władysław.**

Gdy los zechce, widoczne walą się nadzieje!
Cóż dopiero wśród nocy?... On bardziéj ślepnieje.
Ani się przed pociskiem rzuconym kto schroni,
Ani śmiało uderzy, gdy swój swego goni.
Jeszcze nie przychodzimy do zguby w téj chwili,
Żebyśmy w Bolesławie resztę sił ważyli.

**Judyta.**

Gdyby niebezpieczeństwo jakie można wnosić,
Anibym śmiała, panie, za synem twym prosić.
Ale Rusin nie męski, opiły, zaspany,
Gdy tak łatwo być może przez nas pokonany,
Nie zagradzaj synowi téj sławy. Prócz tego,
Nie widziałam go nigdy tyle dotkniętego,
Jak po twoim zakazie. Więcéj to zmieszanie
Szkodzić mu pewnie może, niż Rusini.

**Wszebor.**

Panie!
Ja sam na Bolesława schyliłbym się stronę,
Byle to tylko gromić Ruś niedojeżdżonę;
Choć i ci, pod wielkiego Włodzimierza rządem,
Stanęli nam nad Sanu i nad Bugu lądem. [9])
Ale to o Mikroda chodzi z Połowcami;
Ten okrutny zwycięsca świeżo nad Węgrami,
Gdzie w małéj garstce swoich, męstwem niesłychanem,
Siły państwa obalił z pysznym Kolomanem,
Ten zwierz srogi, na same straszny oszczepniki!

**Judyta.**

Bolesław dzieckiem bijał niedźwiedzie i dziki.
A do tego zna wojnę. W dziesiątym swym roku
Wziął Międzyrzec i nie dał Pomorcom Santoku.
Będzie wiedział gdzie natrzéć, a gdzie się uchronić.

**Władysław.**

Zbisławo, takżeś przyszła, ażeby nie bronić
Wyprawy Bolesława?

**Zbisława.**

W tym, w którymem stanie,
W żadne rządy wdawać się nie powinnam, panie,
Przyszłam tu iść z królową razem zawołana;
W tém państwie jestem w gminie ludu zamięszana,
Który na twoję wolą powinni być ślepi;
Bo co tylko rozkażesz, to będzie najlepiéj.



**Judyta**

Bolesławowi chwały czyżby mogła bronić?

SCENA VI.

*Ciż sami i* **Bolesław.**

**Wszebor.**

Otóż i książę!

**Bolesław.**

Królu!

**Władysław.**

Synu! ty chcesz gonić
Może za twoją zgubą!... Jakże wiele było,
Co mi cię od dzieciństwa najmilszym zrobiło!
Na tożeś tyle trudów koło mnie używał,
Myśli moje uprzedzał, albo je zgadywał,
Ażebyś mi to serce, stąd pociechy syte,
Dziś rozdzierał i psuł twą piękną pracę? Skryte
Jakoweś mię przeczucie trwoży.

**Bolesław.**

Jeśli z góry
Dziś mi zgon przeznaczony, to mię pewnie mury,
Ani ogromne warty śmierci nie obronią!
Takbym zginął przynajmniéj, jak mąż, w ręku z bronią.
Prawda, że chcę wyprawy; ale moje chcenie
Ma za cel, ojcu, sławie, krajowi służenie.
Znam wojnę, już coś zjadłem z żołnierzami chleba.
I wiem, gdzie natrzéć, a gdzie uchylić się trzeba.

**Władysław.**

Wtenczas, nad nieprzyjaciół, byliśmy liczniejsi,
Dziś, na ruskie zastępy, my daleko mniejsi.
Najbardziéj w noc, ślepo cię narażać czyż mogę?

**Bolesław.**

Ten miecz, jak nim zabłysnę, znajdzie sobie drogę.

SCENA VII.

*Ciż sami i* **Żelisław.**

**Władysław.**

Co niesiesz, Żelisławie?

**Żelisław.**

Skarbimir ci, panie,
Znać daje, że już żołnierz wyciągnąć jest w stanie.
Wkrótce głos da się słyszéć na koń do wsiadania,
Drugi do rot podziału, trzeci do ruszania.
Groźnym, królu, zakazem wstrzymywać musiano,
Tak się na tę wyprawę z Skarbimirem pchano.
Wiele wolnéj młodzieży, nie pod rozkazami,
Już na koniach za miastem, chce się łączyć z nami.
Jaksa stary młodego syna ma przy boku,
Mówi, że téż w piętnastym poznał bitwę roku.
(*Marsz grają za teatrem. Bolesław przed ojcem klęka na kolana*).

**Bolesław.**

A jażto tylko jeden zostanę się w domu,
Którybym nie powinien ustąpić nikomu,
Gdzie o dobro narodu i o sławę chodzi!
Ojcze! to święte imię jeszcze mój los słodzi.
Niechbym się nie zostawał wśród miasta nieczynnym.

**Władysław.**

Wstań, synu! czego klęczysz? jak gdybyś był winnym!

**Bolesław.**

Tak jest, masz przy twych nogach głowę obwinioną;
Że o to śmiem cię prosić, co mi już wzbroniono.
(*Wstaje*).

**Judyta.**

Królu, daj się ubłagać, wszakże syn cię prosi.

**Bolesław.**

W oczach moich kto inszy nieprzyjaciół znosi,



Jak ostatni nikczemnik ja się w pierzu walam.
Takąż o mnie nadzieję miał naród?

**Władysław.**

Pozwalam.

(*Bolesław całuje rękę ojca: wychodzą wszyscy, Bolesław zatrzymuje Zbisławę*).

SCENA III.

**Bolesław, Zbisława, Teofila.**

**Bolesław.**

Pani, ta czasu nagłość — przyczyną spóźnienia,
Że dotąd nie zyskałem twego pozwolenia;
O które kiedy proszę, przyłączam to jeszcze,
Gdy się szczęśliwie w liczbie twych rycerzów mieszczę,
Pozwól, niech pod twą barwą silniejsza ma ręka, [10])
Twoich i naszych razem nieprzyjaciół nęka.

**Zbisława,**

Książę! kiedy królewskie już masz zezwolenie,
Nacóż mię o to prosisz? czego nie odmienię?
Do sławy nigdyć drogi nie mogę zagrodzić,
Tylkobym chciała z dni twych pewnością ją zgodzić.

**Bolesław.**

Jeżeli życie moje twéj opieki warte,
Jakże mi go szanować należy!

**Zbisława.**

W otwarte
Na tysiąc śmierci wrota przecież chcesz iść śmiało.
Gdyby przynajmniéj słońce dzieła twe widziało;
Ale w nocy z nikczemnym pomięszany gminem,
Padniesz może, żadnym się nie wsławiwszy czynem.

**Bolesław.**

Czyż to każdy na wojnie życie swe utraca?

**Zbisława.**

Czyż każdy, co poszedł na wojnę, powraca?

**Bolesław.**

Cóż tedy już zrobiwszy tyle, zrobić mogę?

**Zbisława** *z żywością.*

Oto idź, masz mą barwę. (*Odrywa swoję wstęgę i daje Bolesławowi*).

**Bolesław.**

Także to mię w drogę
Smutnego chcesz wyprawić? Cóż ta żywość znaczy?
Zbisławo! Jużem zbity!

**Zbisława.**

Tłómacz to inaczéj.
Nigdybyś nie miał tego u mnie poważenia,
Które cię, może, na me nieszczęście ocenia.
Ale, jak mam dwie siły sprzeczne zgodzić w sobie?
Miłość i sława twoja walczą we mnie obie...
Tak blizkiém spokrewnieniem z tobą ośmielona, [11])
Razem z tobą lat kilka, tobie naznaczona;
Dzisiaj! Cóż mam powiedzieć więcéj?...

**Bolesław.**

Ja za ciebie,
Ja, Zbisławo, dokończę. Jeśli mi Bóg w niebie,
Jak się mogę spodziewać, przeznaczył zwycięstwo,
Na zdradliwe książęta krzepiąc moje męstwo:
Zaraz, co nam zwyczajna przystojność poradzi,
Do ojca cię uczciwy poczet odprowadzi;
Potém szumne poselstwo pójdzie do Kijowa,
Gdzie najpierwszéj młodzieży stary Wszebor głowa,
Z dary dla Swiętopełka, do ciebie z pierścieniem,
Wszebor ojca mojego; ci mojém imieniem.

**Zbisława.**

Błędne nasze nadzieje, jak często mylicie!...
Wkrótce mi obiecujesz oddać twoje życie,



A dziś go na szańc stawiasz! Czyż ty w środku boju
Wspomnisz, w jakim został się ojciec niepokoju?
W jakiéj trwodze Zbisława?... Mając nas na względzie,
Czyż się uchronisz tam, gdzie najgoręcéj będzie,
Do jakiejżbyś wdzięczności drogę nam uścielił,
Cząstkę sławie ujmując, żebyś nas podzielił?...

**Bolesław.**

Takież to budzą czucie losy moje w tobie?

**Zbisława.**

Jedno ci zawsze mówię, może przykrzysz sobie.

**Bolesław.**

Twemu sercu do zgonu się nie wypłacimy!
(*całuje rękę i trzyma*).

**Zbisława.**

Może już to ostatni raz z sobą bawimy. (*Łzy ociera*)

**Bolesław.**

Pani! cóż widzę! czemuż twoję duszę giętką
Próżna trwoga nachyla? (*Grają marsz za teatrem*).

**Zbisława.**

O jakże to prędko!
(*Wyrywa się i ucieka*).

**Bolesław.**

Zbisławo!... Już zniknęła!... o serce niewinne!
Ona mi przypomniała łzy jeszcze dziecinne!
(*Łzy ociera*).

(*Kładąc szyszak na głowę*).

Sławo! któraś mną dotąd udzielnie rządziła,
Łza Zbisławy o mało cię nie przeważyła.

## SCENA IX.

**Władysław, Bolesław, Skarbimir.**

**Władysław.**

Synu mój, czas nadchodzi ruszania się w drogę;
Jaksa stary z swym idzie, ja z tobą nie mogę,
Żebym, gdy się zaślepisz sławy twym żywiołem,
I hamował zapędy i bronił cię społem.
Ale na mojém miejscu Skarbimira kładę:
On ma już doświadczenie, będzie miał i radę.
Od jego boku nigdzie masz nie odstępować,
Gdzie bitniejszy ochotnik będzie was pilnować.
Wspomnij sobie przysięgi; coś mi obiecował,
Kiedym cię na rycerza mojego pasował; [12])
Masz iść ślepo tym, którym rozkażę ci, torem;
Temi cię przysięgami wiążę i honorem.

**Bolesław.**

Królu! syn twój, i rycerz! nigdy się nie zmaże,
Łamiąc to, co mu jego obowiązek każe;
Idę pod Skarbimira rząd, co mu go dałeś,
Bo i umie być wodzem, i tak, ojcze, chciałeś.

**Skarbimir.**

Panie! tobą zarządzać nigdy się nie sadzę;
Ty prośb moich wysłuchasz, a masz w krwi twéj władzę.
I gdy Ruś tém szczęśliwém ponękasz żelazem,
Ja téż chlubić się będę, żem był z tobą razem.

**Władysław.**

(*trzymając za rękojeść szabli Bolesława*).

Gdy, synu, tego miecza dobędziesz w potrzebie,
Niechaj się nieprzyjaciel płaszczy koło ciebie.
Niech się trwoży, niewinnie kłócący nas zdrajca,
I przed karą ucieka, jako winowajca.
Jeśliby zaś z tych zbójców przyszło tam któremu,
Ośmieliwszy się, życiu pogrozić twojemu,
Niech ten miecz niebezpieczne zamachy odbije,
I pewném cięciem winną upokorzy szyję.



Ludu mój! w oczach twoich ten Izaak staje;
Ja go dla twéj miłości, na ofiarę daję.
Czyż się mogę wypłacić więcéj narodowi?
Boże! wróć mi go przecie, jak Abrahamowi.

(*Grają marsza za teatrem, wychodzą wszyscy.*)

---

## AKT II.

Dekoracya: Pokoje królowéj.

## SCENA I.

**Judyta, Prakseda.**

**Judyta.**

Zginąć musisz, niewdzięczny! . już zgon jego widzę!..
Nie znam środka, Praksedo: kocham, nienawidzę.
Nie znam, co to litością serce me osłabić,
Gdyby mógł wstać zabity, powtóre go zabić.
Okrutny Bolesławie! dziś będzie zemszczona
Judyta, i z nią razem miłość pogardzona.
Prócz tego, już mi młodzik do rządu się wdziera.
Czyni, cobym nie chciała; com dała, odbiera!
Toby mię w śmierci jego cieszyło godzinie,
Gdyby jeszcze mógł wiedzieć, że z méj ręki ginie.

**Prakseda.**

Czyliż już taka pewność w Mikrodzie i Rusi,
Że koniecznie Bolesław od nich zginąć musi?

**Judyta.**

Na coż cudzych? kiedy mam swojego gotowym?
Wolałam, żeby pewniéj padł nożem domowym.
I gdy się ta nić Piastów ostatnia postrzyże,
Tym sposobem do tronu me córki przybliżę [13])
Niewdzięcznik... gdy mię świeżo prosił opuszczony,
Żeby od téj wyprawy nie był oddalony;

Wtenczas przynajmniéj dla mnie mógłby być odmienny,
Rękoma, sercem, okiem, stał posąg kamienny.
Dogodziłam żądaniom, poszedł na wyprawę,
Jeszcze z sobą do króla wezwałam Zbisławę,
By ta jego kochanka, ta nad insze miła,
Wraz ze mną się do zguby jego przyczyniła.
Bo już wtenczas tym za nim uczynionym krokiem,
Zdrajca—serca mojego miał ginąć wyrokiem.
I ledwie mu ta podróż była pozwolona,
Wnet przyzwałam Zbiluda, Zemy, Odolona,
Tych, Śmiałego wspólników, co biskupa siekli;
Wszyscy mi jednostajnie usłużyć przyrzekli,
Że gdy noc w mięszaninie rękę ich ośmieli,
Żeby troistym nożem Bolesława rznęli.
Moje się panowanie, lub mych córek zacznie.
Pierwszemi dostojeństwy nagrodzę im znacznie.
Prócz tego dzisiejszemu niechętni rządowi,
Że służyli Śmiałemu i Mieczysławowi,
Ten im przytraf dogodny.

(*Za przyjściem króla, Prakseda wychodzi.*)

## SCENA II.

**Władysław, Judyta.**

**Władysław.**

Nasze zamięszania
Dotychczas cię, Judyto, wstrzymały od spania.
Choćbyś bezpiecznie mogła na wszystkie hałasy,
Wtenczas, gdy ja przy tobie czuję, miéć swe wczasy.

**Judyta.**

To, co naród obchodzi, co ciebie i co mnie,
Noc, którą pewnie będą wspominać potomnie,
Która Bolesławowi da zwycięski wieniec,
Co nań włoży nasz wolny od kajdan młodzieniec.
Noc tę chwały narodu, jakżebym przespała,
Żebym między pierwszemi naszych nie witała,
Którzy może niebawem z okrzyki powrócą?



**Władysław.**

Ja mam nadzieję, że Ruś zuchwałą ukrócą:
Ale się lękam nieco Mikrodowéj siły.
Nasz Bolesław nie idzie, gdzie ma schód pochyły,
Ale pnie się do góry, choćby i szkodował,
Szukać będzie Mikroda, by się z nim szkosztował.
Mówią o wielkiéj sile tego poganina,
Że przy Sanie zbrojnego w pół przeciął Węgrzyna.

**Judyta.**

Czyż twój syn w téj wyprawie będzie za harcerza?
Słyszałam, żeś go związał przysięgą rycerza,
Żeby od Skarbimira nie odstąpił kroku;
Bitniejszego żołnierza miéć będą przy boku.
A gdzie się Ruś przeciw wam niedołężna sili,
Zawsze na waszę stronę fortuna się chyli.
Choćby téż przyszło do rąk z tém dziwem zajadłem,
Czyż Mikrod tylko młotem, a wszyscy kowadłem?

**Władysław.**

Gdyby Bóg błogosławił tym dni mych ostatkom,
Żebym mógł powypłacać długi polskim matkom;
Które na mnie o synów zabranych wołają!..
Niech insi więcéj szczęścia, więcéj lat żądają,
Ja smucić się nie będę mym do grobu wchodem,
Bylem z uszczęśliwionym żegnał się narodem.

**Judyta.**

Naród będzie szczęśliwym i ty patrząc na to,
Cieszyć się wiekiem będziesz, prac twoich zapłatą.

**Władysław.**

Po dzisiejszéj wyprawie, gdy Bolesław wróci,
Oddam mu rządy państwa, niech się już on kłóci.
Kto się krajem zatrudnia, ten jest królem prawym;
Będę tylko u syna na chlebie łaskawym,
Pewien wszelako względów (za trudy, com użył),
Od mojego narodu; bom poczciwie służył.

## SCENA III.

**Władysław, Judyta, Wszebor.**

**Wszebor.**

O pół mili od miasta trzech nasi złapali,
Którzy się od obozu książąt zabłąkali.
Ci pewną sprawę dają: jakoby ich pany,
Dzisiaj poniechęcić się mieli z Połowczany
O nierówny zdobyczy udział każdéj stronie;
Mikrod chciałby zabierać i sprzęty i konie,
A Rusinom zostawia niewolnika z bydłem.
Mówią, że prawém rządzi obozowém skrzydłem
Oleg, Wołodar lewém, z swemi Przemyślany,
Mikrod w odwodzie, w środku Jarosław pijany.
Tamże Włodzimierz strzeże łupów z niewolnikiem,
Otoczony najpierwszym wojska niewolnikiem,
I ruskiemi bojary. A bydło i konie
Mają zacząć przeprawiać o porannéj łonie.
Mówią: że ich się więcéj zbłąkało ku miastu,
Ale idąc nasz podjazd, zabrał kilkunastu.
Przydają, że umyślnie podeszli tak blizko,
Żeby sobie czynili z nas urągowisko,
Nigdy nie myśląc, aby naszych garstka mała,
Przeciw tak licznym wojskom, ośmielić się miała.
Podjazdowi pomyślność wszystko wróży, panie;
Lud serdeczny, wódz dzielny, ruskie zaufanie.
Jeszcze, gdyby umyślnie, niebo nam się zgina:
Wiatr od ruskich obozów silny wiać zaczyna;
Że nasi biegnąc sporo, wpośród nocnéj ciszy,
Wkradną się w las, i pewnie nikt ich nie usłyszy.
Będziem, królu, słyszeli, tenże wiatr przyniesie
Wrzawy, skoro Bolesław szablicę podniesie.

**Władysław.**

Niechże tych trzech złapanych nie straszą, nie biją,
Czemużby odpowiadać mieli za złość czyją?
Ich pany wiarołomne, ich pany winnemi;
Ale pójdźmy, chciałbym się sam rozmówić z niemi.



## SCENA IV.

**Judyta** *sama.*

Mnież to kiedy ma spotkać obelga tak ostra?
Ja potężnych cesarzów wnuka, córka, siostra, [14])
U jednego młodzika na łaskawym chlebie!..
Niech tam, pniu opleśniały, kto chce depcze ciebie;
Ja się prędzéj dam złamać, niż schylić pokorą!..
Ale temu przyszłemu panu, może porą
Już w tym czasie wnętrzności!-. ktoś ma rozkosz swoję,
Nie znam większéj, jak gdy mą zemstę zaspokoję!..

## SCENA V.

**Judyta, Prakseda.**

**Judyta.**

Praksedo! jużeśmy tu żebrać przeznaczeni!
Przed Bolesławem z tobą stać będziemy w sieni,
Prosząc chleba kawałka. Władysław dał słowo:
Że, byle się z wyprawy syn powrócił zdrowo,
Zaraz mu rząd zupełny oddaje krajowy.
Ale przetnie ten wątek nóż Odolonowy.
Albo może Połowcy zrąbią go na sztuki,
Które głodne rozniosą po powietrzu kruki,
Że nie będzie co pogrześć; niżby miał mną rządzić.

**Prakseda.**

Pozwól, pani! nie można Władysława sądzić,
Żeby miał tyle swemu pozwalać synowi,
Aby, co przyzwoite twojemu stanowi,
I wysokim zaszczytom, miał kiedy uwłóczyć:

**Judyta.**

Więc mię nie znasz, Praksedo. Trzeba cię nauczyć.
To serce, siebie tylko słucha, każe sobie;
Być wśród równych, dosyć mi będzie czasu w grobie,
Teraz, co tylko wyższe o włos nad mą kosę,
Albo mię zetrzéć musi, albo ja się wzniosę.

**Prakseda.**

Ale czy tylko można wierzyć Zbiludowi
I dwom jego sprzysięgłym? czy pewnie odpowié
Żądaniom twoim, pani? Może się rozradzą,
Może i skrytą twoję namowę wydadzą.
W jakążby zawieruchę to cię nie wpędziło!..

**Judyta.**

Takie powątpiewanie skąd ci się zaśniło?
Wielki powab, majątek, urząd, łaska stała,
U pani, na którąby spadła władza cała:
Te mieli obietnice, i mogli im wierzyć.
Dotąd niebity, kogom nie chciała uderzyć,
A gdyby mię zdradzili!.. wiedzą, co ich czeka.
Nie znajdą, coby mi się sprzeciwiał, człowieka,
Żeby nie zginął, albo nie ucierpiał nędze.
Ta ręka śmierć zadaje, lub rzuca pieniądze.

**Prakseda.**

Insze to były czasy! Bolesław był mały!
Dziś na niego się wszystkich oczy pozwracały.
Kochają go powszechnie, wkrótce będzie władać;
Żeby ten, który mu miał, śmiertelny raz zadać,
Nie był przeciwko tobie, królowo, za świadka.
Ja myślę, że ostrożność bezpieczeństwa matka.

**Judyta.**

Chociaż nigdy błędu się spodziewać nie mogę,
Zażywszy na to ludzi, którzy znają drogę;
Ale i niespodzianą chcąc umknąć zawadę,
Żeby się czém nie zwikłać, mam i na to radę.
Wpadnę nagle, i prosto opowiem królowi:
Że sprzysięgli się życie wziąć Bolesławowi:
Zbilud, Zema, Odolon; że w téj mięszaninie,
Jeżeli go nie poślą ratować, zaginie.
Wypada, że wnet poczet wyleci za niemi,



Ażeby albo żywcem mogli być wziętemi,
Jeśli nie, tedy żeby tam ich rozsiekano.
Moja rzecz, by w tę drogę Przecława wysłano.
Przecława, który dla mnie to uczyni snadnie:
Jemu zalecę, skoro na miejsce przypadnie,
Choćby mógł żywcem zabrać, żeby śmierć podjęli,
Pod pozorem, że niby bronić mu się chcieli.
Zgonem trzech drobnych ludzi spokojność opłacę,
Zyskać mogę najwięcéj, a najmniéj w nich tracę.

**Prakseda.**

Lepiéjby tedy raraz donieść to królowi.

**Judyta.**

Poczekam, bo się dobrze zdaje Wszeborowi,
Że ponieważ wiatr wieje od obozów Rusi,
Tu wrzawa bijących się słyszana być musi.
Otóż, jak się rozpocznie z Rusinami sprawa,
Czas będzie donieść o tém, i wysłać Przecława.
Skądinąd, niepotrzeba, byśmy się kwapili,
Bo myśl, co chcesz, moja mnie zdobycz nie omyli;
Przez naszych sprzysiężeńców Bolesław dziś zginie.
Ale nie mogą się nań podnieść w téj godzinie,
Kiedy idą podjazdem; chyba w bitwy czasie,
Wśród nocy, zamięszania, sposobność poda się.
Jeżeliby się zaraz Przecława posłało,
Mógłby ich pozabijać, niżby co się stało.
Niech oni swoją drogą idą, niech czas mają,
Niech mu przez setne rany duszę wypędzają;
Przecław tam o poranku pierwszym chyba stanie.
Zbiluda, Odolana, Zemę niemieszkanie
Rozsieka, tak wraz będzie Bolesław zabity,
I w śmierci trzech zabójców nasz sekret ukryty!..
Lepiéj, że ich tąż poślę z Bolesławem drogą:
Oni wymagać wiele za usługi mogą.
Czuję to, jak jest we mnie niepodległa dusza;
I nie lubię wdzięczności, bo czasem przymusza.
Pójdę, niech mi się Przecław jak najprędzéj stawi.
Nie spóźni się, kto wcześnie rzeczy swoje sprawi.

## SCENA VI.

**Prakseda** *sama.*

Już daléj nie mam tyle i serca i siły,
Tak mi się te królowéj roboty zmierziły!
Trucizny, mordu, zdrady, wszystkiego użyła,
Byle tylko układom swoim dogodziła.
Niezmierna chęć rządzenia, rozpusta i pycha,
Gdzie występek największy, wszędzie ją popycha.
Mnie do swych tajemnic nieszczęściem przybrała,
Zginęłam, jeżelibym uchylić się chciała.
A codzień świeże deptać trupy, jak jéj zda się,
Sama na to człowiecza natura wzdryga się.
Co jéj winien Bolesław, że nań ostrzy noże?
Że skromny, że ojcowskie nie chce mazać łoże;
Że kochany od ludu, wkrótce będzie rządził;
Témeś to Bolesławie, tém u niéj pobłądził!
Hoży młodzian! w tę podróż gdy na konia siadał,
Słyszałam z okna, do swéj jak czeladzi gadał;
„Z wielkim jutro na obiad czekajcie mię stołem,
Bo z jeńcy odbitemi jeść będziemy społem."
Nie wiedział, jakie Zbilud gotuje mu gody!...
Gdzie szlochania za surmy; łzy gorzkie za miody;
Za śpiewania — ojcowskie i Zbisławy jęki!..
Komuż on się naraził?.. Radziłam królowéj,
Żeby zaraz doniosła Zbiludowe zmowy,
Myśląc, że gdy za niemi wyleci wyprawa,
Mogą jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.
Ale złość jéj przezorna, czas zwlekać wolała,
Żeby ze czterech razem trupów, krew żłopała!..
Zginąłeś, Bolesławie!.. z nami się rozstawa
Słodki uśmiech, uprzejmość, wesołość, zabawa.
Jakież po twojéj śmierci w narodzie rozpacze,
Gdy cię Prakseda nigdy niepłacząca płacze!..

(*Łzy ociera*).



## SCENA VII.

**Judyta, Prakseda**

**Judyta.**

Cóż się stało, Praksedo? Czemuś tak zmięszana?
Skąd łzy w oczach? i trwoga dotąd ci nieznana?
U mnie płacz pewnym znakiem jest słabości duszy;
A my zawsze wygramy, gdy nas nic nie wzruszy.

**Prakseda.**

Nie pamiętam, jak dawno łzy się wylewało,
Ale serce jest sercem, i pory czekało.

**Judyta.**

Przecież musi być jakaś twoich łez przyczyna?

**Prakseda.**

Zwalona, nie może niewinnego, wina.

**Judyta.**

Wynurz mi, jaki ma być ten twój żal ukryty?
Zawsze miała Prakseda przystęp do Judyty.

**Prakseda** (*całuje rękę królowéj.*)

Pani! nigdym ci w życiu przeciwną nie była;
Za wolą twoją, jak cień za słońcem, chodziła;
I chociaż mi rzecz jaka przeciwną się zdała,
Myślałam, musi to być, bo pani tak chciała.

**Judyta.**

Moja Praksedo! na cóż ogródek tak wiele?
Prawoć dały twe u mnie zasługi; mów śmiele.

**Prakseda.**

Oto Bolesławowi żebyś darowała.
Jam to jego młodości dopiéro płakała!
I jeżeli w czém kiedy niebacznie pokawił,
Nie karać go tą razą, onby się poprawił.
Zbilud, Zema, Odolon, niechby poginęli,
Dość winy, że się zabić książęcia podjęli,
Poślij, pani, najprędzéj sprawnego Przecława:
Może jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.

Tak ochronisz to życie, które po godzinie
Pewnie ci będzie drogie, jak gniew twój przeminie.

**Judyta.**

Ja, co raz postanowię, tego nie żałuję.
Ale skąd ci ta nowa litość serce truje?

**Prakseda.**

Litość, widzę, przychodzi sama, niewołana;
I chociaż dziś pierwszy raz odemnie poznana,
Czując ją, teraz nawet nie żal mi, żem tkliwa:
Nie truciznę, lecz słodycz ona w serce wlewa.

**Judyta.**

Pomyślę nad tém, a ty w téj duszy chorobie,
W blizkim moim uchronie pójdź i spocznij sobie.

SCENA VIII.

**Judyta** *sama.*

Chce, żebym dzikiéj jego znajoma natury,
Czekała, aż lwu temu urosną pazury.
Chce, by mię jutro deptać, albo ze mnie szydzić;
O Praksedo! chciéć tego jest mnie nienawidzić.
Nie mogę się z nią głośno o tę słabość wadzić,
Boby mię mogła wydać, mogłaby mię zdradzić.
Ale trzeba się jako zbyć jéj pokryjomu;
Pod skórą psa wiernego, to widzę wilk w domu.
Może jakie miłostki z Bolesławem miała;
Nie rozumiem, za coby go tak żałowała.
Niestała widzę! . . . zaraz jak śnieg się rozleje;
Wolę głaz, prędzéj da się skruszyć, niż stopnieje.

SCENA IX.

**Władysław, Judyta, Wszebor.**

**Władysław.**

O Judyto! jakże to potrzebna wyprawa,
Na którą się wysłało dzisiaj Bolesława!



Trzéj zabrani Rusini, nad mniemanie liczą,
Z jaką Mikrod z książęty uchodzi zdobyczą.
Samego niewolnika, kładą płci obojéj,
Do drzydziestu tysięcy, że nad Wisłą stoi.
Chodząc szlachetne panny po majdanach płaczą,
Że już swojéj ojczyzny nigdy nie obaczą;
Szczęśliwsze, które mogły paść pogańskim nożem,
I pogrześć się w swym kraju z niezmazaném łożem.
Mężczyzni powrozami skrępowani leżą,
Ledwie swą nagość nędzną pokryli odzieżą;
Którym się w krzepkie ręce twarde wżarłszy łyka,
Gdzie tylko nieprzyjaciel pędził niewolnika,
Wszędzie po drogach krwawe zostały się ślady:
Wszędzie nad nim bicz ostry, a przy nim głód blady.

**Judyta.**

Jakież tam ma być mnóstwo i bydła i koni?

**Władysław.**

Powiadają, że obóz ledwie je zasłoni.
I choć z głodu, z przegonu, zginęło najwięcéj,
Jeszcze mogło im zostać sztuk do sta tysięcy.

**Wszebor.**

Toż rynsztunków wojennych i sprzętów domowych,
Mówią, kilkaset ciągnie wozów obozowych.
W co lubili na przepych ubierać się w swięto
Nasi Sandomierzanie, wszystko to im wzięto.
W czém stawali w potrzebie, złocone przyłbice,
Zbroje w drogich kamieniach, oprawne szablice;
Wszystko to dzisiaj w ręku zostało pogańskich!..
I Połowców z Rusinem w stepach zadnieprzańskich,
Przybranych w nasze złoto bujać będą tłumy;
Że ich własne wpólnagie nie poznają kumy.
Tak byłoby, gdyby nam niebo nie zdobrzało,
A wyprawie dzisiejszéj poszczęścić nie chciało.
Ale jakieś szczęśliwe mam przeczucie, panie,
Że nam wrócą to wszystko i Ruś i poganie.
Wreszcie Bóg obrócić się musi na tę stronę,
Gdzie nań woła niewinność, przymierza zgwałcone.

Znieważone dziewice, lud uciemiężony.
Takim, królu, posiłkiem nasz podjazd wzmocniony.

**Judyta.**

Jużby daléj powinny téj naszéj wyprawy,
Tak, jakeś się spodziewał, słyszane być wrzawy.

**Wszebor.**

Pewnie, jużby się daléj powinny zejść z sobą.
Panie, jeżeli każesz?

**Władysław.**

Idę razem z tobą.
(*Wychodzą wszyscy*).

---

## AKT III.

Dekoracya taż sama.

### SCENA I.

**Władysław, Wszebor.**

**Wszebor.**

Jeszcze do dnia z godzina, biją się od chwili,
Dość czasu, królu, żeby obóz rozproszyli.
Bo gdyby nas na sobie wstrzymali z dniem białym,
Widząc nasz podjazd w miarę swoich wojsk tak małym,
Toby ich ośmieliło. Lecz tak się nie stanie,
W Rusi trwoga przemoże, w naszych zaufanie.
Kiedym, królu, usłyszał bijących się wrzawy,
Gdyby blizko, sam zaraz stanąłbym do sprawy;
Tak się nawykła boju krew cała zburzyła.

**Władysław.**

Co we mnie, insze czucie ta wrzawa sprawiła;
Myślałem, jak daleko winni są królowie,



Albo ci, w których ręku ludu życie, zdrowie:
Kiedy często za drobne między sobą sprzéczki
Ludzi niewinnych krocie, ciągną do potyczki.
Źle spał pan niecierpliwy, zdechł pies ulubiony,
Wtém mu pochlebny sługa donosi ze strony,
Że sąsiad wszystkie pańskie sprawy w śmiech obraca;
Wnet wojna, psa niestrawność krew ludzka opłaca.
Cośmy winni książętom? co Połowcom byli,
Że się na nas w niesławnym Stakowie złączyli?
Może uraza jakaś z boku podeszczwana,
Może chęć sławy w świecie źle wyrozumiana,
Albo żądza swojego majątku zwiększenia;
Wszystkie marne pobudki do ludzi tracenia.
Któż nagrodzi za męża żonie, co kochała?
Dzieciom za ojca? matce, gdy syna stradała?
Których dziś krew niewinna potokami płynie!..

**Wszebor.**

Panie! to nie uchybi; kto ma zginąć, zginie.
Cóżbym był robił, gdyby świat był tak spokojny?

**Władysław.**

Broń się, a nie napastuj. Oto prawo wojny.

### SCENA II.

**Władysław, Judyta, Wszebor.**

**Judyta** *udyszona.*

O królu! zginęliśmy!.. Bo już może zginął!..

**Władysław.**

Któż zginął?

**Wszebor.**

Cóż to?

**Judyta.**

Jakże wcześnie się przeminął!
(*Ręce załamuje*).

**Władysław.**

Któż taki?

**Judyta.**

Twoja w życiu nadzieja jedyna!..

**Władysław.**

Pewnie syn mój, Bolesław?

**Judyta.**

Ratuj twego syna!..
Zbilud, Zema, Odolon, nań się umówili,
W dzisiejszéj tam zamieszcze, żeby go zabili!

**Władysław.**

Któż doniósł o tym spisku?

**Judyta.**

To będzie tajemne,
Bom przyrzekła nie wydać.

**Władysław.**

Nadzieje daremne!
Boże! cóż on był winien? Wszebor, daj mi zbroję,
Szablę, konia; ratować pójdę dziecię moje!
Albo razem z nim zginę. (*Chce wychodzić*).

**Wszebor.**

Zatrzymaj się, panie!
W tym wieku, co mi tylko krwi jeszcze zostanie,
Czyż ją piękniéj przeleję, jak za twego syna?

**Judyta.**

Daruj, Wszeborze! lat twych, nie serca jest wina,
Że sprawy, tak prędkiego potrzebnéj obrotu,
Nie możesz się napierać.

**Władysław.**

Przez dzięki! o co tu
Kłócić kogo? Ja ojciec!



**Judyta.**

Na myśl mi przypada
Żartki Przecław, niech na koń jak najrychléj wsiada,
Najbardziéj, że królowi statecznie przychylny.

**Władysław.**

Stójcie! on nie miał dzieci, nie będzie tak pilny!..

**Judyta.**

Wszeborze! Rycerz zbrojny w gotowości czeka;
Przecław niech z sobą weźmie ze dwieście człowieka,
I niech zaraz wyleci. Niech zabójców ima,
Żywcem trzeba koniecznie, boby pod oczyma
Wydali i spólników, których pewnie mają.
Jeśliby się bronili, niech tam gardła dają.
Spodziewam się przed czasem, że ich ubieżymy;
Karząc jednych sprzysięgłych, drugich zastraszymy.

**Władysław.**

Żywych niech mi przywiodą, jeśli syn mój żyje;
Jeśli zginął, niech przyjdzie Zbilud, mnie zabije.
(*Król płacze*).

## SCENA III.

**Władysław, Judyta.**

**Judyta.**

Hamuj żal, królu! życie możesz sobie skrócić;
Złemu zapobiegając, złe może się zwrócić,
Ale zdrowie zepsute nie łatwo naprawić.

**Władysław.**

Chciał nam Bóg drzwi do serca otwarte zostawić,
Dla wszystkiego, co tylko w życiu nas potyka;
Żal wnijdzie, i z sobą wrota pozamyka.

**Judyta.**

Kiedyśmy tam sprawnego wysłali Przecława,
Zrobiliśmy, co mogli. Wreszcie tak się zdawa,

Że gdy Skarbimir pilny książęcego boku,
Od niego, jak powinien, nie odstąpi kroku,
Nie tak łatwo sprzysięgłym przyjdzie do zaboju.

**Władysław.**

Alboż to syn mój w miejscu ustoi w pokoju?
Tam, gdzie będzie rozumiał, że za sławą bieży,
Nóż zdybie, nożem niecny Zbilud go uderzy.

**Judyta.**

Tak trwożliwe wrażenia zostawmy na stronie,
Niebo ma królów w swojéj szczególnéj obronie.
Nie tak łatwo tym upaść, któremi kraj stoi.
Zbrodzień im wyżéj sięga, tém się bardziéj boi.

**Władysław.**

Raz ręce krwią niewinną biskupa zmazane,
Ośmielą się i teraz!.. Mym przeczuciom wiary dać nie chciano,
A popędliwéj zaraz młodości jéj dano.

**Judyta.**

Królu! jeżeli wina na mnie w czém została,
W tém chyba, żem twojego syna sławy chciała,
Ktoż się przygód uchroni?

**Władysław.**

Ten, kto przewidywa;
Przynajmniéj nie tak często złe przypadki miéwa.

**Judyta.**

Jeszcze nie masz trafunku, odmienić się może.

**Władysław** (*mówi z czuciem nachylony ku ziemi*).

Na tę głowę zabójców miałeś przysłać, Boże!..
Mnie miéj za winowajcę, nie mojego syna!...
Za cóż na Bolesława paść ma cudza wina?..
Omyłkać to, omyłka!.. Zwróć zbojeckie miecze;
Jeśli krwią chcesz grzech zmazać, z tych piersi pocieczel



**Judyta** (*na boku*).

Żeby mu tylko śmierci nie zbliżył żal taki,
Jeszcze mi życie jego potrzebne rok jaki.
(*do króla*).
Na cóż te wyrzekania? na co te rozpacze?

**Władysław.**

Cóżbym dał, żeby próżne były moje płacze?...
Ale będziesz sierotą, ojcze nieszczęśliwy!...
Dzień rodzin syna mego, dzień to był kłamliwy!...
Tłumami lud zbiegał się, mnie szczęśliwym zwali;
Bitnych, stryja, pradziada, imię mu nadali:
Wróżyli dla narodu, i dla mnie ku myśli!...
Niechby dziś w dom mój smutny, niechby dzisiaj przyszli.
Chodzić będę po kątach, oblewając łzami
Miejsca, gdzie kiedyś szczęście bawiło się z nami!...

## SCENA IV.

**Władysław, Judyta, Wszebor.**

**Wszebor.**

Po myśli, przy drzwiach zamku zastałem Przecława;
I taką, jak mi była polecona sprawa,
Zleciłem mu. Wsiadł na koń, i z nim niemieszkanie,
Przebrańszego do dwóchset kopijnika stanie;
Że zaledwie nie w takiéj, jak to mówią chwili,
Podobni błyskawicy, za bramę skoczyli.
Zrobiłem, co kazano. Lecz daruj, królowa,
Moja tego wszystkiego nie pojmuje głowa,
Żeby Zbilud, łaskami tylu obsypany,
Miał się kiedy niewdzięczny targnąć na swe pany!

**Judyta.**

Sama nie wierzyłam, jak i ty, hetmanie,
Że to kiedy podobne, że się kiedy stanie.
Ale gdym téj nieszczęśliwéj nowiny dostała,
Cóż? Chciałżebyś, Wszeborze, ażebym milczała?
Takiéj wagi wiadomość winna być odkrytą,
Która nadto zblizka rzecz tyka pospolitą.

Jeśli się bronić będzie Zbilud Przecławowi,
Znak pewny, że jest winien, i gardłem odpowié.
Jeśli wnet za rozkazem, jak należy, staną,
Niecz się bronią od zbrodni, którą im zadano.
Fałsz się wyda, czy spisek zostanie odkryty,
Cóżkolwiekbądź ten krok był zawsze przyzwoity.

**Władysław.**

Po czasie!... Dotąd Zbilud już skończyć powinien!...
(*strwożony biegnąc do Wszebora*).
Wszeborze! za cóż on mi grozi? Jam nie winien.
Jam nie chciał zguby jego!...
(*Wychodzi śpiesznie z Judytą*).

**Wszebor.**

Któż ci grozi, panie?

## SCENA V.

**Wszebor** *sam.*

Żal ciężki jakoweś mu robi pomięszanie!
Ale wszedł do Zbisławy, może go utuli.
Królu z sercem najlepszém, resztę dni twych struli!...
Któż myślił, że Bolesław, od wszystkich kochany,
Na taki miał przyjść kiedy koniec opłakany?...
Jeszcze od tych, którzy mu powinni tak wiele!...
Rozsiekawszy wraz z Śmiałym biskupa w kościele,
Tułacze w cudzym kraju, wszędzie zohydzeni,
Za łaską Władysława z Węgier sprowadzeni;
Wrócone im majątki, nadane urzędy!...
Za takie od swojego dobroczyńcy względy;
Czyż podobna, żeby mu zabić chcieli syna,
W którym ojca i kraju nadzieja jedyna?
Lecz strucie Mieczysława, dziedzica po Śmiałym, [15])
Co go dotąd z narodem opłakujem całym;
I oni tąż trucizną razem częstowani,
Od któréj szczęściem jakiémś ledwie ratowani,
Może to dawny wraca hart duszom stalowym,
Że się znowu chcą zczernić okrucieństwem nowym.



## SCENA VI.

**Zbisława, Teofila, Wszebor.**

**Zbisława.**

Cóż się w domu królewskim tak strasznego dzieje,
Że Władysław wpadł do mnie, drży, wzdycha, łzy leje!
Czy nie o Bolesławie ma jakie nowiny?

**Wszebor.**

O bitwie być nie mogą, wszczętéj pół godziny.

**Zbisława.**

Czegóż król tak strwożony, jak nigdy nie bywał?
Ściskał mię, nieszczęśliwą synową nazywał?

**Wszebor.**

Myśli, że mu Bolesław pewnie tam zaginie,
Ślepy nocą i sławą w bitwy mięszanine.
Mówi, że serce jego tę śmierć przeczuwało.

**Zbisława.**

Na cóż go było puszczać?

**Wszebor.**

Pościł, już się stało.
Ale mając jednego, w nim takie nadzieje,
Nie dziw, że się o niego lęka i łzy leje.

**Zbisława.**

Jakiż mu to Mieczysław groził, upominał?
Wszedłszy do mnie, kilkakroć to imię wspominał.

**Wszebor.**

Dopiero zrozumiałem, com dotąd nie wiedział.
Właśnie król stąd wychodząc toż samo powiedział.
W tém miejscu tę niesławną ucztę sporządzono;
W tém miejscu (*pokazuje kąt w pokoju*) struty konał
[Mieczysław z swą żoną.

Król miał miéć przywidzenie w bojaźni o syna,
Że się Mieczysław za swą krew krwi upomina.
Ale nadto dotkliwe w tém pańskie sumnienie;
On o niczém nie wiedział. Całe przewinienie,
Że po stracie książęcia nieodżałowanéj,
Nie szukał sprawców zbrodni, w Polsce niesłychanéj.

**Zbisława.**

Dlatego, że nie szukał, ściągnął na sie winę,
I do posądzania go dał ludziom przyczynę.

**Wszebor.**

Pani, ważna rzecz była, która go wstrzymała.
Gdyby ta złość surowiéj dochodzić się miała,
Gdybyśmy karać w miarę taką zbrodnią chcieli,
Możebyśmy tron jaki poruszyć musieli.
Król, który lubi naród, a wojny nie lubił,
Wiedząc, że tysiącami ludziby nagubił,
Wolał milczéć spokojny, tam gdzie mówić trudno.

**Teofila.**

Eudoksya być miała na obliczu cudną?

**Wszebor.**

Jam nie widział piękniejszych dotąd ludzi dwoje!
Wiekiem, wzrostem, słodyczą, podobni oboje.
On hojny, chociaż w domu nie było bogato,
Najskładniéj bronią robił, i serce miał na to.
Uprzejmy dla każdego, pełen młodzian cnoty.
Z takiemi Mieczysława otruto przymioty.

**Zbisława.**

Byłżeś wtenczas hetmanem, kiedy się to stało?

**Wszebor,**

Nawet u tegoż stołu! Lecz Bogu się zdało,
Że mię tym mężobojskim trunkiem pominęli,
Ci, co książąt i kilku tylko śmierci chcieli.
Jeszcze od nieszczęsnego nie wstaliśmy stołu,
Kiedy trefnie żartując, bawim się pospołu,



Książe spłoniony do swojéj Eudoksyi rzecze:
„Jakiś mię ogień wewnątrz nadzwyczajny piecze.”
A ta: „Bałam się, że wam dobrą myśl zepsuję,
„Ale coś śmiertelnego we wnętrznościach czuję.”
Toż Zbilud, toż Odolon, i Zema wyznali.
Książę ściskając żonę: „Truciznę nam dali.”
Rozruch wielki, i głośne kobiece szlochanie,
Wkrótce ponapełniały ludem to mieszkanie.

**Zbisława.**

A król gdzież był natenczas?

**Wszebor.**

Przybiegł w małą chwilę;
Mieczysław go postrzegłszy, wstał o swojéj sile,
I głosem już zmienionym: „Struty jestem (powié),
„Jeszczeż byłbym przydatny tobie i krajowi.”
Król z płaczem wyznał, że się tą nie zmazał zbrodnią,
Eudoksya wstać chciała, nogi drżały pod nią
I gdym jéj podał rękę, i wziąć leki radził,
Prosi, bym ją do blizkiéj sypialni prowadził.
Tam wszedłszy, tuż przy łóżku stał codzień błagany,
Posąg Przeczystéj z srebra szczerego odlany,
Co córce, żegnając ją, tkliwa matka dała,
I do niego jéj zdrowie, szczęście przywiązała.
Do nóg tego posągu księżna się nachyli,
I ze łzami tak zacznie: „Żleśmy ci służyli,
Dziewico niezmazana!.. Może myśli błędy,
Może mniéj baczne serce, języka zapędy,
Żeśmy z mężem na taką karę zarobili;
Dziewico niezmazana, żleśmy ci służyli!
Już ci świecy mą ręką nie będę zlepiała,
Żeby po całéj nocy przed tobą gorzała;
Już skroń twych nie uwieńczę kwiaty codziennemi,
Znajdziesz za mnie zdatniejsze służebne na ziemi,
Ale kiedy mię wszystko opuszcza, gdy ginę;
Ty, Pani, nie odstępuj mię przez tę godzinę.”
Potém ku małżeńskiemu skłoniwszy się łożu;
„O ty! wierności mojéj i świadku i stróżu!
Zakładzie szczęścia w stadłach!.. Nie tak się myślało
Ciebie porzucać; gdyby niebo było chciało!..

Tuby Mieczysław z dziećmi, tu czeladka stała,
Tymbym błogosławiła, z mężem się żegnała!
Dziś, nie żona, nie matka, przy tobie łzy leję!..
Już mię nawet zwodnicze odbiegły nadzieje!..”
Potém się ku mnie zwróci: „Prowadź mię, hetmanie,
Póki jeszcze krzepnących tych oczu mi stanie,
Niech się na Mieczysława napatrzę!.. Ból psuje
Me wnętrzności! może przy nim pofolguje.”
Wieść ją z drugim musiałem, bo osłabła cała.
Władzy żadnéj wstrzymać się na nogach nie miała.
W tém miejscu, (*pokazując kąt w pokoju*) już Mieczy-
[sław leżał na pół żywy,
Klęcząc przy nim, król go sam orzeźwiał troskliwy.
Kiedy blizko zbolała Eudoksya siadła,
Trupowi podobniejsza, milcząca, wybladła!..
Spojrzał na nię najczuléj! i łzy mu pocieką;
Czarne miał duże oczy pod rzęsną powieką:
Wlepiwszy je w swą żonę, wesprze się na dłoni.
Dźwignie o swojéj mocy i siądzie koło niéj.
Już mówić nic nie mogli, oczyma gadali;
I tylko się ściskając za ręce żegnali.
Wtém krzyk dał się usłyszéć; krzyk był przeraźliwy
Wisławy, Mieczysława matki nieszczęśliwéj!.
Którędy nędzna z głową roztarganą leci,
Głos w gmachach rozlega się: „Oddajcie mi dzieci!”
Ale, gdy się usuną tłumy jéj rozpaczy;
I prawie konających oboje obaczy,
Zbyteczna żałość razem mowę odebrała:
Ręcę tylko załamie, padła i zemdlała.
Mieczysław, co nic nie mógł przemówić do żony,
Tym Wisławy upadkiem jakby ocucony,
Krzyknie: „Matkę ratujcie!” Taką nań moc miała,
Tak w nim miłość synowska wiele przemagała:
Eudoksyą trucizny jad wtém zamordował,
Ale Mieczysław dłużéj z śmiercią się mocował.
Wisława, po obojga zgonie otrzeźwiona,
Wkrótce za dziećmi żalu i życia dokona.
Tak troje razem w jednéj uwięzło kolei,
Smutny widok, wielkości ludzkich i nadziei!

**Teofila.**

Czemuż lekarstwem jakiém ich nie ratowano
Na razie, skoro tylko truciznę poznano?



**Wszebor.**

Było leków i nadto, brali je oboje;
Ale to może jeszcze na większe złe swoje.
Zbilud, Zema, Odolon, mniéj lakarzów mieli,
Przecież, choć po chorobie długiéj, ocaleli.
Chciéj mi pani darować, że wyjdę do króla,
Chociaż go tam Judyta cieszy i utula.
Więcéj ludzi większą mu rozrywką być mogą.

## SCENA VII.

**Zbisława, Teofila.**

**Zbisława.**

Na żal wielki rozrywki żadne nie pomogą.
Dajmy, że król sam sobie stwarza widma, dziwy,
A potém się ich boi, już jest nieszczęśliwy.
Co ja, o Bolesława coś nie tak się trwożę:
Cóż mu tak związanemu złego stać się może?
Obiecał być przy boku Skarbimira wszędzie,
Gdzie najlepszy kopijnik pilnować go będzie,
Dał słowo; nie może się ślepo tam uganiać.
On dla ojca i dla mnie zechce się ochraniać.
Ale jak ci się zdaje, kto struł Mieczysława?
Kiedy król nic nie winien, jak Wszebor przyznawa.

**Teofila.**

Myślę, że to miało być ruskich książąt sprawą.
Niezmierne włości w Rusi wziął Śmiały z Wisławą,
Dziedzictwo państw tak wielkich spadłoby na syna.
Sąsiedztwo z Polakami dolega Rusina;
Cóż gdyby kiedy Polak wlazł w środek w ich kraje,
Wojsko swe utrzymywał i obce zwyczaje,
Mógłby się nad nich wzmocnić z wojny, z krwi, z przyjaźni.
Tak struciem Mieczysława zbyli się bojaźni.

**Zbisława.**

Może to być; ale mnie insza się myśl snuje:
Judyta, która królem zdawna powoduje,
Włada państwem i wszystko chce mieć w swojéj mocy,
Niech nie rządzi dzień jeden, z złości umrze w nocy;
Widząc, że tak Mieczysław w narodzie ważony,
Że bez żadnéj swéj winy odpadł od korony,
Że Polska Władysława sprzykrzywszy rząd słaby,
Jego na tron ojcowski wywyższyć mogłaby:
Po mężowskim upadku, i swego się bała,
Tak truje Mieczysława, żeby panowała.
Jabym Bolesławowi nawet nie radziła,
Żeby (jak prędkowierny) dowierzał jéj siła,
Lepiéj czasem nie ufać, niż płakać po szkodzie,
Już zaczął w rządy wpływać, co ją pewnie bodzie.

**Teofila.**

Z téj strony ciosu książę spodziewać się niéma.
Prakseda, co królowéj serce w ręku trzyma,
Jak wielką tajemnicę to mi powierzyła,
Że Judyta go kocha, z nimby się bawiła.
Tęskni, gdy go nie widzi: obaczy, narzeka:
Że oczy wypatrzyła, że go długo czeka.
On nad ciebie, inszego nie zna serca pana;
Ona sobie pochlebia, że kocha, kochana.
Pewnie, z téj strony złego nic mu się nie stanie.

**Zbisława.**

Tak złe serce czy może znać, co to kochanie?
(*Wychodzą*).

---



# AKT IV.

Dekoracya: Pokóje królowéj.

## SCENA I.

**Władysław** *sam.*

Już dnieje!... i ja słońce dzisiejsze obaczę!
Duszy mi z ciała wygnać nie mogły rozpacze.
Boże! ty mi żyć każesz; ten dar dla mnie karą!...
Ale na cóż kłócąc się z sobą, kłócę z wiarą?
Całuję świętą rękę, która mię zacina,
Życia nie odbierając, a biorąc mi syna!
Słońce! wczora piękniejszém błysnęłoś mi czołem,
Bom na cię patrzył z moim Bolesławem społem;
Już on czekał przed memi o tym czasie drzwiami;
Nikt go nie mógł uprzedzić swemi przysługami.
Zapomiał wysokiego często przeznaczenia,
Z lada kim z méj czeladzi na służbę się mienia.
Gorzkie nader wspomnienie!... Gdy szczęście przeminie,
Czemuż razem i pamięć o niém nie zaginie?...
Ale gdyby téż groźne niebo się zmiękczyło,
I lat jego niewinnych jeszcze żal mu było;
Albo gdyby jęk starca, jak mój przeraźliwy,
Aż przed bóstwo miał zanieść wiatr jaki szczęśliwy,
Żeby czujny Skarbimir tę zbrodnią wyśledził,
Żeby Przecław Zbiluda zamachy uprzedził.
Nadziejo!... Ty się lubisz uśmiechać do człeka,
Tobą jeszcze ten żyje, co dziś śmierci czeka.

## SCENA II.

**Władysław, Wszebor.**

**Władysław.**

Wszeborze! ludzie wstają, my ócz nie zmrużyli;
Bolesław może zasnął od niedawnéj chwili!

**Wszebor.**

Anioł tam Bolesława naszego pilnuje.
Teraz, co mi powinność sługi nakazuje,
Daruj, panie! gorszę się z téj twojéj rozpaczy.
Gdyby jeszcze stać to się nie mogło inaczéj,
Ale, jak tam zabójca wpadnie na książęcia,
I dokona srogiego swego przedsięwzięcia,
Kiedy go tyle wiernych rycerzów pilnuje,
Kiedy go ziemia kocha i Bóg nad nim czuje!
Za co nieba znieważać? za co przywidzenia?
Te skutki — saméj tylko myśli zapalenia.
Za co szukać ustronia, które tuczy żale?
I drogiego (odpuść mi) tak zapamiętale
Zdrowia, słabą nić zrywa?

**Władysław.**

Myśliłem, hetmanie,
Że na litość zarabiam, nie na strofowanie.

**Wszebor** (*uklęknąwszy przed królem*).

Królu! jaż to, co o twe życie się frasuję?...
Wszebor, co cię tak kocha? (*całuje rękę króla*) radzi, nie strofuje.
Nie przyjmą, choćbym z dni mych rad do twych przyczynił;
Pozwól, żebyś żył dłużéj, bym cię czasem winił. (*Wstaje*).

**Władysław** (*ściskając Wszebora*).

Gdy kto jest nieszczęśliwym, każdemu się zdaje,
Że już winien, i sprawę zwyczajnie przegraje.
Cóż mam robić z tém sercem?... jak nie czuć, gdy czuje!...
Żalu radbym się pozbył, żal nie ustępuje.
Prócz tego czyni jakąś folgę łza wylana,
Zda się, że to od bólu cząstka oderwana.

**Wszebor.**

Czyni folgę na razie, ale nadal, truje.
Któż kiedy płaczem zdrowie swoje zachowuje?
Szukać raczéj rozrywki o czém inszem mową,



Z nami, z którą księżniczką, z Zbisławą, z królową.
Na czas przynajmniéj panie, nic nie myśl o synie;
Spodziewam się, że ledwie chwila jaka minie,
A z obozu miéć będziem wieść o Bolesławie!

**Władysław.**

Tak mi przyrzekł Skarbimir, że w saméj rozprawie,
Jak tylko dzień cokolwiek da poznać stan boju,
Zaraz mi kogo przyśle dla mego pokoju.
Ale jeśli to przyjdzie nieszczęście na syna,
Posłańca pewnie taka przytrzyma nowina.

SCENA III.

**Władysław, Judyta, Wszebor.**

**Judyta.**

Ze strony obozowéj już ustają wrzawy,
Będzie się pewnie miało do końca rozprawy;
Wkrótce naszych wesołe obaczymy szyki,
Wkrótce ich usłyszymy zwycięskie okrzyki.

**Wszebor.**

Lubię wojnę, do niéj mię niebo przeznaczyło;
Ale bardziéj po wojnie, zwłaszcza gdy się zbiło,
Te braterskie witania, te jeńce, te łupy!

**Władysław.**

Dodaj jeszcze na wojny pochwałę, i trupy.

**Wszebor.**

Tak być musi. Tych trupów chce rzeczy skład własny.
Gdyby się nie zbijano, świat-by nam był ciasny.

**Władysław.**

Rusini mają stepów niezmiernych do myśli;
I choć im tam nie ciasno, przecież do nas przyszli,
Nie nadto zaludniane przepleniać Polaki;
Skutek to raczéj złości, nie potrzeby jakiéj.

**Judyta.**

Zbisława zna tych książąt, oprócz Wołodara,
Zwierzchnictwo Świętopełka, powaga i wiara,
Często ich do Kijowa przy niéj sprowadzały.

**Wszebor.**

Panie! prośmy Zbisławy, niech nam stan ich cały
Opisze właśnie w czasie godna rzecz wiedzenia,
Z kim to ma nasz dzisiejszy podjazd do czynienia.

**Judyta.**

Zaraz ją przyprowadzę. (*Wychodzi*).

SCENA IV.

**Władysław, Wszebor.**

**Władysław.**

Przymioty Zbisławy,
Skromność, słodycz i w niczém nienaganne sprawy,
Wszystko to za nią mówi, wszystko to ją chwali.
Jeśli Bóg Bolesława dzisiaj mi ocali,
Postaram się najprędzéj tę parę połączyć;
Ona może nie sprzeczy: jéj ojciec, chce kończyć.

**Wszebor.**

Blizkie ich spokrewnienie w Rzymie trudność sprawi.

**Władysław.**

Ciężki z złotem posłaniec nie długo zabawi.

**Wszebor.**

Zbisława na te śluby okaże się chętną.
Wiem to, że dla książęcia nie jest obojętną.
Którażby z kobiet w świecie nie chciała być żoną
Tak pięknego młodziana, a jeszcze z koroną?

**Władysław.**

Fraszka twarz i korona! Rzadko niebo dało
Serce, jakie się memu synowi dostało!...



Kiedy syn ojca swego w starości szanuje,
Że będzie dobrym mężem, ojcem, obiecuje.
Cóż było wysług? jakie miał o mnie staranie?
Że aż wzbudzał nad sobą me politowanie!
Raz, odejść mię chorego w głęboką noc zwlecze,
Gdym mu kazał odpocząć, on mi na to rzecze:
„Nie mam już matki, któréj miałem służyć drugiéj,
„Ojcu tylko, i tamtym powinien usługi".
Albo kiedy Zbigniewa w Kruszwicy dostano,
On myśląc, że surowiéj z nim postąpić miano,
Prosząc za jego życiem, do nóg mi się ścielił.
„Ja (rzekł) co dzień mym chlebem będę się z nim dzielił".
W dziewiątym roku takiéj był serca czułości;
Jeszcze dla brata, który robił mu przykrości.

**Wszebor.**

I na serce Zbisławy nikt tu nie narzeka;
Nie naraziła sobie żadnego człowieka.
Owszem, kiedy potrzebę czyich usług miéwa,
Ten, kto inszych uprzedził, szczęściem to nazywa.

**Władysław.**

Dlatego chciałbym widzieć na te oczy moje,
Póki nie zgasną, ślubem złączonych oboje.

SCENA V.

**Władysław, Zbisława, Teofila, Wszebor.**

**Władysław.**

Miłe zawsze twe przyjście! Wybacz mi, Zbisławo,
Że cię trudzim, dzisiejszą zajęci wyprawą.
Ty masz znać te książęta, będąc ich plemienia,
Z któremi nasz Bolesław dziś ma do czynienia.

**Zbisława.**

Przed kilką laty, niżlim z domu wyjechała,
Częstom ich u mojego ojca widywała.
Wołodar, że najdaléj od Kijowa władnie,
Nie tak mu gościć u nas przypadało snadnie.

**Wszebor.**

Włodzimierz Czerniechowski ma być przed inszemi,
Bogactwy i dziełami sławny rycerskiemi?

**Zbisława.**

Może w męstwie, w sprawności, będzie niezrównany,
Lecz Wołodar mocniejszy swemi Przemyślany.
Mówią, że ten lud, który wodę z Sanu pije,
Szczery bywa w przyjaźni i szczerze się bije.

**Władysław.**

Kiedy dawał turnieje Świętopełk w Kijowie,
Mieli być przytomnemi wszyscy ci kniaziowie.

**Zbisława.**

Właśnie też wtenczas czterech tych poznałam razem,
I dostatkiem z nich który, co może żelazem,
Włodzimierz przed wszystkiemi złotem połyskiwał,
Poczet go dzielnych jego rycerzów okrywał,
Którzy z nim w różnych czasach pojedynki zwiedli,
I przy nim jego złotem ujęci, osiedli.
Po wierzchu jasnéj zbroi w bogatym serdaku,
Sam hoży na arabskim krzepił się rumaku.

**Władysław.**

Tak częste pojedynki jak mu się zdarzały?

**Zbisława.**

Nie dał do nich przyczyny, ale szukał chwały,
Kazał wszędzie szermierza sprawnego szpiegować,
Ukryty z nim lub jawnie musiał się kosztować.
Doświadczywszy dzielności, wziął do swego boku;
W takim to poczcie stanął na turniejów toku.
Po nim z Pereasławia kłaść można Olega,
On o lepszą z pierwszym się rycerzem ubiega,
Poczesny na obliczu, niewygód cierpliwy;
I chociaż mu majątku uskąpił los krzywy,
Ale swéj doświadczonéj szablicy do sprawy
Nie dobył bez przyczyny, nie schował bez sławy.



**Wszebor.**

Dawid brat jego, mówią, że nie jest dzielnym.

**Zbisława.**

Nigdy nie był rzemiosła rycerskiego pilnym;
Tylko przy boku brata stojąc bitwę całą,
Kradzioną od Olega nadstawia się chwałą.
Także Wszesław Połocki był natenczas z niemi,
Dumny swém uprzedzeniem, nie dzieły jakiemi.
Ale syn Jaropełka, Jarosław potężny,
Duży wzrostem, i w miarę ciała swego mężny,
Nikomu nie ustąpi, co ich ma Ruś płodna.
Nie z wierzchu chce być dzielny; ale czerpie do dna.
Gdyby była fortuna lepiéj mu sprzyjała!
Nic niéma; broń mu tylko spadkiem pozostała.

**Władysław.**

Dbać o siebie po śmierci ojca była pora.

**Zbisława.**

Księstwo zaraz odebrał Dawid, syn Igora;
Jemu tylko od stryjów nadzieje czynione;
A nareszcie w Lubeczu o nim zapomniono. [16])
Wtenczas na tych gonitwach, nie konno, nie w zbroi,
Ale pieszo, na kiju tylko wsparty stoi.
Jeden przy nim służebny składał mu dwór cały,
Imię z cnotą w ubóstwie, litość poruszały.
Między wielą rycerzów przybyłych dla sławy,
Był też jeden bojarzyn, Konstanty Łukawy.
Ten siłą niezrównaną, zręcznością i męstwem,
Na gonitwy za pewném szedł zawsze zwycięstwem.
Włodzimierz mu sam w sprawie ustępował kroku,
I wszystkiemi sposoby chciał go miéć przy boku.
Ale on nie użyty, zawsze mawiał swoje:
„Na cóż miałhym tym służyć, których się nie boję".
Ojciec mój rozpoczynał, z Olegiem się bili,
Potém insi z inszemi o lepszą czynili.

(*Wszebor wychodzi wywołany*).

Lecz zawsze Łukawego umyślnie mijali;

Bo jeszcze trzeba wyznać, wszyscy go się bali,
Że nie umiał ochraniać ni drugich ni siebie;
Tak ciął, godził kopiją, jak w saméj potrzebie.
Mój ojciec z Włodzimierzem chcąc kończyć gonitwy,
Już mieli składać drzewca ku sobie do bitwy,
Gdy Łukawy zawoła: „Czy już na Ruś całą
„Nie masz męża, żeby mi w oczy zajrzał śmiało?"
Wtém Jarosław wśród pola rycerskiego stanie:
„Oto (rzecze) ja czekam na twe ukaranie."
Ten mu coś, (że z bezbronnym nie bije się) mruczy;
Ów na to: „że są ludzie, ten cię kij nauczy!"
Potém Czerniechowskiego szukając oczyma,
Krzyknie nań: „Synowiec twój zbroi swojéj niéma.
Włodzimierz wnet własny mu sam szyszak przywdzieje,
Da kirys, miecz, buławę, i co chcą turnieje,
Zupełnie do potrzeby opatrzy go bronią.
Kiedy im miejsce inni rycerze odsłonią,
Z niewidzianą zręcznością oba natrą na się.
Lecz pojedynek zdał się kończyć w krótkim czasie,
Gdy ciężko uderzony Łukawy w przyłbicę,
Zgubił pamięć, i z ręki wypuścił szablicę.
„Odpocznij, rzekł Jarosław sam niezmordowany,
„Póki stoisz na nogach, małoś ukarany".
Wkrótce znowu zaczęli; bojarzyn zdradliwy
Sztychem w rękę zadał raz księciu nieszkodliwy.
Ów na to: „U poczciwych tak nie uchodziło;"
Razem dał mu buławą w piersi całą siłą,
I obali. A większy gdy się w nim gniew wzniéci,
Myślącego się dźwignąć za nogę uchwyci,
Wlecze męża zbrojnego mocą niezrównaną,
Chcąc topić w blizkim Dnieprze. Lecz go ratowano.

**Władysław.**

Cóż ty na to, Wszeborze?

**Teofila.**

Nie masz go tu, panie!
Wywołał go jakowyś żołnierz.

**Władysław** (*żywiéj*).

Niemieszkanie
Niech tu do mnie powróci. (*Wychodzą za Wszeborem*).



Już coś się stać miało,
Że się kryją przedemną!...

**Zbisława.**

I cóżby się stało?
Wszebor tu rządzi wojskiem, zdarzeń tyle bywa,
Że widzieć go, mówić z nim, ktoś potrzebę miéwa.

**Władysław.**

Właśnie teraz o synu wiadomość przyjść miała!...
Tają się; już się pewnie zbrodnia dokonała.

**Zbisława.**

Jakaż zbrodnia?

**Władysław.**

Ty jednak, pociecho Zbisławo!
Nie odchodź mię w tym razie.

SCENA VI.

*Ciż sami i* **Wszebor.**

**Władysław.**

Tę nowinę krwawą
Już powiedz, na co się kryć po kątach przedemną?

**Wszebor.**

Królu! jam chodził ślakiem; nigdy ścieżką ciemną.
I nie mam tu co taić. Skarbimir przysyła,
Chcąc posiłku. Ruś pierzchła, ale cała siła
Połowców została się.

**Władysław.**

A mójże syn?

**Wszebor.**

Żyje.

**Władysław.**

Jakże? tylko że żyje?

**Wszebor.**

I Połowców bije.

**Władysław.**

Jestże przy nim Skarbimir?

**Wszebor.**

Nie wiem, czy się złączył,
Bo mi wszystkiego jeszcze Rotmistrz nie dokończył.

**Władysław.**

Rotmistrz wnet niech tu stanie. Ty prędko, Wszeborze,
Co tylko przebrańszego żołnierza być może,
Każ, niech biegną pod wodzą starego Żegoty.
(*Wychodzi Wszebor*)

**Zbisława.**

Widzisz, panie! że próżne były twe kłopoty.

SCENA VII.

**Władysław, Zbisława, Teofila, Rotmistrz.**

**Władysław.**

Słuchaj, twój ci król każe, zdaj mi sprawę wiernie,
Stanu wojska i syna. Bo niemiłosiernie
Fałsz będzie ukarany. Syn mój czy zabity?
Czy żyje?

**Rotmistrz.**

Co wiem, panie, będziesz wiedział i ty.
Bolesława-m zostawił, ścierał się z Połowcy:
Bo Ruś rozsypała się różnemi manowcy
Przed gromem naszych! Ale, takeśmy zaczęli:



Jaksa z Sieciechem oba skrzydła na się wzięli;
Ten z Olegiem, a ów miał sprawę z Wołodarem,
Sławnym sobą i hufców przemyskich ciężarem.
Bolesław z Skarbimirem w środek nacierali,
Gdzie potężny Jarosław z Włodzimierzem stali.
Może do trzech tysięcy nas przy księciu było;
Z okrzykiem uderzym się o Ruś całą siłą.
Pierwsze straże pierzchnęły, a śpiąca drużyna
Budzi się, konia, siebie, broni zapomina.
Część ich potratowana, część żelazem legła,
Większa pewnie połowa w strony się rozbiegła.
Kiedy tak coraz głębiéj w obóz się wdzieramy,
I nikogo, by na nas broń podniósł, nie mamy,
Jarosław na dorywczu bliższe roty zwoła,
I temi na czas jakiś utrzymać podoła.
Jednak gdy próżno swoich łaje i narzeka,
Choć nie bez szkody naszych, z innemi ucieka.
Włodzimierz co się na nas lepiéj przygotował:
A wśród obozu jeńców i łupów pilnował,
Waleczniejszemi swemi bojary okryty
Gdyby nie z Bolesławem, zdał się niepożyty,
Ale książę najpierwszy bok im rozdarł cały.
I gdy się tak rozprute roty pomięszały,
A noc z naszym okrzykiem strachy pomnażała.
Pierzchną w strony; połowa może pozostała.
Z temi dopiéro rządna zacznie się robota.
Naszych i Rusi dzieła zakryła ciemnota;
Bo się pierwszém zerwaniem najdzielniéj stawili,
I czas jakiś niepewne zwycięstwo ważyli.
Królu! już twym żołnierzom siła ustawała,
I szabla tępiéj nam się ruskiéj szyi brała,
Gdy razem czy ustąpią, czyli ich nie stanie,
Bo bez przeszkód pomkniem się może na stajanie.
Nieszczęsnych jeńców naszych były tam majdany!
Gdzie do swego powroza każdy przywiązany,
Długiemi rzędy pola niezmierne zajęli!
Kiedy bratnie okrzyki blizko posłyszeli,
I ziemiańskie imiona i język mateczny,
Z którym się już żegnali po raz ostateczny,
Wołać zewsząd na nasze zaczęli najtkliwiéj:
„My bracia wasi w więzach!... My tu nieszczęśliwi".
Książę pierwszy zsiadł z konia, i kim był, odkryje:
„Ja (rzecze) wasz Bolesław, i o was się biję".

Wtém przetnie powróz, i sam jeńce rozwiązuje,
Toż każdy z nas o lepszą robić usiłuje;
Żeśmy tą piękną pracą po niejakiéj chwili,
Kilka tysięcy męża nasz podjazd wzmocnili.
Brakło broni, albo jéj przy trupach szukali,
Albo u zalęknionéj Rusi wydzierali.
A tak opatrzywszy się poznoszą straż swoją.
My w tę stronę uderzym, gdzie Połowce stoją.
Rządnie na swojém miejscu poganie czekali;
I choć na nich cała się nasza siła zwali,
Twardo staną, i tylko mąż odpycha męża,
Z szczękiem uderzonego orężem oręża.
Bolesław niezrażony pierwszém swém odparciem,
Przedrze ich rząd ściśniony za ciężkiém natarciem,
I gdy wkoło pohańców bliższe głowy pobił,
Wśród nich z kilką naszemi miejsce sobie zrobił.
Ten raz i Skarbimira, i inszych ośmieli;
Że szyku poczętego urywać zaczęli;
Nieprzeto się Połowce tym ciosem strwożyli,
Ale jakby na nowo z naszemi się bili.
Dzień nadchodził i z pierwszą łoną porankową,
Można było coś poznać postać obozową:
Poganin na swojém się miejscu utrzymywał,
Choć mu gdzieniegdzie boki nasz żołnierz urywał.
Skarbimir widząc, że nas na Połowce mało;
Bo wielu się ich w pogoń za Rusią zagnało;
Przysłał mię po posiłki.

**Władysław.**

A mójże syn gdzie był?

**Rotmistrz.**

Książę, kiedy pogańskie pierwsze szyki przebył,
Coraz w głąb postępował; i z dnia światłem młodem
Dojrzym go, on z ogromnym ściera się Mikrodem.
Skarbimir wnet w tę stronę całą się brał siłą,
Bo księcia prawie zewsząd pogaństwo okryło.
Ale królu, nie trwóż się Bolesława losem;
On tam poszedł za sławą, nie za jakim ciosem:



Ani sam nie dałby się; cóż gdy przy nim tacy
Trzéj stoją najbitniejsi w narodzie wojacy!...

**Władysław**

Kto jest przy nim?

**Rotmistrz.**

Jest Zbilud, Zema, z Odolonem.

**Władysław.**

O niebo! czemuż to się dzieje przed mym zgonem?
Jakże wiész, że to ci trzéj przy mym synu byli?

**Rotmistrz.**

Hełmem się z białém piórem od innych różnili,
Którzy dla jego straży przy księciu stanęli.

**Władysław.**

Skądże się oni tylko przy mym synu wzięli?

**Rotmistrz.**

Zaraz z miasta przy księciu obok wyjechali,
I już go potém na krok nie odstępowali.

**Władysław.**

Zdybałżeś gdzie Przecława?

**Rotmistrz.**

Z obozu w pół drogi.

**Władysław.**

Zbisławo! Zbilud, Zema i Odolon srogi
Sprzysięgli się na życie mojego dziecięcia!
Zły losie, dokonałeś twego przedsięwzięcia!

(*Zbisława ręce załamuje i za królem wychodzi*).

---

# AKT V.

Dekoracya taż sama.

## SCENA I.

**Zbisława, Teofila.**

**Zbisława.**

On już zginął dotychczas, a jam się została!...
Teofilo! kiedy mi matka umierała,
Płakałam, jak sierota utyskuje tkliwa!...
Więcéj widzę dolega miłość nieszczęśliwa!
(*Łzy ociera*)

**Teofila.**

Może jeszcze jakowém szczęśliwém zdarzeniem!

**Zbisława.**

Stało się. On to mojém poległ przewinieniem!
Nieba się uraziły, żem ich zapomniała;
Zdało mi się, żem wszystko w Bolesławie miała!
Dawniéj, częściéj błagałam dawcę ludzkiéj doli;
On czynił roztargnienia, on potém powoli
Wydarł Bogu myśli me do siebie znęcone!...
Ależ mści się surowo niebo mniéj ważone!

**Teofila.**

Bóstwu zawsze darować człowiekowi miło.
A tém bardziéj nie karze, gdzie złości nie było.

**Zbisława.**

Kogóżby był nie ujął sercem swém cnotliwém?
Słodką swoją wymową? okiem urokliwém?
Przy nim mi do ojczystéj nie tęskno zagrody
Ustąpiłam dnieprowéj dla wiślanéj wody;
I zabaw wśród rodziny, i obrządków wiary!
O! wartże był Bolesław tak wielkiéj ofiary!



Domie nieszczęsny!.. którym nad mój ulubiła!
W tobiem ja się najpierwéj wzdychać nauczyła;
Czyli mię miłość trapi, czy trwożą nadzieje!..
Za tyle mych poczciwych ofiar, tu łzy leję!..
Szczęśliwszaś ty dziewico! która w wiejskim stanie,
Niedaleko szukane wybrawszy kochanie,
Ani naród z narodem nad tém radzić siędzie,
Ani ci marna sława wydzierać go będzie!..
Byle wam chléb z warzywem waszém wystarczały,
Ma wieśniak istotniejsze szczęście w chatce małéj!..
Zbisława, tylu książąt wnuka, wtenczas płacze, [17])
Gdy smutek nizkie strzechy omija wieśniacze!..
Próżno, matko starowna, w Grecyi bogatéj [18])
Na mą wyprawę drogie przepłacałaś szaty,
Co nam do domu łodzie przyniosły pływaczki;
Dzieło cierpliwéj pracy carogrodzkiéj szwaczki,
Którą gdy może miłość szczęśliwiéj darzyła,
Myśli swoje po cienkiéj jedwabnicy szyła!
Jak się zgodzą z tym zbytkiem wesołym me żale?..
Z raną w sercu, przybraną nędza okazale!..
Już on o mnie nie myśli!. Już nie mam nadzieje!
W tamtych światach, gdzie poszedł, mieszkaniec hardzieje;
I stan swój poniżyłby, gdyby wstąpił w progi
. . . . . Ziemianki ubogiéj!..

**Teofila.**

Pani! jeszcze się może z nim będziem cieszyły.

**Zbisława.**

Zbilud z Mikrodem śmierć mi jego zapewnili!..
Ale jak powiadają, gdyby tak być miało,
Że duch ludzki krzepnące porzuciwszy ciało,
Na miejscach, które w życiu były mu miłemi,
Jeszcze przez czas jakowyś bawi z żyjącemi,
Teofilo! czystego może jego ducha
Mamy tu blizko siebie!.. On skarg moich słucha:
Chciałby mi jak uśmierzyć serca niepokoje,
Przelicza te łzy rzęsne, i westchnienia moje!..
(*Łzy ociera.*)

## SCENA II.

**Judyta, Zbisława, Prakseda, Teofila.**

**Judyta.**

Pewnie nad Bolesławem żal trapi cię, księżno!
Ja go czuję! I chociaż chciałabym być mężną,
Wstrzymując ciężki smutek, przecież on się ciśnie,
Wszystkich łzy, gdzie się zwrócę, nastręcza umyślnie.

**Zbisława.**

Pani! kto tylko znał go, a znał go kraj cały!
Tyle milionów oczy będą go płakały!
I kiedy ta powszechną wzbudza żałość strata,
Ja też łzy moje do łez przymięszałam świata.

**Judyta.**

Długo roki swojemi mijać będą zwroty,
Niż się urodzi młodzian z takiemi przymioty!
Rozum rzeczy szacuje, serce się przywiąże,
Rozum i serca ludzkie miał za sobą książę;
Ta śmierć okropna, żalu przydać więcéj miała
Tobie, któraś podobno jeszcze go kochała!

**Zbisława.**

Nie wątp, pani! Anim się z tém kiedy taiła!
Bo kochać Bołesława chluba dla mnie była!
Z wolą ojca, chciał nas król ślubem złączyć w czasie,
Wart był tego Bolesław, miłość znalazła się.

**Judyta.**

Pięknie to być królową, do tego potężną;
Teraz cię za Zbigniewa będą swatać, księżno.

**Zbisława.**

Daruj, pani! Jeszcze ja nie jestem na zbyciu!
I gdy mię dziś najcięższy los przyciska w życiu,
Myślałam, że nademną litować się miano,
Nie żeby méj nieszczęsnéj doli urągano!



Nie płocha jaka miłość wzajem nas wiązała,
Żebym o niéj tak prędko zapominać miała.
Niech Zbigniew tym obszernym krajom daje prawa;
Ja nie chciałam korony, ale Bolesława.
(*Kłania się i odchodzi*).

## SCENA III.

**Judyta, Prakseda.**

**Judyta.**

Wyjdzie na to, niech ona najwięcéj się gniewa,
Król będzie jéj nastręczać swojego Zbigniewa.
Ale ani tym związkiem narodu przynęci,
Nie cierpi Polak nawet Zbigniewa pamięci,
Najpierwsze państwa domy miéć będę po sobie,
Resztę do mych układów złotem przysposobię.
Że po śmierci królewskiéj, wkrótce spodziewanéj,
Córce méj starszéj, Polski tron będzie oddany. [49])
Alfons, mąż jéj, nie zechce Kastylii rzucać,
Żeby się miał z twardemi Polaki ukłócać.
Ani w téj odległości przejeżdżać mogliby,
Mnie rządy państwa tego zlecą bez ochyby.
Praksedo, szczęście moje blizkie dopełnienia:
Czy teraz Bolesława żałujesz zginienia?

**Prakseda.**

Szczęście jeszcze nie przyszło, a smutek obecny!

**Judyta.**

W tobie od wczora jakiś przemaga duch sprzeczny;
Że nie wchodzisz, co i mnie, co i ciebie czeka.

**Prakseda.**

Król mdleje, w każdym kącie ktoś płacze, narzeka,
Jakże się w prśrodku ich jedna mam weselić?
Coś to przystojniéj z ludźmi losy ludzkie dzielić.

**Judyta.**

Ziewasz i płaczesz, że ktoś ziewa, płacze, wzdycha,
Nic (mówią) nad łzę ludzką prędzéj nie osycha.

Ale szczęśliwość, któréj zasiewam nasienie,
Ciebie i twe dalekie dźwignie pokolenie.
Czyż ci to droższym będzie Bolesław jedyny,
Nad tyle twojéj wsparcia potrzebnéj rodziny?
Stało się, ma być dobrze, gdym już tego chciała,
(*przechodzi się*).
Zbilud tak wszystko zrobił, jakem w myśli miała,
Nie mogli go zabijać wśród swych kopijników!..
To lepiéj, że go na bok uwiedli od szyków..
Zapewne Zbilud sławą zagrzawszy młodzika,
Z nim się umyślnie w motłoch Połowców umyka,
Aby go tak Polaków uchyliwszy oku,
Śmieléj i pewniéj mogli dokonać na boku.
Tak z dniem szarym dojrzał ich Rotmistrz tu przysłany,
Tak snadniéj w małéj chwili zabój wykonany.
Bo gdy im odłączyć się na stronę udało,
Zabicie pewnie czasu najmniéj kosztowało.
Jeszcze tam jak umyślnie Mikrod się nawinął,
Ci go skolą, świat powié: „od Połowca zginął."
A choćby na sprzysięgłych ten zabój zwalono,
Mniejsza, Przecław się sprawi, jak mu polecono.

## SCENA IV.

**Władysław, Judyta, Prakseda, Wszebor.**

(*prowadzący króla*).

**Władysław.**

Jużbym był skończył dotąd moje utrapienia!
Mdlejącego zostawić było bez trzeźwienia.
Okrutna wasza łaska i troskliwość była,
Która mi pamięć moich nieszczęść przywróciła.
Biczto już najostrzejszy gniewu twego, Boże;
Kiedy kto chciałby umrzéć, a umrzéć nie może!..

**Judyta.**

Jednego dla narodu sieroctwa czyż mało,
Żeby się jeszcze zgonem twoim powiększało?
Dla kraju, dla mnie, dzieci, niech ci wieku stawa.
A któż wié? może nawet i dla Bolesława



**Władysław.**

Jak owcę na rzeź, tak go sobie wyłączyli!..
Ich trzech i Mikrod, łatwo jednego pożyli!
Któregom ja tak wielą trudami wychował,
Bóg zagniewany w jednéj chwili zamordował.
Gdyby czterech na niego nie nasłał był razem,
Nie dałby się; mógł siłą i umiał żelazem!..
Ja bluźnię tego Boga zuchwałym językiem,
Który olbrzyma jednym z nóg zwalił kamykiem!..
Odbiéra mu przytomność żal mój przeraźliwy;
Miałbym być pokorniejszym, kiedym nieszczęśliwy.

**Judyta.**

Królu! ty zdrowiem twojém bezprawnie szafujesz;
Tym smutkiem na narodu własność następujesz.

**Władysław.**

Judyto! wszakżeś ty mi ten skutek zdarzyła!
Tyś mi twém naleganiem syna wyprawiła,
Który gdyby był twojém dzieckiem, nie przyszłoby
Ani do téj wyprawy, ani do żałoby.
Ja wkrótce życie skończę; a po moim zgonie,
Nie długo ostoisz się i ty na tym tronie.
Polska pamiętna, co pod Ryksą ucierpiała, [20])
Odeśle cię do Niemiec, skądeś przyjechała.

**Judyta** (*żywiéj*)

W ostatnim kącie ziemi, gdzie stanie Judyta,
Wszędzie rody cesarskie świat schylony wita,
Ni tam wasza blasku mi przydała korona,
Niedawno od mojego brata wyproszona [21])
(*Wychodzi*).

**Władysław.**

Gdzie siły nie wystarczą, tam gniew nie w swéj porze.
Proś tu do mnie strapionéj Zbisławy, Wszeborze;
Ona mą i swą stratę czuje najgoręcéj,
Ten mię, kto zemną płacze, pocieszy najwięcéj.

## SCENA V.

**Władysław** *sam.*

Zwołam naród; niech sobie obierają pana!
Piastów koléj dzisiejszą przygodą zerwana.
Na dom nasz jeden tylko Zbigniew pozostaje!..
Lecz plama urodzenia i złe obyczaje
Wstrzymują go, i Polak te drzwi mu zapowie,
Któremi od trzech wieków szli na tron Piastowie.
Jednak żem ojciec, prosić za nim nie przestanę;
Ale jeśli się uprą na pana odmianę,
Czeskich i ruskich książąt mogą miéć tak siła,
Z któremi nas oddawna krew jedna złączyła!
Niech wezmą, kogo zechcą, z ludzi całéj ziemi,
Byleby tém wybraniem byli szczęśliwemi!!
Co do mnie, ten znak władzy, tę koronę złotą,
Temu nowemu panu przyniosę z ochotą,
I powiem mu: „Niemałać to rzecz jest, nie mała,
W tym ludu milionów i całość i chwała!
Niechby jak nasze Piasty kraj ten wsławił, cenił,
Co się z dzikiego gruntu dziś tak zazielenił!" [22])
A ja w ciemnym gdzie kącie, dalekim od tronu,
Przez łzy w oczach wyzierać będę mego zgonu.

## SCENA VI.

**Władysław, Zbisława, Teofila, Wszebor.**

**Władysław.**

Zbisławo! wszakże wczora trzeba było, wczora...

**Zbisława.**

Panie, cóż miałeś robić?

**Władysław.**

Umrzéć była pora!..
Przeżyłem szczęście moje!... i niebo, jak chciało,
Tak mu się na mą szkodę ostatnią udało;
Tyś także zapłakana!...



**Zbisława.**

Twego rządu chwała,
Żem smutnego w twych krajach dotąd nie widziała;
Ale klęska dzisiejsza i mnie się dostawa;
Dosyćby łez przyczyny: znałam Bolesława.

**Władysław.**

On cię kochał; on mi to mawiał z jakąś chlubą;
Te łzy, które nad jego dziś wylewasz zgubą,
Czynią mu sprawiedliwość!.. On dziś więcéj nie chce!..
Ani go nasza miłość, ani chwała łechce!
Tam gdzie poszedł, wesołość światła nie przechodzi,
Ale żalom posępnym tylko się wnijść godzi!..
Synu! ta mnie przynajmniéj nadzieja nie zdradzi,
Smutek mój mnie za tobą wkrótce poprowadzi.
Ty, Zbisławo, zostaniesz, ażebyś płakała,
Mnie, com cię wybrał; syna, któregoś wybrała.
(*Płacze.*)

**Wszebor.**

Królu, wspomnij, że Polak zostaje sierota!
Nasza — umrzéć dla kraju; a żyć — twoja cnota.

**Władysław.**

Przebóg! nie nazywajcież mię królem, ni panem!..
Byłem kiedyś, i nikt się z mym nie zrównał stanem:
Póki mi tego skarbu najdroższego stawa,
Pókim ojciec dziedziczył syna Bolesława.
Mocarzów świata, zazdrość nad mém szczęściem bodła,
Mnie chluba z tego bytu aż do pychy wiodła!..
Dziś, zowcie mię nędzarzem, sercem niedołężnym!..
Synem byłem bogatym; synem byłem mężnym.

**Wszebor.**

Wiele jeńców odbitych już w miasto wjechało,
Niebo cię bez pociechy zostawić nie chciało.

**Władysław.**

Szczęśliwe matki synów swoich odzyskaniem!
Dom wasz cały przeciw nim wyjdzie z powitaniem.

Każda łzami radości omyje i zliczy
Rany, które rozdrapał powróz niewolniczy!
Łoże sama uściele, zagrozi hałasu,
By im nie psuto dawno żądanego wczasu!
A mnie, którym krajowi to wesele zdarzył,
Gdy się za coś zawzięty los ze mną poswarzył,
Wziął syna, dał do zgonu płacz i narzekanie!

## SCENA VII.

*Ciż sami*, **Bolesław, Mikrod,** *potém* **Prakseda.**

**Władysław** (*biegnąc do Bolesława*).

Bolesławie! (*zatrzymuje się*) Któż ty?

**Bolesław** (*zdziwiony.*)

Jestem syn twój, panie!

**Władysław.**

A ten kto?

**Mikrod.**

Jestem Mikrod, tu niespodziewany.

**Władysław.**

Zbisławo! cóż to znaczy?

**Zbisława.**

Bóg nam przebłagany.

**Władysław.**

Któryż święty bronił cię?

**Mikrod.**

Bolesława ramię
Broni siebie, ojczyznę, i obóz nasz łamie.

**Władysław.**

Cóż od nieprzyjaciela znaczy ta pochwała?



**Mikrod.**

Był czas, kiedy nieprzyjaźń między nami trwała;
Tym zmienianym szyszakiem orężaśmy bracią.

**Władysław.**

Prawdaż to? czy sen, jego łudzi mię postacią?

**Wszebor** (*Wszebor całuje w rękę Bolesława, a Bolesław go w twarz*).

Tykam téj dzielnéj ręki, i że prawda, czuję.

**Władysław** (*ściska Bolesława, ten całuje ojca w rękę*)

Żal mię nie mógł obalić, radość mię zmocuje.

**Bolesław** (*do Zbisławy całując rękę jéj*).

Szczęściu twéj barwy, pani, winienem zwycięstwo.

**Zbisława.**

Tak jest, ale do tego przydawszy twe męstwo.

**Władysław.**

Pomoże nam cieszyć się, niech przyjdzie królowa.
(*Wychodzą po Judytę*).
Pewnie ludu naszego ubyło połowa?

**Bolesław.**

Co polegli od Rusi, mała cząstka była,
Ale Połowców szabla naszych przepełniła;
Przecież mówić nie można, żebyśmy swą klęską
Bitwy dzisiejszéj chwałę kupili zwycięską.
Skarbimir, który wkrótce za nami się stawi,
Z doniesień od rotmistrzów najpewniéj się sprawi.

**Władysław.**

Toż i wojsko powraca?

**Bolesław.**

Przy Jaksie zostało
Gwoli Połowców, których tém się poczcić zdało.

**Mikrod.**

Mów raczéj, że pod waszych strażąśmy zostali.

**Bolesław.**

Przyjaciół nikt nie strzeże.

**Prakseda** (*wchodzi*).

Królowa się żali
Na słabość, co ją w swoim gmachu zatrzymuje,
Że nie przyszła tę dzielić radość, którą czuje.
(*Uchyla się ku Teofili*).

**Władysław.**

Cóż się stało z Zbiludem, Zemą, Odolonem?
Czyli tam winę swoję opłacili zgonem?
Czyli je Przecław wiedzie na gardłowe kary?

**Bolesław** (*z podziwieniem*).

A za cóżby to, panie?

**Władysław.**

Winni są bez miary!
Zdrajce świętokradzką się przysięgą złączyli,
By cię tam w zamięszaniu potyczki zabili.

**Bolesław.**

Potwarz, królu! Mikrodzie! ci to są trzéj, którzy
Wśród najcięższéj koło mnie nie odstępni burzy,
Tyle na mnie zmierzanych pocisków odbili;
I krwią twoich Połowców pola czerwienili!
Nie potrzeba im było zadawać mi rany,
Niechby mię odstąpili, byłbym rozsiekany.

**Mikrod.**

Gdybym miał trzech tak wiernych i bitnych przy boku,
Nie mówionoby dzisiaj: „Mikrod umknął kroku".



**Bolesław.**

Niebo mi ich umyślnie przychylne zesłało,
Ażeby mię w najgorszych razach wspomagało.
Zema, Odolon, stale plecy mi pilnował,
Zbilud, czasem ich wspierał, czasem mię ratował.
Mikrodzie, ten twój moment, kiedy się ścieramy,
A szablęś mi utrącił przy głowicy saméj,
I rzeczesz (gdym skoczeniem w bok śmierć mą omijał)
„Miéj życie, jam bezbronnych nigdy nie zabijał".
Ledwieś ostatecznego mógł domówić słowa,
Zwróciła cię gwałtowna szabla Zbiludowa.
Tyś doznał, czy przyjaciel, czy mój zdrajca to był,
On pierwszy z pod twéj twardéj zbroi krwi ci dobył.
Ja tymczasem buławą wasze-m płoszył męże,
Niż Połowcu jakiemuś wydarłem oręże,
I z blizko bijacym się Skarbimirem złączył.

**Władysław.**

Jakże wierny twój Zbilud z swemi dwoma skończył?

**Bolesław.**

Pierwéj poległ Odolon i Zema zrąbany.
Tysiąc Połowców na ich składało się rany.
Ale cięższe nad tysiąc połowców twe ramię,
Mikrodzie, z krzepkim jeszcze Zbiludem się łamie.
Na pomoc mu z hetmanem z jednéj strony biegłem,
Gdy z drugiéj z świeżym ludem Przecława postrzegłem
Na czele z Żelisławem. Lecz ty, krwi niesyty,
By ci obłów nie uszedł na pół niedobity,
Mężobójczém żelazem ostatecznie cięty,
Jak dąb przy twoich nogach, padł Zbilud pożęty.
I jeszcze mieczem, który krwią ciepłą się kurzył,
Przecławaś wzywał, że mu równie będziesz służył.
Lud świeży prędko słabe uprzątnął zawady,
Mikrod jeden wśród naszych znalazł się gromady,
I gdy, jakby chciał zginąć, z miejsca nie umyka,
Krzyknę nań: „Bolesław cię z przyjaźnią potyka".
On na to, pomyśliwszy nieco: „Miéj tę sławę".
Oddał mi broń; ja moję dałę mu buławę.
Okrzyk zwycięstwa runie od końca do końca;

Ja troskliwy, czy nie żył króry mój obrońca;
Znalazłem już umarłych Zemę z Odolonem,
Alem Zbiluda jeszcze zachwycił przed zgonem.
„Na méj przyjaźni (rzekłem) tyleżeś to zyskał?"
Żal nie dał mówić więcéj, a łzy mi wyciskał!
Sam krew mu tamowałem, sam zawijał rany,
W nadziei, że przy życiu mógł być zachowany.
On we mnie wlepi oczy, niby się uśmiécha,
Łzy mu razem popłyną, i rzecze mi z cicha:
„Ja to z radości płaczę, że cię widzę cało!
„I że przecie zwycięstwo przy naszych zostało!...
„Nie bój się wojny!... Ale bój się domu, książę!
„Skarbimir tajemnicę całą ci rozwiąże!"
Chciał coś więcéj, ale wtém mowę miał zamkniętą,
Tylko mą rękę ściskał ręką niedociętą.
I chociaż mu tak wiele ran pozadawano,
Wielką duszę wyzionął Mikrodową raną.
Tuż za mną, te przyjaźni świętéj wiozą ciała,
By je uczciwie ręka moja pogrzebała,
Pięknéj śmierci sprawić im winienem roczyny,
Darząc, jak tylko zdołam, pozostałe syny.

## SCENA VIII

*Ciż,* **Skarbimir i Żelisław** *(z zawiązaną ręką)*

**Skarbimir.**

Królu! taka zwycięstwa dzisiejszego sprawa,
Które otrzymujemy męstwem Bolesława.
Przypomnieliśmy sobie z Rusią niepoprawną,
My z niemi dawną dzielność, oni trwogę dawną!
Z pierwszém naszych natarciem jedni pierzchną w strony,
Drugich wraz z nami siecze jeniec uwolniony;
Że po trupach przedrzem się, gdzie Połowce stali,
I śmierć zadać, lub przyjąć gotowi czekali.
Szabla i pierś o pierś razem uderzyły,
Z takim gwałtem zbiegły się dwie potężne siły!
Bolesławie! Tyśto nam przyśpieszył zwycięstwo,
Że sobą całeś zajął Mikrodowe męstwo.
Nie mógł swoich posilać, miéć naszych na celu,
Musiał być w jedném miejscu, a miał być na wielu.



Przyjaź ń bitwę skończyła: za danym jéj znakiem,
Ściska ł się krwawą ręką Połowiec z Polakiem.
Z naszych, którzy polegli, na tysiąc wyniesie,
A z nieprzyjaciół może do sześciu zbierze się.
Rusi, drugieśmy tyle w niewolą zabrali,
Książęta się przez Wisłę wcześnie ratowali,
Plon cały odebrany, i z odbitych jeńców
Będzie do trzech tysięcy szlacheckich młodzieńców.
Prócz płci białéj, prócz czerstwych wieśniaków od role,
Którzy długie okryli bojowiska pole.
Obóz nieprzyjacielski do tego zajęty,
Ich konie, ich wojskowe kosztowniejsze sprzęty;
I skrzynia obozowa złotem ładowana.
Takie zyski przyniosła dzisiejsza wygrana!
Królu! ci, co w potrzebie mężnie się stawili,
Na twe względy i piękną sławę zasłużyli,
Kupioną nie lada czém, ale krwawym znojem:
Żelisław, Jaksa z synem, Sieciech z Borzywojem.
Po nich, przy twoich nogach ścielą się sieroty
Tych trzech rzadkich przyjaciół, tych trzeeh mężów cnoty:
Zbiluda, Odolona, Zemy!... Oni legli
Chętniéj, niźliby pana swojego odbiegli!...
Książę! krew, którą widzę twa zbroja skropiona!
Krew to będzie Zbiluda, Zemy, Odolona:
Od tysiąca pocisków zasłaniając pana,
Z ich rąk i wiernych piersi ochoczo przelana.
Królu! w skrytości będziesz tajemnicę wiedział,
Którą przed samą bitwą Zbilud mi powiedział.
„Możemy (rzekł) śmierci się dzisiaj nie wybiegać,
„Żeby poznał Bolesław, kogo się wystrzegać".
Wielkie dusze! szczęście im w całym blasku stawa,
Oni woleli podjąć śmierć dla Bolesława!

**Władysław.**

Sierotom ich najwięcéj dając, mało damy,
Jakże pięknie zgładzili młodości swéj plamy!
Polak, jak insi ludzie, może się źle stawić,
Ale w złym trwa niedługo, lubi się poprawić.
Skarbimirze! dzisiejszą posługę z twéj strony,
Nagrodzić nie wydołam, umrę zadłużony.
Bolesław, który po mnie na tym tronie siędzie,
Tobie i twoim dzieciom wypłacać się będzie.

Żelisławie! i innych co hetman wspomina,
Pewnie was nie przepomni przyjaźń mego syna.
Ale cóżto? ranionyś?

**Żelisław.**

Chlubna to jest rana,
Którąm dla méj odebrał ojczyzny i pana.
Szlachcic rodząc się, ten dług przyjmuje na siebie,
Swoją, lub nieprzyjaciół krew wylać w potrzebie.

**Mikrod.**

I byłbyś może ze mnie krwi dzisiaj natoczył,
Gdyby mię zasłaniając książę nie przyskoczył.
Bolesławie, on krzywdę ma: byłby się chlubił,
Że mię zdołał pokonać, że Mikroda ubił.

**Bolesław.**

Moja obrona ciebie zawsze będzie mniejszą,
Twój czyn ze mną ma cechę daleko piękniejszą:
Żeby widziano, na tém chwałę-ś swą zasadził,
Żeś tylko nie chciał, ale łatwobyś mię zgładził.

**Władysław** (*biorąc za rękę Mikroda*).

Mikrodzie! Przyjaźń wiąże ręka, którąć daję,
Niechęć między twym ludem i mym niech ustaje.
Szabla twoja mą szablę niech wspiera z ochotą.
Równie dzielić się będziem pogodą i słotą.
Na stwierdzenie przyjaźni, którą dziś związuję,
Obóz wzięty na Rusi całyć ofiaruję.
Tak Rusina rozeznasz od Polaka z twarzy,
Przyjaciel cię odbiega, nieprzyjaciel darzy.

**Mikrod** (*na gołą szablę lejąc wodę*)

Ktoby wam przyjaźń złamał, niech od szabli ginie,
Niech mu się krew tak leje, jak ta woda płynie [23])
Polacy! znam was w bitwie, i poznałem w zgodzie!
Wezwiecie mię, nie zbędzie nigdy na Mikrodzie.
Tylko bądźcie tak mężni, jak dziś z Bolesławem, [24])



A dobiwszy się chwały szabli waszéj prawem,
Staniecie tam, gdzie się was moc sama zaboi,
I świat wyzna: że Polak na swém miejscu stoi.

SCENA *ostatnia.*

*Ciż sami i* **Judyta** *wybladła na krześle przyniesiona.*

**Władysław.**

Cóż to znowu?

**Judyta.**

Judyta w życiu, w zgonie stała!...
Śmiercim zadać nie mogła, śmierciąm się skarała.
Trucizną Mieczysława do grobu prowadzę,
Syn twój nożem nie zginął, trucizną się gładzę.

**Władysław.**

Lekarzów!

**Zbisława.**

Jakaż rozpacz!...

**Bolesław.**

Laury me zwiędniałe!...

**Judyta.**

Niebo mnie nie wysłucha, dla mnie skamieniałe;
Ale idę do piekłów, tam Jędzę poruszę.
Niech brat własny powstaje na braterską duszę;
Niechaj następce wasi wyjdą na poddane,
I niech całują ręce hańbą ich zmazane.
A te łotry azyjskie, co dziś z wami w zgodzie,
Niech zalęknionych Piastów płoszą po narodzie.
Oby kiedy krew która, krew moja niemiecka

Żelazne kładła jarzmo na Sarmackie dziecka;
By nad niemi nieczuli własni bracia stali,
Ani ich podźwignęli, ani żałowali...

. . . . . .

Niech wasze spodli imię, rządzi się w dziedzinie!

**Bolesław.**

Jam niewinny! ale méj nie złorzecz ojczyznie.

**Judyta.**

Radabym za mą wzgardę za jednym zachodem,
Byś ze mną i obrzydłym zapadł się narodem.
(*Wszebor klęka koło Jndyty*).

**Władysław.**

Taki koniec namiętność miewa źle strzeżona!
Spokojność, potém życie wydziera!

**Wszebor.**

Już kona!

---

# PRZYPISKI.

[1]) Władysław Herman wstąpił na tron 1081 po Bolesławie Śmiałym. Nasz zaś Bolesław, syn jego, urodził się dopiéro w roku 1085 z Judyty księżniczki czeskiéj, pierwszéj żony, która w tym połogu umarła.

[2]) Brócz Zbigniewa syna z nieprawego łoża, żadnego już mężczyzny dom Piastów nie miał. Jeden tylko Bolesław całego domu był nadzieją.

[3]) Roku 1101 zjechali się do Stakowa i sprzymierzyli przeciwko Polakom książęta ruscy: Włodzimierz Monomach czerniechowski, syn Wszewołoda kijowskiego; Wołodar przemyski, syn Rościsława; Jarosław, syn Jaropełka książęcia włodzimirskiego, zabitego pod Swinigrodem; Dawid i Oleg bracia książęta pereasławscy. Wszyscy wnukowie albo prawnukowie Włodzimierza wielkiego.

[4]) Połowce byli jednym z tych wędrownych do Europy narodów azyatyckich, które dawne wieki Scytami, potém Hunnami, Pieczyngami, Uzami, i t. d. a późniejsze, Turkami i Tatarami nazwały. Około roku 1100, sławniejsi wodzowie hord Połowców byli: Itlar, Tugerkan, Maniak, Kitan, Boniak, Mikrod. A ten ostatni, najwaleczniejszy, pobił pamiętną klęską Kolomana króla z całą potęgą Węgrów pod Przemyślem.

[5]) Bolesław Chrobry dobywszy Kijowa roku 1018 wjeżdżając w bramę nazwaną złotą, uderzył w nią pałaszem: który od owego uderzenia wyszczerbiony szczerbcem potém nazwany, chowany jest dotychczas między skarbami królestwa w Krakowie. Znak od tego natenczas uderzenia pałaszem na bramie kijowskiéj został. Który potém w roku 1077 Bolesław Śmiały, dostawszy znowu Kijowa, uderzywszy szablą w to samo miejsce, ponowił.

[6]) Roku 1086 Jaropełk, książę łucki, odbiera nazad wydarty sobie Łuck przez Włodzimierza Monomacha, samém pokazaniem się tylko pod miastem wojska polskiego.

[7]) Imiona Jaksy, Żelisława, i tam daléj, są z dziejów naszych wyjęte, żyjących w tym czasie naczelnych obywatelów w narodzie. Żelisław, który tu u nas jest poufałym Bolesława, był w saméj rzeczy pod tymże Bolesławem sławnym potém hetmanem. Ten to sam jest, który w potrzebie z Morawcami straciwszy rękę, Morawca, który mu ją uciął, drugą zabił. Zbilud, Zema, Odolon; trzéj zabójce (prócz inszych) św. Stanisława, biskupa krakowskiego,

których z wygnania z Węgier Władysław Herman przywołał, majętności im pooddawał i do honoru przywrócił.

[8]) Poznać tu pychę Judyty, która sama będąc Niemką, z domu cesarzów linii frankońskiéj, nie wspomina innych babek Bolesława, ale aż Ryksę prababę, synową Chrobrego, która była córką Ezona hrabi Ryńskiego, urodzona z Matyldy, córki Ottona II, a siostry Ottona III, cesarzów z domu saskiego.

[9]) Włodzimierz wielki, monarcha ruski, panujący za czasów naszego Mieczysława I, który wiarę przyjął, zagarnął aż do brzegów Sanu i Buga dzierżawy Słowian, sprzymierzeńców polskich.

[10]) Młodzian tamtych wieków pasowany na rycerstwo, takiego koloru przy boku albo przy szyszaku wstęgi nosił, jaki lubiła panna, którą sobie tém ująć chciał. I to tu barwą się nazywa.

[11]) Zbisława była córką Świętopełka, książęcia kijowskiego, bardzo blizko spokrewniona z Bolesławem; bo matka Władysława Hermana była rodzoną ciotką Świętopełka, ojca Zbisławy.

[12]) Roku 1099 Brzetysław, król czeski, wuj Bolesława, pasował go na rycerstwo. W rok potém ojciec Władysław, swoim go także rycerzem zrobił w Płocku. Kto w tamtych wiekach nie był pasowanym rycerzem, sądzono, że bezprawnie miecza dobywał na nieprzyjaciela. Podawano przystępującemu miecz i pas rycerski, przypinano ostrogi, i wkładano łańcuch złoty na szyję, powinien był być ślepo posłusznym temu, kto go pasował, a z placu bitwy nigdy nie ustępować i t. d.

[13] Władysław Herman z drugiéj żony Judyty, wdowy po Salomonie królu węgierskim, miał trzy córki, o których imionach i jak się obróciły, nie wiele wiadomo. Ale obacz jeszcze w następującéj nocie pod liczbą [18]).

[14]) Judyta była siostrą Henryka IV, córką Henryka III, wnuką Konrada II, cesarzów z domu frankońskiego.

[15]) Mieczysław, syn nieszczęśliwego Bolesława Śmiałego, po ucieczce z Polski ojca, chronił się w Węgrzech. Kochał go król węgierski dla pięknych duszy i ciała przymiotów. Sprowadzony do kraju od Władysława stryja roku 1083 a struty z żoną Eudoksyą, córką Izasława, książęcia kijowskiego, roku 1088.

[16]) Lubecz, miasto nad Dnieprem, gdzie książęta ruscy przymierzami pozabezpieczali sobie dzierżawy swoje w roku 1097.

[17]) Zbisława była córką Świętopełka. wnuką Izasława, prawnuką Jarosława, monarchów ruskich na Kijowie; a daléj: od Włodzimierza wielkiego jedynowładcy i jego poprzedników pochodziła.

[18]) Od czasów Włodzimierza W. który miał za żonę córkę cesarza konstantynopolitańskiego, książęta ruscy mieli łatwy handel z Carogrodem, albo lądem, albo rzekami Dnieprem i Dniestrem, a potém Czarném morzem.

[19]) Hübner w tablicach gienealogicznych powiada, że Ryksa ,córka Hermana i téj Judyty, była za Alfonsem VII, królem Kastylii.

[20]) Ryksa, matka Kazimierza I, dla uciemiężenia kraju za życia męża, i po śmierci jego rządząc Polską, wraz z synem wypędzona.

[21]) Grzegórz VII, ów sławny Hildebrand po zabiciu św Stanisława, koronę Polakom odebrał, ale kłócący się z nim natenczas Henryk IV cesarz, na złość papieżowi dał ją Władysławowi, następcy po Śmiałym, któremu i siostrę swoję poślubił. Już tedy Władysław, nie chcąc uwłóczyć prerogatywom cesarza, do którego pewniéj należało koron rozdawanie, musiał się królem polskim nazywać; i bezwątpienia nazywał się.

[22]) Z pomiędzy Piastów, Bolesław Chrobry, Kazimierz pierwszy i Bolesław Śmiały Polskę dawniéj mniéj znaną, wsławili w Europie porządniejszym rządem wewnętrznym, rezszerzeniem granic i tylu zwycięstwami nad cesarzami niemieckiemi, Rusią, Prusakami, Pomorzanami i t. d.



[23]) Scytowie azyatyccy, jakiemi byli i Połowce, czyniąc przymierza, zaprzysięgali je, lejąc wodę na gołą szablę: i ten zwyczaj pewnie był najdawniejszym. Tak przysięgali potém i też słowa wymawiali (jak tu Mikrod) Olbrychtowi naszemu r. 1501 posłowie Szachmata cara Zawołgskiego, którzy tego narodu co i Połowce byli.

[24]) Ta sławna w dziejach naszych bitwa wygrana była w roku 1101. Jeńcy zagarnione Polsce i zdobycz książętom ruskim i Połowcom ich sprzymierzeńcom odebrana, nieprzyjacicle pobici, albo rozproszeni, obóz ich nawet cały wzięty. Wszystkiego tego ledwie 16 lat mający z małą garstką swoich dokazał Bolesław III powszechnie Krzywoustym przezwany, od wargi jednéj w młodym wieku wrzodem skrzywionéj. Jak to przezwisko Krzywoustego w dalszym jego wieku dać mu miano, tak i mnie Krzywoustym go teraz nazywać nie zdawało się. Bo może to być, że dopiéro po roku 1101 wrzód mu téj wargi nakrzywił. Dziesięcioletni już wojować zaczął. Wziął Międzyrzec Pomorzanom wtenczas, kiedy Sieciech hetman stary, już od oblężenia dla niepodobieństwa chciał odstępować. W czternastym roku nasz Santok od Pomorców obronił, a pomorskiego naprzeciwko wystawionego dobył; po któréj wyprawie Pomorzanie synem go wilczym nazwali. Ojciec Bolesława umarł w rok po zwycięstwie nad Rusią otrzymaném. Po odprawionéj rocznéj żałobie po jego śmierci, ożenił się wkrótce z Zbisławą, księżniczką kijowską, blizką pokrewną swoją, za dyspensą rzymską, i był potém jednym z najwaleczniejszych monarchów polskich.

# ALCESTA,

## KRÓLOWA TESSALII,

OPERA

W JEDNYM AKCIE.

## OSOBY.

ADMET, Król Tessalii.
ALCESTA, Królowa Tessalii.
DZIECI królewskich dwoje.
NIEZNAJOMY potém poznany, HERKULES.
IDMON, Kapłan.
IZMENA, poufała królowéj.
CHIRON, Lekarz.

*Scena w Pałacu Admeta.*

# ALCESTA.

## AKT JEDEN.

### SCENA I.

**Alcesta, Izmena.**

**Alcesta.**

Kiedy już ukochany mój król i mąż Admet ciężką chorobą dogorywa, i wszystkie leki są nieużytecznemi, posłałam wczora kapłana, ażeby jeszcze wyroczni bogów radził się, jakby cię, najmilszy mój zawsze Admecie, w życiu utrzymać. Albo, jeżeli tego nie można, toby lepiéj razem z tobą umierać.

**Izmena.**

Admet czcił bogów i kochał jak dzieci swoich poddanych, a bogowie są sprawiedliwi i... zapewne dadzą mu życie, ażeby dłużéj na ziemi cieszył żonę i dzieci, i był przykładem królom.

**Alcesta.**

A za cóż cierpi chorując Admet? Będąc tak bogom ukochanym, jak wart jest, czemuż go karzą tak ciężko, jak gdyby najbardziéj zasłużył? On jeszcze coś mówić może; ale tylko mnie ciesząc czasem przemówi, potém jęczy.

**Izmena.**

Chiron ma wielką ziół znajomość i dar leczenia, może on jeszcze króla poratuje.

**Alcesta.**

Ja wierzę, że bogowie lepiéj nieskończenie umieją leczyć nad Chirona, i dlatego do bogów się udałam. Ale gdyby téż już ta ostatnia była choroba Admetowa?...

(*siada, wzdychając śpiewa*).

Takiego ciężaru pewnie
Siła moja nie poruszy,
Umrę, płacząc za nim rzewnie,
On jest duszą mojéj duszy.

Mężu! cóż mi ludzie mogą
W zamianę oddać za ciebie?
Bardzo mię kosztujesz drogo:
Oto ja ci dałam siebie!...

On ma cnoty, miłość ludzi,
Wesprzéć potrzebnych ochoczy;
Dobra go sprawa nie strudzi,
Ma piękne serce i oczy.

SCENA II.

**Idmon kapłan, i *ciż sami***

**Idmon.**

Na ofiarę, z woli twojéj nakazaną, lud mnogi wczora zgromadził się, po niéj, według wszystkich obrządków wypełnionéj, pytane *oraculum* Apollina smutną odpowiedź dało.

**Alcesta.**

Jakże? to pewnie Admet umierać musi.

**Idmon.**

Żyćby mógł, gdyby kto za niego chciał umrzeć dobrowolnie. I tak wyraźnie wyrocznia odpowiedziała.



**Alcesta.**

Cóż na to lud, tylą łaskami od króla obsypany? co Polidor, Palemon, Eteokles, od śmierci zasłonieni piersiami Admeta, przyjaciele?

**Idmon.**

Po usłyszanéj téj odpowiedzi Apollina głębokie milczenie nastąpiło, a potém zgromadzenie całe do domów powróciło, żałując tylko Admeta.

**Alcesta.**

Dokazaliście swego, bogowie, szczęścia mojego zazdrośni!...

SCENA III.

*Ciż sami*, i **Dzieci dwoje.**

**Dzieci.**

Mamo! Papa nasz umiera; już wszyscy mówią, że umiera.

**Alcesta.**

Na cóż ja żyję?... Izmeno, trzymaj tu dzieci, niech ojca i mnie nie rozrzewniają.

(*Wybiega do Admeta*).

SCENA IV.

**Idmon, Izmena, Dzieci.**

**Izmena.**

Idmonie! może jeszcze znajdzie się przyjaciel jaki, który za Admeta na śmierć pójdzie. Wszakże bogowie napróżnoby takiego zakładu nie położyli! Pewnie będzie który, jeden ze trzech wspomnionych od królowéj.

**Idmon.**

Byli przytomni wszyscy trzej, ale żadnego wzruszenia znaku, umyślnie na nich patrząc, nie widziałem. Potrzeba duszy mocnéj, żeby ktoś, nie chcąc cierpiéć swojego nieszczęścia, życie sobie odebrał.

Cóż dopiero, żeby kto sam się dobrowolnie zabijał, cudze życie swojém zastępując?

## SCENA V.

*Ciż sami,* i **Alcesta.**

**Alcesta.**

Kapłanie, jest pod pałacem przepaść w rozdartéj skale, w któréj dawniéj już kilku się rozpaczających dla marnych pobudek pogrążyło. Admet dogorywa, jeżeli prędko nikt za niego, według wyroku bogów, na śmierć ofiarować się nie będzie, on wkrótce umrze. Kocham cię, Admecie!... Ja za twoję głowę moję poświęcam. Prowadź mię, kapłanie, do miejsca i mów słowa uroczyste poświęcających się na śmierć.

**Idmon.**

Poczekaj, Alcesto! może jeszcze kto znajdzie się inszy, który cię wyręczy. Sława wyroczni daleko rozejdzie się po Tessalii, tyle winnéj cnotliwemu Admetowi.

**Izmena.**

Może bogowie, serca twojego szczerością tknięci, chęć twoję przyjmą za ofiarę i dadzą życie Admetowi.

**Alcesta.**

Bogowie wydali wyrok, i bluźni, kto mówi, żeby go odmienić mogli. Izmeno! te moje dzieci zostające się będzie kochał dla pamięci mojéj Admet, ty dla przyjaźni nie odstępuj ich, i bądź im na miejscu mojém matką. Kapłanie! słuchaj bogów, oto masz ofiarę dobrowolną. Idźmy do przepaści. Inaczéj, jeżeli tymczasem umrze Admet, ty go opóźnieniem twojém zabijesz; a ja... prócz tego... po zgonie jego nie wyżyję!...

**Idmon** (*otwierając drzwi ku przepaści, Alcestę ku niéj biegnącą zatrzymuje*).

Nie opóźnisz się, królowo. Bogowie to widzą, że się chcesz nie opóźnić — i dosyć na tém.



**Alcesta.**

Dzieci moje ukochane! Kiedy mnie już jutro nie będzie, tę miłość, którąście mnie kochali, złączcie razem z miłością, którą Admeta ojca kochacie! tak, mocniéj od was napotém będzie kochanym.

**Dzieci.**

Mamo! my ciebie i jutro kochać chcemy.
(*Chwytają się dzieci odzienia matki i płaczą*).

**Alcesta.**

Idmonie! mam siłę umrzéć, ale nie mam siły tych dzieci od siebie odtrącić. (*Idmon dzieci odrywa, jedno z nich oderwane*).

**Dziecię.**

Kiedy tak, to ja za mamę i za papę sam wskoczę w przepaść.

**Izmena** (*porywając toż dziecię*).

Otóż dobrowolna także ofiara! Dzieci dwoje, a tyś u nas i Admet jedna.

**Alcesta.**

Stój, tyś nie była matką!... Ja na śmierć dziecięcia mego nie puszczę.

**Dzieci** (*znowu matkę za suknią trzymając*).

I my cię, mamo, na śmierć nie puścimy, bo źle bez matki.

**Idmon** (*odrywając i trzymając oboje dzieci*).

Plutonie, za duszę Admeta, oto masz duszę dobrowolnie się ofiarującą. A ty, Jowiszu, wszystko najlepsze domowi królewskiemu zdarzaj, ażeby stracenie teraźniejsze Alcesty było mu ostatniém w długiém napotém życiu nieszczęściem.

**Alcesta** (*wskakując w przepaść*).

Żyj, Admecie.

## SCENA VI.

**Idmon, Izmena, Dzieci.**

*Po wskoczeniu w przepaść Alcesty i okrzyku żałosnym przytomnych:*

**Izmena.**

Już jéj nie masz!... Któraż żona więcéj kochała męża!.. Bogowie! Admet żyć będzie, żeby płakał.

**Idmon.**

Cóż ma z tego Alcesta, że się zabiła za Admeta, kiedy jéj nie masz na ziemi? Ona przeciwko biegowi natury moment śmierci miała pewnie najsłodszy, bo myślała, że nim napełniała życie Admetowe.

**Izmena.**

Dzieci sieroty, po jakiejże wy matce zostajecie! Idmonie, bogowie powinniby miéć szczególniejsze staranie o tych sierotach; kiedy śmierci cnotliwéj Alcesty, matki ich, chcieli, będą winni przynajmniéj dziećmi się opiekować.

**Idmon.**

Jak jest tkliwym Admet, dzień każdy przypominać mu będzie Alcestę; i boję się, ażeby z żalu nie chciał sobie ukrócić tego życia, które ona mu dzisiaj przedłużyła. Ciężki na niego zakład; on ten dar za największą karę poczyta.

**Dzieci** (*płacząc*).

Izmeno, to ty już naszą mamą! Pamiętaj, jaka była Alcesta!

**Izmena.**

Nieszczęsne sieroty! Wy nie wiecie w tym wieku, jaką stratę ponieśliście; kochać was będę jak można, ale jeszcze nie będę was tak kochać, jak matka.



## SCENA VII.

**Nieznajomy i** *Ciż sami.*

**Nieznajomy.**

Cóż to za smutek dom królewski napełnił? Admet ze swojemi domownikami zawszeby się cieszyć powinien, bo jak jest cnotliwym, tak sami bogowie cieszą się nim, ile razy spojrzą na ziemię.

**Idmon.**

Był kiedyś szczęśliwym, ale bogowie nie chcieli jego śmierci, ażeby żył nigdy niepocieszony.

**Nieznajomy.**

Cóż tedy stać się mogło, żeby albo przerobić, albo na szkodę nową jaką pomyślnością Admeta pocieszyć nie można było?

**Idmon.**

Król chorował na śmierć. Wyrocznia obiecała mu życie, jeżeliby kto dobrowolnie życie swoje za jego ofiarował. Kiedy nikogo nie widać było, Alcesta dopiéro za męża w przepaść skoczyła.

**Nieznajomy.**

O jakże długi cnót orszak tym ostatnim heroizmem zakończyła! I gdzież jest ta przepaść?

**Idmon.**

Tu zaraz pod pałacem.

**Nieznajomy.**

Jestem przyjacielem króla, pójdę za tobą, Alcesto! Tyś nie sama tylko kochała Admeta.

**Idmon.**

Bogowie jednéj tylko szukali ofiary.

**Nieznajomy.**

Ale Admet z Alcestą warci są drugiéj. Ciebie, kapłanie, nie jestem potrzebny, ażebyś nade mną słowa ostateczne odmawiał. Sam sobie i ofiarą będę i kapłanem. Zostańcie tu wszyscy. (*Wychodzi we drzwi jaskini*).

## SCENA VIII.

**Idmon, Izmena, Dzieci.**

**Idmon.**

Któż to będzie ten nieznajomy? Admet po świecie wielu miał przyjaciół!... Ale za cóż on uporem poszedł na śmierć, kiedy dla życia króla dosyć było jednéj Alcesty? Alcesto, jakżeś ty się pokwapiła!..

**Izmena.**

Może ten nieszczęśliwy nieznajomy był przyjacielem królowéj, i dotknął go los jéj.

**Idmon.**

Coś nadzwyczajnego twarz jego okazywała. Ale czemuż on tak zuchwale mówić skończył, że sam sobie i kapłanem i ofiarą będzie! Pójdźmy do Admeta, jaki na nim śmierć jego Alcesty skutek zrobiła? O bogowie! oto on sam idzie.

## SCENA IX.

**Admet, Chiron i *Ciż sami.***

**Admet.**

Jakaż to moc nadprzyrodzona dźwiga mnie z grobu?... czuję razem siły moje, jak nigdy nie były krzepkie; i... nie mając już życia nadziei żadnéj, jeszcze wesoło witam cię, słońce? Kiedy mocując się dopiéro ze śmiercią myślałem, że w tych dniach w ziemi zwłoki moje zagrzebią, i trzykrotnym okrzykiem lud mój ukochany, trupa mojego



pożegna; ja jeszcze z wami, dzieci moje, ja z tobą, kapłanie, cieszę się. Ale gdzież jest Alcesta? Niechże się i ona razem z nami ucieszy: bo nie może być zupełna szczęśliwość moja, kiedy jéj z nią nie podzielę. Czegóż smutni stoicie!... gdzież jest królowa?...

**Idmon.**

Była!...

**Admet.**

Ale gdzież teraz?

**Idmon.**

Lepiéj ci, królu, żebyś nie wiedział!

**Admet.**

Cokolwiek się stało, ja chcę, ażeby mi powiedziano.

**Idmon.**

Gdyby się była nie pokwapiła, przyszedł nieznajomy nam jakiś z przyjaciół twoich, który... okupując życie twoje, dobrowolnie się na śmierć ofiarował!

**Admet.**

Kapłanie, mów mi jasno, co się tu stać mogło?

**Idmon.**

Alcesta o twoje zdrowie radziła się wyroczni bogów, i odpowiedź odebrawszy, że żyć będziesz, jeżeliby kto życie swoje za twoje łożył; kiedy nikogo nie widać było, a ty tymczasem dogorywałeś, królowa w przepaść blizką pałacu wskoczyła.

**Admet.**

O ja biedny!... za cóżeś ją okrutny na tę ofiarę puścił?

**Idmon.**

Kiedyś ty, umierając, nie mógł mi rozkazywać, słuchałem bogów, którzy kazali.

**Admet.**

O bogowie! czyż nie dosyć wam było zabić mi jakiegoś, jak słyszę, przyjaciela, za cóż mi jeszcze i żonę zabiliście?... Alcesto, ja po tobie wyżyć nie mogę!... Tanio, tanioś siebie ceniła!... takiéj żony życie droższe od mojego, którym się po niéj został!... Apollinie! ja twoja kiedyś gospoda! Ty w domu moim przebywałeś, u jednego ze mną stołu chleb jadłeś! Takaż mi to nagroda za gościnność moję dla ciebie, że mi żonę zabijasz? Chytrzy bogowie! wyście wiedzieli, że Alcesta dla mnie w przepaść się pogrąży!... Na cóż mi to życie okropne pod takim zostawiacie zakładem?... Ale przepuść, synu Latony!... ja bluźnię przeciwko tobie! Ty mi jeszcze, jak Niobie, te moje dzieci powystrzelasz!... (*płacze*).

**Idmon.**

Hamuj żal, królu! tém trapieniem się już twojéj szkody nie powrócisz.

**Admet.**

Właśnie téżto dlatego ja płaczę, że się moja Alcesta nie powróci.

**Chiron.**

Ale zdrowie twoje nadwerężasz, które bogowie na to, ażebyś je miał, cudem ci przywrócili.

**Admet.**

Właśnie téżto wolę chorobę i śmierć samę, niżeli życie takie! Żalem gwałtownym i głodem dobrowolnym skrócę sobie te dni opłakane, które mi nieproszenie bogowie przedłużyli. Ale to będzie prędzéj kapłanie, idę do przepaści, w któréj pogrążyła się Alcesta. Nie cudze mi życie jéj! moje to życie zginęło!

**Idmon.**

Alceście pozwoliły wyroki pobiedz do śmierci; ale ty w swojéj drodze masz iść noga za nogą. Tobie niewolno życia sobie wydzierać, kiedy Apollo Alcesty życiem chciał twoje zabezpieczyć. Ona słuchała wyroków, tybyś słuchał rozpaczy.



**Admet** (*po największych znakach rozpaczy siada i śpiewa*).

Ostatni rodzaj niedoli
Na człowieka zsyłasz, Boże,
Kiedy śmierć nad życie woli,
A przecie umrzéć nie może!

Gdzie dojźrzeć dobra wspólnego,
Gdzie rozdać robotę komu,
Dziś-em jéj od ślubu mego
Pierwszy raz nie zastał w domu!...

Jam w niéj żył, a ona we mnie,
Ja część tylko téj jednoty!
Jam się pozostał beze mnie,
Dzieci, i kąty sieroty!...

Jedną widzę drogą chodzą,
Czy nagroda, czy los srogi.
Razem mię dzisiaj zawodzą
I me cnoty, i me bogi!

*Potém Admet porywając się z żywością mówi*:

Pójdę do jéj sypialni! niech mi więcéj przyczyniają żalu te miejsca smutne, w których zwyczajnie siadywała! może tam prędzéj mnie smutek dobije. (*Wychodzi.*)

SCENA X.

**Izmena, Chiron, Dzieci.**

**Izmena.**

Jakże to w oka mgnieniu prawie Admet zrobił się czerstwym po śmiertelnéj chorobie swojéj!... Bogowie dali mu zdrowie, żeby mocniéj czuł stratę swoję.

**Chiron.**

Król tak już był blizkim zgonu, żeśmy za niego modlitwy przeprawy śmierci do syna Mai odmówili. I kiedy na niego jak na trupa

już poglądamy, porwał się i Alcesty zawołał. Potém, jakgdyby nigdy chorym nie był, szaty swoje podać każe, i sam się z pośpiechem ubiera, o kilku Tessalczykach, potrzebnych wsparcia, czyli już poratunek odebrali? pyta się; i... jakgdyby wstał ze snu, Apollinowi krótkie modlitwy czyni.

**Izmena.**

Błagał Apollina, który już wtenczas żonę mu zabił.

**Chiron.**

Jeszcze myślałem, że może obudzona gorączka skutki takie sprawiła; kiedy razem wszyscy przekonani byliśmy o zupełném zdrowiu jego, gdy kilka urządzeń w kraju, przytomnym niektórym z rady, rozsądnie jak i dawno czynić zaczął.

**Izmena**

Nie pamiętałże co o swojéj świeżéj chorobie, albo o swojém nagłém ozdrowieniu?

**Chiron.**

Ośmieliłem się zaraz opowiedzieć królowi stan jego niedawny, i zapytać się: Jak razem, będąc już od nas opłakanym, do zdrowia zupełnego przyszedł? Tyle nam tylko odpowiedział, że zdało mu się, jakoby spał twardo, i Alcesta budząc go powiedziała: „Wstań i radź o szczęściu Tessalii".

**Izmena.**

Tak to być miało, że w tym czasie duch Alcesty, oswobodziwszy się od ciała, niby żegnając się z mężem ostatecznie, obudził Admeta z choroby, ażeby i Tessalczykom nieużytecznym i sobie uprzykrzonym był ciężarem.

**Chiron.**

Cudami słynący bogowie, jakże niedościgłe są sprawy wasze!...

SCENA XI.

**Admet, Idmon** i *Ciż sami.*

**Admet.**

Wszędzie ja siebie z sobą włóczyć będę! i bez ciebie, Alcesto, tęsknić do śmierci! Chironie! to dla mnie lepiéj, że coś więcéj płakać



nie mogę. Zdaje się, że natura, łzami się nie ratując, pozwala żalowi bardziéj mnie słabić.

**Chiron.**

Kiedy bogowie chcieli, żebyś cudownie ożył, ciż sami cię zdołają pokrzepić przeciwko upornemu żalowi.

**Izmena.**

Dzieci te zostawione przynajmniéjby cię, królu, cieszyć powinny.

**Admet** (*zniżając się ku dzieciom*).

O dzieci moje! jakże wy mnie smucicie!... Wam w tym wieku matka nademnie była potrzebniejszą! Ale wy i ojca wkrótce postradacie. (*Grzmot daje się słyszéć*). Wczas, wczaś będzie, Jowiszu! zabij mnie piorunem. Niech z tych piersi krew pociecze, którą winienem tobie za zuchwałe bluźnienie, i Alceście, za jéj ofiarę dla mnie!

**Idmon.**

Królu! ty drażnisz bogi, człowiek upokorzony miléj od nich przyjęty.

**Admet.**

Byłem i pokornym dla bogów, otóż mi dzisiaj nagroda! Straciwszy Alcestę, o cóż ja mam ich błagać na ziemi? Może tém zuchwalstwem śmierć moję na nich wykrzyczę. Jeśliby mnie Jowisz zabił, jak powinien, do téj saméj przepaści, w któréj pogrążyła się Alcesta, wrzućcie i Admeta. Nie chcę marnych pogrzebów waszych! Alcesta miała najpiękniejszy!

SCENA *ostatnia.*

**Nieznajomy,** *czyli* **Herkules, Alcesta, Admet, Idmon, Chiron, Izmena i Dzieci.**

**Dzieci.**

O Mama!

**Idmon.**

O nieznajomy!

**Admet.**

O Herkulesie!

**Herkules.**

Admecie! bogowie, którzy cię lubią, tak urządzili, ażeby i tobie zdrowie, i Alceście życie wrócone było. Odbierz ją z ręki mojéj, przyjaciel ci ją Herkules wraca.

**Admet.**

Ja dopiero bluźnierca przeciwko bogom, jakżem na to zasłużył, że cię jeszcze ściskam żyjącą, nieporównana Alcesto! Bogowie czynią ludziom dobrze, chociaż ich człowiek znieważa. (*Ściska Alcestę*).

**Alcesta.**

Nie chciałabym nigdy powrócić na ziemię, gdyby na niéj Admeta nie było.

**Admet.**

Ale jakimże cudem wracasz mi się, dolo moja najlepsza!

**Herkules.**

Obchodząc ziemię, ażebym uciśnionym czynił sprawiedliwość z bogów pewnie zdarzenia, właśnie wtenczas w dom twój przybyłem, nikomu tu prócz ciebie nieznajomy, kiedy świeżo dla ocalenia twego cnotliwa w przepaść pogrążyła się Alcesta. Wzruszony łzami przytomnych, sieroctwem dzieci, twoją przyjaźnią i heroizmem Alcesty; kiedy mi ojciec Jowisz śmiałość poruszył, wskoczyłem w tę samę przepaść za Alcestą. Na dole niezmiernéj głębizny jaskini téj, ciepłe jeszcze, ale już bez duszy zastałem jéj członki. Tąż samą mocą, która mnie nieobrażonego na dole jaskini złożyła, w momencie znalazłem się aż przed ciemnemi wrotami pana piekeł, Plutona. Pies Cerber, który wejścia zabraniał, zbity– i sam bóg piekła, przelękniony, wrócił mi duszę Alcesty, z którą ożywioną wychodzącego znowu na powierzchnią ziemi, i grzmotem mię z niéj rozgniewany Pluton wyrzucił.

**Admet.**

A ja w czasie grzmotu tego najwięcéj bluźniłem przeciwko Jowiszowi, kiedy on łaskawie szczęścia mojego dokonywał.



**Idmon.**

Nie mruczmy nigdy przeciwko bogom! Cudami oni się usprawiedliwiają, że drogi ich są nieskażone! I jeżeli cnotliwego umartwić chcieli, to chyba dlatego, ażeby go potém pocieszyli.

**Herkules.**

Cnotom twoim, Admecie, wyrównał heroizm miłości małżeńskiéj Alcesty. Żyjcie szczęśliwi, i wdzięczni bogom, którzy za krótkie zmartwienie powrócili Admetowi życie i żonę, a dobréj Alceście męża.

(*Śpiewają wszyscy razem*).

Dobrzy bogowie tą ziemią rządzą,
I kiedy głaszczą, i kiedy karzą;
Ludzie to tylko w swych drogach błądzą;
Potém się z sobą i niebem swarzą.

# CZYNSZ.

## KOMEDYA WE TRZECH AKTACH.

---

## OSOBY.

MIŁOSKI, Pan.
STATECKI, Przyjaciel pański.
GROŹNICKI, Podstarości.
MAŁGORZATA, Żona podstarościego.
SZYMON, Wieśniak.
POLUSIA, Córka Szymona.
BARTECKI, Pisarz Groźnickiego.

*Scena we Dworze Podstarościego, we wsi pana Miłoskiego.*

# CZYNSZ, KOMEDYA.

## AKT I.

### SCENA I.

**Groźnicki, Bartecki.**

**Groźnicki.**

Bartecki! Waść jeszcze nie znasz naszego pana? Młody, raźny, chodzi po francusku, a fryzura większa od całéj głowy; prędko się rozgniewa, ale w momencie dobry, i żal mu, że się rozgniewał; nie wiem, co on tam z drugiemi gada po francusku, ale ze mną zawsze gadał tylko o pieniądzach. Posadził mnie raz z sobą do stołu, kiedym mu podatki przywiózł, ale drugi raz przyjechawszy za interesami do pana, ani ze mną gadać chciał, tylko mi przez sekretarza powiedziano, że pan ma ważniejsze interesa, żeby miał pamiętać o wyderkafie plebanowi od trzech lat niezapłaconym.

**Bartecki.**

Cóż tam pan nasz robi w téj Warszawie? Mając swoje miasta i wioski, czegóż on siedzi w cudzém?

**Groźnicki.**

Któżby to wszystko wyrachował, co panowie robią w Warszawie! oni to jedném słowem nazywają: bawić się. I tak, bawią się u księcia, u wojewody, na operze, na reducie, na hecy i tam daléj.

**Bartecki.**

Prócz księcia i wojewody, nic daléj nie rozumiem, co to ta opera, reduta, heca?

**Groźnicki.**

To ja ci kiedyś wytłómaczę. Ale co się tyczy zabawek pańskich, jak naprzykład pan nasz, często na obiady proszony bywa... i wtenczas, kiedy jedzie karetą, dwóch lokajów, dwóch strzelców, dwóch uzarów, murzyn i laufer być muszą przy karecie.

**Bartecki.**

Zapewne tych ośmiu ludzi parami przed karetą idą, i to powinnoby się pięknie wydawać.

**Groźnicki.**

Czepiają się różnie po karecie. Ale ja nie wiem, na co panu naszemu laufra, kiedy wyjeżdżając do kogo, zawsze ma przy sobie wierzchowych, kiedy jedzie o kilkaset kroków z domu jednego do drugiego? Murzyn zaś pański nic wcale nie robi, i tylko jest murzynem.

**Bartecki.**

A też dwa strzelce, co tam w Warszawie strzelają?

**Groźnicki.**

Oni się tylko nazywają strzelcami i barwę strzelecką noszą; ale strzelać żaden nie umie, chybaby po półmiskach i farfurkach. Cały rok za Warszawę nie wyjadą, strzelać w mieście nie wolno, a oni po staremu strzelce. Jakże to wiele opłata tych wszystkich ludzi kosztuje! po większéj zaś części pan ich nie potrzebuje. Chodzi bardzo często sam jeden piechotą po Warszawie w surducie, w kapeluszu spuszczonym, i z laską w ręku; chodzi Bóg wié którędy, i powiada, że go to najlepiéj bawi.

**Bartecki.**

To słyszałem, że pan nasz na obiady cudze wyjeżdża; a do niego nie przyjeżdżają kiedy na obiad?



**Groźnicki.**

Bardzo często także u siebie obiady daje. Ci, co nie mając co inszego do roboty, rachują po Warszawie obiady dobre, powiadają, że u naszego pana jest obiad między najlepszemi. Ale téż na te uczty, i na kobietki, wiele to pieniędzy wychodzi; i gdyby go pan Statecki nie wstrzymywał, jużby dawno było po nim. Chociaż i tak, prócz intrat strawionych, jeszcze co rok wioskę jaką przedaje.

**Bartecki.**

Któż to jest ten pan Statecki?

**Groźnicki.**

Dziad pana Stateckiego był dziedzicem tych wszystkich wiosek i (jak powiadają) dziad pana Miłoskiego niesprawiedliwie mu je wydarł, czy wyłudził; otóż nasz pan, który ma serce dobre, przez ten wzgląd chce miéć zawsze pana Stateckiego przy sobie; lubi go, szanuje i czyni mu wygody największe. Pan Statecki ma coś i swego, ale go w Warszawie panem nie nazywają, i dlatego tylko tam go poważają, że ma być człowiekiem bardzo poczciwym.

**Bartecki.**

Coś słychać, że pan nasz ma tu przyjechać?

**Groźnicki.**

W tych dniach to go się spodziewamy: dlatego niechaj i rejestra będą gotowe, i podatki od poddaństwa ze wszystkiém powybierane; bo kiedy go przywitasz jakim tysiącem złotych, nie masz lepszego pana nad naszego.

**Bartecki.**

Wszyscy już poddani wypłacili się, jeden tylko Szymon, który przeszłych lat najpierwszy był do płacenia, teraz jeszcze szeląga nie dał.

**Groźnicki.**

Waść kochasz Polusię, córkę Szymona, i może mu umyślnie folgujesz. Ale poprzysięgam, jak mi dziś pieniądze nie będą, temu

dziadowi sto nahajów wyliczę, i nie będę uważał na jego starość. Idź waść zaraz do niego i powiedz mu, że go sto spełna czeka.

(*Bartecki wychodzi*).

## SCENA II.

**Groźnicki, Groźnicka.**

**Groźnicka.**

Czegóż się waszeć tak rozgniewałeś?

**Groźnicki.**

A jakże to do nieszczęścia nie mam się gniewać? Wszyscy poddani już zapłacili podatek, a Szymon jeszcze nie oddał; pana zaś w tych dniach się spodziewam; ale popamięta mnie ten obmierzły starzec. Moje serce, moja Margosiu, nie prośże mi za nim, bom przysiągł, że mu dziś sto nahajów wyliczę, jeżeli pieniędzy do szeląga nie odda. Zuchwały to chłopek, nieraz on mi odpowiedział, nieraz się w słowach sprzeciwiał; przyszło teraz i na Szymona.

**Groźnicka.**

Sto nahajów Szymonowi!—jest to go na śmierć ubić! To to waszeć na to przysiągłeś, żeby człowieka zabić?

**Groźnicki.**

O, moja panno! na chłopie każdym jest skór dziewięć; byle ostatniéj nie tykać, to wytrzyma.

**Groźnicka.**

Chłopia skóra taka, jak szlachecka. Lepiéj go wsadzić do turmy, to ta jego ulubiona córeczka wystara się zaraz o pieniądze. Gdyby tak na mnie, jabym nawet nie ojca, ale ją samę wsadzić kazała, a tylu Jéj kochanków, któremi ona pogardza, zarazby się na pieniądze złożyli.

**Groźnicki.**

Cóż córka winna, że jéj ojciec podatku do skarbu zapłacić nie chce? Ona jedna Szymona żywi, a waszeć radzisz, aby ją do turmy



wsadzić! Oto lepiéj, weź ją, Margosiu, do dworu na służbę. Dałyby się jéj z góry pieniądze na ten podatek, a onaby to z czasem odsłużyła.

**Groźnicka.**

Już się waszeci Polusi na folwarku zachciewa! Wziąć ją na folwark, chyba na to, żeby były dwie razem podstarościne.

**Groźnicki.**

Margosiu! a waszeć już zaczynasz.

**Groźnicka.**

Otóż waszeć zacząłeś!

**Groźnicki.**

Toż ja pierwszy milczę.

**Groźnicka.**

I ja milczę druga.

## SCENA III.

**Groźnicki, Groźnicka, Polusia.**

**Polusia.**

Mospanie! mój ojciec płacze!

**Groźnicka.**

A czemuż ty ulubiona córeczka, miasto niego nie płaczesz, co to powiadasz, że go tak bardzo kochasz?

**Groźnicki.**

Moja Margosiu! Cóż to ma do tego? Ten płacze, kto płakać może. Polusiu! czegóż twój ojciec płacze?

**Polusia.**

Że go waćpan przez Barteckiego za niewypłacony podatek plagami postraszyłeś. Kiedy matka moja umierała, on nie płakał, i mnie płaczącą cieszył. Pierwszy raz dzisiaj widzę łzy ojca mojego, musi być, że dzisiaj żal ma największy. Mój ojciec powiada, że bardziéj jeszcze boi się wstydu, aniżeli bólu, bo był zawsze człekiem poczciwym...

**Groźnicka.**

Na cóż ci, kochaneczko, tych twoich sukień, w które się tak lubisz stroić? jeżeli tak kochasz ojca, jak mówisz, sprzedaj to wszystko, a może wystarczy na podatek.

**Polusia.**

Mościa pani! któżby sukni żałował, żeby odkupić od bólu i hańby ojca własnego? Jużem mu to nawet mówiła, ale on spodziewa się łaski waćpana, mospanie Groźnicki, że da Bóg po zbiorze z pola jesieni, razem dwuletni podatek zapłacić mu pozwolisz. Sukman zaś moich w pół darmo (jak powiada) trwonić nie chce.

**Groźnicki.**

Mogłabyś, Polusiu, pójść gdzie na służbę; takim sposobem opłaciłabyś podatek ojca.

**Polusia.**

Kiedy gruntu trzymać nie wydołamy, oddamy go do skarbu; a natenczas ja pracą rąk własnych będę żywiła ojca mojego; ale go do śmierci nigdy nie opuszczę.

**Groźnicka** (*biorąc za rękę Polusię i wyprowadzając ją z izby*).

Pódźże stąd, pódź, ty cnotliwa dziewczynko, żeby podatek był zaraz gotowy; bo jeżeli nie na ojcu, to się na tobie skończy.

**Groźnicki** (*po wyjściu Polusi*).

Margosiu! Jakże waszeć jesteś bez politowania! Kiedy ta dziewczyna gadała, mnie się serce z litości krajało; a waszeć ją za dzwi wytrąciłaś!



**Groźnicka.**

Serce mu się krajało, kiedy Polusia gadała, a niedawno chciał krajać skórę nahajami starca 70 lat mającego.

**Groźnicki.**

Chciałem krajać, bo zasłużył na krajanie; ale Polusia Bogu tylko duszę winna. Dziewczyna najpoczciwsza! Cóżeś to, moje serce, do niéj upatrzyła?

**Groźnicka.**

Upatrzyłam to, że trochę za często na nią patrzysz.

**Groźnicki.**

Margosiu! Waszeć znowu zaczynasz, a ja cierpię.

**Groźnicka.**

Mniejsza o to, mniejsza; ja zaczęła, ja wyjdę z izby, a ty zawołaj Polusi i kończ z nią kontrakt na służbę do folwarku.

SCENA IV.

**Groźnicki** *sam, potém* **Bartecki.**

**Groźnicki.**

Dziwna ta moja żona! Jéj się zdaje, że ja Polusię kocham. Jakby to nie można dziewczyny pięknéj chwalić, albo się nad nią litować, żeby się w niéj razem nie zakochać? To prawda, że ja lubię patrzyć na piękne twarzyczki; naprzykład, ktoby tu nie lubił patrzyć na Polusię, kiedy się na nią tak patrzyć zachciéwa; ale téż co z oczu, to i z myśli. Ja gotów ją ścisnąć, i pocałować, a nic to do tego nie przeszkadza, że Margosia zawsze serce moje miéć będzie. Jakoż kobieta wierna mi, i dobra gospodyni, i gdyby nie zawiść, a drugie: zbyteczne przywiązanie do pieniędzy, nic-bym jéj nie miał wymówić. (*Bartecki wchodzi*). Cóż tam, Bartecki! Szymon płacze, a twoja Polusia smutna.

**Bartecki.**

Szymon, Polusia i ja z niemi, wszyscy tam razem plakaliśmy; bo Polusia, powróciwszy od waćpana, wytrącona, jak powiada, od pani

Groźnickiéj, zacząwszy z płaczem opowiadać to przed ojcem, nas obudwóch rozpłakała.

**Groźnicki.**

Mnie samemu jéj żal było, ale żeby zaraz płakać dlatego, że ona płacze, tego nie rozumiem.

**Bartecki.**

Ja nigdy także nie płakałem, chociaż już tylu przed sobą widziałem płaczących. W początkach, kiedy mnie waćpan wysłałeś do wsi na egzekucyą, często mnie nędza chłopia wzruszała, ale z czasem wprawiłem się przy waćpanu, i dla całości skarbu pańskiego tłukłem po domach garnki i szklanki, rozbijał naczynia i piece, a w bród sypał dla konia owsa... i chodząc między płaczącemi matkami i dziećmi, całe godzinki bez przerwania zwyczajnie prześpiewałem. Ale to co inszego z Polusią! Przyszedłszy od waćpana, rzuciła się na szyję ojca, i łkając, o wytrąceniu siebie z izby powiadała. Jeszcze ja to wytrzymałem; starzec zaś zrozumiawszy, że nic nie wskórała u waćpana, podniósł ręce do góry, i prosił Boga, żeby, jeżeli przyjdzie tę bolesną i wstydliwą na starość karę odebrać, żeby jéj nie przeżył, żeby umarł... a córkę swoję opiece boskiéj polecał. Ona, wpół ścisnąwszy ojca, łkając, mówiła: „Nie wydrą mi cię, ojcze mój, nie wydrą! razem ja z tobą na więzienie, na karę i na śmierć pójdę". Otóż Szymon, do mnie się obróciwszy, rzecze: „Dla téj dziewczyny żal-by mi było jeszcze umierać; kiedy ją kochasz, ratuj mnie dla niéj!" Pierwszy raz wtenczas Polusia na mnie słodko wejrzała. Porzuciłem ich i biegnę do waćpana (*kłaniając się Groźnickiemu*). Daruj te plagi Szymonowi, żeby Polusia moja nie umarła!

**Groźnicki.**

Cóż tedy waść chcesz? ja podatku Szymonowego z mojéj kieszeni nie zastąpię... a to chłopek hardy, dobrzeby go przy téj okazyi upokorzyć.

**Bartecki.**

Jest sposób na wszystko. Ja Polusię kocham i kochać będę do śmierci. Dla niéj gotów jestem o chlebie i wodzie całe życie pracować. Każ waćpan zawołać Szymona, groź i fukaj najpierwéj, potém wspomnij mu o mnie, swatając mnie z jego Polusią. Jabym ten podatek z mojéj krwawéj pracy zastąpił. Wszystkich pieniędzy nie miałbym, ale za łaską waćpana wziąłbym zgóry na pół roku strawne



i zasługi, a tak może byłoby dosyć na ten podatek. Nie wiem, co Szymon ma do mnie, że ile razy mu o Polusi namieniłem, zawsze przerwał i o czém inszém gadać zaczął. Dziewczynę możebym ubłagał, ale z nim ciężko. Przyszła pora, że mu tym sposobem potrzebny będę, i bojaźń kary może go dla mnie nakłoni. Zmiłuj się, mospanie, ratuj mnie teraz, a to szczęście waćpanu jednemu winien będę.

**Groźnicki.**

Robić będę, jak zmogę. Biegaj mi zaraz po Szymona. (*Bartecki wychodzi*).

SCENA V.

**Groźnicki** (*sam*).

Bartecki, widzę, nie żartem kocha, a Szymon byłby najgłupszym, żeby mu Polusi bronił. Stary, już pracować nie zdoła, a lubi żyć wygodnie, właśnie takiego zięcia potrzeba mu było. Szymon z nim będzie szczęśliwy, jak nigdy nie był. Ale jak się Polusia do męża na folwark sprowadzać będzie, co téż moja żona na to?... O, będąż pioruny! Nie bój się, Margosiu, nie bój. Polusia będzie we środku nas, a ty zawsze będziesz moją Margosią, a Polusia Barteckiego.

SCENA VI.

**Groźnicki, Szymon,** *potém* **Groźnicka.**

**Szymon.**

Już sam szedłem do Wpana.

**Groźnicki.**

A pókiż to, chłopku, będą do ciebie chodzić i napominać o podatek dotychczas nie zapłacony? Już wszyscy skarb dawno zaspokoili, ty jeden właśnie żartujesz z dworskiéj zwierzchności; ale ja nie żartuję, i lubię dotrzymać słowa; wiesz, czém to pachnie? (*pokazując mu harapnik*) Sto spełna, Szymonie.

**Szymon.**

Zboże się przeszłego roku nie urodziło, bydło wyzdychało na wiosnę; ja stary, zarobić nie mogłem, i tak zaciągnął się podatek, który corocznie najpierwszy zwykł byłem wypłacać.

**Groźnicki.**

O tém sie nie mówi, co było; ale o tém, co teraz jest; winieneś zapłacić.

**Szymon.**

Cóż dam Wpanu, nic sam nie mając. Grozisz mi Wpan karą; jeżeli będzie tak wielka, jak obiecujesz, czując się słabym, spodziewam się, że będzie razem i śmiercią moją. Zrobisz mi mospanie łaskę, kiedy dokończę nieszczęśliwego życia, i hańby mojéj nie przeżyję.

**Groźnicki.**

Nie tak to łatwo umrzéć, jak ci się zdaje; poleżysz z miesiąc i potém się wyleczysz, dam ci nawet na mydło. Ale czemu ty córki twojéj za mąż nie wydajesz, kiedy się ludzie trafiają? Zięć ratowałby cię w starości; a jeszcze wybrać takiego, żeby nie był hołyszem, mógłby i podatek teraźniejszy zastąpić.

**Szymon.**

Moja Polusia uboga, i prócz cnoty, za którą zaręczam, żadnego wiana nie weźmie, któżby się o nią majętny starał?

**Groźnicki.**

Otóż powiem ci. Uważałem, że Bartecki biega za twoją Polusią. Człowiek stateczny, ma obrót, był w szkole, umie czytać, pisać i rachunki; i Polusia lepszego męża miéć nie może; zdaj się na mnie, ja zrobię wszystko. Córka twoja będzie szczęśliwą, ty unikniesz kary, i podatek przez Barteckiego będzie zaspokojony.

**Szymon.**

Uważałem i ja, że Bartecki pogląda na córkę moje, że jest starowny, i że ma obrót, ale!...

**Groźnicki.**

Cóż ale?... Bartecki u mnie bez ale; ale jest to człowiek, który nie będzie głodny chleba do śmierci.



**Szymon.**

Nie dosyć na tém, mospanie, nie dosyć. Gorzki to chléb, który przez szalbierstwo, albo łzami ludzkiemi przyjdzie.

**Groźnicki.**

Cóż daléj?

**Szymon.**

Bartecki lubi ludzi oszukiwać, a do tego ma serce najtwardsze. Nad kim on się tu w całéj wsi ulitował, kiedy kogo ukarać plagami przyszło? albo kiedy przed kilku latami wyszedł na egzekucyą, jakże się nie znęcał nad ludźmi nieszczęśliwemi?

**Groźnicki.**

No, i cóż tam więcéj?

**Szymon.**

Prawda, że ma talent czytania i pisania, ale gdyby go na dobre używał! Z takiém złém sercem, jak go ma, lepiejby było, żeby był pisać nie umiał, bo to mu daje sposobność szkodzenia więcéj.

**Groźnicki.**

Cóż tam jeszcze, panie Szymonie?

**Szymon.**

Dosyć i tego, mospanie. Niech mój zięć tak nie ma nic, jak córka moja; ale niech ma dobre skłonności, prędzéj, albo późniéj samo ich szczęście nadybie.

**Groźnicki.**

A teraz czém waszeć podatek zapłacisz?

**Szymon.**

Nie chcę go płacić nieszczęściem do śmierci córki mojéj, gdybym

ją wydał za Barteckiego; i jeżeli nie będziesz wpan miał litości nad starcem, i nie poczekasz wypłacenia się mego w głębszéj jesieni, żebym razem za dwa lata skarb zaspokoił... to już i karę poniosę. Wolę ten podatek zapłacić życiem własném, niżeli życiem dziecięcia mego.

**Groźnicki.**

Cóż to, chamie?... to ty mnie katem robisz?

**Szymon.**

Ja Szymon, nie cham.

**Groźnicki.**

Rózeg, kijów, nahajów, postronków! o nie, poradzę waści lepiéj. Gnić mi będziesz, obmierzły dziadu, w turmie o głodzie, póki podatek do szeląga wypłacony nie będzie. (*Porywa Szymona za piersi, i wytrąca z izby, wołając na ludzi*). He! he! wójty, stróże, parobcy, weźcie go do więzienia, do turmy, do kozy, zamknąć go na klucz; a! na klucz ptaszka (*powraca ode drzwi wytrąciwszy*). Cóż to za chłopek! ubogi a hardy, gdyby tu anioł w ludzkiém ciele, toby nie wytrzymał. Jam kazał podatki przynieść, a on mi z kazaniem przyszedł o dobréj śmierci. Kogo on się u nieszczęścia spodziewa do swojéj córki, kiedy już i Barteckiego nie chce! Ale może jeszcze dziad przyjdzie do rozumu, turma i bycza skóra pędzi rozum do głowy.

**Groźnicka** (*wpada*).

Moje serce, moje serce; ułan przybiegł, pan będzie za kwadrans.

**Groźnicki.**

Poprzątajcie, poprzątajcie, niech w izbach pozamiatają. Pajęczyny! pajęczyny! A waszeć, Margosiu, weź nowe patynki, mantolecik parterowy, kanaki na szyję, i kołpaczek na głowę.

---



# AKT II.

## SCENA I.

**Miłoski, Statecki, Groźnicki.**

**Miłoski.**

Cóż tam, panie Groźnicki? Dobrze tu gospodarować? Macież pieniądze? bo trzeba, abyś waść wiedział, że pieniądze są celem każdego gospodarstwa.

**Groźnicki.**

Gospodarstwo nam idzie dobrze, i cel gospodarstwa, pieniądze, mamy zebrane.

**Miłoski.**

Czy odebrałeś waść książkę Katona i Kolumelli przetłómaczoną z łacińskiego, którą ci niedawno przesłałem.

**Groźnicki.**

*Sic est*, Monsenior.

**Miłoski.**

Czytałeś to pismo całe? bo stamtąd wiele światła nabrać można, i do naszego gospodarstwa przystósować.

**Groźnicki.**

Przyznam się panu, że tylko zajrzałem w tę książkę, bo jak mi się zdaje, ja umiem dobrze gospodarstwo, jakiego potrzeba do wsi pańskich... Poznać naturę pola, gdzie co posiać można; zgnoić grunt należycie, przeorać ziemię do sypkości, wyczyścić z chwastów jak najlepiéj, zasiać nasieniem zdrowém, a w swoim czasie; zbierać także w czasie a sucho, wymłócić należycie, i sprzedać w porze i w miejscu najlepszém do sprzedania. Oto już całe rolne gospodarstwo. Zajrzałem w tę książkę przysłaną, aż tam napadam, żeby do sprawienia gruntu brać gnój z gołębnika. A gdzieżbym ja znalazł tyle gnoju gołębiego, żebym nim ćwierć mili gruntu uprawił? To

rzymskie gospodarstwo było podobno na małe ogródki, nie zaś na włóki nasze. Ja nawet gołębie wszystkie wystrzelać kazałem, bo po zasianiu zjadały mi ziarno w polu.

**Statecki.**

Zgadzam się z panem Groźnickim, że gospodarstwa rolnego lepiéj się uczyć ze swojéj roli, niżeli z cudzéj książki. Każda rola ma swoję udzielną własność. Wieśniak miejscowy, który ją od młodości uprawia, doświadczeniem swojém zna ją lepiéj, niżeli najbieglejszy rolnik cudzoziemski z daleka o niéj pisać może. Ale téż od cudzoziemców niektóre sposoby gospodarowania przyjmować można, zwłaszcza te, które oszczędzają rąk pracujących, albo zmniejszają liczbę bydła do roboty potrzebnego, przez powymyślane narzędzia różne. Ale w szczególności koło roli tutejszéj, naprzykład pilność i doświadczenie dozorcy, a szczera i należyta koło niéj robota poddaństwa, dostatecznemi są do gospodarstwa rolniczego.

**Groźnicki.**

Ja mojéj powinności, Bogu dzięki, nigdy nie zaspałem; żeby zaś chłopi według układu mego wszystko robili, od tego mam harapnik.

**Statecki.**

Daruj mi, panie Groźnicki, harapnik zły jest bardzo gospodarz; póki go poddany widzi, robi z bojaźni; ale ile razy (co bywa częściéj) harapnika nad sobą nie ma, to umyślnie źle robić gotów, bo pana swojego nienawidzi. Słodyczą wszystko lepiéj się uda. Nie mówię ja, żeby czasem nie skarać; ale kara niech będzie rzadziéj, to zapewne poprawa nastąpi częściéj. Nie trzeba poddanemu pozwalać, żeby miał poufałość zbytnią do swojéj zwierzchności, bo go to zapewne zepsuje; ale starać się pogodzić, żeby zwierzchność razem kochał i szanował. Słowem, panie Groźnicki, niech pan nie będzie bratem, ale ojcem poddanego swojego.

**Groźnicki.**

Już my to, mości dobrodzieju, umiemy wszystko to pogodzić. U mnie chłop w pośrodku plag swych woła: „Tatusiu, dobrodzieju!" Czasem głasnąć, a czasem téż i plasnąć; bo chłop tutejszy przyzwyczajony do nahaja... i bez tego nic-byśmy pewnie nie zrobili.



**Statecki.**

Tém ci gorzéj dla nas, żeśmy przyzwyczaili ludzi być nieszczęśliwemi.

**Miłoski.**

Niech tam, panie Groźnicki, pomyślą o jedzeniu, byle prędko, choćby mało. (*Groźnicki wychodzi*).

SCENA II.

**Miłoski, Statecki.**

**Miłoski.**

Cóż się Wpanu zdaje mój Groźnicki?

**Statecki.**

Z tego, co mówił o gospodarstwie, wnosić można, że się zna na niém; ale nie wiem, czy tak robi, jak mówi. Nie dosyć na tém słyszéć; ale trzeba i widziéć jego gospodarstwo.

**Miłoski.**

Już mi to i ze strony powiadano, że zna gospodarstwo, i pilnuje go; ale ma być na ludzi surowy, czegobym ja nigdy w dobrach moich miéć nie chciał.

**Statecki.**

Można to poznać z jego gadania. Ta wada prawie była powszechna naszych ekonomów; ale panowie, po większéj części w kraju poprawieni, poprawiają po wsiach i dozorców swoich.

**Miłoski.**

Tutejsze wioski mam opatrzone najlepiéj, i gospodarstwo tu idzie szykowniéj: bo często spytam się i wglądam we wszystko. Zgadnij Wpan, wiele téż z tych dóbr mam kur dannych, które poddani co rok oddawać mi powinni?

**Statecki.**

Nie wiedząc liczby poddanych, ani ich powinności, jakże mam zgadnąć wiele kur na rok przychodzi?

**Miłoski.**

Oto wszystkich stąd kur cztery tysiące dwieście kilkadziesiąt oddają. Na tę kwotę trzeba to dóbr pięknych.

**Statecki.**

Za pozwoleniem Wpana, wiele też Wpan masz w tych dobrach poddanych wszystkich?

**Miłoski.**

Tego coś nie uważałem w inwentarzu.

**Statecki.**

A to też jest, co najpierwéj uważać potrzeba było. Rzeczami mniejszemi niech się zatrudniają mniejsi, a pan dóbr znacznych ma o czém ważniejszém myśléć. Nad liczbą poddanych i ich majątkiem zastanowić się pierwéj powinien dziedzic gospodarz. Tylkoć to poddany majętniejszy zbogaca pana, a z ubogiego, ponieważ go ustawicznie zapomagać potrzeba, porównawszy jego roczną pracę z tém, co się łoży na jego zapomożenie, nic pewnie zysku nie będzie, a czasem i strata na stronę pana przypadnie. Interesem tedy każdego pana jest, ażeby poddany jego majętnym był. Trzeba, żeby poddany więcéj przedawał, niżeli kupował; będzie zaś tak, jeżeli go opatrzymy gruntem dobrym, i sposobności rąk jego wyrównywającym; jeżeli mu podamy sposobność sprzedaży pewnéj; jeżeli mu ocalimy majątek jego, jeżeli go, czasem leniwego, przymusimy nawet, ażeby był o siebie dbałym; jeżeli nakoniec sprawiedliwość względem niego zupełną zachowamy.

**Miłoski.**

Będę Wpana prosił, żebyś to także memu komisarzowi wszystko opowiedział. Bo co do mnie, już jestem zupełnie o tém przekonany.



**Statecki.**

Co należy do gospodarstwa we wsi ze strony dziedzica, to to: powinien mieć wszystkie grunta swojéj majętności pomierzone; powinien wiedzieć, jaką ich część poddani wyrabiają, a jaka na dwór została się; powinien obrachować dni ręczne roboty poddaństwa i obrać proporcyą mniéj-więcéj, wiele tychże dni na wyrobienie gruntów dworskich wychodzi. Resztę obracać ma na trzebienie łąk, osuszanie miejsc błotnistych, i tym podobnych robót, z czasem wielkie pożytki przynoszących. Dozór nadto nad komisarzem i ekonomem, a handel, do jakiego tylko sposobność podać się może. Oto prawie wszystko, czém się panowie szczególnie zatrudniać powinni. Insze rzeczy drobniejsze mogą zostawić na swoich subalternów; wszelako czasem i w mniejsze wglądając, żeby gospodarstwa potrzebnego w niczém nie zaniedbywano.

**Miłoski.**

O mój zacny Statecki! nie porzucajmyż się do śmierci (*ściska go*), w każdéj przygodzie twoja mi rada potrzebna będzie: bo i mówisz jak przyjaciel, i radzisz jak człowiek znający się na tém, co radzi.

## SCENA III.

*Ciż sami* **Groźnicki i Groźnicka** (*z masłem*).

**Groźnicki.**

Jest to żona moja, którą wraz z sobą i dziatkami łaskom pańskim polecam.

**Miłoski.**

Dawnoż się Wpan ożeniłeś?

**Groźnicki.**

Już lat pięć; a wziąłem wdowę.

**Groźnicka.**

We czternastym roku poszłam za pierwszego męża, żyłam z nim dwa roki, a rok tylko wdową byłam.

**Groźnicki.**

Żona moja do usług pańskich *de domo* Małgorzata Rzepska, a *primo voto* była za Pogromskim.

**Miłoski.**

Mniejsza o to. Ale czy Wpani znasz się na gospodarstwie domowém? jako to: na wyrabianiu płócien, na obchodzeniu się z nabiałem?

**Groźnicka.**

To masło mojéj roboty dosyć jest ugodzone. A ta koszula jest z płótna mojéj przędzy. Ale ja mam i szwabskie koszule.

**Miłoski.**

Mniejsza o to.

**Statecki.**

Wieleż na tym folwarku krów trzymają?

**Groźnicki.**

Krów jest dojnych dziesięć, a pięć jałowych.

**Statecki.**

Macież tu pastwiska jakie?

**Groźnicki.**

Na tym folwarku możnaby trzymać krów drugie tyle, ale Jpan komisarz (*Groźnicka ciągnie go z tyłu za suknię, że się aż obejrzał*), ale Jpan komisarz tylko mi przysłał piętnaście.

**Miłoski.**

Cóż to tam za ludzie stoją przed oknami?



**Groźnicki.**

Arendarz tutejszy przyniósł tusz mięsa wołowego, i chciałby widzieć i przywitać pana.

**Miłoski.**

Ja datku jego nie chcę. Ale pójdźmy obaczyć arendarza.

SCENA IV.

**Groźnicki, Groźnicka.**

**Groźnicki.**

Na co téż waszeci, Margosiu, wyrywać się przed panem, że masz szwabskie koszule? On się pytał, czy tu wyrabiają płótna, a waść ze swoją szwabszczyzną wyjechała. Otóż ci zaraz dobrze odpowiedział: „Mniejsza o to".

**Groźnicka.**

A waść na co powiedziałeś, że ja z domu Rzepska? bo i tobie toż samo pan odpowiedział: „Mniejsza o to".

**Groźnicki.**

Jam powiedział, bo o waszeci dyskurs zaczęto. Ale waść wyleciałaś ze swojemi szwabskiemi koszulami na targ, chociaż nikt o nie nie pytał. Tak właśnie, gdybym ja był co zaczął przed panem o mojéj blachmalowéj ładownicy? Mam ładownicę, bo dostałem jéj sobie za moje pieniądze; ale co téż pana ma obchodzić moja ładownica, albo waszecina koszula?

**Groźnicka.**

Moje serce! a któż teraz kłótnię zaczyna?

**Groźnicki.**

To nauka mościa pani, nie kłótnia. Bo nie chciałbym się wstydzić za Wpanią. A potém na co mnie waszeć z tyłu pociągałaś, kiedym z panem o krowach mówił?

**Groźnicka.**

Bo mi się chciało pociągnąć z tyłu, że czasem gadasz, co trzeba i nie trzeba.

**Groźnicki.**

To widzę na długie się zabiera. Oto lepiéj obacz waszeć, co się tam w kuchni dzieje, żeby kucharzom na niczém nie zbywało, bo o ich dobre słowo przed panem dbać potrzeba. A grzecznie z ludźmi, moja panno, a grzecznie (*Groźnicka wychodzi*).

## SCENA V.

**Statecki, Groźnicki, *potém* Polusia.**

**Statecki.**

Pan Miłoski dobrze o Wpanu ze mną dopiéro gadał, i ja sam.. rozmawiając z Wpanem, cokolwiek poznać mogłem, że znasz się na gospodarstwie; ale w jednéj rzeczy przestrzegę Wpana, żebyś się trochę ujmował. Doniesiono to panu Wpana, i już gadał o tém ze mną, że masz być surowy na poddaństwo. Zapewne pan Miłoski tego nie chce, i toby Wpanu u niego bardzo szkodziło, jeżelibyś się w tém poprawić nie miał.

**Groźnicki.**

Jeżelim kiedy skarał, to zawsze przy świętéj sprawiedliwości. Darmo téż mam siedzieć jak malowany na folwarku. Nie trzymając chama w rygorze, nicby zapewne z całego gospodarstwa nie było.

**Statecki.**

Za cóż to Wpan nazywasz poddanego chamem?

**Groźnicki.**

Bo jest chłop, cham, nie szlachcic.



**Statecki.**

Te same nazwiska, pogardy pełne dla wieśniaka, są dowodem sposobu myślenia Wpana. Przypatrz się Wpan poddanemu: on taki człowiek jak każdy z nas, i bądź dla niego człowiekiem, nie zwierzem.

**Groźnicki.**

Wpan dobrodziej tylko widzisz chłopa, albo słyszysz o nim, a ja z niemi, będąc na funkcyach ekonomicznych od kilkunastu lat, mam do czynienia; — to u nich natura ze wszystkiém insza! Chłop kiedy płacze, wtenczas najlepiéj: ale kiedy się śmieje, to kąsa. Wszelako, jeżeli się panu mojemu rygor nie podoba, ja na panów sumnienie będę dla poddanych powolniejszy; ale tego się doczekam, że panowie kiedyś mi sami powiecie: Groźnicki! bądź ty znowu Groźnickim.

**Polusia** (*nikczemnie ubrana przynosi swoję odzież*).

O cóż ja mam dbać na świecie, kiedy mój ojciec za ten nieszczęśliwy podatek siedzi w więzieniu? Otóż, Mpanie Groźnicki, przyniosłam odzież moję. Niech wójci otaksują wszystko, a... co będzie niedostawało, to odrobię w ogrodach dworskich, choćby mi przyszło przez całą wiosnę kopać (*rachuje rzeczy na stole*). Oto są wstążki, to dwie sukmany na codzień i od święta, to dwie spodniczki, i koszule i fartuszki, a to korale, i już wszystko.

**Groźnicki.**

Na cóż tam tego rachowania.

**Polusia.**

Zostawiłam tylko sobie koszule grube. A z mego ojca nie masz co zabrać, całe odzienie jego na nim prócz kilku koszul, których tu nie przyniosłam. Ale miéj Wpan litość zostawić mu je, żebym miała przynajmniéj raz w tydzień odmienić staremu białą koszulę. (*Pada na kolana i z płaczem mówi.*) Mospanie Groźnicki! wypuść Wpan ojca; wspomnij sobie, że miałeś także ojca.

**Groźnicki.**

Ale wstańże, Polusiu! ale wstańże, bo ja tego nie lubię.

**Polusia** *(obracając się na kolanach do Stateckiego).*

Mości dobrodzieju! Wpan mnie nie znasz, ale widzisz mnie nieszczęśliwą. Może i panowie macie tak serca skłonne do litości, jak i my; proś za mną pana Groźnickiego, żeby mi powrócił ojca.

**Statecki,**

Mospanie Groźnicki, miéj téż Wpan litość nad biednemi. Jest tu ich dziedzic teraz, to powiemy panu Miłoskiemu, i tego podatku można poczekać, moglibyście go nawet i darować ubogiemu wieśniakowi.

**Groźnicki.**

Wstań, Polusiu! Mości dobrodzieju, to dziewczyna dobra i na całą wieś najprzykładniejsza; ale téż jéj tatuś na całą wieś chłopek najzuchwalszy. Odnieś, Polusiu, te łachmany swoje do domu, odnieś. *Statecki wychodzi.)*

## SCENA VI.

**Groźnicki, Polusia.**

**Polusia.**

Z początku żal mi było téj odzieży mojéj; ale już o nią nie dbam, wszakże to za nią ojciec mój się powróci.

**Groźnicki.**

Szymon sam sobie winien, ma sposób wypłacenia tego podatku a użyć go nie chce.

**Polusia.**

Jakiż sposób? ja nic już w domu nie zostawiłam; można posłać wszystkie kąty opatrzyć, a znalazłszy co, karać mię najsurowiéj.



**Groźnicki.**

Nie o to chodzi, Polusiu. Bartecki mowił mi o tobie. Ja gadałem z Szymonem, on twardy. A Bartecki oświadczył się, że ten podatek ze swojéj kieszeni opłaci. Z kogóż ty miéć możesz lepszego męża? Cóż na to, Polusiu?

**Polusia.**

Kiedy mój ojciec widzi, że Bartecki nie dla mnie mąż; potrzeba ojcu wierzyć.

**Groźnicki.**

Ale ty podobno kochasz Barteckiego? Przyznajże mi się szczerze, a ja wszystkiemu poradzę, i jeszcze się do szczęścia waszego przyczynię.

**Polusia.**

Wypuść mi Wpan ojca, a to będzie moje największe szczęście.

**Groźnicki.**

Ale cóż mi na Barteckiego odpowiadasz?

**Polusia.**

Mówiłeś Wpan, że już mój ojciec odpowiedział; na cóż o jednéj rzeczy dwa razy gadać.

**Groźnicki.**

Twój ojciec nie zna swojego szczęścia, ale ty miéj rozum.

**Polusia.**

Mój ojciec dawno żyje na świecie, i zapewne lepiéj zna ludzi niżeli ja.

SCENA VII.

*Ciż sami* **Miłoski** i **Statecki.**

**Miłoski.**

Cóż to jest za dziewczyna?

**Groźnicki.**

Jest to chłopa tutejszego córka.

**Statecki.**

Ta to jest sama, o któréj ojcu mówiłem Wpanu.

**Miłoski.**

Dziewczyno! jakże ty się zowiesz?

**Polusia.**

Apolonia.

**Miłoski.**

A twój ojciec?

**Polusia.**

Szymon.

**Miłoski.**

Czegóż to wzdychasz, Polusiu?

**Polusia.**

Wspomniałam na mego ojca.

**Statecki.**

A czemuż twój ojciec dotychczas podatku nie wypłacił?



**Polusia.**

Płacił co rok najpierwszy, póki było czém płacić, teraz Bóg zabrał i zboże i bydło. Przyniosłam panu Groźnickiemu sukmany moje, żeby otaksował i zabrał je za podatek. Wszystko, co tylko w domu było, to jest na stole.

**Groźnicki.**

Polusiu! to jest wasz dziedzic, kiedy będzie wola pańska, to może wam kazać zaczekać tego podatku.

**Polusia.**

Gdyby pan widział ojca mojego, jak stary i słaby, pewnieby się zlitował nad nim.

**Miłoski.**

Czemuż to, Polusiu, tak w ziemię patrzysz ustawicznie?

**Polusia.**

Nic mi na świecie nie miło, póki mój ojciec w więzieniu siedzi.

**Miłoski.**

Patrzże na mnie, a ja ci go każę wypuścić.

**Polusia** (*z płaczem mówi*).

Niech jeszcze obaczę ojca, bom myślała, że już tam w więzieniu umrze.

**Miłoski.**

Panie Groźnicki, wypuścić Szymona, i niech tu zaraz przyjdzie. (*wychodzi Groźnicki*). Bądźże już weselsza, Polusiu; tobie bardziéj do

twarzy śmiać się, niżeli płakać. Tak piękna i dobra dziewczyna powinnaby być szczęśliwą.

**Polusia** (*obracając się do Stateckiego*).

To Wpan mospanie tak dobry jesteś, żeś u pana wyprosił mi ojca. Będziemy tę łaskę pamiętać oboje z ojcem obudwom panom.

**Statecki.**

Dosyć byłoby ratować cię, żeś nieszczęśliwa, a ty jeszcze i poczciwa.

**Miłoski.**

A ty jeszcze i piękna.

**Polusia** (*zacierając ręce*).

Wyjdę naprzeciwko ojca, bo tak prędzéj go obaczę.

**Miłoski** (*biorąc ją za rękę*).

Poczekaj tu, Polusiu, wszakże on zaraz przyjdzie.

**Polusia.**

Ja kocham ojca, dobrze mi jedną minutą prędzéj go widzieć.

**Miłoski.**

To ty wiész, co to jest kochać?

**Polusia.**

Któżby nie kochał ojca, a jeszcze takiego!

**Miłoski.**

Trzeba kochać ojca, ale i kogoś jeszcze.

**Polusia.**

Mój ojciec powiadał mi, że tego, którego ja kochać mam, on sam pierwéj kochać powinien, a potém mi go kochać pozwoli.



**Statecki.**

Trzymaj się rady ojca, a nie zbłądzisz.

SCENA VII.

*Ciż sami*, **Groźnicki i Szymon.**

**Groźnicki.**

Otóż jest i Szymon, na rozkaz pański wypuszczony.

**Polusia** (*biegnie do ojca i ściska go*).

My znowu razem! a to ci obadwa panowie mieli litość nad nami.

**Miłoski.**

Kazałem cię wypuścić, moje dziecię, ale staraj się o wypłacenie tego podatku. Poczekają ci go nawet do jakiegoś czasu.

**Szymon.**

Dziękuję panom, dziękuję, i będę wdzięczny póki żyw, że unikam obelgi, a może i śmierci.

**Statecki.**

Bądź już spokojniejszy, Szymonie, masz sprawę z panem miłosiernym. Skończy się to jakoś.

**Szymon.**

Oby to zawsze z samemi panami, ale...

**Groźnicki.**

Jużem kazał twojéj córce, aby tę odzież swoję odniosła do domu, którą na wypłacenie za podatek niepotrzebnie przyniosła była.

**Szymon** (*ściskając Polusię*).

O moja kochana córko! ty chciałaś się zostać o jednéj koszuli, żeby mnie tylko z więzienia wydobyć. Tak, moje dziecię, tak! suknie

się zedrą, a twoja cnota zostanie. Gdyby nie to dziecko, panowie, nie dbałbym o to życie nieszczęśliwe.

**Miłoski.**

Dbaj, Szymonie, o siebie i o tę poczciwą Polusię; ty przy niéj możesz być jeszcze szczęśliwy.

**Polusia.**

Ja to, panowie, przy moim ojcu szczęśliwa! Czasem jeden kawałek chleba na całą wieczerzę mamy, ale kiedy mój ojciec sam mi go poda, i sam go trochę posoli, jakże smaczny!

**Stateckl** (*na boku*).

O jakże ich prawdziwe szczęście mało kosztuje!

**Szymon.**

Nauczyłem jéj, że ubóstwo przy cnocie nie jest nieszczęściem. Ale pójdźmy, Polusiu, do domu i zabierz te twoje łachmany, kiedy panowie pozwalają. Będę się starał zaspokoić skarb pański najprędzéj, jak zmogę, byle mnie nie karano o to, czego nie mogę. (*Wychodzi kłaniając się*).

**Miłoski.**

Cóż to za osobliwa dziewczyna! jakiż ma czysty rozum i serce czułe!

**Statecki.**

Ale i ojciec jéj człek widzę jakiś cnotliwy.

**Groźnicki.**

Gdyby nie był tak zuchwały, jak jest. To prawda, żo dobrze z sąsiadami żyje, i w zwadkach we wsi on najprędzéj zakłóconych pogodzi. Od dawna na czynszu siedzi, i kiedyś, jak mówią, miał się nieźle; ale teraz się opuścił, i tylko burczy, a nic nie robi.



**Statecki.**

Jakże ma pracować w tym wieku?

(*Kuchmistrz wchodzi*).

*On a servi*, Monseigneur. (*Wychodzą wszyscy*).

---

# AKT III.

## SCENA I.

**Miłoski. Groźnicka.**

**Miłoski.**

Moja pani Groźnicka, wszystko rób, co tylko można, żeby jako tę dziewczynę namówić, żeby ze mną jechała do Warszawy.

**Groźnicka.**

Z Polusią może byłoby łatwiéj, ale z Szymonem zapewne ciężko nam przyjdzie.

**Miłoski.**

Byleby Polusia sama chciała, ja z nią stąd jutro wyjadę, a potém dopiéro Szymonowi powiedzielibyście, i asygnacyą moję pokazali na zapłacenie za niego podatku, i na ordynaryą do jego śmierci.

**Groźnicka.**

Pan nie zna jeszcze Szymona. On tak wierzy w cnotę, że nic go nie pocieszy po stracie córki; i ja przyznam się panu, w takim się domu wychowałam, gdzie tak o cnocie myślano, jak on.

**Miłoski.**

To mu powiecie, żem ja tylko wziął Polusię dlatego, żem widział dziewczynę przystojną, a sposobną do przyjęcia edukacyi w Warszawie.

Oświecić go w tém, że ja chcę szczęścia jego dziecięcia. Nauczy się języków, tańcu, grać na klawikorcie; a przy tym rozumie naturalnym, który ma, znajdzie się pewnie słuszny jaki człowiek, który ją i Szymona uszczęśliwi... i Wpani sama wierz mi, że to się tak skończy.

**Groźnicka.**

Jeżeli tak się ma skończyć, toby lepiéj może powiedzieć Szymonowi, niechby to z jego było wiadomością: bo się boję, żeby starzec z żalu nie umarł, kiedy to zrobimy pokryjomu.

**Miłoski.**

Wszelako ponieważ on jest skrupulat, lepiéj mu o tém powiedzieć po naszym wyjeździe. Bo cóż ja się nakoniec z moim chłopem mam kłócić? Wszakże on za mną gnać nie będzie, kiedy wyjadę z Polusią.

**Groźnicka.**

Kiedy pan chce jéj uszczęśliwienia, czyżby nie lepiéj było, żeby ją tu wydać za Barteckiego?

**Miłoski.**

Za jakiego Barteckiego?

**Groźnicka.**

Jest to pisarz mego męża, człowiek trzeźwy, statkujący i starowny. On Polusię kocha, i już mówił memu mężowi o tém. Stary i dziewczyna nie bardzo pociągają, ale jak się pan włoży, to do razu skończyć się może.

**Miłoski.**

Ale ja nie chcę, żeby Polusia była panią Bartecką, lepiéj o niéj myślę, i ten głupi ojciec jéj nie będzie się spodziewać, jakiego męża dla córki jego wynaléźć mogę. Dlatego nawet lepiéj byłoby, żebym z nią stąd wyjechał, aby tu Szymon za kogo ją marnie nie wydał. Moja Groźnicka, zróbże dla Polusi tę przysługę, obaczysz, jak ja za nią będę ci wdzięczny. A tymczasem przyjmij odemnie tę bagatelę. (*Daje pieniądze Groźnickiéj*).



**Groźnicka.**

Dziękuję panu, upadam do stóp, całuję nogi.

**Miłoski.**

Będzie więcéj, bylebyś Wpani robiła skutecznie.
(*Miłoski wychodzi*).

## SCENA II.

**Groźnicka** *sama* (*rachując czerwone złote.*)

Dziesięć czerwonych złotych czyni złotych... czyni złotych!.. czyni złotych sto ośmdziesiąt! Mój mąż za cały rok tyle nie wysłuży, co ja za kwadrans. Dobryż to pan widzę, dobry! Co mnie to kosztuje, że Polusia z panem pojedzie? a jeszcze w dobry sposób, jak pan obiecuje; a jeszcze kiedy pan chce jéj szczęścia, jak powiada; za cóż ja nie mam służyć? Trzeba sobie najpierw ująć Polusię. Ona mi to daruje, żem ją z izby niedawno wytrąciła; i ta dziewczyna będzie mi zapewne wdzięczną, kiedy ją zrobię szczęśliwą. Pan obiecuje łaski, Polusia będzie mnie panu przypominać, aż tu za kilka lat wielmożna Imość pani Groźnicka w robronach, w polonezach, siedzi w pierwszéj ławce w kościele, a lokaj za nią, a książka w srebro oprawna przed nią, a ksiądz na mszy z patyną idzie do niéj przez cały kościół.

## SCENA III.

**Groźnicka, Bartecki.**

**Groźnicka.**

Właśnie téż trzeba mi było kogoś.

**Bartecki.**

Właśnie téż i ja, potrzebny łaski Wpani, przyszedłem.

**Groźnicka.**

Żebyś mi tu, panie Bartecki, jak najprędzéj Polusi zawołał.

**Bartecki.**

O Polusię to i mnie chodzi. Ale ona jest tu teraz na folwarku; przyszła pożyczyć chleba u gospodyni, i przyjdzie do Wpani w momencie. Zmiłuj się, mościa pani Groźnicka, ratuj mnie nieszczęśliwego, mów za mną z Polusią. Ona możeby poszła za mnie, ale ślepo za wolą ojca idzie. Jeszcze mi powiadano, że naszemu panu bardzo się Polusia podobała; czy nie możnaby skończyć prędzéj, niżeli mu się bardziéj jeszcze spodoba.

**Groźnicka.**

Będzie to jakoś. Ale biegaj mi po nią; niechaj mi tu zaraz przychodzi. (*Bartecki wychodzi*). Biedny on! coś się tylko domyśla; ale nie wie, co jego Polusię czeka!.. przecież trzeba usłużyć panu, w którego ręku sukcesa moje... Dziewczyna może się będzie sprzeciwiać, ale cacką, papką, ukołyszemy ją, choćby mi przyszło dać jéj połowę tych pieniędzy, które wzięłam od pana; bo mi się to potém dobrze nagrodzi!.. Ale spodziewam się, że i sam pan nie będzie dla niéj skąpy, kiedy dla mnie tak hojnym był.

## SCENA IV.

**Groźnicka, Polusia.**

**Groźnicka.**

Jak się masz, Polusiu? zapewne kontenta jesteś, że ci ojca wypuszczono? Ja sama mówiłam panu jak Szymon człek jest poczciwy a nieszczęśliwy, że podupadł. Potém pan obaczył go, i kazał wypuścić z więzienia.

**Polusia.**

Dziękuję WPani, żeś mówiła dobrze o ojcu moim. I choć to mnie Wpani niedawno z izby wytrąciła, ja tego nie pamiętam; bo wiem, żeś tyle razy ojca mego u pana Groźnickiego wypraszała.

**Groźnicka.**

Otóż widzisz, otóż widzisz... i ojca twojego lubię, i jeszcze o tobie myślę. O bylebyś ty chciała, Polusiu, bardzo będziesz szczęśliwą!



**Polusia.**

Ja za Barteckiego nie pójdę, bo ojciec mój wiele ma do niego.

**Groźnicka.**

Już to nie o Barteckiego chodzi. Ty niebogo siedzisz we wsi, i nie znasz świata, tylko tyle, coś go w oknie widziała. Gdybyś ty była w Warszawie, wyglądałabyś inaczéj.

**Polusia.**

Jakże ja mam się dostać do Warszawy? mój ojciec piechotą nie dojdzie a konia żadnego nie mamy.

**Groźnicka.**

Mogłabyś pojechać cudzemi końmi, gdybyś chciała.

**Polusia.**

Ja nie chcę jechać do Warszawy końmi Barteckiego.

**Groźnicka.**

Jużem ci powiedziała, moja Polusiu, że Bartecki nic wcale do tego nie należy. Otóż ci wyjawię wszystko. Nasz pan gadał ze mną niedawno bardzo dobrze o tobie. Chwalił cię, chwalił a potém dodał: że gdyby tę dziewczynę nauczyć języków, grać na klawikorcie, i tańcować, zrobiłaby szczęście dla siebie i dla ojca swego w Warszawie. Jam panu zaraz padła do nóg, i za tobą prosiła, żeby cię poratował sierotę — a on mi odpowiedział: że to być może. Polusiu! Polusiu! jakżebyś ty była szczęśliwą.

**Polusia.**

A ojciec mój czyżby pojechał z nami do Warszawy?

**Groźnicka.**

Na cóż Szymona do Warszawy? Jemu się już nie trzeba edukować.

**Polusia.**

Ja téż bez ojca nigdybym nie pojechała, choćby mnie tam największe szczęście czekało. Któżby mu tu białe koszule dawał, i dbał o wygodę jego, jak ja dbam o to.

**Groźnicka.**

Pan, kiedy ci tę łaskę zrobi, to zapewne i o ojcu pamiętać będzie. Wyznaczy mu ordynaryą, i bez pracy będzie jadł chléb Szymon na starość.

**Polusia.**

Cudze ręce, mościa pani, nie tak szczere jak moje.

**Groźnicka.**

Ja wszystko na siebie biorę, że twój ojciec, choćby cię nie było, będzie miał wygody lepsze, jak może nigdy w swojém życiu nie miewał. Chybabyś rozumu, moje dziecię, nie miała, żebyś łaską pańską gardziła.

SCENA V.

**Miłoski, Groźnicka, Polusia.**

**Miłoski.**

Cóż tu robisz, Polusiu?

**Polusia.**

Przyszłam na folwark pożyczyć chleba, i pani Groźnicka do siebie mnie zawołała.

**Miłoski.**

Alboż to w domu nie macie chleba?

**Polusia.**

Jutro dopiéro będę go piekła, bo mój ojciec teraz inszéj gospodyni nie ma.

**Miłoski.**

O ty piękna gospodyni! (*bierze ją za ramiona dwoma rękami,*) jakżeby ci przystojniéj daleko siedzieć przy gotowalni, niźli chléb piekąc przy piecu! Gadałaż co z tobą pani Groźnicka, jak ja o tobie myślę?



**Polusia** (*ręce zacierając i w ziemię patrząc.*)

Nie mogę ojca odstąpić do śmierci. On (jak powiada) w starości swojéj i ubóstwie mnie jednę ma pociechę koło siebie. Jakże go porzucić mam? możeby umarł z tęsknoty.

**Miłoski.**

Ty będziesz szczęśliwą, i razem ojca uszczęśliwisz, jeżeli za naszą rądą pójdziesz.

**Polusia.**

Ja nie mogę być szczęśliwszą, jak już jestem przy moim ojcu.

**Miłoski** (*dobywa pieniędzy i daje Polusi.*)

Weź to, Polusiu, to tylko dla ciebie. Ojcu tego nie pokazuj. Osobno znowu Szymonowi i podatek daruję, i jeszcze mu co pieniędzy dla wygody jego zostawię. Odbierzże, moja Polusiu, to, co ci daję.

**Polusia.**

Za cóż mam brać pieniądze, kiedym ich nie wysłużyła?

**Groźnicka.**

Pan ci z łaski daje; a powinnażeś gardzić łaską pańską? Weź, moja Polusiu, weź; to ci się przyda, a panu się nie narażaj. (*Polusia odbiéra, Miłoski ją ściska*).

**Miłoski.**

Dobrze dziecię! cóż? pojedziesz do Warszawy?

**Polusia.**

Chybaby sam ojciec mi kazał, tobym go usłuchać musiała.

**Groźnicka.**

Pan więcéj niż ojciec. Słuchaj ty Pana, Polusiu. (*Bartecki wchodzi. Groźnicka biorąc za rękę Polusię, i wychodząc.*) Chodźże do mnie, Polusiu, dam ci co do przędzenia.

## SCENA VI.

**Miłoski, Bartecki.**

**Miłoski.**

Któż ty jesteś, mój bracie?

**Bartecki.**

Jestem Bartecki, pisarz pana Groźnickiego.

**Miłoski.**

Czego się ty tu włóczysz?

**Bartecki.**

Za interesami, panie dobrodzieju!

**Miłoski.**

Wszakże tu nie masz pana Groźnickiego?

**Bartecki.**

Ja miałem pilny interes do saméj pani Groźnickiéj.

**Miłoski.**

Pilnuj twoich papierów, a w insze się interesa nie wdawaj. (*Wychodzi*).

**Bartecki.**

Otóż masz, Bartecki, twoje gody; jam się tego spodziewał. Pani Groźnicka, miasto tego, żeby mi pomódz u Polusi, ona jeszcze miała powiedziéć przed panem, że ja się staram o tę dziewczynę, znać to dla tego pan na mnie się ofuknął. Już to nie bez przyczyny! Pan, pani Groźnicka, i Polusia razem!.. Już to nie bez przyczyny!.. Dobrze tak Szymonowi, dobrze, drożył się z nią; a teraz ubiorą Polusię w czuby, ale będzie daleko tańsza.



## SCENA VII.

**Bartecki, Szymon.**

**Szymon.**

Czy nie widziałeś tu, panie Bartecki, mojéj Polusi?

**Bartecki.**

Była dopiéro, i wyszła z panią Groźnicką.

**Szymon.**

Poszła pożyczyć chleba, i tak dawno bawi się, a tu dworskich tyle, żeby mi dziewczyny nie zbałamucili.

**Bartecki.**

Jeszczeżby to nic, żeby to tylko dworscy; ale...

**Szymon.**

Cóż ale?

**Bartecki.**

Ale, bo mnie wydacie.

**Szymon.**

Zapewne nie wydam; wiecie, Bartecki, że ja lubię słowa dotrzymać. Powiedzże mi, co to jest?

**Bartecki.**

Oto panu naszemu bardzo się Polusia podobała, i już zapewne pani Groźnicka jest w zmowie z panem, bo zawołała Polusi, i zastałem tu potém razem pana, panią Groźnicką i Polusię. Jak wszedłem, pani Groźnicka, nie wiem gdzie Polusię poprowadziła, a pan zaraz za niemi wyszedł.

**Szymon.**

Wszakże za to sam jeden odpowiadać nie mogę, chybaby z córką razem. Ale gdzież ona teraz? gdzież ona? Na toż-em dożył téj starości, żebym ją zhańbioną do grobu poniósł? Mój Boże! ty na mnie zdałeś opiekę dziecięcia mego!... Kiedy ja go teraz ratować nie mogę, ty go poratuj, bo możesz! Nacożeś mi to powiedział, panie Bartecki! Może ja próżno się smucę! Moja Polusia cnotliwa! Pan nawet powinienby cnotę szanować. (*Polusia wpada udyszana*).

## SCENA VIII.

**Szymon, Polusia, Bartecki.**

**Bartecki.**

Otoż i Polusia!

**Polusia** (*wpół ściskając ojca*).

O, już téż teraz nie rozłączą nas z sobą!

**Szymon.**

Cóż to, Polusiu, cóż to?

**Polusia.**

Chciano, żebym cię, tatuniu, porzuciła. Ale gdyby mi przyszło życie stracić...

**Szymon.**

Cóż się stało?

**Polusia.**

Pani Groźnicka naprzód mi radziła, żebym jechała do Warszawy, gdzie miało mnie jakoweś szczęście spotkać. Potém nadszedł sam pan, i toż samo mi radził; potém mnie ściskał, potém pani Groźnicka wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z izby.

**Bartecki.**

Co to... prawda, ja byłem przy tém.



**Szymon.**

Ale nie przeszkadzajcież, panie Bartecki. Cóż daléj, moje dziecię?

**Bartecki.**

Obiecała Polusi dać na przędzę.

**Szymon.**

Ale proszę, panie Bartecki, niechże sama Polusia mówi.

**Polusia.**

Jak mnie wyprowadziła z izby, weszłam za nią do jakiegoś alkierza, w którym nikogo nie było. Potém pani Groźnicka powiedziała mi, żebym nie tęskniła, że musi wyjść trochę. Potém wyszła, i słyszałam, że drzwi za sobą na klucz zamknęła. Zlękłam się téj niewoli!

**Bartecki.**

Jakże mi cię żal, Polusiu! łzy się mi w oczach kręcą.

**Szymon.**

Ale już prosiłem, panie Bartecki, niechże ona sama dokończy.

**Polusia.**

Potém mi przyszło na pamięć, że mnie do téj nieszczęśliwéj Warszawy namawiali.

**Bartecki.**

Dałabyś sobie, Polusiu!

**Polusia.**

Otóż strach mnie jeszcze większy ogarnął, żeby mnie cicho nie wzięli, i bez pożegnania się nawet z tatuniem do Warszawy nie uwieźli.

**Bartecki.**

Było wołać: gwałtu! gwałtu!

**Szymon.**

Ależ proszę, panie Bartecki.

**Polusia.**

Pobiegłam potém ku oknu, i otworzywszy je, uciekłam szczęśliwie. Brońże mnie, mój tatuniu, niech mnie do téj Warszawy nie biorą.

**Szymon.**

A pieniądze, które ci pan dał, gdzieżeś podziała?

**Polusia.**

Oto są w garści wszystkie, bo w tym strachu, w jakim byłam, nawet mi ich schować nie przyszło.

**Bartecki.**

Pokaż, Polusiu, niech porachujemy, wiele téż ci pan dał pieniędzy?

**Szymon.**

Ale na cóż do smutku tego rachowania! (*odbiera Szymon pieniądze od Polusi*).

SCENA IX.

*Ciż sami,* **Statecki** *i* **Groźnicki.**

**Statecki.**

Cóż to ci, Szymonie?... Cóż to ci, Polusiu, żeście tak pomieszani?

**Szymon.**

Nieszczęście, jak się gdzie wnęci, jedno po drugiém przychodzi.



**Bartecki.**

To poszło o Polusię, panie dobrodzieju!

**Groźnicki.**

Cóż się miało stać Polusi?

**Szymon.**

Żona Wpana wié lepiéj o wszystkiém.

**Statecki.**

Ale cóż to przecie, Szymonie?

**Szymon.**

Ktokolwiek Wpan jesteś, mospanie, poznałem, żeś człowiek poczciwy. Na tę cnotę, którą zapewne kochasz, zaklinam Wpana, żebyś mnie, jako przyjaciel pański, przed panem wspierał.

**Statecki.**

Czegóż to potrzebujesz od pana Miłoskiego?

**Szymon.**

Żeby mi nie brał tego, czego mi nie dał — a wziąwszy, nagrodzić mi już nie może. Oto przez panią Groźnicką namawiał mi Polusię, żeby mnie w starości porzuciwszy, do Warszawy z panem jechała. Oto dał jéj nawet pieniądze. Potém ją po ciemnych alkierzach prowadzono, skąd szczęściem oknem uciekła do mnie. W chacie mojéj ubogiéj oglądam się około siebie, i nic w nędzy ostatniéj nie widzę, prócz cnoty nieskażonéj dziecięcia mego, za cóż mi tę jednę w życiu pociechę wydzierać?

SCENA *ostatnia.*

**Miłoski, Statecki, Groźnicki, Groźnicka, Szymon, Polusia, Bartecki.**

**Miłoski.**

Czego ty, spleśniały dziadu, zabraniasz szczęścia twojéj Polusi?

**Szymon.**

Czemu pan obelgę nazywa szczęściem?

**Miłoski.**

Milcz, chłopie! Mój panie Groźnicki, jakaż to zuchwałość!

**Statecki.**

Ale mospanie Miłoski, daruj Szymonowi, on to z żalu powiedział. (*Statecki trzyma za rękę Miłoskiego*).

**Groźnicki.**

A ja mówiłem panom, że to cham nad chamami.

**Szymon.**

Mospanie Groźnicki, ja teraz do pana gadam, nie do waszeci. Daruj mi, panie! ale nie godziło mi się téj krzywdy robić, i dziecię moje bałamucić. Oto te pieniądze, które odebrałem od Polusi, świadkiem są myśli pańskich na ohydę moję. Oddaję je całkiem! U nas tu nie tak, jak w miastach, gdzie za złoto cnotę przedają.

**Miłoski.**

Pókiż on mi to kazanie gadać będzie! W co ty, chłopie, dufasz?

**Szymon.**

Dufam w to, żem taki człowiek, jak i pan, a jestem ukrzywdzony.

**Groźnicka.**

Wej, wej, on się już z panem porównał!

**Miłoski.**

Krew niepoczciwa! ze mnie masz, że wyżyć możesz, a tak jesteś niewdzięczny i zuchwały!



**Szymon.**

Nie Wpana powietrzem oddycham, ani mię Wpana słońce ogrzewa.

**Groźnicki.**

Hamanów, hamanów! zaraz skończy się wszystko.

**Miłoski.**

A ja ci, chłopie, daléj nie wytrzymam!

**Statecki.**

Hamuj się Wpan, mówi śmiało, bo mówi w dobréj sprawie.

**Miłoski.**

Z pod rózeg mi, dziadu, nie wstaniesz, a wszelako Polusię wezmę, i zrobię ją gwałtem szczęśliwą. Poznasz, chłopie, co to ze swoim panem wojować.

**Bartecki** (*na boku do Polusi*).

Uciekaj ze mną, Polusiu, do śpichlerza.

**Polusia.**

Ja się ciebie, tatuniu, nie puszczę. Niech i mnie wraz z tobą karzą.

**Szymon.**

Jeżeli już do tego przychodzić ma, że mi gwałtem własne moje dziecię wydzierać chcą: równy Wpanu jestem mospanie, i téj krzywdy bezkarnie uczynić mi nie można.

**Miłoski.**

Cóż to on gada?

**Statecki.**

Nie rozumiem; ale niech mówi daléj.

**Szymon.**

Taiłem się dotąd z urodzeniem mojém, będąc w ostatniém ubóstwie. Bo na co przyznawać się do szlachectwa, kiedy go niczém utrzymać nie można było? Nie powiadałem nawet tego temu dziecięciu, żeby... może wbiwszy się w pychę, nie zaniedbywało krwawo pracować rękami swemi, które je wyżywić mogą. I czego na mnie pogardy ludzkie, szturkania i czasem bicia nie wymogły, to wymaga gwałt cnocie i prawu memu nad dziecięciem uczyniony. Ojciec mój marnie potracił majętności, dwóch synów w nędzy zostawiwszy. Jan starszy, że umiał czytać i pisać, udał się na świat i pewnie szczęśliwszym jest; ja młodszy we dwunastym roku, nic nie umiejąc, porzuciłem nędzę domową, i szukałem nędzy po cudzych kątach. W dalekiéj stronie od nikogo nieznany, z równie ubogą, jak ja szlachcianką ożeniwszy się, zatęskniłem do kraju, w którym się kiedyś urodziłem. Przyszedłem potém do téj wsi, i w niéj osiadłem: bo miło mi było przynajmniéj patrzyć na te rzeki i łąki, które mnie tu kiedyś w dzieciństwie mojém bawiły. Tak jest, ojciec mój był panem tych wszystkich wiosek, w których się Wpan teraz rozpościerasz. Jestem Szymon Statecki, drugi syn Jakóba Stateckiego.

**Statecki.**

Co to ja słyszę?

**Miłoski.**

Być-że to może, mości panie Statecki?

**Statecki.**

Tak ma być zapewne; bo i ojciec mój to mi wszystko powiadał, nic nie wiedząc, gdzieby się brat jego Szymon znajdował. (*Statecki obróciwszy się do Szymona.*) Ojciec mój a brat twój, Jan Statecki, już mnie odumarł. Ty na miejscu jego, jak jesteś stryjem, tak bądź i ojcem moim. Nie odraża mnie ta nędzna siermięga, w któréj cię widzę; i owszem ta cnota, którą w tobie znalazłem, chlubą jest dla mnie. Masz, Polusiu, we mnie brata twojego, który... dzieląc z wami to słodkie imię, będę razem i dom i cały mój majątek dzielił.

**Szymon.**

O Boże! cóż ze mną robisz? Nie tak ja ci służyłem, nie tak, żebyś mi tak wielką w życiu pociechą nagradzać miał. (*Szymon ściska Stateckiego, a Polusia go w ręce całuje.*)



**Statecki.**

Nie całuj mię w ręce, Polusiu, wszakże jam twój brat.

**Miłoski.**

Kiedy wy tak szczęśliwi jesteście, ja zostałem się na boku zawstydzony, że dziad mój ojcu twojemu, Szymonie, wydarciem dóbr tych krzywdę uczynił, a ja tobie samemu, chcąc ci uwieść Polusię, uczynić chciałem. Nagrodzę to, jeżeli się wam zdawać będzie, pojęciem w czasie za żonę cnotliwéj Polusi. Już się, Polusiu, z ojcem twym nie rozłączysz; sprowadzę tu ludzi, którzyby cię języków i wszystkiego, co należy do przystojnéj edukacyi, nauczyli; ale ty z ojcem twoim cnoty mnie uczyć będziecie.

**Groźnicki.**

Daruj mi Wpan, mospanie Szymonie, jeżeli mu się kiedy naraziłem. Ale nie masz złego, żeby na dobre nie wyszło. Gdybym był Wpana nie wziął do więzienia za podatek, nie przyszłoby było do tego, co się teraz stało.

**Szymon.**

Co było, to już minęło. Wszelako na potém lepiéj się Wpan obchodź z biednemi poddanemi. Oni są ludźmi, bądźże Wpan dla nich człowiekiem. Im to na dobre nie wyjdzie tak, jak mnie wyszło: bo już drugiego Stateckiego we wsi nie masz.

**Groźnicka.**

I mnie téż daruj Wpan, panie Szymonie!

**Szymon.**

Wpani trudniéj darować; ale należy darować wszystkim.

**Bartecki** (*podniosłszy głos*).

Jako Cynozura na empirejskiém niebie...

**Miłoski.**

Ale milcz tam z tą twoją oracyą.

**Statecki.**

Niechże on skończy. Za cóż go jednego zasmucać, kiedy my się wszyscy cieszymy!

**Bartecki.**

Jam to chciał powiedzieć gładzéj, ale mi już z głowy wypadło, że trzeba każdemu z nas poczciwym być; bo panna Apolonia i pan Szymon dlatego przyszli do szczęścia, że byli cnotliwemi w ubóstwie.

**Polusia.**

Dobrze powiedział Bartecki, bo i ojciec mój często mi to samo przypominał: „Polusiu! bądź poczciwą, a będziesz szczęśliwą".

---

# PODRÓŻ

## DO KRAKOWA I JEGO OKOLIC.

### List do Księżny Barbary z Duninów Sanguszkowéj, Marszałkowéj W. W. X. Lit.

Zacni WKmci synowie i wnuki bawiąc za granicą, opisywali Jéj i opisują dotychczas, co w krajach cudzych osobliwszego widzieli. Ja, przypatrując się przez czas jakowyś Krakowu i jego okolicom, pozwolisz Pani, ażebym jéj opisał, com tam widział; i przydał to, com z tego widoku uczuł.

Między osobliwościami jadąc do Krakowa, najpierwsze kłaść można Końskie; sławne fabrykami żelaza, i kościołem starożytnym (jak napis świadczy nade drzwiami) z ciosowego kamienia, roku 1120 wystawionym. Odrowążów, dawnych miejsca dziedziców, widać jeszcze herby i pisma po ścianach — których po części już wyczytać nie można, nie żeby były dawnością nadpsute, ale że sposób pisania liter w tak dawnych wiekach nam, w teraźniejszym, stał się trudnym do wyczytania.

W Radoszycach kościół jeden z najdawniejszych w Polsce, roku pańskiego 1004 murowany. Ze strachem tę starożytność oglądałem, bo blizka upadku, i wzywa ręki, żeby ją wsparła, ale grozi głowie, żeby téj nie rozbiła.

Jędrzejów, od sześciu wieków sławne opactwo cystersów, szczyci się bogatym kościołem, największemi w Polsce organami, biblioteką,

od kilku wieków manuskrypta ciekawe zamykającą, i grobem błogosławionego Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego, mnicha potém w Jędrzejowie, i najpierwszego dziejopisa polskiego.

Nieznany widok czasami temi!
Wincenty gardzi dary ziemskiemi;
Nie chce biskupstwa, choć za nim głosy
Cnota i chętne dały niebiosy.
Potém zmięszany pomiędzy gminem,
Szczęśliwym skończył chrześcijaninem.

Więcéj nad milę, dojeżdżając do Krakowa, już widzieć można to sławne i obronne od tysiąca lat miasto. Spławna Wisła pod same mury jego ociera się, a grunt najżyźniejszy i ludnemu obywatelowi do wyżywienia wystarcza, i... co mu nadto zostało, zyskowną go przedażą zbogaca. Srebro, miedź, żelazo, marmur i sól nieoszacowaną w odległości kilku mil tylko posiada, że zdaje się, jakoby natura na to jedno miejsce wysiliła się, ażeby szczęśliwy Krakowianin bez reszty świata mógł się obchodzić.

Ale któżby bliższych i dawniejszych wieków osobliwości miasta tego wyliczył? Te krużganki i ściany kościołów nagrobkami zapełnione, te niezmierne, a tak dawne, akademii tamtejszéj gmachy, z których wszyscy prawie dawniejsi uczeni ludzie w narodzie wyszli; te wspaniałe domy, w których tylu znakomitych kiedyś mężów mieszkało; te skarby koronne i kościelne, tyle drogich i ciekawych rzeczy zamykające, dają nam poznać, że Kraków jest dawném grobowiskiem uczonych, gospodą albo mieszkaniem ludzi naczelnych, i składem bogatéj, albo ciekawéj starożytności polskiéj.

Czerna, o mil dwie od Krakowa, pustynia sławna mnichami, pod regułą karmelitów żyjącemi. Ale i każdemu, żądającemu w osobności życia bogomyślnego, drzwi tamte są otwarte. Między lasem i skałami, na jednéj z nich, klasztor samotny z kościołem leży. Głębokie milczenie odludne to miejsce napełniło. Mur wkoło, na ćwierć mili pustyni zajął, za którą zagrodę wychodzić pustelnikowi nie wolno. Żadnego oni z sobą społeczeństwa nie mają, i kilka razy tylko na rok, na czas krótki schodzą się, przechadzka nawet we dwóch jest im zabroniona. Jeden przełożony ze świeckiemi rozmawiać i bawić się może, ale żadnego z pustelników nikt nie obaczy.

Kto się z zawziętą fortuną powadził,
Kogo swój zawiódł, a przyjaciel zdradził;
Kto pod przemocy brzemieniem uklęka,
Tu go silniejsza dźwignąć może ręka.



Gdy twych zabiegów Boga zrobisz celem,
On twoim panem, krewnym, przyjacielem!
O te tu skały pycha zaślepiona
Marnym zapędem legła roztrącona!
Tu u nóg pada téj pokory mężnéj,
Zażartych losów pocisk niedołężny!
Tu miejsca swego chybiły rozpacze,
Śmieje się zbity, a zwycięzca płacze!
Bracia! mieć ufność potrzeba,
Z téj góry bliżéj do nieba,
Ale pewniejszą poszlibyście drogą,
Tędy, gdzie ludzie zgodzić się nie mogą;
Tędy, gdzie nędza rady, wsparcia, czeka;
Tędy, gdzie człowiek potrzebuje człeka!
Wam z waszéj góry widać na dolinie,
Jak tu niejeden obłąkany ginie!
Za cóż nas czasem nie wspomódz z ochotą?
Wszak miłość bliźnich jest najpierwszą cnotą?
Przed resztą stworzeń człek mową się chwali,
A wyście sobie mówić zakazali,
I wiodąc smutne z zwierzętami życie,
Milczeniem waszém dar mowy bluźnicie.
Jeśli się cnoty uczymy przykładem;
Wy ją lubicie: poszlibyśmy śladem.
Lepiéjby płynąć w towarzystwie świata;
By poratować tonącego brata.

Blizko Czerny, sławne od wieków szyby marmurowe, któremi Kraków i okolice jego zdobione. O dwie mile zaś stamtąd groty podziemne Ojcowskie i Czajowieckie W tych drugich, chodząc więcéj godziny, końca znaléźć nie mogliśmy. Podczas napadów tatarskich zapewne tam ludzie się ukrywali, bo w wielu miejscach widać ślady ręki ludzkiéj, i... co jest osobliwością, suchość ścian i gruntu wszędzie znaleziona.

Tu, gdzie najwyższa podniosła się góra,
Na wierzchu płodna siadając natura,
Gdy zakłócone żywioły łagodzi,
Za sprawą czasu, świat karmi i rodzi.
Gdzie zaś podziemne ciągną się tarasy,
Ma tajne rady, lub spokojne wczasy.

Dolina Promnik, tak nazwana od potoku, który środkiem jéj płynie, jest rzadko widzianą pięknością, ktoby ją uczuć umiał. Brzeg najczystszego tego potoku, i obszerniejsze ubocze, zieloną murawą usłane: wzdłuż zaś ciągną się najwyższe różnego składu i farby skały, po których wieczne drzewa, na uproszonym gdzie-niegdzie kawałku ziemi wieszając się, świętość jakąś i uszanowanie bojaźliwe dla miejsca tego wrażają; gdyby zamek Ojcowski, który w dalekości daje się widzieć, położenia tego nie ośmielał, że to dla ludzi, nie dla wyższego jakiego stworzenia piękność ta sporządzona. O pół mili stamtąd do Piaskowéj skały, dawnéj Szafrańców dziedziny przybyliśmy. Zuchwałą sztuką, na cyplu ostréj skały zamek ten osiadł. Kto z okien na ziemię spojrzy, w téj niezmiernéj podniosłości, potok doliną tamtą płynący, chaty wieśniacze, i wokoło prawie otaczające go skały gołe, albo drzewami okryte, najpiękniejszy widok sprawują. Na dole, przyjazdu do zamku pilnuje pałka (jak nazywają) herkulesowa, czyli kamień przy drodze stojący, od inszych skał oddalony; u dołu grubości może na cztery łokcie, zwolna zaś postępując, u góry może na ośm; ale wysokości do trzydziestu łokci mający.

O ćwierć mili od Piaskowéj skały leży Grodzisko; miejsce sławne ukrywaniem się przez czas jakiś świętéj Salomei, córki Leszka Białego, siostry Bolesława Pudyka, a żony Kolomana króla halickiego. Może, podczas opłakanych owych napadów natenczas tatarskich, niezbadane zakręty i przepaści miejsc tamtych ukrywały tę św. pannę. Albo kiedy dla bezpieczeństwa Pudyk z Zawichosta zakonnice franciszkanki (między któremi była i Salomea) do Skały przeniósł, może wtenczas miejsce to odludne, a tak blizkie od Skały, dla spokojniejszéj bogomyślności obrała sobie. Na przykrą górę wązką dróżyną długo drzéć się potrzeba, niżeli na wierzchołku, między dzikim lasem, pokaże się kościół samotny, otoczony murem i posągami Piastów, rodziny Salomei. Zaraz przy kościele mały ołtarz jéj a w blizkości szczupły domek, gdzie przemieszkiwała, nad samą przepaścią ogromnéj skały zawieszony.

Chcąc widzieć potém sławną Częstochowę, droga przypadła na Lelów miasto i zamek od Kazimierza Wielkiego, przed czterysta latami murem opasane. Stoi jeszcze w niektórych tylko miejscach przez niedbalstwo mur nadwerężony, i poświadcza, jak wieków tamtych prace i wielkie i gruntowne były. Jest podobieństwo, że nazwisko Lelów, wzięte jest od bożyszcza Lelum, czyli Kastor, u pogan jeszcze Polaków szanowanego. I może w tém miejscu, prócz Łysej góry szczególniéj sławnemu temu bałwanowi ofiary oddawano.

Daléj Olsztyn miasteczko, i zamek przy nim na wysokiéj górze już rozwalony. Dwie tylko baszty pozostały, z których jedna niezmierną wysokością grozi jeszcze, nie już Szlązakom, dla których na pograniczu posadzona, ale przejeżdżającym pod górę gościnnym.



W Częstochowie, do trzech tysięcy nabożnego gminu, prócz naszego pospólstwa, z Prus, z Czech, z Szląska i Morawy zebranego zastałem. Ale to dziwna, że między takim tłumem ludu zgromadzonego nikogo ze znaczniejszych nie widziałem; jakgdyby majętni nie mieli równéj powinności dziękowania, jak mają ubodzy potrzebę prośby. Sławny jest skarbiec kościoła Częstochowskiego, będąc tylu królów i książąt, tak naszych, jako i zagranicznych darami pomnożony. Między zgromadzoném tam pospólstwem różnili się przykładniejszą pobożnością Morawcy. Skromnie do świątyni wchodząc ze śpiewaniem, w głębokiém potém milczeniu kilkaset osób obojéj płci uklęknąwszy, spłakane wszyscy oczy w ołtarzu utopili. Insi jakoby nie godni wejścia, pod niebem za murami kościoła, obróceni ku stronie ołtarza, nikczemność swoją wyznawali.

Zdaje się, na Jasnéj-górze stoi owa
Drabina o niebiosa wsparta Jakóbowa,
Po któréj aniołowie wstępują i schodzą.
Święte posły, człowieka z Bogiem swoim godzą!
Ci zbierając łzy, które niewinność wyléwa,
Albo komu wyciśnie nędza niecierpliwa,
Lecą z ziemi do góry jedném oka mgnieniem,
Gdzie je bóstwo litości swém suszy wejrzeniem;
Insi z nieba zstępują, i czynią ofiarę
Tego nieba za miłość, nadzieję i wiarę.

Z Częstochowy, powracając do Warszawy, wyboczyłem na Czarnce, dziedzinę kiedyś Stefana Czarnieckiego, sławnego w dziejach naszych bohatyra. Leżą smutne rozwaliny domu jego. Ale drzewa blizkiego ogrodu oparły się wiekowi, a grubością i wysokością swoją dają to poznać, że są rówiennikami czasów Czarnieckiego. Blizko, kościół od niego wymurowany, jako napis na czele świadczy. Przy kościele zakrystya, pierwéj przed kościołem wymurowana, bo napis nade drzwiami jéj dawniejszy, wspomina Czarnieckiego jeszcze jak żołnierza tylko i dworzanina królewskiego.

# OGRODY.

## POEMA

PRZEZ

## L'ABBÉ DE-LILLE

NAPISANE.

Z francuskiego przetłómaczone 1783 r.

---

### DEDYKACYA.

*Ty, która lubisz zarabiać na chwałę,*
*A zawstydzasz się, gdy cię kto pochwali,*
*Twoją robotą jest to dzieło małe,*
*Choć i my razem pracować się zdali.*

*Jeśli powszechność (jak nadzieja tuszy),*
*W tém tłómaczeniu smak jaki uczuje;*
*Tam gdzie czytelnik wyrazem się wzruszy,*
*Tobie niech za tę słodycz podziękuje.*

*Jeszcze słów wdziękiem, któreś wymawiała,*
*Zdaje się, że brzmi powietrze okólne;*
*Jeszcze czuć słodycz, któraś z pióra lała,*
*Układając to tłómaczenie wspólne.*

*A gdy tak mowa moja się wmięszała*
*Między słów twoich najpieszczeńsze składy,*
*Kradnę twą chwałę; o co gdyś niedbała,*
*Łatwiéj mi przyszło dokazać téj zdrady.*

*Nie dbasz o chwałę, ani mi się zdało,*
*Przypisywaniem książki by cię kłócić:*
*Każdy dar, chwała, dla ciebie jest małą.*
*Gdzież się mam z memi Ogrody obrócić?*

*Ty lubisz wiosnę, boście tak podobne,*
*Obom wam kwitną najświeższe jagody.*
*Obom wdzięk, uśmiech, postaci nadobne!*
*Tobie więc, wiosno, poświącam Ogrody.*

---

## DO CZYTELNIKA.

L'abbé De-Lille, z akademii francuskiéj we czterech pieśniach to małe poema o Ogrodach napisawszy, nie losem jakim, ale prawdziwą pięknością aż do téj miary podobał się, że powtórzone w jednym roku po tyle razy w samym Paryżu edycye, nie mogą dostarczyć żądaniu powszechnemu. Naród tak oświecony, jak jest francuski, kiedy się o książkę jaką z taką gorącością ubiega, jest to zapewne cechą piękności dzieła. Jakoż nie można nadto pochwalać szczęśliwych myśli autora, opisywania rzeczy najpiękniejszego i tych czułych na tylu miejscach wyrazów, któremi zimne to z siebie dzieło (jak koniecznie być musi książka każda, sztuki jakiéj regułę przepisująca), ustawicznym prawie do słodkiego myśli swojéj zapędu zwrotem, ożywia. Szczupłość czasu, który mi zbywał i zimność miejsc (jak nazywają) dydaktycznych, przywiodły mnie, że prozą wszystko to przetłómaczone, gdzie same tylko Ogrodów przepisy były; tam zaś, gdzie autor myślą swoją na bok zacieka się, płód ten imaginacyi jego najżywszéj, na wiersz ojczysty starałem się przełożyć. Szczęśliwy ja, jeżeli dobrze na wzór mój patrzyć umiałem! jeżeli tego wielkiego mówcę w suknią krojem polskim przebierając, piękności jego nie umniejszyłem! Ale pierwszy raz idąc tą drogą tłómaczenia, a trafiwszy jeszcze na książkę stylem najzwięźlejszym i prawie samemi ucinkami napisaną; na książkę słów ogrodowych, których my tak dalece używania nie mamy, pełną; nie wiem, czyli czytający, a ci najbardziéj, którzy autora w jego języku znają, smakować w naszém będą tłómaczeniu; gdzie chociaż zdało mi się, że tak dalece do słów nie przywiązywałem się, ale bardziéj znaczenia rzeczy i łatwości w rozumieniu dzieła szukałem; przecież w wielu miejscach (sam to przyznaję) téj prozie mojéj na czémsiś zbywa. Co inszego



postrzegłem w miejscach na wiersz ojczysty przełożonych; tam, zdaje się składniéj ciągnąć tłómaczenie i (jeżeli wyznać można), cokolwiek duszą oryginału oddycha. Nie zdało mi się (jak mi radzono) z przystosowaniem do narodu naszego, dzieło to przetłómaczyć, albo dlatego: że prawie połowę książki odmieniaćby potrzeba, dla często wchodzących okoliczności, saméj tylko Francyi tyczących się: albo dlatego: że zwyczaj ten, (jeżeli się nie mylę), przystosowania rzeczy przetłómaczonéj do kraju swego, nie zdaje mi się do naśladowania. Za co proszę, mając rzecz cudzą w ręku, wszystkie jéj znaki odbierać, przez któreby, że cudzą jest, poznana być mogła? Za co krzywdzić autora książki, w cudzym narodzie, odbierając mu chwałę, którą tłómaczenia z przystosowaniem do kraju, przynajmniéj z czasem zupełnie zatrą? Tém ośmieleniem się przywłaszczania sobie pisma narodów cudzych, jeszcze się i sam tłómacz i naród własny krzywdzi: ten, że przynajmniéj tak wydaje się, jakgdyby co zupełnie swojego utworzyć nie mógł i tylko jak ów ptak w bajce, cudzemi piórami przyozdobić się wolał. Naród zaś, że ponieważ łatwiéj jest do cudzego coś trochę przyczyniwszy rzecz jaką zrobić, Polak, któryby z siebie pomyśléć i co doskonałego ułożyć mógł, na tém, co mu łatwiéj przychodzi, przestaje i o oryginały, które same honor krajowi robią, nie dba.

Masz tedy, czytelniku, dzieło takie, jakie mogłem ci najwierniéj z francuskiego przełożone, pokazać. Nie sądź, ażeby tylko dla czczéj zabawy twojéj było napisane. Nauczą się w niém jedni gustu prawdziwego zakładania ogrodów swoich, miéć będą insi piękne wymowy, na tylu miejscach, przykłady. Na jakiegokolwiek z tych dwóch rodzajów czytelnika książka ta napadnie, będzie się z piękności Ogrodów, albo z wymowy przekonywał, że co tylko w nich do naturalności nakłonione jest, już tém samém piękne będzie, a téj piękności stałe zabezpieczenie u wszystkich ludzi i wieków znajdzie.

---

# OGRODY.

## PIEŚŃ PIERWSZA.

Słodka wiosna powraca! i jéj dzielna siła
Ptactwo, kwiaty, zefiry, głos mój odżywiła.
Do jakiegoż uczucia nawiążę me strony?
Ach! gdy ziemia zbywa się żałoby sprzykrzonéj,
Gdy pola, lasy, góry, wokoło młodnieją,
Wszystko się śmieje szczęściem, miłością, nadzieją;
Niech kto pali kadzidło imionom wieczystym,
Niech przewozi zwycięstwo na wozie ognistym,
Atreusza maże się krwawemi niezgody;
Flora się uśmiechnęła: ja śpiewam Ogrody.
Powiem, jak sztuka, wsparta miejsca położeniem,
Rządzi wodą, kwiatami, murawą i cieniem.
Ty więc, co godząc wdzięki i moc wyrażenia,
Umiesz pieśni uczącéj ożywić nudzenia;
Muzo! coś Lukrecego poratować chciała,
Gdyś twardych jego nauk ostrość ugładzała:
Wszak nie krzywdząc języka bogów, z twéj posługi
Rywal jego opiewał pracowite pługi, —
Przybądź, i chciéj przystroić rzecz tę większéj wagi,
Tę, która warta była Wirgila przewagi.
Nam tu dalekich ozdób szukać nie należy;
Przybądź! me czoło tylko ma zdobić kwiat świeży,
I jak chmura swą barwę ma z promienia daru,
Język mój wdziękiem mego zaprawię zamiaru.



Niewinna ta zabawa, którą wiersz mój głosi,
Do pierwszych się dni świata starego odnosi.
Gdy człowiek dziką ziemię w posłuszeństwo wprawił,
Jakiegoś się jéj kąta wykształceniem bawił;
Blizko pod swojém okiem, co praw jego strzegły,
Drzewa mu ulubione, i kwiaty się zbiegły,
Że prosty Alcynous dawał za przykłady
W starożytnéj Grecyi nikczemne swe sady,
Wtenczas, kiedy nierównie większemi zachody,
Babilon na powietrzu zawiesza ogrody!
Gdy Rzym światu całemu rozdawał kajdany,
Zwycięzca szedł w swój ogród łupami przybrany;
Tam składał gniew wojenny, tam składał i chwały.
Dawniéj ogrody mędrcom schronienia dawały,
Gdzie z twarzą śmiejącą się ludzi nauczają.
I gdy grunt elizejski nieba cnocie dają,
Czy tam były pałace? Gaj to był zielony,
Gaj, kwiatem, strumykami, polem, napełniony,
Mieszkanie próżnowania, i najsłodszéj chwili,
Gdzie zmięszaną z pokojem długim rozkosz pili.

Zacznijmy teraz (bo już czas jest) bieg, który sobie założyłem: Filip mnie do tego zachęca, i rzecz sama wzywa.

Ażebyś niewinne w ich wdziękach pola przyozdobił, nie znieważaj natury, a jeszcze tak wielą łożonemi kosztami. Ta szlachetna zabawa potrzebuje mistrza w sztuce, któryby myślił, i więcéj rozumu, niżeli pieniędzy, łożył; przez coby dzieło mniéj przepychu, niżeli wyśmienitości, mniéj ozdób, niżeli piękności miało. Ogród w oczach moich jest to obraz: bądź więc malarzem. Pola, ich niezliczone odmiany, rzut światła różny, zebrane zaciemnienie, pory następujące ustawiczne, bieg dnia i roku, łąki kwiatami przystrojone, uśmiechające się wzgórki, zielona murawa, drzewa, skały, wody i kwiaty, oto są twoje pędzle, płótna malarskie i kolory. Natura jest w mocy twojéj, i twoja ręka płodna może tworzyć świata żywioły.

Ale niżeli zaczniesz ogród zasadzać, niżeli ziemię motyką nieroztropnie poruszysz, chcąc dać piękny kształt ogrodowi twojemu; uważaj, poznawaj i naśladuj naturę. Czyliżeś nie zdybywał często na ustroniach, gdzie nie tak ludzie zachodzą, te położenia miejsca szczęśliwe, które zatrzymały krok twój, i na których obraz najpiękniejszy, w zamyślenie się i w zadumienie wpadłeś? Naśladuj ile możności w ogrodzie twoim, co tam widziałeś najpiękniejszego, i z ogrodu natury naucz się przystrajać ogrody twoje. Poglądaj nadto na miejsca, które gust doskonalszy przyozdobił. Z pomiędzy

takich piękności, wybieraj jeszcze. W swoim przepychu okazałym zadziwiaj się nad ogrodem *Chantilli*, który bohaterowie i wieki jeden po drugim przystrajały; *Beloeil*, razem wspaniały i wiejski [1]), *Chanteloup* pyszny jeszcze wygnaniem pana swojego; a będą ci się koleją podobały. Tak jak pączek jaki czerstwy z bojaźnią uprzedzający porę wiosny, piękny ogród *Tivoli* [2]) kształtem swoim nowym, stał się najpierwszym wzorem we Francyi. *Gracye* uśmiechając się *Montreuil* zakładały [3]). *Maupertuis* [4]), *le Desert*, *Rincy*, *Limours*, *Auteuil*, jakże po ścieżkach waszych z słodyczą błąkać się trzeba! Cień wielkiego Henryka jeszcze lubi i szanuje Nawara. Podobny do swego szanownego i młodego tego bóstwa ogród *Trianon* [5]), wdzięki połączył ze wspaniałością, dla niego on i pięknym jest, i przez niego samego przyozdobionym. A ty najsłodszego z książąt wierne schronienie, Ogrodzie! którego nazwisko nadto skromne stało się niegodném ciebie [6]); Miejsce wdzięczne! pozwól mu tego wszystkiego, czego mu życzyć winienem; przy słodkim uchronie, dawaj mu chwile swobodne! On, który równie łaskawie poetę, jak i wiersze jego przyjmuje; który w wyborze piszących wdzięcznie, w tym ogrodzie kwiatami poezyi przyozdobionym, i moję Muzę przytulić raczył, że z łona krzaczku swojego poziomy fiołek obok wspaniałéj rosnę lilii. Towarzysz nieznajomy tym ludziom sławnym, o gdybym głosem moim słabym, jak oni niegdyś, mógł się tak podnieść; opisywałbym ogrody twoje, bóstwo, które w nich mieszka, przyjaźń i nauki, i które przy boku twoim trzymać się lubią. Miejsce roskoszne! bądźże uszczęśliwieniem dla niego! A ja, jeżeli kiedy z łaski jego przyozdabiać sobie będę wiejskie mieszkanie, obraz w nim dobroczyńcy mojego położę, który najpierwszemi kwiatami ogrodu mojego przystroję. Około niego nasadzę, i gałęzie porozciągam mirtu i lauru, tak miłe drzewa Burbonom; i kiedy wdzięczne ich cienie pokój i wolność, natchną mnie, sprawcy darów tych i lutnią moję poświęcę.

Mówiłem o położeniach miejsca szczęśliwych, które sztuka może

[1]) *Beloeil* dom i ogród książęcia *de Ligne*.

[2]) Pan *Boutin* w ogrodzie *Tivoli* dał najpierwszy wzór ogrodów nieregularnych.

[3]) *Montreuil* ogród księżnéj *de Guémené* na drodze z Paryża do Wersalu.

[4]) Ogród *Maupertuis*, nazywa się inaczéj *l'Elisée*, należy do Markiza *Montesquieu*. Ogród *Desert* zrobiony z abrysu Pana *de Monville*. Ogród *Rincy* należy do książęcia *d'Orléans*. *Limours*, miejsce dzikie, przyozdobione przez hrabinę *de Brionne*.

[5]) *Trianon*, Ogród królowéj.

[6]) Rzecz tu jest ó ogrodzie nazwanym *Bagatelle* książęcia *d'Artois*, który jest w pośrodku lasu wdzięcznego.



naśladować. Ale są takie przypadki, gdzie wzorów niektórych chronić się nawet potrzeba. Często duch naśladowniczy zawodzi nas. Nie przymuszaj gruntu twojego do przyjęcia piękności, których miéć nie powinien. A najpierwéj, miejsca położenie najlepiéj poznaj, i szanując bóstwo okolicy, radź go się, bo jego władza nie bywa bezkarnie naruszona. Tymczasem nie tak śmiały, jako bardziéj dziwaczny w myślach swoich ogrodnik, ustawicznie coś bez gustu odmienia, mięsza, przewraca, wszędzie sprzeciwiając się naturze; a przez nieskładne wybranie piękności, które z sobą połącza, psuje pięknych miejsc włoskich położenia, chcąc je przenosić do Francyi.

Poznaj się na tém, i tego się chwytaj, co grunt twój przyjmie z łatwością; i to to jest, co piękniejszém nad naturę zowie się, a wszelako samą naturą jest; to jest ten obraz doskonały, który wzoru swojego nie ma, i na którego wyborze Berghem i Poussin tak daleko poznać się umieli: Poglądaj często i bierz naukę z dzieł ich doskonałych, a co ci malarstwo pożyczyło, niech sztuka ogrodnicza z wdzięcznością odda naturze.

Teraz uważmy, jakie ma być wybranie gruntu, i jakie miejsca zdatne będą do wypełnienia zamysłu twego. Były czasy tak nieszczęśliwe, gdzie, czyniąc ostatnie dla ziemi naprzykrzenia, położeniom najszczęśliwszym sztuka wypowiadała wojnę, i zrównywając doliny, albo niszcząc pagórki, z miejsca najpiękniejszego, nieprzyjemne robiono równiny. Równie podobnym nierozmysłem, sztuka tyrańska pól położystych, dziś na nich góry i doliny chce robić. Chroń się, ażebyś w przypadki takie nie wpadał. Wszystkie starania twoje napróżno opierać się będą gruntowi górzystemu; a na położeniach płaskich zrobiony wzgórek mały, miasto tego, żeby miał być osobliwą jaką odmianą, staje się tylko śmiesznym.

Ale jeżeli szukasz miejsca pracom twoim zgodnego, chroń się i pól nadto położystych, i gór zbytecznie nierównych. Ja wybierałbym te miejsca, gdzie bez pychy przyjemny wzgórek nad bogatemi panuje dolinami. Ta ziemia miła jest bez przesady, podniesiona bez przykrości i sucha bez czczości: tam postępując, horyzont jest ci coraz posłuszny, grunt zniża się albo podnosi; ściska się, albo się rozciąga; a tak położenie miejsca i rozkosz stąd twoja za każdym krokiem się odmienia. Niech tam sobie miernik z cyrklem w ręku, w cichości domu swego, ogrodu z zupełną symetryą na papierze plany rysuje; ty pójdź na miejsca same; tam z ołówkiem w ręce, maluj te wesołe wejrzenia, te piękne brzegi i doskonałości. Zgadywaj sam sposoby, przewiduj i ułatwiaj trudności: cuda téż to sztuki na wykonaniu rzeczy trudnych zawisły.

Grunt najnieużyteczniejszy swoję zobaczy piękność: bo jeżeli jest czczym i nagim, niech nagość jego lasek przykryje; jeżeli zakrytym,

niech słońcu siekiera miejsce otworzy; jeżeli wilgotnym, zrobione kanały w potok płynący zgniłą wodę przemienia, i pracą szczęśliwą poprawisz za jednym razem powietrze, ziemię i wody; jeżeli nakoniec suchym i nieurodzajnym, szukaj, gruntuj, kop jeszcze, bo może woda, któréj żądasz, jest blizko. Tak ja sam, długiém utrudzeniem znudzony, kiedy czczość gruntu przeklinałem, strumyk szczęśliwy nagle z ziemi wytrysnął, i mój wiersz tym ożywiony, płynie nakoniec łatwiéj.

Staranie twoje około ogrodu daleko będzie słodsze i sztuka daleko więcéj przyniesie rozkoszy; jeżeli mało mając na tém, ażebyś zabawił oko, jeszcze i do serca mówić będziesz. Znasz że ty te połączenia z sobą i rozumienia się niewidome ciał duszą nieożywionych, i istot czujących? Słyszał-żeś kiedy wód, łąk i lasów milczącą wymowę i głos ich tajemny? Spraw nam te dziwy. Jakże od uśmiechającego się miejsca, do smutnego, od poważnego do wdzięcznego przejścia zawsze mnie obchodziły! Prosty, wspaniały, silny i słodki, połączone te wszystkie tony, będą się wszystkim podobać gustom.

Tam niechaj malarz przychodzi brać wzory,
Niechaj rymopis rodzi swoje twory;
Niech człek rozumny słodycz jakąś czuje;
I w twojém szczęściu, szczęśliwy smakuje.
A ten, któremu wiek upływa w biédzie,
Niech w te ustronia napłakać się idzie.

Ale my powszechnie śmiałemi jesteśmy, dobre zaś myślenie rzadkie. Miasto tego, ażeby piękność jaka gwałtownie nas w oczy uderzyła, dziwacznemi stajemy się. Strzeż się, ażeby połączone rzeczy tak różne, nie były raczéj niesforném zamięszaniem. Te zaś rzeczy, które sprzeciwiają się sobie, nie zawsze z sobą będą walczącemi.

Prócz tego, na obrazy takie potrzeba miejsca obszerniejszego; dlatego w szczupłym kącie chroń się umieszczać razem: rzeki, kanały, góry i lasy. Śmiać się przychodzi z ogrodów takich, w których tam, gdzie natura w obszerném co miejscu porobiła, sztuka gruba zaniedbawszy podobieństwa, w jednym zagonie gruntu, położenie kraju całego zamyka.

Miasto tego dziwacznego wielu rzeczy zebrania i pomięszania, mięszaj ozdoby, albo niechaj się rzucenie na nie okiem odmienia. — Przybliżaj, oddalaj niespodziewane widoki; niechaj się, jeżeli można, za jednym razem tysiąc różnych widowisk pokazuje. Niechaj niepewność, co téż tam daléj będzie, zostawia oku ciekawemu słodką niespokojność; niech nakoniec ozdoby z gustem zażyte będą. Nigdy jednak bardzo niespodziewane być nie mają: ani téż, którychby najłatwiéj domyśléć się można.



Najbardziéj zaś, ile możności, niech będzie wszystko w poruszeniu. Bez tego, myśl niczém nieroztargniona, zapada w letarg; bez tego, na wasze nieżywe ogrody oko moje ledwie że spojrzy. Czyliż trzeba się tu świadczyć wielkich malarzów sztuką? Patrzcie, jak twórczym pędzlem ruszające się objekta na płótnie malują nieruchomém! Wodę, która upływa, wiatr, który nagina gałęzie, bryły dymów unoszące się nade wsią, trzody, pasterzów, ich igrzyska i tańce! Użyjcie tego ich sekretu. — Zasadzajcie w obfitości te smagłe drzewka, te drzewa ruchawe, których głowa posłuszna jest powianiu wiatrów. Jakiekolwiek być mogą, szanujcie chwiejącą się zieloność ich, i zakażcie żelazu znieważać tak okrutnie naturę. Patrz, jak ręka jéj odmalowała te dęby, te wiązy! jak od pnia aż do gałęzi, od gałęzi aż do liścia pomnażając ścieńczenie ich, łatwość im dała pochylenia się. Ale żelazo okrutne!... Nimfy leśne, uprzedzajcie to okrucieństwo, biegnijcie... cóż mówię? już się stało.

Stal twarda drzew wierzchołki przycięła zielone.
Już nie słyszę, jak czasem głowy ich wzniesione
Wspierały wiatr burzliwy; który nim je minął,
Jęczał po ich gałęziach, oddalał się, ginął.
Ozionione żelaza nieczułością stoją,
Podobne mu cichością i twardością swoją.

Wy więc, którzy w waszych ogrodach żądacie żywości jakiéjś, zostawcie drzewom ich wdzięczną skłonność pochylania się; niech perspektywa wasza będzie pełna rzeczy ruszających się: przymuście, niech wam ta woda bieży, niech się podnosi i wytryska. Widzicie te doliny, te lasy, te pola opuszczone: posyłajcie tam różne trzody, i po różnych miejsca położeniach zarzucajcie liczne ich osady:

Tam po wierzchach skał przykrych wieszają się kozy,
Tu owiec pasących się niewinne obozy,
Wdzięcznym swoim okrzykiem powietrze zmieszały,
I głos ich twarde sobie podawają skały:
Na dolinie z gór blizkich wodami oblany,
Legł na kolanach, żując, wół upracowany.
Wtenczas, kiedy koń rzeźwy, pyszny, niespokojny,
To źwierzę natarczywe i lubiące wojny,
Okazuje zbujały, pozbywszy się ręki,
Swą moc nieukróconą i swe dzikie wdzięki.
Jakże mi gibkość jego i postać jest miła!
Czyli mu do przebycia rzeka się trafiła,
Skacze, nurza się, płynąć przeciw wodzie umié,
Bije nurt nogą, który zapieniony szumi;

Czyli po bujnéj łące wyskakiwać woli,
I wiatr, który go lubi, z grzywą mu swawoli.
Wspaniały, z ogniem w oczach, nozdrze mu się jeży,
Piękny pychą, miłością, do kochanek bieży.
Chociaż go już nie widzę, widzieć go się chciało,
I żądne go me oko po łące szukało.

Tak bogacąc się ze skarbów natury, ziemia, prospekty, wody i cienie, dają ruchawość niejaką i życie okolicom.

Ale jeżeli oko nasze lubi patrzyć na widoki ruszające się, niemniéj mu także miła jest i wolność. Zostaw więc ogrodu twego granice niepewne; albo przynajmniéj niech sztuka ukryje i zagładzi je. Gdzie oko niczego już więcéj nie spodziewa się, tam rozkosz niknie; z ciężkością nam przychodzi widzieć koniec miejsca pięknego; nudzi to nas i nawet gniewa. Z tamtéj strony muru, téj natrętnéj granicy, myślimy sobie, że jeszcze piękniejsze miejsca znajdują się; i rozum niespokojny oświeca w tém oczy błądzące. Kiedy zawsze wojnami bawiący się grubi przodkowie nasi, swe wiejskie pomieszkania murami zamykali, każdy na swojéj zagrodzie twierdzami otoczony, ażeby żył bezpieczny, żyć musiał w więzieniu. Ale cóż znaczy dzisiaj ta nudząca zagroda, którą dotychczas pycha utrzymuje, a którą bojaźń wynalazła? Miasto tych murów, które zasmucały wejrzenie, gust prawdziwszy przekłada te zieleniejące się zagrody, te mury utkane z kolców, gdzie ręka twoja drżąca, różę dziką, albo morwę urywa.

Przykrość ogrodów zamkniętych jeszcze mi ciężka: Przejdźmy za te ciasne obręby do widoku nierównie obszerniejszego i kształtów rzeczy piękniejszych, jakich sam *Ermenonvil* wzór nam wystawić może. Ogrody zaprosiły jeszcze i pole do swego towarzystwa, i wzajemnie, pomiędzy pola weszły ogrody.

Z wierzchołka brzegów wielkich i gór wyniesionych,
Skąd oko rozległości sięga niezmierzonych,
Natura dowcipowi rzekła: „Stąd, gdzie stoję,
Wszystkie, co tylko widzisz, te skarby, są twoje.
W ich dzikiéj wspaniałości bogactwie ukrytem,
Skończ mą pracę przemysłu twojego zaszczytem.”
Rzekła, dowcip się rzucił; wnet na każdą stronę
Szpera w ziemi, gdzie setne piękności uśpione,
Od doliny do wzgórka, las, gaje, rozważa,
Przechodząc, wszystko dotknie, wszystko przeobraża.
Umie, co się ma łączyć, co od siebie stronić,
Co oświecić, zaciemnić, co odkryć, zasłonić.



On nie wymyśla, ale wykształca te dzieła,
I kończy rysy, które natura zaczęła.
Postać naszych skał dzikich okropność swą traci,
Ciemność lasu smutnego z uśmiechem się braci;
Strumień się był zabłąkał, zwrócony upływa,
Poprzywłaszczał jeziora, i źródła odkrywa.
Pomyślił, i zewsząd się ścieżki pozbiegały.
Znalazły coś, i miejsca odległe złączały:
Te, dziwiąc się, co je tak w jeden węzeł spięło,
Składają z sta piękności najwspanialsze dzieło.

Tak wielkie prace podobno zastraszają sztukę twoję. Powróćmyż do dawnych ogrodów, i obaczymy w nich te fraszki, takiemi nakładami porobione; te marne wynalazki, te rznięte *trelaże*, ten *bassin*, te rowy do spadku wody. Kosztem daleko mniejszym rozległą przyozdobisz okolicę, niżeli dawne dziecinności szczupły kąt jaki przyozdabiały. Niechaj fałszywa wspaniałość przed sztuką naszą upadnie i niech kiedyś Francya w nowy Eden przemieniona, przed oczy nasze jeden obszerny ogród wystawi.

Jeżeli zaś do pracy téj zaprządz się nie śmiesz, przynajmniéj zagrody twojéj przeszedłszy granice, przez piękne wejrzenia powiększaj miejsce: tę dolinę, ten wzgórek, tę wdzięczną dalekość przyczyń do ogrodu twojego; tym sposobem cudzą rozległość posiadać oczyma i wzrokiem używać jéj będziesz.

Najbardziéj, umiéj uchwycić i staraj się przywiązać do planu twego te przypadki szczęśliwe, które ogrodom cechę piękności dają. Tu widać wioskę, którą lasy otoczyły, tam się miejskie wysokie wieże pokazują, i skała w dalekości błękitna bijąc cię w oczy ostrym wierzchołkiem swoim, zdaje się, że w obłokach zginęła.

Któż może zapomnieć o rzece, o jéj biegu i brzegach? Oko twoje zdaleka ściga wody uciekające: często wyspy z łona ich pokazują się, często same po pod arkady mostu dalekiego ubiegają. A jeżeli morze obszerne w twoich się oczach pokazuje, w odmieniającym się często widoku wystaw tę scenę ważną. Tu z pomiędzy gałęzi niechaj daje się widzieć; tam w zacieku głębokiego drzew zielonych sklepienia niech się pokaże, indziéj w zakręcie gaju, niech go oko nadybie, niech go czasem zagubi; nareszcie wzrokiem wolnym niech go całe w swojéj wielkości widzimy.

Nad tak różnemi widokami miło zastanowić oczy błąkające się, ale przyznać potrzeba, że ręką skąpą, ludzie, sztuka, czas i natura naokoło nas te drogie przypadki rozsiewają.

O równiny Grecyi! pola włoskie wdzięczne!
Miejsca coś wmawiające, i dowcipom zręczne,
Malarz od was wstrzymany, jakże wiele razy
Pogląda, zapala się i składa obrazy,
Rysując odległości, i wyspy, i morze,
Porty, góry ogniste, po których pług orze.
Lawy z tychże gór jeszcze lejącéj się strugi,
Z pałacu zburzonego wzrastający drugi.
W ciężkiéj robocie ziemi i morza słonego,
Świat nowy wychodzący z rozwalin starego!
O mnie, którym nie widział téj krainy dzielnéj!
Tych miejsc, kędy Wirgili śpiewał nieśmiertelny,
Lecz przysięgam przez jego pieśni niezrównane,
Pójdę przez Apeninu góry niemieszkane,
Pójdę, niosący z sobą wiersz Wirgila święty,
Czytać go na tém miejscu, którém był natchnięty.

Wy! którzy, zapalając się nad pięknością widoków takich, miasto tych wdzięcznych miejsca położeń, za ogrodami waszemi same tylko macie dzikie i nieużyte pola; za tę obcą i przyczyniającą się ze strony piękność, niechaj oku waszemu nagrodzi rzeczy milszych i wdzięczniejszych wewnątrz zebranie. Potrzeba wreszcie przywykać, żeby się nam w własnéj zagrodzie podobało, idąc wzorem mędrca szczęśliwego, który, na nikim nie polegając, wchodzi w samego siebie, i sobą samym bawi się. Do tego uchronu waszego tajemnego ja sam za wami pójdę.

Ale chociażby grunt najobfitszy miał widoków pięknych najwięcéj, roztropnie wzrokowi udzielając skarbów tych, niechaj tę słodycz szukaniem oczy kupują. Niech ją sztuka obiecuje, niech jéj się oko spodziewa: w téj mierze obiecać, jest to już dać; spodziewać się, jest to używać. Nie nagle zaślepić, ale mnie zatrudnić w mojéj rozkoszy potrzeba.

W moich przepisach chciałbym cię jeszcze nauczyć sztuki przestrzegania oczu i ich nagłego zagadnienia, co niżeli obaczysz, wiedzieć potrzeba, że dwa rodzaje z sobą od dawna kłócące się, o wybór się nasz ubiegają. Jeden przed oczy nasze wystawia sforny ogrodu układ, dając miejscu postać, któréj nie znało nigdy; obcą wspaniałością przyozdabiając wdzięki jego, drzewom prawo i wodom przepisy swoje naznaczając; a ten, jak pyszny despot niewolnikami otoczony, prawda że postać jego wspaniała jest, ale wdzięcznie uśmiechać się nie umié. Drugi, kochający z uszanowaniem naturę, przystraja ją bez obciążenia ubiorem, pobłaża czasem jéj wdzięcznym dziwactwom, jéj wspaniałemu zaniedbaniu się, jéj krokowi niejednostajnemu; i robi to przez swoję sztukę, że z pośrodka nieporządku i losu samego piękność wynika.



Każdy z nich ma swoje prawa, nie zaniedbujmy obudwóch. Nie nie postanawiam między *Kent* i *Le Notre*, [1]) bo każdy równe ma piękności i prawa swoje. Jeden z nich na to jest, ażeby się przed monarchami okazywał, zwłaszcza, że królowie losem swoim skazani na to, ażeby trzymali się wspaniałości; zawsze około nich usiłowania jakiegoś i okazałości szukamy; zawsze nad czémsiś dziwić się, wzrok nasz cudami zbytku i przemysłem sztuki nasycić żądamy. Sztuka więc uporną może sobie podbić naturę, wszelako zawsze z jakąś wspaniałością z niéj tryumfować powinna; bo jéj blask stanowi prawa jéj. Gwałtowny przywłaszczyciel może u nas otrzymać łaskę, ale tylko dlatego, że wielkim jest. Porzućmy więc te zimne ogrody, marne bawidła, niewdzięczne uchrony, któremi pobłażając sobie, chwali się z pychą pan na nich nieznający się; jego dobrze utrzymane i poobstrzygane małe sale zielone, jego plantę z zupełną symetryą, w jednéj połowie z niczém nie różną od drugiéj, gdzie każde przejście ma swego brata, każda ulica sklepiona ma swoję siostrę; jego ścieżki przykrzące sobie sznur, za którym prowadzone, *parterre* upstrzony, strumyk wody nikczemny, drzewa poobcinane w kule, w piramidy, w naczynia i posągi marnych pasterzów, popodnoszonych na podstawach swoich. Pozwólmy mu, niech się nachełpi zbytkiem nikczemnym, a ja przekładam czcze pola nad jego smutne Ogrody.

Mijamy zdaleka te nudne przyprawy, te drobne osobliwości, pójdźcie za mną do kraju prawdziwych cudów, do wspaniałego *Wersalu*, do uśmiechającego się *Marly*, które Ludwik, natura i sztuka przyozdobiły. Tam to wszystko jest wielkie, tam sztuka bojaźni nie zna, i rzecz każda w zadziwienie wprawuje. Tento jest sławny pałac Armidy, ogród Alcyny, czyli raczéj bohatyra nawet w ustroniu swojém wspaniałego i wielkiego w spoczynku swoim, który chodząc samemi otoczony cudami, wszędzie zwyciężać i przeszkody lubi przełamywać. Widzisz wodę, ziemię i drzewa, także od niego zwyciężone i posłuszne mu; widzisz, jak z najpiękniejszą budową tych dwunastu pałaców, zielona łączy się architektura; te bronzy oddychające, te rzeki na powietrzu zawieszone wielkiemi bałwanami z pianą i szelestem spadające, a potém rozpływające się wzdłuż najwspanialszych kanałów! tam zlewają się jak płótno rozciągnione, indziéj

---

[1]) *Kent*, architekt i ogrodniczy sławny angielski, pierwszy wprowadził rodzaj ogrodów nieprzymuszonych.
*Le Notre*, Francuz, sławny ogrodnik Ludwika XIV.

niby krzak jaki w górę podnoszą się, a zdybując się na powietrzu z promieniem słońca, kroplami złota, szmaragdu i szafiru ku ziemi lecą. Jeżeli między smutnemi jego gajami zabłąkałem się, tam w tych ustroniach *Fauny* i *Sylvany* zamieszkały; a *Wenus* i *Dyana* oddechem swym słodkim te miejsca ozionęły. Każdy lasek jest tam kościołem i każdy marmur bożkiem: a Ludwik odpoczywający w nim po tłumie zwycięstw, zdaje się, że cały na ucztę Olimp zaprosił. I w takich ci to wielkich robotach sztuka w blasku swoim okazać się powinna. Wszelako utrudzać nas zwykły długie nad czém zadziwiania się. Chwalę ja mowę, w któréj wspaniałe myśli jedna po drugiéj postępują, ale ta rozkosz krótka jest. Porzucam mówcę i idę szukać przyjaciela, który mi do serca gada. Przyozdobieniem sztucznem, spiżą i marmurem, które zbytek wystawia, oko się prędko utrudzi: ale lasy, wody, ciemne zacisze, i taki cały niewinny zbytek, nigdy nie nudził. Przywiąż się więc do naturalnéj ogrodów piękności. Bóg sam ludziom, jakie być mają, pokazał ich wizerunek. Obacz w *Miltonie*. Kiedy jego wszechmocne ręce pierwszym tym ludziom gotowały schronienie, czyliż im tam ścieżki sznurem ciągnione porobiono? Czyliż wody w ich biegu do pewnego ciągu przymnszone? Czyliż obcemi jakiemi ozdobami dzieciństwo ziemi, i ta jéj najpierwsza wiosna poprzystrajana? Bez wymuszenia, bez sztuki, wszystkie najczyściejsze słodycze pierwiastków swoich natura wyniszczyła. Wdzięczne pagórków i równin pomięszanie, wody według ich woli zwolna upływające, ścieżki kryte i dróżyny niepewne, nieporządek przyjemny, niespodziewane miejsc pięknych otwarcia się, wielorakie, a te najmilsze wejrzenia, nad których wybraniem oko zastanawiało się; różniły, zatrzymywały i przedłużały rozkosze ich. Na najzieleńszéj i najczerstwiejszéj murawie, tysiąc drzew zwolna ugina się, i te miejsca przyozdabiając, powonienie, smak i oczy zabawiały. Czasem wdzięczne kupy pozbijane, czasem z niedbałością rozrzucone, uciekały niby od siebie i zbliżały się wzajemnie. Często nagle otwierały w dalekości widowisko niespodziewane: często schylając się aż ku ziemi i zginając gałęzie swoje, słodką zawadą zastanawiały przejście pierwszych rodziców naszych, albo zawieszały nad ich głowami niby wieńce jakie, uplecione z zieloności i kwiatów, które rozsypywały po głowach ich. Mamże wspomnieć o tych lasach i krzewinach, splatających się w sklepienia i ulice? o ich rozkosznych i zakwitłych gałęziach?

W tém miejscu rozkoszném, w środku tego drzewa,
Wdziękiem swego małżonka zniewolona Ewa,
Rumiana, jako gwiazda, która rano wstaje,
Z okiem pełném miłości swą mu rękę daje.



Całe im winszowało zarazem stworzenie,
Niebo przez swą pogodę, woda przez mruczenie,
Ziemia się lekko wstrzęsła czując moc kochania,
Wiatr po grotach powtarzał słodkie ich wzdychania.
Drzewa się poruszyły i schylone róże
Wylewały swą wonność na małżeńskie łoże.

O szczęście niewymowne! o małżeństwo jedyne! spokojne w ogrodach swoich! Jakże szczęśliwy, kto jak wy, żyłby daleki od ucisków pychy, a bogaty tylko w owoce, kwiaty, radość i niewinność!

---

## PIEŚŃ DRUGA.

Ktoby mi dał tę lutnię, co dawnemi czasy
Wzruszała w górach trackich kamienie i lasy!
Brzmiałbym na niéj, by razem ze stron poruszeniem
Okolica się drzewa zasłoniła cieniem.
Pomarańcze, cedr, lipa i dąb wielkorody,
Skacząc przychodziłyby zdobić me ogrody.
Ale dawnéj muzyki zginęło zmamienie,
Dziś lutnia bez téj mocy, bez uszu kamienie.
Drzewo stoi nieczułe, choć się granie uda,
Sama sztuka i praca te wyrabia cuda.

Naucz się więc od sztuki, jakiém staraniem i sposobami dać możesz drzewom różnym wdzięki i ozdoby. Swoim owocem, kwiatami i liściem wdzięcznym, drzewa są ogrodów naszych ozdobą najpiękniejszą. Jakże wiele kosztów na siebie biorą, ażeby się oczom naszym podobać mogły. Tam wspaniale rozszerzają gałęzie swoje wtenczas, kiedy pniak ich prosto wzbija się w górę; tu na wdzięki ich poglądam z słodyczą, indziéj mnie jakaś powaga ciągnie. Na najmniejsze wiatru powianie trzęsą się, albo przeciwko gwałtownéj burzy, głowę swą silną i pień sękowaty nadstawiają: dzikie albo wykształcone, podnosząc albo zniżając gałęzie swoje, jak drugi Proteusz między roślinami, ażeby przyozdobić naturę, kształtem, zielonocią i owocem, ustawicznie się odmieniają.

Te różne drzew odmiany i skutki są skarbem sztuki: czego wszelako gust dobry zabrania nam na los zażywać. Krzewów wielorakich kształt i mnogość, jeszcze się nad różném rzuceniem oka pokazuje. Czasem las głęboki, dziki i zaciemniony, cień niezmierny otwiera; czasem drobniejszy z drzewek wybornych wdzięczny gaj

składa, daléj porozrzucane po pięknéj okolicy wdzięczne urywki lasu oko zadziwione zastanawiają: indziéj, zaufawszy swojéj własnéj piękności, jedno przed inszemi drzewo wybiegło, i jednę ziemię przyozdabia.

Taki (jeśli pozwoli ogród nam spokojny
Wojska wspomnieć ogromne), taki krwawe wojny
Obraz przed naszym zwykły wystawować okiem;
Tu obóz nieprzebyty, i plutony bokiem;
A zamożny w swą siłę i dawne działanie,
Wyszedł rycerz na czoło, sam za wojsko stanie.

Wszystkie te krzewy wielorakie różnych praw swoich słuchają. Dawniéj w ogrodach sztucznych, zbytek nasz pogardzał pięknością drzewa samotnego! dzisiaj przeciwnie podobają się w ogrodach, które stosowniéj do praw natury zakładamy. Szczęśliwém dziwactwem i dowcipnym niejako losem drzewa ich porozrzucane, oczy nasze zabawiać będą. Niechaj się od siebie różnią wejrzeniem, kształtem i odległością; niech zawsze drzewom wielkość, albo przynajmniéj piękność pierwszeństwo daje, a te, które się wstydzą, że nikczemnemi są, niechaj się w tłum ukryją, i przed naszém zatają okiem.

Ale kiedy dąb wieczny, albo jawor w lesie,
Ten puszczy patryarcha głowę swoję wzniesie,
Niech go wkoło otoczy ród jego zdaleka,
Usunie się przez względy i rozkazów czeka.

Tymto sposobem drzewo samotne podoba się nam na gruncie, który przyozdabia.

Z większym daleko wyborem i gustem, po kilka drzew po polu rozrzuconych, tysiąc pięknych sprawują widoków. Z drzew drobnych albo dużych, mnogich albo w mniejszéj liczbie, porób albo laski nieprzebyte, albo gęstwiny lekkie; zdaleka oko poglądać lubi na ten naród braterski. Tymto sposobem miłą tę kształtów ogrodowych odmianę robimy: przybliżamy, albo odsuwamy dalekości, łączymy albo rozdzielamy; nad okolicą rozciągamy, albo cieniów zasłonę odchylamy.

Wasze lasów urywki już są skończone; teraz czas jest, ażeby się i lasy same do praw sztuki przyuczyły.

Lasy wspaniałe! witam. Wasze dziś sklepienia
Nie słyszą bardów dawnych dzikiego nucenia;
Słodkie zmamienie tylko ciągnie pustyniami,
I lochy wasze jeszcze uczą nas wierszami.



Wy mię wierszem natchnęły, cieniom waszym dzięki;
Przyjmijcie dziś powinną szanującéj ręki
Ofiarę jakąś dla was! chciejcie mię sposobić,
Jak bez zniewagi waszéj mam was przyozdobić.

Las może nam się pokazywać pod rzuceniem oka wielorakiém: Tu drzewa zbite gęstwiną swoją zrobią głębokie zaciemnienie. Tam pozwoliwszy przedrzéć się promieniom słońca, i to miejsce orzeźwić, niby dnia z nocą wdzięczną sprawują walkę. Daléj rozproszywszy po gruncie liście swe lekkie, drzewa rozrzucone po pięknéj polance jedne pochylające się ku drugim, a wzajemnie dotknąć nieśmiejące się, zdawać się będą razem i szukać się i uciekać od siebie. Tym sposobem las staraniem waszém może dzikość swoję zagubić; ale pamiętajcie wspaniałych jego charakterów nigdy nie zamazywać. Częstem lasu przecięciem, widoków mniéj ważnych zdarzeniem, nie psujcie całkowitéj piękności jego. Niech będzie jeden, prosty i wspaniały; sztuka zaś niech mu tylko z całym jego przepychem trochę dzikości zostawi. Niech leżą pniaki poprzełamywane, niech czarny potok, albo wylewek jaki w głębiźnie rowu swojego błąkając się upływa. Czasu, wody i powietrza śladów, gubić nie należy. Szanuj i skały, które zawieszone jedna nad drugą zdają ci się grozić, i niech nakoniec w tych miejscach pełnych wspaniałości, wszystko żywą i dziką oddycha pięknością; a ta wiejska lasu okazałość będzie się pewnie podobała.

Gdy mniéj daleko pyszny, ale więcéj mający wdzięków, widok nierównie weselszy oczom naszym wystawia. On się kocha w położeniu milszém i lubi żeby części jego związek jakiś miały między sobą; ucieka, wraca się, błąka się ścieżkami krętemi pomiędzy kwiaty, wody rozkoszne przeprowadza, że zdaje mi się, jakbym w pośrodku niego, upojonego słodkiém próżnowaniem widział jeszcze Epikura, a on rozkoszy życia nauki daje.

Ale to nie dosyć jest, ażeby we środku lasów i gajów dzikie te, a wdzięczne znajdowały się piękności; potrzeba z usiłowaniem i powierzchowność przyozdobić. Najpierwéj zaś pamiętaj, ażebyś lasowych brzegów ogrodzeniem, albo smutnemi temi szpalerami nie zakrywał. Ja chcę las widzieć, chcę przejść w głąb jego i patrzyć na drzewa różne rosnące razem; jedne czerstwe i młodości pełne, insze zgrzybiałe i ze starości sękowate; te przy ziemi czołgające się, insze pyszne tyrany lasu z soku żywiącego ogałacające poddaństwo drzewek przyległych; widok ten obszerny! gdzie myśl moja, obyczajów, życia i wieków obrazy z rozkoszą rozeznawa.

W porównaniu tych wielkich widoków, czémże będą te zielone zagrody, których kształt naprzykrzony zasmuca wejrzenie, kształt

zawsze jednaki i zawsze spodziewany? O ty bawiąca różności! Ty rozkoszy wzroku! przybądź! przybądź i przerwij tę nudzącą równość, zepsuj tę smutną węgielnicę i sznury przyciągnione porozrzucaj.

Pomięszaniem szczęśliwém wyskoków i zakrętów lasy być mają przyozdobione. Oko, które się nudzi drzewami swornie usadzonemi i za jednym razem aż do końca rzędu przepada, miło mu jest przebiegać brzegów tak różnych kształt niespodziewany. Błąka się, bawi się, w tych zakątach rozlicznych, koleją z niemi zacieka się i znowu z niemi powraca. Nad różnemi widowiskami, które ich łańcuch składa, z miejsca do miejsca, z rozkoszą odpoczywa. Tym sposobem lasy powiększać się zdają, a w swoich długich przebiegach odmieniając wyskoki swoje i rozkosz razem odmieniają.

Ułóż więc kształt ich. A najpierwéj wybrać należy drzewa, które podług gustu stać się powinny ofiarą twoją. Wszelako nie kwap się z tém; potępiaj je z politowaniem: i niżeli wypełnisz wyrok surowy, pomyśl, jak one czasu długiego są robotą, jak wszystkie twoje skarby cienia ich zapłacić nie mogłyby! i jakiéj słodyczy kosztowałeś pod ich kiedyś cieniami uchroniony.

Często jednakże pan ich niewdzięczny, bez potrzeby i litości wycinać je rozkazuje.

Obalone na ziemię obrażoną, giną!
Już te miejsca rozkosznym uchronem nie słyną,
Gdzie dowcip myślił, miłość miała grzeczne schadzki,
Ach! przez te lasy święte! gdzie kiedyś wieśniackiéj
Młodzieży tańce były; te chłodników ślady,
Kędy poczesne wasze spoczywały dziady,
Świętokradcy! szanujcie te pniaki czcigodne,
I kiedy im grubość i wzrosty dorodne
Wiek rozdał ich rówiennik, dał jeszcze i wdzięki;
Na poważną ich starość nie podnoście ręki.
Przyjdzie czas, że tym drzewom laty nadpsowanym,
Ustąpić trzeba będzie drzewkom młodocianym,
Gdzie padną pod żelazem i ich pyszna głowa
W marnym popiele dawną chwałę swoję schowa,

O Wersalu! o żałości! o gaje i ogrody najwdzięczniejsze! Naczelne dzieło wielkiego króla, *Le Notre*, i czasu! Już siekiera do korzenia waszego jest przyłożona i wasza godzina przyszła! Te drzewa, których pycha aż do chmur samych podnosiła się, uderzone żelazem, chwiejąc się po powietrzu wierzchołkami swojemi, nagle upadają i pniakiem ogromnym zawalając te drogi, nad któremi kiedyś gałęzie ich w sklepienia się wspaniale zaginały. Już upadły te lasy, których postać poważna zasłaniała wielkiego Ludwika czoło zwycięskie. Te



lasy, gdzie najsłodsze zwycięstwo obchodząc najokazaléj, przemysł rozkoszny pomnażał jeszcze uroczystości.

Miłości! w co się obróciły teraz te uchrony najwdzięczniejsze, które pyszną Montespan widziały wzdychającą? W co się obróciły zacisza, gdzie ta wdzięczna i czuła *Vallière* kochankowi swemu przy niéj rozpływającemu się, i z rozkoszą jéj słuchającemu, serca swojego sekret odkrywała; i nie spodziewając się jeszcze, ażeby była kochaną, już swego wyznawała zwycięzcę. Czyż nie widzisz? jak te leśne mieszkańce uciekają? Ten naród ptaszy, pyszny kiedyś przebywaniem w ogrodach tych, schronieniu królów poświęconych, w których niegdyś śpiewał miłości swoje, dziś z dawnych siedlisk i gałęzi ich wypędzony! Te bóstwa, któremi dłuto kamieniarskie—zielone zaludniało przysionki zasłoną kiedyś zieloności przybrane, dziś ze wstydem odarte, za wdzięcznemi swojemi płaczą cieniami; i Wenus sama bojąc się, ażeby nie była obaczona, pierwszy raz podobno zadziwiła się, że nago stoi.

Wzrastajcie, śpieszcie się z cieniem waszym, zaludniajcie te pola, drzewa młodociane! A wy drzewa, pod żelazem upadające, miejcie stąd pociechę jaką, że świadkami będąc słabości ludzkiéj, widziałyście, jak także *Kornel Turenne* upadł. Wy to już setną wiosnę pamiętacie; ach! a nasze dni najpiękniejsze ulatują najprędzéj, ulatują na zawsze.

Szczęśliwy więc, kto posiada lasy z wiekami wzrosłe, ale szczęśliwy niemniéj, kto sam sobie gaik założył, te drzewa, które z czasem piękności nabywają! on może mówić, jak Cyrus: ja to je zasadziłem. Ty więc, który jeszcze panem jesteś planty ogrodu twego, chroń się najbardziéj, ażebyś go nadto wcześnie nie zakładał, jak malarz zatrzymuje pędzel swój i długo w myśli układa obraz; tak ty planty twojéj razpamiętywaj ułożenie. Trzeba się poznać na miejsca okolicy i prospektach, trzeba wiedzieć, jak wdzięczne są lasy na górach zawieszone, jak są wspaniałe, po równinie rozległe.

Tak jak znasz kolor i kształty z sobą zgadzające się, potrzeba ażebyś znał farby i kolory różniące się między sobą. Jesion z drugiemi na powietrze wzniesionemi gałęziami, sprzeciwiać się będzie wierzbie, z długiemi także, ale opuszczonemi gałęziami. Zieloność topoli sprzeciwia się dęba zieloności. Ale sztuka dowcipna te ich nienawiści pogodzić może i szczęśliwy téj zgody pośrednik drzewo jakieś z obojga coś mające, pogodzi je między sobą. I tymto sposobem przydając jakąś farbę pośredniczą *Wernel* dwóch przeciwnych kolorów gasi antypatyą.

Umiéj więc poznawać się na zażyciu tych różnych zieloności, mniéj lub więcéj świetniejsze, jasne, czyli zaciemnione być mogą. Takim sposobem odmieniając je, w okolicy twojéj możesz z jakimśći

wyborem różność cieniów układać; i stąd silne albo słodkie, niby walczące, albo z sobą zgadzające się skutki wyprowadzać.

Uważaj je najbardziéj, kiedy w czasie bladéj jesieni blizkiemi już są zwiędnienia: cóż tam odmian, co wspaniałości i blasku? Purpura, pomarańcza, opał i inkarnat bogatemi się swojemi farbami popisują!

Ach! cały ten znikomy blask upadek znaczy.
Taki jest los powszechny!.. wkrótce zadziwaczy
Akwilon niespokojny, zostawi las goły,
Uściele zdartym liściem wilgotne padoły:
Te, co chwila na ziemię lecąc obnażoną,
Jeżeli komu przyszło przechodzić tą stroną,
I coś myślił samotny: przerwą zamyślenie,
Lecz to nawet ma dla mnie wdzięki spusztoszenie.
Tam, jeżeli z mém tęskném sercem sam zostanę;
Jeśli gorzkie wspomnienie rozjątrzy mą ranę,
Idę, gdzie tylko smutek wiedzie mię ponury,
I lubię łączyć żal mój z żałobą natury.
Te gałęzie uwiędłe; i tych drzew zbutwiałe
Sam błądząc depcę nogą reszty pozostałe.
Minęły dni rozkoszy i młodość, niestety!
Słodka melancholio, przybądź.... ale nie ty,
Co ciemną posępnością czoło zawiązane:
I nogi masz w niezbytych troskach uplątane!
Lecz z okiem wpółodkrytém, jak w jesiennym czasie,
Środkiem mgły grubéj promień słońca przedziera się;
Przyjdź, z twarzą zamyśloną, z czołem niesurowém;
Przyjdź z okiem łzy najsłodsze wylewać gotowém.

Ale wtenczas, kiedy serce moje takiemi zabawia się myślami, krzewów różnych tysiączne pokolenia ciągną mię na stronę swoję. Przystąp, narodzie wdzięczny! Ty pośrednim jesteś między kwiatami i drzewami; przyjdź twoją postacią najkształtniejszą scenę naszę przyozdobić. Och! gdyby mi nie tak pilno było kwapić się do dzieła, które sobie za cel założyłem, jakąż stąd rozkosz miałbym prostować gałązki wasze? Odradzałbym was pod stem coraz inszych postaci, ręka moja wodąby was podlewała: w sklepienia, w ściany układałbym gałązki wasze, z lekka umotane naokoło wiązów tych, jak wizerunek jaki wdzięków z siłą połączonych, po silnéj korze ich ramiona wasze zwijałyby się; przemieniałbym kolory wasze i od najczystszéj białości, najżywszego inkarnatu, aż do najciemniejszego błękitu oka nasyconego rozkosz odmieniając, wasze upierzenia, kwiaty, pączki okrągłe i kształty niby kielichów, na zuchwał łączyłyby się do pracy mojéj, że sam *Van-Huysum* zazdrościłby obrazowi mojemu.



Wy! którym niebo w obfitości tych krzewów udzieliło, umiejcie zażyć ze sztuką okazałości ich. Podzielcie je na różne pory roku, niech każdy przynosząc wonność swoję i kolor, w swojém się miejscu i kolei pokaże i niechaj na czole roku wieniec z tych kwiatów nigdy nie więdnieje, a tym sposobem ogród twój z czasem się odmieni. Miesiąc każdy ma swoję wiosnę, która wkrótce niszczeje! Wszelako zręczność twoja może ci nagrodzić jeszcze tę krótką trwałość piękności tych. Niech staraniem roztropném wszystkie te drzewka tak będą zasadzone, ażeby chociaż zostaną bez kwiatów, nie zostawały bez piękności. I tym to sposobem dowcipna *Egle*, chcąc przedłużyć swoje panowanie, ku końcowi już pięknych lat swoich, umié nas jeszcze zwodzić.

Niebo samo, mimo ostrości powietrza, ze wszystkich darów swoich zimy nie wydziedziczyło. W téjto porze, wiatrów zawistnych pogardzając zuchwałością, wiele drzew liście jeszcze swoje zatrzymuje. Patrz oto cisina, bluszcz, żywiczna sosna, świecący się ostrokrzew, ościami kolczastemi uzbrojony, i lauru zieloność nieśmiertelna, nagradzają ziemi stratę i za znieważoną mszczą się naturę. Patrz, jako owoce ich farby purpurowéj z zielonością gałęzi, najżywszą mięszają barwę i w pośrodku pól obnażonych zastanawiając mnie ich szata najwdzięczniejsza, im bardziéj niespodziewana jest, tém mi zdaje się milsza. Taką tedy sztuką ogrody wasze przyozdabiajcie. Tam pewnie miło wam będzie pięknego dnia zażyć promieni, tam ptaki (kiedy gdzieindziéj ziemia ogołocona) zlecą się, pod zieloném liściem ucieszą, tam zwiedzione przez miejsce, nie poznawając się na czasie, zdawać się im będzie, że już piękne dni powróciły i pieśń swoję o wiośnie zaśpiewają. Tak, ten uchron piękny podobać się musi, chociaż nie będzie nadto wymyślny.

Ale i królów ogrody z większą nierównie sztuką i zachodem z zimy tryumfują. Świadczę się o *Monceaux!* [1]) twemi zawsze zielonemi ogrodami! Tam drzewa, którego niemasz, pień udawany! niby czarodziejską sztuką groty i sklepienia porobione! wszystko cię razem bawi i zadziwia. Tam nie dbając na zimę róża w pośrodku lodów rozwija się; a czas i *klima* cudami zwyciężone, zdają się, że czarnoksięską sztukę wyniszczyły.

Ale tak dziwne twory i omamienia ich nie są ogrodów ozdobą najpiękniejszą. Cokolwiek przyzwyczajenia się do nich prędko smak odejmuje, który w takich ogrodach mieliśmy. Częstokroć gdy kto obcy z rozkoszą takiemi bawi się ogrodami, pan ich własny nudzi się i nic już w nich znaleść nie może. Czyliż nie ma sposobu ja-

[1]) *Monceaux*, ogród zimowy książęcia de *Chartres*.

kiego, przez któryby tajemne wdzięki ich zawsze ci jednako piękne i miłe były? O jakże podoba mi się zwyczaj Lapończyków szczęśliwych! jakże dobrze oszukać umieją zimy ich twarde! Nasze lipy wspaniałe, nasze wiązy zamożne, tych pól nieprzyjaznych zimności obawiają się! jakiéjś tam czarnéj jedliny marna zieloność ledwie gdzeniegdzie na gruncie ich zimnym pokaże się; ale najmniejsze drzewko, któremu tamto *klima* pofolgowało, przez sposób nierównie słodszy, oczom ich podoba się. Zasadzone na pamiątkę przyjaciela, syna, ojca, albo gościa, który się z żalem oddalił, drzewa zatrzymują nazwiska ich, nazwiska miłe na zawsze.

Wy, których ojczyznę łaskawsze niebo oświéca, możecie naśladować ten wynalazek szczęśliwy; on odżywi wszystko. Wasze drzewa i gaje tym sposobem nie będą ani milczącemi, ani opuściałemi, będą zamieszkane przez pamiątki bez liczby i wasi przyjaciele nieprzytomni cieniom ich piękności jeszcze przydawać będą.

Cóż wam przeszkadza, kiedy dobre niebo pozwoli wam nakoniec cieszyć się dziecięciem, któregoście nie mieli, zasadzoną latoroślą, gajem, albo laskiem dzień ten naznaczyć? Ale wtenczas kiedy ty, Muzo, śpiewasz, jakiż okrzyk wzbija się razem na powietrze? Oto dziedzic berła królów naszych urodził się w naszych murach, w naszych polach, nad wodami naszemi, nasza armada tryumfująca ogłasza go obiema światom. Dla przyozdobienia kolébki jego mało to jest same przynosić kwiaty, przynieście jeszcze laury i palmy zwycięskie. Niech najpierwéj spojrzawszy na ziemię, na dzień zaraz chwały pogląda, niech rodząc się, pieśni zwycięskich śpiewanie słyszy. Taka uroczystość, najczystszéj krwi Burbonów powinna jest. A ty, przez którą niebo ten kosztowny dar nam sporządza; ty, przez którą ten najpiękniejszy węzeł, ten Niemców i Francuzów najdroższy związek między bratem i mężem zrobiony, których niby dwóch wspaniałych wiązów zetknione gałęzie wieniec z kwiatów połączył, — siostro! matko! i żono najzacniejsza! Przeznaczenie nakoniec mięsza ze smutkiem pogrzebu owoc małżeństwa twego i łzy w oczach twoich z uśmiechem zakłócając, kiedy utracasz matkę, daje ci syna. Insi w zapale wesołości, którą ten dzień sprawuje, płótno, marmur, albo lutnią ożywią, ja w pokorze, ogrodów nizkich przyjaciel, w te miejsca pójdę, gdzie Flora i Zefiry same dwór twój składają, pójdę do *Trianon*. Tam na hołd szczególny, synowi twojemu, wieku jego krzewinę poświęcę, i gaik imieniem jego zaszczycę. Ten prosty podarek, te drzewa młodociane, ogrodów tamtych ozdoby najwdzięczniejsze, wzrastać będą pod oczyma twojemi, a syn twój razem z niemi wzrastając, będzie kiedyś pod ich cieniami braterskiemi spoczywał.

Już nakoniec używasz! a serce i oczy pozwalają ci słodkie w lasach uchrony twoje. Czyliż chcesz jeszcze do rozkoszy i chwałę przydać? Czyliż chcesz z sztuki nawet twojéj zwycięstwo otrzymać? już umiejąc szczęśliwie przyozdabiać ogrody, bądź w nich jeszcze niejako i stworzycielem. Patrz, jak tajemnie natura wzburza się i widać w niéj żądzę jakąś, aby coś ustawicznie rodziła i wydawała! Ty ją wspomagać nie chcesz! Któż zgadnie, w skarbach swoich jakie jeszcze dobra przemysłowi naszemu zostawiła? Jako sztuka według swego upodobania wiedzie zabiegi wody, podobnym sposobem prowadzić może sok płodny i ożywiający. W ogrodach twoich, nowém między sobą drzew różnych pożenieniem bogatych, sokom ożywnym nieznane im przedtém pokazuj drogi, nowe pootwieraj kanały, które są jeszcze czyste i nietykane, z inszemi pomięszaj je, przykładając się do tego, ażeby własności ich wzajemne wspólnie udzielały się sobie. Jakże wiele drzew, kwiatów i owoców znajdziemy, których sztuka, smak, wonność i kolor przemieniła? Takim odmianom brzoskwinia swoję powinna chwałę, tym sposobem potrójną koroną szczyci się róża, i wdzięczny goździk swoim kędziorem pyszny. Potrzeba to ośmielić: Bóg świat utworzył, a człowiek go przyozdabia.

Jeżeli zaś nie śmiesz takich próbować zwycięstw, jakże wiele bogactw pod inszém niebem dla ciebie przygotowanych? Zażyj tedy tych skarbów. Tak niegdyś Rzymianin pyszny, ów wydzierca sprawiedliwszy i zwycięzca więcéj mający ludzkości, nowemi zbogacał się owocami, tak sprowadzał do Włoch z Damaszku śliwki, z Armenii morele, od Gallów gruszkowe drzewa i tyle wielorakich owoców: a tak nawet należało się świat cały sobie podbijać. Kiedy Lukullus zwycięzca, z Azyi tryumfował; miedź, marmur i złoto, biły w oczy Rzym zaślepiony. Człek mądry między tłumem ludu natenczas zamięszany, wolał na niego patrzyć, jak rószczkę drzewa wiśniowego na tryumf Rzymianom niesie. A ciż sami Rzymianie, czyliż nie widzieli ojców naszych w szykach uzbrojonych pod niebem szczęśliwszém winogradu szukających i chorągwie zczerwienione winem zwyciężonych narodów Bachusowi poświęcających? Owocem dzieł nieśmiertelnych zagrzane wojska ich, powracały do domu z pieśniami, niosąc te łupy najkosztowniejsze. Winną latoroślą skronie swoje uwieńczali, i winna latorośl wieńcami powiązana po włóczniach ich zawieszała się.

Tak zwycięzca Gangesu powracał Bóg wina,
Każda ów powrót święci góra i dolina.
I gdzie tylko ten napój cudowny zapłynie,
Wszędzie rozkosz, wesołość i odwaga słynie.

Gallów potomkowie! przodków naszych naśladujmy: Wydzieraj-

my i o te łupy ziemi ubijajmy się. Patrzmy w tych ogrodach, które się chlubią z tego, że są w ręku, co berło Temidy piastowały, jak krew domu *Lamoignon* i wymowny *Malesherb*, grunt nasz tysiącem pysznych latorośli ubogacili. Tam od końca świata pozbierane rośliny, z wierzchołka gór i brzegów morskich, od stron zachodnich i wschodnich, od gorącego południa i zimnéj północy, dzieci słońca i zimy sprawiły to, że w mili jednéj tysiączne przebiegam kraje. Tym tłumem wybornym otoczony, z Ameryki do Europy, z Afryki przejeżdżam do Azyi. Wszystkie te obce rody między dawnemi naszemi roślinami z ochotą szykując się, grunt nasz ulubiły, a daleki cudzoziemiec z kraju, który porzucił, drzewa poznając i widząc je też same, powątpiewa o wygnaniu swojém, i wspomnieniem słodkiém serce jego wzrusza się. Biorę cię na świadectwo młody Potawery [1]).

Z szczęśliwych O-taity gruntów, gdzie się rodził,
I gdzie miłość bez wstydu z niewinnością godził, [2])
Ten dziki, ale razem w swéj prostocie miły,
Z za morza dalekiego młodzian tu przybyły,
Żałował w sercu swojém i słodkiéj wolności
I wyspy swojéj wdzięcznéj i łatwéj miłości.
Nudząc się w miastach naszych, często odezwie się:
„Wróćcie mi moje lasy! ja wolałbym w lesie."
Dnia jednego w ogrodzie, gdzie koszty wielkiemi
Ludwik z tysiącznych w jednéj pozgromadzał ziemi
Różne świata rośliny, co się dziś stykają,
Dziwiąc się same sobie, że razem mieszkają:
I kiedy swe polecie z miejscem odmieniały,
Zebrały się, aby hołd Jussiemu dały.
Indyjczyk przechodząc się między ich gromady,
Gdy razem postrzegł wśród téj zielonéj osady
Drzewo jedno, które znał od dzieciństwa swego;
Nagle bieży ku niemu, wśród krzyku wielkiego,
Niespodzianym widokiem poruszony znacznie,
I łzami go obleje i całować zacznie.
Tysiąc rzeczy zarazem w pamięci mu staje,
Te wdzięczne, w których kiedyś igrał z dziećmi, gaje,
To niebo, co go dawniéj szczęśliwym widziało,

[1]) Potawery jestto imię mieszkańca wyspy niedawno znalezionéj O-taity, sprowadzonego od pana de *Bougainville*: to, co się tu mówi o tym młodzieńcu z O-taity, prawdziwe jest. W ogrodzie poznawszy drzewo kraju swojego, ściskał go i ojczyznę swoję przypominał.

[2]) Mieszkańcy O-taity wstydu nie znają.



Ta rzeka, którą często wpław się przebywało,
Ta puszcza, pod pociskiem gdzie legł mu zwierz dziki,
Drzewa dające owoc i razem chłodniki,
I nizki dach ojcowski i las w przyległości,
Który lubił powtarzać pieśń jego miłości:
Na to wszystko, zda mu się, że razem poglądał,
I obaczył kraj na czas, co go widzieć żądał.

## PIEŚŃ TRZECIA.

Opiewałem ogrody, lasy, sad zielony;
Kiedy potrzykroć trąba zabrzmiała Bellony;
Na ten krzyk porzucając ojczyste podworza,
Lecą nasi rycerze za dalekie morza,
I Mars nasz, zatrudniony ważnemi sprawami,
Pozostawiał Wenerze ogrody z gajami.
Bóstwo pól! które pokój lubicie niewinny,
Nie bójcie się! Nie chce was Ludwik dobroczynny
Wyniszczać; ale raczéj na odległe lądy
Przeniesie i rozszerzy słodkie wasze rządy.
Chce, by lud przyjacielski zdawna uciskany,
Zbierał z roli pożytek swą ręką zasiany.
A wy, młodzi rycerze, dziwiący świat nowy,
Nie mogę ku Jorkowi wasz zapęd Marsowy
Ścigać po wielkiém morzu, ale powróconych
Muza ma witać będzie w ogrodach zielonych.
Już kwiatom nakazałem rość na waszę głowę,
Już wam skronie uwieńczać mirty są gotowe,
Przygotowałem dla was wody szemrające,
Murawę jak najmiększą; ulice chodzące,
Gdzie słodko spoczywając zapomniawszy toni,
Powiadać nam będziecie sławę naszéj broni.
Wtenczas, gdy dzieci wasze wkoło zgromadzone,
Nadzieją wsparte, albo strachem przerażone;
Słuchać będą przypadków, co się wam trafiły,
I bać się niebezpieczeństw, które ustąpiły.

Skończmy już w te chłodne schronienia się przyozdabiać. Przedtém w ogrodach naszych piaski nieużyteczne, smutne, suche i światło słońca odbijające, nogi i oczy nasze ntrudzały. Wszystko było nagie i słońcem upalone, aż nakoniec Anglia nauczyła nas sztuki

ziemi przyozdobienia. Dbaj więc o tę murawę usłaną na łonie jéj, ustawicznie ją skrapiaj, w pragnieniu zasilaj, albo z kosą w ręku przycinaj jéj trawę. Niech ją kamienny wał toczący się przytłacza. Niech zawsze dobrze wybrana, złączona, ściśniona i od chwastu nieużytecznego wolna, miękkiego puchu delikatność utrzymuje. Jeżeli się zaś starzeje, staraj się odmłodzić ją: zachowaj jednak w miejscach nie nadto oddalonych najpiękniejszą jak można zieloność i murawę twoję; z reszty zaś zrób dobrą łąkę, którą niech owce twoje uprawiają. A tak za jednym razem zrobisz pożytek trzodom, uprawisz pola i piękny dasz oczom widok. Nie wstydź się więc, chociaż pycha temu przeciwna będzie, wołom i płodnym krowom ogrody twoje otworzyć, które je pewnie tém nigdy nie znieważą, tak jako i wierszów moich nie poniżają.

Ale to mało jest obszerne porobić murawy; należy jeszcze z jakimsiś gustem kształt ich układać. Chronić się potrzeba, ażeby w czworograny jednakowe, albo w nudzące cyrkuły nie były układane. Nie chciałbym je nigdy widzieć ciasno zwężone, bo wolność ich niejako jest ich najpiérwszą pięknością. Niechaj czasem w lasku pod cieniem drzew ukrywają się, a czasem las niby niech sam ich szuka. Takie to jest pięknéj murawy proste i czyste zażycie. Jeżeli zaś chcesz ją lepiéj jeszcze przyozdobić, naśladuj naturę. Ona przystraja łąkę farbami najprzyjemniejszemi; kwap się, ogrody twoje także żądają od ciebie kwiatów.

Kwiaty! natura w wasze stroi się kolory!
Sztuka w swoich obrazach z kwiatów bierze wzory,
Czysta serca ofiaro! waszych darów staje,
Czyli je przyjaźń bierze, czyli miłość daje.
Waszém przyozdobieniem twarz piękna się chlubi,
Was w swojém towarzystwie laur zwycięski lubi;
Rzeźwy wieśniak daje was swojéj ukochanéj
Na znak i na nagrodę cnoty szanowanéj.
Ołtarz sam, gdzie się cała wielkość Boga mieści,
Ofiarną darów waszych wonnością się pieści;
I te bukiety, które pobożność zwinęła,
Sama je religia z uśmiechem przyjęła.
Córki słońca i rosy! Ogrodna wam rola
Siedliskiem. Chciejcie nasze przyozdobić pola.

Nie czekajcie jednak, ażebym zbytecznie do was przywiązany, miasto zasadzania w gęstwinie dłuższéj, albo między krzakami rzadzéj rozrzuconemi, wyglądając rozwinienia się kwiatku nowego, od grzędy do grzędy, od zagrody do zagrody przechodził, uważając z pil-



nością farby i odmiany wasze. Ja wiem; że w Harlem [1]) ci bałwochwalcy kwiatów, w głębokości ogrodów zamykają się z kwiatkiem swoim, aby widzieli renonkuł, niżeli zorza zabłyśnie: ażeby się zadziwiali nad pięknością jedynego swego anemonu. Albo téż szczęśliwego sąsiada zazdroszcząc sekretowi, wielu pieniędzmi kropki na goździkach przepłacali. Zostawmy im ten zbytek przywiązania, niech posiadają kwiaty jak zawistni i niech ich używają, jak skąpcy.

Bez podległości sztuce wykwintnéj, kwiaty! ozdobo pól i oczu rozkoszy! waszą bogatą barwą przyozdabiajcie mi ziemię. Przyjdźcie; ale w obrębie parteru nie zamykajcie się; niechaj wszędzie bogactwa wasze będą rozsypane. Czasem wdziękami swojemi tę zieloność przyozdabiajcie, czasem okrywajcie brzeg ścieżki, czasem w bukiety zwijajcie się, i osłaniajcie miejsca zasklepione; jak rozkoszny Meander przy brzegach potoku wieszajcie się, otykajcie mury, albo zebrane w koszyku słodyczą wonności pszczoły zatrzymujcie.

Niech sobie *Rapin* [2]) za wami postępując, w każdéj porze roku wszystkie wasze rysy opisuje, wszystkie wasze nazwiska wspomina; te długie wyliczania prawdziwemu gustowi sprzeciwiają się.

Lecz któż winnego róży hołdu nie oddaje?
Róży, z któréj Wenera swoje składa gaje,
Wiosna swoje girlandy, Miłość swe bukiety,
O któréj Anakreon śpiewał i zalety
Szukał Horacy, kiedy dniami świątecznemi
Głowę swą przyozdabiał wieńcy różanemi!

Ale tak rzecz powabna nadto mnie podobno zatrudnia wtenczas, kiedy się do rzeczy nierównie ważniejszéj malowania zapędziłem. O wy! po których przechadzałem się, miękkie murawy! wy łąki wdzięczne, żegnam was! Gaje zielone, żegnam! Te bryły skał bez rządu porozrzucane, swoim nieskładnym pozorem zastanawiają mnie.

Z naszych dawnych ogrodów polnych wymuskanéj jednakowości, skał wspaniała dzikość była wypędzona; aż za czasem malarz pewne naznaczając układy, przewiódł prawo nad bojaźliwym ogrodu miernicznym, i nasze ogrody jego naśladują roboty. Ale chociażby co i przyczyniły ozdoby te bryły skaliste, jeżeli grunt sam nie przykłada się do tego, napróżno sztuka, ten rywal pyszny natury, niewiernie ją naśladować zapędza się.

---

[1]) Harlem, miasto holenderskie, gdzie jest sławny handel na kwiaty i to jest wiadomo, jak Holendrzy zawistni są o swoje kwiaty.

[2]) Ksiadz Rapin napisał poema o Ogrodach w czterech pieśniach w języku łacińskim.

Z wierzchołka prawdziwéj skały,
Dzikiego swego mieszkania,
Natura śmieje się z całéj
Sztuki skał dzikich zmyślania.

Porzuciwszy na stronę te niedołężne roboty, które nam próżne usiłowanie wystawia, *Whateli*, ja idę za tobą na pola *Midleton*, na góry *Dowedal* [1]), na nie ja z tobą wstępuję. Jakże mnie na tych miejscach wdzięczny jakiś postrach obejmuje? Wszystkie te skały, swemi olbrzymiemi różniące się wierzchołkami, wystrzelone ku niebu, zwalone w przepaści, jedne przez drugie wsparte, jedne leżące na drugich, albo na powietrzu zawieszone; insze niby wyrobione w arkady i wieże: przez insze środkiem ciemnych jakoby przysionków w dalekości błękitność nieba przegląda; tam czyste źródło, indziéj strumienie wdzięcznym swoim biegiem zapędziły się! Wszystko to przypomina nam te uchrony magiczne i śpiewane przez poetów pełne rozkoszy miejsca. Szczęśliwy! czyje pola w blizkości takie miéć mogą widowiska.

Ale w obrazie twoim okazywałoby to ostrość jakowąś. Chcąc tedy dzikość skał takich nieco ugłaskać, trzeba do tego czarów i czarnoksiężnika. Czarownikiem naszym sztuka, a lasy czarami będą. Ona zechce i zaciemnią się na głos jéj skały; chlubiąc się niby z pożyczanéj sobie wspaniałości. Ale przyozdabiając tak dzikość ich surową, dawaj zawsze plancie twojéj odmiany jakie. Pokaż patrzącym walkę, jakoby tonów, kształtów i barwy, niechaj najpiękniejsze skały pokazują się na przemiany; bo czyliż sam nieprzerwałbyś tych brył nudno jednakich? Zasłoń, otwórz, i mięszaj razem skały pomiędzy lasy, i lasy między skałami.

Czyliż nie masz jeszcze dla przyozdobienia ich i drzewek, które błędnemi uściełają się gałęziami? Lubię patrzyć na cienkie latorośle po suchym skały boku spinające się; na skał łysą i dziką głowę, kiedy przybierze się w zieloność, i cieniem przykryje się! Jeszcze to mało. Między temi skaliskami dolina wdzięczna i ziemia płodna czyliż się do ciebie nie uśmiecha? Zażyj téj łaski natury, odsłoń wzrokowi gruntu płodnego skarb niespodziewany; tak nagła odmiana zawsze szczęśliwa będzie. Ta to jest obfitość, która u czczości gruntu kawałek ziemi uprosiła, i tym sposobem dziką skał naturę ugłaskać możesz.

I cóż? czyliż to zawsze przyozdabiać je potrzeba będzie, ażeby ci się podobać mogły? Nie: sztuka, która ułagodzić powinna okropność

[1]) Te miejsca są w Anglii, które opisywał Whateli.



ich, czasem im pozwala, a nawet do tego pomaga, ażeby w swojéj zostały się dzikości. Ona nad brzegami przepaści prostą wystawia chatkę, przez co przepaść jeszcze się wydaje większą; czasem ze skały jednéj nad drugą most niespodziewany przerzuci.

Na tak przechód niepewny drżę ze strachu cały,
Jak słabym się pomostem złączyły dwie skały,
I wśród zaciekłych myśli okropnéj zacisze
Mniemam, że się nad samą przepaścią kołyszę.
Wszystko mi wtenczas łatwo w głowie się pomieści.
Co mi lud pospolity nagadał powieści:
Jako się tam podróżnych wiele pogrążyło;
I nieszczęśliwych kochanków umyślnie skoczyło.
Baśnie dawne, pospólstwo, które zabawiają,
I długie prędko wiernym wsiom nocy skracają.
Co kiedy mu okropność miejsca pozór daje,
Na czas jakiś do prawdy podobném się staje.

Ale tych ostatnich obrazów z miarą zażywaj. Serce nasze wo spokojność szczęśliwą i poruszenia łagodne, niżeli gwałtowne widoków uderzenie. Ja tego sam doświadczyłem, że z wierzchołka gór moich słodko mi było schodzić na uśmiechające się doliny, które przyozdobiłem kwiatami i gaikami; i już czas jest, ażeby między cieniami ich woda upływała. Tak jest, jeżeli wierzchołki gór waszych przedtém obnażone, z przepisów moich już są przybrane zielonością. O skały! otwórzcie mi źródła podziemne! Wy rzeki! strumienie! piękne jeziora! wody przezroczyste! Przybądźcie, roznoście wszędzie życie i czerstwość. Ach! i czegóżbym mógł lepiéj miasto was zażyć? Zblizka woda nas bawi; zdaleka wzywa; to jest, czego szukamy najpierwéj, i co porzucamy na końcu. Ona płodną nam czyni ziemię, i odbija na sobie niebo; zabawia ucho i oczy głaszcze. Wody, przybądźcie! O, gdyby wiersze moje, ścigając was w zapędzie waszym, obficiéj jeszcze, niżeli nurty wasze płynęły! gdyby były rzutniejsze niżeli wiatry, które poginają trzcinę na brzegach waszych, tak wdzięczne, jak szemrania wasze, i tak czyste, jak wy jesteście!

A wy! którzy możecie kierować temi wodami dobroczynnemi, szanujcie w spadaniu uchody, a nawet czasem dziwactwa ich. W téj łatwości wolnych zapędów strumyka, patrz, jak woda za brzegu swojego zakrętem idzie; jakiém tedy prawem ośmielasz się, niewoląc mu gibkość, więzić uchody jego? Cóż mu ozdoby przydadzą wszystkie marmury, któremi go ściskasz? Widzisz, z temi włosami na wiatr rozpuszczonemi, bez przymusu, bez sztuki i bez obcego przybrania, jak ta pasterka igrając, bieży! Jéj całe wdzięki są w téj wolności

i niedbałości! Ale w pośrodku seraju rozważaj piękność: napróżno ona zaślepić pragnie swoim zwodniczym pychy azyatyckiéj ubiorem; ja nie wiem, coś tak smutnego odbija się w ozdobach tych, i odkrywając nam we wszystkiém przymus, pohańbia wdzięki jéj.

Niechaj więc woda zachowa tę, którą lubi wolność, albo samę nawet niewolą jéj, staraj się pięknie przystroić. A tak mimo wszystkich uwag *Morela* (którego głos wymowny za prawami prostéj natury tak się ujmował), lubię te igrzyska, gdzie woda w ściśnionych rurach płynąc, wyrywa się, i siłą wyrzucona, wznosi się w górę. Na wejrzenie na te wody, które sztuka ośmielona z ziemi aż ku niebu podnosi, człowiek sobie rozmyśla, i w takich widokach sam zadziwia się nad sztuką swoją. Niech więc będą te w górę wybijające źródła u panów tylko i królów: ale powtarzam jeszcze, zbytek miejski niechaj się tego chroni, gdzie słabe wyrzucenie wody nie śmiejąc porzucić ziemi, ledwie co że się podniesie, wnet o dwie stopy od gruntu niknie.

Mało to jeszcze. Wszystko powinno być zgodne w tém bogatém ogrodów przystrojeniu. Niechaj naokoło wszystko ma postać uśmiechającéj się piękności. Umiéj to wmówić oczom, że niby laską swoją czarnoksięską uderzywszy czarownik jaki, te miejsca na swoje obrał schronienie. Taki ja ogród w Saint-Cloud widziałem. Oko rzutu wód zuchwałego wysokość mierzy, które jedne nad drugie wyskakując, góry, gaje przyległe do nich uśmiechają się: murawa tam zieleńsza, powietrze czyste, i ptaków śpiewanie przy szeleście wód spadających ożywione; drzewa zaś, nachylając skropione gałęzie swoje, zdają się dopiero rozwijać pod tą rosą najsłodszą.

Prościejsza i więcéj do życia na wsi podobna, a razem niemniéj oczom przyjemna kaskada, przyozdobi miejsca najdziksze. Zblizka dziwimy się, a słyszymy zdaleka te wody zawsze spadające i zawsze na powietrzu wiszące, jak odmieniając się ustawicznie, ożywiają razem skały, ziemię, wody i lasy. Zażyj więc téj sztuki; ale chroń się kaskady stopnie smutną architekturą wyrabiać, po których regularnie spadając wody rozpędzone, nawet w własnym zapędzie ich naznaczoną kroków swoich miarę zachowują; bo sama tylko różność i odmienność ma prawo nam się podobania.

Kaskada prócz tego ma swoje insze własności, które wybierać należy. Czasem spadkiem gwałtownym woda pogrążając się, w koryto swoje bieży, spada, odbija się i szumi. Czasem, zwolna rozwijając pław swój, bez szumu i szelestu czyste wody rozchodząc się, w spadku swoim, niby jaką zasłonę błękitną robią: oko nasze bawi się rozważaniem tego żywego widowiska, i odbijającego się złotego światła słonecznego na tym błękicie wody, gdzie razem widzieć, i skał



dzikich czarność, i trzciny zieloność, i blaski piany wodnéj srebrzyste.

Radź się więc skutków, które sztuka twoja może wyprowadzić; a te strumienie zawsze łatwe do powodowania się, z nagłością albo powolnie upływając, zdarzą ci widoki wdzięczne, albo zuchwałe, wspaniałe albo rozkoszne, zawsze wszelako dzielne. Ach! któż tego nie doznał, jak głębokie w sercu wrażenie woda uczynić może? Czyli ona biegiem gwałtownym i szybkim po kamieniach z żywością przeskakuje, czyli po gruncie błotnistym rzeki powolnéj wspaniale upływa, czyli jéj strumień zaciekły pomiędzy skały z trzaskiem przełamuje się; smutny albo wesoły, żywy, albo wdzięczny bieg jego, porusza mnie, albo ułagadza, grozi mi, albo mnie głaszcze. Powiadają, że Wenery zwodnicza taśma, żądze najczulsze, radość i nadzieję, te poprzedniczki rozkoszy, miała na sobie wyrażone. Wody są twojém pasmem, boska Cybele! są pasem nierównie dzielniejszym, który wesołość i smutek, postrach jakiś i pomieszanie zamyka w sobie. Ach! któż to lepiéj mógł uczuć? kto lepiéj poznał nademnie?

Często (jak pomnę), kiedy żałość mnie ściskała,
Do któréj okropności jeszcze noc przydała:
Jeżelim strumień blizki posłyszał mruczący,
Biegłem zaraz odwiedzić zdrój pocieszający.
Obłędnéj jego wody szemrania sprawiały,
Że się ból zatrzymywał, żale zasypiały.
A pogody w mém sercu nagłe przewrócenie
Świadczyło, jak na smutek silne wód mruczenie.

Na nagrodę téj łaski, strumyku, którego bieg tak mnie zabawia, pozwól, niech sztuka (nie nadto cię w pychę wbijając) jaką ci ozdobę przyda, jeżeli tylko można cię kiedy przyozdobić.

Strumień źle-by się wydał na połach rozległych i położystych; jego koryto niepewnyby jakiś ciąg oznaczało: skromne wody jego z nieśmiałością na światło dnia wielkiego wychodzą, ale tajemnie między gajem upływać lubią. Strumyk przyozdabia lasy, i las jest rozkoszą jego. Tam miło mi zwolna postępować za dziwacznym jego ubiegiem, jak czasem niby się czémsiś zatrudnia, jak spada, jak się zagina: jak nakoniec na zawady biegu swojego pięknie zdaje się gniewać. Często w korycie głębokiém, które ciemna zasłoniła gęstwina, wody samotne i dziki zapęd ukrywa; często pełnym kanałem odsłaniając kryształy swoje, widzę go, nie słysząc, albo słyszę, nie widząc.

Tam, jakoby kochanek przy swéj ulubionéj,
Miłośnie ściska wyspę miękkiemi ramiony:
Gdzieindziéj się dwojaką podzielając strugą,
Z największą skwapliwością jedna ściga drugą.
O lepszą niewinnemi dochodzą zawody,
Która z nich prędzéj bieży, lub ma czyste wody.
Gdy się potém wraz złączą i ich kłótnie zginą,
Mruczą wdzięcznie, że z sobą w towarzystwie płyną.

I tym-to sposobem błąkając się z zapędu w zapęd, cichy, szalejący, spokojny, niestateczny, pod tysiącznym odmienny widokiem, bieg się jego odnawia.

Ale ku tym brzegom uśmiechającym się rzeka mnie woła. W polu bardziéj odkrytém wspaniały ten obraz woda rzeczna, już nie tak, jak strumień skromna, najwdzięczniéj płynie, i zdaleka promień słońca odbija. Ona zostawia strumieniowi jego wesołość dziecinną, jego niespokojność i jego skręty zawiłe. Łożysko jéj długim upływem dolinami ciągnąć się będzie, i wolném zgięciem nachylać.

Jeżeli strumień od lasów swoje ozdoby bierze, i rzeka lubi także, ażeby drzewa różne, białe topole, wierzby na pół zielone, brzegi jéj czasem przyozdabiały. Jakże źródło obfite widoków i wdzięcznych odmian! Tam miło mi widzieć w wodzie obrócone do góry wierzchołki drzew, zielone ich liście i trzęsące się za poruszeniem wody albo powietrza! Tu stok błękitny ucieka po pod ciemne sklepienia; indziéj słońce promykami przez ich zieloność przedziera się; czasem w rzece maczają gałęzie swoje, czasem korzenie ich wodę zatrzymują; a często od brzegu jednego do drugiego rozszerzają liście swoje, zdają się niby z brzegów na brzegi przeskakiwać. Takim sposobem drzewa i wody wspólnie się ratują. Woda nierównie drzewa żywszemi robi, a drzewo wodę przyozdabia; oboje zaś, łącząc się z sobą pod postaciami niezliczonemi, składają razem cienie i światłość najwdzięczniejszą.

Umiéj więc połączyć je, albo téż, jeżeli w pięknych miejscach bez przyłożenia się twego natura to wdzięczne związała stadło, szanuj że go. Nieszczęśliwy! kto myśli, że coś więcéj od niéj dokazać może! Takie jest, mój kochany *Watelet* (serce moje przypomina mi), takie jest proste mieszkania twojego schronienie; gdzie zastanawiając bieg swój czysta jak obyczaje, i wolna jak życie twoje Sekwana, w ciemne dzieląc się kanały, tajemne uchrony mędrcy nawiedza. Sztuka twoja pomogła jéj do tego, ale nie ta zwodnicza sztuka, która jeszcze piękność miejsc naturalnych znieważać zwykła. Godny, ażebyś widział, kochał i czuł natury siłę, ty z pięknościami jéj jak z czystą panną obchodzisz się, która i wstydzi się być nagą, i przysadnego ustrojenia zdaje się obawiać.



Oto gust fałszywy psuje te miejsca najwdzięczniejsze! Ten młyn, którego szelest pomnaża w głowie zamyślenie, samym jest tylko dla nich wrzaskiem natrętnym, więc go oddalić. Te brzegi zwolna kierowane i przez samąż zrobione rzekę, mówią, że smutno ciągną się; miasto zieloności, która opasuje nakoło rzeki, woda pomiędzy wyrobione z kamienia ściany upływając, na więzy swoje narzeka. Murawę marmur pyszny znieważa, i drzew postrzyżonych ród niewolniczy, nad brzegiem dziedzicznym wierzb postarzałych prawo sobie przywłaszcza. Zuchwalce! zastanówcie się i miejsca te poszanujcie! A ty, rzeko najwdzięczniejsza! wy lasy rozkoszne! jeżeli malowałem piękności wasze, jeżeli od lat najmłodszych miło mi było śpiewać o łące, wodach i cieniach; miejsca wdzięczne! bądźcie kiedyś panu swojemu tém zaspokojeniem, którego obraz nosi w sercu swojém.

Im więcéj rzeka w swojém powolném upływaniu ostrości brzegów zakątnych obawia się, tém bardziéj jeziora naprzykład obszernego brzegi ostre, i zacieki dalekie są ozdobą. Niechaj ziemia czasem się wzniesie nad łonem wody, czasem fali bijącéj niechaj głębokie otwiera pieczary i niechaj tym sposobem wspólną do siebie mając się miłością, ziemia wód, a woda ziemi szuka. Różność takich widoków bawi wejrzenie nasze.

Oko lubi jeziora rozległe. Jednakże połóż mu jakowąś tamę dla spoczynku. Jeżeli nie przerwiesz wód rozległości, oczy moje bez żadnéj zabawy po ich wierzchu ślizgają się. Dla skrócenia więc ich nudzącéj rozciągłości, niechaj albo chłodna jaka, od upałów szanowana w dalekości między wodami pokazuje się budowla, albo raczéj sporządź w pośrodku nich wyspę zieloną, bo wyspy wód najpiękniejszą są ozdobą, albo popodnoś brzegi ich, na których miejscami zielone drzewa rozrzucone, niechaj wejrzenie twoje zastanawiają. Przeciwnym sposobem, jeżelibyś rozszerzyć pragnął, pozniżaj brzegi nadto podniesione, odsuń daléj drzewa nadbrzeżne, albo dokaż, ażeby woda niby w gaju ginęła, i znowu ku wzgórkowi zwracała się; pomiędzy te zasłony, gdzie woda ucieka i ginie, gonić ją i powiększać zwykła imaginacya. Tym sposobem oko twoje używa tego, czego nie widzi; tym sposobem gust dowcipny, rzeczy każdéj swoje pozory daje; i tych widoków, które sam tworzy, albo naśladuje, ściska, rozszerza, kryje, albo odsłania granice.

Niechże teraz w pysznych swoich ogrodach sztuka z prac moich natrząsa się; w szczęśliwym ogrodzie moim wszystko weselem i wolnością oddycha. Dałem na wolą murawie uśmiechającéj się, ażeby jak chce rosła, lasy nie znając poddaności wznoszą gałęzie swoje, kwiaty z węgielnicy i drzewa z nożyc żartują; woda przy brzegach

własnych i ziemia przy swéj została się ozdobie; a wszystko będąc prostém, piękném i wspaniałém, jest razem sztuką natury.

Ale te rzeki i te jeziora są pustemi. Wsadźmyż tam różny rodzaj, który rzeźwemi skrzeli w wiosły wodę posłuszną porze; we środku podnosi się i pływa ze wspaniałością, z szyją hardo wzniesioną łabędź białopiór, łabędź, któremu bajecznie wdzięczne śpiewanie przyznawają, a on obejdzie się na zawsze, ażeby kto zmyślając, chciał co do piękności jego przyczynić.

Ażeby więcéj ożywiać wody, czyliż sztuka nie ma jeszcze żaglów i łodzi? Wiosłem popchnięta łódź lekka, uciekając, ledwie po sobie ślad zostawuje. Zefir płótna nadyma, i każda banderka na maszcie staje się igrzyskiem wiatru.

Jeżeli dawne nasze bajeczne, albo prawdziwe dzieje, źródło, czy strumień jaki chwalebném wspomnieniem poświęcają, tém uczczeniem starożytném wody ich pyszniąc się, przez piękne pamiątki dosyć już są poszanowane. Któreż serce bez wzruszenia się pogląda na Aretuzę, Alfeusza, albo *Lignon?* Ty najbardziéj źródło szczęśliwe *Vaucluse!* zdroju, na który bez zapalenia się żaden poeta i żaden rozkochany nie spojrzał?

Między temi górami okólnemi, które, zakrzywiając łańcuch swój, podsycają wodami swemi podziemne źródła swoje; tam, gdzie pod skałą sklepistą, w grocie swéj uświęconéj Nimfa twoja przed ciekawém kryjąc się okiem, w przepaści bezdenne ciemne źródło swoje ukrywa, jakże lubiłem na twoje poglądać wody, które zawsze najczystsze, czasem w obszerniejszém łożysku całe swe skarby zamykają; czasem wrząc niby, podnoszą się, i z brzegów swoich pomiędzy skały nurt swój spieniony rozlewając, z kaskady na kaskadę daleko odbite, z niezmiernym spadają szumem. Potém, niby gniewy swe uspokajając, po gruncie równiejszym słodki swój strumień rozdzielają, i pod niebem łaskawém przez tyle obfitych kanałów, najwdzięczniejszą dolinę, która kiedy pod słońcem znajdowała się, ożywiają.

Lecz te wody, doliny, ten kraj z siebie miły,
Niźli Petrark i Laura, mniéj mnie obchodziły.
Oto (myślałem sobie) pod tym dzikim ciosem,
Petrark żałośną lutnię godził z swoim głosem.
Tu z Laurą o miłości często się mówiło,
Późno im zeszło słońce, prędko zachodziło.
Czybym jeszcze nie znalazł na téj skale dzikiéj,
Ich imion połączonych jakie pamiętniki?
Grota jakaś w ustroniu widzieć mi się dała;
Zawołam: Groto! pewnieś szczęście ich widziała.



Pień stary drzewa leży zwalony z korzeniem:
Drzewo! pod twojém kiedyś spoczywała cieniem.
Pytam o Laurę Echa, co go ma dolina;
Jeszcze nie zapomniało, jeszcze ją wspomina.
Wszędzie jakbym tę parę widział, tak się zdało,
I przez nie, ozdób miejscu temu przybywało.

---

## PIEŚŃ CZWARTA.

Nie przestanę bawić się wodą, łąką, zielem,
Bo któżby śmiał tym pieśni mych pogardzać celem?
Który natchnął Wirgila, Homera przynęcił,
Że gdy wierszem Achilla gniew pamiętny święcił,
Gdy nam malował postrach, jak swe konie siecze,
Poświst lecących włóczni, chrzęst tarczy i miecze,
Ciężki trydent Neptuna, który wzruszył mury;
Lubi sobie przypomnieć wśród wojennéj chmury,
Lasy, łąki i pola, i te mu obrazy,
Lagodzą na czas pędzla surowe wyrazy.
A gdy dla Achillesa tarczę wygotuje,
Jeśli tam oblężenia i trwogi rysuje,
Zwycięzcę skurzonego we krwi niewolnika;
Ręka jego pociesznym wnet sztychem wytyka,
Winograd i pastwiska, i lasy i trzody.
W taką broń przyodziany ów bohatyr młody,
Leci pyszny, i szyki ogromne przebywa,
Niosąc ogród na sobie i bogate żniwa.

Śpiewaku boski! zostawiam ja twojéj muzie wielkomyślnéj staranie rządzenia szykami wojennemi, mojém spokojném powołaniem jest: ogrody opisywać. Już grunt wierny prawa mojego słucha, mu rawy przykryły go, Flora ręką najpiękniejszą rozsypała po niéj kwiaty swoje, a las uwieńczył skałę i wody. Teraz ażebyśmy tego miłego użyli widoku, w tych polach odkrytych, pod temi ciemnemi sklepieniami, ścieżki wdzięczne będą mi drogę torować. Na głos mój najpiękniejsze widoki ze wszystkich widoków otwierać się będą, które ażebym lepiéj jeszcze przyozdobił, sprowadzę tam rękodzieła i wspaniała architektura miejsc tych przyozdobienie dokończy.

Ścieżki, te kroków naszych przewodniczki, sprowadzając nas do różnych widoków pięknych, powinny te miejsca przyozdabiać.

W twoich ogrodach zaczynających się, nie chciałbym, ażebyś je wcześnie określał; ale jak ze wszystkiém skończone będą, oko samo dla nich wynajdzie miejsce; wszelako pamiętaj, ażebyś je ku miejscom najpiękniejszym kierował. Myśl sobie, jak gdybyś obcemu jakiemu człowiekowi ogród twój chciał pokazywać; sprawnie szukałbyś tego, coby mu się najbardziéj podobać mogło, a chroniłbyś się, coby mu się mniéj piękne wydawało. Przechodząc pokazywałbyś mu położenia miejsca najmilsze; a na powrót, nowebyś do widzenia piękności pozostawiał, z zadziwienia w zadziwienie wprowadziłbyś go i bawił; z widoku, który ucieka, chciałbyś, ażeby ci się urodził inszy; i zawsze napełniając albo mu zaostrzając żądania, często dla powiększenia ich przedłużałbyś rozkoszy jego. Otóż niech ścieżki twoje ciebie w tém samego naśladują.

W kształcie ich nawet chroń się wszystkich próżnych prawideł, płodu marnego gustu, i przez modę tylko przywłaszczonych. Moda panuje w polach, tak jak i w mieście. Kiedy ogrody włoskie symetrycznemi układami zaczęły bawić Francyą; każdy chciał w tém kształcie ogród swój pokazać okazałym. Żadne drzewo nie śmiało za sznur wyciągniony postąpić, wszystko swoję miarę zachowało, i wszędzie we dwa rzędy ciągnęły się ulice nieskończone. Insze czasy i gust inszy nastąpił. Ogród angielski nakoniec przestrzegł Francuzów, że to prawidłową pięknością jest, co więcéj zachowuje wolności. Wtenczas same tylko krzywe w ogrodach przechody, same ścieżki zawiłe i drogi zwrotne, obaczyć było. Unudzony błąkaniem ustawicznem, na próżno metę przed sobą widzę, potrzeba jeszcze błądzić, mimo woli mojéj kręcić się; a przeklinając sto razy ten zachód uprzykrzony, zbliżać się do końca ustawicznie, który się bez końca umyka.

Chroń się tych zbytków nieporządnych; bo zbytek krótko trwać będzie. Z pomiędzy ścieżek wielorakich, każdy z nich rodzaj ma swoje miejsce. Jedna prowadzi do widoku jakiego, którego wspaniałość wdzięczna zdaleka zastanawia oczy moje i podsyca oczekiwanie; insza mnie zabłąka w te uchrony tajemne, które sztuka dowcipna umyślnie zasłaniać się zdaje. Ale zrób naturalnym tego przez ciebie wyrobionego Dedala, niech zawsze ma postać potrzeby, a nigdy wymysłu niepotrzebnego. Niechaj różne przypadkowe widoki zdybując ścieżkę w zapędzie, lasy, wody, murawy, rządzą jéj zabiegiem. W kształcie ścieżek żądałbym jeszcze szczęśliwego ich naginania się. Jakże nie lubię téj ich smutnéj, i daleko ciągnionéj linii, a więcéj jeszcze biegu ich zaplątanego, który podobny do węża zranionego zwija się ustawicznie w bólu gwałtownym. Ścieżka takowa zwrotami powtórzonemi niespokojność i utrudzenie sprawuje: a nie pokazując mi czasami odmian pięknych, przykra i zbytkująca, pastwi się tylko nad ziemią, memi oczyma i nogami.



Ale są zgięcia ścieżek szczęśliwe i nachylenia się ich naturalne, których wzory po wsiach często obaczyć można. Droga wieśniaczych wozów, ścieżki owiec które krokiem zaniedbanym do koszar powracają, pasterka zapomniana, która po łące ze swego zamyślenia się przypadkowemi obłędami postępuje: nauczą cię tego łatwego ścieżki twojéj nachylenia. Strzeż się więc ścieżek pełnych przykrych zakątków; najbardziéj zaś kiedy już przychodząc do końca długim ścieżki zakrętem wiedziony jesteś, pamiętaj, że rozkoszą jakowąś za trudy twoje zapłacony być powinieneś.

Poetów sławnych sztuki naśladuj; jeżeli unosząc się Muza ich, czasem sobie zboczenia jakiego pozwoli, to oddalenie się wdzięczniejsze mi jest niżeli droga ich sama. Będzie to Nizus, Euryala broniący, którego kocha; będzie to Andromaka przy grobie Hektora płacząca: a tym sposobem niech sztuka twoja słodkiemi zawsze wiedzie mnie obłędami. Milszym czasem widokiem ścieżki twoje rozweselaj, a niech do końca już przyszedłszy sztuka nam za trud nagrodzi widokami pięknemi, wspaniałemi ozdobami, i tego żywego poema wdzięcznemi epizodami. Tu mi pokażesz jaskinię smutkiem i zielonością przykrytą, gdzie czerstwość, zacisze i cienie zamieszkały; imaginacya do miejsc takich oczy uprzedzać zwykła. Daléj trochę pięknie jezioro, o które promień słońca odbija się czasem w dalekości, w któréj się *objecta* mieszają i nikną, otwiera się niezmierna i wspaniała perspektywa; czasem uśmiechająca się, ale nierozległa łąka, przez ciebie i naturę bogato przystrojona. Pełna tego majątku wiejskiego, kwiatów i zacisza, zdaje się ciebie wołać: „Zatrzymaj się, gdzież możesz lepiéj się bawić?" Wtém nagle widok odmienia się; miasto dopiéro widzianych miejsc wesołych, same smutne wejrzenia i spokojność panuje. Są to ustronia, któremi tuczy się rozmyślanie, i głębokie żyje zanurzenie się.

Tam to człowiek przychodzi z sercem swojém gadać
Rozmyślać, co jest teraz, w przyszłości się badać;
Wspomina na złe, dobre, co mu się trafiało,
I dziwi się, dobrego jak znajduje mało,
Niby kwiat wśród pustyni!... przecież chciałby wrócić
Wiek dawny, choćby z przeszłą przykrością się kłócić.

Chroń się więc naśladować tych mistrzów sztuki, którzy w ozdobach ogrodów swoich same tylko pochlebne widoki wystawiają. Nie widać u nich wspaniałéj owéj dzieła zuchwałości, ale wszędzie same sklepione ulice, same wymuskane gaiki. Wszędzie kwiaty, wszędzie z nich wieńce i Flory, albo miłości kościół. Miejsc takich wesołość jednostajna nareszcie unudza mnie. Ale ty, ośmiel się wystąpić

z drogi téj pospolitéj; wymyślaj, układaj rzeczy sobie niby sprzeciwiające się, które się wspólnie ratować będą. Powinien być w tém naśladowany *Poussin* [1]), który odmalowawszy wesołe galowe schadzki, gdzie pasterze i młode pasterki ująwszy się za ręce tańcują; blizko nich grób odmalował, na którym te słowa wyryte: „I ja byłem także pasterzem Arkadyi". Obraz taki rozkoszy i razem nikczemności życia ludzkiego zdaje się do nas mówić: ludzie śmiertelni! kwapcie się z używaniem rozkoszy! Igrzyska, tańce i pasterze, wszystko to zniknie. W duszy zaś rozrzewnionéj, po najwyższéj wesołości, stopniami słodki smutek następuje.

Naśladujcież takowe wzory. Pomiędzy najweselszemi widokami, niech się czasem pokażą mogiły i groby, te wierne żalu waszego pamiętniki: Ach! któż z was znajdzie się, ażeby nad stratą jaką nie płakał? Oddaliwszy się na ustronie od tego świata marnego, przypuśćcie tylko do towarzystwa łez waszych lasy, kwiaty i wody. Wszystko pewnie dusz czułych będzie przyjacielem.

Już ten grób, dzielący się z wami zażaleniem,
Chłodno gałęzie cichym obejmują cieniem
Jodeł ponurych! A ty, cyprysie posępny,
Przyjacielu okrzepłych zwłoków niedostępny!
Twa gałąź, miła czułym sercom i smutkowi:
Zostawia mirtom radość, a chwałę laurowi.
Tyś nie kochanków drzewem, ale waleczności;
Lecz swą nad nami bolisz postacią litości.

We wszystkich takich grobach i pamiątkach, marnych wynalazków chronić się należy. Połącz jak tylko można w téj rzeczy najdotkliwszéj, sztukę twą ze smutkiem, i wspaniały zbytek z prostotą wiejską. Najbardziéj wystrzegaj się zmyślania i przysady każdéj. Dlatego daleko stąd niech będą te trumny wymuskane, te żałobne bez żalu urny, które płochy wymysł wystawia; daleko stąd groby psów twoich albo ptaków, które żałość znieważają i z grobów się natrząsają.

Jeślić kogo grobowcem poczcić ci się zdało:
Patrz! oto pod te drzewa przynoszą tych ciało,
Co dla ciebie niewdzięczny zagon uprawiają,
Na łonie niedostatku pogrzebu czekają.

[1]) *Poussin*, sławny malarz francuski, którego wysokość myśli w obrazie, który się tu opisuje, wydała się.



Czyliż się będziesz wstydził ozdobić ich groby?
Pisać tam co o wielkich dziełach nie byłoby,
To prawda, bo od zorzy, kiedy kogut ranny
Obudził ich, dając znak pracy nieustannéj,
Aż do nocy, gdzie dzieci i matka troskliwa,
Otoczą wkoło garnek nędznego warzywa;
W pracy równéj dni swoje pędzą niespokojne,
Których ni przez sojusze, ni znaczą przez wojnę.
Rodzić się, cierpieć, umrzeć, to im tylko dano:
Ale chcieliby przecie, by ich pamiętano.
Któryż człowiek, kiedy się już nad grobem chwieje;
Nie zwraca smutnych oczu na jakąś nadzieję,
Że będzie żałowany? Komuż więc nie miła
Łza, którą przyjacielska powieka zroniła?
Dla pociechy ich życia, szanuj ich mogiły.
Ten, co losy zawstydził, że go poniżyły,
Służył Bogu, królowi, krajowi, rodzinie,
Co wstydu uczył córki, którym we śnie słynie.
Kamieniem gładziéj rzniętym grób jego naznaczę,
Gdzie wypiszę i cnoty i sąsiadów płacze,
Gdzie go taki nagrobek pochwali przed gminem:
„Tu leży: co był dobrym mężem, ojcem, synem."
Trafi się, że przypadkiem ściągniony w te strony,
Na te święte zagrody spojrzysz poruszony.
Muzo! co tak pod drzewy śpiewasz grobowemi,
Niżeli je porzucisz, niech rękami twemi
Na ich gałęziach wieńce będą zawieszone,
Znaki twojéj czułości... Niech kto upiększone
Twarze wierszem opiewa, niech rozkoszy syty,
Chodząc nosi na głowie wieniec z mirtu wity,
Niechaj swe pieśni samą radością napawa,
Na czele cieszących się w świetnéj sukni stawa;
Ty pieśń pocieszającą śpiewaj nad grobami,
I pierwszy ofiarnemi uwieńcz ją kwiatami.

Wróćmy się, bo czas jest, pod nierównie weselsze cienie. Architektura jeszcze w pośrodku tego gaiku czekała mnie, ażebym go przystroił budowlą wdzięczną, Już tu nie będą smutne żalu pamiątki, ale raczéj słodkie uchrony, któreby między zielonością pod różném coraz wejrzeniem uśmiechający się widok oczom pokazywały. Ale kiedy tego pozwalam, zbytku zawsze chronić się potrzeba.

Wyrzućcie z ogrodów waszych cały ten tłum budowli różnych przez samą tylko modę przyjętych; te obeliski, rotundy, pagody, gma-

chy rzymskie, greckie, chińskie, arabskie; tę mięszaninę architektury bez końca, wyboru, któréj zbytek marnie szafowany w ogrodzie jednym cztery części świata zamyka. Nie czekaj nawet w budowlach twoich ozdób nadaremnych, ale zawsze pożytek umiéj ukryć pod wdziękami. Folwark, skarbiec, miejsce rozrywek pana, będą miały najpierwéj prawo być ozdobionemi, i niechaj pyszny pałac niemi nie pogardza, bo on tym miejscom winien jest przepych swój; proste zaś wdzięki ich zdają się mieć górę nad wspaniałością jego, jak sztuką wypiększona Armida ustępuje wdzięcznemu uśmiechowi gładkiéj a niewinnéj dziewczyny.

Folwarku! na to imię i żniwa, i sady,
I pasterskie starania, i bydląt gromady,
Te dobra wieków złotych, w pamięci mi żywéj
Stanęły, gdym w dzieciństwie lat moich szczęśliwy,
To nad wszystko przekładał! dziś na zamian cały
Same mi tylko po nich żale pozostały.
Folwarku! stań mi teraz; zda mi się, że twego,
Słyszę już wdzięczne głosy ptactwa domowego;
Szum wozów, które żniwo do gumna prowadzi,
I łoskot tylu biczów wesołéj czeladzi.

Staraj się więc przyozdobić to miejsce, ale chroniąc się zawsze przysady; ażeby folwark twój nie zdawał się być pałacem. Piękny i razem w swoim rodzaju prosty folwark przy ogrodzie jest to, co wiersz wieśniaczy w rymotwórstwie. Ale, przez bóstwa wiejskie! niechaj zbytek i przepych od tego miejsca niewinnego będzie na zawsze oddalony. Nie chowaj w kącie pras twoich od winograda ani twojego gumna! miło mi spojrzéć na narzędzia żniwa i winobru, nia; niech przetak, wiejaczka, z któréj złote pszenicy ziarno w góra z plewami wznosząc się, czyste na ziemię spada, niech brona, sanię- i cały sprzęt wiejski nie wstydząc się pokaże mi się. Najbardziéj zaś zwierzęta domowe, których widok ruszający się wewnatrz i zewnątrz folwarku, daje mu jakowąś postać żyjącą. Już to nie są pałacu ozdoby marne, wdzięki nieczułe i wspaniałość nieruchoma; wszystko tu żyje, wszystko w tych murach i pod temi dachami zaludnione. Niechaj ptactwo różniące się głosem i instynktem, mieszkające pod słomą, albo dachówką, familie, narody, rzeczypospolite, królestwa, zatrudniają mnie swojemi obyczajami, i bawią igraniem swojém. Na czele ich:

Kogut, ojciec, kochanek, i wzór waleczności,
Który rządząc słodyczą, sułtan bez miękkości,
Gdy miłość swym serajom skrzydlatym rozdawa,
Łączy z prawem odwagi i piękności prawa.



Czy rozkaże z dobrocią, czy go miłość rusza,
Nigdy się pyszna jego nie upodli dusza,
Utworzony na rozkosz, na władzę i męstwo,
Kocha, walczy, zwycięża i śpiewa zwycięstwo.

Słodkoby ci było poglądać na ich igrzyska, walki, nienawiści, miłości, a nawet ich obiady.

Opatrzna gospodyni ledwie wyjdzie z chaty,
Opałkę mając w ręku; wnet naród skrzydlaty,
Z wierzchołka swych kurników, z dachów każdéj strony,
Zlatuje się w nierządnym tłumie zgromadzony,
Wkoło niéj się naciśnie tłok chciwy obłowu,
Te zawsze odganiane powracają znowu;
Z rąk samych, gdy opałkę z zbożem obsiadają,
Zuchwałe stołowniki ziarna wydzierają.

Miéj więc staranie i dbałość około tego narodu domowego. Niechaj budowle ich będą zdrowe, a nie wspaniałe. Na cóż się przyda kurnik bogato przyozdobiony? podłoga z marmuru? i kraty ozłocone? *Fontaine* powiedział: że jedno ziarno jęczmienia daleko im jest milsze. O *Fontaine*, mędrcu prawdziwy! Ciebieby na tém miejscu potrzeba! Malarzu instynktu najszczęśliwszy, o jakże te widoki myśl twoję poruszyłyby. Paw pyszny z tęczy ogona swojego, który go zdobi; duma indyka jeszcze daleko głupsza, dla rozrywki naszéj pędzel twój zabawiłyby. Tu twoich gołębi poznałbyś obraz.

A widząc rozkochanych kogutów zaboje,
Rzekłbyś jeszcze: „Miłości! tyś zgubiła Troję.”

I tym to sposobem folwark nam podoba się z jego postacią ożywioną.

W inszém zamknięciu jakiż to naród zgromadzony krzykiem swoim uszy moje napełnia? Tam są zwierząt obcych osobliwości; tam w słodkiém wygnaniu żyją zamknięte zwierzęta czworonogie, i ptaki jedne nad drugiemi dziwujące się. Nie staraj się koniecznie o rodzaje ich dziwaczne, albo najbardziéj rzadkie, ale zbieraj tylko najpiękniejsze. Pokazuj nam te ptaki, które pod inszém niebem zrodzone, pieszczone dzieci słońca, ogniem jego płonieją; jakie jest złoto purpurowe bażanta, i tylu wdzięcznemi kolorami pintad. [1]) W pię-

[1]) *Pintad*, ptak amerykański wielu pięknemi kolorami ubarwiony.

kniejszych zamykaj klatkach te bogaciéj przybrane ptaki: one same są już niejakim zbytkiem; i ponieważ ozdoba ich nagradza ci za ich niepożyteczność, niechże przynajmniéj więzienie tych pięknych niewolników będzie okazałe. Najbardziéj, nie pokazuj mi w klatkach tych zwierząt dzikich, których pycha więzami naszemi nadto się czuje upokorzoną.

Któż widzi bez wzruszenia króla ptaków, który
W czasie swojéj wolności lubił igrać z chmury!
Dziś zapomniał spodlony więzieniem niesławnym,
O błyskocie swych oczu i swym locie dawnym.
Wróć mu słońce, powietrza wróć obszerne łono,
Nie mogę się istnością bawić znieważoną.

Ale wtenczas, kiedy chwaląc się przed nami obcym swoim ubiorem, te z krain dalekich goście, każde nas do siebie wzywa; powonienie moje ozionione słodyczą ciągnie mnie pod te dachy, gdzie równie wygnane i z ich ziemi wyrwane obce krzewy, wonném otoczone powietrzem, słabe rośliny pod szkło dla ciepła ukryły się. Ale wy, którzy własność klimatów zwyciężacie, pory przynajmniéj roku szanujecie! Nie przymuszajcie, ażeby na łonie gruntu oziębionego rozwijały się te dary ziemi, które inszemu czasowi natura naznaczyła.

Zostawcie miejscom, zgnębionym przez zimę ustawiczną, te fałszywe lata owoce, te kwiaty wiosny zmyślonéj. I kiedy promieniem słońca dojrzewać mają owoce wasze, nie nagląc darów jego w czasie niezwyczajnym, czekajcie w porze własnéj hojności jego. Atoli, miło mi czasem spojrzéć na te dachy szklane, te schronienia się przezroczyste, pokazujące mi krain najdalszych daninę wieloraką. Ten to uchron, jaśminy iberyjskie, i zimny barwinek przyzwyczaja, że o swojéj ojczyznie zapominają; a żółty ananas ich ciepłem oszukany, ofiaruje ci owocu swojego skarby musem wynaglone.

Układaj więc na przemiany twoje różne budowle; te zwierząt, kwiatów i roślin wdzięczne gospody, jak wiele jeszcze krzewów, które ziemia nasza przyjęła i gust pochwalił, może oczy nasze zabawić? Pod temi wierzbami, które wody żywe oblewają, założyłbym łaźnie pożyteczne; daléj, chata chłodna miałaby wędki i sieci rybacze: widzisz tego lasku wdzięczną osobność, to miejsce poświęciłbym Muz i nauk schronieniu. W tém wspaniałém i długiém zakąciu lasu, kazałbym podnieść pyszny obelisk, który kiedy się do góry dźwiga, na dole napisałbym: „Odważnym naszym obywatelom, co za ojczyznę polegli.”

Tym sposobem budowle wasze próżnemi, opuszczonemi nie będą. Do położenia miejsca, i kształt ich i wielkość porównywaj. Niech



każda z nich z gustem na swojém miejscu leży, ani nadto ściśniona, ani nadto rozciągła; niech nie zasłania widoku, ani sama się nie kryje.

Znaj się na tém, co jest istotne, albo rzeczy twojéj szkodliwe. Budowla oddalona w miejscu jakiém dzikiém maluje nam jeszcze lepiéj osobność. Bądźże naturalnym w zażyciu rzeczy każdéj. W pośrodku pola nie zakładaj domku pustelnika; nie chowaj kościoła w głębinie lasu dzikiego: Kościół lubi się okazać na wzgórku jakim; jego położenie na wolném powietrzu daje widokowi takiemu niby życie, ruch i wspaniałość, a zdaje mi się, że jestem w pośrodku pięknéj Auzonii. Otóż to jest, co należy do wdzięków i piękności budowli wiejskiéj.

Ale tych gmachów błyszcząca się wesołość, zbytek w nich tegowieczny i młodość żywa, czyliż staną nam za starość rozwalin dawnych? Spojrzenie smutne na te pozrzucane bryły robót dawnego świata, ich kształt osobliwy, wzrok nasz zatrzymuje. Przez nie to bieg lat na ziemi oznacza się; rozrzucone przez wybuchnienie ogniów podziemnych, przez burze, albo wojny, uczą nas zawsze, a czasem cieszą.

Te bryły, które ciężar wieków przeszłych znają,
Żeśmy równym podlegli klęskom, nauczają.
Że wszystko do upadku prędzéj wolniéj bieży,
I losowi to zawsze darować należy.
Tak niegdyś na Kartagi rozwalinach dawnéj,
Nieszczęściami goniony siadł Maryusz sławny.
I te (wiekom pamiętne fortuny igrzyska)
Wspólnie się pocieszały dwa wielkie zjawiska.

Przyłącz więc do twego pałacu te szanowne świata starego reszty. A ty, która po tych dzikich błąkając uchodach, daleko od ubitego gościńca i drogi zwyczajnéj, nowemi ścieżkami sztukę ogrodniczą wiedziesz; siostro malarstwa, wdzięczna poezyo! powróć życie tym samym rozwalinom, pokaż gustowi te drogie przypadki, które swoją powolną ręką czas odrysował.

Czasem w dalekości pokaże się jaka dawna i prosta kaplica; to święte schronienie; gdzie kiedyś w czasie wiosennym panny, mężatki i dzieci, na wiejskim ołtarzu o żniwo przyszłe błagały Przedwiecznego. Długiém wprawieniem się przeciągniona szanowność poświęca dotychczas te rozwaliny.

Czasem widzieć się daje zamczysko stare, które przyciskając kiedyś tyrańskwem całą okolicę, z wierzchołka góry swojéj podnosząc aż do nieba baszty ogromne, czyniło postrach poddanym; które w owych dawnych czasach rycerzów szablą i kopiją dowodzących

widziało: dziś po jego rozwalinach zasiane zboże chwieje się. Te ułomki, ta zuchwała i razem smutna architektura, którą otacza wdzięczna zieloność, te kąty, ta stoczystość twierdzy, te stare reszty wież niedowalonych, gdzie ptak spokojnie gniazdo swoje założył, te trzody owiec przechodzące pomiędzy zasieki kiedyś niedobyte, i te dzieci, które swobodnie na tych miejscach igrają, gdzie się krwawo ojcowie ich potykali; te wszystkie różne między sobą pozgromadzaj widoki, i pokaż oczom ten obraz wdzięczny, zuchwały, wiejski i wojenny.

Daléj widzieć się daje drzewem otoczony
Mur klasztoru starego z dawna opuszczony:
Jakaż tu cichość! w témto miejscu rozmyślanie,
Ten kochanek pustyni, ma wdzięczne mieszkanie.
W tychto świętych przysionkach bogobojne panny
Kiedyś, jak przed ołtarzem ogień nieustanny,
Którego smutne światło oświéca gmach cały,
Wybladłe, czuwające, płonęły, niszczały.
Z nienawiścią spokojną święte zamyślania
Zdają się jeszcze mieszkać wśród tego milczenia.
Mech porosły na murach, te kopuły, wieże,
Te klasztorne sklepienia, których ciemność strzeże;
Te schody przed ołtarzem starte kolanami,
I sam kiedyś przybytek Boga z ziemianami,
Gdzie może nieszczęśliwych tych ofiar nie mało,
Przed ołtarzem na więzy surowe płakało,
I biedząc się z pamięcią swobody straconéj,
Łez saméj religii dobyły zmiękczonéj!
Wszystko mię tam porusza, wszystkie mówią ściany!
W takiéj pustyni w myślach chodząc obłąkany,
Często rozumiem, gdy się ku zachodu chyli,
Że słyszę, jak cień smutnéj Heloizy kwili [1]).

Zażyj więc pożytecznie tych reszt najdroższych, wspaniałych, albo dotkliwych, zrobionych kiedyś od ludzi świata, albo pobożności.

Ale nie chwytajmy się nigdy tych zmyślonych rozwalin, które tak nikczemnie czasów dawnych starość naśladują. Wszystkie te świéżo wystawione, a niby dawne kościoły, te reszty zamku, którego nigdy nie było, te stare mosty wczoraj stworzone, i ta wieża gotycka, z tą postacią opustoszałą, nie mająca kształtu starożytności, sztuką

[1]) Heloiza, sławna zakonnica miłością i listami swemi do Abelarda.



są razem niezdolną i nikczemną! Na co pogląd ając zdaje mi się, że widzę dziecię, marnie się układające i chcące udawać starość zmarszczeniem twarzy swojéj, a fałszywie zmyśliwszy starego, gubiące wdzięki wieku młodocianego. Ale rozwaliny prawdziwe zabawiają oczy moje, które będąc zjców naszych rówiennikami, miło mi się zapytać ich o dawnych dziejach i łatwo mi nawet uwierzyć im. Czasów i ludzi one mi przypominają historyą, a im sławniejsze są te czasy, i ludzie więksi, tém na rozwaliny starożytne z większém zastanowieniem się poglądam.

O wdzięczne pola włoskie! Rzymu okolice!
W pośrodku waszéj leży szczęśliwéj ziemice,
Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!
Tam zwaliska wsławione wielkiemi imiony,
Pełne ważnych pamiątek, wysokiéj nauki,
Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.
Patrz, jako z każdéj strony zbiegłszy wieki mnogie
Podarły, rozproszyły rozwaliny drogie.
Miecąc groby na groby i gmachy kościelne,
Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.
Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte
Chowają jeszcze Rzymian dzieła znamienite,
Ich grubość niezwątlona mocuje się z czasem,
Tym kiedyś po powietrzu rzeka szła nawiasem,
Tą bramą wprowadzano łup zdartego świata.
Wszędzie wiek zamięszane z popiołem pomiata
Łaźnie, pałace, groby cezarów potężnych!
Wtenczas kiedy moc większa niby niedołężnych
Horacego, Owida i Wirgila wierszy,
Pokazuje nam ślady i przepych ich pierwszy.
Szczęśliwy! po sto razy ogrodnik szczęśliwy,
Co te blizko miéć może starożytne dziwy.
Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,
Już natura prawami swemi dokazuje
Nad ogromną wielkością zeszłych panów ziemi!
W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgnębionemi,
Chlubił się z taką pychą; jak w Ewandra czasie,
Pasterski flet i trąba tylko odzywa się;
Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,
Kozy nad zwaliskami pasą zawieszone.
Pyszny kiedyś obelisk leży między zioły,
Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoły;

Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,
Które się albo wznoszą, lub schylają w stronę,
Które, na rozwalinach lekkie wiatry siały!
Figa, drzewo oliwne, bliżéj się przybrały,
I kiedy się do gruzów ich korzeń przypina,
Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.
Tak, giętkie winogrady, gałęziste bluszcze,
Nakoło tych ułomków w ciemną rosną puszczę,
I gdy się w różne kształty przy nich naginają,
Albo zdobią ich starość, albo zakrywają.

A jeżeli miéć nie możesz tak sławnych ruin, nie maszże przynajmniéj tego bronzu ożywionego i tych marmurów gadających, bóstwa dawnego świata? gdzie sama sztuka bożyszczem była i hołdu świętego na ludziach wymagała.

Ja wiem, że gust surowy chce z ogrodów wypędzić wszystkie te Rzymian i Greków bóstwa. I za cóż to? od dzieciństwa naszego do Aten i Rzymu przywykli, oswoiliśmy się z wdzięcznemi ich baśniami. Ale ciż bogowie, czyliż rolnikami, albo pasterzami nie byli? Dlaczegóż przed niemi gaje wasze i ogrody zamykać? Bez Pomony, czyliżby dojrzały owoce wasze? albo czy możecież Florze nad kwiatami jéj panowanie odebrać? Ach! niechże te bóstwa zawsze oczy nasze zabawiają, kiedy podobném nazwać się może bałwochwalstwem i ta cześć, którą sztukom wyzwolonym wyrządzamy. Ale rzeźba w nich niech będzie doskonała. Dlatego zdaleka od ogrodów twoich niech będą te bóstwa bez majestatu i te boginie bez wdzięków. Bóstwu każdemu jego własne naznacz miejsce; niech bożek jeden drugiego prawa nie krzywdzi i niechaj się Pan w lesie zostanie. Skąd to jest, że te Najady, te Trytony, na gruncie suchym z Dryadami się pomięszały? Po co tu ten Nil, liściem trzciny uwieńczony, w którego urnie prochem zakurzonéj ptak powietrzny swojego schronienia szuka? Precz stąd te lwy i dzikie tygrysy! *monstra* te przestraszają mnie nawet w obrazach ich! I te smutne cezary sto razy jeszcze dziwaczniejsze od zwierząt, nikczemnie wejścia do ulic strzegące, które teraz nawet, obrzydzone podejrzliwością i występkiem, zdają się jeszcze okiem wytykać ofiarę dla siebie z ludzi. Jakiémże prawem weszli do tego mieszkania wesołego? Pokaż mi w ogrodzie twoim ludzi, do których bardziéj lgnie serce nasze, i z miejsca, któreś naznaczył na ubóstwienie ich, zrób pola Elizejskie, gdzieby cienie ich odpoczywały. Daleko od oczu pospolitych, w dolinach okrytych laurami woniejącemi, mirtami zawsze zielonemi, z białych marmurów niech będą powystawiane posągi ich; niech woda zwolna upływająca oblewa gaje te, z cieniami wieczornemi dzień niepewny mięszając.



Dyana swoim promieniem słodkim miejsca tego niech będzie gwiazdą. Ich spokojna piękność pod temi zielonemi dachami; tych marmurów białość i czystość, tych wielkich ludzi nierażący i niewinny majestat, te wody w cichości upływające (rzeki Letejskiéj wyobrażenie), które zdają się dla serc ich wolnych od trosków, przygód życia płynąć zapomnieniem; te drzewa, i ten dzień ginący pod ich ciemném zaciszem, wszystko to ma postać mieszkania duchów szczęśliwych. Nie ubóstwiaj więc na takich miejscach, tylko mężów cnotę spokojną lubiących. Daleko stąd niech będą owi wojownicy, nawykli ziemię pustoszyć; bo jako zakłócali światem, takby i te miejsca zamięszali. Postaw tam raczéj przyjaciół bogów i ludzi; którzy przez wyświadczone łaski w pamięci żyją; postaw tych królów, którzy kiedy sławy swéj nabywali, żaden z poddanych ich nie zapłakał. Pokaż tam Fenelona, na któregoby oko nasze z wzruszeniem pogląd ało, i Henryka, przed którym Sully powstaje, a on go mile przyciska.

Zasadź tam i kwiaty, któremibym uwieńczał głowę tych mędrców, co na poczciwém wygnaniu w odległych krajach uczyli i rozszerzali rękodzieła potrzebne. Ty najbardziéj odważny Kook [1]), który kochany od wszystkich, zginieniem twojém złączyłeś w jedno żałość zakłóconéj z Francuzami Anglii. Ty, który w te dalekie krainy, gdzie dawniéj przyjście nasze sama burzliwa ogłaszała armata, nowy Tryptolem, sprowadziłeś z ojczyzny twojéj konie, owce, woły, pługi i insze potrzebne narzędzia, zamazując tym sposobem zbójców Europy pod tamtém niebem zażartość. Okręty twoje do nich zawijając, pokój im ogłaszały, a powracając od nich zostawiały im dobrodziejstwa. Odbierz więc ten hołd od dziecięcia Francyi; bo za cóż kraj jego ma mi bronić wdzięczności, którego cnoty współobywatelem naszym zrobiły? Naśladujmy w tém króla naszego, który był dla niego jak swoim królem. Ach! na cóż mu się przydało, że śmiałość jego po dwa razy zapędziła go pod te nieba ogniste? że się przebijał przez morza lodami wzdęte? że wtenczas, kiedy go narody różne, wiatry i wody poważały, kiedy sam okręt jego na rozległych morzach najświątobliwiéj szanowany był, i dla niego samego wojna zapomniała ostrości swojéj; przyjaciel świata, marnie od ludzi dzikich ginie!

Wy pyszne dzieci Albionu! które nad jego śmiercią płaczecie, naśladujcie szlachetne zapędy jego. Czemuż między równemi waszemi szukacie sobie niewolników? Czyńcie im raczéj łaski, a nie te krzyw-

[1]) Wszyscy wiedzą o żegludze sławnego Anglika Kooka, który z dobrocią największą obchodził sie z narodami znalezionemi. Król francuski podczas wojny z Anglią przykazał okrętom swoim szanować, gdzie tylko na morzu zdybią, tego sławnego żeglarza.

dy największe. Oto pokój z czołem, laurem uwieńczoném, wzywa do siebie Europy zmordowanéj.

Zstąp do nas, słodki i dawno pożądany pokoju! niech twoja przytomność światu powrócona przyozdabia miejsca, które wiersz mój opiewał. Zstąp, i z tylu narodów rozróżnionych zrób naród jeden szczęśliwy! Powróć żniwo polom, handel miastom, zakwitnienie sztukom wyzwolonym, i spokojność obudwom światom.

---

# PRZYDATEK DO OGRODÓW.

*Ażebyśmy mieli wiadomość o domach wiejskich i ogrodach przy nich starych Rzymian, kładzie się tu list Pliniusza młodego, w którym widzieć można, że w czasach tamtych znano już sztukę przystrzygania drzewa w ogrodach i że wszystkie przy ogrodach budowle ich były wystawione celem pożytku jakiego, nie zaś samego zbytkowania.*

*Kładzie się i list drugi pana Chambers Anglika, w którym opisuje Ogrody Chińczyków, tego narodu dowcipnego.*

---

## List Pliniusza młodego o ogrodach dawnych Rzymian.

Dom, chociaż pod wzgórkiem budowany, ma tenże sam widok, jakgdyby był na wierzchołku wystawiony. Wzgórek ten tak zwolna i słodko podnosi się, że trudu najmniejszego nie czuję, jakem na górę wstąpił. W tyle domu są góry Apeninu, ale dosyć oddalone. W dniach spokojnych i najpogodniejszych, wiatr od nich powiewa, który nic nie ma gwałtownego, że w drodze podobno przelatując całą swoję siłę utracił. Domu tego położenie nie jest prawie zupełnie na południe i w czasie lata około południa, w zimie zaś trochę prędzéj, zdaje się wzywać słońca, na jedno obszerne i w miarę długie przedsienie. Dom złożony jest z wielu przybudówek. Wejście do niego jest sposobem staroświeckim.

Przy samym przedsionku widzieć się daje *parterre*, na którym w różne kształty bukszpan wysadzany. Potém jest siedzenie z mu

rawy nieco podniesione, nakoło którego bukszpan strzyżony, wyraża wiele zwierząt, które na siebie poglądają. Trochę niżéj jest kawał ziemi, cały pokryty barszczowém zielem, tak wdzięczném i miękkiém, że pod nogami prawie go nie czuć. To miejsce jest otoczone wielą drzewami do przechadzki, które tłocząc się jedne na drugie i wielorakim kształtem będąc poprzycinane, robią jakoby jakie oparkanienie. Blizko jest ulica okrągła nakształt cyrku, we środku którego widzieć można bukszpan w różne kształty strzyżony; i drzewa, które starają się, ażeby w górę nie wzrastały i przy ziemi trzymały się. Wszystko to otoczone jest murem suchym, który bukszpan w stopnie rznięty zakrywa, i przed okiem zasłania. Z drugiéj strony jest łąka, a ta niemniéj podoba się przez piękność swoję naturalną, jak wszystko to, co dotychczas mówiłem, przez wdzięki od sztuki pożyczone. Potém są kawałki dzikich łąk i krzewiny. Na końcu galeryi czyli przedsionka jest sala do jadania, któréj drzwi na koniec parteru patrzą, okna zaś na łąkę i na wielką część wspomnionéj dzikiéj krzewiny. Przez też okna widać na stronie parter, wyskok jeden domu i wierzchołki drzew szkoły końskiéj. Z jednego boku przedsionka i ku środkowi jego jest wejście do gmachu, którym otoczony mały dziedziniec, mający cztery jawory; w pośrodku nich jest *bassin* marmurowy, z niego woda ukradkiem wypływająca, utrzymuje czerstwość jaworów i ziół, które są niżéj. W tym gmachu, jest pokój do sypiania. Głos, szelest, ani słońce, nigdy tam przejść nie mogą. Przy nim zaraz jest sala, gdzie jadają zwyczajnie i gdyby kto chciał się zabawić w cichości z samemi przyjaciołami. Drugi przedsionek patrzy na ten mały dziedziniec i ma razem ten cały widok, który i przedsionek wyżéj odemnie opisany. Jest jeszcze i pokój jeden, który, że jest blizki jednego ze wspomnionych odemnie jaworów, zawsze ma cień swój i zieloność; przyozdobiony jest naokoło marmurem do wysokości, jak się wesprzéć można; gdzie zaś marmuru nie masz, są malowania wyrażające liście i ptaki na gałązkach, ale tak dobrze udawane, że nie ustępują w piękności samemu marmurowi. Niżéj trochę jest miła fontanna, która wpada w *bassin*, skąd woda przez wiele drobnych rurek wypływając, robi szelest najwdzięczniejszy. Z jednego kąta przysionku wchodzi się do wielkiego pokoju, który jest naprzeciwko sali do jadania; ma ona okna swoje z jednéj strony na parter, a z drugiéj na łąkę i zaraz niżéj tych okien jest woda, która niemniéj oczy, jak i uszy rozwesela; bo spadając tam z góry w wielki *bassin* marmurowy, zdaje się cała spieniona i robi nie wiem, jaki szum, który sprawuje rozkosz. Pokój ten jest bardzo w zimie ciepły, bo na ten czas słońce ze wszystkich tam stron ogrzewa. Zaraz blizko piec, który dostarcza ciepła, kiedy jest pochmurno. Z drugiéj strony,



sala do rozbierania się idąc do łaźni, jest dosyć obszerna, i bardzo wesoła. O ścianę znajdziesz salę do kąpania się w wodzie zimnéj, gdzie są wanny w cieniu obszerne. Jeżeli chciałbyś się kąpać przestrzeniéj i ciepléj, jest łaźnia na dziedzińcu i zaraz blizko niéj studnia, skąd można mieć wodę zimną, kiedy gorąco dokucza. Koło sali, gdzie się w zimnéj wodzie kąpią, jest sala wody letniéj, którą słońce dosyć ociepliło; mniéj jednakże niżeli w łaźni gorącéj, bo ta wypada z igraniem. Przez trojakie schody do téj ostatniéj sali zstępować potrzeba; z których dwoje są wystawione na słońce, trzecie zaś nie są zaciemnionemi. Nad pokojem, w którym zostawiają się suknie przed kąpaniem, jest miejsce do rzucania i bawienia się piłką dla ćwiczenia ciała; które miejsce z téj przyczyny na wiele długich ustępów podzielone. Nie daleko od łaźni są schody, które prowadzą do zamknionéj galeryi; pierwéj zaś do trzech gmachów, z których jeden patrzy na wspomniony mały dziedziniec, drugi na łąkę, trzeci na winogrady; że położenie ich tém jest różniejsze, im wejrzenie stamtąd odmienniejszém jest. Na końcu zamknionéj galeryi jest pokój jeden zrobiony w samejże galeryi, z którego wejrzenie jest na szkołę końską, na wioski i góry. Blizko tego pokoju jest drugi na słońce wydany najbardziéj w czasie zimowym. Stąd wchodzić można do gmachu, który szkołę końską z domem łączy.

Otóż taka jest jego zwierzchnia postać, i takie wejrzenie z niego. Ze strony południowéj galerya zamkniona, podnosi się, skąd nietylko widzieć można winogrady, ale zdaje się nawet, że ich prawie dotykamy. W pośrodku téj galeryi masz salę do jedzenia, gdzie wiatry, które od Appenin przychodzą, robią bardzo zdrowe powietrze. Ma ta sala wejrzenie przez wielkie okna na winogrady i znowu na téż same winogrady przez dwoje drzwi, na dwoje otwieranych, skąd oko i na całą patrzy galeryę. Z téj strony, gdzie ta sala okien nie ma, są skryte schody, którędy jedzenie przynoszą. Na końcu jest pokój, któremu galerya i winogrady niemniéj wdzięcznym są widokiem. Na dole jest galerya prawie podziemna i w lecie tak chłodna, że spokojna na miłém powietrzu, które zamyka, ani go nikomu nie daje, ani odbiera skądinąd inszego. Po tych dwóch galeryach zamkniony, jest znowu sala do jedzenia, a przy niéj otwarta galerya, chłodna przed południem, a cieplejsza, kiedy słońce wyżéj się podniesie. Ta wiedzie do dwóch gmachów. Jeden jest złożony ze czterech pokojów, a drugi ze trzech, które w miarę jak słońce obraca się, promieni jego albo cienia używają. Przed temi budowlami tak pięknemi i tak dobrze rozłożonemi jest obszerna szkoła końska. Otwiera się ona w środku, i dlatego pokazuje się zaraz cała tym, którzy tam wchodzą. Jest otoczona jaworami, które się bluszczem okryły. Tym sposobem wierzchołki tego drzewa, własnym swoim liściem zielenią

się, spody zaś są zielone liściami obcemi. Ten bluszcz zwija się nakoło pniaków i gałęzi i przechodząc z jaworu jednego do drugiego, niby je złącza. Między temi drzewami są bukszpany, bukszpany zaś są otoczone drzewem laurowém, które z drzewami wyższemi cień swój mięszają. Wejście do szkoły końskiéj jest proste, ale ku końcowi w kształt się półkręgu odmienia. Ta szkoła jest otoczona i okryta cyprysami, które jeszcze cień większy sprawują. Przejścia wkoło, które są wewnątrz (jest ich albowiem wiele z jednego miejsca do drugiego), mają światło słońca najczystsze. Róże tam ze wszystkich stron widzieć się dają i łagodne słońce poprawia w tém miejscu zbyteczne chłody cieniów. Wyszedłszy z tych przechodów okrągłych i powtórzonych, powraca się do ulicy prostéj, która z obudwóch stron ma wiele inszych podzielonych przez bukszpany. Tam jest mała łączka, tu bukszpan sam wystrzygany w tysiąc różnych kształtów, czasem nawet w litery, które wyrażają albo imię pana, albo rzemieślnika. Między bukszpanem kolejno obaczyć można, małe piramidy, albo jabłonie i ta wiejska piękność ogrodu, o którym rozumiałbyś, że skąd nagle przeniesiony w miejsce tak wdzięczne, jest z obudwóch stron podniesiona ku środkowi przez jawory, którym wybujać w górę nie pozwolono. Stamtąd wchodzi się na łączkę ziela akantu, które tamtędy jest rozrzucone, gdzie widzieć jeszcze można wiele kształtów i imion, które ziołami są wysadzone. Na samym końcu jest łoże do spoczynku z białego marmuru, przykryte chłodnikiem utrzymywanym przez cztery kolumny, z marmuru karist. Z pod tego łóżka wypływa woda, jakgdyby ciężar tych, którzy tam spoczywają, wyciskał ją. Małe rurki sprowadzają ją na kamień umyślnie dlatego posiekany, skąd znowu wpada w *bassin* marmurowy, a stamtąd wypływa tak nieznacznie i tak w miarę, że *bassin* zawsze jest pełny, jednakże i nad brzegi nigdy nie wylewa. Gdyby kto chciał jeść wieczerzą w tém miejscu, poukłada potrawy twardsze na brzegach tego bassenu; potrawy zaś leksze w naczyniach wyrobionych w kształty okrętów, albo, ptaków, puści na wodę, które pływać będą jedne za drugą około niego. Z jednéj strony jest wytryskające źródło, które nazad przyjmuje do siebie wodę, którą wyrzuciło. Woda albowiem, będąc wyciśniona wysoko w górę, upada na siebie samę, a przez dwa otwory, które się łączą, zstępując na dół, znowu się podnosi ustawicznie.

Naprzeciwko łoża do spoczynku jest pokój, który mu tyle udziela wdzięków, ile od niego odbiera. Cały ten pokój marmurem błyszczy się, drzwi jego są otoczone i niby obłożone zielonością, w górze i na dole, z okien wyższych i niższych, samę tylko widać zieloność; blizko jest mały pokoik, który zdaje się, jakby się zapędził cały w pokój marmurowy, jednakże jest od niego oddzielony, tam jest łóżko; i chociaż ten pokoik jest cały w oknach, jednakże cień, który go otacza,



czyni go smutnym. Wdzięczny winograd okrywa go liściami swemi, które aż do szczytu się podnoszą. Mimo tego, że tam deszczu czuć nie możesz, zdaje ci się, że w lesie jakim spoczywasz. Widać w tém miejscu także źródło, które ginie w samém dobywaniu się swojém. Po wielu miejscach są rozłożone siedzenia marmurowe, sporządzone, jako i pokój do odpoczęcia po przechadzce. Blizko tych siedzeń są małe fontanny, w całéj téj szkole, słyszéć można wdzięczny wód szelest, które posłuszne ręce rzemieślnika, gdzie mu się tylko podobało, małemi rurkami są prowadzone. Tym sposobem, to te, to inne krzewy wodą odwilżone bywają, czasem zaś skrapiane wszystkie.

Jużbym był zakończył dawno, dla bojaźni, abym nie nadto drobne okoliczności wyszczególniał; ale postanowiłem sobie odwiedzić wszystkie kąty i kąciki domu mego z tobą. Takem sobie w myśli ułożył: że to, coby cię nie nudziło, gdybyś na nie sam patrzył, nie unudzi pewnie, kiedy i czytać będziesz.

## List pana Chambers o ogrodach Chińczyków.

Ogrody, które widziałem w Chinach (mówi pan Chambers), są bardzo małe; jednak ich rozporządzenie, i to czego mogłem się nauczyć, przez częste rozmowy, które miałem o tém ze sławnym jednym malarzem chińskim nazwanym *Lepqua*, dały mi dosyć poznać, jeżeli się nie mylę, jak ten naród myśli o ogrodach.

Natura jest dla nich wzorem, i to jest ich zamiarem, aby ją we wszystkich pięknych jéj nieregularnościach naśladować. Naprzód uważają ułożenie miejsca, jeżeli jest równe, albo pochyłe: jeżeli jest rozległe lub szczupłe, suche, albo błotniste, jeżeli go oblewają rzeki i źródła, lub też jest w niedostatku wody. Mają baczność na te wszystkie okoliczności i tych się rozrządzeń chwytają, które się najlepiéj do natury miejsca stosują, które najmniéj wyciągają kosztu, ukrywają przywary miejsca, i piękność jego najlepiéj na widok wystawują.

Ponieważ Chińczykowie nie lubią przechadzek, rzadko widzieć się dają u nich place, albo ulice szerokie, jakie są w ogrodach europejskich; całe miejsce jest podzielone na różne odmiany, a kręte przejścia, porobione w pośrodku gaju, do takich miejsc prowadzą, które różnym sposobem kończą wejrzenie. Każde z miejsc takowych ma w sobie albo siedzenie, albo budynek, albo inny jakowy objekt.

Doskonałość ogrodów ich zależy na liczbie, piękności i rozmaitości odmian. Ogrodnicy chińscy nakształt europejskich malarzów zbierają te rzeczy, które natura ma w sobie najpiękniejsze, i tak je połączyć razem usiłują, ażeby nie tylko w szczególności najpiękniéj się

wydawały, ale połączone nawet składały rzecz przyjemną i zastanawiały oko.

Ich ogrodnicy uważają trzy różnego rodzaju odmiany, którym dają nazwiska: wesołych, okropnych i nadzwyczajnych. Ostatnia z tych trzech zamyka w sobie to, co nazywamy odmianą romansów. Tam Chińczykowie różnych używają sposobów, aby patrzącemu sprawić podziwienie. Czasem wpuszczają rzekę, albo gwałtowny strumień pod ziemię, który wielkim szumem uderza ucho; gdy tymczasem słuchający pomiarkować nie może, skądby ten szum pochodził. Czasem tak sposobią skały, budynki i inne objekta, które wchodzą w ich ogrody, iż wiatr przechodząc przez zastawione odległości, i wypukłe sklepienia na ten koniec umyślnie porobione, czyni osobliwsze i nadzwyczajne brzmienie. Zasadzając w tych miejscach osobliwszego rodzaju dzewa, rośliny i kwiaty, robią echo sztuczne, i z kilku miejsc odbijające się: nakoniec trzymają tam różnego rodzaju ptactwo i twory zwierząt dziwaczne.

Odmiany okropne stawiają przed oczy skały zawieszone, jaskinie ciemne, gwałtowne kaskady, które ze wszech stron z góry spadają. Drzewa dają niekształtne i niby połamane od wielkiéj nawałnicy. Tu widać je obalone, bieg strumienia malujące i niby nagłém płynieniem wody zabrane, tam wydają się jak strzaskane od piorunu, nadpalone i połupane w sztuki. Niektóre budynki grożą upadkiem, inne po części ocalone od pożaru; nikczemne chaty tu i owdzie na gór wierzchołkach porozstawiane, zdają się oznaczać mieszkanie ludzi i razem nędzę ich.

Po tych odmianach następują pospolicie wesołe. Wie dobrze ogrodnik chiński, jak rzeczy odmienne mocno wpływają w umysł ludzki: starają się dlatego zawsze o nagłe przejścia od jednéj rzeczy do drugiéj, o przeciwne sobie ozdoby, któreby zastanawiały oko, o różne kolory i cienie. Przeto też z miejsca, w którém jest krótki dla oka przelot, przejść natychmiast można do miejsc odkrytych i długich ulic; od jezior i rzek do równin; od miejsc odkrytych do lasów. Po kolorach smutnych i ciemnych, stawią się przed oczy kolory jasne; po rzeczach najprostszych, widzieć się dają takie, gdzie sztuka sili się na kształt rozmaity. Tak na koniec roztropnie rozrządzają cieniem i światłem, iż w ich połączeniu widzieć można każde z osobna; i jako całe dzieło, tak i wszystkie cząstki jego w oczy wpadają.

Gdy miejsce jest obszerne tak, że w niém kto chciałby wiele odmian umieścić, każda z nich pospolicie ma swoje wejrzenie. Ale gdy plac jest szczupły, że wielu odmian w sobie zamknąć nie może, starają się poprawić ten niedostatek, takim sposobem ustawiając objekta, iż te różnie ukazują się według odmiany miejsc różnych, z których na nie oko pogląda; i częstokroć sztuka tego dokazuje, że



te widoki z inszéj strony widziane zdają się żadnego do siebie nie mieć podobieństwa.

W ogrodach wielkich Chińczykowie zaznaczają widoki różne na poranek, południe i wieczór; i tam, gdzie się kończy rzut oka, wystawiają budowle różne przyzwoite rozrywkom każdéj dnia części. Małe ogrody (gdzie, jakeśmy to już widzieli, jedno rozrządzenie i rzeczy układ, widziany z inszéj strony, pomnaża widoki) wystawiają im tymże samym sposobem na różny rzut oka, różne budowle, które przez ich zażycie, oznaczają porę dnia własną, do używania sceny téj w doskonałości zupełnéj.

Ponieważ powietrze w Chinach nadto jest gorące, mieszkańcy wiele wody do swych ogrodów potrzebują. Kiedy te ogrody są małe, i kiedy położenie miejsca pozwala, częstokroć całe je woda zalewa, że ledwie tylko mała jaka liczba skał i wysepek zostanie się. Do ogrodów zaś obszernych wprowadzają jeziora większe, rzeki i kanały. Naśladują w tém naturę, dając za jéj przykładem różny kształt brzegom rzeki, albo jeziora. Czasem te brzegi są suche i kamieniste; czasem są okryte drzewami, aż do saméj wody dotykającemi; w niektórych miejscach płaskie i przyodziane krzewiną, albo kwiatami; w inszych przemieniają się w skały niedostępne, które formują lochy, gdzie część wody z gwałtem i szelestem wpada. Czasem widzisz łąkę pełną bydląt, albo pola ryżem zasiane, które się w jeziorze zapuściły i zostawiły pomiędzy sobą miejsca dla przejścia statkom; czasem znowu gaje w wielu miejscach przecięte rzekami, po których łodzie pływają. Brzegi ich są okryte drzewami, którysh gałęzie z obydwóch stron nad rzeką się rozciągając, łączą się i w niektórych miejscach składają sklepienia, po pod które statki przechodzą. Tym sposobem jesteś zawsze przyprowadzony do jakiegoś widoku osobliwego; do budowli jakiéjś wspaniałéj; do jakiéjś altanki w środku jeziora leżącéj; do kaskady; do groty na wiele uchronów podzielonéj, do skały sztucznéj, albo do inszego jakiego tym podobnego wynalazku.

Rzeki u Chińczyków rzadko prostą linią upływają; zginają się wielorako, i są przerywane różnemi nieregularnościami. Czasem są wązkie, szumiące i szybkie, czasem powolne: szerokie i głębokie, trzcinę i insze zioła wodne, między któremi ma pierwszeństwo lienhoa, które szacują najbardziéj, widać wszędzie po rzekach i jeziorach. Chińczykowie wystawują często młyny i insze machiny wodne, których ruszanie się na wodzie ożywia widok. Trzymają także na tych wodach wielką liczbę łodzi kształtu różnego. Jeziora ich pełne są wysp, z których insze są nieurodzajne, otoczone skałami dzikiemi; insze ubogacone tém wszystkiém, co tylko natura i sztuka mieć może najdoskonalszego. Wprowadzają tamże skały sztuczne i przewyż-

szają wszystkie insze narody w tym rodzaju udawania; do takich robót są u nich ludzie umyślnie i szczególnie się w tém ćwiczący.

Znaleźć można w Kantonie, i zapewne w wielu miastach chińskich, wielką liczbę rzemieślników, statecznie tą sztuką bawiących się. Kamień, którego do robót takich używają, przychodzi od stron państwa południowych; jest błękitnawy, i nadwątlony przez wody, które mu podawały kształty nieregularne; w wyborze tego kamienia gust ich daleko się zapędza. Widziałem to sam, jak za jeden kawałek kamienia takiego, któryby był wielkości pięści, wiele sztuk pieniężnych małéj wagi dawano, kiedy kształt tego był piękny, albo kolory żywe. Tak wybornych kawałków zażywają do ogrodów, które połączając z sobą pewnym gatunkiem wapna błękitnego, wyrabiają z nich skały wielkości znacznéj.

Takie skały bardzo piękne widziałem, które okazywały w rzemieślniku gust niepospolity. Kiedy te skały są wielkie, wyrzynają w nich Chińczykowie lochy i groty, przez które nawskroś widzieć się dają dalekości. Znaleźć tam na nich można po wielu miejscach drzewa, krzewiny, mech i chróścinę; na ich wierzchołkach kładą małe kościołki, albo insze jakie budowle, do których wschody nieregularne i niezgrabnie w skale wykowane.

Kiedy mają wody dostatek, kiedy grunt potemu jest, Chińczykowie w ogrodach swoich robią kaskady. Chronią się w tém zawsze regularności, robotę natury naśladując w tamtym kraju górzystym. Wody wytryskają z lochów i zakątów skały; tu widać wielki i gwałtowny wód spadek, tam niezmierna liczba drobnych zlatuje strumyków. Czasem patrzenie na kaskadę jest przerwane przez drzewa, których liście i gałęzie pozwalają tylko miejscami widzieć wody spadające na boku góry. Czasem nad miejscem najbardziéj szybkiéj kaskady jest przerzucony ze skały na skałę most drewniany grubo zrobiony, a czasem bieg wód jest przerywany przez drzewa, albo bryły kamieni, które zdaje się, że gwałtowność wód tam pozanosiła.

W gajach Chińczykowie zawsze kształt i barwę drzew odmieniają, dołączając te, których gałęzie są wielkie i gęste, z temi, które wznoszą się jak piramida, i ciemno-zielone, z zielonością weselszą. Mięszają drzewa, które mają kwiaty, a między temi takich wiele, które prawie przez połowę roku kwitną. Między drzewami ulubionemi mają pewny gatunek wierzby, należący do rzędu drzew tych, któremi brzegi rzek i jezior osadzają, tym zaś sposobem są posadzone, że ich gałęzie nad wodą wiszą. Chińczykowie wprowadzają także do ogrodów swoich pnie drzew, czasem stojące, czasem leżące na ziemi, i daleko w guście zapędzają się nad ich kształtem, nad farbą ich kory, a nawet nad mchem, który porasta na nich.



Nic nie może być z większemi odmianami użyte, jak ich sposoby, któremi nas w nagłe zastanowienie się i zadziwianie wprawiają: prowadzą nas często przez lochy i przejścia ciemne, z których wyszedłszy znajdujemy razem najpiękniejszą okolicę, przyozdobioną tém wszystkiém, co natura mieć może najwdzięczniejszego. Czasem wiodą nas przez uliczki i uchody, które zmniejszają się i które zwolna coraz przykrzejszemi do przejścia się robią; przejście nakoniec prawie ze wszystkiém jest zastanowione: krzaczki, chróst i kamienie zatrzymują przechodzącego, kiedy razem otwiera się przed oczyma twojemi najwdzięczniejszy jaki widok, który tém bardziéj podoba ci się, im mniéj się go spodziewałeś.

Jest jeszcze i ten przemysł tego ludu dowcipnego, że umie zakryć przynajmniéj część jakąś tych swoich robót, że naturalne niby zdają się, nie zaś udawane; a to przez sposób drzew i inszych objektów pośrednich, takich zaś najbardziéj, które ciekawość przytomnych wzbudzają. Chciałby kto zblizka co widzieć, otóż przystępując, na jakiś widok wdzięczny niespodziewanie napadnie, albo téż na jakąś rzecz, zupełnie temu, czego szukał, przeciwną. Zakończenie się jezior jest zawsze ukryte, ażeby zostawić myśli zabawkę. Ta reguła zachowana jest, ile możności, we wszystkich Chińczyków kompozycyach.

Chociaż Chińczykowie nie są bardzo biegłemi w optyce, doświadczenie jednakże nauczyło ich, że wielkość wydająca się objektów umniejsza się, i że kolory ich słabieją, im są bardziéj oddalone od oka, które patrzy na nie. Z takiego uważania, przyszli do jednego obrotu, którego czasem zażywają. Robią wejrzenia w perspektywę, kładąc w nich budowle, okręty i insze objekta, zmniejszone w miarę ich odległości od oka; ażeby omamienie było większe, dają kolor szarawy częściom bardziéj oddalonym swojéj perspektywy; zasadzają daléj drzewa zieloności mniéj żywéj, i niższe, niżeli te, które na czele są zasadzone, tym sposobem to, co w sobie samém jest szczupłe i małe, staje się na pozór wielkiém i rozległém.

Zwyczajnie Chińczykowie chronią się linij prostych; jednakże ich na zawsze nie odrzucają. Robią czasem i ulice, kiedy mają widok jaki osobliwy oczom wystawić. Drogi u nich zwyczajnie rznięte są linią prostą, jeżeli nierówność gruntu, albo insza jaka zawada nie da im powodu do zrobienia inaczéj. Kiedy grunt jest zupełnie położysty, zdaje im się rzecz dziwaczna robić na nim drogę krążącą się, bo powiadają: albo to jest droga sztuczna, albo przechodzenie stateczne podróżnych, które ją zrobiło; a w obudwóch przypadkach nie jest naturalna myśléć, ażeby ludzie woleli raczéj wybrać do przechodzenia linią krzywą, kiedy mogą iść prostą.

To, co się w angielskiém nazywa *clump*, czyli kupka drzew, jest znane także i u Chińczyków, ale tego tak często, jak my, nie używają. Nigdy miejsca jakiego obszerniejszego tym sposobem nie zasadzają. Ich ogrodnicy tak myślą o ogrodach, jak nasi malarze o obrazach. Chińczykowie robią urywki lasów, czyli kupki ich drzew, jak malarze robią kupki osób; jedni i drudzy mają swoje (jak mówią) massy pryncypalne i powtórne.

---

# O WYMOWIE
## W PROZIE ALBO WIERSZU.

### Do WW. Ichmość Panów Towarzystwa Ksiąg Elementarnych.

Ćwiczenie przyzwoite młodzieży, jako między inszemi, znakomitą jest chwałą panowania najjaśniejszego Stanisława Augusta; tak mężowie w narodzie najpierwsi, którzy się dobrowolnie do téj pożytecznéj pracy zaprzęgli, tak chwalebne do układania ksiąg elementarnych WMCpanów Towarzystwo, do téjże chwały należéć będzie. Wiek nasz doniesie to potomnym, z jak wielą przesądami walczyć potrzeba było, jak wiele zaciernionych dróg rozprzestrzenić; niżeli wyszliśmy nakoniec na owe jasne pola, gdzie już bez bojaźni błąkania się, torem równym do nauk prawdziwie pożytecznych dążymy. I chociaż jeszcze stare przesądy, do swoich przyzwyczajone ciemności, na rażące ich nagłe światło czasem i mrukną; przecież niedołężnego tego nieprzyjaciela ledwie nie na to tylko opierającego się widzimy, ażeby widoczniéj bojaźń i słabość swoję pokazał: bo w pośrodku nocy, która go otacza, ani on sam siebie nie zna, ani przeciwko słońcu, którego nie cierpi, oczu otworzyć nie śmie.

Czytając ze wszech miar chwalebne ustawy Komisyi narodu edukacyjnéj, roku przeszłego ogłoszone, szczególnie zaś rozdziału XV do nauczyciela wymowy stosujące się słowa następujące: „w klasie szóstéj dawać będzie wiadomości i uwagi o Wymowie i Poezyi"; spodziewam się, że nauczyciele wymowy miéć będą pewne przepisane prawidła, za któremi młodzież sobie powierzoną prowadząc, i najlepszym zamiarom Komissyi i oczekiwaniom narodu dogodzą. Oto jest pobudka, dla któréj zebrane uwagi moje nad wymową przed WMci panów przynoszę. Szczęśliwym, jeżeli zdatnego co między myślami mojemi znajdziecie, czém-bym się narodowi (co jedynym

moim zamiarem jest) przysłużyć mógł, i w najdalszéj przynajmniéj cząstce do téj WMci panów chwały należał, któréj wam wdzięczna powszechność tak sprawiedliwie nie zaprzecza.

Niżeli bojaźń przemocy (jak myśléć można) pozgromadzała ludzi w większe towarzystwa (1), żyli zapewne pierwéj w mniejszych rozrzuceni familiach. (2) Gdzie, kiedy codzienne dokuczały im potrzeby, a słabszy od mocniejszego ratunku żądał, zapewne najpierwéj tłómaczył się przez znaki jakieś, czyli (jak pospolicie nazywamy) na migi. Co ponieważ jeszcze niedostateczne było, znowu potrzeba zażyła sposobnego do tego języka naszego, który przez insze w gębie naczynia głos uformowany na słowo wyrobił, i tém słowem, według upodobania wynalazcy, rzecz jaką nazwał. To będzie pewna, że rzeczy, do potrzeby koniecznéj należące, najpierwéj między ludźmi swoje nazwiska miały. (3) Do których to słów pierwiastkowych przyczyniając się, coraz insze, zrobiła się z czasem mowa, czyli złożenie wielu słów razem; co potém łacinnicy nazywali *Eloquentia*, od słowa *eloqui*—i co my dobrze także wymową nazywamy, jakoby to, co pojęcie nasze objęło i serce uczuło, wymawiając.

Wymowa patryarchów, dochowana nam w niektórych nagrobkach, żydowskich, chińskich i perskich księgach, (4) nie wielą tłómaczyła się słowami, bo ich nie wiele miała; a ten niedostatek szczęściem był niejako ludzi tamtych, że nie mając z czego rozszerzać się, w krótkich wyrazach wiele zamykać musieli; i (co zawsze pięknością prawdziwéj wymowy będzie) w kilku wspomnionych słowach najwięcéj do myślenia zostawiali. Jednemu z monarchów babilońskich, który dwa potężne miasta w jednym dniu zmurować kazał, po śmierci taki położono nagrobek: „Anchial i Tars *) w jednym dniu wystawiłem, a teraz umarłem". Kto wchodzić umié w siłę podpisu tego grobowego, jak wiele z pierwszéj jego części o pysze człowieka zaraz mu do myśli przyjdzie! ale jak z drugiéj każdy z nas upokorzonym się znajduje! Księgi żydowskie pełne w ich mędrcach i prorokach owéj wysokości, do któréj nikt się nie podniósł; w ich dziejopisach owéj krótkiéj dokładności, która czytającemu czasu nudzenia się nie dopuszcza; i najdawniejsze księgi Chińczyków, Persów i Babilończyków, pokazują nam wieków tych oddalonych w słowach gospodarną oszczędność, i wprawując nas w podziwienie nad pięknością swoją, tylą uprzedzonych przesądami, ledwie nam nie próżne naśladowania piękności ich zostawiły żądanie.

Homer, (6) ten ojciec wymowy europejskiéj, który nie tak daleko po wiekach patryarchów kwitnął — widać w nim i tę wysoką prosto-

*) Anchial i Tars w Cylicyi.



tę, i tę słodycz opisywania, którą zdaje się, że sam jeden posiadał. Czyli on zuchwałego Achillesa między królami bez względu żadnego mówiącego wprowadza, czyli mu poczesny Nestor przypadki swoje opowiada: umie wyrazić doskonale, jak daleko burzliwa młodość zapędzić się, i wielomówna sędziwość bez nudzenia słuchających zabawić może. I chociaż w miarę zepsucia, albo poprawienia się smaku wymowy, chwalony albo ganiony bywał, (6) mówić przecie można, że przez wieków przeszło trzydzieści, nabytą chwałę w najdalszą potomność zaniesie; i póki tylko pism jego i ludzi, którzyby czytać umieli, stanie, zawsze on tém słodzéj smakowany będzie, im to jaśniejsza, że prawdziwa piękność wszystkich wieków jest pięknością.

Z tego-to źródła czerpając, formował się staréj Grecyi obywatel; stąd miał wiarę w kościele, śmiałość w boju, gospodarstwo w domu, przezorność w radzie i piękność w wymowie. Stąd Greczyn dawniejszy, przejęty gorącemi wyrazami Iliady, zdziwiony nad sobą samym, razem widział się wojownym i zuchwałym Achillesem, i... jak gdyby poledz nie mógł, na licznego nieprzyjaciela jeden gotów był natrzéć. (7) Stąd w wymowie piorunujący Perykles, potężny Demostenes, stąd Eschiłowie, Eurypidesy, Pindary, Anakreonty wyszli. Stąd Ateny—zawierzywszy jednéj tylko Homera piękności, a trafem szczęśliwym mając ją taką, jaka prawdziwie być powinna, będąc do tego wolnym, i z siebie czułym narodem — stały się *szkołą wymowy* świata.

Z greckich wzorów do piękniejszéj wymowy, a może i dzielnych czynów dowcipny złożył się Rzymianin: (8) i czyli on wyroki swoje podbitym posyła królom, czyli z przyjaźnemi rozmawia narodami, czyli nakoniec przyciśniony, pod twardą ręką chylić się musi, upadając nawet, swojemu grozi zwycięzcy, i na nieprzyjacielu znaki zostawia, że Rzymianin upadał; a jeżeli w pośrodku zgromadzonego ludu o wojnie albo pokoju rozmawia: w miarę potrzeby narodu w sercach słuchających zemstę, albo łagodność wzbudza. I stąd to w rzeczachpospolitych wymowa stała się potrzebną rządu sprężyną, ażeby tam, gdzie musem obywatel pociągnionym być nie mógł, bywał zagrzany pełną miłości ojczyzny radą; i jako w despotyzmie królowie mówią wszystko za wszystkich, tak w rzeczachpospolitych każdy obywatel za monarchę, albo z monarchą mówić miał prawo. Jako zaś daleko wymowa stanom wolnym przydatna była, prócz inszych niezliczonych przykładów, kiedy Tyrteusz Spartańczyków, Cycero Rzymian, i Konstancyusz świat cały zachowuje. (9), ćwiczenie w niéj młodzieży z tak ważnych powodów, jak u dawnych najpierwszém było staraniem, tak i u nas szczególnie potrzebną, a zatém najpilniéj doglądaną szkołą być powinno. O któréj przystósowaniu niżeli wspomniemy, pierwéj obaczyć należy, gdzie téjże wymowy szukać i jak ją wyrażać mamy?

Między tylą słowami, które mowę naszę teraźniejszą składają, jako niezliczone być mogą słowa, ze słowem połączenia i wyrazy; tak zapewne ten straciłby pracę całą, któryby przepisy naznaczyć chciał, jakiemiby to, co pojęcie objęło, albo serce uczuło, tłómaczyć można. Wymowa bowiem, jak ów ptak bujny, traci zaraz z czerstwości i piękności swojéj, skoro go tylko w klatce zamknięto.

Ziemia cała ze swojemi stworzeniami — co nas tylko otacza, dokąd okiem albo słuchem dosięgnąć możemy; zapędy myśli z niezliczonych czynione pobudek; wszystko to, pod różném jednéj rzeczy do drugiéj odnoszeniem, przyrównaniem albo niezgodą, do warsztatu wymowy należy. Któżby teraz tak niezliczonemu rzeczy przychodzących tłokowi porządek i dokładne mógł naznaczyć przepisy? Kto w pośrodku biegu swojego... zaciek myśli, albo wylewy serca zatrzyma? i niewczesném chcąc je hamować prawidłem, wyrazu najpiękniejszego, jakim usta natury mówią, nie zepsuje? I z tychto przyczyn zdają się wszystkie przepisane reguły (prócz porządku i przystojności mówienia) wcale nam do wymowy niepotrzebne, któremi często na wiele stron razem ciągniony uczeń, i tłumem prawideł otoczony, od któregoby zaczynać miał, nie wie; a najczęściéj, jak niewolnik, z ostrością wykonywając przepisy swoje, nudzącym staje się mędrkiem.

„Pojęcie rzeczy, serce czułe i piękne wzory", oto są źródła nadto dostateczne wymowy.

Co należy do pojęcia rzeczy (czyli dokładnego poznania tego, o czém mówić chcemy): powinniśmy uważać związki jéj albo odnoszenia się do drugich, porównanie albo różnicę, skład naturalny, albo jéj rozbiór; i zatrzymawszy nacisk mniéj potrzebnych okoliczności, rzecz naszę do pewnych tylko granic rozważać mamy. Dlatego psują zawsze wymowy piękność... bardzo zdaleka wzięte okoliczności; jako, przeciwnym sposobem, opuszczenie potrzebnych czyni jéj krzywdę, oddzielając od niéj część jéj istotną. Pisząc o rzeczy jakiéj, a żadnego jéj z drugiemi porównania, ani różnicy nie czyniąc, pewnie ją tylko nadto powierzchownie obaczymy: kiedy umiejętność nasza i sądzenie o rzeczach, ledwie nie na tém tylko porównaniu ich zależy. ([10]) Wszystkich tedy sposobów zażyć potrzeba, któremibyś w tém, o czém pisać masz, najlepszego zasięgnął oświecenia. Obejdź wkoło pokilkakrotnie rzecz twoję, i kiedyś ją, ile możności, przeniknął, kiedyś jéj najpilniéj ze wszystkich stron przypatrzył się, mówić będzie można natenczas, żeś ją i poznał dostatecznie.

Czułości serca jeżeli kto z natury nie wziął, może ją sobie i sam z czasem utworzyć, i nauczyciel ucznia swojego do niéj zaprawić. Ponieważ rzeczy wszystkie na ziemi, chociażby najlepsze były, wady swoje przecie mieć muszą; i przeciwnym sposobem, najgorsze niepodobna, żeby w sobie co dobrego nie miały: w miarę potrzeby swojéj nauczyciel niechaj uczniowi pokazuje je z téj tylko strony, z któréj widziane, zamiarowi jego dogodzą. Złość naprzykład obaczona niechaj go pobudza do gniewu, zemsty, albo pogardy; co niechaj wyraża z ostrością jakąś i gwałtownością, które gniewowi i zemście są właściwe. Ale widziana dobroć niechaj go łagodniejszemi porusza sposobami, i tą wdzięczną napawa słodyczą, któréj tylko poczciwe serca kosztując, bez zazdrości się żadnéj ze słuchającymi ich dzielą.



Niechaj nie umiejący, co to jest czułość serca, uczeń przestaje i rozmawia z temi, którzy już ze swojéj troskliwości serca dobrze są znani; a takiém towarzystwem, odwyknąwszy dzikości, nabierze słodkiego nałogu czułości serca. Niech wprawia się słuchać, albo stara się widzieć niewinnego w prześladowaniu, poczciwego w ubóstwie, zdatnego do wielkich rzeczy w pogardzie; niech to stosuje do siebie, gdyby w podobnym był stanie, jakby mu z słodyczą przychodziło drugich politowanie nad nim? a czegoby sam dla siebie żądał, niech tego i inszemu udzieli. Niech często pogląda na kaleków w niedostatku, na chorych opuszczonych, i niech w téj szkole uczy się być człowiekiem, podobnym każdemu nieszczęśliwemu.

Jeżeliby zaś komu przez większą do okrucieństwa, niżeli miękkości serca skłonność, do poprawienia się przyjść nie miało, niech próżno przed wrotami słodkiéj wymowy nie czeka: one dla niego na zawsze są zamknięte. Wy tylko wnijdziecie śmiało, którzy boléć umiecie; którym nie wstyd i poczciwe czasem łzy wylać; których nędza bliźniego, nie oglądając się na nic, na pierwsze zaraz wejrzenie wzrusza; i kiedy przyjaciołami narodu ludzkiego będąc, tę człowieka cechę, która nas od inszych różni zwierząt, w sercu swojém nosicie: politowanie.

Okrutny Nero, o którym powiadają, że się także między literatów zamięszał i wiersze pisywał, on nigdy pięknego dzieła napisać nie mógł; ten, który krwią najzimniejszą matkę, brata, żonę, nauczyciela i tylu niewinnych pozabijał obywatelów, mając serce tylko do mordów i krwi rozlania przyuczone, jakież w niém mógł znaleźć miejsce dla téj ludzkiéj czułości i dotkliwego wyrazu, którego koniecznie wyciągać zdaje się trajedya? Bo jeżeliby się chciał podnieść wspaniałością wyrazów swoich, zawszeby je pomięszać musiał ze zwyczajną sobie pogardą powszechną ludzi, i z tą nieprzebłaganą nienawiścią, do jakiéj tylko okrutne serca skłaniać się mogą; jeżeliby do politowania poruszyć chciał, onby to tylko czczemi wyraził słowami, do czego i serce należéć miało: a tak nie widziałby skutków wzruszenia na słuchających, nie mając go pierwéj w samymże sobie; jako albowiem człowiek okrutny łatwo się rozśmiać może, ale płakać nie umie; tak niepodobieństwo, ażeby, sam nie mając skłonności do łez, mógł je w kim innym wzbudzić.

Mając już serce do czułości (jakiéj tu żądamy) skłonne, jeżel w potrzebie jeszcze nam, według naszego żądania, dotkliwych wyrazów braknie, i niewczesna jakaś ociężałość myśl naszę w nieczynności trzymając, wzbicia się jéj w górę zabrania; możemy imaginacyą naszę zagrzać przez poglądanie i rozważanie téj księgi, którą natura we wszystkich rzeczach stworzonych zawsze nam do czytania podaje (11). Szczęśliwy, który nad każdą rzeczą zastanawiając się, nad wszystkiém, co obaczył, rozmyślał; ze wszystkiego potrzebne do robót swoich zbierał narzędzia! On wczasie nie będzie żądny téj obfitości, którą pełnemi słodyczy ustami prawdziwa wymowa rozdawać zwykła. Dla niego widowisko natury otwarte jest, ażeby samemu sobie zostawiony, w milczeniu rozpamiętywając piękności jéj, głośnemi je potém przez czułe wyrazy czynił. Dla niego uśmiecha się przyjemna łąka, niedostępne zasępiły się skały, w gruzach własnych niedobyte kiedyś zamki dawnéj swojéj siły i piękności płaczą. Dla niego zachód słoneczny tę bogatą chmurom przyległym rozdaję barwę, księżyc okropnéj nocy w cichości panuje; i w niezmierzonéj gdzieś tam odległości statecznie gwiazdy migocą. Dla niego szumią nawałne wody, porzuciwszy dawne koryta swoje—płyną swobodnie po fundamentach jeszcze pozostałych miast kiedyś poniszczonych; potężny sroży się wicher i... w puszczę nietkniona siekierą zakradłszy się, wyniosłe powalił dęby, pod któremi przy silnym korzeniu ich drzewka młodociane i kwiat leśny ubity poległ. Dla niego wpośród głębokiéj na wiosnę nocy, kiedy całe uciszyło się stworzenie, słowik wyśpiewuje, poziomy potém skowronek wschodzące wita słońce; a pobudziwszy naród powietrzny sworne ptasząc śpiewania, ich pewnie miłości zaczęły się piosnki.

On, pomiędzy te i tem podobne bogate natury skarby przechodząc się, ze wszystkiego do upodobania swego brać, i zażywać ma pozwolenie; i jak ów wódz przezorny, którędy tylko przejeżdża, żadnego bez rozważenia miejsca nie opuści, jakby w takiém albo temu podobném położeniu z nieprzyjacielem postąpić sobie powinien? tak myślący się składać na wymownego, ponieważ wszystko w naturze do jego rzemiosła wchodzi, nad wszystkiém zastanawiać się będzie.

Piękne wzory, czyli wymowy przykłady, (które nie dlatego czytać należy, żeby ślepemi ich być naśladowcami (12); ale dlatego, ażeby albo smak sobie naprawić, albo myśl ociężałą ocucić), nie tylko nam starych Greków i Łacinników pokażą pisma, ale i w nowych we wszystkich sposobach wymowy znaleźć możemy. Wiele w tym razie na nauczycielach zależeć będzie, ażeby piękne miejsca uczniom pokazać umieli. I Homer (jak powiadają) czasem zasypia; niechże nauczyciel pokaże go uczniom swoim śpiącego; niech.. i sen nawet tego wielkiego męża szanując, przestrzeże, kiedy się Homer obudził; niech



te miejsca umie rozebrać przed uczniami, i niech w nich czucia doświadcza. Toż o inszych starych, toż i o nowych rozumiéć.

W Homerze naprzykład, prócz tysiąca inszych, pokazać piękność pożegnania się Andromaki z Hektorem (13), albo prośbę Pryama do Achillesa o ciało zabitego Hektora (14); w Wirgiliusza Eneidzie, jak Dydo wyrzuca Eneaszowi, chcącemu odjechać, niestateczność jego (15); i inne w tym nieporównanym mówcy miejsca nieskończone.

Dotkliwa mowa Cycerona za Milonem, piękna za Marcellem, Filipki jego, i dawniejsze Demostenesa; tragiedye Eschila i Eurypidesa, Horacy, Owidy i Plutarch w życiach wielkich ludzi: oto są wymowne wzory warte rozważania; i dla których greckiego, ale najbardziéj łacińskiego języka szkodaby zaniedbywać. Obyśmy na dobre nasze baczniejszemi być chcieli, i miasto tylu książek mniéj potrzebnie z cudzych języków na nasz przeniesionych (które czasem obyczaje uszkodziły), tych wielkich ludzi przynajmniéj po części pisma tłómaczyli; zaś nie co do słów, ale do rzeczy, i sposobu wymawiania polskiego przywiązując się — tłómaczenia nasze każdemu uczniowi pod ręką będąc powszechnie stałyby się zdatnemi.

Dbała o wymowę swoję Francya piękny nam z siebie podaje przykład — gdzie czyli co doskonałego w dawnych pisarzach było, czyli się u sąsiaeów teraz pokaże, zaraz to na swój język przenoszą. Ani się tém zatrudniają, ażeby poetów dzieła wierszem koniecznie tłómaczyli; ale piękne cudzych autorów wiersze na ojczystą prozę przekładają, nie chcąc tym sposobem słowa jednego z wielkiego mówcy utracić. W tłómaczeniu z wiersza na wiersz spadków i liczby koniecznością przymuszony poeta... i słowa odmienić, i od myśli autora często odstąpić musi. Ponieważ zaś w prozie, albo w wierszu jednaż wymowa jest, i tylko liczbą pewną syllab, spadkiem jednakim wierszów, albo wolniejszém użyciem fikcyi, poezya od prozy różni się; za cóż, zwłaszcza, gdzie długiéj pracy potrzeba, albo robotnika sprawnego nie dostać, nie mają być na czystą prozę dzieła poetów tłómaczone?

Nauczyciel, pokazując uczniom przykłady w starych Grecyi albo Rzymu autorach, powinien jeszcze przestrzegać o mitologii, czyli o zażywaniu do wymowy dawnych pogaństwa bożków. Po ustanowieniu chrześciaństwa w szczęśliwej Europie, nie wiem, jakiém prawem ojcowie nasi pogańskie bożyszcza, które tak dalekiemi od czystości religii naszéj widzieli, do swoich poezyj ośmielili się przyjąć? Zdaje się rzecz oczywista, że co poganie najsprawiedliwiéj wzywając ich robili, to w naszym obrządku wcale niepotrzebnym stało się zachodem: Niech tak będzie, że fikcya do poezyi wchodzić koniecznie powinna; przecież i na to nam zawsze zgodzić się potrzeba, że ta tyl-

ko słodycz nam sprawować zwykła, która bliżéj do prawdy przystępuje.

I tym zapewne końcem starzy poganie, widząc z téj strony poezye swoje niedoskonałe, na dalekie częstokroć zapędy imaginacyi swojéj wprowadzili bóstwa, którym nic do wykonania niepodobnego, ażeby tym sposobem cechę niejaką prawdy dali robotom swoim. Tak to od początków wieków pewna jest, że, co nie będzie prawdą albo podobieństwem do niéj, zapewne podobać się nie może. Kiedy Homer, albo Wirgilii nieśmiertelne swoje pisali księgi, oni do swoich bożków sprawiedliwym zwrotem uciekali się, ażeby bohatyrów swoich w razach ciężkich mogli poratować: bo Jowisz, insi bogowie i boginie, wiarą natenczas powszechną byli.

Ale my, po co tych Muz, tych Apollinów, w naszych wzywamy poezyach? o których próżności aż nadto przeświadczeni jesteśmy! a tym jeszcze sposobem odbiegamy od jednéj z pomiędzy własności tak poezyi, jako i pisma każdego: ażeby powszechnie rozumiane były, jak były rozumiane poezye starych, zamykając w sobie wiarę, którą każdy z najnikczemniejszych pogan wiedzieć i wierzyć był obowiązany. Prócz umiejących mitologią, których proporcya może jak jeden do dziesięciu tysięcy będzie, kto, proszę, zrozumie wielu naszych poetów dzieła?

Zaszły śluby małżeństwa jakiego? już zaraz, wszystkich bogów i boginie poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił; już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają, i Merkury coś bredzi nie do rzeczy. Umarł kto? idą szeregiem Plutony, Prozepiny, Parki. Wojskowy kto? już on Marsa albo Bellony synem. W tych i tym podobnych okolicznościach niedołężny poeta, taką erudycyą marne dzieła swoje zapychając, robi podobnie do owego malarza, który nie umiejąc odmalować Wenery pięknéj, odmalował ją bogato przystrojoną. I chociaż z zaczniejszych chrześciańskiéj Europy poetów wielu, miasto bajecznych bożków, prawdziwego do swoich poematów Boga wprowadzili ([16]); przecież jeszcze, przez nałóg tylą wiekami zasiedziały i utwierdzony, żaden się z nich bez wzywania Muz nie obszedł, i (aby) niewczesnym zamętem prawdziwego Bóstwa z temi bajecznemi nie pokłócił.

Za co miasto Apollina nie ma być słońce? miasto Dyany księżyc? gwiazda, miasto Cynozury? piękność, miasto Wenery? sprawiedliwość, miasto Temidy? i t. d. Za co, jeżeli tego potrzeba wyciąga, nie dalibyśmy postaci ludzkiéj cnotom wszystkim, występkom, albo namiętnościom? za co je nie wprowadzać zgodne, albo między sobą walczące? smutne lub weselące się? mściwe, albo pobłażające? a tam gdzie (jako w poematach obejść się nie można) potrzebne bywają machiny, czyli cudotwory jakieś, ściągane od poety na podźwignienie



i wsparcie bohaterów swoich; miasto dawnych bogów i bogiń, albo téż i naszych świętości, kiedy można, nie tykając, za co z nieba, czy z piekieł duchy sprowadzone być nie mają?

Nie chcemy jednak mitologii, jak niepotrzebnéj, odrzucać: owszem nauczyciel starać się będzie jak najdokładniéj tłómaczyć ją uczniom swoim, tak dla potrzebnego nam koniecznie rozumienia pism starych pogan, jako téż, ponieważ wiele jest w téj mitologii osobliwych i najdowcipniéj złożonych przygód, z których, alboli téż z dziejów dawnego świata, wziąwszy rzecz jaką do opisania, i wprowadzając osoby starego pogaństwa (naprzykład w tragiedyi); za co, wystawując je takiemi, jak były i myślały, nie mamy i niepowinniśmy koniecznie wprowadzać je razem z tą ich wiarą, i ucieczką do bogów, do któréj się natenczas garniono?

Wieków chrześciańskich pisarze mogą być także uczniom dla wzięcia pięknych wzorów czytani; i równie, jak się mówiło o starych, nauczyciel ma w nich piękniejsze miejsca uczącym się pokazać. Nabożny Torquato Tasso w swojéj Jerozolimie wyzwolonéj, a przez Piotra Kochanowskiego przetłómaczonéj; wyniosły Milton w swoim Raju zgubionym; zabawny Aryost w Orlandzie Szalonym; Young przeraźliwy w Nocach swoich; przyjemny Tomson we czterech roku porach; naturalny Gesner w śmierci Abla i sielankach swoich; słodki i razem wspaniały w Henryadzie i nieśmiertelnych swoich tragiedyach Wolter, Wolter! którego nadto niktby nie pochwalił, gdyby w inszych pismach (gdzie naszych świętości, które my milczeniem samém szanujemy, dotykał) nadto nie był wartym nagany — a on niebacznie, będąc, że tak rzekę, wszystkiém, przez zuchwałość swoję zrobił się nie dla wszystkich.

Oto są (między znaczniejszemi) z nowych pisarzów wzory, które rozważając z pilnością, do równéj albo wyższéj doskonałości postąpić moglibyśmy, gdybyśmy porzuciwszy nizkie o sobie trzymanie, ludźmi będąc, jak tamci, siły swoje poznawać chcieli: ani dlatego tak na dawniejszych, jako i teraźniejszych autorów wzory poglądali, ażebyśmy ślepemi ich niewolnikami będąc, naśladowaniem tylko samém bawili się; ale na wzorach pokazanych poznawszy prawdziwą piękność, równą téj drugą (zwłaszcza kiedy wymowa niewyczerpana jest) utworzyć mogli.

Pojąwszy doskonale rzecz swą, czując ją, jak się wyżéj nadmieniło, rozważając z pilnością widowisko natury, i mając sobie pokazane wzory doskonałe, żeby w nich uczeń na prawdziwą piękność zaraz natrafić umiał (ponieważ przez przykłady lepiéj objaśnimy się, niżeli przez reguły), weźmy w rozbiór owę w Homerze Pryama mowę: w któréj prosi syna swego Hektora, aby sam jeden nie narażał się na Greków, i Achillesa nie drażnił ([17]).

„Hektorze (wołał na niego), kochany synu mój! nie czekaj sam bez wojsk twoich tego człowieka okrutnego, żeby ci życia nie wydarł, bo jest daleko mocniejszy od ciebie! nieszczęśliwy ja! — gdyby on u bogów tyle miał, co u mnie, nienawiści, byłby już pastwą psów i sępów, a ja zostałbym wolny od boleści, która mnie tak ciężko ciśnie. On to mi już tak wiele dzieci powydzierał;... dziś nawet, z powrotem wojska, ani Likaona, ani kochanego mego Polidora nie widzę... Ale Trojańczykowie pocieszeni zostaną, jeżeli ty się uchronisz niebezpieczeństwa dnia dzisiejszego... powróć więc, synu mój ukochany, do miasta, zaprzysięgam cię na imiona bogów! powróć, i ocal Trojańczyków twoich i Trojanki; nie dawaj téj chwały synowi Peleusza, i chciéj się zachować dla nas. A jeżeli te względy jeszcze cię nie poruszą, miéj litość nad starością moją; może to już ostatnia łaska, o którą cię proszę, wyświadcz mi ją, zaklinam cię, póki jeszcze jestem w stanie czuć i poznawać, co możesz uczynić dla mnie. Ach! syn Saturna czyliż dlatego przedłużył tak życie moje, ażebym potém z największém zginął okrucieństwem? Przymusiwszy mnie patrzyć na wszystkie razem nieszczęścia, na synów moich zanurzonych we krwi własnéj, na córki moje wleczone gwałtem, na domy żon moich zgwałcone, na dzieci moje przy piersiach o kamień roztłuczone, na synowe moje przez zuchwałego zwycięzcę w niewolą prowadzone: kiedy gniew bogów wszystkie te okropne w oczach moich pokaże widowiska, nakoniec swywolny żołnierz przybiegnie, utopi żelazo w łonie mojém; a psy, które żywię w pałacu, i które strzegą bram moich, paść się będą ciałem mém, i krwią napawać się pana swego, którego natenczas poznać nie będą mogły. Na człowieka młodego, co poległ w boju, rozciągnionego na ziemi, nagiego, okrytego ranami, krwią i pyłem zmazanego, jeszczeż bez wielkiego wstrętu spojrzéć można; ale widzieć człowieka starego, któremu lata włosy pobieliły, i od dawna już oddaliły od boju, widzieć go na ziemi odkrytego przed obliczem nieba i t. d.”

Przypatrzmy się, jak silny w namowach swoich Pryam wszystkiego poruszа, czémby Hektora nakłonić mógł. Już mu prócz inszych wielu, dwóch synów i teraz nie dostaje; już go dla zeszłéj starości może o ostatnią tę łaskę prosi; już opisując, jak można najdotkliwiéj, domu swojego zaboje i gwałty, o swoim zgonie przepowiada; i ażeby mu okropności więcéj przyczynił, psy srogie z łańcuchów spuszcza, które pana swojego nie poznają i krew jego piją. Już nakoniec najsmutniejszy człowieka latami obciążonego, i zabitego obraz maluje; każdém prawie słowem w téj całéj mowie chcąc od walki z Achillesem Hektora, syna, odciągnąć. I chociaż twarde wyrazy Homera zdają się surowością swoją delikatne nasze ucho teraźniejsze obrażać: ale weźmy na czas (czego koniecznie prawdziwemu mówcy potrzeba),



weźmy na siebie osobę nieszczęśliwego Pryama, który potraciwszy na wojnie synów, jednego Hektora, domu i państwa swego podporę, narażającego się na niebezpieczeństwa widzi; czylibyśmy wrodzonéj w takim razie niespokojności i trwodze zostawieni, podobnych nie zażyli wyrazów; i tam, gdzie natura całą swoją siłą sama tłómaczy się, oglądali się na jakieś tam przepisy nieobraźliwe?

Takiż jest Homer, kiedy opisuje polegających Trojańczyków pod bronią grecką, coś każdemu z upadających, czémby poruszył, przydając: Ten (powiada) zginął, i młodą zostawił żonę, która powrotu jego napróżno wygląda; ten odumarł małe dzieci w kolebce, już on ich, jak podrosną, nie obaczy, ani w młodości radą im i wsparciem będzie; ten rozpoczął obszerny pałac, a kto inszy zakończy go, i w nim z cudzém pokoleniem zamieszka. Te i tym podobne Homer zbierając okoliczności, najlepiéj podobno do serca ludzkiego drogę znający, zewsząd do niego się wdziera.

Niemniéj silny w wyrazach Wirgili (że tysiączne miejsca w nim pominiemy); obaczmy, jak wprowadza Eneasza, o spotkaniu się swojém w Butrocie z Andromaką, przed Dydoną opowiadającego ([18]): „jak mnie ku sobie przychodzącego, i w zbroję trojańską przybranego zapamiętała postrzeże; przestraszona widowiskiem w samém spojrzeniu zdrętwieje, kości jéj ciepło opuści, upada... i zaledwie nierychło przemówi: Synu bogini! prawdziwież to jest twarz twoja? prawdziweż mi niesiesz nowiny? czyli ty żyjesz? czyliś ty umarł? a gdzież jest Hektor?—zawoła—i najobfitsze łzy wylewając, miejsce krzykiem napełni... Ledwie co trochę tak zażalony, krótkemi słowami zmordowany odpowiedziałem: Żyjęć ja! i życie moje przez tysiączne wiodę przypadki! nio wątp o tém, bo mnie prawdziwie widzisz. O ty! straciwszy męża takiego, jakiegoż doznajesz losu? i jak godna ciebie służy ci fortuna? żonę Hektora Pirrus za swoję bierze!... Spuściła oczy i wolniejszym głosem mówić zaczęła: O szczęśliwsza nad inszych córko Pryama, Polikseno! przy nieprzyjacielskim grobie pod wysokiemi Troi murami zamordowana! któraś nie doczekała, ażebyś potém losem Greczynowi któremu dostała się, ani zwycięzcy pana zmazałaś się łożem niewolnica! My, po spaleniu ojczyzny, przez różne wiezione morza, za rodu Achillesowskiego pychą, w służbę wyniosłego młodziana poszłyśmy i t d.”

Któż kiedy lepiéj pomięszania wielkie wyraził? kto potrzebniéj okoliczności pozbierał? kto w Andromace i obywatelkę i stale Hektora kochającą żonę widząc, jéj się wyrazami nie wzruszy? i wtenczas, kiedy woli okrutnie pod trojańskiemi murami być zamordowaną, niżeli w niewoli pysznemu ulegać Greczynowi, kto nad jéj losem nie boleje? Jak tu wcześnie wspomniona córka Pryama Poliksena? Jak stan niewolnicy odmalowany? gdzie aż nad miłością samą zuchwały

zwycięzca panowanie rozciągać pragnie, i sercu, wstręt od nieprzyjaciela czującemu, kochać go jeszcze rozkazuje.

Żeby cokolwiek z dzieł wymownych i późniejszych pisarzów przytoczyć, weźmiemy z poezyi Ersów, naprzykład, jak Armin opowiada Alpinowi smutną zgubę dzieci swoich: „podnieście się, wiatry jesienne! Podnieście się... Wiejcie po téj smutnéj krzewinie, i tę noc okropną przypomnijcie mi, kiedy wszystkie dzieci moje poginęły; kiedy możny mój Arundal upadł; kiedy wdzięczna moja Daura ginęła! sama na skale w pośrodku morza falami gwałtownemi tłuczona, córka moja jęczała. Jéj krzyk był częsty i głośny, a jéj ojciec nie mógł jéj poratować. Stałem całą noc nad brzegiem, widziałem ją nawet przy słabém świetle księżyca; słyszałem jęczenia jéj; wiatr był gwałtowny, i deszcze biły w tę stronę góry; niżeli dnieć zaczęło, już głos jéj był słabszy. Minęła się!... jako wiatr wdzięczny, który powionął po kwieciu i przeszedł! padła, umarła!"

To wołanie na wiatry i sprowadzenie ich na krzewiny, to młodéj dziewczyny na skale w pośrodku fali zostawienie, jéj krzyk gwałtowny, potém wolniejszy, jéj potém cichość i zgon, z jakąż wydatnością i czułością odmalowane? Jak ważne pochwytane okoliczności? które kiedy Armin wylicza, wzbudza w nas politowanie nad nieszczęśliwą; chęć ratowania jéj, gdyby można, i ledwie nie tęż samę boleść, którą ten osierocony ojciec ponosił.

Na takie i tym podobne z pilnością zapatrując się przykłady, możemy niektóre powszechniejsze wymowy naznaczyć prawidła — i za temi wielkiemi ludźmi w ślady idąc, odkryć tajemnicę ich, która sztuki sprężyną.

## Powszechniejsze przepisy wymowy.

1.-sze Słowa twoje powinny być, ile możności, ze swojego języka, nie z obcych pożyczane; właściwie rzecz wyrażające, nie obojętnemu tłómaczeniu podległe, albo z grubych sposobów mówienia wzięte. Język słowiański, który naszego matką jest, niech będzie i pierwszém źródłem, skąd w potrzebie dla obfitości i doskonałości większéj języka słowa brać, albo utwarzać mamy. Gdzie, jeżelibyśmy nic do przygody naszéj zdatnego wynaléźć nie mogli, dopiéro wolni jesteśmy, przykładem inszych oświeconych w Europie narodów, wziąć raczéj całkiem z inszego języka słowo jakie (jak nazywają) techniczne, niżeli, mniéj bacznem do szczeréj polszczyzny przywiązaniem się, rzecz swoję niby po polsku, ale niezrozumianie, albo śmiesznie wyrażać.

2 gie. W połączeniu słowa jednego z drugiém najpierwéj uważać należy, ażeby, jak można najjaśniéj i najłatwiéj rzecz, o któréj mówisz, zrozumiana być mogła. Dlatego szkodliwe zawsze będą słowa, które przy sobie obok być powinny, rozdzielone i po kilkunastu słowach przeniesione: bo to zwyczajnie pojęcie nasze trudzi, i krzywdzi go w téj słodyczy, którąby wcześniéj miéć mogło; przecież zapominać nie trzeba, ażeby słowa twoje w połączeniu jednego z drugiém, i zgodne jakieś brzmienie zachowały. Temu się zaradzi, starając się, ażeby wiele słów jedno-sylabnych, obok z sobą nie było; tym albowiem sposobem nie gładko i jak mówią z ustyrkiem tłómaczymy się; a ciąg mowy zdaje się niejako rwać ustawicznie. Ale ani to powszechną regułą być może: bo w wyrażeniu passyj gwałtownych... nawet piękniéj jest monosyllabami tłómaczyć się, gdzie natura sama pasyj, jak najprędzéj rzecz wykonywać, a zatém i tłómaczyć się słowami najkrótszemi każe.



Co się jeszcze tyczy jasnego i łatwego do pojęcia tłómaczenia się, przypatrując się wszystkim pięknościom, które za takie powszechnie wziętemi są tak w dawnych, jak i w teraźniejszych uczonych ludzi pismach: obaczymy zapewne, że to co najbardziéj w wyrazach ich podoba się, będzie bezwątpienia proste i każdemu do wyrozumienia łatwe, a tylko serca i imaginacye nasze poruszające. Na co zawikłaną robić piękność wyrażenia? idźmy w téj mierze drogą natury, która wszystko, co najpiękniejszego jest, na wierzch oczom naszym wystawuje; wewnątrz zaś same tylko zostawiła sprężyny, które powierzchowną piękność utrzymują.

Prawdziwa wymowa próżnych i wysadzonych ozdób nie potrzebuje: milczą ptaki azyatyckie tyle bogatych kolorów piórami ustrojone wtenczas, kiedy nasz w wiejskiéj odzieży słowik śpiewaniem swojém pychę tamtych zawstydza. Dlatego uczyć się potrzeba pięknéj i wysokiéj razem prostoty, która, kiedy (jak powinna) z serca wypłynie, przebędzie zapewne wszelkie dowcipu samego czyny, do których żadna czułość nie przyłożyła się; zwłaszcza, że sposoby myślenia ludzkiego tak różne są, i gust, co należy do obrotu dowcipu, coraz inszy... z wiekami odmienia się; co zaś serce człowieka w początkach jeszcze świata dotknęło, to go zapewne i w najpóźniejsze wieki równo poruszać będzie.

3-cie. Zważenie i dobre zażycie okoliczności (między pierwszemi) wymowy wsparciem jest. Kto jesteś? do kogo mówiszz? w jakiém miejscu i czasie? przy jakich osobach, i o czém? Okoliczności, które czasem drobnemi się być zdają, wspomnione, a oszczędnie w czasie swoim, dają jakąś cechę prawdy pismom, i wystawiają nam rzecz przez usta, jakbyśmy na nią przez oczy patrzyli. I jako najnikczemniejsze okoliczności największych w świecie przygód były przyczyną; tak w pisaniu i drobnych czasem opuszczać nie należy; bo z nich często ciągną się myśli najpiękniejsze, czyniące sławę rzeczy i pisa-

rzowi a najbardziéj malują nam rzecz samę naturalnie, jak gdyby należycie ze wszystkich stron widziana była—które naśladowanie pięknéj z siebie natury, jako w malarstwie całym zamiarem sztuki jest, tak téż w wymowie koniecznie potrzebném będzie. Na co szukać ozdób inszych wymowy? przypatruj się tylko dobrze rzeczy twojéj: to, co widzisz, co sobie wnosisz, jak można najdokładniéj opisane, prawdziwie piękne się pokaże. Do czego, jak się wyżéj wspomniało, dobre zażycie okoliczności skutecznie się przykłada.

Żebyśmy się lepiéj przez wzory jakieś objaśnić mogli, chcąc naprzykład opisywać zgon Brutusa na polach filipińskich [19]), tak, albo podobnie możnaby się tłómaczyć: „Już przemagała fortuna Cezara; żołnierz Brutusa nie zemsty, ale wołał miłosierdzia, który po większéj części zrąbany, pola Filipińskie pozalegał; wrzawa zwycięsców, z jękiem umierających zmieszana, okropnym głosem dalekie napełniała; a słońce chyląće się ku zachodowi, zdawało się ostatni już dzień kończyć wolności rzymskiéj. Brutus odstąpiony od wszystkich, bo zwyczajnie chronimy się nieszczęśliwych, gorzko na klęskę swoich pogląda; i obaczywszy blizko siebie jednego z rotmistrzów swoich, który z bronią w ręku zabity leżał, a w twarzy jeszcze znaki zemsty widać mu było, pomyślił: „On szczęśliwy! nie pójdzie za wozem Cezara!.. Jakże mu pięknie wolnym umierać, upadek ojczyzny swojéj uprzedzić!" Potém w rozpaczy znieważając przed zgonem cnotę, którą tak w życiu kochał, mieczem przyjacielskim, uproszonym od Stratona, zabił się" [21]).

4 te. Krótkie wyrazy zawsze mocniéj nas uderzają, niżeli w témże samém przydłuższa mowa: bo człowiek z natury do rozkoszy dąży, i razem ją, jak można, największą miéć woli. Rozwleczeniem zaś mowy mniéj potrzebném krzywdzimy, że tak rzekę, smak słuchu naszego, niby wodą słodki z siebie napój rozlewając, że czasem ledwie co słodyczy uczuć możemy. Z téj przyczyny wszelkie synonima, czyli jednoznaczące słowa zdają się być do wymowy wcale niepotrzebnemi. Toż samo rozumiéć o mniéj potrzebnie przytoczonych okolicznościach; albo o wszystkiém tém, co jednéjże rzeczy powtarzaniem ciekawość słuchacza, pragnącego zawsze co nowego usłyszéć, nudzi i utrzymuje. Naprzykład, gdybyśmy chcieli napisać nagrobek Stefanowi Czarnieckiemu; miasto zwyczajnie zażywanych długich napisów, taki albo podobny możnaby mu położyć: „Żył dla sławy wieków swoich i dla zawstydzenia naszych; umarł nie zostawiwszy następcy-męża ani w domu, ani w narodzie." [21]).

5-te. Jeżeli w piśmie twojém wchodzi osoba jaka, o któréj mówisz, wiele do wymowy twojéj przyczynisz, jeżeli ją samę czasem mówiącą wprowadzisz, mając zawsze baczność, ażeby mowa jéj była zwięzła, pełna rzeczy nie słów, i warta osoby, którą mówiącą wprowadzisz.



Homer i Wirgilii, ten wojny trojańskiéj, ów założenia Rzymu dzieje opisując, trzy części prawie nieśmiertelnych dzieł swoich samemi różnych wpływających w historyą osób mowami napełnili— a tym sposobem odmalowali nam w pismach swoich najdoskonalsze obrazy, których piękność nigdy się nie postarzeje; a w których przez wczesne zażycie wydatniejszych okoliczności i wprowadzenie przed oczy niby żywych osób mówiących, zdajemy się poglądać z rozkoszą na dzieła, trzema tysiącami lat przed wiekiem naszym upłynione.

Według tego przepisu, gdybyśmy co zrobić chcieli, opisując naprzykład stan nieszczęśliwy Krezusa po wpadnieniu w państwo jego Cyrusa z wojskiem [22]), tak albo podobnie możnaby się tłómaczyć: „Krezus słynął z dostatku i mądrości u postronnych, z sprawiedliwości i dobroci u swoich; był królem możnym, ale był z czasem i nieszczęśliwym. Sąsiedzi jego i wyrocznie nawet bogów zawiodły go; za potężnym Cyrusem wszystko to poszło [23]). Już rozległe jego prowincye niewstrzymany nieprzyjaciel porozbierał; mała okolica, i miasto Sardes zdało się być całém państwem i schronieniem nieszczęśliwego. On nie dbał o panowanie, które mu wydzierać chciano; ale bolał nad ludem, który ciężarem tronu upadającego miał być gnieciony. Zewsząd gorzkie przynoszą mu nowiny; między inszemi zaś ta najwięcéj przenikała serce Krezusa, że komu miecz przychodni litośnie pofolgował, tego niezgoda bratnia niebacznie dokonała—i samże zaślepiony obywatel obywatela krępować nieprzyjacielowi pomagał. Umrzéć natenczas pragnął dotkliwy Krezus, ale niebo dopuściwszy mu doświadczyć niestatku szczęścia, zachować go chciało dla lepszych nadziei i pociechy w czasie. Ci, którzy go jeszcze w małéj liczbie w tak okropnym będącego stanie otaczali, nie śmieli oczu swoich na niego podnieść; w téj przygodzie cieszyć go nawet nie umieli, bo nie trafiło im się widziéć go nieszczęśliwym. Ale on pierwszy odezwał się: Kiedy (mówił) wstępowałem na tron Lidyi, okrzyk powszechny był ogłoszeniem szczęścia mojego; jakże nierównie mniéj mnie teraz żałują, niżeli mi natenczas winszowali!... Jakże daleko szczęście moje uciekło!... umrzéćby mi teraz było z słodyczą, kiedy żyć muszę z obelgą! bo cóż za rozkosz być królem nieszczęśliwych".

6-te. W rzeczy, o któréj mówić masz, szukaj strony dotkliwéj, czém serce słuchających poruszyć możesz. Posłuży ci do tego zważenie tysiącznych okoliczności, które się rzeczy każdéj trzymają. Na to obracaj całą moc twoję, nie koniecznie, co przez pewny słów układ piękném tylko, ale co czułém jest. Wejdź pierwéj zawsze, ile możności, w serce twoje, radź go się i słuchaj; a dopiéro, co w niém zacząłeś, niech głowa i dowcip twój zakończy. Oto najmocniejsza sprężyna sztuki, która całe to koło wymowy naszéj obraca: bo za świa-

dectwem wieków, które do tych czas przeminęły, to tylko, albo przynajmniéj łatwiéj pamięci naszéj trzyma się, co serce dotknąć mogło. Same zaś piękne, ale bez czułości żadnéj wyrazy, jak brzmienie sfornéj muzyki, póki ich tylko słuchamy, póty nam sprawują słodycz; z zakończeniem zaś mowy bardzo w nas krótko tęż słodycz, która przeminęła utrzymują.

Do tego, co się wyżéj o czułości serc powiedziało, bardzo wiele przydaćby można, albowiem niewyczerpane są sposoby, któremi człowiek wzruszony bywa; przecież między tysiącem dróg do serca ludzkiego, przez te dwie namiętności: smutek i radość, najprościéj do niego przychodzimy. Smutek, który się rodzi z litości, i który przyciągnieniem się, czy wejściem w nałóg, staje się melancholią, jest źródłem, z którego mocna wymowa płynie. Te swoje dzieła nieśmiertelne, posępny zapewne, nie śmiejący się Homer układał; i wszystko, co kiedy wielkiego w wymowie pokazało się, ma jakąś cechę ożywiającéj robotę melancholii. Radość, chociaż zda się być przeciwna smutkowi, przecie, jeżeli zbyteczna jest, godzi się z nim w tém zaprowadzeniu człowieka nad siebie samego, w dotknieniu serca jednakiém, a nawet w powierzchownych znakach, jakiemi są łzy w zbytecznej radości, równie jak i w smutkach wylane.

Chcący pracować pożytecznie, czyli on naturę, jak w sobie jest, szpiegując, piękności jéj na oczy wystawuje; czyli postawiwszy się w osobie tego, o którym pisze (co ile możności konieczną potrzebą jest) wszystkie, w jakich tylko być może, człowiek naprzykład uciśniony, sytuacyach dostateczniéj malować pragnie; wszędzie go przewodnicza zaprowadzi melancholia. Z téj to kuźni wychodzą te ostre wyrazy, którym się często i najtwardsze serce nie oprze. Ale nie masz potrzeby, ażebyśmy ustawicznem zamyślaniem się siebie i kogo nudzili; ani o takiéj tu rzecz melancholii, która niszcząc zwolna człowieka, odebrawszy go zupełnie ludziom, wreszcie go samemu sobie wydziera; ale o téj, którą, jak potrzeba zdarzy się, sami sobie na czas cudzym kosztem zrobić możemy.

Naprzykład, gdybyśmy chcieli opisywać żal Andromaki w Butrocie, rozpamiętywającéj klęski swoje ([24]), wziąwszy na chwilę na siebie smutną postać téj nieszczęśliwéj Trojanki, wchodząc, ile możności, we wszystkie okoliczności obciążające najbardziéj stan jéj opłakany, tak albo podobnie mówiącą moglibyśmy ją wprowadzić: „Jakże wiele Trojanów i sprzymierzeńców miecz grecki położył! tam Pryam stary, tyle rodziny jego, z winowajcą Parysem poginęło!... I ty, Hektorze, poległeś pod Trują!... Ciało twoje od okrutnego Achillesa stroskany ojciec bogatym sprzętem odkupił, który ja ze skrzyń moich oblany łzami gorzkiemi wydałam, i który w dniu twego tryumfu dla ozdoby domu naszego miał być okazywany!... Kiedy



ciało jego z obozu greckiego przywieziono, najpierwsza do niego przybiegłam: wołałam, chociaż mnie już usłyszéć nie mógł; oczy mu skrzepłe otwierałam, chociaż mnie już niemi na wieki nie ogląda. Na cóż mu te piersi pozakrywano? on niema czego się wstydzić za rany, które dla ojczyzny odebrał!... Niewarty ołtarzów, marny Apollinie!... ([25]) żal mi tylu ofiar i drogiego kadzidła, które dla ciebie wypaliłam. Ty nie umiesz być bóstwem, bo nie ratujesz tych, którzy cię wielbią... Ależ kolej przyszła i na Achillesa ([26]): Jowisz niestateczny o Eginie równie, jak i o Elektrze zapomniał ([27]); przecież mi się nie nadgrodziło za to, Hektorze mój ukochany, którego za świat cały nie mieniałabym! cóż dopiéro dała mi Grecya, coby stracie mojéj wyrównało? Butrot ([28]) jakże względem Troi nikczemny! i ten żółtowłosy ([29]) jakże się z Hektorem porównać może? Najpiękniejszy z pomiędzy Trojańczyków, kiedy na mnie dużemi oczyma swojemi spojrzał, kiedy się do mnie uśmiechnął, ja wiem, jakiéj natenczas kosztowałem rozkoszy! najmocniejszy z pomiędzy Trojańczyków, kiedy silnemi barkami wysokie mury Troi podpierał, ja wiem, jakie natenczas Azya nadzieje czyniła sobie! on umiał miłość połączyć z walecznością; on mi był Hektorem... Cóż mnie teraz na ziemi utrzymać może? ostatnia moja pociecha zginął Astyanaks. Zabójca jego prawie mi pod bokiem w smutnéj Itace mieszka ([30]), i jego Telemak żyje!... Bogowie podziemni! czyli to tylko Grecy mogli zstąpić do piekieł? ([31]) a Trojanka, ani śmiałości, ani tam znajdzie politowania? Pójdę do wrót Plutona nieużytego ([32]); szukać cię będę, Hektorze i Astyanaksie! znajdę was i uproszę; bogowie zapewne żalu większego żony po mężu nie widzieli: oni (jak powiadają) mają rozkosz cieszyć nieszczęśliwych! a gdyby się téż i przebłagać nie dali, jakże mi lepiéj będzie już nie powrócić na ziemię!"

7me. Nagłe podejście, czyli niespodziewane zagadnienie słuchających, wielką wymowy jest ozdobą. Zdatném do tego będzie przytoczenie okoliczności jakiéjś niespodziewanéj, odpowiedź nadzwyczajna, albo wyrażenie zuchwałe, ale nigdy proste. Tym sposobem słuchający orzeźwia się niejako, i niby nagle z gmachów ciemnych, albo przeciwnie, przechodząc — widząc, czego nie widział, albo widzieć nigdy się nie spodziewał, przymuszony zdumiewa się. Naprzykład gdybyśmy chcieli opisywać spokojność na ustroniu Sydończyka Abdolonima ([33]), tak albo podobnie możnaby się tłómaczyć: „Nigdy tém się zatrudniać nie chciał Abdolonim, sprawiedliwie czyli nieprawnie Straton, przywłaściciel, tron Sydonu posiadł. Wiedział dobrze, że jemu bardziéj krew do tego pierwsze dawała prawo; ale wierząc, że bogowie wszystkiém na ziemi władną, nie naganiał, ani się badał w wyrokach ich, dlaczegoby tak zrobić chcieli? I uprawu-

jąc rękami własnemi rolę, która mu żonę i dzieci żywiła, spokojny na ubóstwie swojém przestawał.

„Niech tam pilnuje miasta (mówi), kto bydź zdradzonym, albo zdradzić nie wstydzi się; i kto przed szczęściem Stratona umie się płaszczyć. Ja na tém ustroniu czeladce i dzieciom moim potrzebniejszy, którzy mi tak daleko posłuszni przez wdzięczność, a o których dobro tak troskliwy jestem przez przywiązanie".

Wielki Aleksander (który między tysiącem złego, co ludziom powyrządzał, czasem i sprawiedliwość zamięszał, ażeby tém cokolwiek gorzką pamiątkę zniszczenia Azyi osłodził), jako błyskawica z grzmotem, przyleciał do Sydonu, Stratona nieprawnie panującego, niemiłego poddanym, i sobie podejrzanego, z tronu zrzuca, który ubogiemu Abdolonimowi, z dawnéj krwie prawych królów pochodzącemu, i człowiekowi w krainie najlepsze zalecenie mającemu, oddaje.

„Abdolonimie! (mówił do niego) bogowie jak wierzysz, są sprawiedliwi! Ja, któremu pozwolili królów zrzucać, albo stanowić, wracam ci berło ojców twoich w Sydonie; ażeby potomkowie twoi, po tobie osiadający tron ten, wspominali w potomności, że przechodził tędy Aleksander, i uczynił sprawiedliwość". Na co Abdolonim odpowie: „Ja jestem królem, Aleksandrze! kiedy nad sobą i małym domkiem moim panować umiem; a ty jesteś mniejszy ode mnie, bo ja daru twojego przyjąć nie chcę". Tak śmiałą odpowiedzią, nie chcąc przyjmować tronu, stał się go bardziéj wartym Abdolonim, który nakoniec szczęśliwością stąd na Sydończyków spłynąć mającą pobudzony, przyjąć musiał.

8me. Jeżeli komu pochwałę pisać masz, piękniejsza nierównie pokaże się, jeżeli rzecz jaką inszą wiodąc, niespodziewanie przytoczona będzie; to jest, ażeby nieumyślnie od początku mowy twojéj ciągniona, ale co inszego niby za zamiar mowy przeznaczywszy, do tego tylko, jakoby przypadkiem, przyłączona była: chybaby rzecz twoja obszerniejszego rozpostarcia się wyciągała. Ale w pochwałach, które dajesz, zawsze podłego pochlebstwa wystrzegać się należy, które i piszącego, i chwalonego poniża. Pochwała twoja niech będzie z rzeczy znaczniejszych; ani się zastanawiaj nad nizkiemi; ale najlepsza się zawsze udaje pochwała cnoty. Tak gdybyśmy pod imieniem naprzykład Palemona chwalić chcieli człowieka dobroczynnego, tym sposobem albo podobnie możnaby się tłómaczyć:

„Milon, przyciśniony ubóstwem, nie śmiał się ludziom pokazać. Nędza nie jestci występkiem; wszelako często wstydzą się ubóstwa swojego nędzni. Nie wiedziano o domie jego: bo mało kto do ubogich uczęszczać lubi. Chodząc zawsze smutny, chociaż był znany dawniéj, nikt go się o przyczynę nie pytał: że niemiło nam słuchać i zatrudniać się nieszczęściem cudzém, a czasem boimy się jeszcze,



ażeby nas o wsparcie nie proszono. Ale on sam nie śmiał nikomu o nie naprzykrzać się: będąc w bycie, nauczył się świadczyć dobrodziejstwa, a prosić miłosierdzia nie umiał. Tyle mu tylko w nieszczęściu jego pociechy zostało się, że był cnotliwym; ale cnota bez pieniędzy zwyczajnie głodna bywa. Widziałem raz Milona, jak mu się łaskawsza uśmiechała fortuna; z wygodniejszym domem, i pozorem szczęścia jakiegoś, zaraz się przyjaciele znaleźli; chociaż nie było u niego zbytków żadnych, bo tylko na uczciwą potrzebę domu i wychowanie dzieci majątek jego wystarczał. Tak nagłéj odmianie wszyscy dziwowali się! ale skądby mu przyszła, nikt ani dociec nie mógł, ani (przeszłego ubóstwa nie chcąc mu przypominać) zapytać się go nie śmiał. Umarł w mieście Palemon ([34]); — i którego za życia, dla zakazu jego, wyjawić nie można było; tego dobroczyńcę po śmierci gorzkie łzy Milona wydały. Płacz był prawie powszechny: bo wszystkich nieszczęśliwych, których zwyczajnie wiele bywa, strata ta obchodziła. Ale człowiek dobroczynny nie mogąc sam po śmierci wspomagać ludzi, zostawia przykłady do naśladowania następcom swoim, ażeby czasem sprawiedliwy nie zawiódł się na cnocie swojéj, nie żebrał chleba pode drzwiami bogacza nieużytego".

9te. W całém dziele wymowy twojéj bądź mocnym przez związki silne rzeczy ważnych; ale przy końcu (co najbardziéj w wierszu zachować należy) bądź najmocniejszym. Tym sposobem pogładzisz, i niejako ożywisz słabości, jeżeli się w ciągu mowy trafiły. I ponieważ to, co na końcu powiedziane jest, na końcu też i do pamięci przychodzi: potrzeba, ażeby ostatecznie pamięć słuchających czém pięknem się zatrudniła.

10te. Niech będzie wymowa twoja roztropna i poważna. Do tego trafisz końca, jeżeli rzeczy nizkie i upodlone na materyę roboty twojéj nie wybierzesz; jeżeli słowami mniéj przystojnemi tłómaczyć się nie będziesz; jeżeli okoliczności, do rzeczy mniéj potrzebne, opuścisz; jeżeli porządek mówienia zachowasz; jeżeli nakoniec w mówieniu pochlebstwa, albo niewolniczéj bojaźni nie pokażesz.

11te. Utrzymywanie charakteru osób w dziełach wymowy przydłuższych znaczną i potrzebną zawsze pięknością będzie. Szczęśliwy w tém Homer: w pierwszém wspomnieniu o Achillesie, odmalowawszy go nam zuchwałym, już w całéj Iliadzie, w czynach i mowach Achillesowych zuchwałość widać. Ulisses u niego wiecznie poradny i podejrzliwy. Nestor wielomowny i chwalący się; insi zaś jego bohaterowie w swojéj każdy do końca utrzymany skłonności. Pięknie w tém naśladuje Homera romans angielski pod tytułem Tom Jones, gdzie każdą wchodzącą osobę, taką w ostatniéj księdze widzę, jaką w pierwszéj poznałem.

12te. We wszystkich pismach twoich nie słów, ale rzeczy pilnuj

tak dalece, ażeby rzecz twoja była panią dzieła, słowa zaś tylko sługami. Ale zawsze pisma twoje zimnemi będą, jeżeli ich nie zagrzejesz robotą jaką, to jest, jeżeli nie opiszesz prawdziwéj, albo zmyślonéj od siebie akcyi. Tego nie zachowując, wpadniesz w nudzące powtarzanie rzeczy jednéj inszemi słowami, a próżno postępować będziemy, jeżeli, tylko słów chwytając się, rzeczy zaniedbamy.

13te. Przepisy, jaka być powinna mowa prozą, jakie poema heroiczne, tragiedya, elegia, oda i tam daléj? na kilku kartach nauczyciel uczniom, dla nieobciążenia pamięci ich, pomieścić może. Chociaż Edward Young w Nocach swoich żadnéj niezachowujący reguły, równie pójdzie do nieśmiertelności, jak pilniejszy względem przepisów Wolter w Henryadzie; a z drugiéj strony tak wielu — w pismach swoich czułości żadnéj nie mających, ale tylko najsurowiéj przepisów trzymających się — zginie w niepamięci. Według wspomnionych krótko zebranych przepisów, nauczyciel — na codzienne ćwiczenia uczniom swoim naznaczając roboty — nie marną rzecz jaką, ale wybierać i dawać ma materyę, o miłości naprzykład ojczyzny, o jedności obywatelskiéj, o powinności człowieka względem inszych, o pochwałach wielkich ludzi narodu, o cnocie, potrzebie religii, i tym podobne — a tak za jednym razem i mówców formować będzie i obywatelów.

14te. Dokończywszy już pismo twoje, ty najpierwszym bądź jego surowym sędzią. Uważaj w niém: czyli nie popełniłeś niedbalstwa jakiego, szczególnie dla dopełnienia próżnego miejsca? co w wierszu częściéj trafić się może; czyli rzecz twoję części składające łączą się należycie, i następują porządnie? czyli nie masz słów obojętnych i dwojako znaczących, z których obróconego rozumienia mogłoby się co wnosić obelżywego? czyli mowa twoja nie jest ciemna, i dla lepszego jéj wyrozumienia, jak ją poprawić masz? czyli nie powtarzasz rzeczy jednéj, albo się sobie nie sprzeciwiasz?

Największy zaś wzgląd miéć powinien każdy, który pismo swoje roztrząsa, albo téż do pisania zabiera się, ażeby w niczém obyczajów i religii nie naruszył. Koniec każdego piszącego być powinien: zrobienie pożytku jakiego w czytających. Tam gdzie nas skłonność sama do swywoli tak silnie ciągnie, po co jeszcze nie wstydliwemi wyrazami i nadto palący się ogień rozdymać? Nieszczęśliwy, który drogą pisania rzeczy szkodliwych poszedł! on winien odpowiedzieć narodowi swojemu i dalszym pokoleniom, które złośliwemi jego pismami psuć się będą! Matka, za zgorszoną córkę swoją przeklinać go, i ojciec za syna mścić się będzie na pamięci jego! Kto albo z łaski natury, albo długiemi pracami słodycz wymowy, a przez nią dar poradzenia pozyska: czemuż téj zdatności swojéj na dobro kraju obrócić nie ma? nie tak, jak ów szkodliwy piorun, który na to tylko wypada, ażeby wszystko, czego się dotknie, zepsuł.



Przez pisma rozwiązłą lubieżnością zaprawne niewieścieje zwolna młodzież krajowa, i przyzwyczaiwszy się do pokrewnego sobie niewstydu, staje się niezdatną, albo przynajmniéj niedbałą do noszenia ciężaru obywatelstwa, który tak słodkim był dla ojców naszych! Toż samo, albo więcéj jeszcze myśléć należy o tych, którzy niezbożnemi pismami swojemi targają się na religię. Jakiego zuchwalec spodziewa się pożytku z pisma takiego? czyli przecząc istoty bóstwa, albo rząd jego znieważając, będzie mu sługa, żona, przyjaciel wierniejszy? Czyli bezbożnik wmówiwszy w ludzi, że kary albo nagrody po śmierci nie masz, będzie w życiu swojém bezpieczniejszym? w powodzeniach szczęśliwszym? Czegóż ten człowiek nieprzyjazny przemożnemu bogaczowi postrach, a nieszczęśliwym ucieczkę odejmuje? czego ten pies szczeka na pana swojego, z którego stołu żyje? on nie ma nadziei żadnéj, bo jéj i niewart! Ale będzie to zachodem sprawiedliwego naszego monarchy, ująć się o Boga, którego na ziemi zastępuje, i o swoję razem sprawę: bo to aż nadto pewna jest, że róg tronu na ołtarzu wspiera się; i kto bezbożnie podkopuje religię, monarsze i narodowi całemu upadkiem grozi.

Oto już wszystko, co mi o wymowie w prozie, albo w wierszu przyjść mogło. Myśli moje przynoszę przed sędziów dobrze oświeconych, którzy nie będą pewnie potępiać niektórych nowości tu wyrażonych, póki pobudek moich dokładnie nie roztrząsną. Jeżeli w czém pomylić się mogłem, upornie przy błędzie utrzymywać się nie chcę: a że człowiekiem jestem, mam prawo spodziewać się, że mi omyłki darowane będą zwłaszcza, że myślą zrobienia dla narodu rzeczy pożytecznéj pracowałem.

Jeżeliby zaś cała ta praca moja wcale niezdatną się znalazła, wszelako powrócę do domu spokojny; jak ów nie wybrany (jak się spodziewał) między inszemi do najwyższych trzechset mężów magistratury Spartańczyk ([36]), cieszyć się będę: „że jest w Lacedemonie trzysta mężów, więcéj wartych nade mnie".

# PRZYPISKI.

(1) Wiele już nad tém myślano, coby zgromadzenia ludzi, czyli towarzystwa początkiem było: zdaje się, że potrzeby wspólne nigdy nie były przyczyną założenia tych miast budownych, w których ludzie, sprowadziwszy się z lasów, zamieszkali, bo tam mając wyżywienie, napój i pod drzewami uchronę, to jest to, co do utrzymania życia koniecznie potrzebne jest; nie mając zaś wyobrażenia lepszego stanu nad ten, w którym byli, zapewne go i żądać nie mogli; ręce zaś człowieka aż nadto dostateczne są do wyżywienia go. Ani przyjacielskie związki mogły rozrzucone po lasach zgromadzić familie: bo człowiek jest z natury podejrzliwym, sobie tylko dobrze życzącym; przyjaźń zaś jest bardziéj dziełem edukacyi i skutkiem cnót moralnych, które w pierwiastkowych tych ludziach być nie mogły. Ale najpewniéj zdaje się, że bojaźń przemocy pozgromadzała ludzi w towarzystwa, ażeby się łatwiéj razem opierać mogli. Widzimy to i dziś w naturze ludzi, że chociaż ich strach nagły na chwilę rozproszy, przecież zaraz zgromadzają się, i tłum ich zebrany zwyczajnie jest śmielszym. Z tego podobno doświadczenia przyszło do założenia towarzystwa.

(2) Że ludzie żyli nie każdy osobno, ale w mniejszych familiach rozrzuceni, zdaje się z przyrodzenia kobiet i dzieci, że powinny były mężów i ojców się trzymać; ta, znając siły swoje słabsze, kochając i będąc razem kochaną od mężczyzny, trzymała go się i dla wspólnéj miłości i dla bezpieczeństwa swojego. Dzieci zaś, z przyczyny swojéj w pierwszych leciech niedołężności przyzwyczaiwszy się do rodziców, w wieku dalszym mogły się ich trzymać dla doświadczenia większego w rzeczach, które w starszych widziały.

(3) Ponieważ w początkach językowi razem przytrudno było, z prostego głosu przydłuższe słowa różném łamaniem się wymawiać: prawie we wszystkich Europy językach, słowa koniecznie do utrzymania życia potrzebne z jednéj się, a najwięcéj ze dwóch sylab składają. Świadectwo oczywiste z ojczystego naszego mamy w słowach: jeść, pić, chleb, woda, i tym podobnych; to samo we francuskim i niemieckim postrzegamy, to i w językach Azyi, na nich znający się podobnie poświadczają.

(4) Znana wszystkim wspaniałość stylu w księgach żydowskich nie potrzebuje objaśnienia. Niedawno przetłómaczona na język francuski jedna z najdawniejszych ksiąg chińskich pod tytułem *Chou-King* ma piękną cechę silnéj mowy wieków patryarchalnych. Wieku przeszłego przetłómaczona na tenże język z perskiego księga *Huszenka*, pierwszego z królów Persyi i świata, pod tytułem Mądrość



wszystkich wieków, któréj sam tytuł tak poważny nie zawodzi zapędu czytelnika, albowiem pełna jest najdokładniejszych prawideł obyczajności, i tego ducha czułego, który, zdaje się, że z ludźmł tamtemi umarł.

(5) Homer około dwóchset lat po zburzeniu Troi, a więcéj nad 1200 przed narodzeniem Chrystusa żyjący, zdaje się, że nie mógł być pierwszym, któryby razem tak piękne dzieło napisał: bo doweip ludzki i sztuka zwolna postępują. Jakoż powiadają, że Orfeusz, a po nim Linus, daleko przed Homerem wierszem pisali. Palamed, który się bił podczas wojny trojańskiéj był razem sławnym poetą greckim. Jakiś Korynus, Zyzyf, Dyktys Kreteński, Dares Frygijski: wszyscy za czasów téjże wojny żyjący, mieli sławę pisarzów tamtego wieku. Z których potém błędów, albo piękności doskonały Homer uformował się i sławę ich na sobie skończył, a swoję aż do nas przesłał.

(6) Perrault pogardzał staremi autorami: Fontenel, La Motthe, nic w nich osobliwego nie widział: i chociaż ci trzej ledwie nie połowę Francyi za sobą mieli, przecież nie mogli nigdy zdjąć Homerowi z głowy wieńca jego.

(7) Jak naszych czasów Kurcyusz uformował Karola XII, króla szwedzkiego, na wojownika; tak Homer wystawił dawniéj wielkiego Aleksandra. Chciwy sławy młody ten monarcha, ruszony przykładami Greków dokazujących w Azyi, wziął myśl podbicia jéj; a dzieła Homera, porządniej złożone i poprawione, w drogiéj skrzynce między łupami Daryusza zabranéj, jak świętość jaką przy sobie wszędzie mieć chciał.

(8) Rzymianie, już dobrze z wymowy słynący, nie tylko w domach własnych uczyli się greckiego języka, ale dla włożenia się lepszego i poznania wzorów piękniejszych, do Grecyi nawet płynęli, którą, chociaż czasem pod moc swoję podbili, zawsze jednak jako nauczycielkę swoję szanowali.

(9) Tyrteusz miasto wodza, którego potrzebowali, poeta z Aten posłany Spartańczykom, upadłe ze wszystkiém siły ich wierszami do ratunku ojczyzny swojéj zagrzewającemi podnosi, i do szczęśliwego nad Messeńczykami zwycięstwa siłą wymowy swojéj sławnym staje się przewódcą.

Cycero (jak sam o sobie mówi) więcéj wymową swoją w rozhukaném pospólstwie wskórał, niżeli sto-tysiączne wojska dokazać mogły.

Konstancyusz, syn Konstantego wielkiego, wymową swoją nieprzyjacielskie wojsko pod przeciwnikiem swoim, Wetranionem, przeciąga, i bez wylania krwi kropli, część trzecią cesarstwa ojca swojego posiada, które natenczas między Rzymianami, jako panami świata, zakłócenia, światu całemu zamięszaniem groziły.

(10) Gdyby na ziemi nie było tylko ciepło, jakież wyobrażenie lodu mielibyśmy, który robotą zimna jest? Te dwie rzeczy dopiéro, razem uważane, wiele nas nauczają o własnościach obudwóch. I dlategoć to podobno o istocie bóstwa rozumiéć nie umiemy, że zapewne nic na świecie podobnego, ani w równym stopniu rozróżnionego nie znajduje się, z czémby ją porównać można.

(11) Między rzeczami, które imaginacyą naszę poruszać mogą, rachować można doskonale, a wyrażające akcyę jakąś malowaniem: naprzykład, starych miast rozwaliny, okropne zacienienie lasów, i tym podobne widowiska. Ale najmocniéj myśl ociężałą poruszać zdaje się sworna i piękna muzyka, któréj cudów w ocuceniu imaginacyi nietylko dzisiaj doświadczamy, ale i u dawnych z téjże siły swojéj słynęła.

(12) Ślepe naśladowanie autorów znakiem jest niedowierzania siłom naszym, a podobno zagrodą wzrostu wymowy, która jak woda, ażeby zdrowa była, z wolnością płynąć lubi; naśladowanie zaś trzymając ucznia przy wzorze jego, gnuśnie mu na miejscu każe wtenczas, kiedy honor i pożytek narodowi zapewne nie kopie, ale same zrobić mogą oryginały.

(13) Andromaka, żegnając się z Hektorem w szóstéj księdze Iliady, tak mó-

wi: „Waleczny książę! twoja odwaga kiedyś zgubą twoją!... A mnie zostawisz wdową, i syna twojego sierotą! bo Grecy razem się zebrawszy, na ciebie uderzą, i zemszczą się tylu klęsk swoich. Jakże byłoby lepiéj, żebym ja pierwśj umarła. Nie mam ni ojca, ni matki!... Luby mój Hektorze, ty mi zastępujesz ich miejsce. Cała moja miłość w tobie jednym, ukochany mężu, zebrała się. Miéj więc litość nad żoną i dziecięciem twojém, a nie zapędzając się ku okrętom greckim, zostań pod murami Troi, i t. d."

Tamże Hektor tak odpowiada Andromace: „Kochana Andromako! niemnié i ja twoją niespokojnością dotkniony jestem; ale coby Trojańczykowie i Trojanki powiedziały, gdybym jak bojaźliwiec ostatni od walki oddalił się? Nie mógłbym przenieść na sobie ich wyrzucania... Wszakże nie to jeszcze jest, co mnie tak robi odważnym: przyzwyczajony jestem tam, gdzie niebezpieczeństwo największe, dla sławy Troi narażać się... Ja wiem, że Troja upaść musi! i nie tak bardzo mnie to obchodzi, jak myśl gorzka, że któryś z książąt greckich w niewolę cię sobie zabierze, i natrząsając się z łez twoich, do państwa swego zaprowadzi: tam w obecności Argos, będziesz wydana na wzgardy pysznéj jakiéjś pani twojéj, nad robotami jéj pracując. Albo (co mnie bardziéj jeszcze przenika) posyłać cię będą po wodę, jako najpodlejszą jaką z niewolnic, do źródeł Hipperei, albo Messeidy... Ci, którzy cię z oczyma zawsze zapłakanemi w tak poniżającym stanie obaczą, będą sobie rozmawiać: oto jest żona Hektora, najwaleczniejszego z pomiędzy Trojańczykówi i t. d."

(14) Równie jest dotkliwy Homer w mowie Pryama do Achillesa w księdze XXIV-éj Iliady, gdzie Pryam prosi Achillesa o ciało zabitego Hektora w te słowa: „Achillesie podobny bogom! widząc mnie, ojca twojego, przypomnij sobie, on równéj ze mną starości będzie; a kto wie? kiedy ja teraz przy nogach twoich leżę: sąsiedzi jego, pożytkując z oddalenia się twojego, może krwawą z nim prowadzą wojnę; nie ma nikogo, ktoby go w tak ciężkim razie poratował. Ale ach! między nim i mną ta jest różnica, że odbierając wiadomości o zdrowiu twojém, czuje w swém sercu pociechę... i nadzieję, że wkrótce cię obaczy pełnego sławy.. A ja najnieszczęśliwszy z ludzi z tylu tak walecznych synów, którzy mi się w Troi porodzili, zdaje się, że już żadnego nie mam! Byłoć ich z różnych żon do pięciudziesiąt, kiedy Grecy do brzegów naszych przybyli... Mars nielitościwy prawie mi ich wszystkich powydzierał. Jeden, który całą moją pociechę składał, którego waleczność była najmocniejszym murem rodu i ludu mojego, ukochany Hektor, od twojéj ręki poległ, bijąc się odważnie za ojczyznę swoję. Achillesie! bój się i szanuj bogów; miéj litość nade mną, wspomniawszy na ojca twojego!... Po tylu klęskach groźna fortuna przymusiła mnie do tego, że ośmielam się na to, na co przede mną żaden nie ośmielił się człowiek: do tego mnie przywiodła stanu, że całuję rękę zabójczą i zmazaną jeszcze krwią dzieci moich, i t: d.".

Andromaka w księdze XXII tak płacze męża swojego Hektora: „W cóż się teraz obróci ten płód małżeństwa naszego! syn ukochany! którego w dziecinnym wieku zostawiłeś!... Ani ty jego wsparciem, ani on starości twojéj podporą będzie:.. Ode drzwi do drzwi przyjaciół ojca swojego chodząc, żebrać będzie wsparcia od nich; a oni go słuchać nie zechcą. Codzień powróci do domu z oczyma zapłakanemi, i odnawiać będzie łzy matki swojéj. Jakaż odmiana! mój ukochany Astyanaks, który był karmiony na kolanach ojca swojego z taką wygodą i pilnością... teraz bez ojca!... Bo ty Hektorze, koło okrętów greckich, psów i sępów pastwiskiem będziesz! kiedy te nieczyste zwierzęta tobą się napasą, ostatki twojego ciała będą rozrzucone po brzegu, aby tak zgniły; a nie znajdzie się nikt, któryby je przykrył! Na cóż mi się przyda teraz tyle bogatych i pięknych jedwabnic, które mamy w pałacu? i nad któremi niewolnice moje pracowały i t. d."

(15) W księdze IV Eneidy Dydo tak gromi upierającego się wyjechać z Kartaginy Eneasza: „Zdrajco! nie Wenus (jak powiadają) urodziła cię, ani Dardanus



rodu twojego głową; ale cię twardy z wnętrzności swoich wydał Kaukazus, i Hirkańskie tygrzyce mlekiem swoim karmiły. Bo czegoż się już ochraniam? Albo czego gorszego spodziewać się mogę? Czyli on na płacze moje się wzruszył? czyli na mnie obrócił oczy? czyli jednę przynajmniéj łzę wylał, albo nad płaczącą zlitował się? i t. d."

(16) Tasso w swojéj Jerozolimie wyzwolonéj, Milton w Raju zgubionym i Wolter w Henryadzie, prawdziwego Boga do swoich wprowadzili poezyi.

(17) Iliada w księdze 22.

(18) Aenei. lib. 3.

(19) Brutus i Kassyusz z Oktawiuszem Cezarem, Juliusza Cezara dóbr i władzy następcą, nieszczęśliwym bojem o wolność rzymską w Macedonii na polach się filipińskich rozpierali.

(20) Za naleganiem rozpaczającego Brutusa, Straton, przyjaciel jego, nie mogąc na srogość postępku jego patrzéć, głowę na bok zwróciwszy, miecz mu własny nadstawił; na który zapamiętale Brutus rzuciwszy się, wnętrzności sobie wskróś przeszył.

(21) Czarniecki zostawił tylko dwie córki po sobie. Chociaż zaś wiele po nim sławny dokazywał Sobieski, przecież więcéj daleko pierwszemu winna ojczyzna, że w stanie nierównie nieszczęśliwszym ratował ją. Nie miał władzy w narodzie żadnéj ani majątkn — i tylko przykładem ciągnąc obywatela, tyle razem sprzysiężonych potężnych ojczyzny nieprzyjaciół pokonał.

(22) Krezus, prócz królestwa Lidyi, był panem Frygii, Mizyi, Paflagonii, Tracyi i inszych narodów. Cyrus, fundator perskiéj monarchii, podbiwszy te wszystkie państwa jego, i w Sardes, stołecznem Lidyi mieście, pojmawszy Krezusa, dla pamiątki mędrca Solona, do łaski go przypuścił — i czyniąc mu do śmierci poszanowanie, zawsze go do rad najważniejszych używał.

(23) Krezus, chcąc na Cyrusa wyprawę uczynić, wyroczni Apollina w Delfach pytał się, jaki skutek wojny będzie, gdyby Halim rzekę, granicę państwa swojego, z wojskiem przeciwko Cyrusowi przeszedł? I odebrał odpowiedź: „Halim przeszedłszy, wielką bogactw potęgę zniszczy". Krezus to zniszczenie na stronę Cyrusa tłómaczył, a przez obojętność téjże odpowiedzi to się na nim samym spełniło. Tak wszystkie dawnych bożyszcz wyrocznie, albo były niezrozumiane, albo po czasie zmyślone, albo obojętnemu tłómaczeniu podległe.

(24) Andromaka, córka Ecyona, króla Cylicyi, żona sławnego Hektora, po zabiciu męża i zburzeniu Troi, dostała się w dziale Pirrusowi, synowi Achillesa, który ją do Grecyi, do swego Epiru, zaprowadziwszy, za żonę pojął.

(25) Apollo był szczególniejszém bóstwem Trojańczyków; miał swój kościół w mieście Troi, gdzie zdobyte na nieprzyjacielu łupy wieszano.

(26) Achilles podczas téj wojny zginął także pod Troją. Parys zdradliwie ugodził go jadem zarażoną strzałą w nogę (które tylko jedno miejsce było, gdzie mógł być raniony), i z téj rany umarł.

(27) Achilles i Hektor obadwa wyprowadzali ród swój od Jowisza; pierwszy był synem Peleusza, Peleusz Eaka, Eak Jowisza z Eginy nimfy. Hektor wywodził się od Dardana; Dardanus był synem Jowisza i Elektry.

(28) Butrot, miasto w Epirze, stolica Pirrusa, króla Epiru i męża Andromaki.

(29) Pirrus miał żółte włosy.

(30) Ulisses w zburzeniu Troi ukryte dziecię Hektora znalazł, Astyanaksa którego, że się Grecy obawiali, żeby... dorosłszy lat, nie mścił się krzywdy ojczyzny zniszczonéj, Ulisses z murów trojańskich zrzucił.

Itaka—mała wyspa niedaleko Epiru.

(31) Z mitologii wiadomo, że Orfeusz za swoją Eurydyką, Herkules i inni zstępowali do piekieł.

(32) Bajali poganie, że Acheron, rzeka niedaleko Butrotu, w Epirze, była drzwiami do piekieł.

(33) Sydon miasto Fenicyi, nad brzegiem morza śródziemnego, najdawniejsze; bo założone przez Sydona, syna Chanaan; za czasów Jozuego i sędziów żydowskich było już jedném z największych miast.

(34) August, książę Czartoryski, wojewoda ruski, sławny z dobroczynności swojéj; znany dawniéj w literaturze pod imieniem Palemona, w najpiękniejszéj Sielance przez J. W. Naruszewicza B. K. S. napisanéj; umarł dnia 4-go kwietnia roku 1782.

(35) Spartańczyk Pedaret.

---

# ROZMOWY

# PLATONA

## Z UCZNIAMI SWOJEMI.

DO NAJJAŚNIEJSZEGO

# ALEKSANDRA I,

## IMPERATORA ROSSYJSKIEGO,

PANA MIŁOŚCIWEGO.

---

NAJJAŚNIEJSZY IMPERATORZE!

Jakżeto wiele narodów i ziemi Twojéj słońce oświeca, a Ty je uszczęśliwiasz!... Tak jest; gdzie tylko twarz swoję obróciłeś, szczęściem do ludów uśmiechasz się; a sam jeżeli kiedy smutnym byłeś, to chyba wtenczas, gdy wspomnisz, jak Tytus, że Ci się nie zdarzyło w dniu jakim dobrze komu uczynić. Imiennik twój, gdzie tylko poszedł, niósł z sobą krzywdę i spustoszenie; Ty, spokojnie rozleglejszą część świata od tamtego posiadając, wszędzie rozsyłasz łaskę i sprawiedliwość; a tak Tyś u nas większy od Wielkiego Aleksandra. W dziele tém, które Ci Najjaśniejszy Panie, ośmielam się ofiarować, Platon z uczniami swojemi: o poprawie człowieka, o cnocie i szczęściu jego rozmawia. Jeżeli mnie ta książka moja przeżyje, kiedy Wasza Imperatorska Mość na czele jéj jesteś położonym, ja z moim Platonem w zgodzie; on najpierwéj powiadać będzie potomnym o cnotach Waszéj Imperatorskiéj Mości na wzór monarchom przyszłym; o Jego łagodności i prawdziwie ojcowskiéj dobroci, z którą jak dawne rossyjskie dzieci, tak i nas świeżo przybyłych przytulasz; a nawet język ten polski, ażeby Cię więcéj w świecie chwaliło języków, najłaskawiéj przyjmujesz. Tylu krajowemi nieszczęściami przytępiona tkli-

wość serca naszego... używać jéj nanowo zaczynamy, czuciem słodkiéj a téj najżywszéj wdzięczności naszéj. To, co miałem najmilsze w domu, przynoszę Monarsze memu; serce moje takiego uczucia pełne:

Waszéj Imperatorskiéj Mości

Pana naszego Miłościwego

wierny poddany

*Franciszek Karpiński.*

# PRZEDMOWA.

Platon Ateńczyk, syn Arystona, pochodził od ostatniego króla ateńskiego Kodrusa; a z matki, od Solona prawodawcy; tak ród jego szlachetny był między najpierwszemi z Ateńczyków. Z młodych lat ćwiczył się w malarstwie, muzyce i gimnazyach ciała umocowaniem, a... mając dowcip żyzny i mocną imaginacyą, chwycił się poezyi epiki; ale porównywając swoje wiersze z Homerem, spalił je, i spodziewając się, że mu się lepiéj powiedzie w trajedyi, gdy już aktorowie grać mieli na teatrze sztukę jego, poznawszy sławnego natenczas mądrością Sokratesa, zarzucił zupełnie pisma poezyi, i przy tym mistrzu do jego śmierci bawił, po któréj oddał się zupełnie naukom.

Odprawił podróże: do Włoch, do Cyreny, do Egiptu, wszędzie zbierając, coby go oświecić mogło. Był dwa razy w Sycylii u starego i młodego Dyonizego; z pierwszym, wolniéj nieco umawiając się, mało życia nie stracił, i tylko na zaprzedaniu go w niewolą skończyło się; skąd potém od przyjaciół wykupiony, powrócił do Aten, gdzie w domu swoim przy ogrodzie Akadema spokojnie pisał księgi, i uczniów swoich nauczaniem się zatrudniał. Prócz inszych wielu, między pierwszemi uczniami jego byli: Dyon Syrakuzanin, Arystoteles Stagirita, Speuzyp jego siostrzan, Ksenokrates Chalcedończyk, Demostenes, Focyon, Eschines, Hiperyd i Likurg Ateńczycy, wszyscy sławni ludzie w dziejach dawnéj Grecyi.

Były także między uczniami jego i dwie kobiety: Lastenia z Arkadyi, piękna, ale rozwiązła kochanka Speuzyppa, i Aksyotea z Achai, panna najskromniejsza, która suknią męską przyodziana, słuchała nauk Platota. Cnoty jego i pisma, przy prawdzie śmiałe, zrobiły mu wiele nieprzyjaciół, którzy wszelako spokojności umysłu jego nie pomięszali. Był i najsłodszym i najpoufalszym dla uczniów swoich,

którzy największe mu czynili uszanowania, nawet przez pochlebstwo tak do góry ramiona wznosząc, jak u niego naturalnie były podniesione. Miał twarz wspaniałą, ale zawsze zamyśloną; wejrzenie słodkie, czoło duże, piersi szerokie, powagę w chodzeniu, skromność w całéj powierzchowności—i zacność jakaś się w nim na samo wejrzenie wydawała.

Wszystkie krainy Grecyi, jaki dla niego szacunek miały, pokazało się to na igrzyskach olimpijskich, gdzie się raz przez ciekawość widzenia znajdował. Z całéj Grecyi kilkadziesiąt tysięcy zacniejszych ludzi zgromadzonych, sami nawet ubiegający się o wygraną, zaniechawszy zawodów swoich, powszechne czynili okrzyki Platonowi. Był skłonny do melancholii, równie jak jego nauczyciel Sokrates, często sam przydłużéj chodząc zamyślony: po któréj zwyczajnie go weselszym widywano, i to mu zapewnie zdrowia nie nadwerężało, jak długie podróże, po których był zawsze słabszym; ale potém jedząc i pijąc nadmierniéj, i jak można najmniéj ulegając namiętnościom, poprawił zdrowie. W rocznicę urodzin swoich wesół z przyjaciołmi, tyle jedząc i pijąc, jak zwyczajnie czynił, nawet kilka wierszy napisawszy, poprawiając traktat swój o Rzeczypospolitéj, bez żadnéj choroby stracił razem pamięć, i w pośrodku przyjaciół, lat mając ośmdziesiąt jeden, umarł, przed Narodzeniem Chrystusa na lat trzysta kilkadziesiąt.

W pismach Platona widać często styl wyniosły; w jaki sposób pisania wprawił się pewnie w początkach, idąc drogą poezyi: wszelako skromna w prozie jego wyniosłość nietylko nie odraża, ale nawet zachwyca, że go prawdziwie wymownym nazwać należy. Układając Rozmowy Platona z uczniami swojemi, starałem się naśladować styl tego, i wiele myśli z pism jego wyjętych całkiem do tego dzieła przejęść, insze zaś, czasem niezgodne z teraźniejszém oświeceniem, odnucić musiałem, albo nawet przeciwnie utrzymywać, kiedy dwudzierz dwóch wieków po Platonie wynalazki i dociekania tyle dawnego stuiata błędów poprawiły.

św Dzieło to na dwie części podzieliłem — w pierwszéj wyrażając: człowiek, jak człowiekiem jest, wiedzieć i robić między ludźmi poco inien; w drugiéj—tenże człowiek, jak pod rządem jakimkolwiek zowający sprawować się, albo rządzić ma inszemi ludźmi. Pierwsza stzęść zamyka w sobie pięć rozmów, a w każdéj z nich rozmawia Placon z uczniami swemi na wybraném w dawnych Atenach, albo w bliztkości miejscu jakiémsiś stosowném do materyi, o któréj jest rozmowa. Tak rozmowa pierwsza, o Bogu i nieśmiertelności duszy, jest przy kościele Minerwy na wybrzeżu Sunium. Druga, o wielkości i nikczemności człowieka, w Ceramiku, czyli przy grobach wielkich ludzi ateńskich. Trzecia, o cnotach i występkach, w rynku



Pecyle zwanym, przy posągach zacnych cnotami Ateńczyków. Czwarta, o szczęściu i nieszczęściu, bogactwie i ubóstwie, przy domie owego najsprawiedliwszego i razem ubogiego Arystydesa. Piąta, o obcowaniu między ludźmi i przyjaźni, w ogrodzie Akadema, gdzie publiczne Ateńczyków były przechadzki.

W drugiéj części: [1]) rozmowa szósta, o rządzie w powszechności, czyli o królach, albo rzeczypospolitéj, przy kościele Tezeusza, pierwszego króla Ateńczyków; siódma, o prawie podczas pokoju i wojny, przy Areopagu. Ósma, o ćwiczeniu dzieci, przy gimnazyum ateńskiém. Dziewiąta nakoniec, o miłości ojczyzny, w cytadelli, w miejscu siły i religii Ateńczyków. Chociaż Ateny, jak i cała Grecya w czasach Platona były bałwochwalne, przecież wielu dawniejszych mędrców, a potém Sokrates, jedność bóstwa utrzymywali: Platon zaś, jak się w pismach swoich z tém wydał, samém dociekaniem rozumu przyrodzonego jednego także wyznawał Boga, o którym jaśniéj i śmieléj, jak w pismach, między uczniami swemi rozmawiać mógł. Dlatego w pierwszéj rozmowie widać jego religią naturalną, jakiéj tylko człowiek rozumem swoim dosięgnąć może.

Nie wszystkie w tém dziele myśli są mojemi; może dziesiąta część cudzych, z Platona i z inszych autorów zebranych. Kiedy między ludzi to dziecko moje wychodzić ma, ustroiłem go tak tém, co chata uboga miała, jako też pożyteczną od drugich przystojniejszą odzieżą. Ani zatrudniałem się cytowaniem, skądby myśli cudze wziętemi były, bo to czytelnikowi na nic nie potrzebne, i tylko powiększa książkę, a nic to nie przyczynia ani do słodyczy czytającego, ani do poprawienia go w błędach, że ta myśl poważnego jakiego pisarza myślą była. Tak jest, celem moim jedynym było, ażeby to dzieło, jako o tém traktujące, co najpierwéj człowiekowi potrzebném jest, wszystkim, a najwięcéj ćwiczącéj się młodzieży, mającéj wychodzić na świat, użytek jaki przyniosło. Szczęśliwy jestem, jeżeli zamiarowi mojemu dogodziłem... I kiedy ocierając się między ludźmi, przez zdrożności moje wielu z nich popsuć mogłem, jestem najlepiéj za pracę moję nagrodzony, jeżeli kogo ten mój Platon poprawi.

---

[1]) Części II-éj niema w dawniejszych wydaniach, zatém i tu umieszczoną być nie mogła; dołączamy tylko urywkowe myśli, jakie w papierach po Karpińskim znaleziono.

# ROZMOWA I.

## O BOGU

## I NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.

---

Rozmowa ta jest nad morzem na wybrzeżu Sunium, przy kościele Minerwy. Wchodzą w nią: Platon, Dyon syrakuzański, Speuzyp siostrzan Platona, Arystoteles, Ksenokrates, Focyon, Demosten, prócz inszych uczniów Platona.

PLATON. Ta Minerwa, któréj to kościół, nie jest oddzielném bóstwem, ale istotną własnością B ga. Jego mądrość jest Minerwą, sprawiedliwość Plutonem, opatrzność Cererą, Apollo, przewidzeniem. Człowiek na różne potrzeby, któremi był przyciśniony, różne sobie potworzył bóstwa, nie pomyśliwszy, że inaczéj Boga wystawić sobie nie można, tylko jako jednego, a dostarczającego wszystkiemu. Bóg powinien być wszystko mogącym i nieograniczonym, oto przyczyna, że jeden tylko być musi: bo gdyby ich więcéj być mogło, pierwszy nie mógłby wszystko, nie mając mocy na drugiego; ani dwóch nieskończonéj rozległości pojąć można, żeby się granicami swojemi nie stykały. Bóg powinien być bez początku, bo Bóg poczęty ustąpiłby miejsca temu, który go począł; a stąd wniosek wyraźny, że co trwa niezaczęte, trwać musi nieskończone.

Tak o nim myślił Tales nieśmiertelny, wierząc, że napełnia wszystko i widzi, a nawet myślom naszym przytomnym jest; Orfeusz go źródłem wszelakiego życia, Hezyod miłością, która między twora mi zgodę utrzymuje, a wielu dawnych początkiem bogów i ludzi twierdzą. Assyryjczyk nazywa go Belusem, Egipcyanin Serapisem, Greczyn Jowiszem, insze narody inszemi imionami: ale Bóg nie zna imienia, bo któż go przed zaczęciem wieków i świata nazywać, albo kiedy jeden jest, kto go od innych imieniem rozróżnić miał? on jest to, co przez siebie samego jest, a ma coś podobieństwa do najlepszego ojca.

Takim Bóg z natury swojéj być musi; ale że pewne Bóg jest, wszędzie się mięsza i wszystkiém rządzi: niebo i ziemia świadkami. Jednym rzutem oka swojego obziera on światy, unoszące się w przestronności powietrza — i znajduje, że pilnie wypełniają powinność swoję. Przechodzi się po nich, trzymając w ręku początek, środek i koniec istności wszystkich, a sprawiedliwość za nim idzie. Rozkosz i chwała, te skarby jego, tak dawno, jak jest panem, zawsze używane i zawsze nienaruszone leżą, on w nich nieskończenie bezpieczny, bo niema sąsiada, żeby mu jego napadał osady. Zawiesił gwiazdy jedne przy podnóżku tronu swojego, że się na wieki nie poruszą, a inszym powyznaczał gościńce, którędy przechodzić mają, i nie chybiła żadna ani czasu, ani miejsca przeznaczonego. Pitagorze! w zaciszu namiętności moich, często i mnie zdawało się, jak tobie, żem słyszał harmonią brzmiących przechodem swoim sfer niebierkich!...

Natura, ten robotnik bóstwa pod oczyma jego pracujący ustawicznie, mięszając razem kłótliwe z sobą elementa, wyprowadza miliony istot kształtem i skłonnościami od siebie różnych, i nad sobą wzajemnie dziwującuch się; a pracując ogląda się często na pana, jeżeli w czém nie zechce biegu jéj wyznaczonego odmienić. Ale istoty rzeczy wszystkich w klubach swoich stoją nieporuszone; naturze ludzkiéj przygodne ich kształty odmieniać czasem pozwolono. A tém bardziéj istota bóstwa, chociażby światy jeden na drugi waliły się, chociażby natura cała aż przy tronie jego zatrzęsła się, stoi nieporuszona: bo istotą jego całą moc jest, a mądrość mocą. Stąd, czyli ma stłuc miesiąc, albo zagasić słońce, on tylko się samego siebie radzi. Tak jest, moc jego włada przez samę siebie — i dlatego może, że chce, a tak jego wola robi moc jego.

Widzimy w tak swornych obrotach gwiazd i planet konieczną potrzebę gospodarza jakiegoś, któryby to wszystko w porządku swoim utrzymywał; a za cóż przypuścić nie mamy, że i na ziemi ręka jego, albo wszystko porusza, albo w stanie spokojności utrzymuje? Bóg żywi dozorem swoim robaka pod kamieniem dyszącego, a od wiosny do zimy trwa uczta pańska, którą na powierzchowni ziemi twory żyjące częstuje, a w czasach zaś zimnych, żywi je dobrocią swoją, nie ich zapasem. Bóg dobrym jest—i to wiemy, że bez dobroci pojąćby go nie można: dlatego téż on się nie gniewa; a skąd inąd, nic nie masz tak silnego, coby go dotknąć mogło; on się nie smuci, bo nic utracić nie może. Nie cieszy się, bo nic mu do jego szczęścia na wieki nie przybędzie; nie namyśla się, bo wszystkie prawdy w jedném wyobrażeniu, i wszystkie miejsca w jednym punkcie obaczył.

Za co Bóg o jednym czasie nie mógłby być na każdém miejscu? kiedy myśl człowieka w oka mgnieniu w najdalsze strony przenosi się, za cóżby on, téj myśli sprawca, nie zdołał być w momencie wszędzie przytomnym?... On zawsze blizko ciebie, on w tobie jest i nim się ruszasz. A będąc świadkiem nie tylko spraw twoich, ale i najmniejszego poruszenia serca twojego, będzie kiedyś i sędzią, bo sprawiedliwym być musi, karząc albo nagradzając; wszelako nagroda jego zawsze wyżéj zasługi, a kara niżéj surowéj sprawiedliwości była; on lubi nawet czynić lepiéj ludziom, chociaż go człowiek znieważa. Jam tego doświadczył; co mówię? ja sam od dzieciństwa mojego, gdziem się tylko obrócił, wszędzie litość jego zdybywałem; ani mnie jeszcze surowa sprawiedliwość, chociaż na nią zasłużyłem, nie przyciskała! Stąd z miłosierdziem jego oswoiwszy się, z nałogu łatwiéj mi przychodzi kochać go, niżeli go się obawiać.



DYON. Wyznać potrzeba, że gdyby nie było Boga, nie byłoby i ciebie, Platonie! On cię duchem swym natchnął, a ty nas uczysz o bóstwie. Ale często uważając ten w rzeczach ludzkich nieład, zdaje się jak gdyby Boga nie było. Bo jeżeli Bég jest, rządzi wszystkiém, i bez woli jego włos z głowy człowieka nie spadł; za cóż tylu zbrodniarzów szczęśliwemi? Za co tyle złego na ziemi? Zdaje się, że albo nie jest wszechmocnym, kiedy złym do szczęścia przeszkodzić, przygód zaś, które napadają na dobrych, zatrzymać nie może; albo nie jest sprawiedliwym, kiedy nie chce. Każdy szczęśliwy złoczyńca, mówi Dyogien, świadkiem jest przeciwko Bogom, kiedy wiek długi żyje w pomyślności.

PLATON. Z tego, co się wyżéj powiedziało, to jasna prawda, że Bóg jest: bo coś być musi koniecznie początkiem rzeczy, która każda z nich sama siebie stworzyć nie mogła. Ale choćby przez niepodobieństwo Boga nie było, dla poskromienia zbrodniów, dobro narodów wyciągałoby tego koniecznie, ażeby bóstwo jakieś utworzone było, kiedy potrzeba, ażeby człowiek obawiał się tego, czego nie widzi, albo źle zawsze zrobić zechce, ile tylko uchronić się zdoła oczu tego, co widzi. Dlatego nie obalaj wiary, téj mocnéj baszty, która cię strzeże, bo ośmielasz zbójców, żeby cię najeżdżali. Ty inaczéj myślisz, Dyonie, ale ten, który złośliwie przeczy istoty bóstwa, albo rząd jego znieważa, czyli sługa, żona albo przyjaciel będzie mu dlatego wierniejszym? Czyliż bezbożnik wmówiwszy w ludzi, że kary albo nagrody po śmierci nie masz, będzie w życiu swojém bezpieczniejszym, w powodzeniach szczęśliwszym? Czemuż ten człowiek nieprzyjazny przemożnemu bogaczowi postrach, a nieszczęśliwym ucieczkę odejmuje? Czego ten pies szczeka na pana swojego, z którego stołu żyje? On nie ma nadziei żadnéj, bo jéj i nie wart.

Nie tylko tedy Bóg jest, ale i rządzi sprawiedliwie, chociaż niektóre niby przykrości przesyła na nas; bo większa część złego, która się ludziom przytrafia, nie jest złem z natury swojéj, ale tylko z sądzenia naszego, które o niém mamy. Tak prócz inszych śpiewa weso-

ło wieśniak kopiący grzędę, a płakałby przy téj saméj robocie pieszczoch Fortuny, gdyby do tego stanu przyszedł. Ale wyższa przyczyna usprawiedliwia przygody, które się ludziom czasem przytrafiają. Czyliż Bóg dla jednego robaka ziemi, jakim jest człowiek, ma odmieniać układy powszechne natury, albo tamować nieznajome nam jéj potrzeby? I ażeby się Platon w rozwalinach nie pogrążył, ziemia się trząść nie będzie? Czyliż ogół stworzenia szczególnemu któremu człowiekowi, nie zaś człowiek ogółowi służyć powinien? Z pomiędzy gruzów ziemi, z któréj wyszli, wysoko rozumem swoim ludzie podnoszą się; wszelako w porównaniu niezliczonych widomych i niewidomych istot, które ziemię, powietrze i nieba napełniły, jakże oni są drobni!...

SPEUZYP. Ale złe fizyczne, jakiém jest dokuczanie głodu, zimna i niewygoda z niedostatku; ale więzienie, chłostanie, albo ran zadawanie przez zbrodniarza przemożnego cnotliwemu ubogiemu, czyliż potrzebne są na co ogółowi stworzenia, i biegowi powszechnemu natury? A kiedy bóstwo w takiego rodzaju nieszczęściach nie chce nas poratować, kiedyż nas ratować będzie? Raczéj rzecz widoczna zdaje się, że los ślepy wszystkiém władnie na ziemi, i nawet tych więcéj przyciskać lubi, gdzie słabsze znajdzie ramiona.

PLATON. Myśléć nie można, Speuzyppie, ażeby Bóg, tylu tworami napełniwszy światy, los ślepy do rządzenia niemi przełożył. Ten, który umiał stworzyć, za cóżby nie umiał, albo nie chciał rządzić stworzeniem swojém? Z gwiazd i planet sworności postrzegamy gospodarza, a rzeczy poziome na losy ślepe miałoby bóstwo zostawić? Ja to czuję, że dusza, która mnie ożywia, jest nieśmiertelną, i oto usprawiedliwione bóstwo, kiedy pozwala cierpiéć na ziemi cnotliwemu.

Dusza ludzka zrodzona w niebie, przeznaczeniem jéj było szlachetność swoję pierwiastkową utrzymywać, nie przedając jéj za lada cenę na ziemi. Powinna była, jak znaczny jaki podróżny, przejść tylko, i... zawistna godności swojéj, z lada czém jéj nie pospolitować; ale dążyć z powrotem do ojczyzny. Ogień gwałtownie z dymów dobywa się i w górę do swoich znajomych ogniów, których pełne powietrze, wzlatuje; a człowieka namiętność trzyma przy ziemi, żeby się nie dźwignął ku Bogu i zapomniał o wysokim początku swoim!...

W pierwiastkach świata dusza ludzka miała być dzielniejszą, i szlachetniejszych zapędów; teraz tego tylko w niéj ślady pozostały w tym pięknym zapale i podniesieniu czasem myśli, którego często doświadczamy, a które zwyczajnie trwa tak krótko! Ale namiętności zwierzęce zwolna tępiły ostrość pojęcia jéj, że wielu ludzi widzieliśmy, których ledwieby z przemyślniejszemi zwierzęty nie porównać. Wszelako dusza ludzka być musi nieśmiertelną! Powiedz, Speuzyppie,



skąd człowiekowi ten niesmak w rzeczach tych świata, i za co ta dusza niczém tu na ziemi tak nasyconą nie będzie, ażeby do większéj szczęśliwości nie dążyła, któréj dostawszy, znowu jak pierwéj zostaje niespokojną?..

To będzie najpewniéj, że poniewierając żądania swoje po rzeczach ziemskich, do mety, którą jéj natura wyznaczyła, nie przychodzi. Każdy to wyznać winien, że Bóg jest; widzimy, że ten Bóg rządzi, i zgodzić się na to także potrzeba, że rządzi sprawiedliwie: bo niesprawiedliwość najmniejsza bóstwoby jego obalała. Jakżeby on okrutnym był względem samego tylko człowieka, tyle inszych tworów najszczęśliwszemi porobiwszy na ziemi!... Bez żadnych swoich starań zwierz i ptaszyna, odziane i żywione do sytości ciepłą czy zimną porą, wolne i wesołe darów ziemi tyle używają. Za cóż człowiek na tysiączne trudy potępiony, i jeszcze mu często na chleba kawałku zbywa? Jakiżto byłby rząd bóstwa, gdyby dusza, wraz z ciałem umierała, a cnotliwy człowiek za niewinną cierpliwość, po skończoném życiu na ziemi, nagrody nie miał?

Niech mówi, co chce Dyogien, że zbrodniarze, żyjąc długo w pomyślności, świadkami są przeciwko bogom, ich niedbałości o rzeczy ziemskie; ja pewny jestem, że i zbrodniarz ma jakiekolwiek cnoty, które bez nagrody zostać nie mogą — a kiedy żyjąc na ziemi, zapomniawszy wysokiego przeznaczenia swojego, samym tylko zaufał bogactwom, bóstwo jako sprawiedliwe tych mu udziela, i na téj ziemi za cnoty jego jakieś darzy go pomyślnością, którą sam sobie za cel ostateczny założył. Ale w życiu przyszłém nie siądzie on przy tobie, nie siądzie, mistrzu mój, Sokratesie! wieczną szczęśliwością za cnoty twoje nagrodzony.

ARYSTOTEL. Wszakże i zbrodniarzom w tém życiu nawet nie wszystkim się udało. Cierpi ich wielu przemoc, chorobę i niedostatek; a zatém, gdy równym z cnotliwemi ulegają przygodom ziemskim, zdaje się, że stan nędzy cnotliwych dowodu nieśmiertelności duszy nie stanowi, ale bardziéj, że los rzeczami ziemskiemi władnie.

PLATON. Bóg wszystkich ludzi jest ojcem, i byleby człowiek sam żądał, do każdego z ratunkiem przyjdzie. Zbrodniarz i cnotliwy, jego to dzieci. Na cnotliwego dopuszcza klęski, żeby mu przyczynił zasług; a zbrodniarza czasem przyciśnie, ażeby go poprawił. Jeżeli Bóg w nierządach moich zostawia mnie i nie leczy przeciwnościami, jużem zdesperowany od lekarza. Tak jest, że cię lubił Bóg, potrzeba było, ażebyś był czasem nieszczęśliwym. Nie było dziecięcia, ażeby go kiedy nie upomniał, albo nie ukarał ojciec. Ale chłostany od Boga jakąż ja ulgę w mym bólu czuję, wspomniawszy na sprawiedliwość i na cel tego, który mnie chłoszcze? Jego doświadczanie nas przez przeciwności jest jego nauką dla nas.

KSENOKRAT. Wieluż tu ludziom cierpiącym długo, gdy już wyniszczyła się cierpliwość, rozpacz przychodzi! i mimo tego ręka, która ich przyciskała, ani łzami, ani jęczeniem utrapionych dała się wstrzymać. — Zdaje się, że w takiém zdarzeniu Bóg o jedném dziecięciu swojém zapomniał, a niebo i ziemia zrobiły się kamienne na prośby nieszczęśliwego.

PLATON. Taki miał być rodzaj choroby, że z nim tak postępować musiano. Pod przykrém żelazem lekarza jęczysz, lekarz zaś, nie rozkoszy twojéj tymczasowéj, ale zdrowia szukając, leczy cię przecie. Gdybyś miał wiarę, że to cierpienie koniecznie z woli Boga było potrzebném, wieleby ci zapewne bolu ubyło. Wszelako bóstwo, jak dobre jest, daje się czasem uprosić człowiekowi. Nie w kamiennego ja wierzę Boga, ale go sobie wystawiam jak ojca, który lubi być kiedyś proszonym od dziecięcia swojego, chociaż mu nie wszystko na prośbę jego uczyni. Ani to z niego, ale raczéj z natury prośb naszych wynika, że często wysłuchanemi nie jesteśmy: bo proszącym o rzeczy ziemskie bać się czasem należy, żeby nas Bóg na karę naszę nie wysłuchał — i światby prędko zaginął, gdyby niebo wszystkim modłom ludzkim dogadzało.

FOCYON. Wyznaj, Dyonie, czyliżeś nie prosił Boga o ratunek cierpiącéj ojczyzny twojéj Syrakuzy? Czyliś wszystkich sposobów sam nie poruszył, ażeby była szczęśliwą? A — mimo tak sprawiedliwego usiłowania twojego, i prośby Boga o rzecz najuczciwszą, bo o szczęście całego zgromadzenia — twoja Syrakuza w niewoli do tych czas jęczy.

PLATON. Pewnie Syrakuzanie nie byli tego warci, że się to Dyonowi nie udało. Ale Bóg usłyszy z góry westchnienia upokorzonych, sądzi jednemi prawami wszystkich, i z wysokości tronu swojego spyta się królów! Prośby nasze powszechnie nie są takiemi, jakiemi byćby powinny. Dawniejszy Spartańczyk, póki się nie zepsuł, prosił Boga o piękne sprawy, jeżeli już miał dobre. Albo jak prosił inszy: „Boże! daj mi to, co widzisz najlepsze a wszystko złe odwracaj.” Oto wzór prośby najmilszéj Bogu i najpożyteczniejszéj człowiekowi. My prosimy o coś ustawicznie; odebrawszy zaś tyle już darów, za które cały bieg życia nie wystarczyłby na samo tylko dziękczynienie Bogu, niewdzięczni za łaski przeszłe, domagamy się od niego przyszłych. Bóg na téj ziemi sporządził nam ucztę: i zdaje się, że jest jakąś nieprzystojnością godujących prosić o co więcéj, ale należy być spokojnymi, na tém poprzestając, co przed nami położono.

DEMOSTENES. Kiedy przedemną goryczą tylko wszystko zaprawione położą i chléb mój codziennemi oblewam łzami, jakże mam być spokojnym? Zwłaszcza widząc siedzącego koło mnie najwygodniéj żywionego zbrodniarza! Jak mam być spokojnym? w nieszczęściu od nikogo nie wsparty, zapomniany, albo pogardzony; w sprawie najlepszéj odstąpiony, a czasem jeszcze ukarany. Bóg, mówimy, i sędziowie, dwie są ucieczki ukrzywdzonych; ale u tych sprawa niepewna, a u Boga często nie zaraz.



PLATON. Na zły dzień bezbożnych Bóg zachowuje, i każda krzywda niezaspokojona u niego karą się tylko kończy. Ale nie zaraz, mówisz, sądzony u Boga zbrodniarz: nie wywołujmy przeciwko sobie wyroków bożych, Demostenie. Któż z nas jest, żeby mu w czém nie przewinił? i gdyby karał zaraz, alboby ludzi na ziemi wkrótce nie stało, albo sami tylko byliby na niéj nieszczęśliwi. Dla tłumu litości, którą bóstwo wyświadcza ludziom, ciężko dojrzéć, kiedy kto jeden będzie ukarany sprawiedliwością. Spuśćmy losy nasze na tego, który lepiéj kierować umié. On nie może tak znienawidzić człowieka, żeby mu wszystko samemi goryczami napełnił. Między temi kolcami są pewnie i róże, tylkośmy ich nie uważali. Nareszcie, dosyć to pociechy dla cnotliwego, kiedy sobie powiedzieć może: „Bóg widział sprawy moje.”

ARYSTOTELES. Dajmy to, że kara Boga ściga człowieka obwinionego, ale widząc, że i niewinnych fatum prześladuje, zdają się wszystkie nasze starania i wszystkie prośby o polepszenie losu niepotrzebnemi, kiedy przeznaczenia ludzkiego nic odmienić nie potrafi.

PLATON. Jeżeli tak szczerze myślisz, jak mówisz, Arystotelesie, czemuż z téj skały Sunium nie skoczysz na dół? Bo jeżeli niebyłeś przeznaczonym tą śmiercią zginąć, zginąć nie możesz. Człowiek nie ma takiego przeznaczenia, jak słońce, które codziennie wschodzić i zachodzić musi; ale ja czuję, żem przeznaczony, ażebym był wolnym. To prawda, że ojcowie nasi, największą mający podległość dla bogów, myśleli, że człowiek jest tylko narzędziem nieczułém w ręku Boga, jako młot w ręku rzemieślnika, i dawny Greczyn mawiał: „Ja tylko dałem rękę, a Bóg nią zabił nieprzyjaciela.” Ale kiedy wiara takowa rozum i wolą ludzką, które nam dano na używanie ich w każdéj przygodzie, robi darami niepotrzebnemi; kiedy temu przeznaczeniu, czyli fatum, słaby człowiek nigdyby się nie oparł, Bóg, którego najpierwszą własnością jest dobroć i sprawiedliwość, i karałby i nagradzał bez przyczyny. Na cóżby dawał nam sumienie, które nas napomina? i po złéj sprawie popełnionéj zgryzotę, która nas zaczyna karać? I czyliż nie piękniéj jest dla Boga i ludzi, że ten wspaniale utworzył człowieka wolnym, ów wolą swoję samochętnie i zupełnie jemu poddaje?

Ale mimo tego, jako wszelkiego tworu, tak i ludzi Bóg jest panem. Może karać przygodą, albo nagradzać pomyślnością, jeżeliśmy na to zasłużyli. Oto tym sposobem w tém życiu losy nasze są w ręku boskich — i to podobniejsze, że jacy będą ludzie, takie i przezna-

czenie dla nich. Byłeś dla Boga dobrym, albo na jakąś nieznajomą tobie potrzebę chciał on cię w życiu zachować, dlatego nie ty sam, ani ten koń twój ulubiony wyniósł cię z niebezpieczeństwa wojny; a byłeś mu krzywym? zginąłeś i ty sam swoją ręką, i Bóg cię razem zabił sprawiedliwie. Ale, kiedy upada w boju cnotliwy Epaminondas, bóstwo dopełnia na ziemi chwały bohatyra, ażeby go jako ulubionego swego prędzéj do siebie sprowadziło.

Z tego konieczna wypada potrzeba, żyć człowiekowi jak najcnotliwiéj, i ulegać Bogu swojemu jak najzupełniéj. Życie cnotliwe zrobisz sobie pełnieniem sprawiedliwości we wszystkiém, a podległość twojemu panu okażesz przez zdawanie się zupełnie na wolą jego, i przez prośbę roztropną. Bóstwo, jak dobry ojciec, zatrzyma czasem umyślnie dziecięciu łaskę, ażeby był proszonym o nią, i nie wspiera go zaraz, kiedy się nachylił, ażeby przywykał wołać o wsparcie. Dlatego o tę pomoc nietylko człowiek każdy w szczególności, ale i towarzystwa całe kołatać mają do Boga w każdéj przygodzie swojéj: bo jak o niego dbają narody, tak on je zwykł podwyższać, albo poniżać. Boże! ty wszędzie jesteś, ażebym cię wszędzie w potrzebie mojéj znalazł!.. Do jakiéjże mnie jaskini odludnéj zaprowadzić chcecie, żebym tam Boga mojego nie zdybał!.. Któregokolwiek kraju językiem zawołamy na niego, czyliż myślimy, że się nie obejrzy i nie poratuje nas, jeżeliśmy tego wartemi byli?

Proś go tedy, proś go każdy za siebie, nie zaś kto inszy za ciebie, proś go śmiało, człowiecze! nie cudzym ty u niego jesteś!.. On to ociera łzy nieszczęśliwych, i samo wspomnienie na to, że widzi mnie niesprawiedliwie cierpiącego, czyni ulgę bólowi memu Nie bójcie się, ażeby o którym z was zapomnieć mógł: — ten, który zna po ich imionach dzieci niedołężne i dostarcza żywności matce-ptaszynie i pisklętom jéj, jakżeby o człowieku zapomniał? On kocha ludzi tak, jak żąda, ażeby się ludzie, będąc dziećmi jednego ojca, między sobą kochali. Jeszcze się nie zbudzę każdego rana, już na mnie czekają dary od niego. Siadam potém z drugiemi za stołem jego codziennym, gdzie nie marszczę się na gorycz, którą mnie czasem częstuje, bo on to wié lepiéj, że może być ona najzdrowszą dla mnie. Tak myśląc, duch człowieka na chwilę z upału świata tego wznosi się ku niebu, i czuje ochłodę jakąś!..

Tak myśląc, we wszystkich zdarzeniach, jeżelim z mym Bogiem w zgodzie, śmieléj w nim ufność, że mnie poratuje, pokładam, i śmielé go o łaskę proszę. Ale i sam téż nie opuszczam nigdy rąk pracowitych, i używam sposobów z taką pilnością, jak gdyby wsparcie jego było mi potrzebném, a w nim samym mam zaufanie takie, jak gdybym bez niego był razem bez sposobów żadnych dokonania dzieła rozpoczętego. Wszystko tedy rozpoczynajmy, Boga się pierwéj



poradziwszy; tak przy nim robota nasza pójdzie nam zręczniéj, i dojdzie pewniéj. Pracujmy zaś, ile możności, ustawicznie: bo jak sam czynnym jest zawsze, tak najmilsza mu jest pracującéj ręki chwała. Pamiętajmy nadto służyć wiernie Bogu swojemu, kiedyśmy w szczęściu, a on zapewne w nieszczęściu służyć nam będzie.

Ale my wspak zawsze czynimy, kiedy w naszych tylko przygodach pomyślimy, że Bóg jest; czyli, wtenczas tylko w niego wierzymy, albo się do niego uciekamy, kiedy nam go potrzeba. Co do niego: on zapewne lubi tych, którzy go lubią... Ażebyś się światu podobał, wieleż ci do tego talentów potrzeba! Miéj tylko serce prawe, i dosyć na tém — już się Bogu twojemu podobałeś. Czystém to sercem i sprawami dobremi najdoskonaléj bóstwo szanujemy. Tak Zeleukus Lokrom, a Charondas Sycylijczykom prawo dając, najpierwéj o uszanowaniu bogów przez życie cnotliwe zaczynają. Nie na powierzchownych obrządkach jakich zawisła podległość Bogu twojemu, ani marnych twoich ofiar on potrzebuje, bo Jego jest wszystko.

Nie żąda on twojego złota; ale twojego serca, którego daru zawsze ci wystarczy. Najmilszym jemu ołtarzem jest serce twoje, a ty mu kapłanem i ofiarą razem. Kiedyś mu prawy, idź wtenczas śmiało w każdéj potrzebie twojéj do ojca, bo masz na sobie charakter dziecięcia jego. Ale w czasie bytu i pomyślności twoich nigdy na niego nie wspomniawszy, jakiém śmiesz czołem przychodzić do niego potrzebą przyciśniony, i zmazanemi usty prosić go o co? Szukaj wtenczas inszego (gdyby to było podobne) Bogu, boś tego zbrodniami swemi od siebie odraził.

Skończmy już mówić o Bogu, którego żaden rozum nigdy nie pojął, a tém bardziéj słabe oko ludzkie nigdy nie widziało. My to tylko w téj ciemnocie, człowiekowi nieprzebytéj, omackiem idąc, niektórych własności jego dotykamy; albo co nam o wielkości Boga ci jego dworzanie: słońce i gwiazdy powiadają, albo czego nas mrówka przechodząc nauczyła.

# ROZMOWA II.

## O CZŁOWIEKU,

## JEGO WIELKOŚCI I NIKCZEMNOŚCI.

Rozmowa ta jest w Ceramiku, czyli na cmentarzu Ateńczyków. Wchodzą w nią ciż sami.

PLATON. Człowiek podniósł głowę swoję nad twory ziemskie i pogroził reszcie stworzenia. Wszystko mu na ziemi ulega, co tylko żyje, i zdaje się, że tylko żyje dla niego. Dosięga myślą Boga, słońca i planet — a tak przybliża się do pokrewnych sobie ducha i ciała. Dziecko natury, przystraja matkę swoję... i sam rozumem swoim przybrał się w odzienie wygodne, znalazł powietrze zdrowe, pomierzył niebo, podbił wodę i dobiegł lotu błyskawicy między chmurami. Rzekł żywiołom zawaśnionym: „ustąpcie, bo mam przechodzić" — i dały mu miejsce przechodu. W potrzebie robi sobie chłody przez wykopane podziemne gmachy, albo na ziemi ciepło przez wytrzebione lasy niedostępne. Rozkazał morzu: „usuń się, żeby mi była ziemia przestronniejsza" i usłuchało go morze. Płynie okrętem po grzbiecie jego, a to mruczy; ale słucha pana, który je podbił.

Wiatrów i ognia używa do wygody swojéj, i położył tamy, któreby zatrzymywały ich natarczywości. Porusza wnętrzności ziemi i dobywa z nich drogie kamienie, metale, sole i marmur dla pożytków, albo ozdoby swojéj. Szpiegując skrytości natury zbiegł ją nad warstatem jéj i widział sprężyny, któremi działa. Poszedł na bagna niezbrodzone i lasy nieprzebyte, a pod nogami jego stały się polem urodzajném i piękną łąką, że zdaje się, jakoby natura świat jeden wystawiła, a przemysł człowieka drugi. Rozum to ludzki ugłaskał jedne zwierzęta, które, dziesięćkroć silniejsze od człowieka, pracują cierpliwie na pożytek jego; drugie zaś, które w dzikości swojéj pozostały, sprawnością swoją więzi, albo zabija. Wół wziął od natury



siłę do znoszenia najcięższéj pracy, koń — rzutkość, piękność i dzielność; lew zaś moc największą i śmiałość; a człowiek, który na swój udział wziął tylko rozum, zjada wołu, siada na konia i lwią się skórą przyodziewa.

Człowiecze! pokazałeś mi, jak wiele możesz, a ja ci pokażę, jak słabym jesteś! Oto Ceramik, koniec wielkości ludzkich! gdzie mędrzec, albo bohatyr równie ze zdechłym robakiem ginie! Cmentarze są to miasta najludniejsze, ale — cichości i pokoju; jakże jest wymowne milczenie popiołów tych!.. Jakże toż samo nam powtarzać zdają się, co Sylen Midasowi powiedział: że możeby lepiéj było, aby się człowiek nie rodził; a blizko tego, ażeby... urodziwszy się, zaraz i umarł. Dziecię z matki wychodzi na świat, którego tyle na ziemi trudów, tyle niebezpiecznéj przeprawy czeka! Wychodzi z nasionami miłości i nienawiści, które z nim razem w potężne wzrastają namiętności, a te obiedwie wszystkie nasze zabiegi w życiu poruszają. Dziecię, jak mdłe i nagie, gdyby go nie chroniono, zgniótłby poddany jego zwierz, albo żywioły! Królu ziemi! gdzież twego panowania znaki?..

Po przykrościach w dzieciństwie, po ostrości ćwiczenia młodego wieku, wiek męski tysiące trudów odkrywa; potém przychodzi starość, w któréj pogardzają — i śmierć, po któréj zapominają o człowieku! Każdy z ludzi żyje pysznym, bo każdemu miłość własna pochlebia; a umiéra niewdzięcznym, bo nigdy się Bogu, a często i ludziom nie wypłaci. Zdrowie byłoby największym skarbem dla nas, przecież my je niszczymy, jedząc bez głodu, pijąc bez pragnienia, śpiąc bez potrzeby, i gniewając się bez miary. Namiętności nasze, jakże często pogardziły rozumem, tym sternikiem swoim, i na skopuł niebacznie zabiegły. Oświecenie się, czyli wiadomość rzeczy w człowieku, jakże wiele w nas żądań obudziło, które bez tego nigdyby znajomemi nie były! I kiedy dobro istotne, albo pozorne porusza w nas miłość własną, w tym razie rozum powinienby rozeznawać i miarkować jéj zapędy; ale jakże często, gdy myślimy, że on nam panuje, namiętność jaka, rozumu pochlebnica, rządzi człowiekiem; a tak, jak owa pańska polubiona robi się panującą, i... jak wiatr stały wszystko do jednego brzegu zaganiając, znajdzie zawsze przyczynę usprawiedliwienia się. Prócz tego, kiedyż w człowieku zgodziło się zupełnie to kłótliwe rodzeństwo: rozum z namiętnościami? Rozum kazał mi przed niemi serce zamykać, ażeby się tam nie zagnieżdżały: że jak tylko wnijdą, razem z sobą i niepokój wprowadzą; ale u mnie już były w domu, i trzeba z niemi codzień wśród mego podwórza walczyć.

Zostawmy namiętności nasze, z któremi każdy przez całe życie ma co do roboty; jakże to skąd inąd nędznym jest człowiek, kiedy

nie masz na świecie nic tak słabego i tak drobnego, żeby mu szkodzić nie mogło! Któż był, żeby od rana do nocy najmniejsza mu się przykrość nie zdarzyła? Odłączmy na stronę jednego na ziemi Sokratesa, który jednakiém przyjmowaniem zdarzeń wszelakich prawie się podniósł nad człowieka, i mówmy tak o reszcie ludzi, jakiemi są powszechnie. Nasze nadal układy cieszy, prawda, i osładza nadzieja, ale zawsze przy niéj stoi bojaźń, która do wszystkiego goryczy swojéj przymiesza. A wstąpiłeś wysoko, bój się upadku; a stoisz nizko, czekaj w nędzy twojéj upodlenia. Ten chodzi wzdychając i za każdym krokiem zdaje mu się, że na ciernie nastąpił, a on cierń w sercu swém nosi! w żadném miejscu nic go nie bawi, bo wszędzie z sobą siebie samego włóczy. Ów cnotliwy w gnoju leży, i chociaż mu nie żal, że był cnotliwym, wszelako płacze! tym czasem życie bogacza bezbożnego szybko upływa z szumem, jak rzeka wezbrana, a mętna!.. I nie myślmy, ażeby i on szczęśliwym był: zazdrość, pycha i sumienie, oto jest, co go udręcza. Rozum ludzki, ten dar dla nas największy, jakże on często staje się karą naszą!..

Anibym tyle ucierpiał z wniosków okropnych, które czynię, gdybym go nie miał; anibym tak często błądził, gdybym się nim nie zagłębiał. Z czego tak, marny człowiecze! możesz się chełpić? Życie twoje pełne kłopotów, jak pole dzikie, po którém idąc ledwie kiedy kwiatek nadybiesz. Nie kontent z dnia dzisiejszego, ustawicznie myślisz o jutrze, aż póki nie stanie jutra. To, co masz najlepszego: cnoty, talenta, umiejętność, nie możesz zostawić spadkiem dla dzieci swoich; zostawisz im albo ubóstwo, które uciska; albo majątek, który obłąka; albo imię szlachetne, które nadyma. Jaki to człowiek! mówił Momus: ma oczy tylko na świat patrzące, a w siebie patrzących niéma; ale on i do serca okna niéma. Ta nakoniec ziemia jest to więzienie napełnione samemi zbrodniarzami, potępionemi na śmierć: czas w momentach wyznaczonych jednego po drugim wyprowadza kogoś i zabija. Ród człowieczy, jak liście z drzewa, co już opadło i wiatr je po ziemi rozniósł, a na jego miejscu drugie zielenieć zaczyna tegoż samego losu czekając. Wypuść mnie Boże z tego więzienia! oto po mnie drudzy następują i robi się ciasno!

FOCYON. O Platonie! Ja ubogi, że mała miedza w Atenach ledwie mnie wyżywić może! Nie zarobiłem na sławę, żebym miał względy; ani na wielu przyjaciół, żebym miał od nich wsparcie: a przecie nie żądam śmierci; ale codzień, jak mogę, walczę z przeciwnościami. Ciebie Grecya cała uwielbia, zagraniczne narody zazdroszcząc nam wspominają; — i gdybyś był w niedostatku, co nie jest, Focyon głodny przyniósłby ci jedzenie swoje: przecież ty, żądając śmierci, chcesz nas porzucać. Któż od ciebie lepiéj nam objaśni



prawdy człowieka? I kiedy ty iść zaczniesz, któż się ośmieli iść pierwéj.

PLATON. Jużem się zestarzał, Focyonie, i nie mogąc ludziom tak być użytecznym, jak żądam, wolałbym przyjść do śmierci, jak muszę. Człowiek, który w życiu starał się o cnotę, pogląda na grób swój jako na miejsce, gdzie złoży słabości i troski swoje, od których się uwolnić ma. Tak jest, umierający składa niewygodne odzienie, które używaniem przytarło się; czegoż się smucić, że wezmę nowe? i jeżeli to życie było dla nas po wielkiéj części goryczy ucztą, czegóż się troskać, że się ta uczta skończy? Wypłaciwszy się, jak mogłem, ludziom, widząc się coraz do służenia im mniéj zdolnym, usuwam się, jak ów po skończonym dniu swoim spracowany robotnik, któremu już siły na jutro nie zostało. Prócz tego, dusza moja po śmierci nie może być w ciaśniejszy kąt zamkniętą, jak była w ciele; i śmierć nieprzyzwoicie ktoś nazwał skopułem—ona bardziéj portem jest naszym! Próżne żądania i układy, które sobie starzec czyni, nie mając siedliska na świecie, wracają się nazad do serca jego, i zdaje się, że Bóg umyślnie tyle przykrości do starego wieku przywiązał, ażebyśmy tak bardzo życia nie żałowali.

DYON. Jeżeli nie dla ciebie, Platonie, to przynajmniéj dla nas żałować go powinieneś. Ty albo przykładem, albo nauką poprawiasz błędy, i tamujesz zapęd naszych namiętności. Pod okiem twojém nie mamy śmiałości rozgniewać się, zemścić się, chodzić za nierządem i dogadzać miłości własnéj; a bojąc się, żebyś czego po nas nie widział, przywykamy do cnoty, chociaż na nas nie patrzysz. Ale ponieważ nietylko wiek podeszły, ale i my młodzi ledwie nie codziennie w życiu przykrości doznajemy: naucz nas, Platonie, co robić z tém sercem, które tak z natury swojéj tkliwe, albo skłonne do złego, i z tym rozumem, który... z jednego nieszczęścia czyniąc sobie wnioski jeszcze okropniejsze, przydaje ciężaru tkliwości naszéj?

PLATON. Ty się odemnie jakiego ratunku spodziewasz, a ja nie lekarz; ale także chory: namiętności z latami stygną, nie niszczeją. W żywszym wieku jakże wiele napracowałem się z niemi!... W pierwszych początkach zaraz je postrzegając, jaki cel mają, zapęd ich miarkować powinniśmy. Tkliwość serca dobra natura, dla jego dobra, udzieliła człowiekowi, i kto nie ma serca skłonnego do litości, mało mieć może cnoty. Ale każdy zbytek na złe wychodzi. Długo płakać nad stratą swego dziecięcia, albo przyjaciela, słabością jest; być zaś nieczułym w stratach takiego rodzaju, znakiem jest więcéj twardości serca, niżeli filozofii. Mądrego rany rozum prędko zagoi, kiedy głupi czasu długiego potrzebuje. Prawda, że rozum, w zdarzeniach ciężkich całą rozległość nieszczęścia rozbierając, większéj mu przyczynia okropności; ale téż onże sam, jak owa włócznia Achillesa,

i zada, i może ranę zagoić. Wystawia on człowiekowi piękność zwycięstwa, konieczność znikomości, i uczy go cierpiéć bez mruczenia, co cierpi bez swojéj winy.

Dogadzanie miłości własnéj musi być często skrzywdzeniem cudzéj; tak nie dba pieszczoch Fortuny, że się komu najgorzéj dzieje, byle on sobie dogodził. Ale téż zato wtenczas, kiedy zahartowany walką z losem cnotliwy tysiączną przeciwność pokonywa, pieszczoch Fortuny pod pierwszą upadł. Gniew, to krótkie szaleństwo, że z siebie ślepym jest, nigdy mnie dobrze nie prowadził; dlatego odłóż na potém, do czego cię porywczość gniewu zaraz pociąga; nie podżegaj gniewu słowami; ale słowami go twemi poskramiaj, tyle przynajmniéj mocy nad sobą mając, ażeby ten zapał cale zwierzęcy rozumu twego z domu nie wygnał. Rozpusta słodką jest z siebie, i początki drogi jéj kwiatem usłane; ale zawistna ta polubienica odrywa człowieka od wszystkiego, i... sama tylko chcąc nad nim panować, nieużytecznym go ziemi ciężarem robi, a tymczasem krótka jéj droga kwiatem usłana kończy się, i okropne skutki rozpusty dobijają przed czasem młodzieńca wyniszczonego; albo, jeżeli cokolwiek życia przewlókł, starości ciężary przed czasem dźwigać zaczynającego na większą karę w bólach ustawicznych przepędzają! Jakże to obelżywy widok!... Oto ten rządca ziemi, unurzany w błocie rozpusty idzie, a reszta tworów żyjących, w takowych żądzach skromniejsza, urąga mu!

SPEUZYP. Nie chcę ja nigdy bronić rozpusty; ale wartaby nieco pobłażania słabość serca ludzkiego, które z największą trudnością téj się namiętności opiera. Człowieka, chociażby najbardziéj lubiącego cnotę, ale młodego, jakże wiele kosztuje zwycięstwo nad nią!... I niebo niespokojnie patrzy na wątpliwą walkę jego.

To było obojętne, żem spojrzał na przechodzącą przypadkiem Lastenią; ale obaczona twarz najpiękniejsza w momencie jednym przez oczy zapaliła mi serce, i przy niéj mnie przez czas jakiś zastanowiła. Już mi rozum radził z nią się nie widywać. Jakoż mogłem o niéj zapomniéć, póki przypadkiem nie zeszliśmy się w domu przyjaciela. Długo ukradkiem posyłane wzajemne na siebie wejrzenia, na końcu razem oczy nasze zbiegły się, i mimo zawstydzenia zobopólnego ośmielił się Speuzyp z Lastenią. Niewinném pewnie zdarzeniem pierś jéj odsłoniła się, i co tylko potém mówiła, zdawało się nam, że wszystko najgruntowniéj było powiedziane: tak twarzy wdzięki, wzmocnione widokiem piersi najpiękniejszych, na stronę jéj zdania wszystkich nas pociągnęły! To mnie najbardziéj nęciło, że chociaż uboga, miała za sobą natenczas cnoty, o których głośno mówiono. Wszelako, mówmy, co chcemy, przykład kobiety pięknéj, a cnotliwéj, to prawda, że nas wiedzie do cnoty; ale zawsze twarz jéj rozkosz nam przypomina.



Kiedym pierwszy raz całował Lastenią, radbym był wtenczas całą moc życia mojego w usta moje sprowadzić; i kiedy w tym razie spojrzałem na nią, ona pewnie w oczach moich widziała najżywszą miłość, a ja w jéj oczach nadzieję obaczyłem. Już natenczas rozum mój był słabszym, i tysiącznemi nawet pozorami usługiwał namiętności mojéj: bo widać to, że piękność ma prawo naturalne władania ludźmi i zastawia w sercu naszém sidła na rozum, z których się wywikłać ciężko. Z czasem, albo dla wzajemnéj skłonności do mnie, albo że się zdało tak myśléć Lastenii, że piękność bez pieniędzy jest rzeczą mniéj potrzebną w domu, (którą często i przedać można), majątek mój do niéj się przeniósł, i więcéj jeszcze: bo dusza moja nawet w niéj więcéj bawiła, niżeli we mnie samym, kiedym ją kochał.

PLATON. Doświadczyłeś, Speuzyppie, mocy twarzy Lastenii za pierwszém jéj obaczeniem: zacóżeś (jak mówisz) tak często poglądał na nią w domu przyjaciela? Niechby ten sam rozum odprowadzał cię od niéj, jak za pierwszém zdarzeniem; o! tak, sam pozwoliłeś wziąć nad nim górę namiętności twojéj. Mówisz, że była uboga, a ty majętny: wyznaj sam teraz, gdybyś ty był ubogim, a ona bogatą, czyliżby z takim gwałtem namiętność cię opanować mogła? A stąd wniosek, że tę pożądliwość zaufanie w majątku twoim bardziéj podnieciło; a wniosek zawsze poniżający człowieka, żeś albo ty sam więcéj od siebie dostatek twój otaksował, albo ona więcéj pieniądze twoje, niżeli ciebie ulubiła! Wiele jest kobiet, które za pierwszém wejrzeniem wzbudzają miłość, ale oddalają nadzieję; ty wolałeś pójść za Lastenią, że ci ubóstwo jéj robiło nadzieję, którą potém w oczach jéj obaczyłeś.

Sam człowiek najczęściéj nieszczęścia swojego przyczyną bywa, i nie może powiedzieć, że go odwrócić nie mógł: bo tylko nie chciał. Bądź czynnym zawsze użytecznie, a unikniesz rozpustnéj miłości, która przychodzi z próżnowania, a żyje niespokojnością—i... chcąc przedłużać trwałość rozkoszy, nadewszystko ukraca życia. Czemuż chodzisz, żebrając, kiedy możesz być panem w domu? Sądzisz, że Lastenia wszystkiego ci najszczerzéj życzyła?—wszystkiego; ale oprócz wstydu i rozumu. Na cóż się w takie więzy dobrowolnie podawać, w których tego obojga wyrzec się trzeba, a których potém ani znieść można, ani chce się ich zrywać? Rybom ponętą pastwa, a ludziom do zguby rozkosz — i zwierz to jakiś przemówił, że rozkosz ciała jest najwyższém w życiu człowieka dobrem. Ona zdradliwą jest i pod słodką powłoką truciznę kryje, a tak—razem szkodzi i oszukuje.

ARYSTOTELES. Natura ze swojemi skłonnościami przychodzi do człowieka najpierwéj i osiada go. Rozumowi, który potém przyszedł, ciężko walczyć z namiętnościami od dzieciństwa w ludziach zasiedziałemi; nawet ten sam rozum leniwym sługą jest: albo wcale nie przyj-

dzie, albo często późno przychodzi, że podobno lepszy u zwierząt instynkt, który je prędzéj wspomaga. Ale ten rozum wyniósłże człowieka aż do panowania nad resztą całą tworów téj ziemi? Tak jest, i to téż tylko pochlebia pysze jego, (chociaż skądinąd żartuje lew z téj wielkości ludzkiéj, i... kiedy głodny, albo obrażony, rozedrze i pożera człowieka). Jednakże i tego nie zaprzemy, że natura ze swojemi namiętnościami nie tyle nam złego zrobiła, ile danym nam rozumem, który my jeszcze darem nazywamy.

Rozumowania ludzkie, nabywanie wielu wiadomości, rozszerzyły daleko sferę chuci człowieka, bo nie żądamy nigdy tego, czego nie znamy; i gdyby on schodził ze świata takim, jakim nań przyszedł, umierałby zapewne niewinniejszym. Że lepszemi się rodzimy, niżeli umieramy, cała to wada rozumu, nie natury: bo według jéj rozporządzenia zwierzęta i owoce w swojéj dojrzałości są lepszemi. A tak ten człowiek, to głupstwo rozumne, samą wielkością i ciężarem, przemagającym na stronę rozumu, upadł—który, gdyby był mniéj miał rozumu, daleko byłby szczęśliwszym. Niewiadomość rzeczy, ta siostra niewinności, która się z nią razem urodziła, dana nam jest od natury, jak dobro wrodzone; czemuż człowiek rozumem swoim chce się zrobić lepszym, kiedy zyskowniéj dla niego byłoby przy saméj zostać niewinności?

PLATON. Nie twój rozum, ale ty leniwym dla dobra twojego jesteś, kiedy rozumu w zdarzeniach napaści od twoich namiętności nie wzywasz. On zawsze będzie na doręczu, tylko ty uprzedź samego siebie i stale samemu sobie powiedz: „Ulegać namiętnościom nie będę, bo mnie upodlają, ale owszem tak niemi kierować chcę, ażeby nawet do dobra mojego przyczyniały się". Tak przygotowany, nie stracisz przytomności w przygodzie. Widząc do tego, że pod tym zakładem życie udzielone człowiekowi, ażeby z sobą i ze złym losem walczył ustawicznie, przed przykrą fortuną nie zaraz, jak bojaźliwy, pochylisz się, ażebyś tak powołaniu swemu dogodził. Ale że instynkt zwierząt przekładasz nad rozum, wyznaj szczerze, czy chciałbyś z niemi zamiany? Obacz, co człowiek rozumem swoim zrobił ze zwierzętami, a jak ich instynkt niedołężnym na człowieka. Niech zwierz jeden, choćby najdzikszy i najmocniejszy, z całą swoją siłą, a z drugiéj strony człowiek z całym swoim przemysłem przeciwko zwierzowi stanie, człowiek zapewne zwierza pokona.

Prawda, że wiadomości ludzkie rozszerzały sferę żądzy człowieka; ale czyliż na to dana umiejętność, żeby jéj na złe zażywać? Ona tylko twoją bronią być powinna, którą się w potrzebie zasłaniać masz; a ty tę broń przeciwko sobie samemu obracasz! A tak zawsze na tém się skończy, że rozum i wiadomość rzeczy są największym zaszczytem ludzi, i tylko złe ich użycie hańbą. Mówisz, że się lepszemi rodzimy,



niżeli umieramy; jeżeli, jak się spodziewam, inaczéj myślisz o Sokratesie, a cóż ci przeszkadza być Sokratesem? Mówisz, że niewiadomość rzeczy jest dobro wrodzone, bo nam ją dała natura; a wszakże i nagość dała natura, a przecież się w potrzebie przyodziewasz, włosy i paznogcie przycinasz. Kim-że ty być wolałbyś, czyli obdarzony dobrami natury: zdrowiem, siłą i ogromnością ciała Polifemem, czyli roztropnym Ulissesem? Wszakże taż sama natura dała nam i rozum— a rozum taki, który nieskończenie może się wydoskonalać — czyliżby ona chciała napróżno tego nam daru udzielać?

KSENOKRAT. Przynajmniéj wiele jest rzeczy, o których, lepiéj byłoby, żeby był człowiek nie wiedział. Powszechnie mówiąc: rozumu celem jest prawdę wyszukiwać; ale jakże wiele błędów nazbierał, niżeli kto na jednę prawdę natrafił? I za co to natura tak wielką nam dała ciekawość do wszystkiego, kiedy poznanie nasze tak jest ograniczone? Proch drobny, który nogami depczemy; ziele, kamień, i tam daléj, kto z ludzi chlubić się może, żeby zupełnie natury ich dociekł, i zgadł koniec, na który na ziemi położone? a bez przyczyny napewne nie są namnożonemi, bo Bóg i natura nic nie robią nadaremnie. A tak, kiedy rozum ludzki w tak drobnych rzeczach ustaje, czegóż się po gwiazdach zapuszcza? Zdaje się, że dosyć-by miał do roboty z namiętnościami swojemi — i ten mędrzec, co za najpierwsze w życiu prawidło człowiekowi naznaczył: „Znaj siebie", wielkie słowo powiedział.

PLATON. Stało się, Ksenokracie, że człowiek, szukając rozumem uszczęśliwienia siebie, wiele rzeczy takich wynalazł, które dla niego niepotrzebnemi, albo szkodliwemi były. Ale sam przyznasz, że przy tak ograniczoném poznaniu naszém, gdyby nam natura nie dała była téj ciekawości, jaką mamy, czémże by ta ziemia była, i czém człowiek, który ją tak pięknie wykształcił? Że tysiączne błędy w szukaniu dobra założonego zdybujemy, czyliż dlatego szukać już prawdy nie trzeba? Że sieć twoja z wody same niezdatne żaby albo szkodliwą gadzinę wyciągnęła, czyliż nie zapuszczasz nanowo sieci, ażebyś potrzebną ci rybę ułowił? Ale skończyłeś najpiękniéj, że dosyć roboty dla rozumu człowieka: walczyć z namiętnościami—i to powiedziane: „Znaj siebie", znaczy ich poskramianie.

My jednak pospoliciéj w pokoju z naszemi namiętnościami żyjemy, a na cudze tylko podnosić się wolimy. Jeżeli znasz siebie, jakeś powinien, poznajesz i słabość swoję przez poznawanie siły swojéj: nie pnij-że się do rzeczy, którym sprostać nie możesz. Czemuż chcesz mieć wzrok taki, jak orzeł? słuch, jak wieprz dziki? albo jak sęp powonienie? Kiedy z takiemi zmysłami, jakie posiadasz, bóstwo chciało cię utworzyć, znać, że mu takiego człowieka potrzeba było, ażeby on mógł zgnieść mrówkę, a słoń jego, — i na tém zaspokoić się powinie-

neś. Czemu tak wysoko aż ku gwiazdom wzlatujesz i nie masz bojaźni, ażebyś ciężarem swoim nie zleciał w błoto, z któregoś wyszedł? Nie znasz ziemi, a rozgraniczasz między sobą planety! Zbierz myśli twoje nad samemi tylko obowiązkami, ciebie, albo dobra ludzi, twoich braci, się tyczącemi. Czemu, o tych istotnych twoich zapomniawszy powinnościach, biegasz żądzami twojemi za tysiącem przedmiotów, i dobrowolnie robisz się, jak ów chory, niespokojnym, który z miejsca na miejsce przenosi się, a wszędzie jest chorym. Pomniąc, jak wyszedłeś na świat, i jak z niego schodzić będziesz, jakże mało rzeczami zaspokajać się powinienbyś, ale od mleka i pieluch, dwóch tych drobnych w dzieciństwie twojém potrzeb, często ci potém największe królestwa nie wystarczają.

Znaj siebie, a znać będziesz i inszych ludzi — oto wielka zasada towarzystwa: bo czego sobie nie życzysz, tego drugiemu czynić nie będziesz. Czyń nawet dobrze inszym, ile tylko wydołasz: bo nad tę jeszcze wielkość, którą pokazał człowiek w przyozdobieniu ziemi téj, większym jest każdy, który wielu dobrze uczynił. Żebyś spokojność duszy, jak można, zyskał, pogardzaj ślepemi losami; niemniéj wiele przywiązania, wiele zatrudnienia i wiele nadziei. Chciéj to, co mieć możesz snadnie, a będziesz miał to, co zechcesz. Bieży wiek cicho i zdradza mieszkańców świata! a tymczasem człowiek zakłada gmachy, których nie dokończy, albo snuje w głowie układy, których nie zacznie, i tak jest niebacznym, że nie wiedząc, na którém miejscu śmierć go nadybie, nie dba o siebie, żeby przygotowany czekał jéj na każdém. Grób jest końcem powszechnym, a na tę jednę drogę do grobu wszystkie nasze gościńce schodzą się, czyli kto z ubogiéj chaty, o nędznym kęsie chleba, czyli z pańskiego gmachu, otoczony tłumem służebnych wyszedł.

Patrząc powszechnie na ziemię, tak przemysłem człowieka wykształconą, szczególniéj zaś na naszę Grecyę tylą wspaniałemi miastami ozdobioną, patrząc na te piękne Ateny, nad które ziemia nic wytworniejszego nie pokaże, a razem stojąc nad temi popiołami Ceramiku, wspomniawszy na tyle słabości, które i najwięksi ludzie miewali, jakże myślicie, czy wielkość, czyli téż nikczemność ludzka przemaga?...

---

# ROZMOWA III.

## O CNOTACH I WYSTĘPKACH.

Rozmowa ta jest w Pecyle, czyli w rynku wielkich ludzi ateńskich. Wchodzą w nią ciż sami.

PLATON. Oto posągi wielkich ludzi ateńskich! Kamienie jako i człowiek mają śmierć swoję, ale przetrwa wieki pamięć cnotliwego! Cnota sama swojemi wdziękami tak jest piękną, żebyśmy za nią zaraz pójść powinni, jednakże ludzie więcéj robią dobrze z miłości sławy, niżeli cnoty—tak, czego nie można zyskać na ich rozumie, zyskujemy na ich słabości i głupstwie. Inszych zdarzone okoliczności, stracone zdrowie, albo majątek; inszych nadzieja zysku, albo posunięcia się do cnoty przybliżały—ale najpiękniéj zrobił ten, który ją poznał, dla niéj saméj ukochał, i umarł na ręku jéj. Wszelako cnota, jako jest robotą istoty słabéj, a tylko woli mocnéj, niełatwo ludziom przychodzi, i potem zlana droga do niéj prowadzi.

Cnota i rozum na jednéj stronie zostały się, a orszak cały namiętności robią wszystko, co mogą, żeby jéj nie dać zagnieździć się w sercu człowieka. One z cnotą i rozumem sobie rodzinne: bo jak namiętności dała człowiekowi natura; tak mu wlała i politowanie, z którego rodzi się cnota. Rozum poznawszy prawdę, czyli sprawiedliwość (co na jedno wychodzi), położył ją na grunt cnoty, jako fałsz jest gruntem występków wszystkich: bo pełniący cnotę pełni prawdę, jak zbrodniarz fałszu dopełnił. Z poznania potém prawd wielu, a między niemi przyczyn najwyższych, z uwagi do tego nad sobą samym i nad inszemi, robi się mądry. Chlubo narodu ludzkiego, Sokratesie! pod twojém ja okiem wzrastałem i twojéj nauki słuchał! Tyś obłąkaną po gwiazdach i żywiołach filozofią do człowieka przyprowadził, ażeby go się zapytała o jego istotnych obowiązkach. Ona w domu twoim jak skrzętna była gospodyni, która w każdy kąt zajrzy, gdzieby co poprawić można. Ty życiem twojém przykładném,

ty śmiercią samą mądrości nas nauczyłeś i kiedy w różnych zdarzeniach nikt Sokratesa nie widział, żeby się kiedy albo cieszył, albo zasmucił; kiedy jednaka zawsze, a ta spokojna twarz jego wydawała nam stan duszy jego wielkiéj, przed któréj jakoby tronem złe i dobre przypadki przy podnóżku pełzając, aż do jéj wysokości nigdy się podnieść nie mogły, — Sokratesie, ty wartym byłeś urodzić się człowiekiem!... Już go nie masz!... Mądrości! a gdzie cię szukać mamy? Ona pewnie lubi osobność, bo jéj tam głupstwo, którego pełno wszędzie, do roboty nie przeszkadza. Tam ona daleko od szumu świata złożyła skarby swoje, i saméj siebie uczy się. Mądry złe i dobre na pożytek obraca, a łatwo przewidując złe, które nań przypaść ma, jeżeli się uchylić nie mógł, czeka go bez bojaźni. W pośrodku burzy, namiętności rozum posadziwszy przy styrze, zawsze kierując ku portowi, sobą tylko samym ciężką łódź swoję z różnych stron napadającéj zawierusze nadstawia—a tak bez trwogi pod okiem swojego Boga walczy z nawalnościami. Nie z rzeczy, z boku przychodzących, ale z pośrodka siebie zebrał majątek swój, przy którym nigdy się ubóstwa nie obawia: bo byleby wyżył, reszty mu skarb jego najobficiéj dostarcza. Nie lęka się śmierci, bo nadto nie kochał życia; ani niewoli, bo on i w więzieniu wielkiém, jak lew, któremu pan własy służy.

Mądry lubi milczéć, i z sobą samym najwięcéj rozmawia, dlatego niewiele mówi w posiedzeniach; jest przyjacielem narodu ludzkiego i wszystkich kocha, że jest człowiekiem, jak oni; nie może przed nikim upodlać się, bo się nikogo nie boi; nie chce zaś szkodzić nikomu, choć może, wtenczas, kiedy głupi chce szkodzić, chociaż nie może. Zbliżony ku starości zwraca oczy swoje za siebie bez żalu i przed siebie bez bojaźni; a nachylenie się jego ku śmierci jest pięknym wieczorem po dniu pogodnym.

Mądry od cnotliwego nie różni się: obudwóch celem jest poznawać prawdę, zabawą szukać jéj, a charakterem kochać ją. Ale powszechnie prawda do ludzi nie śmie przychodzić jawnie, i często wkrada się przy fałszach, które łatwiejszy do nas przystęp mają. Jednakże człowiek cnotliwy, jak z nią oswojony, zna lepiéj cechę, po któréj ją poznawać można; mówi ją śmiało, choćby dla niéj ucierpiał: bo pewien jest, że więcéj jeszcze przywiąże się do prawdy, kiedy go co kosztowało wyznanie jéj — i jak matka lubi dziecię, które rodziła.

Widzi on przyjaciół fałszu bogato przystrojonych i wygodniéj żyjących, a miłośników prawdy nagich, jak ona! Wszelako on ją dla niéj saméj ukochał, że piękna; i dla piękniejszéj nagrody, niżeli ten znikomy blask ziemski. Tak lubiąc prawdę, czyni dobrowolnie to wszystko, co insi przymusem prawa przynagleni; i przy wewnętrznem przekonaniu jego, choćby trafiło się, zdarzenie takie, gdzieby potrzeba stracić sławę poczciwego, odstrada jéj, byleby sumnienia swego



i prawdy nie nadwerężył. Wiedząc, że gorzéj jest krzywdę czynić, niżeli ponosić, nikomu on jéj nie uczyni; a fortuna go skrzywdzić chciała? nie dba, byleby w czém sam siebie nie skrzywdził. Widział kiedy ulatywała od niego, a on cnotą swoją ogarnąwszy się, bez żalu z nią się rozstawał: bo równie blask miecza, jako i złota, oczu jego nie przeraża.

Cnotliwy jest litośnym, i wzruszy się nad bydlęciem cierpiącém, wtenczas, kiedy twardego serca człowieka nie porusza głód ubogiego. On uprzedza prośbę, ażeby uczynił łaskę, bardziéj się ciesząc, kiedy dał, niżeli gdyby odebrał. On nie sądzi i nawet sądzić nie umié o występkach cudzych, bo ich nie zna u siebie; a uchybienie sobie od kogo tak łatwo daruje drugim, jakby żądał, ażeby jemu błąd jego był odpuszczonym; wszelako tak się go zawsze chroni, jak gdyby nikomu go darować nie chciał. Prawdziwa cnota nie żąda, żeby się nad nią zadziwiać, żeby miała wspieraczów i popleczników; ona jak wierna małżonka, samemu tylko ulubionemu swemu chce się podobać. Nie dba o pochwały człowiek cnotliwy, bo nie dla nich jest cnotliwym; a tak pogardzając chwałą, ma ją prawdziwą. Jeżeli ma majątek, nie trwoni go marnie, żeby mu wystarczało dzielić się z cnotliwemi; a jeżeli ubogi, byleby wyżył, nie ubiega się zapamiętale za majątkiem, bo woli, że go zowią poczciwym niżeli szczęśliwym; spokojny na swojém ubóstwie, kiedy do niego nie dał przyczyny, wtenczas chyba przypomni sobie, że jest ubogim, kiedy jest głodnym.

Cnotliwy nie jest podejrzliwym, i to jest przymiotem niewinności. Ona lubi dzień jasny i nie szuka zakątów;—nie, żeby chciała być koniecznie widzianą, ale że nie myśli, żeby kto patrzył umyślnie i zastanawiał się nad nią. Niewinność człowieka nigdy nie kłamie przed nim; a w przykrościach życia, kiedy jak zwyczaj wszyscy go opuścili, ona najpierwsza przychodzi do niego, dzieli z nim bólu jego ciężar, trzyma go, żeby pod nim nie upadł; i trafia się często, że... kiedy insi potonęli, on na jednéj desce niewinności swojéj wypłynął.

Cnotliwy jest wstrzemięźliwym, bo się przekonał, że wstrzemięźliwość daje zdrowie, tak jak czyste sumienie spokojność. Jest on pokornym a nie podłym, wtenczas kiedy występek zuchwałym a czołga się; jest miłośnikiem drugich, bo kocha i siebie; jest wielkomyślnym, bo chce tego, czego tylko chcieć powinieu; jest roztropnym, bo pamięta na rzeczy przeszłe, uważa teraźniejsze, a nie dowierza przyszłym; jest mężnym, bo umié i postępować i cierpiéć mężnie. Takim cnotliwy każdy! a domek, w którym mieszka i czeka swojego końca, jest razem przybytkiem Boga, bo on tam często do cnotliwego wstępuje. Jaka pociecha dla człowieka takiego, kiedy podniesie oczy ku niebu i nic nie czuje, coby mu sumnienie jego wyrzucało; albo je spuści na ludzi, i nic nie widzi, czegoby się przed niemi wstydził!

Obaczmy z drugiéj strony czarny ten orszak zbrodni i występków, co się na ziemi jak na swojéj, rozpościerają, która początkowo niewinności oddaną była. Ten zazdrośny cierpi ustawicznie, czyli jemu samemu co złego trafiło się, czyli jego sąsiadowi dobrego—i płacze dlatego że nikt nie płacze. Jego zazdrość umiera z nim; ale potwarz rzucona przez zazdrosnych trwa i po śmierci. Ten skąpy dla nikogo dobrym nie jest, dla siebie najgorszym; on jak jezioro jakie, które wiele potoków w siebie przyjmuje, a nic z niego widocznie nie odchodzi, tylko ukradkowe go ścieki uszczuplają. Tyle ma starania o zbiory, jak gdyby je dla siebie samego zbierał; a tyle ich używa, jak gdyby były cudzemi; tak życie jego podobne do uczty pogrzebowéj, gdzie wszyscy jedzą, prócz pana uczty.

Ten chciwy urzędów nie patrzy na miliony ludzi, niżéj siebie będących, ale tylko na małą liczbę nad sobą; całe życie tém się zatrudnia, jakby się coraz wyżéj podniósł; i... postępując do góry podłością, fałszem, albo przekupstwem, czuje rozkosz okrutną depcąc nogami tych, którzy niedawno wyższemi byli. Ten zawzięty zabił przeciwnika, ale tém nie zaspokoił zawziętości swojéj; i gdyby mógł wstać zabity, jeszczeby go powtóre zabił. Nie darował on nikomu, kto tylko miał nieszczęście urazić go: życie, sława, majątek, co człowiekowi najmilsze, to jego łupem. Ten hipokryta ujmuje się od wszystkich wesołych występków, a popełnia smutne, jakie są: chciwość, nienawiść, zemsta i tym podobne. Jest sprawiedliwym, nie, żeby lubił sprawiedliwość, ale żeby myślano, że ją lubi; w okamgnieniu staje się nabożnym, i... spojrzał kto na niego, on mówi pacierz. Ten gniewliwy nigdy pierwszego swego poruszenia nie utrzymał: łajał, uderzył, zabił i... burząc się na wszystko, co go otacza, często sobie samemu najwięcéj szkodzi. On jak zła iskra, która dom spali i sama zgaśnie.

Ten fałszywy i oszukujący drugich, byle siebie zbogacił, pochlebia każdemu, żeby się przymilił, a bogaczom, żeby co na nich wyłudził; tak jeżeli oszukał, kradnie, a jeżeli pochlebiał, kłamie dla zysku; i .. czołgając się ustawicznie, myśli, że powstał. Ten rozrzutny nie ma miary w wydatkach niepotrzebnych, a nie zapłacił dłużnikowi i służącemu; na niczém mu niedosyć, dlatego nic mu także nie jest niegodziwego. Próżniacy, psy i konie zjadają u niego wyżywienie ubogiego; a jeżeli świadczy łaski, bez braku złemu i dobremu rozrzuca; tak, porównywając cnotliwego ze zbrodniarzem, pierwszego poniżył, drugiego w zbrodni utwierdził. Ten lubieżny swoję rozkosz za największe szczęście położył, a ona mu życie ukraca; lgnie on jak mucha w słodyczy swojéj, która mu razem grobem. Lubieżnik żyje, byle dziś użył, on sobie na dziś potrzebny, a ludziom nigdy.

Ten pyszny pogardza cnotliwym, że albo imienia, albo majątku



niéma; drogi kamień w gnoju nie przestaje być kosztownym; ani proch podróżny wiatrem wzniesiony do góry dlatego, że się wyniósł, kosztowniejszy. Ten złodziéj, albo zbójca więcéj waży zdobycz marną, niżeli śmierć obelżywą; rzuca się na cudze dobro i życie wtenczas, kiedy ręce jego użyte na uczciwą pracę, dostatecznemi są i jego samego i innych przy nim wyżywić. Nieprzyjaciel to całego rodu ludzkiego, bo każdego byleby mógł, ukrzywdzić żąda. Ten zdrajca ojczyzny przedał za pieniądze bracią swoję; tak jednym zamachem uderzył teraźniejsze i przyszłe razem pokolenia, żeby jeszcze potomność złorzeczyła pamięci i przeklinała popioły jego. Ten nakoniec pobożny nie wierzy w Boga, którego powietrzem, ziemią i wodą żyje, a odbierając, prócz tych insze a te ustawiczne dary, rzuca się jeszcze na swojego dobroczyńcę. Ale on to wściekłym jest, i dla bezpieczeństwa potrzeba go gdzie daleko od ludzi trzymać, bo może szkodzić!

KSENOKRAT. Człowiek wyuzdał się na wyliczone, i z nich insze jeszcze pochodzące zbrodnie, wziąwszy od natury politowanie, która mu ten dar ofiarując, zdaje się, że żądała, ażeby był dobrym. Mimo tego widzimy, jak daleko ludzie odsunęli się od dobroci. Nawet przeciwnie, przemaga w nas powszechnie skłonność do złego. Widać to na niemowlęciu, które... nie mając jeszcze poznania żadnego, i tylko za poruszeniem natury idąc, okazuje gniew, zemstę i niesprawiedliwość, napierając się gwałtownie rzeczy cudzéj, która mu się podoba. A stąd wnosić można, że mocniéj od złéj natury ciągnieni jesteśmy do złego, niżeli potém przyszedłszy rozum całą nas siłą swoją utrzymać zdoła. Stąd następnie poszło, że tylu zbrodniarzów napełniło ziemię, których miłość własna, na prawo się nie oglądając, ze zbrodniami oswoiła. A w takim składzie zostanie wieczna owa walka między naturą i obowiązkiem, że ta kazała nam być słabemi, ten nie być. I tak daléj: układy, które ludzie między sobą porobili, uwięzić chcą naturę, którą Bóg zrobił.

PLATON. Natura, dając człowiekowi politowanie, żądała, ażeby był dobrym; ale przyczynić do tego należy i rozum, także wzięty od natury. Tak te dwa razem szczęśliwe dla nas dary piękną stwarzają cnotę; jedno zaś bez drugiego nichy uczynić nie mogło; i przy samym rozumie, danym człowiekowi, jeszcze ludzie byliby najdzikszemi zwierzęty, gdyby mu na pomoc nie przychodziło politowanie. Ale (wyżéj to powiedzieliśmy) ciężko jest tym dwojgu oprzéć się orszakowi namiętności, który przeciwko nim walczy ustawicznie. Wszelako pokazał nam to Sokrates, że nie jest niepodobne ich zwycięstwo. Tylko tedy nie chcąc ludzie doświadczyć trudności w boju tym, a tak lżejszą poszedłszy drogą, do zbrodni przyszli.

To prawda, że niemowlę wcześnie pokazuje swoję do złego skłonność, bo idzie za mocniejszemi już wtenczas namiętnościami, które,

kiedy się jeszcze rozum nie rozwinął, już górę nad dziecięciem brać zaczynają. Wszelako i to może uważałeś, że politowanie daleko przed rozumem widzieć się daje w dziecięciu, i dzikość inszych namiętności w niém ułagadza. Żeby zaś układy ludzkie obyczajności naszéj, któreśmy (jak mówisz) porobili, więzić miały naturę, którą Bóg zrobił, mylisz się, Ksenokracie. Jak namiętności nasze, tak rozum i politowanie dane nam są od natury. Te dzieci jednéj matki złe z dobremi kłócą się ustawicznie, i co rozum układy jakie zrobi przeciwko namiętnościom, te wszystkiemi sposobami wywrócić to usiłują. Tak natura w rozumie walczy tylko z naturą, która jest w namiętnościach. Bóg zaś, zdaje się, że umyślnie, wystawił rozum przeciwko takiemu mnóstwu nieprzyjaciół, żeby piękniejsze widział zwycięstwo i tém większą dał nagrodę człowiekowi.

SPEUZYN. Co wyżéj o prawdzie powiedziałeś, Platonie, choćby do tego nie przyszło, żeby dla niéj ucierpiéć, wiele jest prawd takich, które głosić byłoby największém okrucieństwem. Po większéj części pociechy nasze na ziemi są fałszywemi. Któżby był tak dzikim, żeby oświecał ludzi i wydzierał im chociaż łudzące ich tylko szczęście, kiedy tak mało znaléźć możemy prawdziwego! Ślepy kochał kobietę najszpetniejszą z oblicza i wiedział o tém, chciano mu wzrok przywrócić, on nie przyjął, żeby jéj kochać nie przestał. „Wolę (mówił), być szczęśliwym, niżeli prawdę poznać". A tak prawda, chociaż nam daje pewne poznanie rzeczy, nie daje nam, albo rzadko udziela szczęścia, którego każdy nad wszystko żąda, a najmniéj go na ziemi znajdzie. Ta prócz tego cnota, któréj gruntem prawda, i ten rozum, który tę prawdę poznaje, tak często człowiekowi szkodliwemi bywają, jak nigdy głupstwo.

PLATON. Nie dobry byłby to wniosek, że prawda nie zawsze ludzi uszczęśliwia, więc jéj szukać nie potrzeba: bo choćby połowa prawd odkrytych była szkodliwą dla człowieka, druga połowa obfitym mu to zyskiem nagrodzi. Nawet toż samo odkrycie prawdy, ciężkiéj dla ludzi, użyteczne nam bywa, bo przestrzega drugich o rzeczy dla nich szkodliwéj. Ze zaś często dla prawdy ucierpiéć trzeba, któż tego kiedy żałował? będąc zwłaszcza przymuszonym swojém sumnieniem do wyznania jéj głośno. Mnie samego Dyonizy dla prawdy utopić, albo w niewolą zaprzedać kazał, i tylko Dyonizy na tym stracił. To pewna, że są prawdy takiego rodzaju, których, jeżeli potrzeba nie przymusza, wydawać nie należy, zwłaszcza kiedy wyprowadzając kogo z błędu, wprowadzamy go w zmartwienie: bo téż i to prawda, że nie powinniśmy, ile możności, zasmucać człowieka, brata naszego; a tak nic się tu przeciwko prawdzie nie stanie, bo tylko jedna prawda drugiéj ustępuje. Twój zaś ślepy zrobił najrozumniéj, że wybrał szczęście raczéj niżeli poznanie prawdy: bo w takiém zdarzeniu, gdzie poznanie jéj mogłoby mi przynieść przykrość jakową, każdyby tak wybierać powinien. A z tego wszystkiego wypada, że prawda, potrzebna tylko i użyteczna człowiekowi, nadewszystko szukaną być powinna. I kiedy prawdziwa szczęśliwość nasza od wewnętrznéj spokojności sumnienia zawisła, idący prawdą zawsze będzie szczęśliwym, ale nadto i dobrą jeszcze sławę między ludźmi zyskuje.



FOCYON. Praca to jest niemała dobréj swojéj sławy dopilnować. Miłość zaś jéj tak jest właściwą ludziom, że niemasz tak pokornego, któryby się słodyczą sławy nie uwiódł. Stąd poszło, że rzadko znaléźć człowieka, żeby chciał dobrą sprawę zrobić bez świadka; tak każdy z nas, lubiąc siebie, żądałby, ażeby o nim i ludzie dobrze mówili. Jest tedy sława, czyli dobre o kim wspomnienie, pobudką do czynienia dzieł uczciwych, jest razem i nagrodą cnoty na ziemi. Ale jakże ta nagroda fałszywie na świecie rozdawana!... Jak wiele czarnych zbrodni okrytych postacią cnoty poszło do nieśmiertelności! Nie jeden przeżył kata, który go wieszać miał, a przeżył szacowany od ludzi, że umiał pobielić brudne postępki swoje. Trofoniusza między bogami posadzono; ty zaś, cnotliwy Solonie, zostałeś się między ludźmi! A tak, kiedy równo na świecie zyskuje cnotliwy i zbrodniarz, jakże poniżony cnotliwy, kiedy do jednakiéj nagrody równo ze zbrodniarzem przystępuje! a często nawet trafia się, że mu ją szczęśliwy winowajca wydziera!

PLATON. Z mowy twojéj wniosek wypadałby: więc nadaremnie jesteśmy cnotliwemi — a to stąd poszło, żeś sławę tylko za nagrodę cnoty położył. Słaba to cnota, która się ogląda, czy patrzą na nią; i kiedy dosyć dla poczciwego nagrody to uczucie, że cnotę pełni; dlaczegóżby w oczach cudzych szukać jéj miał? Niech dla przykładu widzą ludzie, jeżeli zechcą, albo im się nadarzy, .sprawy cnotliwego; ale on przestaje być cnotliwym, jeżeli je na to tylko pełni, ażeby widzianemi były. Do jego spokojności wewnętrznéj, do jego szczęścia, żeby było szczęśliwsze, cóż ludzie przyczynić mogą?... O cnoto! ty moje pieniądze! kiedy mam ciebie, mam wszystko.

Trofoniusz umarł przemyślnym złodziejem, a dzikie natenczas wieki po śmierci przemysł jego ubóstwiały. Ale gdyby kto był zapytał żyjącego cnotliwego Solona, czyliby pod zakładem umieszczenia go po śmierci między bogami chciał być Trofoniuszem? odrzuciłby zapewne dar taki, któryby go pierwéj nieskończenie upodlić musiał. — Wszelako, chociaż często dobrą sławę błąd, albo niesprawiedliwość ludzka rozdaje, pogardzać nią nie należy: bo ludzie nie zawsze są ślepemi, a czyjaś sprawiedliwie nabyta sława jest przykładem i pobudką do dzieł podobnych. Ale mimo tego człowiek cnotliwy pewniejszéj trzyma się strony i robi dobrze tak dla piękności

samójże cnoty, jako i dla Boga swojego, który... nie mogąc pobłądzić, być niesprawiedliwym w nagrodzie swojéj nie może.

ARYSTOTELES. Niesłuszna rzecz bronić występków, ale zdaje się, że ich ani potępiać tak groźno nie należy. Popełniający zbrodnią bardziéj wart będzie politowania, niżeli surowości, kiedy wspomnimy, że to słaby brat nasz, że to człowiek upadł! Jeżeli on potém jęczy niepocieszony, daje nadzieję poprawy, i sam wyznaje grzech swój, ja wzruszony biegnę do niego: on chory na sumnieniu, a tak u mnie niewiele już różni się od tego, który nie zgrzeszył. Wszelako można się litować, ale lubić nie można zbrodni, chociaż czasów teraźniejszych nie jest ona występkiem, tylko dla nieszczęśliwych; i chociaż, z inszéj strony widziana, nie ma téj obrzydliwości, którą każdego uczciwego w pierwszém wejrzeniu na nią odraża. Jak cnota i występek są to dzieci człowieka, tak jedno z drugiém mają jakoweś podobieństwo, i coś téż dzieci wzajemnie od siebie pobrały. Wiele bardzo cnót poczynają się z pychy; a zemsta ma coś ze sprawiedliwości, podłość z pokory, pycha z wielkomyślności, zawziętość z stałości, rozrzutność z dobroczynności, obmowa z prawdy; i tym podobne. Gdyby kto nawet surowo to oboje roztrząsał, znalazłby pewnie w wielkich występkach cnót wiele, równie, jak i w cnotach występki.

PLATON. Niechby występki między dobremi sprawami mięszały się, byleby między niemi zbrodni nie było. I Platon, kiedy się postawi przed sobą samym, wtenczas to widzi, jak jest daleko niższym od Platona. Bóstwo, które gruntownie sądzi, bo serca przenika, pewnie żadnego człowieka nie znajdzie, aby mu nie był obwinionym. Sumnienie nam powiada, że sprawiedliwe dzieło uczyniliśmy; ale Bóg sam rozsądzić może, czy dzieło i świadek sprawiedliwy. Jakże to poprawić mamy? kiedy tak słabość natury chciała, i udało się jéj. Co się zbrodniarza tyczy, gdyby kto pewnym być mógł, że mu żal szczerze zbrodni popełnionéj, któżby się z nim surowo obchodzić chciał? ale jak niełatwo porzucić cnotę, i ten, który ją lubił, długo niespokojny wspomina na piękność jéj; tak przywykły do zbrodni, często, jak zwierz ugłaskany, wraca się do dawnéj dzikości swojéj.

Nie dosyć na tém, Arystotelesie! że zbrodniarz grzech swój wyznaje; robi on to czasem z chytrości, albo, że sprawa jego już głośna, albo spodziewając się, że się odkryje, i (że) wzbudzi nad sobą politowanie; a tak tém oszukaniem zbrodnia jego jeszcze większéj nabiera okropności. Wszelako, ile można, surowość ma być miarkowaną na winowajców, i... jeżeli który stale poprawił się, ma być od każdego przyjętym jak brat nasz, któregośmy mieli za zgubionego, a który się nam niespodziewanie powrócił. Że zaś często cnoty zamięszają się między występkami: nie potępiajmy zupełnie winowajców, tak dla cnót wielu, które miéć mogą, jak



równie dlatego, że i my téż nie bez winy jesteśmy; a mając nadto gwałtownéj roboty około siebie, nie zatrudniamy się tém, co téż kto robi.

Na wierzchołku przykréj góry i ciężkiemi przeprawami zawalonéj cnota mieszka!... Zostaw na dole, ile można, namiętności, te ciężary twoje i tym prześladkiem, którym poczciwy jakiś przechodził, idź w podróż twoję!... Bądź cierpliwym na przygody, które ci się przytrafić mogą, i myśl sobie, kiedy się nieraz zakolesz, że pan twój, doświadczając ciebie, ten cierń na twojéj drodze umyślnie rzucił. A choćbyś czasem upadł, znajdziesz tam towarzyszów wędrówki twojéj, którzy cię podniosą i przeprowadzą. Jakaż to ulga dla cierpiącego, który pod sobą upadł, kiedy go sami dobrzy ratują. We wszystkich zdarzeniach, które się człowiekowi przytrafić mogą, prawdy nadewszystko przestrzegaj, i niech język twój będzie zawsze w porozumieniu z sercem twojém: bo, jak się wyżéj powiedziało, ona gruntem cnoty jest, i z małéj niby rzeczy, z nałogu mówienia prawdy albo fałszu, zwolna robi się cnotliwy, albo występca. Sumnienie czyste, które jest głosem duszy, tak jak namiętności ciała, daje nam spokojność. Chrońmy się tedy nadwerężać go, i .. pilnie nadsłuchiwając głosu jego, zaraz wypełniajmy, co nam wskazuje: bo godzina jedna słabości traci lat wielu cnotę. A jeżelibyś powątpiewał, czyli postępek twój złym albo dobrym jest, lepiéj wstrzymaj się od niego, ażebyś nie trafił na zły.

Czyń ludziom dobrze, ile możności, nic się nie odrażając, chociażbyś trafił na niewdzięcznych, abyś znalazł i wdzięcznego. Wszakże i po roku nieurodzajnym siać potrzeba. Do wyświadczonego dobrodziejstwa ostrości słów nie przydawaj, ażeby nie żal było proszącemu, że cię prosił. Dając co potrzebnemu, okazuj to, że mało dajesz; a jeżeliś odebrał łaskę, tak ją przyjmuj, jakgdyby najwięcéj wziąłeś. Myśl, jakbyś téż żądał, ażeby ci w potrzebie twojéj dogadzano; bądźże takim dla potrzebnego, dawaj mu i chętnie i prędko. A jeżeliby ci się trafiło, że ci wysłużonéj twojéj nie oddano nagrody, więcéj to dla ciebie niech waży, być jéj wartym, niżeli ją odbierać. Nie szukaj zemsty nad tym, co cię pokrzywdził, on to się pomylił; i dosyć zemszczonym jesteś, kiedy możesz, a tylko mścić się nie chciałeś. Wetuj krzywdy twojéj dobrodziejstwem, nie zaś odporem, każdemu odpuszczając, a tylko sobie samemu nigdy! Jeżeli chcesz być dobrym i sprawiedliwym, zrcznij najpierwéj myśléć, w czém to złym jesteś? czyniąc to nadewszystko, co ci uczciwość każe, choćby cię ludzie sądzili za nieuczciwego; i to co sprawiedliwość, choćby się za nią nie było czego od Boga spodziewać, a wszystkiego obawiać od

ludzi. Kiedy usłyszysz kogo mówiącego o cnocie jakiéj, pomyśl: „on to mówi, a ja to zrobię".

Ani się odrażaj tém, że z ciężkością ci przyjdzie wypełnienie jéj: wszakże ludzie, dla zysków wielkich nie dbając na trudy, dokopują się złota. Kiedy obaczysz nieszczęśliwego, a on cierpi bez ratunku: litość, ta usłużna przyjaciółka ludzka, radzi ci, ażebyś ulgą jaką wspierał potrzebnego. Słuchaj głosu jéj; ona cię prosi za równym tobie człowiekiem! Ludzkość litośna najdziksze nawet porusza serca, znajdzie sobie drogę w pośrodku mieczów wojujących, i ze krwią nieprzyjaciół łzy swoje mięsza. Chroń się gniewu, bo kochać ludzi, twoich braci, powinieneś; pychy, bo jednaką drogą wszyscy na świat przychodzimy i jednaką go porzucamy; chciwości, bo troskliwość zbyteczna o zbiory od ważniejszych cię powinności odrywa; zazdrości, bo ta losu twojego nie poprawia, a tylko serce trapi; skąpstwa, bo do twojego majątku przyjaciel i ubogi ma prawo; obmowy, bo kogo ogadujesz, albo może tego nie zrobił, albo się już poprawił, albo nie do twego sądu należał.

A nadewszystko, chroń się rozpusty. Patrz na nią, nie wtenczas, kiedy do nas przychodzi, ale kiedy odeszła, i taksuj ją z czarnych śladów, które po sobie zostawiła. Rozpusto! cóż mnie za tobą pociągnąć może? Ciebie się trzyma niesława, pijaństwo, próżnowanie i orszak zbrodni! Pójdę tam raczéj, gdzie skromne cnoty stoją — przy nich widzę zwycięstwo, chwałę prawdziwą i w życiu całém spokojność — ażebym tak kiedyś przybił do brzegu, jako łódź pełna pięknych owoców w roku urodzajnym.

---

# ROZMOWA IV.

## O SZCZĘŚCIU, NIESZCZĘŚCIU, BOGACTWACH, UBÓSTWIE.

Rozmowa ta jest przy domie Arystydesa. Wchodzą w nią ciż sami.

PLATON. Jest w naturze człowieka, żeby w tém życiu więcéj przykrości, niżeli pociech doznawał, a tak nieszczęściami, jako i śmiercią, dopełnia on zakładu, pod którym na ziemię przyszedł. Przecież człowiek mądry mniéj daleko w życiu miewa umartwienia, bo albo nieszczęścia inszych on nie ma za nieszczęście, albo go roztropnością swoją uprzedził, albo przychodzące wycierpiéć umiał. Niektóre przygody bardziéj nas dręczą, niżeli powinny; insze prędzéj, niżeli powinny; insze zaś dręczą, chociaż nie powinny. A w rzeczy saméj, wyłącz zdrowie, wyżycie i dobre zaświadczenie sumnienia, wszystkie dobra tego życia są tylko mniemaniem; wyłącz bóle ciała, wielki niedostatek, i trapienie się duszy, reszta złego jest urojona. Mało tedy człowiek ma nieszczęść prawdziwych, i te często samże na siebie ściąga: bo po większéj części złe użycie darów przyrodzonych porobiło ludzi nieszczęśliwemi. A wtenczas, kiedy tak idziesz, o twoje nieszczęście udaj się raczéj do miłosierdzia bóstwa, niżeli do jego sprawiedliwości. Wreszcie choćbym sam nie dawszy przyczyny mimo wszelkich starań moich nie mógł się z nędzy wydobyć, Bóg tak chciał, ażebym na téj ziemi grał rolę ubogiego, i dobrze mi się to udaje, a przynajmniéj nie wstydzę się złéj fortuny mojéj, kiedym na nią nie zarobił, i nie smucę się nad tém nadaremnie, czego smutkiem polepszyć nie mogę.

Ubóstwo lepiéj do pojęcia uczy nas cnoty, niżeli bogactwo: bo kiedy bogaczowi wszystko pochlebia, wszystko mu się uśmiecha, leniwym jest, i nie umie, jakby to walczyć i dobijać się o cnotę.

Kiedy zaś jak ludzie, tak wszystko stroni od ubogiego, on o cnotę stara się, żeby ona go przynajmniéj w nędzy cieszyła. Przy niéj coś mu się zdaje wygodniéj, i coś niby weseléj!... wtenczas, kiedy gryziony od sumnienia bogacz czuje gorycz w potrawach, nudność w posiedzeniach, przerwę we śnie i chciałby umrzéć, a nie może, co jest nad śmierć samą okrutniejsze. Przeciwności, które się nam w życiu trafiają, robią człowieka roztropniejszym; tysiąc złych zdarzeń tysiącznych nas uczą sposobów zapobiegania, ulegania, albo opierania się losowi. Ale szczęśliwy! którego filozofia nauczyła roztropności, i przypadki nim nie poniewierały!

Nieszczęściom wielkim nie dosyć bywa, że nas czasem przycisnęły, ale lubią jeszcze powiększać się przez wspominanie na szczęście nasze przeszłe! Co miała cierpiéć Hekuba, kiedy po zburzeniu Troi ledwie kto z Greków chciał ją na dział swój przyjąć! Tak wielki Hektor z ciężkością znaleźć mógł swéj matce pana. Powiększają się nieszczęścia nasze (prócz inszych) i tém, kiedy przyjaźń, albo wdzięczność nam winna, przyczynia się jeszcze do zguby naszéj. Tak, jeżeli między zabójcami, którzy za życiem mojém przyszli, i przyjaciela mojego z żelazem w ręku obaczyłem, cóż mi zostaje? tylko zasłonić oczy i prosić, ażeby mnie prędzéj zabili.

Ale obaczmy już (ile na ziemi widzianą być może) szczęśliwość, która jest powodzeniem w rzeczach uczciwych; a Sokrates zowie ją rozkoszą, która niczego nie żałuje. Prawdziwe szczęście nie jest to czucie przechodzące tylko przez zmysły; ale jest stanem duszy stałym, i w sercu niespokojném nigdy się ostać nie może. Człowiek szczęśliwy nie zna na czele téj wesołości, którą lekkość wzbudziła; a twarz jego wypogodzona ma postać niby słodyczą jakąś serca poruszonego;—co ktoś głupi wziąłby za smutek. Szczęśliwy człowiek nie lubi tak bardzo uczęszczać na biesiady po cudzych domach: bo ten zwyczajnie za tém ubiega się, który niewiele ma szczęścia u siebie w domu. Szczęśliwy swojém szczęściem nie chwali się: bo to tylko drobniejsza pomyślność czyni, jemu słodziéj czuć go, niżeli o niém rozmawiać. I dlategoć to ciężko nam widziéć tak uszczęśliwionych, bo albo się rzadko ludziom udzielają, albo, zawistni szczęścia swojego, w sercu go swojém zamknąwszy, nic o niém nawet nie powiedzą. Ale tak być szczęśliwym jest razem być bezpiecznym wewnętrznéj spokojności swojéj, którą sama tylko i to wysoka cnota rozdaje. I chociaż często srożejąca fortuna aż do jéj progu zapędzi się, straszyć tylko, nawet uderzyć, ale zranić jéj nigdy nie może: bo cnota, w porozumieniu z niebem, najczęściéj przygody jeszcze na swoje dobro obraca.

Inszego wcale rodzaju jest, co ludzie pospolicie szczęściem na ziemi nazywają. W światowém to tylko szczęściu, gdy nam przydłużéj trochę poświeci, sam nałóg używania odejmuje smak jego. I tak, jeżeli nic przychodzącego z boku nie odmienia się, to się serce odmieni: że jeżeli szczęście nas jeszcze nie porzuca, to my go porzucamy, Doświadczamy tego patrząc na to niebo, wody i ziemię, które chociaż pięknemi i każdemu miłemi są, przecież codziennem na nie patrzeniem tak nam spowszedniały, że i zastanowić się nad pięknością ich nie przychodzi. Ale znowu po długiéj chorobie widziałem cię, wiosno, łąko, ptaszęta! wieleż to wam wdzięków od ostatniego ze mną widzenia się przybyło!...



Szczęście świata jest wszędzie, ale w małéj cząstce (jak ów ogień, który każdą rzecz ożywia), i dlatego, że drobne, nie ma siły, ażeby statecznie przywiązało i zaspokoiło człowieka! W drobnych tych szczęściach poziomych, jeżeli przynajmniéj możemy jakieś ich miéć bezpieczeństwo; szczęśliwszemi daleko jesteśmy od tych, co... na ślizkim stopniu posadzeni, największych bogactw używają. Mysz żyje wygodnie w mieście, ale z wielkiém niebezpieczeństwem; szczęśliwsza lasowa małe ma wyżywienie, ale bezpieczniejsze. A stąd się wnosi, że taki majątek będzie mi lepszym, który ani mnie trzyma w niedostatku, ani oczy ludzkie na siebie obróci; niczego zaś nie czeka od nadziei. Za bogactwem, jak za największém szczęściem, zwyczajnie ludzie ubiegają się! a widziéć to można, że ubogi wieśniak na łące wesoło śpiewa wtenczas, kiedy na drogiém wezgłowiu siedzący bogacz łzy leje. Nawet zdaje się, że naturą jest szczęścia światowego, ażeby robiło ludzi niespokojnemi: bo nikogo tak fortuna nie wyniosła, ażeby już bać się jéj nie mógł. Ani Krezus był tak szczęśliwym, jak o nim powiadano: albo go fałszywy przyjaciel zdradził, albo ułożony zamysł nie doszedł, albo dziecię ulubione umarło! Potrzeba być albo głupim, ażeby takich i tym podobnych przypadków nie czuć; albo nie człowiekiem, żeby ich nie miéć.

Ale jeżeli wierzymy, że Bóg szczęście i nieszczęście ziemskie rozdaje, nie mógł on nas nauczyć lepiéj, w jakim u niego szacunku bogactwa położone, jako kiedy ich ludziom najgorszym udziela—i człowiek, któremu się we wszystkiém powodzi, zdaje się, że jest niższym u Boga, bo nie wart był tego, ażeby obrał do walki ze złą fortuną. Mimo tego, temu złotemu bałwanowi świat się oślepły powszechnie kłania!... Jakże wielu, mogąc wygodnie wyżyć, a ubiegając się za urojoną większą szczęśliwością, nawet honor stracili, a tę szczęśliwość mieli już w honorze swoim! Jak wielu tak próżnych, których wstyd ubóstwa wprowadza, że się niszczą na życie wystawne wtenczas, kiedy człowiek roztropnie gospodarny ujmuje sobie zbytków przez bojaźń, ażeby do nędzy nie przyszedł. Tak pierwszy przychodzi do ubóstwa, który go się wstydzi; drugi unika go, który go się obawiał. Jak wielu takich, którzy będąc cnotliwemi, nabywszy bogactw,

zepsuli się! I chociaż to wiedzą insi, przecież przez skały, morza i ogień uciekają od ubóstwa, a ubiegają się za bogactwem.

Co do mnie, byleby mi wystarczały zdrowie, chléb, woda i odzienie, z nikim się na moje szczęście nie mieniałbym. I matka natura... widać to, że nie chciała, ażebyśmy zbytkowali na ziemi, kiedy wszędzie rozsypała rzeczy, do koniecznéj człowieka potrzeby służące, bardzo zaś rzadko do zbytku. Żelazo ludziom od złota potrzebniejsze, i wszędzie téż łatwiéj go znaleźć; ale ludzie przylgnęli do złota, które często miękczy duszę, odbierając hart potrzebny ćwiczącym się w cnotach; upadla człowieka, że czasem o wysokich swoich obowiązkach zapomina; robi go nakoniec pysznym, nie żeby go robiło lepszym, ale że się na nim połyskuje. Umknij się, cnotliwy człowiecze, przed tym wezbranym potokiem, który z takim szumem przebiega! On dzisiaj większy od rzeki, ale to nakrótko. Nigdy w szczęściu w pychę podnosić się nie będziesz, ale dalszemi postępkami dowodzić, że wart byłeś takiego szczęścia; tak powodzeniem twojém, ani patrzących na na cię obrazisz, ani... dowierzając zbytecznie fortunie, w upadku twoim tyle boleści uczujesz.

I takie to w powszechności są ziemskie szczęścia nasze, jeżeli do ugruntowania ich jakiegoś cnota się nie wmięszała! Są one albo zupełnie fałszywe, albo samém używaniem sprzykrzone, albo krótką trwałością martwiące, albo przez swoję niedostateczność na połowę zmięszane z losami ludzi nieszczęśliwych. Śnie, który przykrości nasze przerywasz! spoczynku duszy, i słodsza cząstko życia człowieka, ty równie do króla i do nędzarza przychodzisz!... Śpimy przez połowę życia naszego, i przez połowę życia równy ci był, Krezusie, Irus ubogi...

ARYSTOTELES. Warte pogardy złoto, gdyby mu byli ludzie ceny nie nadali, za którą wszystkiego nabyć można. Tak w wiekach teraźniejszych majątek ludzi ze złota składa się, nie żeby do potrzeb naturalnych należało, ale że nam dostarczenie tychże potrzeb ułatwia. Warta największego szacunku cnota; ale na nieszczęście wieków naszych cnotliwy bez złota (bez téj największéj dzisiaj różnicy człowieka od człowieka), z głodu umiera. Ubogi nie ma przyjaciół i krewnego: bo kiedy fortuna od niego drzwiami wychodziła, ludzie zaraz oknami pouciekali; krewni i przyjaciele boją się nawet do niego przyznać, ażeby o co nie prosił. Uprawia on wzdychając rolę niewdzięczną! i widziałem pole zbrodniarza w roku suchym deszczem ożywione, a niwę nędzarza oschłą! Ten zuchwalszy przyszedł pod wrota fortuny i sam je sobie otworzył, inszy mniéj śmiały pode drzwiami jéj umiera.

Rozrzewniam się nad nieszczęściem poczciwego, a gniewam się na powieść nawet o pomyślnościach nawet zbrodniarza; wszelako tak się pospolicie dziać zwykło, że ten od jednego do drugiego przechodzi



szczęścia; ów, mimo największych starań, nie ma odmiany w złym losie swoim: przeznaczony, jak drzewo, żyć, rość i umrzéć na jedném miejscu.

Otoczony gromadą dzieci, głodny, pogląda na głodne! Już mu się oczy zmordowały wyglądając ratunku z nieba; a niebo i ziemia stały mu się kamienne! Czyliż cnota nędznego ojca pocieszy? czyli dzieci jego pożywi, albo przyodzieje? kiedy (dajmy to) dla kalectwa nawet na nic zapracować nie może. On milczy, bo myśli, że widzą go, ale milczenia jego ludzie nie rozumieją, albo rozumiéć nie chcą; on czasem coś i powie, ale do uszu tylko ludzkich zwyczajne słowa jego przychodzą. A zdarza się, że nie trafi przez całe życie na serce takie, któreby się za usłyszeniem, albo obaczeniem nędzy wzruszyło i wsparło nieszczęśliwego. A tak na tém się kończy, że głodny przy saméj cnocie zawsze jest głodnym.

PLATON. Sparta z prawa Likurga długo bez złota obchodziła się, i wtenczas, panując Grecyi całéj, wszyscy ją sądzili za najszczęśliwszą. W miarę, kiedy tam bogactwa w cenę posunęły się, upadł szacunek cnoty. Można tedy być szczęśliwym bez złota, ale nie można się ustrzedz tylu przykrości, które się téż przy złocie trzymają. Prawda, są ludzie tak nieszczęśliwi, że, mimo cnót swoich i starania usilnego, na niczém im się nie powodzi — i... chociaż fortuna częściéj jest przemysłu i sposobności, niżeli losu ślepego skutkiem: przecież kogo niedola nęka, temu i przemysł chybia, a zbiegawszy wszystkie drogi, któremi Fortuna z darami swojemi przechodzić zwykła, nigdy się z nią zdybać nie mógł. Ale czyliż możesz zabezpieczyć, że taki nieszczęśliwiec najlepsze sposoby do poprawienia losu swojego wybrać umiał? że z niemi przyzwoitego czasu i miejsca użył? To niepodobieństwem jest, żeby przy największym obrocie człowieka, wszystkie mu układy przez życie pochybiały.

Ale choćbyśmy jeszcze i na to pozwolili, na co pozwolić nie można, powiedz nam, Arystotelesie, czyś widział albo przynajmniéj słyszał, ażeby który nędzny a cnotliwy (chyba w powszechnych klęskach) z głodu umarł? Zbywać mu może na życiu wygodném, ale na pierwszych potrzebach nigdy. Ludzie się rodzą z litością w sercach; a prędzéj ją daleko wzbudzi cnota ubogiego. Czyliż tego sami nie doświadczaliście, że zbrodniarz wiedziony na śmierć, w momencie, kiedy kara ta ma go dobijać, wzrusza w was politowanie, i jużbyście go życiem darować chcieli; a cnotliwemu ubogiemu umierać z głodu czyżbyście mogli dopuścić? Ale mylisz się, kiedy myślisz, że cnota niezdolną jest pocieszyć nieszczęśliwego. Świadczę się wszystkiemi, którym gorzki przygody napój cnota osłodziła, i... po ostréj drodze ciernia ziemskiego przechodząc, ta nieodstępna przyjaciółka ciężar im dźwigać pomagała. Co wyrówna téj świętéj chlubie, téj wewnętrz-

néj spokojności duszy cnotliwego, kiedy się nigdy występkiem żadnym dla poprawienia losu swojego nie upodlił?...

KSENOKRAT. Bogactwa z siebie samych złemi nie będą, ale tylko złe ich używanie pogardę na nie ściąga. Jaka rozkosz majętnemu tysiące ludzi ubogich wspierać, naród w przygodzie ratować i przyjaciołom być użytecznym; i byle bogactw występek nie ohydzał, cnota je mile przyjmuje; i z uśmiechem w drodze swojéj postępuje bogacz cnotliwy. Ale inszy daleko widok, spojrzéć na cnotliwego nędzarza. Przykrość, którą ponosi, chociażby płakać nie chciał, gwałtownie łzy mu wyciska — i chociaż dusza jego umie to dobrze, jak się nieszczęścia ponosić mają; ale ciało i zmysły naturze cierpiętliwéj posłuszniejsze. Nie dla niego to przyrodzony uśmiech człowiekowi! Chodzi smutny, bo zawsze w okropném towarzystwie klęsk swoich, które go w polu, w domu, w drodze i w posiedzeniach prześladują. Uważając nieszczęścia całożytne, jakie się wielu ludziom trafiają, zdaje się, że kogo Bóg kocha, tego w dzieciństwie z téj ziemi zabrał. Na prośbę matki dla cnotliwych synów, aby Juno dała im, coby widziała najlepszego; Biton i Kleobis następnéj nocy obadwa pomarli. Tak jest, gdyby kto umiał nędzę życia ludzkiego najwyżéj wyobrazić, wiele ludzi śmierćby dobrowolną podjęło.

PLATON. Nie mów, Ksenokracie, żeby cnotliwy ubogi w miarę sposobności swojéj nie mógł wspierać nędzy swojéj towarzyszów, ojczyzny ratować i przyjaciołom być użytecznym. Każdy w swoim obrębie niech się wypłaca, jak może, tym trzem obowiązkom, a czuć będzie rozkosz, jak wszyscy, z dopełnionéj sprawy poczciwéj. Nie myśl także, żeby nędzarz cnotliwy zawsze był smutnym. Dajmy to, że wszystkie rodzaje nieszczęść przygniotły jednego nieszczęśliwego — nawet w tém niepodobném zdarzeniu, taki cierpiący, wspomniawszy na cnoty, które spełnił, dla Bóstwa sprawiedliwego myśląc, że bez winy jakiéj nie mógł się obejść, jakże cieszyć się nie będzie, że, cierpiąc w życiu, maże je, ażeby tylko z czystemi cnotami swojemi przyszedł kiedyś po nagrodę swoję! Ale jeżeli nie jest tak nieszczęśliwym, jakiego dopiero przywiedliśmy, on zawsze (jak mówisz) chodzić smutnym nie może, chybaby prawdziwie cnotliwym nie był. Słaba to tylko cnota upada prędko w ubóstwie, sieroctwie, pogardzie, i tym podobnych nieszczęściach; ale cnota krzepka tém więcéj nabiera siły i odwagi, im z większą natarczywością zła dola nękać ją usiłuje. Nie to, co do nas z boku przychodzi, jest szczęściem naszém; ale to, co mamy wewnątrz.

A tak, kiedy cnota serce nasze osiadła, tą stroną, która jest mocna, bok słabszy zasłaniając, napadowi fortuny zastawiamy się. Wewnętrzne przeświadczenie o swojéj niewinności, o swojéj sprawiedliwości, nigdy nikogo nie odstępuje — a małaż to pociecha, kiedy



człowiek sprawiedliwy niewinnie cierpi? Mówisz: Kogo Bóg kocha, ten w dzieciństwie umiera, wszakże Bóstwo, stwarzając wszystkich nas, jak dzieło swoje kochać musi; toć, gdyby wszystkich zabrało w dzieciństwie, światby się zrobił bezludnym. Juno na Bitona i Kleobisa śmierć zesłała, bo po dobréj, albo téj podobnéj sprawie, jaką oni zrobili, gdy matkę starą, miasto bydląt do wozu zaprzągłszy się, do kościoła zawieźli; po dobréj (mówię) sprawie lepiejby każdemu umrzeć zaraz, ażeby znowu kiedy nie upaść i obelgi z sobą do grobu nie zanieść.

FOCYON. Nie jest to skutkiem zazdrości, ale uwaga nad niesprawiedliwością losów, że nam tak odrażającym pokazuje się widok zbrodniarza szczęśliwego. Zdaje się, że pomyślnościami ludzi szczęśliwych cnota znieważona wyrzuca zbrodniarzom, że jéj nagrodę swoję wydarli. O Platonie! nie mówię ja tego o sobie, bo więcéj na dzień pełnię słabości, niżeli cnoty! ale poglądając na inszych, czemuż tak pospoliciéj dzieje się, że gdzie cnot najwięcéj, jam najmniéj bywa fortuny? Niechby przynajmniéj rozpustny bogacz, kiedy ziemia i woda, ażeby żądze jego zaspokoić, ubiegają się, niechby przynajmniéj nie pogardzał ubogim, który woli, że go zła fortuna, niżeli pycha przyciska! Czyliż nie dosyć, że cnotliwego nędza nędzą jest, żeby ją jeszcze nogami deptać?

Mówisz, że .. byle zdrów ubogi, wyżyje między ludźmi; a jabym przydał, że i dłużéj się nacierpi. Zdaje się, że czerstwość sił jest darem nieużytecznym prawdziwie nieszczęśliwemu: boby prędzéj, słabowitym będąc, przykrości swoje zakończył. Przechodzień mnie słodko przywitał: „zdrowie ci!" (rzecze), a jam się rozpłakał, bo byłem nieszczęśliwym. Cóż mi po zdrowiu (pomyśliłem), które mi pomaga do czucia większéj bolu ostrości? W przeciwnościach codziennych, z któremi się ustawicznie mocuję, nie chciałbym się naginać, ale złamać się podobno przyjdzie!

PLATON. Śmiało, Focyonie! śmiało! twojéj odwadze równe się trafiają niebezpieczeństwa! Wypij ten napój, choć on jest gorzki, ale zdrowy. Niechaj cię widok zbrodniarza szczęśliwego nie obraża, on wziął zapłatę swoję na ziemi, dla któréj służył. Bóstwo w drugiéj ręce dla cnotliwych piękniejsze nagrody trzyma, ani się tém cnota znieważy, że bezbożni wzięli znikome. Gdy się zaś pytasz, czemu, gdzie cnót najwięcéj, tam najmniéj bywa fortuny? Prócz tego, com dopiero o rozrządzeniu Bóstwa powiedział, to jeszcze naturalnie dzieje się: że całą siłą swoją i wszystkiemi sposobami człowiek chciwy robi sobie majątek, a pospolicie wielkie dostatki idą za wielkiemi staraniami.

Ale człowiek poczciwy, za cel swój najpierwszy cnotę położywszy, podzielił zabiegi swoje, i tam je czyni usilniejszemi, gdzie cel swój

widzi szlachetniejszym. A wtenczas, kiedy zbrodniarz i sumnienie swoje zawiedzie, byleby pomnożył majątek: człowiek cnotliwy od wszystkich zysków uchyla się, gdzie tylko najmniejsze skażenia się widzi podobieństwo. Nie bądź zaś tak tkliwym na pogardę ludzką, Focyonie, kiedyś się sam występkiem jakim nie znieważył. Czyliż człowiek cnotliwy, mniéj ważony od gminu niedołężnego, albo od bogaczów pogardzony, straci co przez to z szacunku zacności duszy swojéj?... Nie mów także, że zdrowie, które zdaje się nam, kiedy go mamy, że nie robi szczęścia człowieka (wszelako bez niego być nie można szczęśliwym),—nie mów, że zdrowie jest darem nieużytecznym dla nieszczęśliwych. Z tym, który powiadasz, że cię pozdrawiał, i ja cię pozdrawiam: „zdrowie ci, Focyonie!" Niech ci go wystarcza najdłużéj do znoszenia trudów, które są zasługą w podróży twojéj.

DYON. Trafia się tak tkliwy skład serca ludzkiego, że go przygody, które nań zewsząd przychodzą, do ostatniéj rozpaczy przyprowadzają. Niech to będzie słabością cnoty, niech żywością krwi przyrodzoną, czemu nikt nie winien—nie mogąc dłużéj wytrzymać losu srogiego, sam sobie człowiek życie odbiera. Nie wszystkiego mi zabronić może twarda fortuna, kiedy mi umrzéć nie zabroni. Za cóż tedy narzekam, żem nieszczęśliwy, kiedy, bylem chciał, zawsze mi umrzéć można i skończyć wszystko? Jeżeli w rozdzieleniu się ciała od duszy boleść być musi, przynajmniéj tę miéć będę pociechę, że ostatnia.

PLATON. Lepiéj myśli Focyon walcząc ze złym losem całemi siłami swojemi, niżeli ten, któryby, sprzykrzywszy sobie bój ciężki, żeby do niego codziennie nie powracał, sam się zabija; a tym sposobem daje zwycięstwo fortunie, któréj natarczywość może na czas jaki krótki przetrwawszy, zostałby się przy chwale i przy korzyściach zwycięstwa nad nią. Czemu on w téj rzeczy tak się pokwapia, którą raz zrobiwszy, już na wieki odmienić, ani poprawić nie można. Albo kto go zapewnił, że o jutrze pogodniejsze mu słońce nie zaświeci? I chociaż ta walka tak mu ciężko przychodzi, ale téż, kto zwycięża bez niebezpieczeństwa, bez sławy tryumfuje. Bóstwo, postawiwszy nas w towarzystwie między ludźmi, tysiączne na każdego powkładało powinności, które jak dług najpierwszy wypłacać mamy. Ty, który sam siebie zabijać chcesz, czyliż już wszystkie twoje wypełniłeś obowiązki?...

Mówisz, że... obmierzłym sobie samemu będąc, nikomu użytecznym nie będziesz. Czekaj, może na ciebie czeka niedołężny, któremu w pragnieniu woda podana, pokrzepi go i poratuje; inszego radą, inszego ramieniem wesprzéć możesz. Nigdy tak nędznemi nie jesteśmy, żebyśmy w czémkolwiek bliźniego naszego poratować nie mogli. Czyliż już zupełnie twojéj ojczyznie i twojemu Bogu wypłaciłeś się? On pomiędzy ludzi każdemu takie podzielił ciężary, któreby ramiona



nasze znieść mogły; tobie także w miarę dostał się ciężar i tylkoś niecierpliwszy nad inszych. Mówisz, nie mogę wyjść z ubóstwa, albo: straciłem majątek i dobrą sławę u ludzi; z życiem się wszystko zakończy. Czemuż tak myślisz, że niedostatek kogo zawstydzić może? Jakże jest pięknie, kiedy kogo z ubóstwa poczciwego, a nie z bogactwa chwalą! A jeżeli dobrą twoję sławę straciłeś, czyliżbyś ją cnotami nie mógł jako odzyskać? Wreszcie, jeżeli ci się już umierać zachciało, ojczyznie tylko krew twoję poświęcić możesz. Pójdź między obrońców jéj i z chwałą twoją nie żałuj życia, któreś sobie obmierził.

Tak jest, Bóg tylko i ojczyzna mają prawo do życia twojego, i kiedy sam chcesz go sobie odebrać, wdzierasz się w prawo cudze, i bierzesz to, co nie jest twojém. Stój w miejscu, gdzie cię Bóstwo postawić chciało, i jako mąż silny walczyć masz z przeciwnościami, które na ciebie napadają, póki nie przyjdzie odmiana twoja! Źle tedy jest chciéć śmierci swojéj, ale i bać się jéj nie należy; najlepiéj czekać na Pana, który dał życie, i nie wychodzić, aż zawołają.

W ziemskiéj téj wędrówce, gdzie tak często na ciernie po drodze naszéj napadamy, same kłopoty niech nas być lepszemi nauczają! Cóż z tém robić mam, że uboga moja fortuna, a i ta mi czasem przeciwna? Co robić, że zły los, mijając wielu, mnie zawsze zastanie w domu? Oto największe sobie w myśli cudze układam nieszczęścia, a porównywając je z mojemi, zapewne folgę jakąś uczuję. Nie żądam wiele, ażebym wiele nie żałował, a w czasie trochę pogodniejszym robię zapas na czas burzliwy, to często sobie przypominając, że fortuna kogoś już dokonała, może teraz i o mnie myśli; tak los zastając mnie zawsze przygotowanym, przewidziany pocisk jego nie tak zaboli. Będąc przekonanym, że nie kto inszy obcy, ale sam człowiek, byle chciał tylko, zrobić się może szczęśliwym: ile możności około siebie w domu zbierz wszystko twoje, bo co za domem zostawiłeś, to losowi podpadać może.

Darów duszy i serca Fortuna nam odebrać nie zdoła, bo i dać ich nigdy nie mogła. Nie tak ci ona straszna, jak o niéj powiadają: zajrzéć jéj tylko śmiało w oczy potrzeba, i mężnie odeprzéć nacierającą—jest to nieprzyjaciel na wielkie odwagi bojaźliwy, a znęca się nad temi tylko, którzy się przed nim nachylili. To na nią najcięższą bronią jest, kiedy twe żądze według stanu twojego miarkować będziesz, i to, co ci odjętém być może, nauczysz się tracić bez mruczenia. Trafiło się często, żeś jéj nie prosił, kiedy cię wynosiła; ani żałuj, kiedy cię na dół spycha; i jeżeli cię zupełnie usunęła, na złość losowi zostań tylko człowiekiem. A zważając niestatek i niesprawiedliwość Fortuny, z pogardy osób, które ona wyniosła, przychodź do pogardy jéj saméj. Kącie mały ziemi, czyliż nie mogę tu na tobie zastanowić błędliwe zabiegi moje, i... znany od ciebie, tylko o reszcie świata zapomniéć?!...

Na cóż tak ludziom mogą się przydać bogactwa? kiedy często widzimy, że skąpy i łakomy żyje w nędzy, ażeby w dostatku umarł; kiedy wielu nędzarzów, przychodząc razem do zbiorów, odmienili tylko nędzę, a nie zakończyli jéj; kiedy prawdziwe bogactwo nie robi się przez pomnożenie majątku, ale przez ujęcie sobie żądań; kiedy Fortuna zastawia wprawdzie kosztowne stoły, ale wstrzemięźliwość zdrowie? Nie można wszystkich bogactw odziedziczyć, ale (wyjąwszy potrzeby konieczne) wszystkiemi pogardzać można. O ty cnotliwy Arystydzie! w tym domku nikczemnym kiedyś przemieszkiwałeś! Najpierwsze i najzyskowniejsze posiadając urzędy, po śmierci, że nie było o czém, publicznym kosztem pochowany! Miał do wyboru bogactwo i ubóstwo. On sobie drugie wybrał, ojczyźnie najlepiéj służył, tę grzędę na swoje wyżywienie uprawiał, i te drzewa, pod któremi siedzimy, swoją ręką zasadzał!...

Wielu współżyjących natenczas bogaczów zostali dzisiaj w zapomnieniu, a jego ubóstwo bez zmazy wieki wiekom podawać będą! Cnoty, bracia ludzie! cnoty trzymajcie się nadewszystko. Czyliżeście nie widzieli w tém nawet życiu nagrodzonych wielu cnotliwych? Bóg z ziemi często wyrywa pysznych, a na tém miejscu zaszczepieni wzrastają skromni! Wreszcie, kiedy wam losowi ciężko przychodzi opierać się, robiąc swoję powinność, płyńcie z wiatrem, jaki wam Fortuna dała. Szczęścia i nieszczęścia koniecznie z śmiercią kończyć się muszą—i ta śmierć, co nędznemu pociechą, trapi w pośrodku wygód jego bogacza. Płyńcie z wiatrem! myśląc w pośrodku nawałności, że wie Pan, za co was na taką niepogodę w tę drogę posłał; a tém uzbrojeni, staniecie się tém samém szczęśliwemi, kiedy żadnego nieszczęścia, któreby tylko przypaść mogło, bać się nie będziecie. Tak osładzaj każdy nieszczęścia swoje; ale jeżeli chcesz, jak można, być szczęśliwym na ziemi, potrzeba miéć więcéj cnoty, niżeli wiadomości rzeczy; więcéj przyjaźni, niżeli miłości; więcéj roztropności, niżeli dowcipu i więcéj spokojności, niżeli zysków.

---

# ROZMOWA V.

## O OBCOWANIU MIĘDZY LUDŹMI I PRZYJAŹNI.

Rozmowa ta jest w ogrodzie Akadema. Wchodzą w nią ciż sami.

PLATON. W początkach świata, (jak piękna powieść niesie), do ludzi wtenczas niewinnych i świeżą pamięć mających Bóstwa, które ich utworzyło, niewinna w gościnę z nieba zstąpiła Astrea. Jak słodkie było tych nowotnych mieszkańców obcowanie, kiedy wszystkich darów ziemi wszyscy bez zdrożności używali, i kiedy samą tylko przyjaźnią rzeczy ludzkie toczyły się! Widzieć się z czuciem, gadać z sobą z szczerością i z gorliwością, (sobie nawzajem) usługiwać, całym było zachodem w tamtych społeczeństwach. Na jedno to wychodziło téj córce sprawiedliwości, czyli między swojemi niebiankami, czyli w towarzystwie ziemian bawić się — gdzie do wszystkich niewinnych rozrywek ludzkich i ona niewinna należała.

Ale niedługo tym złotym wiekiem cieszył się człowiek! Miłość własna, zrobiwszy się początkiem złego, swoje i cudze szczęście obaliła! Z drobnéj zapewne rzeczy jakowéjś, że może Teona piękniejszego jabłka dostała, albo gładszy baranek z jéj ręki jadał, ten płód obrzydły miłości własnéj: zazdrość urodziła się—a z niéj potém tysiączne występki, pod różną postacią, niezmazaną dotąd ziemię napadły. Że zbrodnie z niewinnością żadnego miéć nie mogły społeczeństwa—powracając nazad, skąd była przyszła tkliwa Astrea, żegnając ludzi, którzy ją znieważać zaczęli, nieszczęściom (co zwyczajnie idą za zbrodniami) obwiniony ród człowieczy zostawiła.

Ale przyjaźń nie porzuciła przecie téj ziemi, że Bóstwo na ulgę w nieszczęściach, które naród ludzki dobrowolnie na siebie ściągnął, przez litość nam ją zostawić chciało. Prawdziwa przyjaźń nie może być tylko między dobremi, a źli ludzie ani między sobą, ani z dobremi sprzyjaźnić się nie mogą, tak jak drzewo proste z krzywém, albo dwa krzywe nigdy się ściśle nie złączą. Celem obcowania między

ludźmi być powinno zrobienie sobie przyjaciół; a przyjaźń prawdziwą sama tylko cnota związywać może. Przyjaźni! w tobie to Likurgus... Sparty swojéj najwyższe widział uszczęśliwienie! Na twojém-to łonie złożone troski pomniejszają się, a radość obficie zwykła powiększać się. Ty, słodkim węzłem związując człowieka jednego z drugim, robisz ich jakoby istotą jedną! i ja to czułem, jak się dusza moja łączyła z duszą przyjaciela mojego.

Tak jest, kiedy z moim przyjacielem bawię się, ani ja sam jestem, ani ja we dwóch! Na równe części wszystko z nim podzieliłem; i byłoby to kradzieżą, ażeby przyjaciel sam używał szczęścia, a nie chciał się niém z przyjacielem podzielić: dlatego téż i on wzajemnie został się zawsze przy mnie, chociaż już i fortuna odeszła! Nie przykre mi są jego, chociażby najostrzejsze, napomnienia: bo sam siebie, przez miłość własną, nigdybym tak surowo nie dojrzał, jak mnie ten mój świadek i razem sędzia bezstronny dogląda! Przyjaźni najpierwszą własnością jest szczerość między przyjaciołami. Ona razem jest cechą poczciwego człowieka, jest poręką słów jego i myśli, a świadków nie potrzebuje. Szczerości obietnice są skutkiem, jéj dary—nabyciem; rodzi się w sercu, a przebywa w ustach.

Przyjaciel przyjacielowi w szczerości prawdę koniecznie mówić powinien; ale i w publicznych posiedzeniach trafiają się zdarzenia takie, że ją ludziom koniecznie powiedzieć należy, chociażby (tego) nie chcieli. To pewna, że prawdę miléj nam wyznać, niżeli komu słuchać; ale nie oglądajmy się na to, kiedy ona jest gruntem cnót wszystkich, a prawidłem Boga i ludzi. Wszelako, ilekroć przymuszonym jesteś otwarcie ją powiedzieć, pokazuj, że to czynisz niechętnie, tak, jak się dotykasz rany, przynaglony tylko potrzebą uleczenia. Jednake w teraźniejszych towarzystwach, gdzie, jeżeli chcesz być kochanym, musisz wiele ulegać: jeżeliś nie spytany i nic cię nie przymusza do wyznania surowéj prawdy, jak wiele razy potrzeba zrobić ci się ślepym, ażeby nie powiedziano, że ślepym jesteś, zwłaszcza, kiedy się trafi, że lżéj jest znieść wady ludzkie, niżeli je poprawić. A potém ma dosyć człowiek zatrudnienia na całe życie: wady swoje poprawiać—nie, żeby jeszcze i cudzemi się zatrudniał.

Ale zwyczajnie cudze występki prędzéj, jak swoje postrzegamy: bo rozum nasz oswoił się, wraz mieszkając, z przywarami naszemi, a cudze rażą go prędzéj. Jużem się postarzał na tém, jak ludzie w posiedzeniach źle lubią mówić o inszych, i widzę, umrę, a nie poprawią się. Że zaś (chociażby i spytanym byłeś) nikomu w obcowaniu z ostrością prawdy mówić nie należy—nie przeto pochlebiać powinieneś. Pochlebca jest kłamcą, mówiąc to, czemu sam nie wierzy: i jest podłym, nie mając śmiałości mówić to, co myśli. Szczerość niechętnie mieszka na dworach, i mało znana panom—a pochlebce są



u nich jak lekarze u chorych urojonych: ci płacą lekarzom za choroby, których nie mają, tamci za cnoty, które miećby powinni. Chronić się nawet należy zbytecznych pochwał dla kogo, bo mają podejrzenie pochlebstwa, jako zbyteczna nagana—złości. Nareszcie mój pochlebca gorszym jest od mego nieprzyjaciela, bo ten, wyrzucając mi błędy, obudza mnie, abym się w nich poprawił—a pochlebca usypia.

Mimo tego, pochlebstwa popłatne między ludźmi, a najwięcéj na dworach pańskich. Tam, gdzie cnota przechodzi okrzyczana od zawistnych i ledwie że kącik przytulenia znajdzie, podły pochlebca tymczasem rozszerza się, roznosząc nad słabszemi rękę protekcyi, odbiera od nich na stronę swoję marne kadzidło, które sam na ołtarzu bogacza dopiero palił. Nie dba na to pochlebca, wiele mu to obelg znosić potrzeba wchodząc do domu bogaczów, a jak nierównie więcéj wyszedłszy, wiele to razy uchylić się, niby trzcina wiatrowi, ażeby się jeszcze podnieść można! Dwór, to mieszkanie pełne dymu, skąd często wychodzimy ze łzami w oczach — to prawda, że nas naucza życia świata; ale drogo bardzo za tę naukę opłacamy się, kiedy, po ślizkich stopniach jego przechodząc, tak łatwo pośliznąć się i upaść można, a czasem, jak bydlę tuczone przy pańskim żłobie, padniesz na pastwę tego, który cię tuczył.

Zysk, ta wielka w zgromadzeniach sprężyna, daje ruch obcowaniom teraźniejszym. Cały świat krząta się, albo odzyskać to, co stracił, albo nabyć to, czego nie ma. Zysk rodzi zdradę i niezgodę, a przymusza rozum wchodzić w to, co jemu, nie zaś słuszności dogadza—i nie mogąc się podnieść do wysokości cnoty, ściąga ją często ku sobie na dół. Zysk robi dworaka niewolnikiem; żołnierza ślepym na śmierć; kupca oszukującym; skąpego nieużytym; wieśniaka cierpliwym—i, jeżeli prawdziwa przyjaźń zginęła na ziemi, zysk jeden utrzymuje towarzystwa. Dlatego, jeżeli żądasz podobać się w obcowaniu, nie mów ludziom, żeś nieszczęśliwy, bo zaraz od ciebie stronić będą, przez bojaźń, ażebyś ich o wsparcie nie prosił. Nie tykaj nadewszystko téj sprężyny, gdzie o ich zysk jaki chodzi; a jeżeli jesteś w stanie czynienia im dobrze, radą albo majątkiem twoim wspieraj, nigdy tych nie upokarzając, którym dobrze uczynić mogłeś, ani się odrażając tém, że będą i niewdzięcznemi, albo czasem dlatego, że mało na tobie zyskali; albo, że wszystko wzięli. „Mam dwie skrzynie (mawiał Symonides), jedna wdzięczności ludzkich, druga moich pieniędzy; skrzynia wdzięczności obiecanych... próżna!"

Lubiony także w posiedzeniach człowiek skromny i uczciwość mający. Dlatego chroń się w mowach twoich być chełpliwym, albo nieuczciwym, bo skromność i cnotliwemu i niecnocie potrzebna: w tym utwierdza cnotę, w drugim zakrywa występek. Co zaś do

uczciwości należy—nawet względem siebie samego taką ją zachować powinieneś, jakgdybyś siebie miał za najpierwszą w posiedzeniu osobę; a taką dla drugich miéć grzeczność, jakgdybyś względem nich najniższym był. Nie pokazuj, że starasz się o to, ażebyś się podobał w towarzystwie, ażebyś swój rozum wszędzie okazywał; ale bardziéj o to, ażebyś pokazał bawiącym się z tobą, że oni go mają. A tak znajdą w tobie rozum, żeś go roztropnie ukrywać umiał; znajdą i dar podobania się, żeś nie nadto usiłował, ażeby się podobać.

Jak w zwierciedle ciało, tak w mowie duszę człowieka widzimy. Wchodzi ktoś nowy w posiedzenie, i przyjmowany jest według sukni, w jakiéj przyszedł; ale wychodzi stamtąd szacowany z rozumu, jaki w obcowaniu pokazał. Wiele bardzo mówiąc, albo wiele milcząc, podobać się nie będziesz. Ale przynajmniéj milczenie daje myśléć ludziom, że możesz miéć rozum; i milcząc niczém się nie różniłeś od rozumnego, kiedy milczy; otworzywszy zaś usta, i powiedziawszy co niedorzeczy, otworzyłeś dom twój, że obaczyli wszyscy cały w nim nieporządek—a tak gadatliwością twoją więcéj nauczyłeś drugich, niżeli sam chciéć mogłeś, bo razem poznano, żeś głupi.

Kiedy więc nie masz tyle rozumu, żebyś co dobrze powiedział, miéj przynajmniéj tyle rozsądku, ażebyś milczał. Trafia się, że ktoś sam prawie mówić musi w posiedzeniach, nie żeby mówił najlepiéj; ale że lepiéj mówiących nie masz; w takiém zdarzeniu niech mówi i dłużéj, kiedy musi; ale zawsze o to starać się należy (co razem powszechném w każdém mówieniu prawidłem jest), ażeby mówić wiele, a mało słowami; nie zaś mało, a obszerném tłómaczeniem się; — czyli (co na jedno wyjdzie), okoliczności niepotrzebnych w mówieniu swojém nie mieszać.

Insza rzecz, człowiek wielomówny z nałogu. Jemu trudno, ażeby się obszedł bez powiedzenia fałszu jakiego: bo lubiąc mówić bez miary, mówi bez zastanowienia się, tém, co wie i nie wie, mowę swą napełniając — wtenczas, kiedy człowiek mądry mówi tylko znajome prawdy, których mało, dlatego téż i mało mówi. Wielomówny z nałogu przychodzi łatwo i do obmowy; ale jeżeli ma rozkosz obmówca źle gadając o ludziach, straciéby ją powinien, spodziewając się, że i o nim zapewne tak mówią. Rzecze kto, że ogadywanie pochodzi czasem z politowania; ale... płacząc nad słabością brata człowieka, i razem zabijając go na sławie, jakżeś się nad nim zlitował? Nadewszystko w posiedzeniach starać się masz poznać skłonności obcujących z tobą, i ich sposób myślenia, do nich się zawsze ile możności przyłączając, nie zaś ich do siebie koniecznie przeciągając. Tak pewnie drugim podobać się musisz, i zarobisz sobie na przyjaźń, któréj tylko w obcowaniu między ludźmi szukać powinieneś.

DYON. O Platonie! zapominam nieszczęść moich, wspomniawszy



na prawdziwą twoję przyjaźń dla mnie! ale powszechniéj mówiąc, niemasz nic tak pospolitego między ludźmi, jak oświadczenie przyjaźni; ani tak rzadkiego, jak skutki jéj! Wielu używa przyjaciół, jak naczynia jakiego: potrzebują go, kiedy pełne; jak wypróżnione, porzucą. Tylko to, gdy słońce świeci, cień jest przy swojéj godzinie, tak i fałszywy przyjaciel w czasie pochmurnym zniknął. Od fałszywéj przyjaźni, która mnie milczkiem gubi, czyliż nie lepszy nieprzyjaciel każdy, ten wielki nauczyciel, który szpieguje i wyrzuca śmiało wszystkie złe sprawy nasze, a któremu za naukę wtenczas płacimy, kiedyśmy się poprawili.

Jeszcze człowiek młody, nie mający doświadczenia, myślący o wszystkich ludziach dobrze, i ufający im, łatwo sprzyjaźni się — co potém drogo zwyczajnie opłacić musi. Ale poznawszy ludzi, kiedy im tak rzadko dowierzać można, na cóż mi takich przyjaciół, których równie, jak nieprzyjaciół, wystrzegać się potrzeba? i którym wszystkiego, co myślę i czuję, zwierzyć się nie mogę? Czyliż mojém najszczerszém wylaniem się zyskałem serce Dyonizego? Albo za moje pieniądze czyliż prawdziwego kupię przyjaciela? Taki, kto mu da więcéj, gotowy znowu się sprzedać. W tych wiekach nie słyną przyjaźni wielkie, a to prawda, że wielu poczciwych zostałoby zagrzebanych w niepamięci, gdyby byli nie mieli nieprzyjaciół. Dawniéj to szukano przyjaźni, teraz tylko zdobyczy.

PLATON. Przeczyć nie można, że bardzo rzadko prawdziwa przyjaźń na świecie. Dawne dzieje Grecyi niewiele także nam przykładów pokazują. Tezeusz i Pirytous, Achilles i Patroklus, Orestes i Pilades, oto już wszyscy, którzy dawniéj wsławili się przyjaźnią. Ale Damon i Pityas w Sycylii, nie tak dawno po długich czasach pokazali ludziom, że jeszcze prawdziwa przyjaźń nie zginęła na ziemi! W wiekach grubszych, póki nie było ćwiczenia takiego, jakie dziś mamy, ludzie albo się kochali, albo nienawidzili w najwyższym stopniu. Dyssymulacya przyszła z edukacyi — i stąd to w dawnych czasach przyjaźni sławne, albo nieprzyjaźni okrutne. Wszelako z takim światem żyć nam potrzeba, do jakiego przychodzimy, i kiedy każdego z nas wrodzona do życia w towarzystwie skłonność przestrzega: „Szukaj przyjaciela!" ten głos natury nie jest nadaremny. Oddałeś mi sprawiedliwość, wyznając głośno, żem prawdziwym twoim przyjacielem; ale prócz mnie, czyliż już nie masz serca między ludźmi, ażeby cnotliwego kochać mogło Dyona?

Mówisz, że przyjaźni teraźniejsze są tylko dla zdobyczy, i widząc wiele wad ludzkich, nie chcesz się z niemi przyjaźnią złączyć. Złącz się tedy z kimkolwiek, choćby dlatego tylko, ażebyś go poprawił. To prawda, że wiernego przyjaciela za pieniądze nie kupisz; ale często największe przyjaźni od dobroczynności zaczęte — a potém, nie

za datek jaki, ale serce tylko za serce mieniają przyjaciele. Nigdy ja o tém nie myślę, ażeby mnie czém mój przyjaciel wspomagał; ale tylko, w czémbym jemu przysługę jaką uczynił, i kiedy go ratować nie mogę, znakiem to już niedostarku mojego: bo gdybym nie chciał, skończonéj przyjaźni byłoby dowodem. W czasie mojéj radości po niego najpierwéj posyłam, ażeby wspólnie cieszył się ze mną; a w czasie smutku, on sam najpierwéj przybiegł... i kiedy drzwi do mnie otwierał, zaraz w mym żalu poczułem ulgę.

Przyjaciel może się mylić, ale nie chce oszukać. Stąd, choćbym szkodę jaką ucierpiał od przyjaźni, nie mam tego za krzywdę, gdzie mój przyjaciel krzywdy méj nie chciał. Na ulgę w nieszczęściach dana jest ludziom przyjaźń! Dlatego, podległym będąc losowi, jak wszyscy, i robiąc sobie zapas na czas przygody, jeżeli tak poczciwego kogo ująć mógłbym, przedam rolę, i zrobię choćby jednego sobie przyjaciela. Żebym zaś od ludzi powszechnie lubionym był, czynić będę dobrze nieprzyjaciołom nawet, i psu szczekającemu rzucę kawałek chleba. On się zaspokoi i łasić się będzie.

ARYSTOTELES. Tak ulegając ludziom, żebyśmy dobrze czynić mieli nawet nieprzyjaciołom naszym—zdaje się, że niepodobna, to robiąc, żebyśmy się razem podłemi nie zrobili. Nieprzyjaciel błagany zrobić się może zuchwalszym na mnie—tak, jak ulegając w posiedzeniach łgarzom, ośmielamy ich do mówienia tém więcéj fałszów. Lepiéj tedy jest obrazić kogo przez prawdę, niżeli zasłużyć sobie na miłość przez pochlebstwo, bo wolę miéć dobre wspomnienie między poczciwemi, niżeli słynąć grzecznością w obcowaniu, a cnotę i przekonanie moje zawodzić. Próżność wyniosła chce być jedyną zawsze, wszystko ona od siebie wyłącza, i wszystko niżéj kładzie. W zdarzeniu zdybania się z człowiekiem wyniosłym, czyliż mam zginać kolana przed pychą i deptać prawdę? a zapomniawszy, żem równym człowiekiem, łasić się mam przy nogach razem z szczenięciem pańskiém? Jabym nie chciał miéć nieprzyjaciół w obcowaniu, ale i siebie, uleganiem ustawiczném drugiemu, obrażać nie chcę.

PLATON. Na datek jaki, którybyś nieprzyjacielowi twojemu ofiarował, ludzie patrzyć umiejący, najpierwéj widzieliby w tém wspaniałość duszy twojéj, i uczynek rzędu wyższego: bo tak bliżéj do sposobu postępowania bóstwa przystąpiłbyś, którego słońce równie na złych, jak i na dobrych świeci. Możesz w posiedzeniach nikomu nie pochlebiać; możesz cnoty twojéj nie zawodzić, ale możesz razem i milczéć.

Milczenie w swoim czasie i miejscu zawsze jest piękném—a wtenczas dopiéro odezwść się, kiedy będzie rzeczą niegodną milczéć. Na co człowieka publicznie upokarzać, że błądzi, kiedy my wszyscy błądzić możemy! I jeżeli błąd jego szkodliwych za sobą nie ciągnie



wniosków, na co, żebyś się pokazał znającym się, upokarzasz brata człowieka, przekonywając go przed ludźmi, że głupim jest! Najpierwszy rozum: swoje głupstwa poznawać i poprawić. Czemuż inszych błędom nie ulegać, kiedy żądamy tego, ażeby i naszym ulegano? Trzymać się najlepiéj środka, i bez podłości być grzecznym dla każdego. Podłość zaś tam się zaczyna, gdzie ująłeś coś charakterowi swojemu, ażebyś to przyczynił tym, których uwielbiasz. Słowem, ulegaj ludziom bez podłości, bo to można; a nie zawstydzaj ich w posiedzeniach, choćby coś i pobłądzili; bo to niesprawiedliwa.

FOCYON. Jeżeli tylko potrzeba chwalić kogo, ażebym się podobał, jakbym się w posiedzeniach znajdować nie powinien, nie żebym ludzi nienawidział, ale tylko, że sam zmyślać nie lubię, a ich szacować nie mogę; życzę im wszelako i czynię dobrze, bez żadnéj nadziei wzajemności. Prawda, że wszystkie dary dane nam od Boga takiemi są, że niemi bliźnich wspierać możemy. Uczę się, żebym kogo nauczył; mam czerstwość sił, żebym siebie i kogo potrzebnego poratował; widzę lepiéj od drugich, prowadzę ślepego.

Ale w społeczeństwie, kiedy ślepy gniewa się, jeżeli go poprowadzę, albo przykra nawet zbrodniarzom (których pełno) przytomność moja: czyliż nie lepiéj, żebym się usunął nawet dlatego, aby nie myślał złośliwiec, że przytomnością moją i milczeniem potwierdzam złe sprawy jego? Jak mam szacować ludzi, widząc, jaki tam nacisk, gdzie łaski rozdają, a jak tam nikogo prawie nie widać, gdzie już rozdali! Nie tobie, ale szczęściu twojemu ludzie kłaniają się. Jeżeliś biedny, wszerz i wzdłuż przechodź Ateny, nikt się do ciebie nie przyłączy; a pokazał się na rynku bogacz, zaraz go czcicielów orszak otoczył! Jeżeliś prawego serca? jakież miéć możesz społeczeństwo z ludźmi, którym najgorsza skłonność najmilsza? którzy nie chcąc słuchać, choćbyś najlepiéj radził, idą raczéj za urojonym blaskiem, za tém marném światłem ponocném, które ich do zguby wiedzie? W takim składzie rzeczy, zdaje się, że człowiek uczciwy najlepiéj obrał, kiedy unika społeczeństwa i raczéj samotny żyje.

PLATON. Potrzeba, Focyonie, w wielu rzeczach przymuszać się, bez przymuszania drugich, jeżeli chcesz, jak wart jesteś, ażebyś był kochanym. Nie sobie samym urodziliśmy się. Do urodzenia naszego ma prawo Bóg, ojczyzna, rodzice i wszyscy ludzie; błędy ich i słabości znosić potrzeba: bo téż sam wyznasz, że insi cię i przykładem swoim nauczają. Mówisz, że za dobrą twoję dla kogo sprawę żadnéj się wdzięczności nie spodziewasz: czyńże ludziom dobrze bez handlu, choćby dlatego tylko, że pięknie jest pełnić uczynek dobry. Na zdrożności ludzkie poglądaj z politowaniem, a nie ze złością—tak prędzéj ci przyjdzie chęć sprostowania, co krzywe, niżeli deptania nogą, co upadło.

Sprawiedliwy Arystyd, cnotliwy Sokrates, czyliż jeden i drugi, obrażony powszechném zepsuciem, chronił się ludzi? Między największe zgromadzenia, i do pierwszych idą urzędów, ażeby przynajmniéj, jak mogli, kiedy nie tak, jak chcieli, ludziom użytecznemi byli. Pójdź czasem, i tam siądź, gdzie ludzie świata siadają; nie tak, jak zbiegły jaki do nich, ale jak człowiek do ludzi. Pójdź między zbrodniarzów: ty przytomnością swoją w zbrodniach ich nie potwierdzisz; ale owszem, popełniając je przy tobie, wstydzić się będą. Któż cię przynagli, ażebyś zbrodniarza chwalił, kiedy tylko milczéć i będziesz chciał i będziesz umiał? A nawet nikt nie uwierzy, gdybyś go chwalił, jako i jemu, gdyby cię ganił. Powinność każdego być użytecznym drugiemu: jakże nim będziesz, chroniąc się z ludźmi obcowania? Kiedy układ najwyższy człowieka między ludźmi postawił, jest to coś zuchwałego, ktoby chciał być od nich oddalonym. Bóg to tylko jeden sam z sobą jest, a człowiek ma być w towarzystwie.

SPEUZYP. Ja lubię posiedzenia wielkie, bo różność zdań ludzkich i charakterów bawi mnie. Tu wiadomości publiczne, tam szczególnych osób opowiadane cnoty, albo słabości rozrywają. Ani ogadywanie, zdaje się, że koniecznie złém będzie, kiedy wielu winnych publiczne o nich gadanie poprawiło. Człowiek jeżeli jest słaby, czyli uboższy, gada na mocniejszego, i... nie mogąc inszym, tym niby rodzajem zemsty robi sobie z niego sprawiedliwość. Ale jeżeli kto mocny, czyli majętny gada na słabszych od siebie, że słabi; a na równych, że równi; i tak się powszechnie składają społeczeństwa. Ja zaś kiedy nie miarkuję dobra mojego z gadania o mnie tłumu niedołężnego, ale ze świadectwa mego sumnienia, niech sobie moim kosztem bawią się ludzie. Ciężko bardzo o takiego, żeby o ludziach nic złego nie mówił, ani o sobie dobrego. Pozwólmy jedno zabawie, drugie miłości własnéj.

PLATON. Powiadasz, że ogadywanie złém nie będzie, kiedy wielu ogadywanych poprawiło się. Ale któż tak srogim sposobem leczy chorego, zwłaszcza najmniejszéj pewności przywrócenia go do zdrowia nie mając? Albo prawdę mówisz ogadywając, albo rzecz niepewną potwierdzasz? w obojgu zdarzeniu winnym jesteś. W pierwszém, że nie będąc sędzią tego, którego ogadujesz, karzesz go najsurowszym sposobem, bo na sławie, którą mu bierzesz; w drugiém, więcéj jeszcze, że może karzesz niewinnego. Tak złemi jesteśmy, że złym mowom zaraz uwierzymy, a dobrych doświadczać chcemy. Człowiekowi, któregoś skrzywdził obmawianiem, jakże ciężkie przywrócenie sławy, chociażbyś żądał, kiedy słyszący gadanie twoje powiedzieli to inszym, których znowu zbierać i z błędu wywodzić nie w twojéj mocy.

Ogadywacza strzegą się wszyscy, bo każdy o siebie ostrości jego



języka boi się; a tak tyle na tém zyskał, że chcąc być zabawnym, robi się w posiedzeniach niebezpiecznym. To często powtarzać przychodzi, że mamy co w domu naszym do roboty, nie żebyśmy jeszcze cudzą zagrodę zamiatali. A tém ci gorzéj, co mówisz, że ciężko o takiego, któryby o ludziach nic złego, ani o sobie nic dobrego nie mówił. Zacznijmyż poprawiać zabawy w posiedzeniach, niech ludzka krzywda nasza nie będzie; ani pochwała nasza przez usta nasze drugich unudzeniem Nie wszystko zabawie, nie wszystko miłości własnéj poświęcajmy, bobyśmy z gruntu obalili społeczeństwa.

KSENOKRAT. Podobnie jak Focyona i mnie jątrzą posiedzenia, gdzie tysiąc zdrożności widzę. Ten się oświadcza z przyjaźnią, żeby co zyskał, a ubolewa nad swoim nieprzyjacielem, kiedy go się obawiać nie ma przyczyny; ów albo siebie ustawicznie chwaląc, chełpliwie nad inszych się wynosi, albo sam o wszystkiém gada, jakby tylko (miał) język, a uszu nie miał. Ten nie dawno, jak gąsienica czołgał się po ziemi, dziś dostał skrzydeł, i górą lata. Inszy w posiedzeniu nie powie rzeczy zdrożnéj, a nigdy nie zrobi dobréj. Nikt nie jest kontent ze swojego losu, ani niekontent ze swojego rozumu; i ja nie chciałbym być mędrszym, jak Tymonowi zdawało się, że mądrym jest. Żeby cię miano za grzecznego, potrzeba, ażebyś z drugiemi rozmyślnie czasem głupstwa popełniał, żebyś sobie przykrości czynił, żebyś prawdę zataił; i rozum, ten dar boży dla człowieka, często mi szkodził, żem się go poradził w obcowaniu. Im więcéj serce się psuje, tém powierzchność kształtniéj się układa: tak ludzie, stawszy się grzecznemi, dawną cnotliwą prostotę postradali, a zyskali za to fałsz pozłocony.

Obcowanie z ludźmi każe nam znosić wszystko: cóż przykrzejszego, jak słuchać mowy głupiego? On nie umie milczéć, a gadaćby nie powinien; i jeżeli jeszcze trafi się z pamięcią i wiadomościami, on daleko głupszym jest od prosto głupiego. Oni się znają dobrze, i głupi znajdzie jeszcze głupszego, nad którym się zadziwia. A wtenczas, kiedy człowiek duszy niepospolitéj ma coś codzień sobie do wymawiania, głupi codzień z siebie kontent. I kiedy dzieci mówią to, co robią, starzy to, co robili: on powie i to wszystko, co robić ma. Fałsz i głupstwo wszystkie napełniły społeczeństwa; czyliż nie lepsze będzie ustronie, gdzie od własnych tylko głupstw wycierpię, a fałsz ze mną samym nie ma co do roboty.

PLATON. Nie wszyscy są przyjaciółmi naszemi tylko dla zysku, nie wszyscy nieprzyjaciołami do śmierci. Mając zaś doświadczonego już przyjaciela, choćby go przed tobą w czém obwiniano, sam wyszukaj przyczyny, jakbyś go u siebie wymówić mógł. W nieszczęściach wielkich udaj się pierwéj do niego, niżeli do rozpaczy; a gdzie chodzi

o jego dobro, on go zaś nie widział, wtenczas zawsze winieneś mu się sprzeciwić; wreszcie wiecznie zgodny, jak Orestes z Piladesem, którzy przez życie raz tylko poróżnili się, kiedy jeden za drugiego umiérać chciał. A jeżeli dawny twój przyjaciel robi sie nieprzyjacielem: lepiéjby zszyć przyjaźń, która się psuje, jeżeli można, niżeli do reszty zedrzéć. W zdarzeniu zaś, że wszystkiemi sposobami chcąc się pojednać, nic nie wskórałeś, hańbić to powinno poczciwego człowieka, żeby reszty przyjaźni, która się kończy, używał na dogodzenie nienawiści, która się zaczyna — a nawet, kiedy się przyjaźń skończyła, obowiązany każdy do sekretu, który mu w przyjaźni powierzono. Jeżeli zaś przymuszonym jesteś być czyim nieprzyjacielem, bądźże nieprzyjacielem poczciwym, nie chcąc przeciwnikowi odbiérać życia, sławy, ani majątku; ale tylko złą wolą jego, tyle go mając w nienawiści, jak gdybyś spodziewał się kiedy miéć go przyjacielem twoim. Najszczęśliwszy ten stan człowieka jest, kiedy może się mścić nad nieprzyjacielem, i nie chce; a przyjaciołom swoim chce świadczyć i może.

Co wspomniałaś o samochwałach, chełpliwych i gadających ustawicznie w posiedzeniu — cóż ci przeszkadza litować się nad głupstwem ich? albo kto ci dał prawo, żebyś ich miał publicznie strofować i zawstydzać? Chełpliwy śmiałek czeka na kogoś, który mu się ostro stawiwszy, uniży go. Zostaw to komuś niegrzecznemu, bo tobie piękniéj z grzecznością. A jeżelibyś kogo poprawić i napomnieć miał, rób to albo cicho, albo z taką skromnością, żebyś go nie zawstydził. Ten gada sam wszystko w posiedzeniu, to szkoda, że się milczéć nie uczył; ów z przodków swoich chełpi się — to szkoda, że się myli, szukając owoców we pniu drzewa, którychby na gałęziach patrzéć powinien; wszelako ten i ów sobie tylko szkodę robią, nie tobie. Czegoż się gniewać na cudze zdrożności, kiedy i u nas nie wszystko proste?

Dawniéj mówiłem ci, Ksenokracie, ażebyś Gracyom ofiarę czynił — i tego ci tylko potrzeba, cokolwiek przynajmniéj do twojego piołunu miodu przymięszać. Chcąc we wszystkiém naganiać drugim, tém samém chcesz chwalić siebie, dając znać, żeś do nich nie jest podobnym, a tak sam wpadasz w naganę, którąś dopiéro srożał przeciwko samochwałom. Unikać zaś należy podobieństwa nawet, w czémbyś sam siebie chwalił: bo zbyteczną miłością własną zatrzymujesz dla siebie miłość ludzką, służąc skromnéj cnocie, zawstydzasz ją chełpliwą pychą. A tym podobno sposobem przyszedłeś do pogardy ludzi, z któremi opatrzność chciała, ażebyś żył, jak z bracią swojemi. Prędzéj zaś zniosą ludzie rozgniewanie się twoje, wyrzucania komu choćby najgrubsze i przypadkowe uczynione przykrości, niżeli



rozmyślną pogardę: bo pierwsze mogą być na niektóre tylko występki, pogarda zaś zupełnie uniża i upodla człowieka.

Nie chcesz się, widzę, w niczém przymusić, żebyś się ludziom podobał — i co na to samo wychodzi: Ty chcesz żyć między nieprzyjaciołami! Nie wstydź się z ludźmi i małe głupstwa czasem popełniać, żeby przyswoiwszy ich do siebie, wielu potém poprawić i na drogę rozumu naprowadzić. To prawda, że grzeczność ma więcéj pozoru powierzchowności, niżeli szczeréj cnoty; ale mówić nie można, ażeby każdy grzeczny wyrzekł się być cnotliwym. Zgodzić może, kto zechce, i cnotę swoję, któréj nigdy odstępować nie należy, i uprzejme obcowanie z ludźmi, którego nigdy nie chronił się Sokrates. Znosił on głupstwa ludzkie, nie poruszając się ani mową nierozsądną, ani nawet kiedy był potrąconym od głupiego. Jakże pięknie Ksenokratowi naśladować Sokratesa, i nie robiąc się szczególnym, wchodzić pomiędzy zgromadzenia ludzi, ażeby albo oni z ciebie, albo ś ty nareszcie z głupstw ich samych pożytkował.

Kiedy zaś żądał, jaką drogą do ujęcia sobie ludzi przychodzimy, następującemi sposobami prócz inszych przyjdzie. Tak ułożyć się potrzeba w życiu, żeby nie być ani postrachem dla niższych, ani pogardą dla wyższych — z pierwszemi zawsze postępując z słodyczą, jak chciałbyś, ażeby wyżsi z tobą postępowali; z drugiemi, zawsze jak z ogniem, ani nadto blizko, bo spali, ani nadto daleko, bo nie grzeje. Kiedy cię honor cnoty nie przymusza, nie przymuszaj nikogo w posiedzeniu, bo inaczéj stracisz prawo podobania się. Stąd wypada daléj, ażebyś w sprzeczkach, które się trafić mogą, chociażby przyczyna za tobą była, pierwszy ustąpił. Znajdzie się ze słuchających sędzia rozsądny, który cię osądzi za rozumnego, że ustąpiłeś. Skąd inąd, niekoniecznie przy swojém (choćby się zdawało dobrém) utrzymywać się możemy: że trafiają się zdarzenia takie, które są bardziéj prawdziwe, niżeli do prawdy podobne. Odmieniaj tedy czasem zdanie twoje, byleby to było z przyczyny, a nie z płochości. Nie bądź tkliwym na wszystko: człowieka zacnego lada fraszka niewzruszy — i kiedy gniew nie różni się od szaleństwa, tylko że trwa krócéj, któżby choć na czas chciał być szalonym?

Gdybyśmy słów obojętnych w posiedzeniach często do siebie nie tósowali, albo mniéj się zapalali na pierwsze słowa, które w początkach gniewów zwyczajnie są łagodniejsze, wiele gniewu spełzłoby. Potrzeba coś mówić w posiedzeniach jest człowieka dowcipnego; mało i gruntownie—mądrego; wiele i źle—głupiego. Szczęśliwy! który albo umié mówić, albo umié milczéć. Nie wiem, kto większą miał wiadomość rzeczy, jak Epaminondas, i ktoby mniéj mówił od niego. Pamiętaćby o tém każdemu należało, co mawiał Pitagoras: „Albo milcz, albo powiédz co lepszego, jak milczéć.” W posiedzeniach lu-

dziom znaczniejszym daj czas mówienia pierwéj; we środku mowy nikogo nie przerywaj; a stronę uboższych, bylebyś tém kogo nie obraził, utrzymaj w obcowaniu—tak osłodzisz im to, że ubodzy; tak i siebie pokażesz, żeś niepochlebny. Myśl człowieka mądrego uprzedza zawsze sława i robotę jego; a głupi mówi i robi pierwéj, niżeli pomyśli.

Od ślepych uczymy się rozumu, oni kroku nie uczynią, póki swoim kijem, albo nogą nie doświadczą. Rozrywki w posiedzeniach niech będą przystósowane do wieku. Starzec, im się więcéj między młodémi trzpiocze, tém się wydaje starszym. Niech będzie w starych powaga, w mężczyznach środek, a wesoła skromność w młodzieży. Ale i młodzi niech szukają społeczeństwa ze staremi — tak, żebyś nie był pijanym, przyczyniaj wody do wina. Gra i wino niech będą na rozrywkę, albo na rozweselenie się, nie zaś na szkodę i zbytek; a odpowiedzi trafne na zabawienie przytomnych, nie na żartowanie i ukrzywdzenie kogo. Nie szczyp językiem nieprzytomnych, bo cię się obawiać będą przytomni. A najbardziéj chroń się ogadywać umarłych, jak rozbójnik napadając na bezbronnego. Kiedy za nami w życiu stanie przyjaciel, albo nasz odpór własny, przy nich tylko stoi politowanie. Tak ich sobie wystawiaj, jak dziecię, albo jak starca zgrzybiałego, którzy tylko mają nadzieję w politowaniu cudzém.

Jeżeli ci kto uczynił dobrze, pamiętaj, że większy jest dług odebranéj łaski, niżeli pożyczonych pieniędzy. Przysługa czyja powinna być rozważaną, jak wiele ten, który ją czyni, łożył na nią; nie zaś, jak wiele z siebie warta? A jak we wszystkiém, tak najbardziéj w pożyczonych pieniądzach słowa dotrzymuj, bo czém jest kamień probierski dla złota, tém złoto dla człowieka. Mimo tego dług zaciągniony jest u wielu tak, jak poczęte dziecię, które ze słodyczą przyszło; ale jak matce rodzić, tak dłużnikowi oddawać pieniądze przykro. Ratuj według twojéj sposobności, jak możesz, opuszczonych niewinnych, nawet chociażby tobie znajomemi nie byli; a piękniéj jeszcze zrobisz, kiedy i oni widzieć nie będą, kto ich poratował.

Nie rozmawiaj z człowiekiem nieszczęśliwym o twojém szczęściu, bo tak zdajesz się z niego urągać! ale chcąc pocieszyć smutnego, płacz z nim. Ani go ciesz w nieszczęściu, że to już nie powróci, bo właśnie téż dlatego płacze, że strata jego niepowrócona. Jeżeli chcesz być lubionym w posiedzeniu, jak w słowach, tak nawet w ubiorze twoim nad nikogo się nie przenoś; chwalić samego ciebie jest to człowieka próżnego; jak ganić siebie, czasem głupiego. Zacznij tylko mówić o sobie, żeś cnotliwym: zaraz ludzie, choćby o tobie dawniéj dobrze sądzili, o cnotach twoich wątpić zaczną. Ludzkie chwal cnoty, a ile możesz, słabość występnych ekskuzuj; twoja zaś względem siebie samego skromność już twoją pochwałą jest. Żyj tak, ażeby temu nikt nie wierzył, co o tobie złe języki powiedzieć mogą; a tak się stanie, jeżeli grzecznością twoją zrobisz sobie przyjaciół, a życiem przykładném poważanie. Uczynkiem nieskromnym, a nawet słowem chroń się pogarszać drugich. Zły przykład naucza złego tych, którzy o niém nie wiedzieli, a ośmiela tych, którzy mieli wstręt od złego.



Żebyś wskórał między ludźmi, upatruj czasu i miejsca,— w czém jest miękki człowiek, z którym masz do czynienia. Przynajmniéj po części z człowiekiem rządowym naucz się mówić o polityce; z żołnierzem o walkach; z gospodarzem domowym o rolnictwie; z kupcem o handlu; z uczonym o umiejętnościach; z rzemieślnikiem o rękodziełach; i w miarę każdego sposobności do odpowiedzenia zadawaj pytania, ażebyś tym sposobem zamilknieniem na zapytania, albo krzywą czyją odpowiedzią nikogo nie zawstydzał. A nareszcie, żądasz ty ludziom podobać się? bądźże dla wszystkich uprzejmym, wadom ludzkim ulegającym, dla nikogo podłym, a powszechnie bez ostrości sprawiedliwym; do gniewu nieskwapliwym, mężnym w nieszczęściu a w szczęściu niezuchwałym; jak możesz, ratując potrzebnych, radą, pracą, albo majątkiem.

# MYŚLI POZOSTAŁE

## OD I CZĘŚCI ROZMÓW PLATONA Z UCZNIAMI SWEMI.

### Od Rozmowy o Cnotach i Występkach.

Kiedy fortuna rozdaje dary swoje, z jakimże tłumem przystępują wszyscy: brat odpycha brata, przyjaciel przyjaciela, a czasem i syn ojca.

Mniejsze to tylko szczęście miewa wielu zazdrosnych, ale wysoki stopień fortuny jest jak ów ogień, który jak tylko w płomień wielki zajął się, zaraz ma mniéj dymów koło siebie.

Lepsze mi życie w tém ciele mojém, niżeli w posągu Fidyasza.

Ten, który umiéra bez sławy, umiéra całkiem.

Jeden uśmiech pański do kogo robi mu przyjaciół, a cnota i zasługa wiele kosztują, jednakże często nienagrodzone.

Prawdziwa wielkość jest słodka i popularna, schyla się przez dobroć do niższych, ale to jéj nie przeszkadza, że się zaraz wróci, jak drzewo nagięte do naturalnéj postaci swojéj.

Taksować człowieka z odzienia bogatego jest to cenić drzewo z kory jego, nie zaś z owoców, które daje.

Nienawiści bywają tak zastarzałe, iż najpewniejszym znakiem jest, że chory umrze, kiedy się godzi z nieprzyjacielem.

Im bogatszy ojciec, tém mniejszy żal bywa często synowi widząc go umierającego.

Człowiek nigdy nie jest u siebie: bojaźń, żądza i nadzieja wypędzają go z domu, i odbierają mu czucie czasu przytomnego, łudzą go przyszłym.

Honor i majątek poruszają świat cały: są to marne ognie ponocne, które w podróży naszéj w błąd nas prowadzą.



U Lukanów było prawo: ktoby podróżnego do domu nie przyjął, ażeby karanym był.

Bezpieczniéj jest siedzieć nieznajomemu w zakącie, niżeli wysokich przyjaźni szukać, i być potém odrzuconym.

Dardańczykowie Illiryku trzy razy tylko myli się: rodziwszy się, żeniąc się, i po śmierci.

Ateńczykowie w początkach wołu orzącego nie zabijali, że to jest towarzysz prac ludzkich około roli.

Pitagoras mawiał: bogaczowie dwiema rzeczami sobie najmilszemi z ludźmi się podzielili, kochać prawdę i dobrze czynić potrzebnym.

Kalisto, nierządnica ateńska, mówiła do Sokratesa: „Ja od ciebie prędzéj odciągnę twoich wszystkich uczniów, niżeli ty moich". Sokrates odpowiedział: „Ty ciągniesz z góry na dół, a ja pod górę".

Któremu w rozrzutności na niczém nie dosyć, temu i wszystkie popełniać występki niczém jest.

Nie jest pochwalony, kogo zbrodzień jaki pochwala, ani człowiek upodlony obelżyć może zacnego.

Dobra znikome najczęściéj, ani rozumu, ani cnoty, ale fortuny są darami. Nie tak zaś dbać mamy o ich obfitość, jak o dobre ich użycie.

Ciężkie milczenie temu, kto cierpi.

Krótki nam bieg życia natura wyznaczyła, ale chwały nieskończony.

Mścijmy się nad fałszywemi przyjaciołami, strzegąc się i nic im nie wierząc; a nad ogadującemi ludźmi, pełniąc cnotę i żyjąc chwalebnie.

Sława najbardziéj zagrzewa młodych, a u starych nałogiem bywa.

Zbrodnia, kiedy się popełnia, zaraz od sumnienia karę odbierać poczyna.

W grach hazardownych bardziéj litować się należy nad pomyślnością ludzi, niżeli nad ich nieszczęściem: bo tamta im utwierdza zły nałóg, a to wstrzymuje od nałogu.

Zdaje się, że cnota jest znieważoną, kiedy się szczęści bezbożnemu.

Cnota ma swoje czasem rozkosze: Wchodzi cnotliwy nieustraszony z głową nachyloną i oczyma zamkniętemi w wołu rozpalonego, tyrana Falarysa.

Ten jest najnieszczęśliwszy, który myśli, że jest najszczęśliwszy.

Lepiéj jest kogo obrazić przez prawdę, niżeli zasłużyć sobie na miłość przez pochlebstwo.

Szczęście ciała jest w zdrowiu, a duszy w mądrości.

Wielkość radości jak i smutku, potrzebuje wsparcia przyjaźni.

Ten, który odbiera dobrodziejstwo, ma o niém do śmierci pamiętać, a który je wyświadcza, niechby o tém zapomniał.

Są ludzie głupi, którzy w całém życiu nie myślą, albo jeżeli myślą, to tylko o drugich, nie o sobie.

Są ludzie fałszywi, którzy umyślnie udają litość nad nieszczęśliwym, aby się tak wprowadzili do serca szczęśliwych.

Człowiek uczciwy, gdzie idzie o publiczne wykonanie prawdy, mówi ją śmiało, jako mający za świadka Boga, świat i potomność.

Ile masz przyjaciół, tyle rąk, nóg, oczu, z których każde dobru twojemu służy.

Ten najnieszczęśliwszy, kto w nieszczęściu nie ma, ktoby go żałował.

Dbaj o majątek w starości: nawet lepiéj jest, ażeby po twojéj śmierci dostał się choćby twoim nieprzyjaciołom, niżeli, żeby za życia zabrakło ci wesprzéć przyjaciela.

Trzy są rodzaje niewiadomości rzeczy: nie wiedzieć, o czém zupełnie wiedzieć źle, i wiedzieć co inszego, nie to, co trzeba wiedzieć.

Majątek twój może się zrujnować: śpiesz się, dawaj go przyjaciołom i nędznym, to się pewnie zostanie.

Są takie postaci ludzkie, na które spojrzawszy, albo zgadniesz, że wielkim człowiekiem jest, albo, że nim być powinien.

Bogowie chcieli mię miéć na ziemi nieszczęśliwym: kiedy się dogodziło woli ich, umieram kontent.

Czterech jest wielkich lekarzów, których wszędzie zdybać można: Praca, Dyeta, Spoczynek w czasie i Wesołość umysłu.

Trzcina schyla się wiatrom, żeby się znowu podniosła; pyszny dąb nie chce, i złamany.

Nie weszła nigdy w moje wrota fortuna, ale téż za to nie żalę się na jéj niestateczność.

Żył ktoś długo na świecie dla pokazania mu cnoty i zdatności swojéj, ale ludzie za jego życia nie dbali.

Jedni ludzie żyją czasem przeszłym, a to ci, którzy rodowitością swoją chlubią się; drudzy przyszłym, którzy samą nadzieją żyją; i trzeci teraźniejszym, byle im się dobrze działo, póki żyją.

Zemsta jest podłych dusz dziełem, a darowanie winy człowieka wielkomyślnego oznacza.

Natura nam dała dwoje uszu, a jeden język, ażebyśmy więcéj słuchali i patrzyli, niżeli mówili.

Ubodzy w tém szczęśliwi, że jeżeli mają przyjaciół, pewnie prawdziwych.

Panowie nie mają prawa do zbytków, jeżeli poddanym ich zbywa na potrzebie.

Praca i trudność w dostaniu robi większą rozkosz; ale nie szafuj tą rozkoszą, a będziesz ją miał dłużéj.

Kto lubi żartować ze wszystkich, ma nieprzyjaciołami wszystkich.

Serce, które tylko swoje nieszczęście czuje, warte jest, żeby cierpiało.

Nie kwiatem, ale cierniem, usłana droga do sławy.



Z wieluż-to skłonności ofiarę uczynić potrzeba, ażeby kto zrobił się cnotliwym.

Każda z wymyślonych potraw na stole, z mocnemi a smacznemi przyprawami, jest to nowy nieprzyjaciel na zdrowie nasze.

Praca przeciwko nudzeniu się lepszém jest lekarstwem, niżeli rozkosz.

Wszystkie blaski bohatyrów i ludzi próżnością świata zajętych odstępują człowieka umierającego: jedne tylko cnoty, jeżeli miał jakie, cieszą go przy zgonie.

Jesteśmy w życiu jak w domu podróżnym, trzeba się obrachować i drogo zapłacić za wygodę.

Natura daje nam życie, jak gdyby pożyczała pieniądze bez terminu; czegoż mruczéć, że je odbiera, kiedy zechce.

Śmierć jest zawczesna tylko dla tych, którzy umierają bez cnoty.

Życie człowieka dzieli się na pięć części, to jest niewinność, namiętność, umiejętność, urzędy, nabożeństwo; pierwsze, dzieciństwo; drugie, młodość; trzecie, wiek średni; czwarte podeszły; piąte, stary.

Cnotliwa starość spokojna: nie zna ani żądzy, ani bojaźni, owszem cieszy się, że się wali zawada, która ją oddzielała od Boga.

Najwięcéj nawiedzin mają dłużnik i rozrzutny.

Dzielimy się z śmiercią dniami naszemi, te które minęły, ona wzięła; nam tylko się reszta została.

Politowanie mogą miéć ludzie najgorsi, ale wspaniałość umysłu sami tylko ludzie wielcy.

Więcéj ludzi boi się złéj sławy, niżeli sumnienia.

Obchodź się z ludźmi jak słońce, które złym i dobrym świeci.

Tymoteusz, wódz ateński, będąc u Platona na skromnéj wieczerzy, gdzie razem i rozumnie rozmawiano, powiedział: a kto był na wieczerzy u Platona, ten i nazajutrz niegłodny.

Łaskawa fortuna robi duszę miękką, a przeciwna hartuje ją.

Podły pochlebca ujmuje chwały człowiekowi wielkiemu, kiedy go chwali.

Z anatomii docieczono, że mózg człowieka podobny zupełnie do mózgu małp, a dociec nie można, skąd rozum człowieka tylko w mózgu mieści się.

Myśl sobie, człowiecze, zrobię to dobre dzieło, żeby znać było, że żyłem.

Nie przykrz sobie, chociażby ostre napomnienia przyjaciół: wszakże masz w domu pszczoły z żądłami dla miodu.

Człowiek fałszywy czego nie dokazał w lwiéj skórze, bierze na siebie skórę liszki.

Skąpy żyje, nie żyjąc, i drugim swe życie zostawia.

Wiele rzeczy niedostaje ubogiemu, ale łakomemu wszystkiego.

Lubisz mówić prawdę, przygotuj się wcześnie, ty za nią cierpisz.

Bion, mędrzec, wszystkich ludzi poczciwych nazywał uczonemi, że według prawideł cnoty żyją.

Szczęśliwy, który obrawszy drogę życia bez błędów i uprzedzenia, idzie do swego noclegu bez bojaźni.

Mów i czyń prawdę, świadcz ludziom dobrodziejstwa, tak będziesz bogom podobny.

Wielu jest, którzy dają; ale mało, którzy dać umieją; a mniéj jeczcze, którzy umieją odbierać łaski.

Nie wszystko odbierać można, co nam kto daje. Nie potrzeba, ażeby czasem zbrodnia tuczyła cnotę.

Kto świadczy zbrodniom, sobie uszkadza, pogardza cnotliwym i utwierdza w nałogu zbrodniarza.

Inszy więcéj sobie trudów zadaje, ażeby udawał poczciwego, aniżeliby kogo kosztowało, żeby był nim w rzeczy saméj.

Poznać to, że nic nie wiem doskonale, jest najpierwszą mądrością, a poznać niesprawiedliwości własne jest najpierwszą cnotą.

Człowiek skłonniejszy jest do kłócenia się z drugiemi, niżeli do przyjaźni: a miłość własna tego jest przyczyną.

Rzadko ludziom szczęście i rozum razem dany do użycia tego szczęścia.

Przychodzimy na świat, jak na targ: ten dobrze kupił, a ten się oszukał.

Płacz cudzy uczy mię czegoś i przypomina cnotę, któréj postać jest bardziéj posępna, niżeli śmiejąca się.

Wszyscy wiedzą drogę do mądrości, ale ledwie kto do niéj przychodzić chce.

Spanie długie ciału, duszy i interesom każdego przeciwne. Spaniem nikt nie zarobił.

Dawniejsi Grecy cudzoziemca gościa przyjmując w domu, pierwéj mu największe czynili wygody, a potém dopiéro pytali się, ktoby był i skąd?

Mamy się za upodlonych, kiedy kto upadla to, co szanujemy.

Łatwiéj o ofiarę Bogu, jak o cnotę: może dlatego ubodzy są cnotliwszemi, że nie mają czém win swoich odkupować.

Nieszczęśliwego westchnienie jest to niby słowo, którém ból swój wyraził: tak gada natura.

Nad insze zwierzęta człowiek ma dar przewidzenia i nadziei: te to nam dary natura trucizną bojaźni zaprawiła.

Wielu ludzi pamięta tylko o tém, czém byli, a zapominają, czém są.

Dawne Traki przyzwyczajali jastrzębie do łowienia różnego ptactwa.

Najwięksi nieprzyjaciele często pogodzą się, ażeby słabszego pognębić mogli.



Niedbałym staraniom fortuna często przeszkadza.

W mniejszych to tylko smutkach można z żalami rozwodzić się, ale żal wielki tamuje słowa.

Platon utrzymywał, że każdy kto sprawiedliwy, szczęśliwy razem jest; ani się bogów, a tém bardziéj ludzi nie boi.

Sprawiedliwość jest hamowanie namiętności, a niesprawiedliwość uleganie im.

Są ludzie, którzy nikogo nie mają w nienawiści: bo się nikogo nie boją.

Fortuna macza kwiaty w goryczy i tak rozrzuca je na ludzi.

Nad wszystkie tajemnice i uroczystości dawnych Greków największa była bogini żniwa, Cerera. Znak to był szacunku rolnictwa u nich.

Jak mam iść drogą i równo, kiedy mnie gniew ślepy popycha.

Rozpustnik jest jak ów żebrak ustawicznie się naprzykrzający; ale miłośnik z przyjaźnią jest jak ów dobry dziedzic z gruntu, który go codzień robi lepszym, aby lepiéj używał.

Miłość z czasem stygnie a przyjaźń nabiera siły.

Nikt nigdy nie żałował, że się w zapędzie pasyi swojéj zatrzymał.

Kiedy nad kim rozkosz panuje, stoją na boku spłakane cnoty.

Zysk nabyty przez zbrodnią szkołą jest: pieniądze powetować można, tamtéj nigdy.

Jeżeli mówimy o drugich to, co się nam podoba, usłyszymy o sobie to, co boli.

Pamiętam to, co chcę pamiętać, a nie mogę zapomnieć tego, co chciałbym zapomnieć.

Są choroby, w których lekarzowi na duszę bardziéj chorego, niżeli na ciało oglądać się należy.

Nie może mieć życia szczęśliwego, kto czasem nieszczęścia znieść nie umie.

Namyślaj się długo, przystępując do roboty, ale jak tylko zacząłeś, kończ najpilniéj.

Bądź grzeczny ze wszystkiemi, a najbardziéj z krewnemi: temu zaś, który ciebie obraża, mów: słodko mi kochać ciebie, zostaw mi tę słodycz.

Mówiąc o człowieku, że ma charakter, rozumiemy o tym, który pewny sposób działania swego stale utrzymuje.

Sekret jest cudza własność, nie wydawaj go drugim, on tobie w depozyt oddany.

Nie wstydź się, gdy zdybiesz krewnego ubogiego: ale wstydź się, kiedy go nie ratujesz.

Zapomnij o sobie dla twego przyjaciela, a on cię przyprowadzi znowu do ciebie.

Pięknie być rywalem swego przyjaciela, ale tylko cnót jego i sławy.

Człowiek cnotliwy nie żałuje i życia swego, gdy o to chodzi przy dobréj sprawie, i to jest ostatnią pieczęcią cnoty.

Mądry jest stały, ale nie uparty.

Odwaga bez rozumu zwierzęca, a z rozumem ludzka.

Szukają ludzie bogactw, co im ciężko, cnotę wszędzie znaléźć można, a szukać jéj nie chcą.

Wielcy ludzie i mędrce po śmierci nawet swojéj uczą.

Ktoś rozrzuca w momencie, czém los wielu nieszczęśliwych utrzymaćby można.

Nie dosyć, żeś zasłużył na naganę, jeszcze się za nią gniewasz.

Mało ludzi ginie przez truciznę, a obaczona wstręt nam czyni. Jakże wielu zginęło przez rozpustę, wszelako lubimy ją. Siedzi dziecko na bryle śniegu i chełpi się z wyniesienia swego: słońce przygrzało i dziecko upadło w błoto.

Nikt nie będzie szanowany, kto sam siebie nie szanuje.

Kochać nieprzyjaciół jest heroizmem, kochać kochających, naturą, ale nienawidzieć kochających, bestye nawet nie umieją.

Ten jest prawdziwie sprawiedliwym, który woli, że jest, niżeli żeby go widziano sprawiedliwym.

Praca, jeżeli jéj skutek odpowiedział, większą bez porównania ma rozkosz, niżeli wygodniejsze próżnowanie.

Łatwiéj wiele obiecać, niżeli mało dać.

Teramenes Ateńczyk sam pozostał w zawalonym z ludźmi domie; winszowali mu tego szczęścia, a on bał się cięższego losu. Jakoż potém okrutnie zabity był.

Gdybyśmy cudze nieszczęścia rozważali, nasze daleko nam mniejszem zdawałyby się.

Upadłeś pod pociskiem fortuny, boś wyszedł przeciwko niéj bezbronny.

Dzięki naturze, że to, co do utrzymania życia potrzebném koniecznie jest, tak łatwo dostać.

Rękoma w mówieniu ruszający zdają się ratować słaby swój rozum, albo wymowę.

Miasto i wioski są to zgryzot ludzkich gospody: tam się troski i płacze zamykają, a bardzo rzadko dla radości wrota otwarte..

Człowiek, który z wielkości upadły podłym jest, nie wart był szczęścia, które go wyniosło.

Nic nie robiąc, człowiek uczy się źle robić.

Nie gada ten przed ludźmi śmiało, któremu zbrodnią jaką zarzucić można.

Nieszczęśliwa szczęśliwość jest, która człowieka robi zuchwałym.

Ściślejsze są węzły cnoty, niżeli krwi.



Sumnienie jest ogniem niezgasłym, który dobrego rozgrzewa, a złego pali, równie oświecając obudwóch.

Przywiąż się tylko do cnoty, a nie będziesz się żalił na fortunę.

Podły niewolniku! straciłeś prawo chwalenia mię, kiedyś go nie miał mówienia mi prawdy, gdym krzywy.

Pochwała miła tylko od cnotliwego.

Kto serce otworzył dla namiętności, wejdzie z niemi razem i niepokój.

Lepsza w domu szkoda aniżeli wstyd.

Czyń dobrze, będziesz miał zazdrosnych i uwłaczających ci: czyń jeszcze lepiéj, a zawstydzisz ich.

Kiedy się człowiek rodzi, płacze, a przytomni cieszą się; ale kiedy cnotliwy umiéra, uśmiecha się, a wszyscy płaczą.

Najpiękniejsza to była walka, gdy jedna cnota drugą pokonywała.

Cnota i złoto są jak dwa ciężary, na wadze położone, z których jeden nie podniesie się, aż drugi zniżyć się musi.

Sława zwyczajnie większa po śmierci: bo wtenczas ustaje zazdrość, która ją tłumiła.

Ja to sam czuję, że coś znaczniejszego jestem niżeli, jak mi moje namiętności powiadają.

Któż za mną da dobre świadectwo Bogu, kiedym się z całą naturą pokłócił?

Sumnienie jest to sędzia, namiestnik Boga, w duszy człowieka, i przyjdzie czas, że Bóg potwierdzi wyroki jego.

Filozofio! dziś mi każesz kochać przyjaciela, a jutro, kiedy umrze, bronisz mi płakać.

Filozofia w chwili zacisza i spokojności daje nam zaufanie w sobie, ale często odbiega nas w godzinie potyczki.

Pókim był szczęśliwym, nie wiedziałem, kto mię prawdziwie kocha: nieszczęście odkrywa prawdziwych przyjaciół.

Ktoś umie sztukę podobania się ludziom, ale szczęśliwszy, który podoba się bez żadnéj sztuki.

Żądam pieniędzy, ale na to tylko, ażebym pokazał ludziom, jak mają być obracane.

Słońcu i miesiącowi wdzięczny jestem, chociaż nie dla mnie tylko jednego wschodzą.

Godność przyjdzie i takiemu, co się nie stara, ale nie cnota.

Życie jest komedya, nie jak długo, ale jak dobrze grana.

Niech mi fortuna uczyni krzywdę, bylem sobie ja sam krzywdy nie uczynił.

Czas uwalnia ludzi pospolitych od smutku, ale rozum uwalnia mądrych.

Niéma nic tak pospolitego, jak oświadczenie przyjaźni, ani nic tak rzadkiego, jak wypełnienie téj obietnicy.

Ani ludziom, ani występkom służę: jestem wolny.

Sokrates przed śmiercią powiedział: „Bóg będzie miał staranie o dzieciach moich, który mi je dał". A do Krytona rzecze: „porzuciwszy tę ziemię, znajdę przyjaciół, albo takich jak wy, albo lepszych: ale i z wami wkrótce się obaczę".

Prawdę o tobie mówi twój nieprzyjaciel, popraw się, a jeżeli nieprawdę, pogardzaj.

Komu sumnienie nie grozi: kogóż on bać się będzie?

Człowiek nizki kontent z siebie, ale człowiek duszy niepospolitéj codzień sobie ma coś do wymówienia.

Piękność dowcipu sprawuje w nas słodkie jakieś wzruszenie, piękność duszy szacunek, a piękność ciała miłość.

Rządząc się według natury, nigdy nie będziemy ubogiemi, ale według opinii, nigdy bogatemi.

Bądź grzecznym dla każdego, a małym kosztem kupisz sobie wiele przychylnych.

Co pomoże rozum i cnota, kiedy nas boleść przenika? Cnota wtenczas zdaje się wyrzucać naturze, za co przyciska niewinnego.

Poczciwa ekonomia jestto rozsądna gospodyni, która mieszka, stroi się i stół ma według dochodów, chroni się zbytków i nic nie poczyna bez namysłu; czasem ona i hojna; ale zawsze idąc środkiem między skąpstwem i rozrzutnością.

Nudzenie się jest chorobą występnych, którzy tracą czucie rozkoszy wszystkich, odstąpiwszy od swoich obowiązków: jest chorobą żyjących, nadzieją lepszéj przyszłości.

Ten, kto lubi pracę i ma sposobność pracować, nigdy się nie nudzi.

Zazdrość jest to cień, który zawsze chodzi za cnotą i bogactwem.

Nadzieja jest, jak przepowiednia kalendarza: jedno się przypadkiem uda, a tysiąc fałszywych.

Rozum jest to słowo powszechne i ma pod sobą szczegóły, jako to: dowcip, zdrowy rozsądek, talenta.

Przez familiarność przychodzimy do przyjaźni, którą chęć przypodobania się tuczy, a poczciwość serca utrzymuje. Zbyteczna familiarność szkodliwa przyjaźni: bo zdaje się pogardzać przyjacielem, który nad wszystko szanowanym być powinien.

---

# ROZMOWA VIII.

## O MAŁŻEŃSTWACH I ĆWICZENIU MŁODZIEŻY.

Rozmowa ta jest przy Gimnazyum ateńskiém, wchodzą ciż sami: (Platon, Dyon Syrakuzański, Speuzypp, siostrzan Platona, Arystoteles, Ksenokrates, Focyon, Demostenes; prócz innych uczniów Platona).

Dwojaka Wenus jest: pierwsza bez matki, niebieska, z téj czysta miłość; druga z matki rozkoszy, i ta pospolita.

Rozkosz jest słodkie wzruszenie zmysłów; chociaż zawsze pełna słodyczy, często wszelako smutek po sobie zostawuje.

Prawdziwa miłość nigdy nie była przedażną.

Ucho, nie oko ma wybierać żonę.

Ty, co się starasz o żonę, starasz się o szczęście w życiu twojém: jakże się to przypatrywać potrzeba téj twojéj przyszłéj, żebyś nie natrafił na nieszczęście.

Wejście do małżeństwa jest usłane kwiatami, a wstąpiwszy za próg, często ciernie i głogi zastajemy. Obcy chcieliby mieszkać w tém miejscu, a gospodarz radby czasem uciekł.

Niech ma przyszła żona twoja skromność, do gospodarstwa domowego skłonność, o wielki świat niedbałość, niech twoją będzie nie tylko kochanką, ale przyjaciółką, a ty się najlepiéj ożenisz.

Prawa Likurga wyłączały od wszystkich urzędów ludzi bezżennych, i byli smagani i najgrawani corocznie przez kobiety u posągu Junony.

Nie kocha szczerze żadnéj, kto więcéj jak jednę kobietę kocha.

Złe wielkie na ziemi—cudzołożnik, który z cudzego złego słodyczy szuka, ale on krótką rozkosz za wielkie kupuje niebezpieczeństwo.

Niech będzie miłość w małżeństwach, ale czemu rozpustę wprowadzacie, tę nierządnicę, w pośrodek niewiast uczciwych.

Kobiecie niepięknéj najłatwiéj być cnotliwą.

Próżno Teonę zowią piękną jutrzenką, kiedy ona wstaje w południe.

Kobieta, która po piękności w dalszym wieku rządna jest i cnotliwa, z tronu jednego przeniosła się na drugi.

Miłość gwałtowna zdaje się, że uleczy widzeniem kobiety ukochanéj, a często całe nieszczęście stąd bywa, że się ją widziało.

Twarz piękna bez poddanych wszystkim rozkazuje.

Piękna kobieta, kiedy prosi o łaskę ludzi wyższych, daje zrozumiéć, że i sama może wyświadczyć łaskę.

Taić odebrane dobrodziejstwo jest to niewdzięczność, ale mówić o łasce od kobiety odebranéj — niewdzięczność daleko większa.

Kiedy kobiety politowanie nad amantem zdejmować zacznie, moment miłości blizki jest.

Małżeństwo dobrane jakież to szczęście na ziemi! jeżeliby się kiedy sprzeciwiać sobie mogli, chybaby to wtenczas nastąpiło, gdyby jedno za drugie umierać chciało.

Za tyle trudów koło swych dzieci często od nich rodzice nienawiść odbierają; wyglądają prędszéj śmierci tych, którzy im życie dali. A zawsze, choćby najgorszy ojciec, ojcem jest.

Zła matka dla dzieci jest jak ryba, która wypuściwszy raz ikrę, na wieki o swych dzieciach zapomina.

Wielki to posag — wstyd i cnota u kobiety.

Ksantyppa w domu (mawiał Sokrat) uczy mię cierpliwości, abym ją miał między ludźmi.

Małżonkowie niecierpliwi są jak dwa polana rozpalone, które im bliżéj siebie, tém się bardziéj niszczą.

Próbują złota przez ogień, kobietę przez złoto, przez kobietę mężczyznę.

Herkules trzynastéj pracy nie podołał, żony swojéj nie uspokoił.

Często w małżeństwach pierwéj się rodzą przykrości, niż dzieci.

Starość i małżeństwo mają podobieństwo, obojga sobie życzymy, a jak przyjdą, często jesteśmy smutni.

Wstydliwa żona i męża swojego wstydzi się.

Jak wiele jest żon, któreby dały życie swojego męża, za życie ptaszka, albo psa ulubionego!

Im większy w miłości płomień, tém prędzéj miłość sama się strawi.

W małżeństwach przysługi czynione, kiedy są postrzeżone, odebrały nagrodę, ale nie zaraz postrzeżone, zdają się potém słodsze.

Piękność żony mniejszeje mężowi po kilku miesiącach; ale z piękną niebezpieczeństwo trwa zawsze jednakie.



Kobieta piękna, a cnotliwa i mądra, rozrzuca, jak słońce około siebie, płomień i światło.

Żona ma być kochaniem męża, ale mąż przy niéj niech nie będzie zniewieściałym.

Mąż powinien okazywać względy dla żony, a będzie miał w niéj zaufanie, jak w przyjaciółce.

Jakim ty ojcem lub matką, kiedy dziecięciu twemu sposobu do życia nie zostawujesz.

Lepiéj wydać córkę za człowieka bez majątku, niżeli za majątek bez człowieka.

Na małą żonę powiedział Arystyp: małe piękne, ale wielkie złe.

Nie bierz żony z domów wysokich, chybabyś chciał sobie wziąć panią.

Kto dobrego zięcia wybrał, znalazł w nim syna: kto złego, ten i córkę stracił.

Pojmuj żonę więcéj przez uszy, jak oczy, nie zaś przez same tylko ręce, żeby ją miéć bogatą.

Niech czasem żona będzie ślepa, a mąż głuchy.

Nieszczęśliwi małżonkowie, co się tylko kochają: przyjaźń z miłością złączona potrzebniejsza im do śmierci.

Gdyby można w narodzie znieść te słowa: moje i twoje; byłby najszczęśliwszy; ale w małżeństwach koniecznie to być powinno.

Mężu, nie będziesz szczęśliwym, jeżeli żona twoja nie będzie; rozkazuj jéj z rozumem, ale rozum z miłością; okazuj jéj we wszystkiém względy, a pewnie będzie wzajemną. A ty, żono, staraj się być słodką i niesprzeczną mężowi, a kiedy nie masz władzy, dbaj przynajmniéj o kredyt u męża.

Jest miejsce na ziemi, w którém nigdy prawdziwéj wesołości nie było, a to jest w złém małżeństwie.

---

## O ćwiczeniu młodzieży.

Dobry syn u ojca dobry będzie uczeń i obywatel.

Nierządne życie w rodzicach—dzieci ich robi słabemi: ale i w smutkach wielkich poczęte dziecię zdrowém nie będzie.

Mléko do dwóch lat najlepszym pokarmem dzieci, a kozy lub oślicy, w niedostatku macierzystego.

Człowiek, jak drzewo, lepiéj mu na dworze, a przynajmniéj niech ma dziecię powietrze zdrowe i pokarmy potém lekkie.

Zdrowsze dzieci mlékiem z jarzynami żywione, a trochę im tylko mięsa dając.

Zwierzęta drapieżne jedzą mięso, i są drapieżne.

Jarzyny robią człowieka do ludzkości skłonniejszym i dają mu charakter słodszy.

Widać to, że natura sama człowieka nie do mięsa zrobiła, kiedy mu dała zęby tępe do żucia tylko, jak innym roślinami żyjącym zwierzętom zdatne, nie tak jak psu, wilkowi, kotowi i innym im podobnym, zaostrzone do zrywania mięsa przyzwoite.

Ochędóstwo jak w dzieciństwie, tak w dalszym wieku zdrowiem największém będzie. Często kąpać dzieci w wodzie zdrojowéj w czasach letnich. Niech nie sypiają w pierzu, w gorącu, a niech mają odzienie obszerne. Wodę tylko pić mają, a dopiéro, około dwunastego roku ich, trochę mięsa pozwalać.

W siódmym roku jeszcze nie czas długiém siedzeniem psuć zdrowie dziecinne. Owszem utrzymywać (jeżeliby było ciekawe) chęć zbytnią do nauki, ale ćwiczenie ciała umacniając je bieganiem na wolném powietrzu najlepsze.

Życie pracowite w młodości długie lata sprowadza: ale do tego młodzież niech się chroni jeść i pić rzeczy gorące.

Ćwiczenie dzieci w naukach ma być urzędem najpierwszym w narodzie, i to ma być pierwszém staraniem rządu, ażeby do tego cnotliwi i najzdatniejsi byli wybierani.

Nie wypuszczaj z ćwiczenia dziecięcia, póki nie dojrzeje. Natura owocu nie puszcza od gałęzi, póki nie dojrzał, my wcześnie na świat młodzież puszczamy.

Iskra w krzemieniu w samém urodzeniu już jest ogniem doskonałym, z dziecięciem długo pracuj, niżeli go przywiedziesz do doskonałości.

Sokrates nie chciał się mięszać do rządu, ale mawiał, że woli ćwiczeniem młodzieży wielu zdolnych do urzędów uczynić.

Dzieci niech się tego uczą, co im mężczyznom potém i starcom ma być użyteczne.

Temistoklesowi mawiał nauczyciel: „dziecko, ty nie będziesz średnim, ale, albo najgorszym albo najlepszym obywatelem."

Starsi niech czasem z dziećmi razem i głupstwa robią, tak prędzéj głupstw przestaną dzieci, niżeli gdyby je z równemi robili.

W ćwiczeniu młodzieży duszę i ciało ich w ustawicznym ruchu trzymać należy.

Człowiek edukowany zwierzęciem jest najłagodniejszém, ale bez żadnego ćwiczenia—dzikiém.

Dzieci równie się psują karą niesprawiedliwą, jak niekarnością. Najlepsze zaś ćwiczenie dzieci, ażeby patrzyły na dobre przykłady tych, którzy je otaczają.



Dzieci, niżeli co same zrobią, pierwéj naśladują, dawajmyż im najlepsze wzory.

Dzieci lubią historyą, niechże im dawane będą do czytania dzieje cnoty.

Psuć złym przykładem młodych jest to zarażać wody publiczne.

Zabraniać młodzieży śmiechów i uciech jest to chcieć, ażeby wiosna rodziła swoje owoce.

Z dziećmi z największém obchodzić się należy uszanowaniem, ażeby przy nich nic zdrożnego nie mówić.

Natura daje życie, a ćwiczenie daje życie dobre.

Czego ojciec żałuje, że zrobił w życiu swojém, niech od tego ochrania dziecię swoje.

Nauczysz dziecię, jak to miéć sumnienie, jeżeli go często przestrzegać będziesz w błędach, w które wpadać może.

Niech się dzieci uczą bez przymusu, wmawiając im naukę, jak zabawkę tylko.

Kto zrobił w dzieciach wstręt od kłamstwa, już ich tém samém zrobił na potém poczciwemi.

Solon prawo śmierci napisał na tego, ktoby wszedłszy do szkoły dzieci, zgorszył je.

Kobiety mają czułość większą do dobrego wyżywienia dzieci, a mężczyzni do ich edukacyi sposobność.

Od dzieciństwa wprawiać się należy nosić jarzmo trudów, a potém tak nam przykremi nie będą.

Nie żądaj wiele roztropności od młodych, nie mają doświadczenia.

U Greków dawnych żałował umierający młodzian, że się rodzicom za ich starania w dzieciństwie około siebie czynione nie wypłacił.

Zły syn tém przykrzejszym ciężarem dla ojca, że go zrzucić z siebie nie może.

Uczą w szkołach głębokich, albo bawiących nauk: nie masz szkoły, gdzieby uczono cnoty, a ta byłaby i łatwiejsza do pojęcia i potrzebniejsza nad inne: bo cnotą narody stoją. Ćwiczenia młodzieży insze są koniecznie potrzebne w narodzie, a insze tylko piękne.

Dzień jeden u ludzi uczonych rozciąga się dłużéj, niżeli życie całe głupiego.

Niech sobie mówi człowiek, a najbardziéj młodzian każdy, dla mnie to mędrce tyle ksiąg napisali, czemuż ja z prac ich nie pożytkuję?

Wymowa należy do ćwiczenia młodzieży, ale nie ta wymowa jest wielka, po któréj okrzyki, ale po któréj płacz i milczenie.

Nauka największa jest niczego się złego nie nauczyć.

Solon powiedział: „postarzałem się, każdego dnia czegoś się nauczając".

Nauki szczęśliwym są ozdobą, nieszczęśliwym pociechą. Nauki

czynią to, że sam z sobą być i bawić się mogę. Majątek przypadek zniszczy, a nauka zawsze zostanie się.

Jak podróżny bez wiadomości drogi, tak człowiek bez edukacyi prędzéj zbłądzi.

Naukę cnoty niech daje człowiek cnotliwy, bo kilka lat uczenia jedna zbrodnia nauczyciela popsuje.

Pismo jest słowo martwe, a trwa dłużéj, niżeli pisarz.

Nauka jest pastwą młodości, starości pociechą, lekarstwem przeciwko nudzeniu się: ona nas prowadzi do poznania samego siebie, i im jest wyższa, tém uczy być pokorniejszym.

Insi tak piszą, że papier wart więcéj niżeli to, co napisali.

Czyliż potrzeba koniecznie zabijać ludzi, ażeby zasłużyć na wspomnienie historyi.

Nauka sama siebie znieważa, zapominając o królach dobrych, albo ludziach poczciwych, kiedy im sprawiedliwości nie oddała.

Lepsza jest niewiadomość rzeczy zupełna, niżeli wiadomość wielu niedoskonała.

Książka jest dobra, kiedy w niéj autor mówi, co trzeba, kiedy nie mówi tylko co trzeba, i kiedy mówi, jak potrzeba.

Szkoła Talesa skończyła się na Anaksagorze, a z nim na najzdrowszéj teologii, i na Sokratesie, a z nim na najlepszéj obyczajności.

Nie przyganiajmy (co do edukacyi) kunsztom pięknym, jak niepotrzebnym; wszakże i natura, prócz drzew rodzajnych, wydaje i kwiaty.

Wiele złéj książce, a długiéj, przydać potrzeba, ażeby była krótsza.

Piszący pięknie, ale o złych rzeczach, muzy robi nierządnicami.

Wymowa jak pieniądze, tylko ich na potrzebę używaj, a nie rozrzucaj nadaremnie.

Człowiek, chcący się uformować w pierwszych dniach swoich powinien obcować z umarłemi, w środku wieku z żyjącemi, a na końcu z sobą samym.

Broń podbija ciało, a wymowa ducha.

W starości twoich rodziców ratuj ich, wspomniawszy, żeś był ich dziecięciem; że ten ciężar, który niesie ojciec twój, i ciebie czeka.

Zdarzaj dziecięciu rozrywki słodkie, nie będzie napierać się niebezpiecznych.

Nie naznaczaj dziecięciu wielu obowiązków, bo cię będzie oszukiwać.

Nie traktuj dzieci z grubą ostrością, one wcześnie powinny znać, co to jest honor.

Miłość pokazywać się ma w oczach ojca, który strofuje syna.

Wiele jest dzieci, które dla słabości zdrowia albo pamięci, uczyć się umiejętności nie mogą, ale każde może się nauczyć cnoty.



Kiedy dziecię wyznaje dobrowolnie błąd swój, daruj mu karę: a tak się wprawi mówić prawdę.

Niech twój humor przypadkowy dziećmi nie rządzi; pomięszasz w głowie ich, co to jest sprawiedliwość.

Jakie ćwiczenie dzieci, takiego robi obywatela.

Jeżeli dziecięciu wiele pozwalają, będzie chciało potém rozkazywać: jeżeli mu się ustawicznie sprzeciwiają, będzie podłém, albo złośliwém.

Nie trzeba z nagłością wielką w ćwiczeniu dzieci postępować. Czas, ten wielki nauczyciel, wystarczy ci.

Lepsze dziecko, które pogrożone czerwieni się, niżeli które zbladło: to złości albo podłéj bojaźni znakiem, a tamto wstydu.

Kto był ojcem, nie wstyd mu bawić się z dziećmi.

Staraj się, ażeby syn twój miał więcéj rozumu i cnoty, niżeli majątku.

Sokrates nie dbał o syna mniéj cnotliwego; żonie napominającéj go: „wszakże on synem twoim" plunąwszy na ziemię, odpowiedział: „wszakże i ta ślina ze mnie".

Dzieci pieszczenie wychowane do znoszenia ciężarów obywatelskich niezdatne.

Nauczyciel winien, kiedy się uczeń nieuczciwie sprawuje.

Naucz dzieci twoje skromności, a nie będziesz się za nie wstydził; naucz męstwa, a siebie i ojczyznę obronią, naucz cierpliwości, a zniosą przykrości bez mruczenia; naucz pogardy życia, a umierać będą bez żalu; naucz miłości ojczyzny, a z nią razem będą szczęśliwemi; naucz mówić zawsze prawdę, a będą cnotliwemi; kiedy się kto od młodości w cnotach nie wyćwiczył, z ciężkością mu przychodzi pełnić je potém.

Edukacya fizyczna w dzieciach najpierwsze ma mieć miejsce; bo pierwéj naród potrzebuje ludzi zdrowych niżeli uczonych.

Nudzenie się dziecięcia cały dzień nad książką osłabia napotém siły jego.

Syn twój występny, bo próżnował w dzieciństwie.

W dzieciństwie postrzegaj najpierwéj, żeby strachami dzieci nie trwożono, bo stąd potém rosną tchórze.

Edukacya dzieciom pokazać powinna, jakiéj rozkoszy szukać, a jakiego bólu chronić się należy.

Niech sami cnotliwi dziecię otaczają, a pewnie będzie cnotliwém.

Wielkie to święto narodu w Atenach, kiedy dzieci zapisują się na obywatelów.

Młodzież nic o religii dysputować nie ma, a edukacya jéj z prawami narodu i opinią zgadzać się ma.

Niech będzie ustawicznie dziecię zatrudnione ćwiczeniem jakiém, albo uczciwą rozrywką; a nie będą miały namiętności czasu wzrastania.

Niech się dzieci kochają, a nie kłócą; przyjaźń zabrana z dzieciństwa trwa najdłużéj.

Dzieci z natury chciałyby być z dziećmi, dlatego edukacye osobne szkodliwe są, niemniéj dlatego, że osobno edukujący się majętniejsi, odwykając wcześnie od społeczeństwa, pogardzają potém niższemi w towarzystwie.

Chcąc wszystko z niecierpliwoccią przewidzieć, przeszkodzić, albo zyskać na dziecięciu, możemy wszystko stracić.

Dobrze jest, ażeby dziecię widziało i złe przykłady towarzyszów swoich, ażeby się tak potwierdziło w dobrych.

Jeżeli dziecko jest słodkie, lubią je towarzysze; jeżeli odważne, szanują; jeżeli sprawiedliwe, szacują.

Grzeczność i uleganie co najpotrzebniejsze w obcowaniu, nie nabywa się w edukacyi prywatnéj, z czasem konwersacya z wielu to sprawuje.

Kto się uczy na pamięć, nie z doświadczenia, wyszedłszy na świat, znowu się między ludźmi uczyć musi.

Za co niéma być dziecię z poczciwym służącym razem? Tak nie będzie ludźmi pogardzało.

Dzieci, ucząc się w tłumie, nauczą się, jak potém w tłumie z ludźmi obchodzić się, nikim nie pogardzając.

Sekret największy edukacyi, do tego, czego chcemy, aby się dzieci nauczyły, przyłączyć słodycz, a obrzydliwośc z tego, czego się chronić mają.

Niech nauczyciel prowadzi dzieci na miejsce, gdzie publiczną śmiercią karzą zbrodniarza jakiego. Niech im tłómaczy, że zbrodniarz każdy od małych występków zaczynał, które, kiedy w nim nikt nie poskramiał, przyszedł do wielkich zbrodni, a potém tak okropnie zakończył. Kiedy obywatelowi zasłużonemu publiczne w narodzie honory czynią, na tę uroczystość niech nauczyciel uczniów prowadzi, powiadając im, jak to jest pięknie cnotliwym być, i jakiéj nagrody dobre sprawy czekają między ludźmi. Takiemi sposobami przez widzenie publicznéj kary zbrodniarzów, albo publicznéj nagrody cnotliwych mężów, lepiéj nabiorą dzieci wstrętu od zbrodni, albo przywiązania do cnoty, niżeli najdłuższém nauczyciela gadaniem.

Dzieciom lepiéj się uczącym mają być dawane w szkole szanowne nazwiska naczelników, senatorów, wodzów i tym podobne, a tak łechtać będzie drugich ambicya uczenia się najlepiéj.

Religia, jakakolwiek jest, ma być gruntem edukacyi, bo każda broni występków głośnych, a tajnym grozi karą za nie po śmierci.



Pokaż dziecięciu zyski nieskończone z nauki; czegoż się nie dokaże na ludziach honorem i chlebem!

Ojcem jesteś, dbajże o dziecię twoje, ażeby więcéj jeszcze miało rozumu i cnoty, niżeli majętności.

Rodziców władza potrzebna była w dzieciństwie dla słabości dzieci, potrzebna i w młodzieńskim wieku, dla trzymania zapędów jego.

Ten ciężar, który niesie twój ojciec i którego możesz mu ulżyć, a nie chcesz, będzie ciężarem twoim na całe życie.

# PRZYPOWIEŚCI.

## I. Przykład uczynności dla bliźniego.

Almanzor między sąsiadami był jak ojciec w pośrodku dzieci swoich. Drzwi jego otwarte dla każdego, i głodu we wsi nie było, póki u niego chleba stawało. Ale niebo zamknęło deszcze, i sucha rola stała się niewierną, straciwszy zupełnie nasienie i przyszłego żniwa nadzieję. Stało się, czego się bano, przyszedł nakoniec głód ciężki i znalazł każdego w domu swoim. Dzieci, ten robak jedzący ustawicznie, patrząc na ręce matki swojéj, płakały chleba, którego im tak dawno obiecywała: a ona próżno wytrząsa naczynie, w którém się chowało zboże; i jeszcze im się do jutra prosi. Indziéj, niestrawną żołędzią napchany wieśniak puchnąć zaczął. Strapiony wierny przyjaciel jego radby go do śmierci ubiegł; i zdaje się być spokojniejszym, kiedy także na sobie równą puchlinę postrzega. Siedząc pod dębem, który ich trucizną żywił, przyrzekają sobie wzajemnie, że pierwéj zmarły pogrzebiony będzie przez pozostałego; a poglądając smutno na dół, który sobie już wykopali, przyczyniają jeszcze boleści, wspominając na dzieci swoje polesie rozpierzchnione.

Powietrze, ten wierny towarzysz głodu, już się zbliżało, kiedy Almanzor, przechodząc z synem po ulicy, napadł leżącego na ziemi człowieka zemdlonego i wpółobumarłym głosem pożywienia proszącego. Wzruszyły się wnętrzności jego, i pomyślił sobie: na cóż mi tych sprzętów w domu, jeżeli za nie chléb kupiony sto ludzi od śmierci powróci? podzielę tę odrobinę zboża, którą mam jeszcze, pomiędzy bliźnich moich; pojadę w kraj jaki cudzy, gdziebym za mój dobytek chleba dostał.

Tak myślał litością zdjęty i do syna swojego mówić zaczął: „Rustanie, synu mój! widzisz te siwe włosy na głowie mojéj; znaki to są lat wielu! przecież jestem rzeźwy, i lekarz żaden w domu moim nie



postał. Szczęśliwy to skutek przestawania na małém, bez zbytecznych zabiegów, pomierności w napoju i pokarmie, bez wyszukiwania ich zbyt wymyślnego; trzymania się zawsze prawdy, bez pobłażania nikomu; udzielności dla bliźniego, bez fałszu; znoszenia przypadków, bez pochylenia się; szanowania religii, bez badania się w skrytościach jéj: a stąd błogosławieństwa nieba. Powiédz mi, synu! patrząc na tego z głodu umierającego człowieka, uczułżeś tę siłę mocnego politowania, która zdaje się rozrywać wnętrzności? Potrzeba, dziecię moje, skoczyć w wodę, ażebyś tonącego brata twojego poratował; potrzeba nie żałować krwi twojéj, jeżeli bliźni twój inaczéj obronionym być nie może. Któżby dopiéro marnego zbioru żałował, żeby nim drugiego w potrzebie nie wspomógł? Jużem, jak widzisz, posiwiał; a zawsze sąsiadom chlebem i pieniędzmi mojemi służąc, dotąd przecie niczego żądny nie byłem. Rozdajmy na zgłodniałych, co mamy pożywienia, weźmy tę trochę pozostałych pieniędzy i szukajmy rychło w cudzym gdzie kraju chleba dla braci naszych. Nie stracimy na tém, synu mój! Ile tylko razy miałem sposobność udzielania chleba mego potrzebnym, zawsze to u mnie było znakiem wielkiego urodzaju w roku przyszłym."

Tak Rustana uczył Almanzor. Rozesłał zaraz pożywienie potrzebniejszym; zabrał pieniądze wszystkie, cokolwiek z kosztownych sprzętów zabrać się mogło, i ruszył wraz z synem w drogę.

Po dniach kilku podróży, nocleg im przypadł w lesie; zwierz dziki w nocy poszarpał bydlęta, któremi jechali — a strwożonemu stąd Rustanowi, tak ojciec smutek rozwodził: „Ty widzę, synu! długo żyć nie chcesz, kiedy się tak lada przypadkowi podajesz. Jak tylko wierzysz, że z ręki boskiéj wychodzi wszystko, na kogóż narzekać będziesz? albo kiedy narzekania, choćby największe, szkodę komu powróciły? Z drugiéj strony: Opatrzność o każdém swojém myśli stworzeniu. Zwierzowi drapieżnemu wyznaczyła cząstkę między bydlętami naszemi; i nie na to stworzonym jest, żeby głodem morzony był. Niżeli człowiek ugłaskał rodzaj koński, i pochlebnemi naprzód uwodząc go sposobami, zdradliwie potém do ciężkiéj zaprzągł pracy; co rozumiesz? jak wiele przedtém wieków upłynęło, że konie bez przeszkody pod wilków były panowaniem? a to im prawo Bóg i natura w sercu ich napisała. Rozsądźże teraz między wilkiem i człowiekiem, a pamiętaj nadewszystko, żebyś usprawiedliwił Boga i naturę."

Stanęli nakoniec w mieście, w którém żywności dostać spodziewali się; ale tam zastali surowy zakaz sprzedawania zboża, a to dla bojaźni głodu, którym także groził niedostatek. Dlatego potrzeba było wiele jeszcze przyczynić drogi i wydatku, niżeli nareszcie przyszli do miasta, gdzie kupić można było.

Długą podróżą wycieńczeni i niepomiarkowaną ceną zagadnieni,

przedawszy sprzęty, i obrachowawszy resztę pieniędzy, znaleźli się w niedostatku, że ledwie kupione za to wszystko zboże na domy ich wystarczyć mogło. W tym ciężkim stanie, oddaleni od swoich, bez przyjaciela i znajomego (bo tam już nie słynęły cnoty Almanzora), byli przymuszeni z żalem powracać z próżnemi rękoma do domu swego, kiedy Rustan mówić zaczął: „Ojcze mój! pamiętam nauki twoje; i widziałem, z jaką przychylnością byłeś o dobro bliźnich. Na cóżbym żył na świecie, gdybym się nie starał naśladować ciebie?.. jestem młody, zdam się do pracy. Znajdziesz łatwo w tém mieście pana jakiego, który mnie w niewolą kupi. Za te pieniądze dostaniesz zboża; a powrót twój do domu ożywi tyle ludzi umierających. Ja tylko na wolności mojéj tracę; a jakeś mnie nauczał, potrzeba życie nawet samo ofiarować dla życia bliźniego mego. Nie będzie komu płakać za mną w domu naszym (na coby ci patrzéć za przykro było); matka stara już umarła. Ani ja w zaprzedaniu mojém będę się mógł smucić, zawsze sobie przypominając, że współobywatele moi żyją wdzięczni ojcu mojemu."

Łzy się rzuciły z oczu Almanzorowi, które i smutek nad utratą tak dobrego syna i radość nad wielkością cnoty jego wycisnęły. „Tak jest, synu! tak (mówił Almanzor, łkaniem przerywając słowa), z pociechą patrzy niebo na ofiarę twoję. Bronić ci tego nie mogę; chociażbym cię nie chciał tracić z oczu, póki jeszcze cokolwiek temi słabemi oczyma widzę. Mnie lata zrobiły niezdatnym do niczego, że ci teraz tylko zazdrościć muszę. Bądźże wiernym panu, który ci się trafi. Jeżeli ci się co przykrego od niego zdarzy, znoś zawsze skromnie, i w bojaźni, jak niewolnik. Pokorą go uspokoisz, pokorą miłość sobie u niego zjednasz. Nie oszukuj go w pracy twojéj; a w słowie twojém bądź rzetelny i stateczny.

Piękny z oblicza Rustan i w samym kwiecie rzeźwéj młodości, znalazł prędko na siebie kupca; znaczne pieniądze odrachowane Almanzorowi, z umową, ażeby, jeżeli syna uwolnić zechce, po trzech leciech oddane były: inaczéj wiecznym zostanie u pana swego niewolnikiem.

Dobrze opatrzony w zboże Almanzor powracał do domu; kiedy z daleka współobywatele, poznawszy wozy dobroczyńcy swego, tłumami przeciwko niemu wyszli. Już się im przebrało było podzielone równo między nich pożywienie; i matki często wysyłały dzieci swoje na gór wierzchołki wyglądać powrotu Almanzora. Idźcie (mówiły), on tam w polu, jeszcze nie dojeżdżając, chléb wam rozdawać będzie: jego pożegnania i najpierwsze z nami powitania, były zawsze dobroczynne. Ale długo powracały do domu dzieci spłakane, niżeli przyszedł nakoniec dzień obfitości i pociechy powszechnéj, którą płacz



żalu i wdzięczności pomięszał, kiedy się dowiedzieli, jak się dla nich wspaniale Rustan ofiarował.

Żniwo przyszłe było plenne, i następujące lata urodzajne zrobiły taniość w kraju; stąd poszła trudność przygotowania się na wykupienie Rustana. Kiedy już blizko następował czas odwożenia pieniędzy: przyjaciół swoich zastał Almanzor, albo w niedostatku, albo niewdzięcznych. Już i minęła pora umówiona: strapiony ojciec wreszcie odważył się jechać po syna, chociaż znacznéj jeszcze części pieniędzy nie miał. Chciał na miejscu jego zostać, a syn uwolniony prędzéjby się o resztę postarał. Ale ciężka choroba zatrzymała go w domu, którą nieznośny frasunek i praca wielka w tak późnym wieku sprowadziły. Czekał na łóżku od dawna śmierci, niczém niepocieszony starzec. Stracił i oczy, których nie żałował, straciwszy (jak mówił) Rustana, i nie mając już na co patrzyć na ziemi, kiedy nagle, jeden już tylko pozostały z sług jego, a wiernie go w chorobie pilnujący, o powrocie Rustana znać mu daje. Porwał się jeszcze z łóżka umierający Almanzor, i zdało mu się z radości, że na nogach stojąc z synem się swoim przywita. Ale wtém nadszedł Rustan: nie wstawaj, mówił, ojcze, ty widzę słabym jesteś! o jakże to pociechę moję mięsza. „Ja, synu! nie widzę, rzekł Almanzor; ale poznaję głos twój. Rustanie, synu mój! ja cię podobno krótko i słyszéć będę. Powiédz mi rychło, jakim sposobem wyszedłeś z niewoli twojéj, bo się obawiam, ażebyś ucieczką pana twego nie zdradził."

Nie, ojcze mój! odpowiedział Rustan. Jam szedł zawsze za napomnieniem twojém. W pracy, którą mi naznaczono, byłem pilny; a co mi czasu nadto zbywało, pomagałem inszym niewolnikom słabszym i wolniéj robiącym; chcąc ich przez to od kary uchronić, i nie dawać przyczyny do zagniewania pana. Nigdy nikogo nie oszukałem, i nikt mnie o nic nie strofował. Uważał wszystkie kroki pan mój, i poznałem to, że miał przywiązanie do mnie. Kiedy przyszedł czas wykupu mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać, zawołał mnie do siebie, i tyle mi tylko powiedział: „Pieniędzy nie masz; czas wyszedł; znasz opis: już moim jesteś." Prawda, że wtenczas zapłakałem, wspomniawszy sobie, że już na wieki domu mojego nie zobaczę; nie wiedziałem, jak blizko mnie było szczęście moje.

Pan mój pierwszy raz obaczywszy łzy moje, nie mógł się dłużéj utrzymać z dobremi dla mnie myślami swojemi, przycisnął mnie do siebie i sam ocierał łzy moje. „Ty, powiada, Rustanie! lepszego losu wart jesteś. Żal ci zapewne domu, i będziesz go widział! Przecież cię inaczéj od siebie wypuścić nie chcę, tylko żebym wraz z ojcem twoim równe mógł miéć do ciebie prawo. Mam córkę, która będzie bogatą; z tobą Rustanie, będzie i szczęśliwą. Jedź do ojca, powieź mu odemnie dary; proś o błogosławieństwo. Niech się tu

sprowadzi do mnie, albo ja pojadę ze wszystkiém do was mieszkać w tym domu szczęśliwym, gdzie razem i cnota mieszka."

Almanzor zaczął błogosławić syna — i już to ostatnie słowa jego były, bo wkrótce potém na ręku Rustana skonał.

## 2. Przykład Religii.

Słońce się miało ku zachodowi, kiedy Polidor, chcący zażyć wieczornéj chwili, po nad brzegiem morskim w kilku przyjaciół przechodził się, i do córki swojéj dziesięcioletniéj, którą za rękę prowadził, tak mówić zaczął: „Dziecię moje, posąg ten Neptuna, który na tym wzgórku widzisz i któremu się lud bałwochwalny, jako Bogu, kłania, szczerym tylko kamieniem jest; próżno na twarz przed nim padając, wśród gorących modlitw zimne jego liżą nogi, bo on z natury swojéj i głuchy i nieczuły. Ale ani księżyc, ani to słońce (chociażby najbardziéj ludzi zaślepiać mogło) Bogiem jest. Klimeno! patrz, jak się schyla ku zachodowi, i to znaczy niedostatek jego, że chcąc oświecić drugą połowę ziemi, dla nas mu już światła nie staje. Potrzeba, żeby Bóg był przytomnym wszędzie i zawsze; widzącym wszędzie i zawsze; widzącym wszystko bez zasłony, dostarczającym bez ujmy sobie; wszechmocnym bez wsparcia i wielkim bez miary."

„Jeden tylko jest Bóg, ani więcéj ich być nie mogło. On wolą swoją wyprowadził z niczego wszystko, co widzisz, żadna zaś rzecz sama siebie stworzyć nie mogła, boby musiała być pierwéj przed sobą. On z drobnych proszków pozbijał te twarde kruszce i skały, i z nich insza ręka człowieka na ozdobę, albo wygodę jaką, insze zaś (wielorakie im postacie dając) na różne w bałwochwalstwie posągi obróciła; z których reszty po pod nogi nasze walając się, świadczą o podłym ich początku. On rusza te fale morza; i brzeg, po którym chodzimy, położył mu za granicę. Kwiatami obsypał ziemię i zrobił dla żywności stworzenia swego urodzajną. W głębokości powietrza pozawieszał gwiazdy swoje; inszym zaś bieg naznaczył, którego jednostajnie pilnują. A na ziemi prowadzi człowieka za rękę, środkiem tysiąca niebezpieczeństw, które go otaczają."

„Klimeno! gdzie tylko spojrzysz, on wszędzie jest, widzieć go możesz w tym równym rządzie świata; w tobie saméj, i w twojém dalszém powodzeniu widzieć go będziesz. On często umartwieniem pociąga do siebie ludzi; ale On dobry ojciec jest, nie długo martwi dzieci swoje. Przecież chroń się złego, bo on jest sprawiedliwy; przenika myśli twoje i nigdy nie karze bez przyczyny. Trzymaj Go się statecznie, a bądź Mu wierna."



Jeszcze coś chciał mówić Polidor, kiedy niespodziewanie od zbójców morskich obskoczeni, wszyscy razem zabrani i na okręt zaprowadzeni byli: Zmrok, który nadchodził, powiększał okropność ich przypadku, za którym nastąpiła i rozpacz, kiedy z umykającym się śpieszno okrętem ginął przed oczyma brzeg ich, z którym się na wieki żegnali. Klimena przestraszona pod poły ojca tuląc się, tak go w spólném umartwieniu cieszyła: „Kiedyśmy po nad brzeg morski chodzili, Bóg widział nas równie, jak i tych zbójców, on nas pozwolił porwać. On nic nie robi, ani nie karze nikogo bez przyczyny; ale téż, jak dobry ojciec, niedługo martwi dzieci swoje". Wielką to było pociechą dla Polidora słyszéć tyle z ust dziecięcia swego wtenczas, kiedy nawet przyjaciele ciężkim smutkiem przyciśnieni, w kącie okrętu wzdychając, i sobie i jemu radzić nie mogli. Ale oczywista nędza, która ich trapiła, i myśl gorzka, która im więcéj jeszcze nieszczęścia obiecywała, osłabiały prędko pociechę tę; a rozum, poradny w swobodzie, jedna przygoda zrobiła dla nich nieużytecznym.

Stanęli nakoniec u brzegu nieznajomego, który im żywszy wystawił obraz niewoli przyszłéj. „Oto już podobno ta jest ziemia nieszczęśliwości naszych! zawołał Polidor. Ojczyzno moja, jakżeś mi dzisiaj słodka; dogodziło się przeznaczeniu memu: nie umrę w domu moim i nie obaczę na wieki ziemi, w któréj mi się jedynaczka moja Klimena urodziła".

Tymczasem łodzie, które podpłynęły, przeprowadziły na brzeg rzeczy i niewolnika; gdzie zaraz za cenę umówioną kupieni i panu swemu oddani byli. Wszystkiego był dostatek wielki, co do wygody ich należéć mogło; jeden tylko zakaz nie wychodzenia za obejście domu i ogrodu, całą był ich niewolą tak dalece, że z czasem przyzwyczaiwszy się do życia tego, Klimena zaczęła być spokojniejszą i tak do ojca mowiła: „Nie zapomniał, widzę, Bóg o nas, dając nam pana z sercem litośném. Bojaźń sama była udręczeniem naszém, a istotnego złego jeszcze nie doznaliśmy. Jestem teraz zupełnie spokojna! (powtarzała to po kilkakroć, całując w ręce ojca swego), zupełnie jestem spokojna z tobą".

Ale Polidor westchnąwszy, odpowiedział: „Dziecię moje, nie ufaj nigdy fortunie, choćby cię najbardziéj upewniła. Bardzo często pokazuje ona ludziom niby grunt mocny, na którymby się śmiało oparli, ażeby potém tém cięższy nastąpił ich upadek. Ty nie wiesz, co to był za człowiek dziad twój? Bogactwa jego daleko słynęły, a zazdrość i przypadek nie mogły mu zaszkodzić nigdy. Ja dobrze pamiętam, jak ze wszystkich stron przychodził dostatek w dom jego; a za nim (jak zwyczajnie bywa), przyjaciół mnóstwo zrobiło go możnym w okolicy. Drzwi jego, otwarte dla każdego, zjednały mu powszechnie imię dobroczynnego. A co bardziéj jeszcze zdało się upe-

wniać mu stateczność szczęścia tego, że dziad twój zbierał zawsze poczciwie, a z tego bliźniemu swemu w potrzebie, na nic się nie oglądając, udzielał hojnie. Nikogo w kupnie, albo przedaży nie oszukał; nikogo w daném słowie nie zawiódł; był wiernym Bogu, i bliźniemu".

„Otóż nakoniec ogień i woda podzieliły między siebie dostatek jego wtenczas, kiedy nam wszystkim oświadczył, że dlatego tak wielką, bo już ostatnią za morze wyprawę czynił, ażeby potém spokojnie resztę dni swoich kończył. Téj właśnie godziny przyszła nowina rozbicia się ze wszystkiém okrętu jego, kiedyśmy pomiędzy dogorywającemi popiołami spalonego domu naszego, zbierali kawałki naczynia stopionego. Ale Bóg wszystkiém rządzi i rządzi sprawiedliwie; za tę dziada twojego uczynność dla bliźniego i jego w niczém nieposzlakowane życie, czyliż się był powinien takowego końca spodziewać?"

„Klimeno! dusza nasza nieśmiertelna jest i nikt darmo cnotliwym nie był. Szczęście albo nieszczęście nie będzie na ziemi nagrodą cnoty: bo tyle razy doświadczamy, że się do końca wiedzie bezbożnym. Żeby tedy Bóg w rządzie swoim sprawiedliwym był, potrzeba, ażeby dusza nieśmiertelną była, i inszą nagrodę, nie tę na świecie skazitelną, odbierała. Wiedział to dobrze dziad twój, przyjął bez narzekania z ręki boskiéj ubóstwo, w którém dni swoich spokojnie dokończył".

Rok blizko niewoli ich dochodził, a jeszcze pana swojego nie znali: sami tylko posługujący im o hojności i wspaniałości duszy jego wypowiedzieć się nie mogli. Kiedy raz w ogrodzie ojciec z Klimeną zabawiał się, wszedł niespodziewanie Altamor (to było nazwisko pana ich) i tak mówić pocznie: „Bogowie dali mi dostatek, a ja się nim chętnie dzielę z bliźnim moim. Spodziewam się, że tu wam na niczém nie zbywało. Wdzięczność, którą mi za to miéć powinniście, bogom najpierwéj należy; i dlatego, ponieważ wkrótce wielkie ich święto następuje, potrzeba, ażebyście i wy wraz z całym ludem moim, wystawionym w pośrodku miasta bogom się miejscowym pokłonili". —„Ja, Altamorze! odezwał się Polidor, jedynego wyznaję Boga; Jemu się tylko kłaniam i Jemu za te łaski, któreśmy w tobie znaleźli, dziękuję. Na to-żeś nas w tych wygodach tak hojnie tuczył, ażebyśmy potém, jak bydlęta, od żłobu na rzeź prowadzeni byli? Nie mięszaj, prosimy cię, téj wdzięczności, którą mamy dla ciebie; i pozwól niech w téj wierze spokojnie umieramy, w którejeśmy się szczęśliwie porodzili".— „Ani ty bezkarnie bogów moich szarpać będziesz, mówił Altamor: przez dwa dni jeszcze namyślać się macie: potém was, albo życie spokojne, albo śmierć okrutna czeka".

Wyszedł z ogrodu i zostawił w sercu Polidora głęboki smutek, w którym utopiony, słowa do swojéj Klimeny przemówić nie mógł.



Ona zaś tak ojca swego cieszyła: „I czegoż na téj ziemi żałować mamy, jeżeliby umierać przyszło? śmierć nam otworzy szczęśliwe wrota do wieczności, gdzie nas, ani łaska Altamora pocieszy, ani gniew jego zatrwoży. Ale jeszcze... jak powiadają, on jest skłonny do politowania, i coś dobrego sama nawet twarz jego znaczy; wzruszyć go mogą prośby moje. Ja mu powiem, że jeżeli nas zgubić zechce, wierniejszych już sobie niewolników nie znajdzie". Klimeno! mówił Polidor, głęboko w sercu leży religia, i nikt jéj dotknąć nie może, żeby razem i serca nie dotknął. Nie chcąc się kłaniać bogom jego, będzie to samo pogardą ich; a któżby się nie wzruszył, widząc znieważoną wiarę swoję? Przecież trzeba nam wyznać prawdę: Boże! którego znam od dzieciństwa mego i któryś mnie i nikomu nic złego nie zrobił, ja się Ciebie wstydzić nie będę".

Już przyszedł dzień wielki, i wystawione w pośrodku miasta posągi niezmierne tłumy ludu otoczyły, za ołtarzem stosy gotowe na spalenie winowajców czekały, którzy albo za zbrodnie na śmierć osądzeni byli, albo czci bogom oddawać nie chcieli, ażeby tym sposobem nic przeciwnego bogom, uroczystości i ofiary ich nie mazało.

Przybył nakoniec Altamor, na którego tylko czekano, z niewolnikami swemi, a... kiedy się pospólstwo uciszyło, tak do Polidora i towarzyszów jego mówić zaczął: „Nie na tom was tak drogo u zbójców kupił, ażebym kiedy zguby waszéj miał pragnąć. Wy do niéj sami upornie ciśniecie się, nie chcąc odstąpić Boga swego, a pokłonić się naszym; jakoby ten mocniejszym był, który was od niewoli teraźniejszéj ochronić nie mógł, nad naszych bogów, do których się ziemi dostaliście. Boją się nas sąsiedzi, rodzi nam nad insze kraje plenniejsza ziemia, żyjemy spokojni i szczęśliwi. Dar to jest bogów krajowych i znak oczywisty, że mocniejsi i łaskawsi są nad inne postronne bogi. Weźcie to kadzidło, które widzicie, i nachyleni przed niemi rzucajcie go na ogień; a potém wybierajcie ziemię do uprawiania, którą chcecie, albo miasto do prowadzenia kupiectwa, które sobie życzyć będziecie. Altamor wam przyrzeka wolność zupełną w kraju, i pomoc we wszystkiém".

Kliton, jeden z towarzyszów Polidora, odpowiedział: „Prawdziwy Bóg nasz tym, którzy go się statecznie trzymają, daje nadgrody nieskończone; a twoi bogowie docześnie tylko, jak mówisz, płacą. Nie chcemy tak marnie mieniać dobra istotnego za omamienie i szczęścia nieśmiertelnego za rozkosz krótką". Wtém na stos podpalony winowajców kilku wrzucono; Kliton zaś przy wolnym (ogniu) postawiony, ażeby przedłużeniem męki do odmienienia przedsięwzięcia mógł być przymuszonym.

Stało się, jak sobie Altamor życzył, po krótkim czasie zawołał Kliton: „Wielcy bogowie Altamora! ja was wyznaję". Rozwiązany

zaraz do ołtarza przystąpił i razem nieszczęśliwym przykładem swoim resztę zalęknionych towarzyszów za sobą pociągnął. Polidor zasłoniwszy sobie oczy (bo ani w niebo, ani na Klimenę swoję spojrzéć dla wstydu nie mógł), szedł zwolna ku ołtarzowi za drugiemi; wtenczas, kiedy okrzyk pospólstwa powietrze napełniał. Dał znak Altamor, żeby się uciszono; chcąc Klimenę, która się jedna tylko została, do ofiarowania bogom swoim namówić. Ale ona zaczęła pierwéj:

„Wielki Bóg chrześcijański mocen jest w pośrodku ognia dać ochłodę wybranym swoim; albo stateczność na wytrzymanie męki. Nie rozumiéj, Altamorze! żeby ustraszyć mogły stosy twoje. Ty nie wiesz, jak za krótkie ucierpienie dla Chrystusa hojny jest w nagrodę Bóg nasz. Ani tego życia żałować mogę, które mi odbierasz, dla przyszłego, które mnie wkrótce czeka. Żal mi tylko, że zostawiam na ziemi tych zwiedzionych chrześcijan, a między niemi ojca mojego Polidora; że tego Chrystusa, którego po tyle razy przede mną wychwalał, dzisiaj odstąpieniem swojém znieważa. Dawny mój Boże! którego ja nigdy dla nowych nie odstąpię, daruj tę ułomność ojcu mojemu, i wróć mu serce wiernych twoich. Altamorze! chrześcijanie krzywdy swoje darować powinni. Tylko o to żal miałam do ciebie, żeś był przyczyną rozdzielenia mnie z ojcem moim, otóż ci i to odpuszczam, i jeszcze w pośrodku ognia prosić za tobą będę, ażebyś, kiedyś oświecony prawdziwego poznał Boga. Te twoje cnoty, powszechnie znane i chwalone, warte są wiary lepszéj".

To kończąc, biegła ochotnie ku ogniowi; ale Polidor, za rękę ją porwawszy: „Poczekaj, mówił, Klimeno moja! jam z tobą był zawsze od dzieciństwa twego, i nigdy cię postępek mój nie zawstydził; a ty dzisiaj chwalebnie dla ciebie, ale ze wstydem moim uprzedzasz mnie. Altamorze! ja na wieki wyznaję Boga Klimeny, który ją tak umacnia. Pójdźmy, córko moja! pójdźmy razem na ogień, ja ciebie, Boże, i dziecięcia mojego nie odstąpię". Wziął ją na ręce Polidor, a ona płacząc z radości, i za szyję ojca swojego ściskając, wołała: „Altamorze! ojciec mój ze mną jest; już ci nie mam co odpuścić".

Reszta towarzyszów porzucili także ołtarze i obstąpili wkoło Polidora z Klimeną, Kliton z pomiędzy nich tak mówić zaczął: „Mnie to najpierwéj należy pójść na stos ten, którym was złym przykładem moim tak ciężko zgorszył. Nie brońcież mi téj sprawiedliwéj poprawy mojéj! niech w oczach waszych zetrę tę plamę i pokażę wam drogę prawdziwego chrześcijanina, od któréj odstępstwem mojém dopiérom was był odwrócił. Spokojnie umierać będziecie, nie bojąc się już o mnie, który między wami najsłabszy byłem".

Kazał zatrzymać wszystkich Altamor i, przystąpiwszy do Polidora, wziął z rąk jego na ręce swoje Klimenę i tak do zgromadzenia całego mówił: „Czegóż, zapomnieni, płaczecie wszyscy? oto już w tych



łzach waszych oddaliście ofiarę Bogu chrześcijańskiemu. Co ze mnie jest; odtąd innego boga znać nie chcę, tylko tego, którego Klimena wyznała, i który przez nią tak do mnie mocno mówi, że mu się oprzéć nie mogę. Żyjcie szczęśliwi, chrześcijanie! ja bratem waszym jestem. Spodziewam się, że mi zawsze wiernemi będziecie, kiedyście Bogu waszemu wierni byli. Nauczajcie ludu mojego téj dobréj wiary; a dzień dzisiejszy niechaj się odtąd nazywa dniem tryumfu Chrystusowego".

## 3. Przywary.

Milton, załamując ręce nad nieszczęśliwością ojczyzny, przeklina sąsiadów, którzy ją przyciskają; żalem przejęty, że wiele obiadów nie jadł i nocy bezsennych strawił. Ale w sprawach, które mu naród powierzał, przedał sumnienie, rozumiejąc, że za zgryzoty patryotyczne spokojność kupi.

Szczęśliwy Polidor, zdaje mu się, że wszystko najlepiéj zrobił. Bawi go muzyka jego, i tęsknego gościa nudzi nią ustawicznie. Czyta potém pisma swoje często zastanawiając się, ażeby dał czas zasmakowania słodyczy urojonych. Jeżeli ciąg ukontentowania przedłuża życie, Polidor wszystkich przeżyć powinien, kiedy każdego w obcowaniu swojém utrapi, sam zawsze kontent.

Tyrymak prorokuje; wszystko on przepowiedział. Do każdego zdarzenia przydaje: „Nie mówiłżem dawno, że tak będzie, a wierzyć mi (powiada) nie chciano". Nigdy mu wierzyć nie będą, bo zawsze po skończonéj rzeczy do proroctwa się dopiéro przyznał.

Euryal przesadza w tém wszystkich, cokolwiek za pieniądze kupić można. Gdyby się rozum kupował, Euryal byłby pewnie najrozumniejszy.

Kleon obaczył kometę i drży cały z bojaźni. Wojna, powiada, już była, ale to pan, któryś z naszych republikantów zapewne, umrze; jakby to astra zatrudniały się śmiercią mizernego człowieka.

Roland nie zna tego słowa „nie wiem", we wszystkie się dyskursa mięsza i wszystkie pozwiedzał kraje. Przenosi państwa z miejsca na miejsce, a czasem za dobréj drogi lądem bywał z Europy w Ameryce.

Klantor, oddalony od interesów, któremi rządzić nie umiał, uważa z pilnością błędy następców swoich. W głowie mu się to nie mieści, jak mogą rządzić, nie znając się na aspektach niebieskich.

Kliton nie dba, że się narazi, byleby prawdę wyznał. W swym niedostatku prosi bogacza o łaskę i razem przydaje, że on wie dobrze, co to nędza, bo z niéj sam niedawno wyszedł.

Gwido, z każdego dyskursu coś do przodków swoich przytoczył: gani czasy teraźniejsze i żyć chciałby w czasie ojców swoich. Nie idź próżno do nich, Gwidonie, zapewne się do ciebie nie przyznają.

Medon nic sam nigdy nie widział, ani słyszał, za każdym dyskursem swoim w posiedzeniu świadczy się przytomnemi, chociażby mu byli nieznajomi. Medon wyszedł z posiedzenia, a świadkowie powiedzieli, że jak jego pierwszy raz widzą, tak i pierwszy raz tę powieść słyszą.

Nizus w swych dyskursach nieskończony; ale co mówił przed tygodniem, znowu porządkiem powtarzać zaczął. Zdaje się, że Nizus żył tylko tydzień na świecie.

Menander pogardza wszystkiemi, co swój tylko rodowity język umieją: przecież Menander tylko z językiem, a ci z głową chodzą.

Linus śpiewał aryę faworytę, a niektórzy w blizkości coś cicho mówić zaczęli; Linus rozgniewał się i przestał. Zrobiło to skutki fatalne, bo się księżyc w kilka dni potém zaćmił.

Dydym rozsadza, jak zechce, planety po powietrzu. Kiedy jest w dobrym humorze, przyczyni na milion mil sfery Saturna, o któréj łasce Saturnus i nie wie, bo Dydym lubi dobrze czynić w skrytości.

Fanor wszystkie dyskursa do swego konia nakręca, jego gniadosz chodziwy zaraz po dzieciach jego następuje, a po nim dopiéro przyjaciół kładzie. Zostawmy Fanora między końmi, a szukajmy przyjaźni ludzkiéj.

Zozym wszystko złe w domu popełnia, a w kościele głośne sobie za to wycina policzki. Wielość świąt w tygodniu poznać mu można na mniéj lub więcéj nabrzmiałéj gębie.

Lidon zawsze się na swoję poczciwość zaklina; ustawicznem zażywaniem jużby ją zedrzéć powinien. Prawdziwa poczciwość w sercu się ukrywać lubi, nie dowierza piękności swojéj, i zawstydzi się, kiedy się pokazać musi; równie jak w czystych kochaniach wspomniana miłość niewinną kochankę zarumieni.

---

# O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA.

## List do Rozyny. *)

Co mi to za szczęście na ziemi? po tyle razy powtarzałaś, Rozyno. Życie podległe chorobom, piękność odmianie, bogactwa utraceniu, sława uszczerbkowi, przyjaźń obłudzie i miłość niestateczności. Naprzykrzone zimna, albo upały, zbyteczne słoty, albo posuchy, wiatry i grady wyniszczają pożytki roli, i życie człowieka nudnością zarażają. Wstrzęsła się ziemia i pogrążyły się w jéj rozwalinach miasta z obywatelami ([1]). Wylały gwałtowne wody, i ludne niegdyś pozatapiały prowincye ([2]). Góry wyrzuciły ognie swoje, i po tylu upłynionych wiekach dobywamy dzisiaj z popiołów miasta pozasypywane ([3]). Nadeszła wojna, i połowę w kraju wyniszczywszy mieszkańców, resztę w ostatniéj nędzy zostawiła. Głód i powietrze, jakoby zmówiwszy się z sobą, ubiegają się o lepszą, któreby z nich więcéj rodzajowi ludzkiemu złego uczynić mogło ([4]). Niebo samo zdaje się nienawidzić ziemi opuszczonéj, kiedy przysyła z góry pioruny swoje, ażeby wyniszczyły na niéj istność żyjącą, albo w perzynę obracały jéj budowle. A co równie jeszcze jest nieznośna, gdy zaraz od początku świata mocniejszy statecznie słabszego uciemięża; cóż mi to za szczęście na ziemi?

Takeś często narzekała, Rozyno, że między tysiącem dróg, które cię zawsze do smutku prowadziły, zaniedbałaś ścieżki jednéj niepo-

---

*) Rozynie już lat dwadzieścia minęło, lubi historyę, przytaczanie świadectw pisarzów dawnych i rozumowanie o wszystkiém; dlatego tak dla wieku jéj, jako dla smaku w wiadomościach dziejów i autorów, albo się w tym liście czasem śmieléj tłómaczyło; albo może za często przytaczać historyę i pisarzów dawnych pozwoliliśmy sobie.

zornéj, bo rzadki się na niéj trafił przechodzień, ale ona prosto do prawdy wiodła.

Ktokolwiek w myśli bóstwo wystawił sobie, dobroć razem wystawić musi, takto jest nierozdzielną téj wiecznéj istoty własnością. Jakżeby się to z dobrocią Boga pogodzić mogło, żeby natworzywszy tyle niewinnego stworzenia, chciał je mieć na ziemi nieszczęśliwemi? Bóg jest dobry; oto najsprawiedliwszy wniosek: toć i szczęście być powinno na świecie.

Rozyno! w rzeczach najokropniejszych znajdziesz szczęśliwość, jeżeli jéj tylko szukać zechcesz. Śmierć (powiadają) ze wszystkiego złego jest największe, a przecież słyszałaś, że tylu, jak najpierwszego szczęścia, żądało śmierci, co cierpiąc długo, już się pomordowali. Nawet, jeżeli w obszerniejszém rozumieniu szczęśliwość brać będziesz, wszystko, co tylko widzisz, w pewnym sposobie wzięte, jest szczęśliwe.

Być w karbie, być w miejscu, w którém rzecz jaką natura mieć chciała, jest być w stanie własnym, w stanie niegwałtownym, a zatém, jest być szczęśliwym. Póki dąb okazałością swoją zaszczycał puszczę całą, póki ptaszyna swobodnie po powietrzu latała, póki róża swojéj trzymała się gałązki, powiedzieć można, że były szczęśliwemi; ale jak tylko gwałtowna siekiera dąb od korzenia rozdzieliła; swywolny chłopiec chytrze zakradłszy się ptaszynę złowił, a różę od swojéj oderwano gałązki; dąb, ptak i róża stały się nieszczęśliwemi.

Ale ten czyżyk zielony,
Rozyny ręką pieszczony,
Co na jéj barkach siaduje,
Co przy jéj piersiach nocuje,
Nic go od niéj nie odstraszy,
Ani zwabi naród ptaszy;
Niewoli swéj zapomina,
Kiedy go lubi Rozyna.
Ani ta róża rumiana,
Białą twą ręką zerwana,
Gdy ci na łonie usiędzie,
Nieszczęśliwą zwać się będzie.
Bo choć życia postradała,
Wpośród rozkoszy zemdlała.

To prawda, że Opatrzność rozsypując po ziemi szczęście i każdemu stworzeniu pewną jego miarę wyznaczając, czasem go albo utaić umyślnie chciała, żeby goręcéj szukane, większą po znalezieniu rozkosz przynosiło; albo (kto zgadnie na jaki koniec) niewidomego jakiegoś wroga przełożyła, któryby wszystkie ziemi obiegając zakąty, szczęśliwości nasze czasem goryczą zaprawiał; a czasem ledwieśmy ich cokolwiek zakosztowali, nieubłagany wydzierał. I stąd to poszło, że gdybyśmy istotnego szczęścia na ziemi nie czuli i nie widzieli, ledwieby nam przyznać nie było potrzeba, że szczęśliwość, podobna do nocy ciemnéj, żadną z siebie istotą nie jest; kiedy noc, na szczególném tylko uchyleniu się promieni słońca, szczęśliwość zaś na oddaleniu się wpadających na nas zewsząd przeciwności polegałaby ([5]). Ale jest szczęście istotne, Rozyno, kiedy się nieszczęściu opierać może, chociaż ten tylko szczęśliwym będzie, kto mniéj ucierpiał, i to szczęśliwością, co mocniéj niezliczone życia przykrości słodzi, albo odpycha.



Tak uważana szczęśliwość jaśniéj się jeszcze określi, kiedy ją nazwiemy: posiadaniem bez przeszkody dobra ulubionego.

Ludzi myślących o szczęściu czworaki jest rodzaj: duchownych, pospolitych, polityków i filozofów. Pierwsi, ponieważ z niziny ziemskiéj aż do wysokości niebios podnoszą nas, a my o człowieku na ziemi, nie stosując go tymczasem do życia przyszłego, mówić chcemy; dlatego szczęśliwość tamta, jako porównania żadnego nie mająca, do zamiaru naszego należéć nie będzie.

Lud pospolity za szczęście kładzie dostatek i nie przeniknąwszy tysiącznych zgryzot, które w pośrodku nocy budzi bogacza niespokojnego, to rozumie najpożądańszém, czego mu najmniejszą cząstkę Opatrzność udzieliła.

Politycy to szczęśliwością nazywają, kiedy każdy, składający powszechność, dosyć swojemu zamiarowi uczyni i wzajemnie powszechność sprawiedliwie mu się wypłaca.

Ale filozofowie rozumiejąc, że do najskrytszych serca zakątów, (gdzie jest stolica szczęścia) przeniknąć umieli, z większém zapewnieniem zdają się nam do niego ścieżkę pokazywać, gdyby w różności zdań swoich na tysiącznych rozpierając się dowodach, nie osłabiali w nas tego dowierzania, które odkryta prawda, a sprzeczek nigdy nie lubiąca, ciągnąć za sobą zwykła. Insi z nich, po drodze nas do cnoty prowadząc, na trafiające się mimochodem przypadki skarżyć się nawet zabraniają. I chociaż na twarzy ich ślady bolu, który im wewnętrznie dokucza, wyraźnie postrzegamy, chociaż i my sami w przygodzie tyleż przykrości czujemy; przecież oni i nas i siebie w jedném cnoty posiadaniu szczęśliwemi nazywają ([6]).

Insi rozkosz za szczęśliwość człowieka założywszy, dogodzenie zmysłom największém na ziemi dobrem powiadają — i... żeby ją pod piękniejszą postacią naśladowcom swoim wystawili, cnoty nawet same pod wyraz rozkoszy podsunęli, jako sprawujące słodycz posiadającemu ([7]). Insi zdrowie, spokojność wewnętrzną i dostatek według po-

trzeby, za nagrodę najpierwszych człowieka zabiegów położyli (8); jak gdyby zdrowie szczęściem nazywać się mogło; spokojność istotą jakąś szczególną, a niepowszechną była; i potrzebny dostatek nie był dorobkiem ciała zdrowego i rozumu. Te i tym podobne mówiących o szczęściu filozofów zdania, albo z ciężkością do każdego z osobna człowieka przystósowane, albo (co gruntem jest naszéj uwagi) słabiéj trafiające się człowiekowi w życiu przypadki odpychają.

Szczęśliwości! dobro najpożądańsze! i gdzież cię szukać mamy? Czyli ty się głęboko we wnętrznościach bogatéj ziemi ukrywasz? skąd krwawym potem miliona ludzi dostana, póty mnie nasycić i uszczęśliwić nie możesz, póki drugi równy mi człowiek nie ucierpiał? Czyli przez dalekie morza środkiem tysiąca niebezpieczeństw płynąć za tobą potrzeba, gdzie fortunną jakąś za stolicę sobie obrawszy wyspę, pierwéj się rozbijać muszę, niżeli na jednéj słabéj desce wyratowany, pożądanego się twego brzegu dochwycę? Czyli ty, porzuciwszy spokojność i wygody, pomiędzy rozhukanym żołnierzem w krwawéj potrzebie zamięszana, z wieńcem sławy wojennéj zupełną rozdajesz rozkosz? I będzie mi potrzeba po tysiącach trupów do ciebie się przedzierać, matkom spłakanym z łona wydzierać dzieci, i budowane miasta zapalać? żeby o mnie kiedyś powiedziano: „Upokorzył całą okolicę i był postrachem sąsiadowi." Czyli nakoniec zawistna dobra swojego, w odludnéj ukrywasz się pustyni? A tam, ażeby ci zwierz nawet dziki posiadania rozkoszy twojéj nie przeszkadzał, nieprzebytą ogrodzona zasieką, samemu tylko niebu się ukontentowania zwierzasz? Spokojna, żeś się uchronić mogła od oka zazdrościwego!

Rozyno! nie szukaj daleko szczęśliwości! ona jest w tobie saméj. Bóstwo dobroczynne widząc człowieka niezachowującego miary i wyboru w napoju i pokarmie, a stąd wpadającego w choroby ciała, zaraz przy nogach jego zasadziło skuteczne zioła, któremiby się, daleko nie chodząc, w słabości swojéj poratował; a na przytrafiające się w życiu przykrości nie dałoby w duszy saméj lekarstwa? nie dałoby w sercu siły jakiéjś, którąby się mocniéj napadającemu nieszczęściu zastawić mogła?

Tak jest, Rozyno! ja sam widziałem szczęśliwość twoję; kiedy z pośrodka serca, gdzie sobie zwyczajną założyła stolicę, cząstkę rozkoszy uroniwszy, najpiękniejsze oczy twoje słodyczą zaprawiała. Przecież ty jeszcze szczęśliwą nazywać się nie możesz, bo podobno nie wiedząc o skarbie, który się w tobie ukrył, w pośrodku bogactw jesteś najuboższa.

Miłość, któréj wieki dawne wystawiały ołtarze i zapalały kadzidła, a któréj dobroczynnością my dzisiaj żyjemy, i rodzaj ludzki po nas utrzymywać się będzie, nie stosując człowieka do życia przyszłego, ale w szczególném rozumieniu, jak jest człowiekiem na ziemi, miłość jego jedyną będzie szczęśliwością.



Nie wspominając miłości powagą ksiąg pisma w pieśniach nad pieśniami uświęconéj, gdzie czuły oblubieniec zdaje się nie żyć, tylko życiem oblubienicy swojéj; gdzie wyrazy istotne zdają się nie znać tego, czego my dzisiaj, fałszywym wstydem obwinąwszy, wyrażać nie chcemy, gdzie, mówiąc bez określenia o naturze, jaka jest w sobie saméj, bardziéj ją zapewne szanowano, niżeli my: u których grzechem nazwiska jéj przyzwoite wymawiać, a smutnym zwyczajem pogwałać ją; poganie dawni śmieléj o miłości pisali i mówili. Czytać w życiach wielkich ludzi Grecyi Dyogienesa Laercyusza (9), zdaje się tam, że wstydzili się tego tylko wymawiać, co robiło krzywdę popełniającemu; gdzie zaś o wyrażenie chodziło natury saméj, wstyd każdy za niewczesny sądzili.

Miłość porządna, ubóstwiona w osobach Wenery i Kupidyna, złém tylko tłómaczeniem sobie ludu pospolitego zrobiła się naganną w starożytności, a w rzeczy saméj była potrzebnie natenczas w religią wciągnioną ustawą, dla większego rozmnożenia się ludu, a stąd potęgi rodu greckiego. Gorszą nasz dzisiaj tłumne po rynkach w pewnych dniach roku kobiet egipskich obchody; gdzie nie myślą rozpusty jakiéj, ale poczczenia matki natury z uszanowaniem obnoszono jéj posągi. Przecież to w tym Egipcie działo się, którego rządy w niczém nienaganione mogły być prawidłem dla ziemi całéj; którego rządy, i dzisiaj zachowane, uszczęśliwiłyby zapewne narody uciśnione, gdy przez zepsucie nasze do zachowania prawie nie były niepodobnemi.

Lud rzymski, który światu całemu panować umiał, inaczéj myślił o miłości, kiedy ją w rozległych swoich prowincyach wszystkiemi sposobami wspiérać i zachęcać starał się: bo chciały tego narody dawne, ażeby co powszechne, i każdemu z osobna uszczęśliwienie przynosiło, to, jako obrządek jaki zachowane było.

Ale niżeli naznaczymy, dlaczego miłość największém człowieka uszczęśliwieniem, pierwéj obaczmy, czemu zdrowie, dostatek, spokojność umysłu, i cnota nawet sama, chociaż koniecznie w towarzystwie potrzebna, takiém być nie mogą uszczęśliwieniem?

Gdyby człowiek z rodziców zdrowych spłodzony, opatrznie potém pielęgnowany i żywiony, miarę pewną i wybór zdrowych pokarmów statecznie zachowywał, a namiętności swoje bacznie miarkował, zdaje się, ze zdrowym byłby zapewne: bo z tych źródeł zarażonych wszystkich słabości naszych początki wypływają. Jakim tedy sposobem zdrowie szczęśliwością nazwać będziemy mogli, kiedy utrzymanie jego w naszéj jedynie jest mocy, kiedy utrata jego naszą jedynie jest winą? Utrzymywanie zaś zdrowia nie jest żadném szczę-

ściem człowieka, ale tylko pilnością jego; bo szczęśliwość, z samego znaczenia słowa tego, wyrażać zdaje się traf tylko dobry.

Myśléć jeszcze skądinąd można: że to nie będzie szczęśliwością, czego nie czujemy posiadać go. Aufidyusz nie wspomniał, co to jest za dobro mieć oczy zdrowe; jak oślepł, mawiał: „Wolałbym oczy moje, niżeli wszystkie dostatki ziemi.” Zapadł ktoś w ciężką chorobę, i dopiéro rozpamiętywa słodycz zdrowia. Cóż mi tedy za szczęście będzie, którego ja nie czuję, chyba mi co przypomni o niém? My zaś takiego dla człowieka szukamy uszczęśliwienia, któreby wszystkie dni jego słodką napełniło czułością.

Bogactwo! ślepe ty bóstwo! które równie przybliżających się do ciebie oślepiasz, któż ci wysokie szczęśliwości nazwisko przyzna? Kto powié? że na tém drogiem wezgłowiu skłoniona głowa, i próżno uciekającego snu wołająca, szczęśliwszą jest, niżeli owego pod cieniem drzewa spoczywającego wieśniaka, który przestając na małém, między igrającemi wkoło niego dziećmi spokojnie zasnął.

Lukullus w pośrodku rozkosznych ogrodów swoich tęskny chodzi; Rzym wielki zdaje mu się pustynią, i nie znajduje, ktoby go w nudności jego rozerwał; ani go sława przeszła ucieszy, zdarte z tyranów Azyi łupy zabawiają; Lukullus przed końcem życia swojego zdaje się, że już dawno nie żyje! Między wielością pokarmów, które na stoły jego lasy i morza dostarczają, prawie do wszystkich smak stracił... i zazdrości obaczonemu na łące pasterzowi, który bez trosków i starania, zwyczajnym tylko żywiony chlebem, wesoło swojéj Korynie śpiéwa! A kiedy zapewne są ludzie w pomiernym stanie od największych bogaczów szczęśliwszemi, toć już bogactwa najwyższą na ziemi szczęśliwością nie będą.

Ci, którzy spokojność umysłu na czele inszych szczęśliwości położyli, potrzebnych zaniedbali rachunków, jak wielorakie rzeczy do złożenia jéj schodzićby się powinny; a tym sposobem wiele bardzo tłómacząc, zdają się nic nie naznaczać. Za tysiącznemi okolicznościami, pewnym sposobem powiązanemi, spokojność taka następowaćby powinna, które, ponieważ połączonemi być mają, małe z nich jakie, nieostrożnie zerwane ogniwo, całyby łańcuch szczęśliwości zepsuło. Nam, nie tak słabego potrzeba szczęścia, jakiego miękki szukał Sybaryta, którego jedno zapianie kura całą zachwiało szczęśliwością.

My, chcąc człowieka szczęśliwym zrobić, chcemy go jak można najlepiéj uzbroić, ażeby (ile możności) przychodzący ze strony pocisk nie znalazł miejsca, gdzieby go pożył. Ani zdaje się, ażeby wiele rzeczy prawdziwa szczęśliwość potrzebować mogła, bo to samo między mnóstwem ciągnącego się dobra rozerwanie, robiąc człowieka zatrudnionym, nie wiedząc, do którego bardziéj przylgnąćby powinien, jużby go tém samém mniéj szczęśliwym uczyniło ([10]).



Ale najmocniéj na nas następować zdają się, którzy cnotę za największą szczęśliwość zakładają. Ona (mówią) człowieka w nieszczęściu pocieszyła, w szczęściu nie podniosła, *) we wszystkich przygodach życia jednakim uczyniła (tak), że Arystyd nieznajomemu Ateńczykowi sam przeciwko sobie na wygnanie kreskę napisał, a Sokrat podaną truciznę wypił nie strwożony. Wojenna burza miasta budowne od gruntu wzrusza; wtenczas, kiedy tysiąc razem głosów tłuszczy bojaźliwéj zmięszanych z jęczeniem śmierci całe napełniły powietrze, człowiek cnotliwy, z pomiędzy gruzów dobywając się, ani po sobie przestrachu jakiego (który poziome pochyla dusze) dał poznać, ani zuchwale ciężkością przypadku wzgardził. Bogaty sobą samym, nie boi się kradzieży żadnéj, bo skarb swój w pośrodku serca schował... a stojąc na brzegu bezpiecznym, z politowaniem na towarzyszów drogi swojéj pogląda, którzy niebacznie wodą puściwszy się, bez sposobu poratowania toną.

Lecz zastanówmy się trochę, rozważając, co to jest cnota? a dopiéro, sądźmy o szczęściu cnotliwego.

Gdyby były słodkie związki towarzystwa rozrzuconych po lasach ludzi nie zgromadziły, i przy tém tylko, w samotności, zostałby każdy, co nie żaden układ, ale wrodzona natury skłonność dla wsparcia słabéj płci białéj i ratunku dzieci niedołężnych w sercu zaszczepiła; jak wiele cnót upadaćby musiało, które społeczeństwo człowieka z człowiekiem wprowadziło? A przecież, tak... od sposobów pełnienia cnoty oddalonego, od szczęśliwości razem oddalić człowieka nie moglibyśmy: bo bóstwo dobrym dla każdego stworzenia jest ojcem; i szczęście na ziemi takim nieba darem byćby powinno, do któregoby udziału każdy z osobna człowiek samotnie, albo w społeczeństwie żyjący, należéć mógł ([11]).

Przeczyć nie można, że cnota w towarzystwie szczęściem jest powszechności; nad wszystko powinna być szukaną; ale niechaj... kto już między ludźmi, będzie najcnotliwszym (mimo wszystkie gadania Stoików), twarda przygoda, chociaż powierzchownie człowieka cnotliwego niby nam spokojniejszym pokaże, trudu jednak wewnętrznego, któri kazi serca szczęśliwość, nigdy od niego nie oddali. Czemuż to, Katonie sprawiedliwy, wnętrzności swoje rozdzierasz? Tak będąc cnotliwym, jużbyś być powinien najszczęśliwszym! Wszakże zamach, który na Rzym wolny burzliwy Cezar uczynił, cnoty ci twojéj nie wydziera: Ty przecię życie, ten dar najsłodszy dla człowieka, sobie odbierasz? A tym srogim razem upadając dobrowolnie pod ciężarem nieszczęścia, którego unieść nie mogłeś, siebie i cnotę twoję poni-

*) Do pychy nie podniosła. W.

żasz!.. Brutus, równy z Katonem miłośnik cnoty, będąc porażony: „Fraszka (powiedział) cnota, dla której tyle czyniłem, i próżne ma tylko nazwisko.” Jakoby mówić chciał —nie idzie za cnotą szczęście, której, chociaż już wszystko poświęciłeś, jeszcze być możesz nieszczęśliwym.

W myśli teraz wystaw sobie, Rozyno! miłość uśmiechającą się do całego żyjącego stworzenia; miłość przybraną wdziękami, w które ją natura stosownie do każdego rodzaju przystroiła. Ona, w pośrodku nieprzebytych pustyń Azyi południowéj słonia ogromnego, kiedy, chłodu od upałów słońca szukając, w głębokie lasy zapuścił się, nieznajomemi ścieżkami do swojéj samicy wiodąc, miłym rozpala ogniem.

Kiedy lew srogi, porwany zapędem dzikim krwi chciwy ryknie, głosem przeraźliwym zasięgnione w okolicy zwierzęta w przestrachu na ziemię padną; jeżeli przypadkiem lwica przeciwko niemu nadeszła, zapomniawszy głodu i wrodzonéj dzikości, pieszczotą daleko od niego mocniejszą zatrzymany, na czas jakiś pierwszemu zwierzęciu, które miał pożrzeć, życia przedłuży. Miłość, w pośrodku głębizny zimnych wód północnego oceanu, tę, niby dom jaki, pływającą massę, rozgrzewa wieloryba. On, silnym szybem miotany, rzutem jednym długi ciąg wody przebijając, między tysiącem mil obłąkaną kochankę swoję znalazł, niezmiernym ogonem wody morskie daleko odrzucił, i wartą miłości swojéj, któraby mu ród jego wielki rozmnożyła, przyjął samicę.

Gad, po gorących piaskach czołgający się, tak daleko naturą i postacią różny, miłości podlega prawom, i ten w żyłach ich krwi przebieg, który najcięższe upały słońca zwiększyć nie mogą, miłość mocniejszym swoim ruszając ogniem gwałtowniéj mięsza; co potém syczeniem, albo przeraźliwym piskiem jadowita wydając gadzina, podobnego sobie rodzaju przywabia parę. Kret ślepy w pośrodku ciemnéj ziemi miłości szuka; a ptak powietrzny, kiedy ciepła nastała wiosna, w każdém ją piórku czuje... że bujnego orła, równie jak drobnego kolibra swoja samica uwięziła.

Ziemne robactwo, tak niezliczonemi podzielone rodzajami, kosztuje także téj słodyczy i dąży za tą skłonnością, którą natura wszystkim rzeczom żyjącym wlała, pomnożenia rodzaju swego, że od największego z pomiędzy zwierząt słonia, aż do najdrobniejszego między robactwem mola, a od tego, aż do owych przez szkła tylko, i to jeszcze ledwie dojrzanych stworzeń żyjących, względem których znowu mól drobny (porównanie wielkości czyniąc), jak słoniem jest; wszystkie te niepoliczone ziemi istoty za głosem miłości, którą Opatrzność jedynym do utrzymania ich środkiem mieć chciała, posłuszne naturze ochotnie idą. Ale przystąpmy już do człowieka.



Rozyno! gdybyś wiedziała,
Kiedy miłość zapalała
Niewinnych kochanków dwoje,
Niewinnych, jak oczy twoje;

Naprzód, były powtórzone
Często spojrzenia kradzione
I tego najpilniéj strzegli,
By się oczyma nie zbiegli.

Ale gdy ich ufność zdradzi,
I oczy razem sprowadzi,
Oboje w ziemię spojrzeli,
Wstydem rumianym spłonęli.

Zaraz się wzajem porzucą,
I znowu zaraz powrócą,
Zarówno i on, i ona
Najsłodszym ogniem palona.

Już śmieléj na się spojrzeli,
Już bliżéj siebie stanęli.
I co oczy umówiły,
Wierne ich dłonie stwierdziły.

Dopiero prędkiemi posły
Gdy oczy sercom doniosły,
Reszta zmysłów odstępuje,
A samo czucie panuje.

Wzrok chybia, język nie gada,
Miłość mocna milczéć rada.
Wyrzec kocham kto mógł śmiele,
Jeszcze ten kochał niewiele.

Potém, gdy pary miłéj
Usta się wzajem zbliżyły,
I przez najczulsze ściśnienia
Dusza się na duszę mienia...

Cóż wtenczas zrówna na ziemi
Z ich rozkoszami słodkiemi?
Królowie! jak dla nich mała
Szczęśliwość wasza i chwała!

Kiedy już widziałaś to, Rozyno, jak zdrowie, bogactwa, spokojność umysłu, i cnota nawet sama, chociaż koniecznie ludziom potrzebna, największém człowieka uszczęśliwieniem nie będą, że słabo trafiające się nam w życiu przykrości odpychają; obaczmy teraz, jak miłość nadto wszystko mocniejsza, jeżeli za sercem połączoném z rozumem pójdzie; jak miłość, najszczerzéj do uszczęśliwienia się człowieka przykłada.

Gdyby kto miłość w powszechném brać chciał rozumieniu, bez żadnéj sprzeczki każdyby pozwolił na to, że ponieważ wszystko, o co tylko człowiek na ziemi ubiega się, dlatego od niego szukane, że mu jest miłe; wniesienie byłoby najjaśniejsze: że miłość jedyném jest człowieka uszczęśliwieniem. Ale tak nadto powszechnie wzięta szczęśliwość, chcąc razem niepoliczone rzeczy ogarnąć, nic nam pewnego nie zaznacza. Ani o téj miłości mowa tu będzie, która nieporadzona od rozumu, za saméj tylko zwierzęcéj skłonności zapędem poszła: bo ponieważ z jéj natury jest, żeby gwałtowną była, a gwałtowności znowu własnością niestateczność, niktby prawdziwém takiego szczęścia nie nazwał, które mnie na to momentalną poi słodyczą, ażebym tego potém gorzką, a często powtarzaną koleją odżałował.

Ani jeszcze o miłości takiéj myślimy, która pozwoliwszy rozpuścić cuglów, tysiąc razem celów sobie zakłada; i szukając w odmienionéj coraz inszéj rozkoszy zaspokojenia, nigdzie go stałego nie znajdzie; bo prawdziwa szczęśliwość, kiedy na części dzieloną być nie powinna, z wielu rzeczy od siebie różnych składać się nie mogąc, tém daléj od niéj uchyla się, im bardziéj miłość takowa w zabiegach swoich wszędzie na niespokojność i wyniszczenie swoje sama napada.

Ani nakoniec ta miłość będzie uszczęśliwieniem, która — na ustawiczne skazana wzdychania, wolnym trawiona ogniem — do prawdziwéj nieszczęśliwości podobniejsza! która, czyli nieśmiałością, czyli przeszkodami nieprzejrzanemi zatrzymana, kochanków nieszczęśliwych, w pośrodku owéj w myśli tylko saméj zgotowanéj uczty najrozkoszniejszéj, gorzkiemi napawa łzami. Ale ta miłość największém na ziemi człowieka jest uszczęśliwieniem, która (jako się już wspomniało) istotném dobra ulubionego bez przeszkody będzie posiadaniem [12]).

Małżeństwa święte!... Osoby, które myśl jedna i serce wzajemnie skłonne zjednoczyło, zdrowie wam! życie wam! Gdzie się kiedy na ziemi wróg taki znalazł, któryby (byle was od siebie nie rozłączał), mógł wasze szczęście obalić? Niech się wam niebo całe chmurą zasunie i słońce o was zapomni; wy, sobą samemi napełnieni, z pogardą na wszystko poglądacie, cokolwiek mimo przechodząca niesie niepogoda.

Czegoż ten wieśniak, odartą przyodziany siermięgą, obiadem nędznym, i to jeszcze nie do sytości pożywiony, wesoło śpiewa? Szczęśliwa miłość najgrubszą mu strawę słodyczą przyprawiła. Czego ten żebrak na ramionach niesie żonę przegniłą? On mówi, że się do ciężaru przyzwyczaił, a powonienie, żyjąc z nią od dawna, stracił; a to pewniéj, że miłość z nim razem brzemię mu niosła, i zgnilizną około niego powietrze zarażone wonnością ozionęła. Bianka Capello, ty z kobiet swego wieku najpiękniejsza! Za cóż to bogaty i zacny dom ojca twego porzucasz, a przywiązując się do jednego sprawnika Salwiattych, na niepogody morskie i niebezpieczne przeprawy Appeninu życie narażasz? Kiedyżeś szczęśliwszą nazwać się mogła? czyli na bogatym Medyceusza zasiadłszy tronie, gdzie się przed tobą tyle tysięcy poddanego ludu korzyło; czyli w ubogiéj zamkniona chatce, oddalona od miasta i ludzi, ale z miłym ci Piotrem Bonawenturi żyjąca? [13]).

Bogactwa, godności i cnota nawet sama, nie tak blizko się do natury ludzkiéj przysuwają: bo to, co z zepsuciem albo z społeczeństwem ludzkiém urosło, nigdy tak miłém dla człowieka nie będzie, jak to, co sobie sam w sercu swojém na świat rodząc się przyniósł. Dlatego szczęście to, któreby najmocniéj sercu się przymiliło, ale razem i rozum do spółki z niém przypuściło, będzie zapewne szczęściem największém.

Od dzieciństwa zaraz z miłością oswoiwszy się, wszędzie ją potém nosimy z sobą. W niemowlęcych latach ona jeszcze nie pewna, albo za potrzebą nieodbitą pożywienia do matki przylgnie, albo do marnych jakich przywięzuje się bawideł. W wieku dziecinnym rówieników swoich wybiera, i koniecznie do czegoś przywięzując się, potrzebę niejaką kochania oznacza. W latach młodzieńskich niewinna Kloe sama nie może zgadnąć, co w niéj tę niespokojność sprawuje? Krew, przestrzeżona od miłości o porze swojéj, z większą nad zwyczaj gwałtownością przebieg swój czyniąc, czasem jéj twarz całą zarumieni, a czasem... z pomiędzy żyłek zaskórnych wewnątrz i na ratunek sercu niespokojnemu biegnąc, bladą ją całą zostawi.

Toż samo i z młodym dzieje się Filonem, który próżno za zwierzem po lasach biega, próżno w domu z towarzyszami swojemi wieloraki wymyśla rozrywki: miłość mu do serca szepcze ustawicznie, któréj głosu jeszcze nie rozumiejąc, przed nieznajomą tą jakąś niespokojnością wszędzie ucieka, która mu wszędzie zabiega drogę. W wieku zaś dalszym, chociaż zdawać się będzie, że nad kim obca jakowa skłonność panuje, nigdy jednak z serca człowieka miłość zupełnie wyrugować nie potrafi (tak), że nietylko wojenny Cezar swojéj poddaje się Kleopatrze [14]), ale nawet ów cynik Dyogienes pokazując się niby nie lubić kobiet (jak wszystko wspak ludziom robił) — postrzegły wszelako po nim Ateny, że myśli o kobiecie.

Prawdziwa filozofia nigdy tą największą natury doskonałością nie pogardza, ale owszem zawsze ją szanować winna; i ów jeden podobno między dawniejszemi szczery filozof Sokrates, jak miłości podległym był, sam o sobie powiada: „Oparłem ramię moje o ramię jéj, przychyliłem głowę moję do jéj głowy, i czytaliśmy książkę; uczułem razem w ramieniu mojém niby ukąszenia jakoweś, i więcéj, niż przez dni pięć swędzenie trwało, które razem i serce czuło".

Ten, wierny cnoty i natury tłómacz, wyrazem takim każdemu zapewne człowiekowi traf podobny przypomina, jak miłość do serca z słodyczą wkradać się umié; i razem nas swoim nauczać zdaje się przykładem, że co tak w naturze jest umyślne, przeciwko temu zuchwale walczyć nie należy. Jakoż, ktoby na miłość gadał, niewart on, żeby się był na świat narodził, kiedy tak początek istności swojéj szpeci, kiedy tak najmocniejszy ten sposób osłodzenia człowiekowi na ziemi losu gorzkiego wydziera.

Stanisławie! którego cnoty szacunek mojéj dla ciebie czynią przyjaźni! Ja się w domu twoim, co to jest miłość szczęśliwa, nauczyłem. Niewinne ubóstwo wstydu nikomu nie zrobiło, bo grzechem nie jest: dlatego nie wstydząc się, sam mi ten piękny życia twojego przypadek powiadałeś. Dobre urodzenie równie jak i cnotliwéj Anny twojéj, nie zawsze z dostatkiem chodzi: dlatego w młodym wieku pobrawszy się z szczególnego tylko przywiązania, potrzeba było od głodu ginąć, gdybyś był sam (co ci dla miłości nie przykro było) najcięższą rąk twoich pracą siebie i kochanki swojéj nie żywił. Na całodzienną robotę, na nieznośne upały słońca, w pole wychodząc z rana, mały chleba kawałek, który tylko jeden w ubogim domku miała, na cały ci obiad cnotliwa Anna oddaje.

Kiedy po ciężkiéj pracy godzina południa przyszła (ty to ze wzruszeniem wymawiałeś, czego ja nie umiem na kartę przelać, ażebym równie czytających mnie poruszyć mógł), kiedy ci godzina południa przyszła, wspomniawszy, że twoja tam żona najmilsza o głodzie w domu się została; nie chciałeś i spojrzéć na chleb, który ci ona, od gęby swojéj odjąwszy dała, i... na saméj wodzie za posiłek cały przestając, resztę dnia uprzykrzonego między potem czoła i głodem dokończyłeś.

Powróciwszy wieczorem, twoja cię Anna przed zagrodą domu z uśmiechem wita; a... spytana o obiedzie—już ja (odpowie) z tobą tam razem jadłam. „Och! nie tak (zawołałeś), najmilsza żono! niewartbym nigdy chleba kawałka, gdybym cię kiedy bez niego zostawić chciał. Oto masz ten sam chleb, który mi dałaś, oto ci go nietykany przyniosłem. „Między serdecznem, a często powtarzaném uściśnieniem, słodkiemi łzami... chleb zlany przełamawszy na dwoje, szczera wam miłość wieczerzą dała, nad którą (jak mówisz) dotychczas lepiéj nie jadłeś, chociaż dziś u stołu twego i obcy i domownik do smaku i sytości pożywiony. A wtenczas kiedy syn miły umarł, który już wam w starości rękę podawał, rozpaczającą matkę kilką słowami zaspokajasz: Bóg nam (mówiłeś) odebrał syna, ale mnie ciebie jeszcze zostawił". Jedno drugiemu zaraz łzy z oczu ocieraliście, po których uśmiech miłości nastąpił, miłości téj, która wam codzień zdaje się nowa, chociaż razem tak jest dawna.



Rozyno! mój przyjaciel kocha się i żyje najszczęśliwszy; żadnego przypadku nie miał, któregoby mu (jak mówi) miłość nie osłodziła. Oswoił się niejako z nieszczęściami i pod ich ciężar śmieléj podsuwa ramię, bo już doświadczył, że go nie z takim gwałtem jak inszych gniotą. Wszystkim tedy przygodom oprzéć się można, kochając się, ale téż i wszystko niemiłe jest, osobę ukochaną straciwszy. Wielki ów Soliman, po swojéj Roksolanie do śmierci tęskny, kilka jeszcze lat życia uprzykrzonego przepędził, w których ani go chwała nad wszystkich poprzedników swoich większa nie rozweseliła, ani okrzyki wesołe Carogrodu bawiły.

Kiedy mu admirał jego, po zniesieniu flot chrześcijańskich, tryumfy na morzu czyni, (on) podobniejszy do posągu jakiego, siedział zasępiony; i zdało się, jakby nie do niego należało szczęście, którego mu poddany niepoliczony winszował, a reszta starego (całego?) świata zazdrościła. Jezyd drugi, kalifa muzułmanów, po śmierci kochanki swojéj, przez dni kilkanaście przy trupie bez pocieszenia płacząc, z żalu umiera. Tysiąc mil kraju najpiękniejszego, który posiadał, miliony ludu, które skinieniem swojém zniżał albo podnosił, wszystkie te tak wielkie zyski przy życiu go utrzymać nie mogły; i kiedy tak dla kochanki swéj nie pocieszony niczém Jezyd umiera, wnosić można, jak był szczęśliwy przy niéj.

Bo komuż, proszę, życie byłoby miłe... utraciwszy to, co szczerze kochał? Ale téż, kto ostatniém przyciśniony nieszczęściem, w zapale pierwszym, chcąc sobie życie odebrać, jeżeli go miłéj kochanki ręka, albo wspomnienie zatrzymywało, kto kiedy zabił się dobrowolnie [15])?

Osoby, szczerą miłością kochające się, jeżeli przypadkiem to pismo moje czytać będziecie, wy w duszy waszéj te myśli moje potwierdzicie! Wam jedna miłość za wszystko stanie, cokolwiek insi za największą w życiu zakładają szczęśliwość. Macie spokojność umysłu, bo kiedy nic szczęściu waszemu wyrównać nie potrafi, nie możecie być tak bardzo troskliwemi o szczęścia niższe i... jako owa wysoko nad ziemię wzniesiona twierdza, pogardzacie, albo przynajmniéj okiem niezatrwożoném poglądacie, przy nogach waszych złego losu pociski.

Macie zdrowie czerstwiejsze: bo nie do zbytku, ale z umiarkowa-

niem za skłonnością natury idąc, dogadzając potrzebie jéj, zdrowiu razem swemu dogadzacie, które wam wspomniona wyżéj spokojność duszy jeszcze nierównie mocniéj zabezpiecza. Macie majątek zawsze dostateczny, bo dziedziczycie dobro doskonałe, na którém dosyć jest człowiekowi. I kiedy ten tylko, co kontent ze swego, prawdziwie jest bogatym, wy macie majątek wielki. A ponieważ, jak w przyjaźni, tak i w prawdziwéj miłości, same tylko cnotliwe osoby szczerze kochać się mogą [16]), toć... jednę miłość posiadając, razem spokojność duszy, zdrowie, skarby i cnotę posiadacie.

Nie tak jeszcze miłość, o któréj mówimy, samolubna jest, ażeby... tylko między osobami w szczególności wziętemi zostawszy się, największych razem dla powszechności nie przynosiła pożytków. Rzućmy okiem na ziemię całą i rozrzucone po niéj stworzenia niezliczone; na głos miłości, narody ludźmi, lasy zwierzem, powietrze ptastwem, wody rybami napełnione; i gdyby... przez niepodobieństwo, na lat kilkadziesiąt miłość w naturze zaginąć mogła, jakaż wszędzie pustynia!

Ale mówmy o samych tylko ludziach i o rzeczach, jak są w istocie swojéj. Zaludnienie kraju zapewne szczęściem największém jest narodów: kiedy to widocznie postrzegamy, że tam, gdzie większa panuje ludność, rola jest uprawniejsza, przemysł ludzki wyżéj postąpił, słodycz obcowania łatwiejsza i związki przyjaźni prędsze; a to wszystko dla częstszego człowieka z człowiekiem zdybywania się, albo ze wspólnéj potrzeby przyszło.

Te tak wielkie dla społeczeństwa pożytki, to zaludnienie, które jest najpierwszą potęgą kraju, z ręki miłości narody odbierają ([17]). Jakoż zaczyna to poznawać lepiéj oświeceńsza Europa, i zapewne, gdyby się powrócić chcieli, w żadnym swym kącie nie cierpiałaby owych Essenieńczyków, o których wspomina Pliniusz: „Naród jeden, (mówi on) w całym świecie nad inne dziwniejszy, bez żadnéj kobiety codzień z tłumu przychodniów rozmnaża się, których los w życiu uprzykrzoném, do sposobu obyczajów ich zapędza. I tak, przez tysiąc lat naród ten uwiecznił się, w którym się nikt nigdy nie urodził".

Z pomiędzy zaludnionych szczęśliwą miłością krajów, nieprzyjaciele ci natury wydarłszy się, nędzne osobno składali tłumy, i że jedynemi tylko na całéj ziemi byli, nie tak nadto nieszczęśliwe za sobą skutki pociągnęli. Ale pomyślmy sobie: gdyby téż jak Essenieńczykowie, którzy ze swojéj strony starali się być ludźmi cnotliwemi; gdyby téż jak oni za tym sposobem myślenia i insze narody poszły: te piękne miasta i prowincye—jakże prędko niby zaraźliwém jakiém wymorzone byłyby powietrzem, które dziś miłość dobroczynna szczęśliwym mieszkańcem napełniła.

# PRZYPISKI

## DO LISTU O SZCZĘŚICU CZŁOWIEKA.

([1]) Trzęsieniem ziemi za panowania Tyberyusza trzynaście miast znacznych w Azyi zapadło się z obywatelami. Antyochia za Trajana takiegoż doznała losu; a roku 742 po narodzeniu Pańskiém trzęsienie powszechne w Egipcie i na całym prawie wschodzie, nocy jednéj blizko sześćset miast znacznych z mieszkańcem obaliło. Bliżéj nas, w roku 1755 Lizbona ledwie nie ze wszystkiém w rozwalinach swoich zagrzebała się; i w tymże czasie Europa prawie cała, i część Afryki toż nieszczęście poczuły; a wielkie miasto Quito w Ameryce zapadło się. Roku 1783 opłakany stan Kalabryi i owo jedno z najdawniejszych i najpiękniejszych miast Europy: Messina w Sycylii, ledwie ślady po sobie, gdzie było, zostawiwszy, uczą nas, jak człowiek w pośrodku pokoju i szczęścia, które mu się zewsząd uśmiecha, jeszcze na ziemi nie jest bezpiecznym. Złe to tak mocne na ziemi jest, że pozgładzało na niéj najwyższe góry, a na tych miejscach jeziora pootwierało: i domyślać się można, że kiedyś dawniéj trzęsienie ziemi, rozdarłszy te skały, gdzie teraz Gibraltar i Ceuta leżą, wpuściło wody Oceanu na piękne niziny, i zalało może najludniejsze na tém miejscu królestwa, gdzie teraz śródziemne morze widzimy. Trzęsienie ziemi... podobno Anglią od Europy, Sycylią od Włoch, Cejlan od Azyi i inne pobliższe wyspy od ziemi stałéj poodłączało. Tak człowiek, wszędzie potężnym usuwając się żywiołom, woła przecie, że jest ich panem.

([2]) Prócz powszechnego potopu świata, o którym w księgach Pisma świadectwo mamy, wylania wód i w inszych czasach nieskończone szkody na ziemi porobiły. Potop Deukaliona całą Tessalią, dawniejszy zaś Ogigesa Attykę i Beocyą zalał. O potopie Prometeusza i zalaniu ze wszystkiém Samotraków dawniejsi pisarze smutne nam pozostawiali pamiątki. W bliższych nam wiekach wylewy morza zalały tę część Niderlandu między Groeningą i Embden, która się dziś golfem Dossard nazywa. W roku 1421 cała ta rozległość, która jest między Brabancyą i Holandyą zatopiona. Roku zaś 1783 wyspa Formoza wezbraniem wód morskich wiele tysięcy ludu swego zgubiła.

([3]) Wielka liczba gór, ognie wyrzucających, które znane są we czterech częściach świata, szczęściem jest dla ziemi: bo ognie podziemne, gdyby tych kominów dla wychodu swego nie miały, gdyby i dla wśródziemnego powietrza przelotu tego nie było, siły ognia wewnętrznego utrzymać nie mogąc ziemia, pewnieby się rozedrzéć musiała: która dzisiaj, ustawicznem prawie wybuchaniem tychże ogniów cała się utrzymuje. W Europie najsławniejsze są wulkany: Etna w Sycylii, Hekla w Islandyi, i Wezuwiusz w Neapolu. Etna

i Hekla, jak dawno ognie wyrzucać zaczęły, śladu żadnego nie mamy w historyi; ale o Wezuwiuszu, roku 79 po narodzeniu Pańskiém, kiedy ognie wyzionął, najpierwsze jest wspomnienie, gdzie ciekawy ów natury badacz Pliniusz starszy zginął. Przed tym przypadkiem przy górze téj najpiękniejsze były miasta i winnice Rzymian. W teraźniejszych czasach dobyte Herkulanum, a w tamtym czasie pyłem ognistym ze wszystkiém zarzucone, świadczy, jak zamieszkane, jak wspaniałych budowli i drogich osobliwości pełne było. Przed tém wybuchnieniem ognia z Wezuwiusza żyjący Sylius Italicus i Strabon wyraźnie mówią, że ta góra najdawniej z siebie ognie wyrzucać miała; co z różnych znaków wnoszono. Toż samo dzisiaj na wielu górach Francyi postrzegają, że kiedyś były wulkanami. Tak po różnych stronach ziemi ogień podziemny szuka miejsca swojego, żeby się uwolnił. Dwadzieścia kilka razy od tego pierwszego pod Tytusem wybuchania Wezuwiuszu, góra ta ognie swoje z największym gwałtem i niebezpieczeństwem okolic wyrzucała.

(4) Głód często u nas przyczyną powietrza bywa; ale ten mór niebezpieczniejszym jest, który do nas z Egiptu, albo z Azyi przychodzi — i od dwóch tysięcy lat powietrze, które bywało w Europie, zawsze temi drogami przychodziło. Turcy najczęściéj zarywają powietrze od karawan do Mekki; która zaraza u nich nie tak jest szkodliwa, podobno z przyczyny, że nie nadto jéj się obawiają dla swojéj wiary ślepéj w przeznaczenie. U nas w Europie strach ją szkodliwszą robi, jak i wszystkie insze choroby rozpacz i trwoga chorującego powiększa. Zapowietrzonym, jeżeli puls gwałtowny mają, czasem krwi upuszczenie pomaga; pomaga także wiele wody krynicznéj pijąc. Dzieje świata czynią wzmiankę o dwojgu powietrzach, między inszemi najstraszniejszych, które ziemię spusztoszyły. Jedno przed przyjściem Chrystusa roku 431, drugie po przyjściu, wieku czternastego. Pierwsze przeszło wielką część ziemi i spusztoszyło Grecyą za Artakserksesa Longimana. Zaczęło się w Etyopii, poszło do Libii, Egiptu, do Judei, Fenicyi, Syryi, przeszło przez całe państwo Persyi, i napadło Attykę; w którym czasie ratowaniem Greków najwięcéj wsławił się Hipokrates. Drugie, nierównie jeszcze gorsze było, w roku po narodzeniu 1346. Powietrze to zaczęło się w Chinach północnych, z jakiegoś waporu ognistego niezmiernie smrodliwego, który wyszedłszy z ziemi, zaraził powietrze całe, i z szybkością niewypowiedzianą dwieście mil kraju chińskiego ogołocił. Powietrze to przez całą Azyą przeszło, napadło potém Grecyą, stamtąd Afrykę, a nakoniec Europę, w któréj, zwłaszcza w stronach północniejszych, chociaż nie tak gwałtowne było, przecież najmniéj dwudziestą część ludzi wyniszczyło.

(5) Ażeby istota jaka była istotą, potrzeba, ażeby ją coś koniecznie postanowiło; i dlatego to noc, albo cień, który widzimy, żadną istotą nie jest: bo zasłoń tylko promienie słońca, i nic więcéj nie przydawaj, już sam cień, albo noc z tego zasłonienia nastąpi. W łacińskim to nazywa się *status negativus*: — a wielu było takich, którzy szczęśliwości nasze na ziemi w takim stanie być rozumieli; jakoby nieszczęścia istotne były, szczęśliwość zaś nasza na samém tylko oddaleniu się nieszczęść polegała.

(6) Mawiali Stoicy, że stałość człowieka wszystko przewyższy, na wszystko być może obojętną; i kiedy łatwiéj im było cierpienie duszy ukrywać: ból nawet ciała, ażeby powierzchownemi nie wydać znakami, starali się. Epiktetowi, kiedy pan gruby nogę przełamał, on niby uśmiechając się tyle powiedział: „A nie mówiłem, że nogę przełamiesz?" — Epiktecie! ty, uporem utrzymując zdanie swoje, o bólu nic nie wspomniałeś, ale sama cię cierpliwa natura wydała, kiedy ci zapewne, wśród uśmiechu twego, tak gwałtowne uderzenie łzy z oczu wyciskało.

(7) Epikur nie wszystko to myślił i mówił, co o nim myślano i mówiono. Jego rozkosz, którą za ostatnie człowieka założył uszczęśliwienie, była, *nie cierpieć*; jego rozkosz od cnoty była nierozdzielna. I gdyby to zdanie nadto powszechne nie było, któżby mu się sprzeciwić mógł? Cnota i wszystko, co tylko miłe w zmysłach i duszy jego sprawiało poruszenie, używanie każde rzeczy pożądanéj rozkoszą było Epikura. I ja nie wiem, za co Plato powszechnie powiedział, że rozkosz z boleścią zawsze się łączy... jakoby nas tym sposobem myślenia swego od rozkoszy w życiu zupełnie oddalać chciał. Zdaje się, że lepiéj stary Cyrus pomyślił: „Od rozkoszy (mawiał on) nie dlatego potrzeba unikać, i przyzwyczajać się do pracy, ażeby rozkosz porzucić, ale żeby potém większéj kosztować rozkoszy."

(8) Horacyusz za szczęśliwość człowieka kładzie rozum zdrowy w ciele zdrowém; Aleksander Pope spokojność, zdrowie i życie wygodne naznacza; Tales nazywa szczęśliwym zdrowego, bogatego i rozum mającego; sławny zaś wieku naszego Helwecyusz... na jednym rozumie i wiadomości szczęśliwość człowieka zasadza. Dar rozumu, którego cząstkę największą między ziemskiemi stworzeniami ludziom Opatrzność udzielić chciała, jakże często człowieka staje się karą! Jak wiele rzeczy, poznanych przez rozum, największego naszego umartwienia przyczyną było! Umiéra sto razy przed czasem więzień, rozpamiętywając rozumem śmierć srogą, która go czeka; a bydlę na zabicie prowadzone wesoło idzie. Tyle rzeczy, które rozum, daleko zasięgając, widzi najokropniejszemi, człowiek nie tak roztrząsający wszystko, człowiek nie tak rozumny, bez wzruszenia na nie pogląda, i szczęśliwym zapewne jest (tak), że ledwie z Erazmem Rotterdamem (gdyby to nadto nieupodlało szczęścia ludzkiego, i inszych wad swoich nie miało) przyznać nie powinnibyśmy, że szczęśliwości nasze ziemskie bliżéj głupstwa, niżeli rozumu leżą.

(9) Dyogienes Laercyusz — który nam życia i zdania wielkich ludzi dawnéj Grecyi pozbierał, w życiach Arystyppa, Teofrasta, Stratona, Demetryusza, Platona, Heraklidesa, Kliniasza, Antystena, Kleanta, Chryzyppa i innych — wspomina miłość jak rzecz szanowaną w naturze, i nigdy, chyba tylko samym zbytkiem jéj, nienaganną.

(10) Ci, co spokojność umysłu za największą człowieka szczęśliwość kładą, na jedno wyjdzie, jak gdyby powiedzieli: „Największą człowieka szczęśliwością' jest szczęśliwość." Bo jak szczęśliwość w życiu, tak i spokojność umysłu w życiu, są to dwa słowa jednę rzecz znaczące; obadwa zaś są skutkiem czegoś, nie zaś przyczyną. A nam, naznaczając, jakie być może szczęście człowieka, potrzeba naznaczyć, co się do niego istotnie przyczynia, i co go składa.

(11) Jakie, proszę, miéć może cnoty ów głupi w Afryce Hottentot, albo błąkający się ustawicznie po lasach Ameryki środkowéj mieszkaniec? Prawo mocniejszego i dogodzenie sobie, całém jego prawem i cnotą jest. Sprawiedliwość, która jest zasadą cnót inszych, u tych i tym podobnych ludzi nieznana (bo jak opisują w podróżach swoich ci, którzy z niemi obcowali), za skłonnością do kradzieży bez żadnego zastanowienia się idą. To słowo *obyczaje* jest słowem społeczeństwa i ćwiczenia, do którego sposobność największą do pojętniejszego rozumu i łatwości mową tłómaczenia się, człowiek pokazuje (tak). Ten zaś wyraz *wykonywanie cnoty* wyciąga koniecznie, ażeby wykonywający znał to, że ją wykonywa. Biedny Hottentocie, ty nie wiész, co to jest cnota, i jakby ją tam pełnić potrzeba: bo któżby cię tego nauczył? Ty taką rzeczą — od ojca powszechnego zapomniany, gdyby cnota (jak mówią) jedyną tylko była szczęśliwością człowieka — nigdybyś szczęśliwym być nie mógł! Och! nie tak, bracie mój! Ja... w największém uszczęśliwieniu żyjącego na ziemi stworzenia i twoje prawdziwe obaczę szczęście! Ale powié kto, że szczęśliwość taką równie i zwierzęta miéć mogą, a tym sposobem człowiek takiém porównaniem upodliłby się. Mimo tego, żeśmy, zwłaszcza w towa-

rzystwach ludzkich, i rozum i cnoty do spółki z miłością przypuścili, a czemuż nie upodla się człowiek, kiedy zwierzęta tylą nas rzeczami przewyższają?

(12) Szczęśliwości ludzkie na ziemi przez zepsucie nasze nigdy doskonałemi nie będą, i zawsze coś do zupełności ich nie dostaje, że choćby nie było przypadków inszych, sama bojaźń utracenia tego, co posiadamy, robi nas często w pośrodku szczęścia niespokojnemi. Ale, wybierając miłość szczerą z pomiędzy tak niedoskonałych naszych szczęśltwości zdaje się, że w przygodzie jakiéj naprzykład, ona najmocniéj staje przy człowieku i złemu losowi tak opiéra się, jak na jéj miejscu insze od inszych zakładane, największe ludzkie szczęśliwości oprzećby się nie mogły.

(13) Skłonność niewstrzymana Biankę Capello poczciwym ślubem łączy z Piotrem Bonawentury; z którym, lat kilka ukrywając się umyślnie od tłumu ludzi, na odległych przedmieściach Florencyi żyła najszczęśliwsza. Po zabiciu męża, od Medyceusza książęcia Toskanii za żonę wzięta, na królestwo cypryjskie koronowana, wkrótce gwałtowną trucizną wraz z mężem padła; i ledwie, że jéj pogrzebu przy kościele pozwolono.

(14) Miłość, byle umiarkowana była i na rozpustę nie wyszła, nietylko do waleczności, ale i do inszych spraw najchwalebniejszych bynajmniéj nie przeszkadza. Owszem to postrzeżono, że ci, którzy z zimnego jakiego składu swego najmniéj do miłości są skłonni, do niczego prawie przydatnemi nie będą. I nie trzeba tak myśléć, ażeby ów, cały wojną tchnący Karol XII, król szwedzki, nigdy miłości nie znał, kiedy jéj nigdy po nim nie postrzeżono. Bojąc się zapewne, żeby mu miłość panującéj jego passyi wojowania nie nadwątliła, i miarkując, jakby się jéj słabo opiérać mógł, umyślnie przed nią się chroni; a nie dufając sobie, przed sławną ową natenczas pięknością grafową Koenigsmark, nie chcąc się nawet z nią widzieć, ucieka.

(15) Kiedy kto miał się zabijać dobrowolnie, koniecznie to w sobie miéć musiał przekonanie, że nic już na świecie nie znajdzie, coby go pocieszyć mogło. Ale kto losem szczęśliwym wybrał kobietę, którą nad wszystko, co tylko być może, więcéj szacuje: w myśli zgodzić się nie można, jakby się zabijać mógł z pobudek ze strony jakiego przychodzącego nieszczęścia, kiedy spojrzy, albo wspomni na osobę, którą kocha kochany; chybaby w rozpaczy i ona razem z nim ginąć chciała.

(16) Ponieważ i przyjaźń i miłość szczera cnotami są, a cnoty, jak dobrane jakie poczciwe towarzystwo, razem się z drugiemi znowu cnotami trzymać lubią: toć, jako w przyjaźni, tak i w prawdziwéj miłości same tylko cnotliwe osoby szczerze kochać się mogą. Osoba, prócz tego, cnotliwa w występnéj długo kochaćby się mogła: bo kiedy wszystko pod pozorem dobrego lubimy, zbrodnie zaś, pozorem najokazalszym ukryte, długo utaić się nie mogą: więc lepiéj sobie przypatrzywszy się, prędkoby się takie miłości, albo przyjaźni zrywać musiały. A dajmy to, że z obudwóch stron niecnotliwi zebraliby się kochankowie, ponieważ znowu zbrodnie z natury swojéj są niezgodliwemi, miłość między występnemi długo utrzymaćby się nie mogła. Potrzeba tedy, i tak zapewnie jest, że same tylko cnotliwe osoby szczerze się kochają. I gdyby teraz (kiedy miłość za największą człowieka szczęśliwość naznaczamy), kto nam zarzucił, że chcemy tém pismem naszém, ażeby miłość była w każdym człowieku panująca; nie będzie ciężki na nas zarzut takowy; i owszem przyznamy się, że w tém rozumieniu, jaką tu miłość naznaczamy, niech sobie szczęśliwie i panuje nad ludźmi, bo razem z cnotą panować będzie.

(17) Zaludnienie krajów u dawnych narodów, u Greków i Rzymian, najpierwszą baczność rządu ścigało. Stąd owa wieków tamtych niezmierna ludność, o któréj w Herodocie, Dyodorze i Strabonie do zadziwienia czytamy. Może nadto turbował się Montesquieu, że po rachunkach (które, jakie mógł w takiéj rzeczy, uczynił) ledwie dziesiątą część ludzi w porównaniu z zaludnieniem dawniejszém, wieku teraźniejszego znalazł... i, że, ponieważ coraz bardziéj toż zaludnienie zmniejsza się, za dziesięć wieków najdaléj ziemia w bezludną się pustynią odmieni. Wszelako, przeczyć mu nie można, żeby rządy teraźniejsze ziemi zaludnieniu przeciwnemi nie były. Azya i Afryka, pozwalając wielożeństwa, zatrzymała rozmnożenie się ludzi, w tylu marnie po serajach pozamykanych kobietach, i utrzymywanych przy nich eunukach. Zbytek prócz tego, którego sobie tamtych dwóch części świata pozwala mieszkaniec, zagrodą jest zaludnienia. W naszéj Europie inny znaleziono sposób przeszkadzania temu największemu uszczęśliwieniu narodów. U nas, prócz inszych wad rządów, nietylko z chorobami, które za sobą ciągnie, ostatnia cierpiana rozpusta; ale wstrzemięźliwość nawet narodu ludzkiego rozmnożeniu przeszkadza. Dawni Persowie z prawa tłómaczonego przez magów wierzyli, że dla bóstwa najmilsze dzieło człowieka jest: być ojcem dziecięcia, i rolą uprawiać; dlatego Persowie mieli zawsze wyżywienie dostateczne i zaludnienie największe, dlatego się Persowie tak potężnemi na świecie zrobili. Zaludnienie potęgą największą jest kraju każdego, i w tym stanie, jak dziś Europę widzimy, Francya, rozległości swojéj na mil dwieście mająca, około dwudziestu dwóch milionów licząc mieszkańca, choćby różnych (równych?) ludu przywódców i po inszych królestwach Europy utrzymywano, zawsze ona przemagać będzie, bo zawsze rąk więcéj do bronienia się, albo nacierania w domu dostanie. Ale mówmy lepiéj o kraju naszym.

Szczęśliwe położenie Polski w powietrzu zdrowém i na gruncie żyznym, więcéj nam daleko obiecywało mieszkańców. Co zaś do tego przeszkodziło, i coby błąd ten poprawić mogło? obaczmy. Holandya i Szwajcary, ta na bagnach przegniłych, te między nieużytecznemi górami osadzone, tak ludnemi są, że, proporcyą ich rozległości do naszéj biorąc, Polska przynajmniéj drugie tyle mieszkańców, jak teraz ma, miéćby powinna; tak wolność i zabezpieczenie każdemu własności jego zgromadza i rozmnaża ludzi. Zaludnienie krajów najwięcéj składa lud pospolity. W narodzie naszym ostatnie uciśnienie wieśniaka, pracą ustawiczną sił jego wyniszczenie, niesposobnym go prawie robi do rozrodzenia się. Przyczynia się do tego, że nie ma zabezpieczenia majątku swego; a tak nie dbając o nic, sposobu nawet wyżywienia siebie i dzieci zaniedbywa. Nie ma zdrowego dla siebie mieszkania, i gorzéj, jak gdzieindziéj bydlęta, między dymem i gnojem mieszka. Nie ma często potrzebnego do utrzymania życia wyżywienia; i wtenczas, kiedy ładowne statki pańskie na sprzedaż płyną, ubogi wieśniak, który do tego najpierwéj należał, bez chleba został, i ze łzami w oczach sam od brzegu swojego zboże, które go żywić miało, odpycha. W pośrodku takich ucisków i nędzy wieśniaka nieszczęśliwego, pan, chciwy zewsząd zysków swoich, w każdéj wiosce pod oczyma mu jeszcze karczmy wystawia, gdzie rozpaczającemu prawie wódkę, ten napój najgorętszy, nietylko mu w ręce podaje, ale nawet — po inszych miejscach jeszcze pewną jéj miarę na biednego poddanego narzuca; do któréj on zapewne prędko przywyka, bo odbierając mu zmysły, przynajmniéj na czas zgryzoty jego umarza. A tak, czego ucisk ostatni, niewygody i głód nie dokończył, tego pijaństwo, wysuszając ze krwią płodności saméj zawiązki, nieszczęśliwe dokonywa. Jeżeli zaludnienie w kraju poprawić chcemy, poprawmyż te błędy nasze Nie podnośmy tak ustawicznie ciężkiéj ręki na chłopka biednego, bo on rękami swojemi żywi; chciejmy mu się tylko przypatrzyć lepiéj, a poznamy, że równym nam jest człowiekiem. Pogodziwszy się tak z tym nieszczęśliwym bliźnim naszym, postąpmy jeszcze daléj. Szczepienie ospy, którego tak skutecznie od czasów najdawniejszych zażywa Azya i Afryka, za co nie ma być aż do wsi naszych wprowadzone? Już tego tyle razy doświadczono, jak wiele zwyczajną ospą dzieci wymiera, a jak bez porównania mniéj daleko śmiertelną dla nich jest zaszczepiona: bo w ospie zwyczajnéj najmniéj dziecię ósme umie-

ra, w zaszczepionéj zaś najwięcéj dwuchsetne zginie. Wieśniak w początkach wzdrygnie się może na tę nowość niezwyczajną nad dziećmi swojemi doświadczoną; ale kiedy umiemy być gwałtownemi, gdzie o nasz przypadkowy pożytek chodzi, zacóżbyśmy do tego i przymusić nie mieli, co z takiém własném ich, i rozumu rodzaju ludzkiego jest dobrem, a z czasem przyzwyczajeni, jak w Azyi lub Afryce, każda matka zaszczepiałaby ospę dziecięciu swemu. Chcąc zaludnienie kraju powiększyć, otwórzmy miasto nasze przechodzącemu cudzoziemcowi; najbardziéj jeżeli jest rzemieślnikiem i chciałby się zabudować, na lat kilkanaście niech wolny od wszystkich ciężarów krajowych będzie... a nazawsze w niczém nieprześladowanym; to potém zamieszkawszy się, samemu już żal będzie domu swojego porzucić. Kiedy rozpusty, i ciągnących się za nią chorób niezliczonych, tak bardzo zaludnieniu szkodliwych zupełnie po miastach zatamować nie można (około czego wszelako wielkiéjby baczności potrzeba), starajmy się przynajmniéj wczesném żenieniem pospólstwa uprzedzić ją; i toż samo do wsi naszych, dopomagając i osładzając wczesne małżeństwa, wprowadźmy. Bo przyczyny znaléźć nie można, dlaczego Żydzi, ten naród z gorącego klima do nas przeniesiony, tak się niezmiernie u nas, biorąc porównanie z mieszkańcem tutejszym, rozrodził, tylko że wcześnie, i zaraz jak pora namiętności przychodzi, idąc w tém za ukazem natury saméj, która nic próżno nie robi, żenią się. I chociaż po większéj części, jak widzimy, w nędzy żyją, przecież pijaństwa i prac ciężkich nie znając, nie tak zgubili siłę płodności, żeby nią wieśniaków naszych daleko przewyższyć nie mieli.

Religio! ty zawsze święta, ty zawsze matką jesteś! czyli ja jak człowiek w szczególności w ucisku moim do ciebie pójdę! czyli cię towarzystwo jakie, albo naród cały o co się pyta! nikogo od siebie smutnego nie odepchnęłaś; Ty stanu bezżennego koniecznie wyciągać nie możesz, bobyś tém samém zniszczenia narodu ludzkiego chciała. Ty nas zachęcasz, błogosławisz i uświęcasz małżeństwa nasze! Niechaj ci tylko, którzy cię dobrze nie znają, smutni w zakątach swoich jęczą, a ja z Mistrzem moim, na przystojne uczty, wesela i między zgromadzenia ludzi wnijdę i z niemi bawić się będę.

---

# PRZESTROGI

**pod błogosławieństwem dane wnuczce mojéj, Katarzynie Kozierowskiéj, po jéj ślubie z Walentym Starościcem Ostrskim.**

Najpierwéj, Kasiu, pamiętaj o tém zawsze, że Bóg widzi wszystko, co robisz, a tak będziesz robić wszystko, co Bóg lubi.

Szanuj matkę męża twojego, jak swoję. Ty nie masz już swojéj. I wiedz o tém, że łez płaczącéj na dziecię matki zawsze Bóg pomścił się. Bądź dla niéj najprzychylniejszą w każdém zdarzeniu służebnicą.

Szanuj i rodzinę męża twojego, ona już twoją jest, a my daleko od ciebie teraz odsunieni będziemy.

Jeżeliby mąż twój był kiedy gniewny na ciebie, a miał przyczynę gniewu, przepraszaj go zaraz; upokorzenie się miękczy gniewy największe. A jeżeliby przyczyny nie miał, nie odpowiadaj mu zaraz ostro, żeś niewinna, ale aż opłonie; a tak on cię przepraszać będzie. Małżonkowie niecierpliwi są jak dwie głownie rozpalone, które im bliżéj siebie, tém się bardziéj niszczą.

Chroń się wdawać w poufałość z młodzieżą; bo choćbyś była niewinną, podejrzenie męża zrobi mu pomału wstręt od ciebie.

Pamiętaj na przysięgę wierności małżeńskiéj; bo myśl nawet twoją Bóg obaczy i karać ją będzie.

Jeżeli ci Bóg da dzieci, chowaj je w wierze chrześcijańskiéj. Niech najpierwszém ich ćwiczeniem będzie: mówić i pełnić prawdę; a tak Bóg je ulubi i pobłogosławi, jak swoje dzieci, bo on jest Ojcem Prawdy.

Szukaj towarzystwa z uczciwemi tylko kobietami, a będziesz miana za uczciwą.

W sprzeczkach zaś w posiedzeniach ustąp upartym, a będziesz miana za grzeczną: zaletą płci niewieściéj jest skromność; niech tę widać będzie w słowach i w ubieraniu się twojém: wstydliwa żona i męża swojego wstydzi się.

Dbaj w każdém zdarzeniu o honor męża twojego, bo to razem twoim honorem jest: a najlepiéj się obronicie od gadania ludzkiego niewinnością życia waszego.

Nie próżnuj ile możności nigdy, zawsze się czém użyteczném zatrudniając: bo próżnowanie drogą bywa do wielu występków.

Wejście do małżeństwa jest usłane kwiatami, ale wstąpiwszy za próg, czasem się głogi i ciernie znajdą. Jeżelibyś kiedy na nie napadła, ty je, Kasiu, statkiem i cnotą pokruszysz.

Nie masz ty posagów wielkich, ale najlepiéj wyposażona każda, która w dom męża przyniesie skromne cnoty.

Nie na saméj z mężem przestawajcie miłości: przyjaźń wam potrzebniejsza do śmierci—i ta niech zawsze idzie przed miłością.

Pamiętaj o wspieraniu ubogich, jak możesz, i nieszczęśliwych: ich ci to modlitwy najprędzéj stają przed Bogiem, i wyrobią ci z mężem życie długie i szczęśliwe.

Nie zapominaj o twoim ojcu, o twoich braciach, i czyń im honor postępkami twojemi.

Nie zapominaj o mnie, który ci te przestrogi pod błogosławieństwem daję, prosząc Boga, ażeby ci wraz z mężem twoim, przy długiém życiu i pomyślnościach, nie zbywało w domu na potrzebach, a między ludźmi na przyjaciołach.

---

# LIST

## do Księcia Dominika Radziwiłła, Ordynata Nieświeskiego.

Wiadomy już ma być interes mój W.X.Mci, o pozostałych w skarbie jego czerwonych złotych tysiąc, za rok mój bawienia w dzieciństwie W.X.Mci przy nim, które to pieniądze opiekun natenczas W.X.Mci, Xiąże Maciéj Radziwiłł, pismem swojém mi zabezpieczył.

Altamor był piękném dziecięciem, a Polidor w wieku już podeszłym wodził go za rękę, i pokazywał mu, jak ma chodzić, ażeby ani po skalistych bezdrożach, dla bojaźni upadku, nie piął się, ani po miejscach błotnistych, aby się nie zwalać, nie chodził. Z latami Altamor przyszedł do czerstwéj młodości, a Polidor postarzał się, że ledwie chodzić mógł. Wtenczas Altamor wziął za rękę Polidora i rzekł mu: „Ty mię ratowałeś w dzieciństwie, ja cię niedołężnego w starości twojéj poratuję" — i zaprowadził na miejsce wygodne, i położył chleb koło niego, ażeby tak starzec bez trudów kończył dni swoje. Polidor podniósł do góry z wdzięcznością ręce, a Bóg wtenczas zwołał niebianów, ażeby patrzyli się na piękne dzieło młodzieńca cnotliwego. Sam zaś Altamora, jako niemającego ojca i matki, przyjął za dziecię swoje. W.X.Mość jesteś Altamor, a ja Polidor, który składam nadzieję odebrania pieniędzy moich w najlepszém sercu Jego.

---

# PAMIĘTNIKI

# FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

# PRZEDMOWA.

Niemasz podobno między pisarzami naszemi drugiego, o którego dziełach lub życiu mielibyśmy tyle pism, tyle artykułów, co o dziełach lub życiu Franciszka Karpińskiego. To ostatnie szczególniéj dostarczyło przedmiotu do tylu zajmujących opisów, wiadomości a nawet powieści, rozrzuconych po nowszych naszych pismach czasowych literackich. I w rzeczy saméj, młodzi pisarze nasi nie mogli nie zajmować się z upodobaniem człowiekiem, który pełen staropolskiéj prostoty i szczerości, pełen ujmującéj rzewności, odśpiewał naprzód w swych sielankach i elegiach swój żywot cały, żywot nie błyszczący żadnemi nadzwyczajnemi zdarzeniami, a przecież tak rozmaity i przez swój tok tak odpowiadający młodzieńczym marzeniom. Miłość gwałtowna a tajona, dorabianie się pracą kawałka chleba i cichy kącik w starości, oto są epoki tego życia, oto jego żywioły.

Wielu z pomiędzy tych, co pisali o Karpińskim, znali mniéj-więcéj całe pasmo jego życia i to nam wystawili wedle powziętych wiadomości; inni opisali tylko pojedyńcze jego okresy, ale wszystko to działo się pod wpływem osobistego zapatrywania się, lub odebranego wrażenia. Nie będzie to więc zapewne bez korzyści, nauki i przyjemności czytającéj publiczności polskiéj, gdy pozna z ust samego Karpińskiego żywot jego.

Rzadkie są u nas autobiografie, czyli opisy żywotów ludzi sławnych, przez nich samych uczynione, pochlebia sobie przeto wydawca, że zasłuży się rodakom, wzbogacając literaturę ojczystą ogłoszeniem jednego takiego opisu, który nadto i tém jeszcze jest ważny, że daje poznać blizko i, że tak rzekę, drobiazgowo, wiele zdarzeń, osób, charakterów z końca zeszłego wieku, to jest, z téj epoki, która

przez blizkość swoję, przez wypadki swoje, tak dla nas jest zajmującą, a o któréj przecież dotąd tak mało wiemy. Jeśli niejedna rzecz wystawiona tu jest inaczéj, jak to dziś z pewnością wiemy; jeśli zdania piszącego różnią się od ustalonéj dziś opinii: to i wtedy, chociaż historya nic nie zyska, pozna się przynajmniéj charakter pisarza, który wywarł znaczny wpływ na piśmiennictwo polskie i zajmuje w literaturze ojczystéj niepospolite miejsce.

---

Urodziłem się w roku 1741 dnia 4 8bra w ziemi Halickiéj na Pokuciu w powiecie kołomyjskim we wsi Hołoskow 3 mile od Stanisławowa z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się: Kozłowski, sąsiad i przyjaciel ojca mego, przestrzegł go kilką godzinami przed mojém urodzeniem, że w nocy sławny na Pokuciu rozbójnik Oleksa Doboszczuk dokazujący w tamtych stronach, razem z dwunastu swoich mołojców miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już moję matkę boleści rodzenia napadły, a ojciec dom z bojaźni może zatracenia życia porzuciwszy, z czém mógł naprędce do bliskiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi z towarzyszami jego, chleb, ser i gorzałka najobficiéj na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojém, przyszedł z swojemi Doboszczuk; matkę tylko moją leżącą i babę, która mnie odebrawszy omyła i na ręku trzymała, nikogo więcéj w całym domu nie zastał. Matka moja nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba przystąpiwszy ze mną na ręku do Doboszczuka, oto (powiada) godzina, jak to się dziecię urodziło, miéj pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnéj przykrości, kiedy cię jak dobrego gościa przyjmujemy. Zmiękczyło to serce rozbójnika i, mołojcom swoim skromnie się obejść przykazawszy, do jedzenia i wódki obficie dostarczonéj zasiadł, babie potém dał trzy czerwone złote a matki mojéj prosząc, ażeby nowonarodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego w tym czasie w domu naszym Oleksy (jak się i Doboszczuk nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszéj z swojemi odszedł.

Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi tylko matka powiadała, w 5 lat może wieku mojego, brat mój rokiem starszy Kajetan umarł; kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) opłakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki, po nim pozostałe a lepsze od moich, mnie się dostawały; tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza

w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potém matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jéj nieboszczyk Kajetan widocznie się jéj po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się, na jakiéj drodze umarła jéj siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat, mamuniu, i ciężko każdego obaczyć!" To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającéj się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa mego wiekiem był wiary zabobonnéj i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się) biało ubraną z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potém przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet przebudzeni, pacierze klęcząc przez trzy godziny przy obiciu, za tę duszę potrzebną ratunku odmawiać musieli. Ojciec nasz słyszał, jak św. Józef z obrazu swego, który był w izbie wymówił to słowo: Cnota; widział w wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę, na niebie w żółtym robronie, widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się, opętanych od dyabła, powiadał wiele historyj o zczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyabłom, o czarownicach i babach na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki, włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę, najchętniéj w dom przyjmował. Z tych wszystkich zabobonów im bardziéj im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tém więcéj my z nich dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawniéj Grecy albo Rzymianie, wszystko prawie w urojonych cudach widzieli. Matka i ojciec mój byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiéj powinności dobrego chrześcijanina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsrożéj karane było, artykuły wiary najwcześniéj nauczone, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to ja starszą siostrę moję, że była po ospie ślepa trzy lata, rozgniewawszy się, czasem ślepą nazywałem, o co ukarany, w czasach, kiedy mi się naraziła, to słowo ślepa nie wymawiałem, alem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać znowu i to z urodzeniem naszém rodzi się z nami. Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu, codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcéj bo prędzéj jedząc zjadał, na co się ona skarżyła, kazałem jéj łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoję połowę trzymała a ja tymczasem jedzący, jéj połowę, jak lejką przechodzącą na moję stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy z szyi jéj śpiącéj odwiązałem i kobiecie z jagodami przechodzącéj za kwartę tychże zamieniłem. Ale niedługo udawało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłocek w stodole naszéj nożyk swój prosty na progu położył a jam go ukradkiem schował, postrzeżony potém od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany, skądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł, udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłocek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przy tém w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył, kazał najprzód ojciec mój, abym padł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił; rozumiałem, że się już na tém mojém upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść rózgę, i surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 rózeg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potém sam rózgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 rózeg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta ręko ojca mojego (chociaż cię już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze ja cię i teraz w myśli mojéj całuję... Tém to ja surowém ukaraniem wziąłem wstręt największy w dalszém życiu mojém, co jest cudzego tykać. Karałeś, ojcze, i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się największe w niém czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje!

W roku moim ósmym już umiejąc czytać i trochę pisać, oddał mnie ojciec do blizkich szkół stanisławowskich, gdzie dobrze starszy ode mnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażebym i ja pomału do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowéj i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując, do domu odjeżdżał, ja uprzedzony bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi, gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiéro w pół drogi odkaszlnieniem wydałem się; tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście rózeg, danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu, interes ten zakończyło. Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana w. k. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki, i prawdziwie podobnéj ludności to miasto i potém nie widziało i może widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt senatorów, między któremi kilku biskupów, cóż dopiéro sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszemi natenczas, cóż dopiéro wojska pozgromadzane, które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach

dowodziły, cóż dopiéro niepoliczone obywatelów mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie, i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego poczęści już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnemi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi frędzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych, aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadając łoskotu więcéj czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę bożą, kiedy dla człowieka hetmana z domu bożego stajnią zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiéj, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia, niby żal po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohatyrów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiéj niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijanemi. Blizko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego hetmana bawili w Stanisławowie.

Mieszkając wtenczas w tém mieście rodzice nasi, do siostry mojéj starszéj, która miana była za piękną, liczni się, najbardziéj trzech oficerów różnych, schadzali konkurenci; zaczął bywać z kapelą nadworną i Potocki, starosta gurowski, ale ojciec mój za trzecią pańską bytnością, widząc, w jakim celu panicz przychodzi, bez ogródki prosił go, ażeby w domu jego nie bywał, coby dało przyczynę do obmowiska i krzywdę dziecięciu jego zrobić mogło; wszelako kilkunastu oficerów (między któremi był i Gadomski, co potém tak wysoko wzrósł) stale koło panny Maryanny kręciło się, a ojciec mój Zańkowskiemu, mającemu małe dziedzictwo, ale poczciwemu człowiekowi, który się także o siostrę moję starał i w tym tłumie zwyczajnie zdaleka tylko patrzył, mawiał: „Stój tymczasem z daleka, panie Aleksandrze, oni stąd powychodzą, a ty przyjdziesz na środek" i to się z czasem ziściło.

Pierwsza, którą w tych czasiech widziałem, egzekucya kryminalisty w Stanisławowie wielkie mi uczyniła wrażenie; był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę czyli ulubioną piszczałkę góralską, na któréj smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie przyprowadziwszy, stanął ze mną tak blizko, ażebym widział ścięcie



zbrodniarza, które gdy się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomięszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak jak ty w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześnie nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc, że tą drogą, żyjąc między ubogiemi, nie tak łatwo zbogacić się, puścił się na rozbój, który prędzéj spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, któréj jad z czasem o śmierć przyprawi". Powiadał nam potém ojciec, jako po zginieniu wyżéj wspomnianego zbójcy Doboszczuka, ten Bajurak jeden ze dwunastu jego mołojców, naczelnikiem zbójeckiéj bandy obrany i tylko rok jeden dokazywał. Doboszczuk zaś takim zginął sposobem: Blizko lat 30 ze dwunastu swojemi na Pokuciu rozbijając mołojcami, kiedy rotmistrz Przyłuski z półtorasta ludzi, kilkanaście lat za nim po górach chodząc, rady mu dać nie mógł, kiedy nawet górami do Transylwanii przechodząc, i tam ścigany przez wojsko węgierskie, a nigdy niedogoniony, za zgodą panów dziedziców naszych, w górach dobra mających, w powiecie kołomyjskim obwołać po wszystkich miasteczkach okolicznych kazano, ażeby, któryby z wieśniaków tamtejszych zabił Doboszczuka, miał z następcami swojemi wolność i grunt, który trzyma, wieczném dziedzictwem posiadać. Chłop Górski, którego żonę Doboszczuk kochał, umówił się z żoną, a to dla zysków przez dziedziców obiecanych, która pozwoliła, aby mąż, w sieniach z dobrze nabitą fuzyą w nocy zasiadł i przychodzącemu Doboszczukowi w piersi o kilka kroków wystrzelił. Uszedł jeszcze postrzelony zbójca ćwierć mili w góry, mógł (jak zwyczajnie robił) na swoich po górach śpiących mołojców świsnąć, z których gdy kilku przybiegło, prosił ich i żądał, aby z blizkiéj wsi popa mu sprowadzili; spytany o skarby, które wielkie zgromadził, gdzieby je pochował, to tylko odpowiedział, że jedna czarna góra o nich wiedziała. Ale kosztowny krzyż dyamentowy, który zawsze na piersiach nosił, a który przed kilku latami napadłszy na miasteczko Bokoroczany rezydencyą kasztelaństwa ka(mieńskich), Kossakowskich, ze skarbcu ich z innemi droższemi rzeczami wzięty, ten krzyż przez popa odebrany, do właścicielów odesłanym był.

Już byłem w szkole gramatyce, kiedy na wakacye przyjechawszy do domu, brat mój starszy będąc retorem, a mający skłonność do stanu duchownego (co potém ziścił) w blizkiéj izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie, czyli téż i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się na-

patrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcéj zabawiło, żem w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcéj za moje kazanie, jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały, a ja rodzynki i gruszki odebrałem.

Dzieckiem będąc w szkołach, już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie przylgnąłem? trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniéj przyjaźnie ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączać zwykło; z Sosnowskim, który był w niższéj szkole ode mnie, do takiéj przyjaźni przyszło, żeśmy nietylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w któréj prócz poprzysiężenia przyjaźni była i obietnica wspólna, że któryby z nas pierwéj umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć, co żeby tém mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje, położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże saméj mszy obadwaj komunikowali. W pół roku potém pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszéj pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunię świętą przyjąwszy, śmiały potém, w nocy nawet ku kracie grobowéj szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem moim Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła; starsze klasy, jako to poetowie, retorowie i filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny, stojąc obok z przyjacielem moim Malickim, podczas kazania śmialiśmy się i łokciami żartując z drugich, potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy po-za ławką z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek, przydawszy głośno: „złego i w kościele biją", a potém poszedł do swojéj ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojéj strony, przypominały mi napotém skromność w kościołach.



Raz podczas wakacyj wziął mnie ojciec na sejmiki do Halicza; widziałem tam w kościele kilka razy dobyte szable, a potém pijanych siekących się po ulicach, a potém na rynku szlachcica, który padł na kolana przed sławnym zabójstwy Mikołajem Potockim, starostą kaniowskim, i wołał na niego: „Ty jesteś Bóg w Trójcy Świętéj jedyny, weź syna mojego do konwiktu!" Śmiał się z tego magnat, i syn szlachcica wzięty do buczackiego konwiktu, pewnie za to, że ubóstwiał despotę; ale ojciec mój i te szable w kościele, i te rąbania się po ulicy, i to bluźnierstwo Potockiemu na pijaństwo zwalił i do jakiego końca przyprowadza, przestrzegł. Był to natenczas w obradach sejmikowych jako i wszędzie nierząd największy i było upodlenie uboższéj szlachty przez panów, co nas na końcu do zguby ostatniéj przyprowadziło. Jużem miał lat ze dwanaście, kiedy ojciec mój wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniéj straży Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał, i mimo najsurowszego nas przez ojca naszego trzymania, tak się we mnie gorąca dla niego miłość odezwała, żem długo w noc, pokryjomu szabelkę moję ostrzył, ażebym nazajutrz w czasie rozpoczęcia pojedynku z tyłu Janiszewskiego w głowę uderzył, choćby mi i zginąć przyszło. Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy, a ja zyskałem na tém, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił.

W szkołach mniejszych, najpierwszy byłem między kolegami mojemi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych? koło domu, gdzie stałem, pozwodzonych ludzi przechodzących, porzuconym wśród drogi szostakiem przywiązanym przez dziurkę do długo skręconéj włosieni białéj, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szostaka schylał, pociągnąwszy nagle przez okno włosień, szostak z nią razem ku mnie uciekał; wieleż to bijąc się w kije (jak był natenczas zwyczaj na rekreacyach) z ręki drugiéj piaskiem oczy zasypałem a potém go kijem w głowę do woli natłukłem. Krew żywa, która do takich i tym podobnych swywol poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiéj zawsze nauczył, a tę pilność i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiéj się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem zrana do szkoły, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mię słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojéj religii wpojonéj przez ojca gorąco przywiązanym; nasłuchawszy się z żywotów śś. pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszéj gospodyni uciekłem w nocy, do blizkiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału do niéj przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflekto-

wany, że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić, a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz ś. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl, być męczennikiem dla wiary; wiedziałem, że Chocim, miasto tureckie na Wołoszczyznie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa, proroka muzułmanów, ostatniemi łżyć wyrazami; tak obrażeni Turcy pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwéj, jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały; dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo, z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym, i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziéj na skrzypcach, chciałem się jéj uczyć najusilniéj, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego jak i mówić po francusku, na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia, połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie z domu do Częstochowy, ażebym, uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnéj, razem N. P. Częstochowskiéj przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko), człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych został winnym; nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul nic więcéj nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na takąż funkcyę. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem, umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku; pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowém, że nic się po nim nie zostało, prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana, opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blizko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uśpiła była), ruszać się począł, a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były, w których najwięcéj w upiory wierzono i biedni chłopi zląkłszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc, co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł, ażeby do niego przystąpił; póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi nie dowierzali, ale potém zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy, prosił najusilniéj tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniéj służąc za jego szkody. Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz rano odesłał go do jego starego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju w tym samym kontuszu, w którym był uciekł, właśnie wtenczas, kiedy pan jego dawny w tymże pokoju, przed zwierciadłem, naprzeciwko drzwi będącém, na stoliku list pisał. Widząc w zwierciedle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze na niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiéj izby, gdzie się i zamknął. On biedny przede drzwiami prosić począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz!" Poznano po wszystkich postrachach, co się stało, i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.



Już dwa roki odbyłem na retoryce i kilka kazań w niedziele postne na nabożeństwie studenckiém w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni, miasteczka, gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancernéj hetmańskiéj (co natenczas wiele znaczyło), nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wójcickiego, scholastyka stanisławowskiéj kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swojém zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i familii, mowy żadnéj pogrzebowéj nie będzie, kiedy ksiądz, co mówić miał, zachorował. Proponowałem siebie za mowcę, nadewszystko, że Roszczyc nieboszczyk był mi dobrze znajomy i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka, a ja nie bawiąc, powróciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jéj na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna; chodząc po miasteczku, mowę sobie moję w pamięć wbijałem; zdybawszy kilku stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem" wołali), obiecałem im pół złotego na wódkę, byle razem, co mają siły, „ostrożnie z ogniem" zawołali; było to przy jednym domu miejskim, gdzie pułkownik przedniéj straży Cieński

z żoną, z familią i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony, obudził wszystkich, i kiedy ja na zapłacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając, przecie ocalałem. Przyszedł nakoniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moję, w któréj po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałéj i dzieci przyszło, dzieci, które ś. p. matce oddaje, żeby ją cieszyły miasto jego, a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnemi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośném szlochaniem na czas mię zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym, że mi pogrzebowa mowa moja zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem posadzony, co moję miłość własną najmocniéj najpierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychą nadęło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze największe dla matki naszéj, a najbardziéj dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie jak przedtém przechodził się. Kryminałem byłoby spytać się: za co to? w milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonemi czekałem końca; wtém ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać mogę, a ty już filozof! doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojéj szanujesz (wtém ukląkł w pośrodku izby i podniósłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie". Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wzgardę takową zmazać może".

Niedługo potém, bo może w pół roku, ten srogi, ale razem najczułliwszy ojciec pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał, i widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił: „powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świecie", i to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał. Po daniu znać o trzy mile oddalenia, przyjechawszy, już go ułożonego na katafalku zastałem, żalu mego nie wyrażę, bo był niezmierny, teraz nawet, kiedy to w starości mojéj piszę, przyjmij te łzy moje, najlepszy ojcze, które na wspomnienie o tobie rozrzewniony wylewam, i jeżeli tam, gdzie pewnie szczęśliwszy bawisz, pociecha jaka do was z ziemi przychodzić może, u was pewnie takie łzy nasze milsze, niżeli marne radości nasze! W rozpaczy prawie widząc trupa ojcowskiego, wkradłem się w trumnę, która blizko dla niego przygotowaną była, prosząc i zaklinając, ażeby mnie razem z ojcem pogrzebano, że gwałtem mnie z téjże trumny wyciągnąć musieli, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.



Cztery lata uczyłem się filozofii głupiéj, a natenczas powszechnéj perypatetycznéj, traciłem czas młodości mojéj najlepszéj. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzebne będzie". Moja perypatetyka jak nikomu, tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła. Porzucił ją z czasem świat oświeceńszy, i kiedy świeżo, uczony Kant w Królewcu gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną teraźniejszą filozofią, na doświadczeniach fizycznych, gieometryi zasadzoną, do dawnego *Ens rationis* powrócić chciał.

W przeciągu kursu filozofii mojéj, ciebie ja to, miłości, najpierwszy raz poznałem; napróżno jezuici słodkiemi namowami przynęcali mnie, abym do ich nowicyatu poszedł i był jezuitą; mocniejsza natura nad wymowne przekonywania swoją pójść drogą wolała. Jeżeli żyjesz jeszcze, najpierwsza kochanko moja, zdrowie ci i szczęście!... więcéj stem mil oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojéj ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego, z Turkułówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była, do któréj się w życiu przywiązałem. Moja do niéj miłość była niewinna jak ona; po całych prawie nocach ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz w piersi pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność, jeszcze mi od ojca mojego wpajane, jakże daleko mocniéj ta niewinna panna we mnie ugruntowała! Ona-to jest moja Justyna, do któréj tę najpierwszą z moich sielanek: „*Tęskność na wiosnę do Justyny*" napisałem, i którą pod tém imieniem tyle razy potém wspominałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nie nasyceniem się; lat kilka i ja w mojéj niewinnéj i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jéj

zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzéj przybiega szczęście, kiedy go pięknéj a cnotliwéj kobiety oczy zawołały, a ja ubogi, wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jéj, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potém rzecze: „ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę"; jużem się do niéj wracał i byłbym tego nie żałował, ale jéj i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśléć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojéj filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie ona była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego pułkownika synem, który pod dozór mnie oddany był.

Nowy dla mnie w téj ruskiéj stolicy świat się otworzył; blizko przypadłe kontrakty lwowskie narobiły mnie wiele znajomości, między któremi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny koronny, pan słodki, skromny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu jako piszącemu wiersze, ja także piszący i już cokolwiek z téj strony znany, przez jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innemi i mój profesor teologii, Starzeński jezuita, razem z socyuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniéj czas jakiś bywał, którego hetman zapytał, jak téż daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedziawszy, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil spełna. Wszyscy rozśmiali się i umyślnie o czém inszém dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana i ksiądz wyszedłszy z domu, socyusza braciszka kurtać zaczął, że się tak głupio u stołu z swojemi 30 tu milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowie: „jużci lepiéj zrobiłem jak waszeć dobrodziéj, żeś odpowiedział, nie wiem, bo to brzydko dla jezuity, ażeby czego nie wiedział." Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie umniemanie, że jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne, których tyle we Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że wszystkiém głośno pogardzali. — Około dziesięciu było w tamtym czasie studyów zakonnych we Lwowie i w końcu kursu nauk, profesorowie zakonnicy zapraszali profesorów jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i jezuici, zapraszając na takież dysputy profesorów zakonników czynili. Jezuita, czyli on zaproszony opugnował, to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi, czyli u siebie bronił się, podobnie opugnującemu profesorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa, która zwyczajnie trwać miała dwie godziny po drugim albo trzecim



argumencie kończyć się musiała, kiedy mnich, tak student, jako i profesor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuickich prawdziwie pogorszało. Nowo przybyły profesor teologii u bazylianów, Misterski nazwiskiem, oduczył trochę pychy jezuitów, kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenia ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych profesorów mnisich przyprowadzali, ale skromny bazylian w swoich krótkich zarzutach, razem potrącał sposób, jakby się jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkiém z ludźmi postępowaniu tém samém przestrzegł.

W drugim roku teologii mojéj podnieśli jezuici lwowscy szkoły swoje na akademią a między inszemi studentami świeckiemi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem a ś. teologii bakałarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznéj pierwszéj procesyi akademicznéj, tłumni goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktór ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszczyk czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami naokoło, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonéj i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającéj, biret mi włożono. Rektor akademii jezuitów, w pąsowym aksamitnym ze złotemi frędzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesyą, akademik zamojski, w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu." Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym, akademika protestującego się z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszéj się rzeczy chwytając, berłem mojém w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój nowy doktór, także filozofii, już go był za łeb zahaczył, i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby jezuici w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko, za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymaném zwycięstwie swojém „*Te deum laudamus*" kończyliśmy; przyczyna miała być téj protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiéj, którém warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa, żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcéj oświecenia w narodzie szkodliwszém być miało narodowi.

Bawiąc we Lwowie, poznałem się także z Ignacym Cetnerem, wojewodą bełskim, najczęściéj tam przebywającym, i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje, Krakowiec zwane, mającym. Już żony, z domu Potockiéj, u siebie nie miał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on

z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpoczciwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich i zbytecznem urzędnikom swoim pobłażaniem ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcéj połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydlem lubił często, zioła zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potém cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał, dla zmartwień jego w czasie kontraktów lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie miéć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześcijańską religią, w tłumie mających z nim interesa; wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do blizkiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go spłakanego przy nogach krucyfiksu; kiedym go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten, który mi dopiero tak ostro publicznie gadał, buciki mu kiedyś sprawiałem, do szkół go dawałem, bo był synem mojego ekonoma, i w mojéj służbie spanoszył się."—Najwięcéj ten zacny człowiek takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słynęła we Lwowie pobożnością i wiadomością pisma św. Tamburini; była ona Polka, a mąż jéj Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko poczciwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jedném z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jéj były pełne ognia, rozumu i ducha chrześcijańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na dół, a nic nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszono) nie jadała. Ja młody, pisma także cokolwick jako już teolog umiejący a mający reputacyą nierozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała częściéj bywać u siebie. Raz ją zagadnąłem: „którzy téż to są błogosławieni ubodzy w duchu," kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego tłómaczyła, ja jéj odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie, będący w łaźni, ubodzy, bo bez koszuli, a w duchu, bo w gorącém powietrzu; zganiła mi żartowanie z pisma, wszelako łaski u nabożnisi nie straciłem, ale raz znalazłszy ją samą i z piersiami na pół odkrytemi, po nabożnym przegrywku, zacząłem piękne jéj piersi chwalić, a ona mi rzecze: „Grzeszniku, jak śmiesz to ciało chwalić, które niezabawem trupem i pastwą robactwa będzie?" a ja jéj na to „niżeli te piersi będą trupem, kwapmy się i całujmy je żywi żywo." Chociaż moje pocałowania były



przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja broniła mi i słodko na mnie, nie w ziemię, jak zawsze, patrzéć zaczęła. Ale para mnichów nadszedłszy, nie dali skończyć dzieła rozpoczętego, i ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek drogą naszą zapuścił się." Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia nieco z mnichami pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniéj dobrze o świętochnie, a nie o sobie, którym ją do téj trochę słabości przywiódł. Niedługo potém, arcybiskup lwowski Sierakowski, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i, dowiedziawszy się o kazaniach i o poście bez jedzenia żadnego pani Tamburini, kazał jéj przyjść do siebie na obiad i koniecznie pod posłuszeństwem, winném biskupowi swemu, jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niéj przykrzejszém było, kazania nawet jéj miéć zakazał. On już o wszystkiém wiedział, a my potém powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba ukradkiem zjadała. Tak to fałsz niedługo w przybranéj na siebie cnoty sukience łudzi; bo poznać łatwo, że nie na nie go zrobiona była.

Skończyłem kurs mojéj teologii, odbywszy publiczną nieźle dysputę, na któréj prócz innych gości, był i arcybiskup lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i, dając mi pochwały z niedawnéj mojéj dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu nie czuję, radził mi post przez trzy środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył.—Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojém dowiedzieć się. Powiedziałem mu, jak było, że widząc jakiéj doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli nie dobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który mimo odmówienia mojego był potém na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszemi przyjęcie zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojéj biegłości w filozofii i teologii.

Bawiąc we Lwowie, miałem sposobność poznać księżnę z Sapiehów Jabłonowską, wojewodzinę bracławską. Ta pani wielu umiejętnościami sławna, a nawet łaciński język umiejąca i książki łacińskie czytająca, przyjmowała mnie w domu swoim z tą dobrocią, która jéj była wrodzoną. Raz bawiąc u niéj nadjechał z swoim socyuszem, przeszły mój pierwszéj lekcyi teologicznéj profesor Starzeński, jezuita. Ja, co Boga w doskonałości kładłem najpierwéj, po nim zaraz Starzeńskiego, a po Starzeńskim siebie, zadziwiłem się niezmiernie, kiedy

księżna, tak w dyskursie po kilka razy zagadnęła tę pierwszą podług mnie po Bogu osobę, mego naucznego naczelnika, że jéj odpowiedzieć nie umiał, dopiero wtenczas ja o sobie zacząłem skromniéj przemyśliwać i co pycha prędko mi dała, to powolniejsza roztropność i poznanie sił moich, które jedna kobieta zmocować może, pomału mi odbierały.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii, do palestry udałem się. Umiejąc nieźle łaciński język, w którym ekspedycye sądowe w Koronie wychodziły, jeszczem roku na téj drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam nie dbał o zazdrość, kiedy mimo niéj, gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoję opowiedział i papiery do niéj potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje; byleby podstępnym i mogącym sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem, jak szlachcic żądał. Po krótkiéj złota pociesze przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakże to wiele razy w życiu mojém, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego: „Franciszek niech idzie prawdą na świecie," takaż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew napisałem? cóż on będzie winien, że nie tylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowéj, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczéj sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkodził; szlachta się, jakem żądał, pogodzili, a ja bojąc się téj śliźgiéj drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniém bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie, dla odwiedzenia matki mojéj i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała.—Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki, starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcéj on miał jeszcze bogatszych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty



liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieżką poszli, na którejby więcéj złota znaleść można niżeli cnoty, bo mój Koziebrodzki był człowiekiem poczciwym, nie skąpo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła jak lwowska" (tak on mi mawiał) a ja sobie potwierdziłem tę prawdę wspomniawszy na księżnę Jabłonowską z jezuitą Starzeńskim. O kilka mil od Chocimierza mieszkali państwo Ponińscy starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zahajpolu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu jak i w żonie, edukacyą wyższą, wiadomość rzeczy większą, jak gdzie indziéj znaleść mogłem. To mnie zachęciło, że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego, starosty winnickiego, córką. Poniński przy wielu języków i umiejętności posiadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszém, twarzy nie wiele przyjemnéj, ręce najpiękniejszéj i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitéj, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta; była przykładem czasem nadaremnym, mężowi swojemu nie naruszonéj wiary małżeńskiéj, a sąsiadom grzeczności w społeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jejmości, i to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza, do wszystkiego, co dobrém jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuskiego uczyła mnie, a ja jéj synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo w czém obojętném i mogącém kogo urazić wyrwałem się. Takie nauki sam na sam, jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnéj przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym." Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku bo 14 latami odemnie starsza była, więcéj lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała, a za jedno powodzenie pocałowania siebie w piersi najpiękniejsze, jakże ona odemnie wiele cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło! Michał Siedlecki był u tych państwa rządcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj wielkim cnotom gdziekolwiek się znajdującym stawiać posągi, jego by tak między pierwszemi unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściéj między ubogiemi bawić lubią, najmniéj ich tam ludzie uważają. Znający świat, bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, gieometryą, a to przy rozumie naturalnym najczyściejszym, przecież bez żadnéj pychy, a nawet miany był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór, którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzał na niego, jak na największego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego nie widział, co czasem

do utrzymania ludzi w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązku potrzebne; ale to zimnéj krwi jakiéj gatunek sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojéj, że czasem całą noc nie spał, ażeby, co ma być skończone, skończył. Krzywdy nadewszystko aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbyteczną sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchód domowy, w ręku swoich corocznie, przy dodawaniu regiestrów na końcu roku z swoich zasług, kilka set złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się poczciwiec przyznał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił, co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potém powrócono, a nadal na końcu regestru, dodawać pozwolono, zapomniałéj ekspensy kwotę. Z takich to ja cnót człowiekiem na serce moje pomieniałem się, i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale on się czasem mieszał i do teologii, bo kiedy przed nim płakałem na ostrą kochankę moję a panią jego, on mnie tém łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich, wysłany był posłem Poniński, starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniéj namiętność moja do pozostałéj żony wzmagała się, tém więcéj cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski, stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygienat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską ostatnią z domu, a to pod kondycyą, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniéj dla utrzymania imienia praktykowało) nazywał się Poniatowski, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska Ciołek, bo Torelli we włoskim języku ciołka znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał ten dom, w czwartym go podniósł Poniatowski z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potém krakowski, pierwéj sławny bawieniem przy Karolu XII, królu szwedzkim, i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez wpływ Katarzyny II imperatorowéj rosyjskiéj, królem polskim, pod imieniem Stanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potém nienawistne magnaty nasze, nagłe tego domu podniesienie się, w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło boskiéj opatrzności
Syn królem, ojciec w krześle, a dziad podstarości.



Nie na tém skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie, czemu nie Radziwił, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi więcéj zależało na tém, kto z domu król ten, niżeli żeby sprawiedliwie panował. Radziwiłł, wojewoda wileński, z Branickim, hetmanem wielkim koronnym, mieli najznaczniejszą, bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko téj nowéj elekcyi partyą. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu obranego króla, wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozpraszane od wojsk rossyjskich i skończyło się na tém, że gniewając się jeszcze na króla, przepraszali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiéj bawiąc albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między inszemi z Mrozowickim, rejmentarzem partyi ukraińskiéj, i z Bielskim, łowczym nadwornym koronnym, za któremi były siostry Ponińskiéj. Mrozowicki, poczciwy ten i piękny Polak, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych, sławnych męstwem Polaków i w całém życiu starał się ich naśladować. — On mi to mawiał: „mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność.” Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszemi, równie jak ich ojciec i matka. Antoni Bielski z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci i żyli téż najokazaléj. Dwór liczny, kapela, błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym, i wiek mój młody, gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny, i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkania, nęcił mnie najczęściéj. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek, szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał, najbardziéj zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohatyrów, którzyby się zemną potykać mogli, była najłatwiejsza z XX. dominikanów poblizkiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studya. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz inszych gości regent teologii z Podkamienia ze swoim lektorem i nadworny teolog bernardyn siedział, wśród najżywszéj mojéj z niemi dysputy, postrzegłem, że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał, że ten jakiś pauper, nierychło na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to bazylian Nestorski, superyor nad dwoma bazylianami, którzy w bliskiéj wiosce jego mieli swoję cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych funduszowego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojéj teologii we Lwowie, nad wszystkich tam uczących teologii słynął, jezuitów tyle razy w dysputach przemógł, a przemoc swoję, przez skromność, zawsze utaić starał się. Kiedy

wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, za co tak wielki w zakonie swoim człowiek na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu, co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce u stołu i Bielski o dyspucie zaczętéj powiedziawszy mu (jak dawniéj) skromnie i księdza regenta teologii i jego lektora i bernardyna nadwornego, i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartemi dziwili się tylko, a ja pewny zwycięstwa Nestorskiego, w duszy mu winszowałem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi bazylianie, przecież najmniéj od pierwiastkowego swego instytutu odstąpili i największy u nich człowiek, posłuszny swojéj zwierzchności, kiedy kazała, do pługa nawet pójdzie, ale zda mi się, że sami tylko bazylianie, swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule nawet św. Benedykta, fundatora tychto najbogatszych mnichów, wyraźnie napisano: „Stary mnich niech modli się w chórze za młodego i za siebie, a młody niech rolę orze, ażeby siebie i starego pożywił."

Bielski, we wszystkiém chwalebny, miał skłonność do wina, i wtenczas kiedy sobie podpił, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja, chociaż ubogi, miałem sobie za upodlenie wtenczas mu się nastręczać, kiedy on pijany, prezenta faworytom rozdawał, dlatego téż nic od niego nie zyskałem, bo téż on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany w rozdawaniu darów swoich, raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy biuro z talarami, pozwolił mu wziąć talarów tyle, ile tylko może naraz dwoma garściami zająć. Przenosząc z biurka do czapki swojéj, w garściach talary kamerdyner, kilka mu na ziemię wypadło, które on potém zebrawszy, nazad do biura położył. Co widząc pan pochwalił wierność i drugie dwie garści wziąć talarów pozwolił. Wyszedł kamerdyner chwaląc się przed kolegami służącemi z hojności pańskiéj i zdarzenie o drugich garściach powiadał. Zawołany wkrótce do garderoby i kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wziąć pozwolił a on w przenoszeniu umyślnie kilka wypuścił, i potém zebrane nazad do biura włożył, ażeby mu jak kamerdynerowi i drugą garść wziąć pan pozwolił, poznał to Bielski i pierwéj nawet wzięte dwie garści talarów nazad do biura włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się".

Miałem lat około 26, kiedy się konfederacya barska zaczęła; początkiem jéj niby był Krasiński i Pułaski, ale Potoccy i inni magnaci



nie kontenci z króla, podnieśli ją, nareszcie jeden z Potockich, podczaszy litewski, naczelnikiem jéj u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersały Potockiego, mające za hasło: „Wiara i wolność" do Bielskiego do Pieniak przyszły. Nie rozumiałem, w czém to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy téj zawieruchy początkiem byli, bo żądali i otrzymali przez udanie się do Rossyi i Prusaka potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanemi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli, wierz jak chcesz ale prawo narodu zachowaj, kochaj ojczyznę jak matkę, to już tém samem masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy litewski Potocki był już z wojskiem, po większéj części z pospolitego ruszenia zebraném, w miasteczku Podhajce, odległém od Bielskiego około mil dziesięciu, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacyi barskiéj, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: „Mospanie Łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich"; z takiego przygrywku, poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny na tronie siedzący Poniatowski.

Cóżkolwiek było, Bielski jako kochający ojczyznę swoję obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiéj działo narodowi, powróciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną, odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny rejmentarz partyi ukraińskiéj, Mrozowicki, z dwoma synami swojemi Józefem i Mikołajem kilkanaście przytém ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu tak z Korony jak z Litwy obywateli osobiście stawiło się, ale magnaci tajemnie tylko konfederacyą barską wspierali, czekając okazania się losu jéj. Różny ten był w początkach, ale nakoniec kiedy po większéj części decydowało się szczęście za stroną moskiewską i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca Podolskiego, napierał się ustąpienia mu téj fortecy pogranicznéj, z swoją partyą uchylić się musiał na Wołoszczyznę, skąd pomocy tureckiéj przeciwko Rossyi równie także Turkowi ciężkiéj, spodziewał się. A tymczasem marszałkowie różnych konfederacyj, różnym losem Rossyi w Polsce opierali się. Byłem przytomny we Lwowie, kiedy do tego miasta niby do fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło; chociaż tam Rossyan nie było, ale komendant garnizonu, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich, oparł się tłuszczy niesfornéj i widzieliśmy go jednego poranku, w szlafroku, skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była

powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiéj, kasztelunowéj lwowskiéj, któréj syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potém, konfederaci widząc niespo-sobność swoję do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy, gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był, w którym i ja ruszony patryotyzmem (gdyby jakem się spodziewał konfederaci Lwów odebrali) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania, ale widząc największą między niemi niesforność, pijaństwa i rabunki, zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziéj kościół dobrowolnie przez nich spalony, przez nich, co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecił mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą, nim się rozruchy narodu uspokoją, czego się nauczyć, i z powodu téj przyszłéj wędrówki mojéj przebrałem się po francusku. Wyjeżdżał po niejakim czasie ze Lwowa do Wiednia młody Puzyna, starościc upicki, z guwernerem swoim księdzem Kobylańskim jezuitą, znanym potém w Polsce z pięknych pism swoich i z pięknego myślenia sposobu, przyjacielem moim. Z niemi ja zabrałem się do Wiednia około 200 dukatów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżeliśmy do Krakowa dojechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy niekarnych naszych konfederatów, nietylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie dbać mi przyszło. Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcéj byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy, wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie, którzy mię tak groźno kurtali, pijanemi byli; w takim stanie, ja nie mając się czego spodziewać z bezrządnéj konfederacyi, nie ratowałem prawda ojczyzny mojéj, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u księżny starościzny bolimowskiéj, konfederatki zaciętéj jakoto był i brat jéj hetman Branicki, odebrałem z Warszawy patent na kapitana złotéj chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiedniu, jak mię przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i porte épée, wchodzenia, kiedym chciał, na cesarskie pokoje. Tam prócz innych konfederatów poznałem i Potockiego, starostę szczerzeckiego, który potém od konfederacyi był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wiedniu będąc wiele mi dowodów przyjaźni swojéj oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniéj w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpustniejszym. Widziane piękności Krakowa dały mi myśl, jaki téż Wieden będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potém tam przyjechawszy, prócz większéj nierównie ludności miasta, nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.



Jadąc do Niemiec, w Białéj, ostatniém miasteczku polskiém, zastaliśmy wiele marszałków naszych konfederackich, między któremi był sławny pułkownik Paszczowski; już trzymających się umyślnie blizko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzéj ziemi. Co téż nie długo potém nastąpiło. Skąd wyjeżdżając do blizkiego miasteczka szląskiego, Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojéj, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędóstwo wszędzie największe, wtenczas kiedy my jak we wszystkiém tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincyą, i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem, wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderberga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się Boguminów po dawnemu". Tak to dawność i usiłowanie niemieckie nie mogło wymazać z pamięci pospólstwa nazwisko starożytne miasta tego. A ten mój język, pozostały jeszcze między pospólstwem, potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowian, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Ołomuniec, Brün w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówiłem się, dopiéro do Austryi wjechawszy, już chłopi niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsi, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygoda chciała, dostarczały, drogi najlepiéj utrzymywane podróż najmilszą czyniły. Ale wjechawszy w Austryą, obraziło mnie przy stacyach podróżnych wybieranie od przejeżdżających myta po krajcarze jednym więcéj od mili, jak dawniéj płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi: że ponieważ odeśrodka marca zima jest, opłaca się zwyczajnie w tych czasach na kożuch dla cesarzowéj Maryi Teresy, krajcar na milę jednę od podróżnych. Znowu ja pomyślałem, czyliż ja temu winien, że zimno? i czyli Marya Teresa nie ma z czego sobie kożucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w kłótliwym, ale kraju wolnym urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia, do tego miasta tak żądanego ode mnie. Puzyna z Kobylańskim zajechali prosto do Theresianum Collegium, gdzie młody Puzyna w tym konwikcie miał się edukować.

Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z trynitarzem Niemcem spolszczałym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu, na drobne jego potrzeby kilka czerwonych złotych, on mi napisał list do ojca swego mieszkającego w Wiedniu, pod znakiem Złotego Pelikana, na przedmieściu Josefstadt nazwaném, zapewniając, że pewno u ojca jego stancyę miéć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tém ogromném mieście przedmieścia Josef-Stadt, Złotego Pelikana, i bildhauera czyli snycerza Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem, i kiedy list ojcu od syna oddałem, a on go przeczytał, rzucił się na mnie spłakany starzec, i z czuciem największém powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnéj nie miał wiadomości, ścisnął mię serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, a sprowadzenia się mojego, jakemto mógł wyrozumiéć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak miłość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela w ojcu, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769-m w marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozleglejsze a ludność do 300,000 mieszkańców mająca, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski, w porte épée, który nosiłem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nie proszony na muzyki, które znaczniejsi ludzie w tém mieście dają, wchodzić mogę, przechodząc raz blizko domu jakiegoś, i słysząc muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamaszkowe czerwone, i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam książę jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna, i mówiła do mnie coś po niemiecku, czegom nie zrozumiał prócz dwóch słów *essen* i *trinken*, ukłoniłem się jéj tylko, domyślając się fałszywie, że mi w tym domu jeść i pić czyli wieczerzę dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwiłem się, że jak mężczyzni tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze, co już dobrze znałem, tańcowały. Oświecił mię wkrótce jakiś koło mnie siedzący niemiec a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień prócz piątku i soboty bawi się. Tak ja najpierwéj, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotéj chorągwi i porte épée użyłem.

Po kilku niedzielach bawienia mego w Wiedniu nadjechał tamże ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiéj Strumiński, dobrze po niemiecku



umiejący prałat, ale za granicą jak i ja niebywały. Z nim według afiszu, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytacyę sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacyi, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospólstwa i widząc tam Niemców po większéj części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszów. Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący przedawacz zawołał: „Dwa kapelusze na przedaż"! kiedy go pytano, gdzieby były? pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potém do nas rzecze, co mi potém mój prałat wytłómaczył, „że ta licytacya imieniem cesarskiém odbywa się i miejsce to powinno być szanowane". Tak ja znowu, mój oficerski kapelusz, upokorzony, zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem, po kilku dniach poszliśmy na nieszpory, do katedralnego kościoła św. Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszéj zawsze muzyki, siedliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzu i o różnych rzeczach rozmawialiśmy. Wtém ku wielkiemu ołtarzowi i ku nam idzie jakiś po wszystkich szwach sukni bogato galonowany Niemiec; stanąwszy przed nami grzecznie nam się pokłonił, i my powstawszy obydwa grzecznieśmy mu się odkłonili, zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonéj perorze ukłonił się odchodząc, i my się wzajemnie ukłonili. — Wytłómaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich nie gorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. — Znowu ja z moim mundurem w oczach 3000 może ludzi będących w kościele upokorzony byłem, a mój prałat bardziéj, bo szwajcar jako księdzu musiał mu zapewne więcéj nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznajomość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, niemający nikogo, ktoby przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nie należy.

Że z przedmieścia Josefstadt daleko było dla miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał rozstając się ze mną, i najmniéj mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna jego we Lwowie zrobił mi w ojcu prawdziwie przywiązanego. — W mieście wygodniéj mieszkałem u metra francuskiego języka, tańczyć, i nauk w uniwersytecie, jakich tylko żądać mogłem, zręczniéj uczyłem się. — Najbardziéj mnie bawiła fizyka eksperymentalna, przez sławnego księdza Franz jezuitę dawana i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin profesora. Zgromadzenie na lekcyach bywało największe z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna eksperymentalna w Bürger-Spital pod starcem profesorem

Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr, hece, widowisk różnych, licytacye różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. — Ale skwasiło wkrótce wszystkie te piękne rozrywki jakieś niszczenie ciała mego widoczne, i mimo rady najsławniejszych w mieście doktorów v. Switena, Haena i Humelawra coraz w gorszym się stanie widziałem — byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym, i może więcéj rozrywki różne niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. — Co środa bywałem na obiadach u księżnéj Lubomirskiéj, wojewodziny krakowskiéj, w Wiedniu oddawna mieszkającéj, téj kobiety prawdziwie najcnotliwszéj, powszechnie w mieście począwszy od cesarzowéj Maryi Teresy szacowanéj, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Tam poznałem się między innemi z gienerałem Korticellim, Włochem naszym spolaczałym. Nie znałem Polaka lepiéj tłómaczącego się w naszym języku, pełno słów miał i stosownych i pełno dowcipu wszędzie. Ten człowiek prawdziwie mnie lubił, często na obiady zapraszając, często u mnie bywając, był mi prawdziwie przyjacielem, nauczał mię (jako blizko lat 20 w Wiedniu mieszkający) miasta tego zwyczajów, ludzi, duch charakterów poznawać. Razem raz na fizyce eksperymentalnéj będąc, pokazał mi sławnego w Wiedniu Polaka, jak go nazywał mizantropa Wiesiołowskiego; z nikim on z Polaków, z nikim z Niemców nie żył, na różne tylko w tém pięknem mieście lekcye albo widowiska uczęszczając. Po niejakim czasie, po skończonéj lekcyi Franza świeża o nim była anegdota w Wiedniu, że przyszedłszy do rajtszuli cesarskiéj, gdzie sam Józef cesarz przytomnym był, bawiąc się przejeżdżaniem koni, które mu świeże przyszły z Hiszpanii, kiedy tłum panów razem z cesarzem dzielnością koni przejeżdżanych bawili się, nasz Wiesiołowski kamyczki drobne, któremi rajtszula wysłana była, zbierał; pokazano go cesarzowi, jako znanego w Wiedniu mizantropa; przystąpił do niego cesarz, pytając się, czemuby na tak piękne konie nie patrzył, ale raczéj kamyczki zbierał? Odpowiedział: „bo widywałem tak piękne konie a tak pięknych prostych kamyczków rzadko". Ten to człowiek osobliwy, po niejakim czasie, po skończonéj sesyi fizyka Franza sam przyszedł do mnie, z pomiędzy tłumu rozchodzących się i przyjaźń mi swoję oświadczył, zaraz mię do mojéj stancyi odprowadził i prosił, aby codziennie z rana mógł bywać u mnie, tak téż i codziennie bywał, a wtenczas, miałem czas poznania, że to był człowiek najcnotliwszy, pełen wiadomości z czytania książek i wojażów nabytych, mówiący zaś językiem francuskim tak doskonale, że go rozróżnić nie można było od urodzonego Francuza najpiękniéj swoim językiem mówiącego. Ludzie go nogą potrącali, a to był dyament pyłem pokryty. Gdym go pytał, czemuby



z ludźmi (jak to mówią) nie żył? odpowiedział: dlatego, że żyłem i oszukiwany byłem. W mojéj chorobie konsumcyi, w mojéj osobistości, jakiż to dar w domu, przyjaciel taki, gość codzienny, a nigdy nie sprzykrzony; albo mnie opowiadaniem różnych zdarzeń i wiadomości rozrywał, albo czytaniem coraz ze mną książek użytecznych bawił. Zazdrościł mi tego najbardziéj Korticelli, zazdrościł i Rzewuski marszałek, ale ledwie raz i to z ciężkością pozwolił na to, że był u nich na obiedzie, i tego potém przedemną żałował. „Rzewuski, powiedział mi, magnat pyszny, a ja ubogi, my się nigdy nie zgodzimy".

W tych czasach, księżniczka Antonia, córka Maryi Teressy, ta najpiękniejsza panna w Wiedniu, szła za Delfina natenczas, a potém nieszczęśliwego Ludwika XVI, króla francuskiego; biskup strasburski, kardynał de Rohan, był posłem Ludwika XV do ukończeniamałżeństwa tego. Szła do dworu cesarskiego kosztowna z posłem kareta, z piechotą przed nią, 15 liberyi, 2 kamerdynerów i 2 strzelców, wszyscy bogato uszamerowani. Tłumy pospólstwa, patrzące na to (jako Niemcy mają jakąś wrodzoną nieprzyjaźń do Francuzów) wołali głośno, że te galony są szychowe; brano wołających do turmy, a oni tam idąc, jeszcze wołali: szychowe.

Gdy był ślub z arcyksiężniczką, imieniem Delfina ukończony, wieczorem była wielka illuminacya miasta, ale najbardziéj od Szotner bramy, aż do przedmieścia, na którém stał poseł francuski, cała ta niezamieszkalna odległość, między miastem i tém przedmieściem, miała ulicę szeroką ze słupów nowo zrobionych, na których wierzchach delfiny były snycersko wyrobione. W środku zaś téj rozległości były świeżo zrobione cztery niby baszty, na których muzyka grała najpiękniejsza, i z których dla pospólstwa wino austryackie rynnami ciekło, i pieczywa różne z chlebami rzucane były. A te cztery baszty czterema nazwiskami różniły się: baszta Cesarza, Maryi Teresy, arcyksiężniczki Antonii i baszta Delfina. Przypadek zrobił, albo może że obficiéj z baszty Delfina pokarmy i napoje wyrzucano, że z baszty Delfina i wino płynąć ustało i pieczywa już nie wyrzucano, wtenczas kiedy z tamtych baszt jeszcze obficie dostarczano! Znowu pospólstwo nieprzyjazne Francuzom obruszyło się, i najpierwéj skąpstwo Delfinowi wyrzucało, a potém na basztę delfinowską i kamienie rzucać zaczęło, że ledwie żołnierze biorąc do turmy naczelników swywoli, rozruch uśmierzyli, a biednych muzyków, grających na baszcie delfinowskiéj, kilku skaleczono kamieniami.

Kiedy arcyksiężniczka z posłem już miała wyjeżdżać do Francyi i dany był wielki obiad pożegnalny w pałacu cesarskim, na ten obiad poszedłem, aby się napatrzyć okazałości dworu i widzieć etykietę jego. Przyszedłem wcześnie do sali jadalnéj, że dopiéro do stołu nakrywano, szambelan mający nawet mniejszy order Maryi Teresy, tę

robił posługę, i do zgorszenia mego, każdą serwetę, na których były dwie litery M. i T. t. j. Marya Teresa wyszyte, tym literom skłonił się, pocałował i potém dopiero kładł na farfurkę. Gienerałowie ogromne złote półmiski na stół nosili, a wielki kuchmistrz imperyi laską pokazywał, jak miały być położone na stole. Stół był ustawiony w literę N. Na brzegach w górze zasiedli: Cesarz Józef po prawicy, a cesarzowa Marya Teresa, matka, po lewéj stronie, koło cesarza Delfinowa, arcyksiężniczka Krystyna, Albrychta Sasa królewicza naszego żona i Elżbieta arcyksiężniczka. Po lewéj stronie, koło cesarzowéj wdowy Maryi Teresy, syn jéj arcyksiążę Ferdynand, drugi syn jéj Maksymilian, a trzeci Albrycht książę saski i już wszyscy siedzieli u stołu, po brzegach jego, w środek zaś stołu, wchodziła tylko służba podająca i odmieniająca półmiski. Był to dzień sobotni, i Marya Teresa, surowa katoliczka, z postem ten stół zastawić kazała. Cesarz raki tylko i bułkę chleba zjadł, a jam pomyślał: on cesarz a tyle go obiad kosztował co i ubogiego jakiego w mieście. Człowiek ten cierpiał wszelako żeby mu najpierwsze książęta imperii, na kolanach u stołu farfurkę podawali; — tak służył cesarzowi stary książę Lichtenstein, okryty orderami, i trzęsący się z podeszłości wieku swego, tuk służyło i wielu innych pierwszego rzędu panów, stojąc za krzesłem i podając farfurkę, albo wodę na kolanach monarsze swemu, które bałwochwalstwo na ulicy nawet, dla przejeżdżającéj cesarzowéj czynić musieliśmy. Muzyka najpiękniejsza w czasie obiadu grała, a gwardya węgierska wkoło stół dla uniknienia ścisku okrążała.

W tych czasach arcyksiężniczka Antonia wyjeżdżała z Wiednia pomiędzy dwu płoty kilkunastu tysięcy wojska, broń tylko przed nią prezentującego, ale bez żadnych wystaw honorowych, kilkanaście karet za nią jechało. Ona w pierwszéj, całéj w szkłach przezroczystych, na przedzie kardynał poseł i księżna jakaś niemiecka, Delfinową rzewnie płaczącą przez cały ten przeciąg parady widzieliśmy. To było w etykiecie wyjazdu jéj osobliwszego jeszcze, że kiedy się (jak powiadano) w pokoju Maryi Teresy z matką pożegnała, gdzie byli razem przytomni cesarz, bracia jéj i świty, nikt z nią, pożegnawszy się, nawet do drugiego pokoju wyprowadzić ją nie wyszedł, żeby się nie uniżyć, że to poszła za Delfina, a oni byli cesarską familią i ażeby tak natury saméj dla marnéj zapomnieć etykiety! ktoby się był natenczas spodziewał; że taż córka, wnuczka, siostra cesarzów, arcyksiężniczka Antonia, ta jedna z najpiękniejszych kobiet niemieckich, będąc z czasem królową między najpotężniejszemi w świecie, będzie miała przez kata, na publicznym rynku szyję uciętą, jak się to potém najokropniéj dla niéj zdarzyło wraz z mężem królem, i pokazało się, że sama wysokość stanu nie jest dostateczną,



szczęśliwym kogo uczynić, co w dalszym ciągu życia mego, prócz niéj i na naszych jeszcze uważałem.

Ja tymczasem w Wiedniu, chorobą mojéj konsumcyi niszczony, jak mogłem pożytecznie dla siebie rozrywałem się. Do tylu wyżéj wymienionych rozrywek téj stolicy przyczyniłem jeszcze oglądanie galeryi obrazów jaka jest cesarska, Lichtensteina i innych. Oglądanie także zwierząt różnych dzikich, tak cesarskich jako i przybyłych, bawiło mnie. Lew, w cesarskiej menażeryi chowany, miał klatkę ogromną, na dwoje środkiem przedzieloną, za drzwiami wewnątrz z jednego przedziału do drugiego, ażeby kiedy jedną z tych przegród zagnoi, przepuszczony był do drugiéj, już dla niego przeczyszczonéj. Zdarzyło się za mojéj bytności w Wiedniu, że do próżnéj połowy klatki córka dozorcy zwierząt weszła, przypadkiem drzwi od drugiéj połowy, gdzie był lew, niezamknięte były, wszedł on tam z rykiem wielkim i porwał dziewczynę. — Wybiegł na krzyk nieszczęsny ojciec, a widząc już między pazurami lwa krzyczącą córkę, za pierwszém poruszeniem idąc, porwał się do kordelasa, który miał przy boku, ale potém bojaźń go jakaś objęła, ażeby lwa cesarskiego nie zabił, pobiegł prosić o pozwolenie zabicia go do zwierzchnika, w tym domu mieszkającego, kiedy tymczasem córka była uduszona. Tak to despotyzm ustrasza naturę samą i dla bojaźni jego, swego dziecięcia od śmierci nie ratuje.

Biblioteka cesarska, wolna każdemu do czytania, byleby książek do domu nie brać, nad insze rozrywki najwięcéj mnie bawiła. Pokazują tam regiestr wszystkich książek, żądaną książkę proszącemu zaraz podają — i mnie, kiedym prosił o pokazanie mi kopii dyaryusza wojny przez komendanta na ten czas téj fortecy, Sztaremberga pisanego, kiedy Mustafa czarny, wezyr turecki, Wiedeń atakował, a król nasz Jan Sobieski bronił go, zaraz mi tenże dyaryusz pokazano. W tém jedném piśmie, od Niemca wyszłém, prawdy doczytałem się, gdzie przecież Sobieskiemu winnych pochwał nie ujęto. Ale w tymże dyaryuszu, doczytałem się na końcu, że w téj całéj potrzebie, więcéj nad ośmset kilkadziesiąt Polaków nie zginęło, może zaś tyle dwa razy umarło od choroby, z przyczyny wody albo powietrza wiedeńskiego, im nie służącego. I to też mnie nakłoniło, żem umyślił jak najprędzéj Wiedeń porzucić, tak dla mnie może, jak dla owych Polaków, z przyczyny wody i powietrza samego niezdrowy.

Co się tyczy Sobieskiego, kiedy autorowie niemieccy, przez nienawiść dla Polaków, mało przyznają dzielności tego naszego króla w poratowaniu Wiednia, bohater ten ustnie i publicznie przez usta niemieckie pochwalony. Obchodzono corocznie w Wiedniu uroczystość zwycięstwa tego w 7-brze. Po skończoném nabożeństwie, w dniu tym, w kościele katedralnym S. Szczepana, Korticelli pokazy-

wał mi kosztowne obicie gobelinowe, od gzymsów kościoła aż do dołu powieszane, na którém cała téj wojny historya wyrobiona była jedwabiami, a co najosobliwsza, że portrety osób znaczniejszych w tę wojnę wchodzących, tak dobrze były wyrobione i trafne, że doskonały malarz lepiéjby odmalować nie mógł. Kiedy oglądając porządkiem to sławne obicie przyszliśmy do miejsca, gdzie cesarz Leopold, po zwycięstwie wiedeńskiém, najpierwszy raz widzi się z Sobieskim naszym, cesarz wyrobiony z głową nakrytą, a król szyszak w ręku trzymający, zastaliśmy przy tém miejscu obicia starca zgrzybiałego Niemca, otoczonego mnóstwem inszych Niemców, który im o téjże wiedeńskiéj wojnie, jako przytomny natenczas w Wiedniu i około 18 lat mający rozpowiadał. Spojrzawszy on na obrazy (jak się dopiero powiedziało) Leopolda i Sobieskiego, rzecze do swoich: „Źle to obicie wyrobione, że Sobieskiego z odkrytą głową, a Leopolda z nakrytą położyli, niechby raczéj Leopold zdjął kapelusz, a Sobieski głowę swoją nakrył, bo gdyby nie ten król, jabym w tureckiéj niewoli dotąd jęczał i Wiedeń pewnieby się był poddał"! Nie miło pewno było słuchać tego uprzedzonym zawsze przeciwko Polakom Niemcom, ale my z Korticellim z tego publicznego wyznania w duchu cieszyliśmy się.

Kwasiła, prócz słabego zdrowia, mieszkanie moje w Wiedniu i pogarda powszechna Niemców naronu mojego. To prawda, że będąc dla nich rzetelnym w opłacaniu albo w słowie daném, można u Niemca zyskać zaufanie i szacunek, jak ja żyć z niemi starałem się. Ale że dla mnie grzecznemi byli, nie zaspokajało to mnie, i jabym miał ich kochać, kiedy w magistracie tamtejszym, za mojéj bytności, jeden człowiek z pospólstwa z drugim kłócił się i majątek tracił, że go tamten Polakiem nazwał, co u nich największym tam gatunkiem jest połajania. Chociaż najlepiéj byłem z moim w kamienicy gospodarzem, że mu najrzetelniéj miesięczne jego tak za stół jako i za stancyą opłacałem, przecież i on najlepiéj o mnie mówiący zawsze, znalazł przyczynę uszczypliwego gadania o Polakach. Na ostatni zapustny wtorek zaprosiłem kilku Polaków na wieczerzę polską do siebie; była między inszemi i pieczenia zrazowa funtów kilkanaście ważąca, którą przy sobie piec kazałem, bo nie wierzył gospodarz mój, aby się kiedy upiec mogła, gdy była tak wielka. Kiedy się moi goście zgromadzili, przytomny między inszemi generał Korticelli, który wieczerzy nie jedzący, po niejakim czasie, siedząc jeszcze u stołu zachorował, i pieczenią zjedzoną wywomitował. Mój dobry gospodarz rozniósł to nazajutrz po mieście, że Polacy w ostatni wtorek mięsa jedli tyle, że aż womitowali, i to mi po kilku dniach powiadał Korticelli, że od wielu znajomych sobie Niemców słyszał.

Tymczasem w Polsce, Barska nasza konfederacya, na któréj czele był wojewoda wileński Karol Radziwiłł, więcéj serca dobrego niżeli głowy mający, od Rosyan przyciskana, coraz zmniejszała się, a generalność jéj przenosząc się z miejsca na miejsce w kraju, nakoniec za granicę uchyliła się i stamtąd wyroki swoje wysyłała. Po różném jéj za granicą błąkaniu się, wreszcie w Preszowie w Węgrzech osiadła, i tam niegodziwe swe pismo detronizacyi Poniatowskiego podpisała, z dodatkiem, że gdyby go kto nawet zabił, nie będzie za to do odpowiedzi pociągnionym. Pismo to polskie, na język niemiecki przetłómaczone, czytała cesarzowa Marya Teresa, i zaraz że tak bezkarnie konfederacya króla każdemu zabić pozwalała (co wszystkich monarchów obchodzić powinno), już była najgorzéj dla naszéj konfederacyi dysponowana, i żeby jak najprędzéj z kraju jéj wyszli, żądała. Z inszéj strony Turczyn, próżną nadzieją Potockiego podczaszego lit. Mrozowieckiego i inszych barskich konfederatów (jak się wyżéj rzekło) do siebie zbiegłych, w Warnie utrzymując, łudził. Poznano nakoniec, że i stamtąd pomocy żadnéj nie będzie, tak najżywiéj zaczęty ogień ten, słabiéć począł w narodzie, zwłaszcza, że magnaci prawie wszyscy, bojąc się o majątki swoje, niby to przy królu byli.



Wybrałem się tedy z Wiednia ku końcu 7-bra 1770-go r., bawiąc tam więcéj półtora roku, a wybrałem się, przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwiek poznał. Dunajem do Pesztu popłynąłem, a w téj podróży dopływając do Preszburga, miasta stołecznego Węgier, gdzie na dnie téj rzeki są skały, że Dunaj z większym tam i tak niebezpiecznym płynie impetem, że gdyby wiosłami, najżywiéj robiąc, nie wstrzymywano impetu, od pędu wody, każdyby statek zatonąć musiał. Dojeżdżając do tego miejsca, na którém przed dwoma niedzielami, kilkunastu ludzi, po większéj części pijanych, a tém samém nie ostrożnych, utonęło,—Włoch kupiec, płynący na tymże ze mną statku na jarmark do Pesztu, wyszedł z swojéj komórki (jakie mieliśmy powyznaczane) i przypatrywał się na górze szifu czyli statku położeniu miejsc nad Dunajem. Szifman, albo rządca statku człowiek najpyszniejszy (bo jak oni zawsze dodają) cesarski człowiek (a szewc wiedeński, że jest cesarskim człowiekiem, myśli, jakby sam był cesarzem wszystkich szewców na świecie), szifman kazał kupcowi groźno zejść na dół, do swojéj komórki, kupiec uparł się, a szifman bić się z nim zaczął. Tak w miejscu płynienia naszego najniebezpieczniejszém, może o pół mili od katarakty Dunaju, gdzie już woda większym pędem płynęła, przestraszeni wszyscy niebezpieczeństwem utonienia, kiedy szifman (na którym wszystko zależy) wojną był zatrudniony, rozbranialiśmy bijących się, o litość nad nami prosząc, skończyła się walka, zerwaniem z głowy peruki kupcowi, którą w Dunaj szifman wrzucił. A tymczasem kilkunastu ludzi naj-

żywiéj wiosłami robiąc, opierali się pędowi coraz większemu wody, że nakoniec szkodliwe katarakty przebyliśmy. Na tymże szifie płynęło z nami czterech kupców macedońskich; dowiedziawszy się, że jeden z nich umie po łacinie, a widząc właśnie tego samego nici kręcącego, po grzecznym komplemencie, pytałem go, czy kiedy czytał Kurcyusza, dodając, że za czasów Aleksandra W-go pewnie Macedończyk nici nie kręcił. Z westchnieniem odpowiedział mi, „że pod Turczynem, cóż ma robić niewolnik-Macedończyk? broni im nawet żadnéj nosić nie wolno, a czasem znaczniejszy jaki Turczyn w dom mój (jak mówił) przyjechawszy, do żony mojéj bezkarnie idzie, konia mi tymczasem trzymać kazawszy". Widząc tych czterech kupców, wszystkich wzrostu najpiękniejszego i twarzy coś znaczącéj, spytałem się, czy się dobierali umyślnie wzrostami i pięknością postaci, jadąc z domu do Wiednia, a on mi odpowiedział, że wszyscy prawie Macedończycy tak są urodziwi, i dziwił się, że w Wiedniu tak wiele ludzi drobnych niedołęgów widział: „My to do siebie sami widzimy, że pięknym ludem jesteśmy, ale nie zawsze szczęśliwa piękność".

Presburg, stolica wyższych Węgier, jest miasto piękne nad Dunajem, mające zamek na blizkiéj górze mocny, ale w samém mieście gnojów pełno i nieochędóstwo wielkie po ulicach. Do lepszéj austeryi nocować sprowadziwszy się, przy stole dwóch szlachty węgierskiéj pijącéj wino i już podpiłych zastałem. Siadłem przy tymże stole, a oni po łacinie z sobą rozmawiając, najgorzéj cesarzową Maryę Teresę i cesarza Józefa wspominali. Widząc, że tego za wiele było, odezwałem się nakoniec do nich po łacinie, że mają szczęście, iż nie jestem Niemcem, ale Polakiem, który tych mów swawolnych słucham, bo doniesieni, mogliby ucierpiéć za to; przybiegli do mnie obydwa i ściskając mnie serdecznie, polonus, polonus powtarzali. Kiedym im przymawiał o nieochędóstwo w mieście i gnoje leżące po ulicach, mając przykład blizkiego Wiednia, gdzie tak wszystko porządne, odpowiedzieli mi: „wolę, że mi ten gnój śmierdzi, niżeli żeby mię kto przymuszał, abym go wywiózł" — i to jest wolność. Tak się we mnie potém rozkochali, że mnie nocy pozbawili, nie mogąc wszelako dokazać, ażebym się wraz z niemi upił. Na drodze, Dunajem płynąc, jest nad brzegiem miasto Komoryn, sławne zamkiem, nigdy od Turków niezdobytym. Jakoż jest tam przy bramie zamkowéj panna z kamienia ciosowego wyrznięta, figę pokazująca, co ma znaczyć, że się Turków nie boi. Tamże kościoła murowanego i wielu domów świeże zastawszy rozwaliny, kiedym się pytał murujących na nowo, skąd tyle rozwalin w mieście? a oni przeszłoroczne trzęsienie ziemi dali za przyczynę, dodając, że tego często doświadczają; pytałem daléj, dziwiąc się: czemu się na tak niebezpieczném miejscu



znowu murujecie? „My tu przywykliśmy do miejsca, bo tu dziadowie nasi mieszkali" — odpowiedzieli mi, a ja ich prawdę sercem mojém potwierdziłem, że do mojéj ojczyzny, chociaż tak nieszczęśliwéj, powracałem, ażeby w niéj żyć i umierać. Przypłynęliśmy nakoniec do Pesztu, téj drugiéj stolicy niższych Węgier. Miasto na dole porządne, z domem dla inwalidów najwspanialszym; z drugiéj strony Dunaju, na którym most był na łodziach, drugie miasto na górze położone, nazwiskiem Buda, które razem sławną fortecą jest, tyle razy od Turków napadaną. Peszt, w czasie jarmarkowym, znalazłem najludniejszym, gdzie i naszych kupców ze Lwowa poznałem, z któremi o powrót do ojczyzny umówiłem się. W tém mieście bawiąc dni kilka, miałem czas napatrzyć się ludu węgierskiego obojéj płci, i wielu nawet znaczniejszych obywateli widziéć. Powszechnie powiedziéć można, że mężczyzni tam są piękniejsi od kobiet, co przeciwnie można uważać w Wiedniu. Włosy u Węgrów pospolicie czarne i twarze czarniawe, wzrost hoży i skład całego ciała piękny. Serce ich dla nas Polaków najlepsze, może dlatego, że z nas za swoje wina największe pożytki mieli, bo jak sami przedemną wyznawali, większą połowę ich wina Polska zabierała corocznie. Ale najwięcéj dlatego, że (jak mówią) nigdyśmy sobie nie byli nieprzyjaciołmi, żeśmy pod jednemi żyli królami, i że nasz i ich razem Władysław, dla ich dobra zginął pod Warną.

Kraj węgierski ze wszech miar jest najszczęśliwszy; powietrze zdrowe, klima ciepłe, rzeki spławne i najrybniejsze, pszenica i bydło najpiękniejsze, ma swoje złoto i wino między najlepszemi w Europie; krajowi temu nazwisko raju ziemskiego daćby się powinno. Pastwiska tam tak żyzne, że mięso bydląt, na nich pasących się, najsmaczniejsze jest, i doświadczałem tego w Wiedniu, jedząc z krain innych i z węgierskich wołów mięsiwa. Owoce ogrodowe, zacząwszy od sławnych ich śliwek, najsmaczniejsze. Są zaś niektóre zdroje w górach węgierskich, w które wrzucone żelazo, za kilkanaście lat w miedź się obraca; a miedzi, i to najlepszéj w Europie, najwięcéj w tym kraju znaleziono. Taniość zaś w wyżywieniu się taka, że za 12 gr. pols. kupiony karp dwóch ludzi do sytości nakarmił.

Wieśniak sam tylko w Węgrzech jest nieszczęśliwy, bo szlachta dziedzice, zaszczyceni przywilejami Maryi Teresy, nic sami na skarb monarszy nie płacą, i poddani tylko ten ciężar znoszą.

Z Pesztu przez Tokaj, Ungwar na Lisk przebierałem się do ojczyzny. Przeprawiając się przez góry węgierskie, kiedy na największéj ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe i ziemię moję ukochaną—Polskę. Jaśnie z téj wysokości poznać mogłem, jak daleko wyżéj wzniesiona ziemia polska nad Węgry, że gdyby zalew zie-

mi następował, kiedy Węgry całe już byłyby zatopione, Polska-by jeszcze nietknięta została. — Taka w tém miejscu gór była wyniosłość, że chmury kawałkami przechodzące twarz mi odwilżyły. Po kilku godzinach jazdy z gór, ku Polsce spuszczając się, przybyłem nakoniec do komory granicznéj polskiéj — i całując ziemię, na któréj się urodziłem, słodkie łzy radości wylewałem. Tam strażnik polski, nazwiskiem Rudnicki, żem mu darował wina tokajskiego dwa garnce, którego antał, dla utraktowania przyjaciół we Lwowie, wiozłem, dał mi wieczerzę polską, gdzie żądany barszcz narodowy mile witałem, i gdzie po noclegu poczułem się zaraz zdrowszy. Tak swoje klima i humor weselszy, i narodowe jadło, nad inne lekarstwo najskuteczniejszém każdemu będą.

Do Lwowa przyjechawszy, zastałem już wdową wojewodzicowę poznańską i więcéj już sobie obiecując z tą już wolną, najcnotliwszą kobietą, może ją jeszcze surowszą znalazłem. Tak cnota prawdziwa nie ma wolności inszéj, tylko w wybieraniu i pełnieniu spraw dobrych. Najgrzeczniéj od niéj przyjęty byłem i widziałem to, że się ze mną bawić lubiła, i to drugie, że bawić samotnie chroniła się. Przyjaciel mój Siedlecki, stale przy niéj bawiący się, robił mi bawienie z tą cnotliwą kobietą słodszém jeszcze. Mieszkała zaś o milę ode Lwowa, w domu swym wiejskim w Milatyczach. Bała się ona w początkach małżeństwa ze mną, będąc starszą odemnie 14 latami, bojąc się nadewszystko (jak była zawistną), ażebym się w drugich nie kochał, ale i ja sam potém, woląc często z młodszemi miewać rozrywki, powiększyłem bojaźń jéj.

Czując się jeszcze z mojéj konsumpcyi na siłach słabym, wyjechałem do sławnego w Krystynopolu doktora medycyny Hirnejsa. Wiedząc o jego także słabości, że nad wszystko nienawidził wiedeńskiego doktora Van-Switena, to mu wszedłszy do niego, powiedziałem, że bawiąc w Wiedniu, leczony byłem przez Van-Switena, i nietylko polepszenia zdrowia nie miałem, ale coraz po jego lekarstwach czułem się jeszcze słabszym, a dla oświecenia Hirnejsa, pokazałem mu recepty Van-Switena, jak od niego leczony byłem. Na spojrzenie na podpis tego nieprzyjaciela swego, ręce mu się trząść poczęły i nie doczytawszy się jeszcze recepty, rzucił ją, zdarłszy, na ziemię, i razem tabakierkę, w ręku trzymaną, rzuciwszy, potłukł, powtarzając: „osłów doktor, osłów". Wpadłem u niego w łaskę i niedziel dwie tam bawić musiałem, chociaż mi żadnego lekarstwa nie dawał i nawet do domu nie dał, radząc tylko, ażebym osłabiony żołądek klijkami i potrawami delikatniejszemi do grubszego wprawiał, sam mi nawet szynki po trochu przy sobie jeść kazał, a za najpierwsze ekarstw szukanie bawienie w wesołéj kompanii przeznaczył, i prawdziwie wyznać należy, że podług rady jego utrzymywanie się moje napotém powróciło mi zupełne zdrowie.



Bielski, łowczy koronny, zawsze mnie jednakowo kochający, kiedy mu się syn Bogusław urodził, że mu się syny nie chowały, obiecał Bogu, jeśli ten do dalszego wieku wyżyje, nie widzieć go aż do lat 18-tu; jakoż po kilkunastu niedzielach po urodzeniu dziecięcia, odwieść go kazał do Lwowa, gdzieby się przy doktorach, w domu uczciwéj szlachcianki Chaszczewskiéj chował, kiedy doszedłszy lat 12, miał ze mną jechać za granicę, a tam przez lat sześć bawiąc, do ojca na swój rok 18 powrócić. W takim ze mną zamiarze, dawał mi wieś dziedzictwem, niedaleko Pieniak, rezydencyi jego leżącą, Kołubice nazwaną, jak tylko z Bogusławem powróciłbym, chociażbym ojca już przy życiu nie zastał. Ale los zrządził inaczéj, bo dziecko po dwóch leciech umarło we Lwowie.

Ja tymczasem, w różnych przygodach, różnemi wierszami bawiłem się, pominąwszy Sielankę: Tęskność na wiosnę do Justyny, którą w szkołach jeszcze będąc, napisałem, do pierwszéj mojéj Justyny Brösselówny i ze dwie, prócz téj do téjże napisane, wszystkie inne Sielanki, pod tytułem Justyny, napisane już do drugiéj Justyny, Maryanny Ponińskiéj należą.

Przyszedł nakoniec czas rozerwania pierwszego ojczyzny mojéj i konfederacya barska, którą pycha, nie miłość dobra narodu rozpoczęła, zupełnie upadła. Monarchowie sąsiedni, nierządem naszym ośmieleni, wzięli się za ręce i projekt króla pruskiego Fryderyka, podany Katarzynie rosyjskiéj, za oporem długim trzeciéj zabornéj strony austryackiéj, w r. 1773 przyszedł do skutku. Marya Teresa, cesarzowa niemiecka, wdowa, nie chciała przez czas jakiś przystąpić do rozbioru Polski. Ale wtenczas właśnie wydarzony dziki postępek wojewody natenczas kijowskiego, Potockiego, i ją do rozbioru nakłonił, kiedy przekonywali ją jéj nadworni, a ujęci dawniéj teologowie, że gdyby była kordon ten, na nią przypadający, w którym wojewoda kijowski mieszkał, pierwéj zabrała, do tego kryminału nigdyby przyjść ten zuchwały magnat nie ośmielił się. Ten Potocki miał syna jednego, imieniem Szczęsnego, który, upodobawszy w sąsiedztwie, pięknego domu, twarzy i obyczajów pannę Komorowską, bez woli ojca z nią się ożenił. Zabolało to wojewodę, który syna swojego jedynaka z najbogatszą jaką partyą, albo udzielną jaką księżniczką zagraniczną złączyć myślał, nie mogąc inaczéj nielubéj sobie zbyć się synowéj, bez wielkich zachodów utopić ją kazał.

Druga magnatka, wojewodzina wileńska, Radziwiłłowa, z domu Rzewuska,—przysłanego z Preszowa od gieneralności, niejakiego Litwina Czeszejkę, który zbierał składki od obywateli polskich na potrzeby konfederacyi, że się ośmielił swywolne jéj życie naganić,

sprowadziwszy kata do Białego-Kamienia, gdzie mieszkała, co także potém w kordon austryacki dostało się, ściąć go kazała bez żadnego sądu. Takie kryminały, bezkarnie świeżo popełnione, przekonały nakoniec Maryą Teresę, że do rozbioru Polski z drugiemi dwoma mocarstwami przystąpiła.

Prócz tych świeżych przykładów ostatniéj bezprawości magnatów naszych, słynął u nas na Rusi okrucieństwem swojém Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który do 40 ludzi swoją ręką nazabijał. W Polsce starosta knyszyński, Czapski, tak był okrutny, że tych, których nie lubił, albo winnemi sobie osądził, w beczkę, nabitą bretnaglami, wsadził, i takie beczki dla swojéj rozrywki przed sobą toczyć kazał, na którym dla jego okrucieństw, banicyą zyskał Branicki hetman, ażeby sąsiedni od Białego Stoku Knyszyn trzymał. W Litwie Radziwiłł, chorąży litewski, w Białéj mieszkający, który lubił słuchać jęczenia w dołach podziemnych, swoich mniemanych winowajców, których najlepszemi swemi śpiewakami nazywał.

Wszyscy ci okrutnicy w tym czasie żyli i powodem do rozebrania kraju tak nierządnego stali się.—Austryi dostały się od Biały, przy Szląsku i brzegów Wisły, bliżéj Krakowa, ziemie wszystkie aż do granicy węgierskiéj i Wołoszczyzny, ku południowi; od brzegu zaś prawego Wisły pod Sandomierz, pod Krasnystaw aż do brzegu rzeki Dubienki, ku wschodowi; stamtąd Bugiem aż do Sokoła i wołoskiéj granicy, o milę małą od Kamieńca podolskiego, kordon austryacki zajął.

Król pruski zabrał województwa Prus polskich: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie, część województwa inowrocławskiego, poznańskiego i kaliskiego z Warmią.

Imperatorowa rosyjska wszystkie z tamtéj strony rzeki Dźwiny województwa: połockie, witebskie i mścisławskie zagarnęła.

Byłem wtenczas we Lwowie, kiedy generał rosyjski Kamieński wychodził z téj stolicy Rusi, a oddawał ją wchodzącemu do niéj generałowi austryackiemu, Szederowi. W tych okropnych przenosinach tymczasowe nieszczęścia z Rosyą zdały się nam znośniejszemi daleko, niżéli Niemcy, wiecznym zaborem Ruś naszę posiadający. Wkrótce do Lwowa hrabia Pergien przysłany na gubernatora Galicyi (tak Niemcy kraj ten nazwali). Po kilku niedzielach, homagium uczynić rozkazano. Odprawiał się ten akt w kościele katedralnym lwowskim, gdzie hrabia Pergien pod baldachimem przy wielkim ołtarzu, z głową nakrytą na krześle siedział, a deputowani Galicyi po przysiędze Maryi Teresie wypełnionéj, „Te Deum laudamus" śpiewać przymuszeni.

W tym czasie i zakon jezuitów zniesiony, za naleganiem Francyi najbardziéj, Hiszpanii i Portugalii. Papież Ganganelli, przymuszony przedstawieniami tych dworów, jeszcze się wstrzymywał w kasowaniu tak przydatnego zakonu w chrześcijaństwie, generałowi jezuickiemu proponował, ażeby, jeżeli zostać jeszcze żądali, teologii nie uczyli, kapelanów swoich przy monarchach nie mieli i wpływu do rządu najmniejszego unikali. Pyszny generał nie spodziewając się, ażeby kiedy do ostateczności przyjść miało, że w samych Włoszech potężne mieli swoje partye, odpowiedział papieżowi: „Wszystko, jak było, albo nic". I tak nic im nie zostało, bo papież wydał bullę, kasującą ich zakon po całym świecie. Przyczyny zaś, które pociągnęły monarchów do żądania téj kasacyi, były następujące: konspiracya na króla portugalskiego Józefa, któréj naczelnikiem był jezuita Matagreda, który za tęż konspiracyę na śmierć był skazany. W Paragwaju, prowincyi Ameryki portugalskiéj, mieli obranego króla jezuitę, braciszka, pod imieniem Mikołaja, gdzie już na kilkanaście tysięcy broni przygotowanéj, w celu wystawienia wojska, w swoich mieli magazynach. W hiszpańskich podobnie prowincyach Ameryki otwarcie przeciwko królom układy rozpoczęli. Jeden z nich wydał prócz tego ważny sekret, na spowiedzi sobie powierzonéj od matki królewskiéj, co zamieszanie największe w kraju sprawić-by mogło. We Francyi, za intrygi w narodzie, za nauki publiczne w teologii, a przeciwne królom, że król tyran powinien być zabitym, według książki jezuity Busembaum, którą to książkę kat publicznie na rynku palił. A wszędzie w Europie staranie najpilniejsze, ażeby jezuita u monarchów katolickich był spowiednikiem, a tak wiadomi sekretów każdego króla, dyspensowani byli generałowi owemu donieść je, — ażeby ten z takich wiadomości układy potrzebne zakonowi i intrygi swoje czynił. Skasowani nakoniec (jak się powiedziało), jeszcze zuchwałością swoją powodowani, najwyższéj zwierzchności kościoła nieposłusznemi stali się, bo nie mogąc już w państwach katolickich utrzymywać się, w protekcyę dyssydenckich monarchów udali się. I tak już po skasowaniu ich powszechném, byli jeszcze czas jakiś w państwach króla pruskiego i w imperyum rosyjskiém w Połocku. Zakon ten fundowany przez świętego Ignacego Lojolę, Hiszpana, potwierdzony przez Pawła III-go papieża, w roku 1540, trwający więcéj lat 230, upadł. Trzeba wyznać, że gdyby nie intrygi, w które się mieszać nad wszystko lubili, chęć zbierania bogactw i pomnożenie często nieprawne funduszów swoich, gdyby nie pycha, którą wszystkich innych zakonników w pogardzie mieli, było to zgromadzenie ludzi między najświatlejszemi w Europie. Tę szlachetną mając ambicyę, ażeby nikomu w umiejętnościach nie dać się uprzedzić, a obyczajami skromnemi, co się tyczy rozpusty albo pijaństwa, być przykładem inszym zgromadzeniom.

Po rozbiorze pierwszym, my, obywatele ubożsi, czuliśmy daleko większą stratę, niżeli magnaci nasi, bo równie z szumem, jak da-

wniéj postępowali, rozumiejąc, że ich wystawne życie wrażenie jakieś i uszanowanie dla nich u Niemców sprawi, ale inaczéj wszystko stało się.— Cesarz Józef I-szy wkrótce był na kontraktach lwowskich, gdzie widząc magnatów najpiękniejsze w pojazdach konie, najokazalsze karety, a żony ich prawie całe w klejnotach, publicznie powiedział: „żalicie się na podatki, a taki zbytek we wszystkiém u was?" Pozdejmowały damy klejnoty, a magnaci piechotą czasem po ulicach przechodzili się, ale ta nagła zmiana śmieszniejszą jeszcze dla Niemców była przyczyną. Kiedy Józef I proponował magnatom wzięcie się do czynności jakich w nowym rządzie i kiedy nikogo z nich nie było widać, znowu cesarz powiedział: „ci bogacze podobni do much, które tylko po domie brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawują". Ale nie na samém jego gadaniu skończyło się, polityką było dworu wiedeńskiego nie nas ubogich, ale magnatów naszych ciemiężyć, bo od nas nie spodziewali się oburzenia jakiego, ale pycha magnatów więcéj czyniła wrażenia. — Wszystko tedy robiono, jakby ich zedrzéć, albo upokorzyć można, stawiano im za najmniejsze sprzeciwienie się, w ich nawet pokoju sypialnym żołnierza na egzekucyę. Gubernator zawołanego do siebie magnata trzymał długo przed pokojem, a czasem i odejść mu bez widzenia się kazał. Pokasowano milicye panów nadworne; ordynatowi Zamojskiemu ordynackich konstytucyjnych żołnierzy trzymać zakazano, a natomiast cesarski tam żołnierz stanął garnizonem; wojewoda kijowski Potocki, który miał do półtora tysiąca żołnierzy nadwornych w Krystynopolu, zwyczajnéj swojéj rezydencyi, tych mu niezwłocznie rozpuścić kazano, i kiedy do rządu podał notę, że nie będzie bezpieczny w domu bez tych żołnierzy od hultajów, mając srebra tyle i droższego narzędzia, posłano mu 300 żołnierzy austryackich, ażeby ci ustawiczną załogą konsystowali u niego w Krystynopolu, a tak pewnym będzie od napaści hultajów. Takie upokorzenie najpyszniejszego magnata tego i czucie jego zbyteczne poniżenia swojego, ściągnęło mu chorobę, z któréj i umarł, że nie mógł bezkarnie ludzi zabijać. Po jego śmierci Komorowski, ojciec utopionéj córki swojéj przez wojewodę, chciał rozpocząć proces o ten gwałt, najokrutniéj na dziecięciu jego przed rokiem dopełniony. Niemcy to publicznie przed nami we Lwowie mówili, że ponieważ tak pan Szczęsny, syn zmarłego wojewody Potockiego, jako i pan Komorowski są *sujets mixtes*, to jest, że mają dobra w austryackim kordonie i w polskim kraju, mogą się tedy sądzić we Lwowie albo w Warszawie; jeżeliby (jak mówili Niemcy) chcieli się sądzić we Lwowie, tedy pewny dekret, że za taki kryminał, trupa z grobu dobędą wojewody, i kat mu na rynku głowę utnie. Ale odrodny ojciec Komorowski, wiedząc o takiém Niemców przedsięwzięciu, wolał się zgodzić ze Szczęsnym Potockim w Warszawie, i za



krew dziecięcia swojego, niewinnie przelaną 600,000 złp. odebrał. Tak my ubożsi, jak dawniéj czyniliśmy, tak nawet już pod rządem austryackim, braniem od magnatów pieniędzy, ośmielaliśmy ich, ażeby nas bezkarnie zabijali, kiedy mieli czém za to zapłacić. Nie dziwiłem się dawniéj Kalinowskiemu, staroście grodowemu winnickiemu, który obraziwszy sławnego zabojami obywatelów, Mikołaja Potockiego, starostę kaniowskiego, na publicznym gościńcu od niego w 200 koni żołnierzy napadnionemu, z pojazdu wywleczonemu, na drodze położonemu i 150 kijów biorącemu, że się potém z tymże tyranem za 200,000 zł. zgodzili. — Bo gdyby sobie ostrzéj z tym najezdnikiem postąpić chciał, pewnieby go pierwéj za czasów rządu naszego zabić kazał. Ale Komorowski mając już twardy rząd austryacki po sobie, czemuż on wolał pieniądze? Niemcy prócz najwyższego rządu we Lwowie, ustanowili jeszcze *forum nobilium*, gdzie obywatele nasi, z Niemcami pomieszani, szlacheckie sprawy rozsądzać obowiązani. Postanowili tamże zbieranie się stanów kraju, a w tych stronach siedmiu naczelników z obywateli znaczniejszych wybrali. Te stany naradzać się powinny według uniwersałów cesarskich (taki był wyraz w uniwersale) nie dlaczego, ale jakim sposobem, co nam nierozumiejącym wytłómaczyli Niemcy, że naprzykład, jeżeli nałożony będzie podatek, stany pytać się nie będą mogły, czemu on jest nałożony, ale tylko jakim sposobem wypłacić. Tak nie chcąc na dawnych sejmach naszych dobrowolny sobie na utrzymanie żołnierza krajowego podatek nałożyć, bezbronno straciwszy wolność, przymuszeni byliśmy płacić to, co Niemiec każe, nie pytając się, dlaczego płacić kazano.

Szlachta, zawsze lepiéj od magnatów myśląca o dobru ojczyzny, przed tym pierwszym upadkiem naszym na lat kilka, widząc nierządem i przemocą magnatów wszystko ciemiężone, umówiła się między sobą po województwach, ażeby każdy obywatel podług intraty z wioski dziedzicznéj pewną część pieniędzy corocznie składał, z których miała się układać milicya województwa, a ta albo w czasie potrzeby kraju powinna była do wojsk koronnych dołączyć się, albo w czasie pokoju dekretów sądowych doglądać. Ta poczciwa umowa obywatelska miała składać milicyi w czterech województwach, już na to między sobą ułożonych: podlaskiém, wołyńskiém, bracławskiém i kijowskiém do 30 tysięcy wojska, a jako się spodziewano, że inne województwa koronne i litewskie pewnie za tym przykładem pójdą, najmniéj 100,000 milicyj wojewódzkich, przyłączone do wojsk narodowych, uformowałyby pewnie znaczącą w Europie potęgę Polski. Ale magnaci na sejmie to zrozumiawszy, że już nie będą mogli swojemi nadwornemi żołnierzami dekretom sądowniczym sprzeciwiać się, szlachtę w respekcie dla siebie trzymać, albo bezkarnie śmielszych

zabijać, tym szlachetnym zamysłom obywatelów wojewódzkich całemi siłami sprzeciwili się i dawny nierząd utrzymać woleli, nie mniéj i dlatego, ażeby z ogromnych dóbr swoich proporcyonalnéj, jak szlachta dawali, części intraty nie składali. Na czém w kilka lat potém oszukali się po zabraniu kordonów, najmniéj cztery razy tyle podatków dla nowych panów składać musieli, ile im się dla dobra narodu swego płacić nie chciało. Opłacili potém na to, ażeby ich mocniéj za karki nowe pany trzymali po zabraniu 1-go kordonu.

Ja tymczasem przy mojéj Justynie różnego losu doznawałem, czasem najgoręcéj ślubem małżeńskim z nią się połączyć chciałem, a czasem bojąc się jéj humoru, ustawicznie prawie sprzecznego (lubiła, zaufana w rozumie swoim, dysputować ustawicznie); ostygnąłem pomału w żądaniach moich, co chociaż postrzegała ta najszacowniejsza kobieta, wszelako widząc mnie ubogim, na dzień imienin moich darowała mi 5,000 złp. i ten od niéj dar miałem w życiu jedyny, chociaż potém przy królu, i między pierwszemi osobami w kraju żyjąc, na łaskę każdego zasługiwałem. Za te pieniądze zaraz trzymać wioskę zacząłem, i przy ciężkiéj pracy przez lat 30, rękoma nawet własnemi na chleb robiąc (bo ci jedni prawdziwi przyjaciele najszczerzéj wesprą), przyszedłem na starość do chleba, którego nie do zbytku, ale do sytości używam. Trzymając pierwszą wioskę od Mrozowickich, Wierzbowice zwaną, Bielski, łowczy, zawsze jednako lubiący mnie, kazał uważać moje gospodarstwo komisarzowi swojemu, blizko mieszkającemu; kiedy w następnéj jesieni do niego przyjechałem, śmiał się, żem z książki gospodarował, bo mnie komisarz jego czytającego książkę przy kosiarzach w polu widział. Ja się odwołałem do samego komisarza, że siano moje sucho zebrane i popłatniejsze było niżeli Bielskiego, ale zacząwszy gospodarować, od chłopów, grunt swój najbliżéj mających, naukę brałem w czasie orania, siejby, samokosów. Tak w kilku leciech na kilku dzierżawach pracując, do 1,000 dukatów przypędziłem, kiedy ostatnią wioskę od Bielskiego w kordonie cesarskim Dobrowody trzymałem, a potém do Polski przeniósłem się. W czasie różnych dzierżaw moich poznałem się z domem Dzieduszyckich, Koziebrodzkich (od którego wioskę trzymałem); Potockich, starostów sokolnickich; Puzynów, starostów upickich, wszystkich ludzi poczciwych; od Koziebrodzkiego, starosty olchowieckiego, trzymając wioskę Żabokruki, który mnie jak syna swego lubił, pokochaliśmy się z córką jego Franciszką, która mając sto kilkadziesiąt tysięcy posagu, już za młodego Puzynę, mającego obszerną majętność, była zaręczoną. Panna, nielubiąca narzeczonego swego kawalera, dała mi poznać, abym ją wykradł, co pewnie udałoby się, i za wstawieniem się z mojéj strony ludzi zacniejszych ojca panny przeprosić możnaby było.—Ale kiedy on mnie kochał jak syna, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się z zaufaniem dniami i nocami nie bronił, jakże mógłbym go w zaufaniu jego zawodzić, i całém życiem wstydzić się przed ludźmi o czarny postępek mój? Poszła ona potém za tego panicza i była nieszczęśliwą, a Koziebrodzki wkrótce z mojéj niewinnéj przyczyny umarł. Na święty Marcin, w dzień imienin jego, miał wiele gości, między któremi i ja byłem, lubił on czasem pić dobrze; ale ja nie mogłem, tylko zachęcać umiałem; kiedy do czterech godzin u obiadu bawimy, gospodarz urynę przetrzymawszy, wyszedł po czasie na dwór, a nie mogąc jéj zbyć się, hajdukom, którzy go wyprowadzili, jak pijany bez rozmysłu położyć się twarzą ku ziemi kazał, ażeby tak od dołu oziębiwszy się, zbył się ciężaru, a był mróz dobry na święty Marcin, paraliż naruszył niższe części i z stranguryi, po kilku niedzielach umierać musiał, zawsze mi w chorobie swojéj wymawiając, żem zachęcaniem mojém do picia obfitszego choroby jego przyczyną był.



Na końcu dzierżaw moich w Galicyi Żabokruki trzymając, zdziwiłem się, że chłopi tamtejsi mieli także swoję mitologię. Raz z jednym z nich saneczkami przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień, jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, coby znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z córką pracowała na téj łące i kiedy matka najpilniéj robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła, i oto, mówi daléj wieśniak, taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi.—Nie śmiałem się z baśni téj błędnego wywodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale nazajutrz gromady wieśniaków moich znowu o tenże słup pytając, najpierwsi starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu, panie, nie wierzę, bo gdzieżby dziewka tak gruba i tak wysoka była. Dobrowody, wioskę od Bielskiego arendując, miałem sąsiada w Monasterzyskach, starostę halickiego Potockiego, człowieka najpoczciwszego, i żonę jego z książąt Lubomirskich, Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie, a najbliżéj stolnika Piaseckiego, rzadkiéj poczciwości człowieka; temu przed kilką latami pułkownik rosyjski, idący na Turczyna pod Chocim, a słysząc o cnocie jego, dał 3,000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na téj wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda generałowi jego, a drugą sobie weźmie, jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy odda je całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słychać, nakoniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze, odkopawszy z ziemi, oddał. Poczciwy pułkownik, rozkochany w cnocie poczciwego Piaseckiego, czyni mu dar całéj połowy tych-

że pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojéj cnoty nie sprzedaje, i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę, kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złp. nie miał majątku więcéj. Nie widziałem człowieka, więcéj mającego rezygnacyą na wolę boską, jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziły; i zawsze go widziałem wesołego z tém swojém hasłem: „Bóg tak chciał". U żony jego, już jak on dobrze staréj, widziałem pięknąą małą szkatułkę, jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą cztery butelki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem, otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło: miała ten prezent (jak powiada Piasecka), od pani swojéj Sieniawskiéj, u któréj za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę, póty, póki się jéj czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. Mój Piasecki jedynym był w naturalności we wszystkich swoich odpowiedziach.— Już po zabraniu kordonu na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mię potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc sarmatę z wąsami, a niespodziewając się, żeby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał, jak tu wszedł, nie opowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem, że tędy ludzie przechodzą i ja téż przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział; spytany znowu; czegoby żądał, że mnie szukał, sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzéj zbyć tego człowieka nie podług niemieckiéj etykiety. Z tym Piaseckim, który czasami lubił się napić, byliśmy u sąsiada sławnego pijaka, Siemianowskiego, tamże przyjechał z żoną pyszny dyrektor, Niemiec, nasz zwierzchnik powiatowy, i przywiózł z sobą kapitana, pierw zamieszkałego w Polsce, Francuza, który dawniéj był guwernerem panów Potockich, kasztelaniców lwowskich, i który w miasteczku Monasterzyskach jako dyrektor mieszkał. Podpiwszy trochę, zaczęli się ci dwaj bohaterowie Niemiec z Francuzem o jakiś pijany honor przemawiać, a potém przyszło do policzków, gdzie dyrektor i Francuz obalili się na ziemię. My kontenci, tylkośmy krzyczeli, co ichmość robicie, ale umyślnie ich nie rozbranialiśmy, kiedy Niemiec silniejszy wziął pod siebie Francuza, hajduk Siemianowskiego, niby ich rozbraniając, Niemca na spód,



a Francuza na wierzch obrócił, dopiéro nasz Francuz spolszczały, co się w paszczekę niemiecką zmieściło, tyle mu policzków nadawał, że nakoniec my Polacy kontenci, szczerześmy ich rozbraniali, bo już i krew z nosa austryackiego ciec zaczęła. To zdarzenie trochę napotém Niemca upokorzyło, ale wszelako dawał jeszcze tony sobie, i wkrótce przed pokojem będących nas obywateli zrana u niego, wyszedłszy do nas w szlafroku, strofował, żeśmy głowy nakryte mieli; kiedym mu odpowiedział, że kiedy nikogo w pokoju nie było, przed kimże kapelusz zdejmować mieliśmy, on pokazał na portret Józefa cesarza, a ja na jego szlafrok, że także przeciwko respektowi portretu było w szlafroku wychodzić. Ale więcéj mu zrobił mój sąsiad Bobrowski, gdy jadąc w zimie (jak miał zwyczaj zawsze z fuzyą w sankach nabitą) jadący przeciwko niemu z małemi sankami jednym koniem dyrektor, widząc, że się Bobrowski mało tylko co z drogi zwrócił, że mu było (przykro), że czterema końmi jechał, zawołał rozgniewany: na bok szelm Polak! Bobrowski urażony, a żywy, z fuzyi do niego zmierzył: ale, szczęściem Niemca, na panewce tylko spaliło. Była potém o to indagacya i skończyła się na niczém. Lepiéj się jeszcze udało obywatelowi w ziemi przemyskiéj, do którego mając jakąś urazę blizko mieszkający dyrektor dowiedziawszy się, że obywatel miał gości na obiad, którzy się na jego imieniny licznie zjechali, posłał do niego przed samym obiadem kancelistę swojego, ażeby tego momentu u niego stawał; obywatel odpowiedział kanceliście, że podatki cesarskie zapłacił i do niczego się winnym nie poczuwa, a mając gości, porzucić ich nie może, jutro zaś jak najraniéj na rozkaz stawi się; kancelista z odpowiedzią odjechał, a tymczasem goście do stołu siedli; już ku końcowi obiadu sam dyrektor przyjechał, i kiedy wszyscy przy stole powstali, on po czesku umiejący, gospodarza ofuknie: „cóż ty szelm Polak, rozkazów mich ne sluchasz, ja jestem cyzar, bo wosobę jeho tobi rozkazuje, a ty mne szelm ne sluchasz?"— Tysiąc impertynencyj wygadawszy, kiedy skończył, gospodarz przytomnemi gośćmi zaświadczywszy się, jako żadnéj przyczyny do łajania takiego JP. dyrektorowi nie dawszy, napadnięty i zelżony był w domu własnym, kazał ludziom swoim położyć go na ziemi i sto bizunów jemu swoją ręką wyliczył; co także przepadło, jak się w rządzie dowiedziano, że bez żadnéj przyczyny najechany i zelżony był, obywatel wolnym był od procesu, dyrektora zaś z Galicyi do Czech przeniesiono; a takie biednych naszych Polaków czasem opory trochę pychę rządzących Niemców poskromiły, wszelako znęcali się nad nami, jak tylko mogli, i sam cyrkularz do siebie (jako dzierżawca Dobrowód) przysłany taki czytałem: Wszystkim dziedzicom dóbr, dzierżawcom i komisarzom pod kajdanami przykazuje się, aby na dzień wymieniony przed krajshauptmanem stawali. Kiedyśmy za

tym rozkazem przyjechali do Brzeżan, cały interes był: zapytanie się krajshauptmana, czyli też rozkazy cesarskie zachowujemy, rzekł tylko, jedźcież nazad do domów. Takie i tym podobne pogardy naszych skwasiły mi nakoniec życie pod tym rządem pogardzającym Polaka; już myślałem, jakby się z téj niewoli wydobyć jak najprędzéj; trafiło się, że u Witosławskiego, podczaszego, był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznanéj ode mnie Warszawie, wiele o królu, a najwięcéj o domie księcia gienerała podolskiego Czartoryskiego nagadał, jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą robót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą", w jednym tomiku, księciu gienerałowi dedykowałem i tę książeczkę potém przez obożnego Witosławskiego księciu gienerałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy, przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w téjże książce pod tytułem „Sumnienia" dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem, jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczaa jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszemi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp miéć i do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potém w Warszawie poznałem się, z tak tkliwéj opisanéj zgryzoty sumnienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem, kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumnienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślił w Galicyi.

Po niejakim czasie przesłania Zabawek moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewek sukcesyi, na siebie spadłéj po Opalińskiéj, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozwodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u bazylianów poczajowskich, niby w intencyi zostania bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku; ten zaś obrządek takiém zdarzeniem przyjął: Dawniéj jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popełniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypominał sobie religią. — Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiéj, księży misyonarzy, którym



30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zacny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnéj nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczciwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli.— Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcéj rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od bazylianów, ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złot. bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

W kilka lat potém po rozdanych między blizkich sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzińcu bazylianów poczajowskich dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziewek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie téj modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obrażała. Kiedy książę Czartoryski do niego (jak się wyżéj wspomniało) z podziękowaniem pojechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiéj, pod Buczaczem, w dobrach kiedyś swoich, a stamtąd przyjechali obydwa ci panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego, na dwa dni. Nie wiedziałem o niczém w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczerzy czytając książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec, po francusku ubrany, był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniéj mnie poznać żądający, od Witosławskich o pół mili odemnie odległych, przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześnie do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł, bo, jak się powiedziało, i pod Niemcami szumieć nie można było,

a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, oczy jego nawet najdzikszе, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły.—Czekając długo obiadu, do czegom nie przywykł, kiedy stałem przy nim, a garderobiana Witosławskiéj koło nas przechodziła, on rzecze do mnie: wolałbym tę klucznicę, niżeli kiedyś obiad Witosławskiego; kiedy tak się tłómaczył, miał natenczas około lat 70. Ten mój sąsiad dla bawienia wielkich swoich gości, zaprosił i innych sąsiadów naszych, a między wielą Bąkowskiego z piękną żoną jego z Komorowskich, ludzi majętnych i przymuszonych hrabiów galicyjskich, bo zawsze mawiał Bąkowski, że darowałbym był Niemcom 12 tysięcy, co mu kazali, przymusiwszy go być hrabią, zapłacić od przywileju. Poznałem wtenczas skłonność księcia gienerała, że lubił piękne kobiety i cały dzień bawił się z Bąkowską, ale jakiż sposób człowiekowi, mającemu oczy, nie lubić, kiedy co piękne. Książę wyjeżdżając od Witosławskiego, zaprosił mnie do Brzeżan, dóbr ojca swojego, gdzie kilka dni zabawić się miał. Miasto Brzeżany, dawna dziedzina Sieniawskich, po ostatniéj z domu matce ks. Czartoryskiego w dom Czartoryskich przeszło. W tém porządném mieście mieszkał kreishauptman austryacki; późno już przyjechałem do Brzeżan i aż nazajutz z rana księcia widzieć mogłem. Kreishauptman czekał także przed pokojem z inszemi gościami, chcącemi widzieć księcia; ubrany był natenczas urzędnik powiatowy cudackim sposobem: miał w obydwóch lokach włosów przy uszach kwiaty gwoździkowe i takiż kwiat trzeci żuł w gębie; kiedy się książę pokazał, krzykliwym głosem witał go po niemiecku długą perorą. Na co mu książę kilko słowami odpowiedziawszy, i ze mną się najgrzeczniéj przywitawszy, wyszedł na dziedziniec pałacu, gdzie komisarz ojca jego wojewody ruskiego, Daszkiewicz, pokazał mu chłopów kilkunastu w kajdanach, którzy zobaczywszy księcia, na twarz popadali i komisarz powiedział, że to są zbiegowie z dóbr inszych księcia wojewody jarosławskiugo, którzy z żonami, dziećmi i dobytkiem uciekali lasami na Wołoszczyznę, a postrzeżeni w tym komisaryacie brzeżańskim, doniesieni, schwytani są.

Kiedy komisarz tym raportem swoim spodziewa się, że książe generał chłopów zgromi i karać każe, przeciwnie wszystko się stało. Książę chłopom leżącym na ziemi powstać kazawszy, rzecze im: „Kiedy wam pod ojcem moim żyć było ciężko, świat dla was wolny jeszcze, pójdźcie, gdzie tylko zechcecie, ja za was ojcu mojemu odpowiem," a WPan, panie komisarzu, daj z tych ludzi każdemu po dwa talary na drogę. Zdziwili się wszyscy na takie najlepsze serce księcia gienerała, ale chłopi ze łzami wołać zaczęli, nie porzucimy cię, dobry książę, tylko nas przenieść każ z Jarosławszczyzny, gdzie pod tyrańskim komisarzem tamtejszym wytrzymać nam niepodobna. Stało się,



jak oni żądali, i książę swoim kosztem budować ich w brzeżańskim komisaryacie rozkazał. Po tém dziele na wstępie moim do księcia najpiękniejszém, rozkochałem się prawdziwie w tym panu tém mocniéj, im mniéj znałem panów cnotliwych i czujących nędzę ludu ubogiego.

Książę jako także literat, po obiedzie wziął mię do swego gabinetu i czytał mi dzieło swoje w manuskrypcie, świeżo przez niego napisane, o edukacyi płci żeńskiéj. — Jak było to pismo warte, tak szczerze po skończoném czytaniu dawałem mu pochwały, ale wyraz w początku pisma tego, który był taki: „Daruj mi, piękna płci niewieścia, jeżeli co przeciwko tobie w piśmie tém powiem, wszakże kiedy to piszę dla prawdy, taż sama prawda, która jak i wy kobiety, równie niewieściego rodzaju jest, niech was przeprosi;" ten wyraz nie podobał mi się, ażeby w tak poważnéj materyi, jak było pismo to o edukacyi kobiet mieszać obserwacye gramatykalne, że i prawda jest rodzaju białogłowskiego. Zimno to od księcia przyjęto było, że panowie nie przywykli, ażeby im się sprzeciwiać, wszelako najgrzeczniejszym był dla mnie, zawsze przez kilka dni bawienia mego w Brzeżanach, nawet dać mu słowo musiałem, że przyjadę do niego do Warszawy.

Jakem powrócił do domu, moi sąsiedzi winszowali mi łaski księcia, ale mój weredyk stolnik Piasecki nazywał go pogodą marcową, która nie długo trwać mogła. I kiedym ja się do Warszawy zwolna wybierał, on mi bardziéj radził, ażebym z nim jechał w Mozyrskie, gdzie miał swą cząstkę dziedziczną, twierdząc najpewniéj, że tam lud leśny daleko lepszy od ludu warszawskiego.

Tymczasem przyjechawszy do Lwowa, moi przyjaciele radzili mi, ażebym, umiejąc cokolwiek prawa naszego, a nieźle pisząc po łacinie, jak w tym języku wszystkie sądy w stolicy odbywały się, przysiągł na patrona w guberskiéj kancelaryi, co mi zyski wielkie przynieść miało; jakoż Wolański i Dzierzkowski, patronowie, wielkie potém zebrali majątki, bo do milionów poprzychodzili, ale ja ślizką tę drogę jeszcze pod Niemcami odrzuciłem i widząc, że wyżyć mogę, spokojną pomierność nad zyski zgryźliwe albo niesumienne obrać wolałem.

Kiedy jeszcze z drogą warszawską ociągam się, odebrałem list od księcia generała, zapraszający mnie do siebie i ofiarujący mi sekretaryą interesów politycznych przy boku swoim. Zostawiłem dzierżawę moję Dobrowody w ręku siostrzana mojego, bo Piasecki to téż mi doradził, żeby dzierżawy téj nie odstępować, że przyjdzie czas (co mu się zgadnąć udało), że porzucę Warszawę i znowu do Dobrowód powrócę. W téj drodze im więcéj ku Warszawie zbliżałem się, tém więcéj lud prosty wycywilizowany widziałem, nie żeby rozumu naturalnego nad nasze pospólstwo galicyjskie mieli więcéj; ale że mniéj

przesądów; jak naprzykład nikt naszym obywatelom galicyjskim wyperswadować nie mógł o niepewności przepowiedzeń kalendarzów; chłopi zaś tam tak wierzyli w pełnie miesiąca, że wszystkie zachody gospodarskie, które rozpoczynali na pełni, powinny się koniecznie udać. O czarowaniu najuporniéj wierzyli, a tęcza u nich, pokazująca się na obłokach, zawsze pić z rzeki albo jeziora musiała, i dopiero, zbliżając się ku Warszawie, już tam tęcza ani jadła ani piła.

Wjechałem nakoniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P., jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem; po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozum (jak nazywano) obiedzie królowi reprezentowany byłem, który mi powiedział: waćpana sielanki, we Lwowie drukowane, dawniéj go nam zaleciły, kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłómaczenia pięknéj ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłómaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego wkrótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teresy Czartoryskiéj, z któréj okoliczności napisane wiersze moje powszechnie podobały się, a najwięcéj zjednały mi łaski księżnéj, matki téj zmarłéj nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jéj suknie, i mimo przytomnych w pokoju wielu kobiet, z których jedna z przestrachu zemdlona, insze zaś przytomność potraciły, biegając przelękniona, tém bardziéj jeszcze rozżarzała na sobie płomień, przygaszony nakoniec ogień na księżniczce, ale mniéj może z oparzelizny niżeli z przestrachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła.

Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwacha, coby w mieście słychać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś Teresa Czartoryska spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Książę generał podolski już był naznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencyą wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie, zresztą co mi o niéj poczciwi ludzie: Witosławski, obożny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu książęcego, powiadali, potém przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale razem w czynnościach tak słaby, że sam sobie nigdy nie wierzył,



i dlatego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę, gdzie żądał. Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rządnie czyni; pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnemi nabyć można (i toby się bardziéj pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno), drugie sama natura daje, albo umyka. Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo, wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większéj liczbie fałszywych nie naraził. Lubił pochlebców i pozbogacał pochlebiających wtenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma jego chodząc, próżno się wsparcia spodziewał, jako to owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego, potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił, jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał — biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę i osłabiło śluby małżeńskie, a piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie tony większe, niżeli należało, bo każda z nich, wspomniawszy, że była czasem królową, chciała potém zawsze wielowładnie rozkazywać, co tylko przez noc panowała. Rozpusta miasta Warszawy do tego stopnia przyszła, że w mieście tém (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcéj rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całéj. Nawet już w zwyczaj między możniejszemi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się któraby strona rozwodzić chciała, to drugiéj pewną summę płacić obowiązaną była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią i w kilka lat potém sam to słyszałem, jak u siostry swojéj Branickiéj, kasztelanowéj krakowskiéj, będąc, kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiedział: moja siostro, ja w pacierzu szczerze te słowa mawiam i odpuść nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju, pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone, a takiemi drogami idąc, stali się potém nieszczęśliwemi, bo szczęśliwemi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniéj pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dlatego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy: upadam do nóg, całuję nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne i może

nieznane w całéj Europie, które wydając wyniosléj kiedyś duszy Polaka poniżenie, z upodleniem nawet ojczyznę utraciliśmy naszę.

Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia, wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książę Czartoryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionéj śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego nie ma teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek w. k.; takim syn Adam Czartoryski, g. z: p.; Stanisław Małachowski, referendarz kor.; Ignacy Potocki, mar. lit.; Czapski, wojewoda chełmiński; Radziwiłł, kasztelan wileński, i kilku innych. Reszta magnatów podobni do księcia Ponińskiego, podskarbiego koronnego, nie tylko ojczyznę, ale i siebie samych przedawali więcéj dającemu.

Księża po większéj cześci zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony, a naczelnicy ich, biskupi, publicznie trzymając nałożnice, ośmielali niższych, ażeby szli takąż samą, słodką wprawdzie, ale razem najbrudniejszą drogą. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: Szembeka, płockiego; Okęckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoję, nie przyczynili się.

Szlachta po województwach na zawołanie magnatów przedażna, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Stąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się, i ten, który ustawicznie i upadał do nóg i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwéj ojczyznie swojéj

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkiemi sposobami temu zabiegać chciał, szlachcic wszelkiemi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojéj, ale tylko o poprawienie losu swego ubiegał się, i ta miłość dobra własnego sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła, że ten, który najwięcéj ludzi oszukał, pospolicie o nim mówiono: „ma rozum."

Wyjechaliśmy na kadencyą trybunalską do Grodna z Warszawy z dworem księcia ogromnym, którym poczciwy marszałek Borzęcki rządził. Ale książę przed wyjazdem naszym do Litwy pokojowców 12 z saméj pięknéj szlacheckiéj młodzieży pod mój rząd oddał, dawszy mi razem urząd sekretarza interesów politycznych, kiedy kolega mój Zawistowski był sekretarzem interesów ekonomicznych, a trzeci Skowroński zagranicznych. Wjazd do Grodna i rozpoczęcie wkrótce trybunału litewskiego, którego był marszałkiem książę, był najokazalszy, a gości



ilczbę niezmierną niezabawem powiększył bytnością swoją Archetti, nuncyusz apostolski, z Warszawy umyślnie przybyły. Ale nie tém okazałość laski Czartoryskiego słynęła: prócz tego, że był kochanym i szanowanym od obywateli, jako mający w sobie krew dawnych litewskich Jagiellonów, słynął on sprawiedliwością najprzykładniejszą. Ojciec księcia, wojewoda ruski, przegrał sprawę pod laską syna, i na 6 niedziel wieży cywilnéj dekretowany, za co wkrótce ojciec mu napisał list najpiękniejszy, dziękując za tę sprawiedliwość, która chwałą obydwóch będzie, przegrał sprawę kanclerz litewski, Sapieha, przyjaciel księcia, i ten wysoki magnat za uciemiężenie trzech szlachty ubogiéj na niedziel 18 wieży skazany. Tyzenhauz, niedawno despotycznie Litwą rządzący, za wiele gwałtów dekretem upokorzony, upadł i już nigdy powstać nie mógł. W czasie téj laski w Grodnie następujące wiersze napisałem... „Na wjazd księcia Czartoryskiego, na trybunał," „O wielkości Boga i nikczemności człowieka," które jeszcze w manuskrypcie księciu pokazane, bardzo się mu podobały, ale przypisanie ich królowi niemiłém było, bo go nie lubił, dał mi to sam poznać. Wszelako ja w kilka niedziel kazałem z przypisaniem razem królowi wydrukować, co mi zaraz przywiązanie księcia do mnie osłabiło. Napisałem prócz tego: „Głos zabitego do sądu," z okoliczności sprawy w trybunale będącéj, Kaszyca, który zabił synowca swego. Te wiersze na namowie siedzącym sędziom przez Kossakowskiego, deputata kowieńskiego, oddałem, i skutek swój miały; kiedy przekupiwszy większą połowę trybunału, Kaszyc prawie był pewny uwolnienia od wieży, przestrzeżony od przychylnych sobie z Grodna, uciekać musiał winowajca, gdyż na niego ułożona była kaptywacya — i wiersze prócz wyższych okoliczności z czasów Czarnieckiego, które książę wielu fircykom często czytywał, wykwintnie ubranych, upokarzał. — Podczas téj kadendyi sądzeni byli na gardło dwóch szlachty, którzy napadłszy w lesie obywatela, w nadziei zastania u niego pieniędzy (na czém się oszukali), zabili go. — Jeden z tych winowajców zmierzywszy do obywatela, na panewce mu tylko pistolet spalił, ale drugi wystrzelił i zabił, wszelako obydwa na ścięcie głowy przez kata dekretowani; kiedy ich zawołano do słuchania na siebie dekretu, żal nam było jednego z tych winowajców, młodego człowieka, pięknego z oblicza, a był ten, który nie zabił, książę żałując także tego młodego człowieka, umówili się z deputatami, że odmienili wyrok na niego i tylko więzieniem do śmierci w Kamieńcu podolskim, chcieli nie żeby tam zamkniony w katuszy siedział, ale tylko żeby za bramy fortecy nie wychodził; książę zaś przyjął na siebie odziewać go i żywić do śmierci najwygodniéj. Nazajutrz posłał mnie książę do więzienia winowajców, ażebym jednemu z nich opowiedział litość księcia nad nim i trybunału; zdziwiłem się, że żadnym sposobem namówić się na to

nie dał, ażeby się przy życiu utrzymał,' skutek to był pewnie religii, bo już był przygotowany przez księży na śmierć, i na wszystkie moje przekonywania go, zawsze mi jedno odpowiadał: ja grzechy moje we krwi mojéj obmyję; drugi zaś winowajca ciekawie mnie wypytywał: „czy też o mnie co także książę nie wspomniał," i widać było, że gorąco życia swego pragnął. W dniu naznaczonym, kiedy ich na plac śmierci prowadzono, ten pełen religii winowajca nie szedł, ale biegł do śmierci, że kat aż go musiał zatrzymywać i prosił, ażeby pierwéj przed swoim towarzyszem był ścięty, co się i stało.

Między inszemi, z któremi się w Grodnie zaprzyjaźniłem, był Zalewski, wojski litewski, człowiek najwymowniejszy w Litwie; drugi był Karol Prozor wojewodzic witepski, a tego charakter serca najlepszy i przywiązanie do swojéj ojczyzny, o nim niżéj jeszcze namieni się.

Po 10 miesiącach naród cały na drugą kadencyą trybunalską przeniósł się do Wilna, która zaczęta z największą i powszechną wesołością, ku końcowi smutniejszą była, z przyczyny śmierci księcia wojewody ruskiego, ojca księcia marszałka.

Nie widziałem syna czulszego na śmierć ojca, jak był książę, rzewnie, niczém nie pocieszony, kilka dni płakał; kobiety nawet, które lubił, pocieszyć go nie mogły, bo z niemi i gadać nie chciał. Tak w przywiązaniu do ojca skłonność moeniejsza była nad podniety natury saméj. Kiedy on mnie posłał z doniesieniem téj smutnéj nowiny podług etykiety do znaczniejszych w Wilnie wtenczas mieszkających, przyjechałem do domu pięknéj i młodéj pani, z domu Radziwiłłównéj, a tę zastawszy z odkrytemi zupełnie piersiami, które zasłonić, zobaczywszy mnie, nie chciała, smutny do niéj od księcia zacząwszy komplement, roztargniony pięknemi piersiami, skończyć go nie umiałem; tak to znowu żal cudzy nie miał tyle siły, żeby się oparł wzruszeniu piękności obaczonéj. — Tą kadencyą prócz surowéj sprawiedliwości, wszędzie zwyczajnéj księciu, wsławił się wzięciem w areszt księdza złoczyńcę Ogonowskiego. Był ten zbrodniarz urzędnikiem województwa wileńskiego, koniuszym, miał żonę i dzieci, po któréj śmierci, bardziéj się jeszcze wylał na kryminały, kradł, rozbijał, oszukiwał, aż wreszcie do sądów szlacheckich pozwany, na śmierć przez kata osądzonym został. Uciekł z więzienia kilką dniami przed egzekucyą, za biskupa wileńskiego wdaniem się przez biskupa żmudzkiego na księdza w kilku dniach poświęconym został, bez żadnych poprzedzonych zwyczajnych do stanu tego przygotowań. — Zdało się Ogonowskiemu, że, jako kapłan, wolnym już będzie od miecza katowskiego, na który był dekretowanym, ale książę na kadencyi wileńskiéj złoczyńcę łapać kazał, i dowiedziawszy się, że w Wilnie na Antokolu u trynitarzy skrycie siedzi, klasztor kilkuset żołnierzom opasać kazał, nikogo nie wypuszczając, że wreszcie Ogonowski tamże dostany, pod



areszt do pałacu księcia sprowadzony był. — Nazajutrz sprawę jego przez trybunał rozważono i sędziowie wszyscy zgodzili się, żeby według dawnego wypadłego na niego dekretu wileńskiego przez kata śmierć poniósł.

Kiedy tak trybunał umówił się, po obiedzie dwóch sufraganów od biskupa wileńskiego do pałacu księcia przyszli i imieniem biskupa swego oświadczyli księciu, że ponieważ aresztowany Ogonowski jest istotnie kapłanem, a zatém zwierzchność świecka nie ma żadnego prawa z nim postępowania daléj, i jeżeli wydanym swojemu biskupowi nie będzie, klątwą księciu i trybunałowi pogrozili.

Książę sufraganom krótko odpowiedział: że klątwa Ogonowskiemu życia nie powróci, kiedy jutro na śmierć dekretowanym będzie; ale nazajutrz znaleźliśmy księcia odmienionego, bojąc się, ażeby król, nie lubiący go i od niego więcéj nie lubiony, zniósłszy się z księżą, jeżeliby ta egzekucya do skutku przyszła, nie narobił mu kłopotu i kosztów wiele, namyślił się odesłać tę sprawę do Warszawy, jakoż wkrótce biskup łucki Turski i kilku z nim księży assesorów do téj sprawy naznaczonych, przybyli z Warszawy i Ogonowski na więzienie tylko do śmierci u kartuzów w Berezie osądzony; ale niżeli on z Wilna wyjechał, kazał mu trybunał złożyć stan majątku swojego, z któregoby przez niego pokrzywdzeni zaspokojonemi być mogli.

Zdziwiono się, kiedy pokazał skrypt księcia Massalskiego, biskupa wileńskiego, który takim sposobem i obrotem ten zbrodniarz u siebie zatrzymał: po ucieczce z więzienia (jak się wyżéj rzekło) przybiegł do biskupa wileńskiego, ażeby go na księdza poświęcił, — kiedy już inszego sposobu ratowania życia nie było,—a za to obiecał biskupowi wrócić skrypt na 160,000 złt. pożyczonych u Ogonowskiego, i tenże skrypt oryginalny biskupowi pokazał, i zaraz go w zanadrze schował; dał się uwieść biskup, obiecując mu pewnie wyświęcić go na księdza, a Ogonowski, mając drugi podobno zwiniony i z wierzchu zapisany papiér, już na to przygotowany, dobył z zanadrza papiér fałszywy, i w oczach biskupa na palący się ogień w kominie rzucił a skrypt prawdziwy schowany, potém przed sądem złożył.

W czasie téj kadencyi na dzień urodzin księcia Czartoryskiego „o powinnościach obywatela," napisane odemnie do niego wiersze, zjednały mi łaskę jego, że ze mną nie już jak z swoim sekretarzem, ale jak z przyjacielem najpoufaléj postępował, w najliczniejszych u siebie zgromadzeniach najgrzeczniéj ze mną rozmawiając, co zaraz (jak pospolicie bywa) i przytomnych grzeczność dla mnie obudziło, że kiedy odemnie książę odstąpił, wnet pierwsi obywatele ze mną bawić się chcieli.

Nie długo jednak ta moja trwała uroczystość, przyszła z Warszawy mowa drukowana, którą król miał na rozpoczęciu towarzystwa

ksiąg elementarnych. Ja późno przyszedłem na pokoje, że ta już mowa czytaną była i przytomni za zdaniem o niéj księcia, że była najgorszą, wszyscy ją najgorszą uznali. Wchodzącego mnie do pokoju, książę okrzyknął: otóż sędzia przyzwoity: patrz, jaką to mowę król miał do towarzystwa. Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia, coby mi się zdawało, odpowiedziałem: (jak mi się zdało) że była dobrą. Książę się odwrócił, a faworyt księcia, sekretarz Skowroński, przybiegł do mnie i rzecze: bój się Boga, książę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwalisz? Odpowiedziałem mu, że ja lubię mówić, jak myślę. To zdarzenie oziębiło do mnie księcia, który kiedy już ze mną tak poufale, jak dawniéj nie przestawał, i wszyscy téż mnie porzucili, że ledwie słowo kto do mnie przemówić chciał. Tak w duszy mojéj żałowałem księcia, że będąc ze wszech miar cnotliwym, lubił wszelako, ażeby mu pochlebiano, ale nie żałowałem siebie, że chociaż prawdą idąc na świecie, jak mnie konający ojciec przestrzegał, nie poprawiłem losu mojego, przynajmniéj spokojności mojéj wewnętrznéj nie zamieszałem.

Między wielu obywatelami litewskiemi, z któremi w Wilnie poznałem się, był pan starosta wileński, człowiek ze wszechmiar zacny, którego nigdy niczém nieprzełamanéj cnocie winienem to wspomnienie, ale poznałem tam i kolegę w sztuce poezyi, księcia koniuszego litewskiego Radziwiłła, który mnie marnemi wierszami swojemi nietylko w Wilnie najczęściéj nudził, ale po 2 leciech rozstania się naszego, swoich wierszy mnóstwo aż do Galicyi, gdzie już mieszkałem o 130 mil od niego, przysłał i za każdym razem wydatku na pocztę po kilkanaście złotych przyczyną był.

Skończyła się nakoniec kadencya wileńska, i książę pierwéj a potém my dwór, powracając do Warszawy, i przez Litwę jadąc, poznałem się z tobą, najcnotliwszy człowiecze, Janie Stryjeński, szefie byłéj gwardyi konnéj litewskiéj; on powierzchownie nie pokazuje téj cnoty, któréj pełen, bo ją pokrył farbą zwyczajną świata, ażeby go tak nie uważano, majętny a skromny, niby groźny, a litośny, nieżałujący potrzebnego wydatku, nierozrzutny, robiący wiele dobrego, nigdy o tém nie mówiący, oto twój obraz, zacny mój przyjacielu.

Na sławę cnót tego człowieka, starałem się z nim poznać i umyślnie do domu jego do Czarnołuż w Brzeskiém przyjechałem, gdzie najlepiéj przyjęty, kilka dni bawiąc się, znalazłem więcéj, jak o nim powiadano dobrego, bo tego umyślnie szukałem. W domu tym bawiąc, jedna obywatelka z przytomnych gości, rozśmieszyła nas przesadném gadaniem swojém; z téj okoliczności szef Stryjeński powiedział mi o przesadném tłómaczeniu się w sąsiedztwie jego przed 10-cią latami zdarzoną anegdotę następującą: Obywatelka Rdułtowska, wdowa, prosiła rektora szkół słonimskich, ażeby jéj kogo zdatnego do edukacyi dzieci w domu na dyrektora przysłał. W kilka niedziel przychodzi w czasie obiadu wysmukły, nieźle ubrany młodzieniec, pani domu nie znając go, prosiła, ażeby zjadł obiad; odpowiedział: „jadłszy"; prosi ażeby kieliszek wina wypił, odpowiedział „piwszy"; prosi nakoniec, ażeby usiadł, odpowiedział „siedziawszy"! przychodzi jéj na pamięć, czy to nie będzie ów dyrektor ze Słonima, szkolarz, kiedy go jeszcze zapyta, czy nie ze Słonima przyjechał waćpan? Tak jest, przysłał tu mnie ksiądz rektor słonimski, ażebym się z jejmością postanowił na dzieci.



Powróciwszy do Warszawy, wydałem „O wymowie w prozie albo w wierszu", które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisyi edukacyi, ażebym według prawideł, w témże mojém piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę, dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisząc to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz Grzegorz Piramowicz, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do téj pracy wezwania, kiedy i insi za nim do mnie interesowali się. Czekano wydania książki Piramowicza, więcéj dwóch lat, a potém wyszła w samych cytacyach autorów, jak dawnych tak i późniejszych, bez wytknięcia w niéj uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziéj, te i tym podobne pożyteczne wyłuszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była dużą. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi darował myśl moję, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało, ażeby była krótsza.

Książę oddał mi do zawiadywania bibliotekę swoję sławną w Warszawie, a mając pod rządem swoim 12 pokojowców, z niemi we dwóch tygodniach skończyłem ułożenie jéj, porządkiem najlepszym, z napisaniem katalogu tych ksiąg porządnego, ale według pokazanego mi dawnego katalogu, wiele ksiąg nie dostawało najbardziéj środkowych tomów, Voltaira, Roussa, encyklopedyi, co kiedy książę odemnie usłyszał, sekretarza Skowrońskiego sfukał publicznie, a ten faworyt pański urażony na mnie, gdy książę wyszedł, rzecze mi ostro: „nie wszystko to, kochaneczku, przed panem na nogi stawać." Jam go publicznie z tym wyrazem kochaneczku do lokajów odprawił, z któremi te konfidencye miéć może, a ja takich jak on nigdy nie będę kochaneczkiem. To moje ostre obejście się z faworytem przyczyną było, że i książę, za jego poszeptaniem, ostygł pomału dla mnie, i tak ja po-

wiedziawszy, że Skowroński książki potracił, straciłem łaskę księcia, a Skowroński, że je w saméj rzeczy potracił, został się przy niéj i poznałem to wkrótce, że mnie się zbyć chciano, gdyż raz mi książę powiedział: „Kiedy powrócisz do swojéj Galicyi, cóż tam będziesz o Warszawie i domu moim gadał?" — Będę gadał, że książę nie ma żony. Jakto? odezwie się książę. Oto (odpowiedziałem) więcéj roku bawię w domu księcia, zdaleka mi tylko pokazywano i powiadano mi, że to księżna, ale ani u stołu nigdy nie była, ani ze mną, ani z nikim z naszych gadającéj jéj nie widziałem.

Nazajutrz pokazała się księżna i z pół godziny ze mną rozmawiała; winszowano mi téj łaski, kiedy ta pani pełna rozumu, znajomości świata i wielkich talentów muzyki, śpiewania, w tym czasie nie chciała się ludziom udzielać i w osobności największéj żyła po śmierci okropnéj, Teresy córki swojéj. W tym roku książę obranym był (jak chciał) posłem z wileńskiego na sejm, gdzie jak prawdziwy obywatel stanął między posłami; dany raz był u księcia wielki obiad dla wszystkich senatorów i posłów litewskich, na którym poznałem pierwszy raz księcia wojewodę litewskiego Radziwiłła; pan ten przyjacielem był prawdziwym narodu i szlachty, a nie magnatów, o których wiedział, że za pieniądze rosyjskie kupieni, wszystko przeciw ojczyznie zrobić byli gotowi. Dobrze on zawsze trzymał o Czartoryskim, dlatego na ten obiad w tłumie inszych Litwinów przyjechał. Czyniono mu pierwsze honory jako pierwszemu senatorowi litewskiemu, o co on zdawał się nie dbać, i kiedy po obiedzie księżna na pokoje z nim przyszła i razem dam wielki orszak, kędy obaczywszy go kobiety, księżna go zapytała: jak też wiele rzeczy kosztownych i ciekawych mógł wywieść z zagranicy, tak długo tam bawiąc się? Krótko odpowiedział: „wywiózłem z zagranicy klejnoty, od których ledwie mnie tu felczery uwolnili." Zaraz go damy wszystkie poporzucały, a mężczyzni otoczywszy go, bawili go, jak mogli. Lubił on niezmiernie zmyślać, powiadał nawet wtenczas, ze koresponduje z Russem i Wolterem, i kiedyśmy mu powiedzieli, że już oni dawno pomarli, odpowiedział: zapewne listy na poczcie zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem. Chociaż w niewinnych rzeczach wojewoda wileński zmyślać lubił, ale oddawał sprawiedliwość każdemu, prawdziwą drogą idącemu. I tak, kiedy książę marszałek trybunału lit., Czartoryski, poksiężonego Ogonowskiego złapał i więził, biskup wileński rozgniewawszy się o to, wyjechał z Wilna, i w Nieświeżu u księcia Radziwiłła bawił natenczas, kiedy na święty Karol, w dzień imienin księcia, przyjechał od Czartoryskiego dworzanin z winszującym listem tamże do Nieświeża, publicznie u stołu dawał pochwały Radziwiłł Czartoryskiemu z najprzykładniejszéj pod laską jego sprawiedliwości. Nie mógł znieść tych pochwał Massalski, biskup, jako nieprzyjaciel Czartoryskiego i rzecze: jakaż to sprawiedliwość, pomazańca bożego gwałtownie i bezprawnie chwytać i więzić? Radziwiłł na to: „jabym i biskupa powiesił, gdyby był takim złodziejem jak Ogonowski."



W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiéj z Kniaźninem, który dawniéj był sekretarzem u księcia a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale często szkolnéj przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcéj prostéj a tkliwéj natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniéj przed Rzymianami Grecy, albo za czasów starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojéj Kniaźnin i tym sposobem napisał: „Żale Orfeusza nad Eurydyką," które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyć by można.

Bywał często w domu książąt Józef Szymanowski, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego i pięknych jego poezyj, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił. Nikt nadto nie pochwali grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutéj Warszawie obyczajów jego nieskażonych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się książęciu Czartoryskiemu, ale i cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżegania osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że książę wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszéć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między inszemi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkiem, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował mi pensyą; a po skończonym 4-roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał; żal mię objął, że stracę ulubionego pana, księcia Czartoryskiego, i odmówiłem Sanguszkowi.

Książę Czartoryski zdawał się być kontent, kiedym mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potém książę proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniéj prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowéj marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniéj zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał; ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań na-

zywano, i która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszém każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powié: to dziecię sierotą, bez ojca, matka jego niewiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie wezmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami téj najzacniejszéj pani, przyjąłem obowiązek zatrudniania się formowaniem serca i dozorem nad edukacyą Romana Sanguszki, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całéj Warszawie chłopca, przy znacznéj pensyi rocznéj, a po 9-ciu leciach, wsi do 10 ciu tysięcy czyniącéj dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do staréj Sanguszkowéj pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie za zastawszy, że był u księżnéj żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niéj nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną jeszcze leżącą, a księcia przy niéj kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chléb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu rozpłakawszy się, powiedziałem: nie tylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jako winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojéj śmierci żyć chciałem. Rzucił się książę do mnie i z uczuciem rzecze: toż się u mnie zostań, z całego serca proszę. Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowéj i zapłakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem Kazimierzem Sapiehą, jenerałem lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowéj i wkrótce potém przeprowadziliśmy się do konwiktu warszawskiego księży pijarów, gdzie z inszemi kawalerami pod rektorstwem najzacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a jam tylko obyczajów swoich i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mojego u pijarów, musiałem pokochać się i przywiązać się do śmierci do samego rektora Stadnickiego, kiedy on w tych kilku dniach tak mi zaufał, że mi się najotwarciéj zwierzył w najtajemniejszych serca skrytościach.

Zdziwiłem się na tak pochlebne dla mnie zaufanie i tak przywiązałem się do niego, że nic nie mogło potém rozerwać związków naszych. Wszelako nie byłem ja tak otwartym dla przyjaciela, jakem go dla siebie widział, bo uważając często, że najtajemniejsze rzeczy na kogoś głośno powiedział, bałem się powierzać mu wiele moich sekretów, ażeby to, co tajne być powinno, rozgniewany kiedy nie rozgłosił; wyjeżdżając z Warszawy, nigdy się z nim nie żegnałem, bo raz przy pożegnaniu myśl mi przyszła okropna, że jego już może nie zobaczę; rzewnie rozpłakałem się; widząc, że i on płacze, powiedziałem mu łez moich przyczynę, na co on rozrzewniony, rzecze: właśnie



toż samo i mnie na myśli. Już zawsze potém, kiedy mi wyjeżdżać przyszło, o czém inszém z nim i z drugiemi rozmawiając, nieznacznie wyszedłem i odjeżdżał. Znowu po powrocie i obaczeniu się z nim, łzy zawsze były radośne i rzecz dziwna, jak to był w swojém przywiązaniu człowiek najżywszy, kiedy czasem z drogi jakiéj powróciwszy, ucałowany od niego ze łzami, po godzinie bawienia się z nim, znowu mnie nanowo ściskał i całował; był to ksiądz dobrego urodzenia i najlepszego sposobu myślenia. Dom jego zacny w Krakowskiém i Sandomierskiém, dawał tyle najlepszych posłów na sejmy i obywatelów w narodzie, król z prymasem chcieli mego Stadnickiego zrobić biskupem, ale on śmiało odpowiedział: że przysiągł Bogu być pijarem do śmierci; zostając pijarem, majątek swój więcéj dwumilionowy synowcom swoim rozdał, a jednemu z nich znacznie więcéj oddawszy, przyłączył obowiązek, ażeby mu co rok 60 dukatów na małe potrzeby do śmierci dawał, i skarżył mi się ksiądz Stadnicki, że tylko niewdzięczny kilka lat mu wypłacał, a kilkanaście już nic mu nie daje, lecz miał że wstydzić siebie pozwami niewdzięcznego synowca? — Z księciem Romanem trzy razy na tydzień u księżnéj, babuni jego, na obiadach być musieliśmy, i rozruchy przez trzy dni najludniejszego w Warszawie domu tego wybijały dziecięciu z głowy, czego się trochę nauczyć mógł przez cztery; ciężko zaś było uprosić u księżnéj zmniejszenia bawienia się u niéj dla przywiązania wielkiego, które miała do dziecięcia. — Król na obiadach u niéj bywając, często i mnie tam z dzieckiem zastawał. Raz na świętą Barbarę, w dzień imienin staréj księżnéj, Romanio na powinszowanie cztery wiersze babuni powiedział:

„Wtenczas, kiedy będę stary,
Babuniu, w święto Barbary
Powiem ci: wyszło na moje,
Otóż my starzy oboje".

Król przytomny wziął go na ręce i jeszcze sobie też same wiersze powtarzać kazał; ta powszechna miłość wszystkich dla dziecięcia tego, to pieszczenie babki i matki, te niższych ludzi dla niego względy, nazywanie go powszechnie księciem, a podlejszych go nawet w ręce całowanie, do tego nadawszy mu księżna rzeczy wiele bogatych, jako to: zegarków dwa kameryzowanych i pierścionków drogich kilka, zepsuli tak dobre dziecię, że w konwikcie nie widząc u innych dzieci, których było 85, nic podobnego, zaczął się w pychę podnosić, i raz mi powiedział, że między kolegami jeden tylko był mu równy, książę Jabłonowski; naprózno mu o równości obywatelskiéj w Polsce gadałem, na nic się nawet nie przydało, że powie-

dziawszy babce o jego pysze, która mu te zegarki i pierścionki poodbierała. Kiedy potém w krótkim czasie w dniu rekreacyi i do jego pokoju na bawienie się po kilka dzieci równego z nim wieku przychodziło, on tych wszystkich swoich kolegów to lokajami, to furmanami nazywał, a inszych kolegów swoich, chcąc niby uczcić, dworzanami swojemi robił.

Kiedy nic nie pomogło po kilka razy strofowanie, oto i sposobu inszego nie było, umówiłem się z prefektem konwiktu, ażeby, kiedy Romancia poślę umyślnie w dniu rekreacyi do sal niższych, dla bawienia się razem z inszemi dziećmi, żeby go namówionych kilku chłopców, jak będzie sobie tony dawał, byle nieszkodliwie, wybili. — Stało się wkrótce i przybiega do mnie na górę rozpłakany Romancio, pokazując czerwone plamy po szyi i po ręku, skarżąc się, że go okrutny (jak mówił) Jałowicki tak wybił; spytany, za cóż to wybił, odpowiedział mi, że mu żartem dał szczutka; wtenczas dopiero napominać go zacząłem: „widzisz, Romańciu, więcéj jest szlachty w Polsce, niż książąt, otóż cię szlachta za pogardę swoję wybili; szanuj ich, a będziesz od nich szanowany". Odtąd z najlepszą zgodą i uszanowaniem dla kolegów swoich był zawsze i tém téż bardziéj do niego przywiązałem się, że mi nawet toż przywiązanie szkodliwém było.

Raz z jakiéjś niestrawności, czy inszéj przyczyny, rozchorował się; doktór Zanieli, rocznie płatny od babki dla niego, przyszedłszy, znalazł w nim małą jakąś gorączkę i lekarstwo przysłał. Nazajutrz znalazł doktór dziecię lepiéj się mające, i kiedym go zapytał, co jeść może, rosół i zraz pieczeni cielęcéj pozwolił; kiedy tę porcyą dziecię podczas obiadu zjadło, prosi mnie o drugi taki kawałek pieczeni; dałem mu, co chciał, aliści ku wieczorowi daleko bardziéj rozchorował się; sprowadzony znowu doktór, chociaż przyczynę słabości niekoniecznie na drugi kawałek mięsa dziecięciu odemnie pozwolony zwalał, i niebezpieczeństwa żadnego nie widział, przecież ja gorzko sobie wymawiałem, że może Romańcia mojém mu pozwoleniem jedzenia więcéj jak kazano, zgubię. — Dziecię nazajutrz zupełnie zdrowe było, a ja kilka dni chorowałem, tak mnie osłabiło zmartwienie moje. Do téj szkodliwéj dla mnie słabości przyczynił się jeszcze niesmak niewoli, żem to miejsce przy Romańciu po roku skończonym porzucić zamyślił. — Nie miałem dla siebie godziny wolnéj, tylko wtenczas, kiedy dziecię dwie godziny zrana i po południu bawiło z inszemi na wspólnych lekcyach w salonach, a nie chcąc nigdy z nikim zostawić go przez bojaźń, ażeby go kto nie zepsuł, tak ustawicznie będąc niespokojnym, może aż nadto w doglądaniu mojéj powinności, zacząłem nawet niszczéć.

Po skończonym roku, mimo największego nalegania babki, matki i króla, ratując zdrowie swoje, porzuciłem Romańcia; wspólnie z dziec-



kiem płakaliśmy, a on mnie ściskając za szyję, przy pożegnaniu mówił: „oj będąż mnie teraz pijarowie bili, jak drugich, oj będą!" — Żal mój wszelako z opuszczenia tego dziecięcia nie był tak mocny, ażebym przełamał wstręt mój od téj niewolniczéj, a nad wszystkie inne najwięcéj po człowieku wymagającéj funkcyi guwernera, kiedy po kilku leciech znowu w toż samo nieszczęście wpadłem. W czasie bawienia przy Romańciu, proszony byłem od księcia Czartoryskiego, ażebym z témże dzieckiem, bardzo lubioném także od księcia, bywał w domu jego i żeby wcześnie Romańcio przywiązywał się do dziecka także, księżniczki Zofii Czartoryskiéj, którą, jak mówił książę, na żonę mu naznacza; przyjechawszy do pałacu Czartoryskiego, Romańcia zostawiłem w pokojach księżniczki Zofii, pod dozorem jéj guwernantki Madame *Petite*, a ja tymczasem chodziłem do księżniczki starszéj, z którą dla wprawienia jéj w język polski, tłómaczyłem książkę: Ogrody, przez *L'Abbé Delille* napisaną. — Dwa razy na tydzień dawałem księżniczce Zofii prawidła pięknego pisania w języku polskim; to było powodem, żem z tą najzacniejszą panną tłómaczył na język polski poema Delilla o Ogrodach, w którém wytłómaczywszy prozą, co było uczące prawideł ogrodowych, co w nim poetycznego znalazłem, oddałem potém wierszem polskim. Raz powracając od księżniczki starszéj do pokojów guwernantki, aż ta powiada mi śmieszne zdarzenie, jak zastawszy dziecko księżniczkę leżącą twarzą do pościeli, z tyłu obnażoną, a Romańcia dającego jéj niby enemę; tak małpy, dzieci co widziały, naśladować lubią, i chłopiec z dziewczyną tak postępować chciał, jak niedawno doktór z nim sprawił się.

Przy Romańciu będąc proszony od księcia prymasa, prezydenta na ten czas komissyi edukacyjnéj, napisałem mowę na rocznicę zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem, którą potém w zgromadzeniu wielu gości, gdzie był i sam prymas, w konwikcie pijarskim czytałem. Przed wyjazdem z Warszawy, byłem na pożegnaniu u księcia Czartoryskiego, który chociaż był przekonany, że do niego byłem przywiązanym i w domu jego swobodniéj, jak przy Romańciu żyłbym zapewne chętniéj, wszelako, aby mię zatrzymać, nic mi nie mówił.

Przed wyjazdem z Warszawy byłem u księżnéj Sanguszkowéj staréj na pożegnaniu, która mimo mego oddalenia się od jéj wnuka, zawsze mię lubiła; bawiła wtenczas w Szymanowie, dobrach swoich pod Warszawą. — Tam między osobliwościami w gabinecie ciekawości pokazywała mi bałwanek czyli bożyszcze chińskie z kilką rękami miedziane i wewnątrz dęte, gdzie w nich były i pisma chińskie (podobno ich modlitwy) chowane; téj osobliwości dostała od gienerała rosyjskiego, który wojując z Chińczykami, dostał od nich tego bałwanka, ale razem tenże gienerał wziął tam od nieprzyjaciół i chłopca Chińczyka, którego potém razem z tym bałwankiem księż-

néj darował przed 20 tu latami. Chłopiec ten z czasem ożenił się z praczką księżnéj i był u niéj leśniczym blizkiego lasu Szymanowa; kazała go na prośbę moję zawołać, i poznałem z twarzy jego podługowatéj, nosa wklęsłego i ócz wązko pod powiekami otworzonych, że mógł być Chińczykiem; bądź teraz waćpan pewien (rzecze mi księżna), bo i mnie jenerał rosyjski zapewnił, że ten Chińczyk jest z familii cesarzów tamtejszych, chłopcem będącą w obozie swoim, od Rossyanów w niewolę zabrany, i niemasz nic niepodobnego, że to w saméj rzeczy być mogło, bo przy panującém wielożeństwie w Chinach, familia cesarska tak jest rozrodzona, że jéj kilkanaście tysięcy liczyć można.

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzyletniém bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojém między panami, żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blizko 80 dukatów straciłem na porządniejsze na wielkim świecie utrzymywanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa, Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. — Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jéj stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazyą wierszów, które napisałem pod tytułem: „Powrót z Warszawy na wieś"; a te na niemiecki język wierszami przetłómaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi, zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać się do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego stanąłem u pijarów, który mnie ze łzami radośnemi witał. Najpierwéj poszedłem do Czartoryskiego, który mię dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „Powrót z Warszawy na wieś" opisał, odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? — Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniéj moje wiersze „Powrót z Warszawy na wieś", i tak mnie obaczywszy, ze łzami radośnemi wita: „cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał?" — odpowiedziałem: „właśnie to samo, że nic nie zrobiła". Król zagadał mnie czém inszém, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historyi galicyjskiéj; ledwiem zaczął mówić o zabraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją, pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze", to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniéj, w trzech minutach sam się zostałem. — Wtenczas jak obudziny, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich odemnie. Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił, jak myślę, a potém bawienie się moje zawsze między równemi, między któremi przywykły mówić, co myślę, były przyczyną téj mojéj niedworności, która mi, i u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po niejakim czasie król trafił na surowszego jeszcze weredyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek Najśw. Panny Loretańskiéj, wielu pobożnych srebrnemi wotami wzbogacony. Król wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym bernardynom: „a moi ojcowie, słyszałem, że tu wiele sreber mieliście, a teraz żadnego votum nie widzę?" Nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek przed nim wyrwał: „niemasz sreber, nie było i nie będzie!" Król rozśmiał się i odjechał. Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka o porywczość w głupiéj odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „kiedym źle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali".

Bawiąc w Warszawie, prócz dawniejszych znajomości, poznałem się z panią krakowską Branicką, siosrą królewską, która mnie uprzejmie w domu swoim przyjąwszy, trzy razy na tydzień: w niedzielę, we wtorek i czwartek na obiady zaprosiła, w których dniach, że i król u niéj bywał na obiadach, znowu mnie nadzieja opanowała, że widując tak często króla, za wstawieniem się siostry jego, będę mógł los mój poprawić. — Kiedy raz na obiedzie u niéj przed królem kłamca jeden u stołu siedzący, a faworyt królewski, niepodobne rzeczy za prawdziwe udawał, powiadając między inszemi, że w Anglii wynaleziono perspektywę, przez którą w noc najciemniejszą o 3 mile na morzu widzieć można okręty, albo ląd blizki, i długo takie baśnie udawał, ja zaś cały obiad milczałem; król do mnie rzecze: czemuż dziś nic nam nie mówisz? odpowiedziałem: ja tylko prawdę chciałbym mówić, a prawd daleko mniéj jest jak fałszów, dlatego téż i mniéj gadam.

Pani krakowska wyjeżdżając na letnie 3 miesiące (jak zwyczajnie robiła) do Białego Stoku, i mnie prosiła, ażebym tam za nią przyjechał. — Przyjęty byłem w tém jéj mieście z grzecznością od niéj największą, że nawet w oczy to drugich uderzyło, a jam sobie pomyślił, „ja chleba potrzebuję, nie honorów"; ta pani chociaż mi nic nie wyświadczyła, i tylko mnie nadzieją zawsze uwodziła puszczenia mi dóbr Orli, koło Białego-Stoku, żem uwiedziony 4 roki na letnie miesiące przyjeżdżał, dla bawienia jéj, do Białego-Stoku, wszelako za jéj grzeczności największe dla mnie wdzięczny byłem i najwięcéj za to, że mnie odwiodła od zaślubienia jednéj wdowy, z którą zapewne byłbym najnieszczęśliwszy, i do któréj już wyjeżdżałem dla kończenia z Białego-Stoku, a tu pani gwałtem mnie przytrzymała, kazawszy konie i pojazd mój pozamykać. W czasie bawienia jednego lata u Pani krakowskiéj przyjechał do niéj Marcin Badeni; szambelan królewski, co do dóbr ekonomicznych plenipotent gieneralny. Ten prawdziwie poczciwy człowiek podobał mi się pierwszego dnia poznania go z roztropnych w mowie odpowiedzi, ale nazajutrz z duszy swojéj wspaniałéj i dobroczynnego ze mną obchodzenia się. Od dwóch dni dopiero poznany odemnie, wziął mię na stronę i zapytawszy, po co bym tu corocznie do Pani krakowskiéj na lato przyjeżdżał? kiedy mu odpowiedziałem: że mi dobra swoje Orle wypuścić obiecała i to mnie przy niéj utrzymuje; rzecze mi zająkliwie Badeni: Pany o sobie tylko myślą, u WPan myśl także o sobie; teraz puszczają się na licytacye klucze dóbr ekonomicznych, WPan wybierz sobie w Grodzieńskiém klucz który jeden, a bez żadnéj licytacyi stałym i zyskownym dla niego kontraktem będzie mu puszczonym. Zdziwiłem się nad dobroczynnością dla mnie od dwóch dni poznanego człowieka, i uściskawszy go, kiedy mi pokazał rejestr kluczów królewskich w Grodzieńskiém, wybrałem z wiadomości cokolwiek o tych folwarkach, a do tego i z jego rady klucz Suchodolina nazwany, który wkrótce objąłem na siebie sześcioletnim kontraktem i z którego prócz życia i ekspensów innych domowych najmniéj 200 dukatów zebrać mogłem na rok. — Ten mój szanowny dotychczas przyjaciel pamiętny mi będzie do śmierci, bo od dobroczynności przyjaźń swoję zacząwszy, utrzymał ją potém wzajemnością w tylu zdarzeniach i szacunkiem dla mnie wszędzie oświadczanym, chociaż czasu nawet nie miałem zarobienia u niego na to. Mając już Suchodolinę, pojechałem do Galicyi, pożegnać się z krajem tamtym i z mojemi, porzuciłem Dobrowody, siostrze na sprzedaż bibliotekę darowałem. W tych latach zaczął się sejm 3-go maja, nazwany od konstytucyi tegoż sejmu kilku letniego w tym dniu podpisanéj i polskiego na potém tronu dziedzicznym ogłoszenia. — Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku już powychodziło, nic o nim pisać nie będę, to tylko



nadmienię, do czego ja, chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyznie, ubogiemu o tém radzić głośno i mówić nie wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi miany był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcye do zguby coraz bliżéj Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślał nadal o dobru narodu naszego, gdyż kiedy dzieci jego dziedziczyć po nim nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dziać będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcye wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniéj z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniéj jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez niego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą źrzenicą wolności nazywali. Zważywszy ja to wszystko na pół roku jeszcze przed sejmem 3-go maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpoczciwszy z pomiędzy magnatów już był wcześnie marszałkiem tego sejmu naznaczony, a książę Adam Czartoryski, także pan dobrze o narodzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego; przyszło mi na myśl napisanie 4-ch listów do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiłła Karola, wojewody wileńskiego, znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego, wojewody ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomity, bo darował R. P. harmat pięknych spiżowych 24, pułk swoim kosztem własnym do swojéj śmierci utrzymywany. Listów tych moich 4-ch jednakie było brzmienie, że ponieważ sejm przyszły czyni nadzieję sejmu obywatelskiego, niechby się uśpiony naród obudził, niechby osłabiające nas coraz bardziéj elekcye królów porzucił, i tron napotém dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbierały, mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyę, królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polsce pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencyj, zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe czucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się, kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkiemi nędzę i upodlenie cierpiący, listy cztery wspomnione w swoje miejsca na poczty porozsyłałem i miałem potém wiadomość, że wszystkie podochodziły. Woj. wil. Radziwiłł najżywiéj list do siebie pisany poczuwszy, pojechał nawet umyślnie do króla pruskiego i namawiał go do przyjęcia korony polskiéj. To tedy niewiadomą inszym przyczyną było, dlaczego natenczas król pruski z taką

gorliwością do sejmu 3-go maja przykładał się, dla czego przez posła swojego Lukiezyniego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większéj, bronienia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmu tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowieniu dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmniéj odmienić, przyszłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich, jak powiadali, wolności narodowéj, ażeby mocny u siebie Prusak jéj nie przygniótł, elektora saskiego, po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myśleli magnaci) jak z słabym łatwiejby sobie począć mogli i intrygi swoje robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 maja, w któréj kiedy Lukiezyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usunionym.

Za co potém król pruski rozgniewany, nietylko zrzekł się aliansu z Polakami, ale nawet do podziału nowego Polski z inszemi dwoma mocarstwami przystąpił, co w czasie konfederacyi targowickiéj, jak się niżéj powie, nastąpiło.

Po obwołanéj konstytucyi tronu sukcesyonalnego w Polsce, chociaż poczciwi magnaci spokojnie przestali na elektorze saskim, przecież dwóch między inszemi, podobnie sobie myślącemi, Szczęsny Potocki wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, głośno oświadczyli się, że króla dziedzicznego w Polsce nie chcieli, a Seweryn Rzewuski wydał nawet pismo drukowane, dowodząc szczęśliwości narodu pod królami elekcyjnemi.

Ja zaś, jako ubogi i bojący się przemocy magnatów, wydałem także pismo drukowane, utaiwszy imię autora, w którém przekonywałem o szczęściu każdego krajowca pod królami dziedzicznemi, bo król taki (jakem wyżéj napisał) o sukcesorach swoich myśląc, ażeby im się dobrze działo, razem myśli i o szczęśliwości narodu, któremu panować mają, a tak szczęśliwość krajowa jego jest własnym interesem. Kiedy to w Polsce w czasie 3 maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie, i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomniałem, a on mi na to najpochlebniéj odpowie: honor wpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem. To królewskie oświadczenie chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypomniałem, a on mi rzecze: krzywdę mi wpan robisz tą prośbą swoją, ja bez



przypomnienia o wpanu myśléć powinienem, i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić; słuchałem króla, nic mu o sobie nie mówiąc i on téż nic mi o mnie nie mówił do śmierci swojéj, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucyi 3 maja. Wszelako król, chcąc się niby uiścić z obietnicy swojéj wspierania mnie, najcięższym dla mnie uiścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego natenczas księcia Dominika Radziwiłła, ordynata Nieświeża i Ołyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rządcą edukacyi, i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów a matka małoletniego potém obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegoż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to wprawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze mnie już wtenczas więcéj lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnéj godziny dla siebie wolnéj miéć nie mogłem, chcąc się poczciwie sprawić, i jak dawniéj trochę u księcia Romana Sanguszki w takimże będąc obowiązku przez rok tylko jeden, życia tylko ledwie nie straciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „kogo bogowie nienawidzą, tego dozorcą małoletnich zrobili", bo jakże dziecię z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to, co przez półroku wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w któréjby się dziecko opuszczone od dozorcy z służebnym jakim nieobyczajnym zdybawszy, zupełnie zniszczyć-by mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszechmiar opiekuna, przyjąłem najprzykrzejszy dla mnie według sposobu myślenia mojego ten obowiązek niewoli dziesięcioletniéj. Dał mi znać potém do Suchodoliny książę opiekun przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletniém dziecięciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiéj przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimno od nadto swe dziecię pieszczącéj matki, zaraz po obiedzie wyjechaliśmy do blizkiéj sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wązką dróżyną kalwakata księżnéj, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ja z daleka chłopca naprzeciwko jadącego, wóz swój worami ciężkiemi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolei, w któréj głę-

boko koła zapadłe były, kilka pachołków dworzańskich z konia zsiadłszy, wóz ze wszystkiém na bok wywrócili dla przejazdu wolnego książętom; ja to zdaleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawołałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: oto, Dominisiu, ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubogiego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory nazad do woza powkładał? ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak, czyż nie lepiéj, iż cię będzie błogosławił, aniżeli przeklinał ten chłopek biedny, i twoi służący będą się strzegli krzywdy napotém nikomu nie robić. Pierwsza to moja była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Zabłudowa. — Poczciwe serce księcia opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący za rozkazem małoletniego wory chłopu sami na wóz układali, a dziecko pojęło dobrze lekcyą, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcom swoim podjąć i na wóz włożyć rozkazało. Złe domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziecięciem postępować, jak chciałem i należało, i czucie moje nad tém tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mojego w Zabłudowie 5 razy przed matką małoletniego płakałem, ażeby mi nie broniła według mojego sposobu myślenia rządzenia dziecięciem jéj; ale kiedy nadaremne były łzy moje, namawiałem ją przynajmniéj, ażeby na aniwersarz 3 maja konstytucyi narodowéj pojechała do Warszawy, gdzie dziecię i świat razem obaczy (i jak mówiłem), kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziecięciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchroni.

Wyjechaliśmy przecie z Zabłudowa do Warszawy, ale tam ten dobry mój projekt nie udał się, i kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżnéj nie mogli do bawienia dłużéj nad dwie niedziele w Warszawie, powróciliśmy nazad do Zabłudowa. Tymczasem wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżnę do Warszawy namawiam, a powodem mi było niby niebezpieczeństwo samejże księżnéj i dziecięcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w bliskości; przecież dała się namówić, że po półroku upłynionym znowu wyjechaliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła, jak żądała, do domu nazad, a ja podziękowawszy jéj po roku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy,



gdzie król i opiekun, jakem im wszystko opowiedział to moje porzucenie małoletniego, uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojéj, kiedy opiekun, książę Maciéj Radziwiłł był odmieniony, a opieka małoletniego przysądzona przemocą księciu Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiéro kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1,000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły...

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja nie mając już domu innego (bo klucz ekonomiczny Suchodolina puszczony mi 6-cio letnim kontraktem od przyjaciela Badeniego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem był na drugie triennium), sprowadziłem się do mojéj kolonii w brzeskiém województwie, przy lesie białowieskim sytuowanéj, na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustéj z lasu wyrąbanego pozostałéj, a o włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojéj o to prośby, jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywiléj u króla, bo kiedy każdemu kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet) pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie, taż kolonia do króla wtenczas polskiego, jaki natenczas będzie, powracała, bez żadnéj nagrody za zabudowania wszelkie i osadzenie wieśniaków. — Przyjaciel Badeni, jak się rzekło, i dla mnie takiż przywiléj zyskał, o czém król i zapomniał, bo zdziwił się, za dwa lata potém, kiedy mu w Grodnie już po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii. — Pobudowawszy się w tejże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśléć o sobie, ażeby na starość swój mając kawałek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się, i nie mając majątku żadnego prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcéj 60 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i w łaskach pańskich, tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem.— Najemnicy, którzy przy mnie pracowali, z tém większą robili mi ochotą, im szczerzéj i mnie téż przy sobie pracującego widzieli; skutek téj pracy mojéj był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniéj. Nie masz wstydu za robotę około roli, co pierwszém człowieka jest powołaniem, i kiedy raz JW sąsiad sześcią końmi karetą przejeżdżał, a ja blizko publicznéj drogi, krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniéj którzy przy mnie robili, przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażebym roboty mojéj poprze-

stał, jam odpowiedział, że tém bardziéj robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW. i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze, że piękniéj jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić. — W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni poczciwy — i kiedy mu o mojéj pracy powiadałem około roli, — ażeby mi jéj ulżył, wypuścił mi pańszczyznę blizko mnie wsi ekonomicznéj Kletno nazwanéj, a tak przez ten rok do 7-miu włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze licznego, wytrzebiłem, wieśniaków do tego uboższych z blizkich kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło, i jak można na prędce za przyłożeniem się mojém pobudowało się z umową 5-cioletniéj wolności, po których upłynionych dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włóki swojéj siedziby Złp. 60 na rok płacić. Tak już blizko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikiém. Kiedym tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiadali, czytał, a w nich między inszemi było umieszczono, ażeby w przypadku, jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć pobity oddawać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychoozić, wtenczas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu rózgami nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam pobity rózgi bijącemu dawać będzie, tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych i po takiéj karze na jednym z bogatszych, a tém samém pyszniejszych wieśniaków skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między niemi pokazał złodziéj jaki, tedy za pierwszą poszlaką, rózgami pośrodku wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, rola i zabudowania ze wsi wypędzonym; jeden z tych wieśniaków nazwiskiem Jakób Mosiej padł mi ze łzami do nóg dziękując za to prawo czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w téj kolonii, jakoż pokazało się potém, że tenże Jakób był człowiekiem w każdém zdarzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowany, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potém w roku 1808 umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płaczącéj żonie i dzieciom widzącym śmierć jego blizką, śmiejąc się mówił: „oto wojska rosyjskie wkrótce przechodzić mają i ciemiężyć was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwéj, a wy się tu nacierpicie, jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na prażnik do Ojca." Winienem był wspomnienie rzadkiéj cnocie wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.



Wkrótce potém imperatorowa, Katarzyna II, ta prawdziwa Semiramis północna, umarła. Rząd za jéj panowania mocny, jéj saméj wiadomość największa politycznych interesów Europy, stałość w utrzymywaniu układów swoich rzadka, powodowanie senatem i ministrami dla dobra kraju szczególne, będą w potomności w dziejach rosyjskich sławić tę monarchinię. Miała przyczynę, wystawiając jeden z najpiękniejszych w Europie posąg Piotrowi Wielkiemu, imperatorowi, napisać pod nim, uchyliwszy wiele podpisów, które jéj podawano, także przez siebie samą zrobiony: „Piotrowi I, Katarzynа II". — Bo prawdziwie tyle, albo więcéj jak tamten zrobiła w Rossyi, ucywilizowaniem, jak można, było, narodu, podbiciem tytu krajów, jakoto Polski, Krymu, Tartaryi oczakowskiéj, i co Piotr pochylił się był z Turczynem w wojnie nad Prutem, Katarzyna przez swoich generałów przeszła za Dunaj i zatrzęsła tronem carogrodzkim, nawet gdyby jéj pozwoliła była Europa, pewnieby go obaliła. — Cóż mówić o tylu funduszach w Petersburgu i w państwie dobroczynnych, o jéj miłości, którą sobie zjednać umiała u ludzi i wojska? o jéj przytomności w poradzeniu sobie w przypadkach?

Rzecz mała, ale oświeci dobrze, jaka była jéj przytomność umysłu we wszystkiém. Przechodząc się raz po ogrodzie w Petersburgu z małemi wnukami swemi Aleksandrem i Konstantym, starszy, a teraz panujący Aleksander, dziecko natenczas, napierał się u babki, ażeby przeszedł na drugą stronę rowu jakiegoś błotnistego i zielskiem zarosłego; przekładała mu imperatorowa, że rów był tak błotnisty i nie łatwy do przejścia, iż zaś koniecznie przejść go chciał, pozwala babka, i gdy w błocie lgnąć zaczął, nazad się wracać żąda, ale Katarzyna gwałtem go na drugą stronę przeprowadzić każe, i znowu nazad z nim przez toż błoto przeprowadzającym powracać. Dopiéro zwalanemu wyżéj pasa i płaczącemu chłopcu rzecze: „Ty na to urodziłeś się, ażebyś kiedy rządził narodem, roztrząsaj tedy wszystko, co robić masz, a raz postanowiwszy, choćby z ostatnim azardem wykonywaj, albo rady dobrze radzących słuchaj".—Podobna była prócz innych przytomność jéj, kiedy senat już potwierdzić miał komuś dawniejsze jakieś pismo, które wiele zysku z cudzą szkodą dawało składającemu go przed sądem, ale które było w porozumieniu, że zmyślone. Katarzyna kazała sobie ten papier podać, i przeciwko okna go rozwinąwszy, znalazła (jak często w papierniach to robili) rok, którego był ten papier robiony wyrażony, a rok daleko późniejszy od daty skryptu wspomnionego.

Po śmierci Katarzyny wstąpił na tron syn jéj Paweł, najbardziéj lubiący sprawiedliwość, ale razem w najwyższym stopniu zapalający się, że aż do okrucieństwa przychodził. Za jego krótkiego panowania, żołnierz od dawnéj swywoli wstrzymany, kradzież skarbu po-

skromiona i bojaźń jedna wszystkie stany państwa utrzymywała. I tak prawdy nie mające doniesienie, od niego słuchane było, i mniemany winowajca karany. Tak obcy człowiek Kotzebue, jak i inni poszli na Syberyą. Kiedy tylu naszych, albo rosyjskich po przed moją karczmą wieziono na Syberyą, ja ile razy feltjegier imperatorski z telegą próżną (jak zwyczajnie po kryminalistów jeżdżą) przed moją karczmą stanął, myśliłem strwożony, że może to po mnie przyjechano, bo chociaż czułem się niewinnym, ale zły człowiek mógł nie sprawiedliwie nagadać co w Wilnie albo w Petersburgu, skąd bywali donosiciele, a tych zaraz usłuchano, i obwinionego na Syberyą posyłano.

Książę Repnin od imperatora Pawła wysłany był posłem do króla pruskiego do Berlina, ażeby go namawiał do ligi z Rossyą przeciwko Francuzom. Ten książę równie dumny, jak bywał za Katarzyny, która trzęsła Europą, nie mogąc długo nakłonić króla, rzekł mu nakoniec niecierpliwy: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!". — Co tak obraziło króla pruskiego, że w głos przy inszych ministrach powiedział: „Jestem udzielnym królem i nikt mi prawa pisać nie będzie, pamiętaj książę, że to Berlin nie Warszawa ani Teszyn, żebyś z takiemi tonami gadał".

Doniósł o tém król imperatorowi, że dla tonów Repnina, co tylko był posłem prostym, tém bardziéj jeszcze swojéj neutralności nie odstąpi.

Tenże książę bawiąc w Berlinie, gdzie natenczas i posłowie rzeczypospolitéj francuskiéj, na których czele był Syès, znajdowali się, którzy przepisanym dla swoich posłów sposobem po starorzymsku w paludymentach prezentowali się, ni przed kim czapki wolności, chyba przed samym królem, na pokojach przytomnym nie zdejmując. Obrażony tym ich postępkiem dumny Repnin, Syesowi publicznie powiedział, że ten strój jego był prawdziwie teatralnym, a Syès mu na to odpowie: „a twój ten mundur prawdziwie niewolniczym". Odwołany Repnin do Petersburga, popadł w niełaskę Pawła, odebrana mu gubernia litewska i prywatnie w domu swoim życia potém dokonał.

Ku końcowi rządów Repnina w Litwie, król nasz za rozkazem Pawła z Grodna przeprowadzony do Petersburga, gdzie wystawnie kosztem imperatorskim żyjąc, był tak nierozmyślny, że do cudzéj już Warszawy po mąkę pszenną marymoncką kilka bryk posłał z Petersburga, jak gdyby się urągał żywiącym go Rosyanom, że mąki dobréj nie mają. Ale nie jadł już z téj mąki, bo kiedy mąka dopiéro do Grodna przyszła, on życia nieszczęśliwego dokonał w Petersburgu, i Paweł imperator pogrzeb mu najwspanialszy wyprawił. Leżał na bogatym katafalku z koroną na głowie w ogromnéj sali, gdzie trupa przez dwa dni odwiedzał Paweł, chodząc do sali, w któréj leżał, z mnogą



świtą. Najpierwéj wszedłszy, przy drzwiach nizko trupowi ukłonił się, bliżéj katafalku przyszedłszy, kłaniał się jeszcze niżéj, a przy samym trupie, ledwie ziemi, kłaniając się, czołem nie dotykał, co wszyscy, przy nim będący, robić także musieli, a to w celu (jak mi potém generał rosyjski Kamiński, przytomny téj scenie, powiadał), że jeżeli trupowi królowi takie uszanowanie sam imperator czynił, jakże żywych monarchów ludzie szanować mają?

Na miejsce Repnina gubernatorem cywilnym grodzieńskim był Dymitr Koszelów, gubernator przeszły tobolski, wsławiony pochwałami za Pawła na Syberyi wówczas będąc, a bardziéj jeszcze głośny najłagodniejszym swym rządem w gubernii grodzieńskiéj. Ze słodyczą wspomnieć, z jakiém ten człowiek był przywiązaniem dla Polaków. Po Litwie, po Wołyniu szukał Koszelewskich, ażeby on Koszelow do nich należéć mógł i najmilsze mu zawsze było bawienie z nami Polakami. Wiedziano o tém w Petersburgu i to było przyczyną, że go z grodzieńskiéj na tambowską w staréj Rossyi przeniesiono gubernią. On mię nazywał swoim bratczykiem, a ja temu cnotliwemu człowiekowi oddając książkę mego Platona, drukowanego natenczas w Grodnie, oddałem mu razem i wiersze osobne, jak wart był, na pochwałę jego drukowane. Jemuż, tak cnotliwemu gubernatorowi Litwy, podałem był na piśmie projekt zbierania dobrowolnych składek w każdym powiecie, z których zebrana suma lokowana być miała na pewnych dobrach, a od niéj coroczny procent miał być corocznie oddawany na posag dwojgu najuboższym, a razem mającym od powiatu zaświadczenie najcnotliwszym nowożeńcom; nie wyłączając od téj czynności dzieci nawet najuboższych wieśniaków, ażeby tym sposobem zachęcać lud ubogi do życia cnotliwego; ja sam 100 dukatów ofiarowałem na tę składkę i ofiarując się kwestować w mym powiecie, spodziewałem się do 2000 dukatów sumę przyzbierać. Przyjął ten projekt Koszelow z największém ukontentowaniem, ale go wypełnić nie miał czasu, bo w ćwierć roku odebrana mu tutejsza gubernia i wyjechał z Litwy.

Na końcu życia Katarzyny, zaczął słynąć dziełami wojennemi Napoleon Bonaparte, potém cesarz Francuzów. Ten prócz inszych dzieł dawniejszych anarchii republikańskiéj, dyrektoryatu francuskiego, wysłany był do Egiptu, który to kraj w Afryce wkrótce zawojowawszy, przeniósł się potém do Azyi, i tam dzielnie Turkom opierając się, dowiedziawszy się o nieszczęściach bezrządnéj wtenczas Francyi z największém niebezpieczeństwem swojém, otoczony zewsząd nieprzyjaznemi flotami Anglii, przebył morza i szczęśliwie na małéj galerze stanął w porcie francuskim Frejus. Wkrótce potém pierwszym konsulem obrany, rzadką przewagą z kilkudziesiąt tysiącami nowo zebranego żołnierza, przedarł się z tém wojskiem i ar-

matami przez śniegiem od wieków zasypane góry alpejskie i niespodziewany stanął przeciwko Melasowi, gienerałowi komenderującemu wojskami austryackiemi we Włoszech. Bitwa pod Marengo, którą zupełnie wygrali Francuzi, stanowiła o losie Europy, i mocarstwa upokorzone do traktatu w Amiens przystąpiły.

Ale Anglia, chociaż do tego traktatu pisała się. niespokojna z przemocy w Europie Francuzów, o nowéj burzy skrycie rozmyśla, a potém pieniędzmi swemi głośną robi koalicyę, cesarza niemieckiego i Rosyą ogromnemi na zapłacenie ich wojska, któreby tylko dać mogli, opatrując sumami. Do téj koalicyi król pruski przystąpić nie chciał, i powiadają, że strasząc Anglików, prędzéj-by się złączył z Francuzami, niżeli z koalicyą. Anglia, bojąc się tego, tyle mu dała pieniędzy na neutralność, ile tamtym dwom mocarstwom na utrzymanie wojsk ich.

Tymczasem Francuzi sprzykrzywszy sobie 15-letni republikański nierząd, Napoleona Bonapartego cesarzem swoim obierają; sprowadzony z Rzymu papież, sam go w Paryżu koronował, w którym dniu całym pochmurnym w czasie wyrzeczenia słów przysięgi w kościele przez Napoleona, słońce się pokazało i znowu zaraz chmura go skryła. Lud z tego zdarzenia pomyślność narodowi wróżył, a więcéj jeszcze, kiedy balon w dzień koronacyi z wypisem téj uroczystości na powietrze wypuszczony, burzą porwany, nazajutrz (jak się potém pokazało) niedaleko Rzymu znaleziony, sądziło powszechnie pospólstwo francuskie, że sam Bóg o ich szczęśliwości stolicy chrześcijaństwa, Rzymowi, donosił.

Wkrótce potém Napoleon i królem włoskim w Medyolanie koronowany, na wojnę przeciwko cesarzowi austryackiemu, złączonemu z rosyjskim, wyciągnął, i zabrawszy Ulm a potém Wiedeń, stolicę cesarzów, stanął pod Austerlitz, a po dawnemu Szlaków nazywaném, w Morawii, gdzie jeden cesarz, ta szabla boża, Bonaparte, dwóch przeciwko sobie przywodzących osobiście cesarzów pokonał. Austryacki pokorą ujął zwycięzcę, że mało co straciwszy, pokój otrzymał; moskiewski do domu zresztą niedobitków powrócił.

Dopiéro król pruski zaufany w dawnéj chwale wojsk swoich, złączywszy się z Rosyą, angielskiemi pieniędzmi wsparty, koalicyą Niemiec północnych robi, czarny manifest po gazetach europejskich przeciwko Napoleonowi ogłasza, i wkrótce zacząwszy wojnę z Francuzami, którym cesarz ich przywodził, decydującą batalią pod Jena upada. Kraj mu cały opanowawszy i wszedłszy w kordon jego, od Polaków odebrany, narodowców naszych Polaków do zbierania się przeciwko Rossyi Napoleon zagrzewa, czyniąc im nadzieję przywrócenia zgubionéj ich ojczyzny. Kilkadziesiąt tysięcy naszych złączonych z Francuzami, walczyli trzy ćwierci roku przeciwko Rossyi,



i chociaż ostatnią decydującą batalię wygrał Napoleon, przecież traktat z Rosyą w Tylży zrobiony, część jeszcze dawnego kordonu pruskiego, do Rossyi przyłączył, a Polacy przy reszcie tylko dawnego kordonu pruskiego, księstwem warszawskiém nazwani, pod panowanie króla saskiego dostali się.

Od upadku Polski w r. 1795, spokojnie siedząc w kolonii mojéj, która z ostępu, dawniéj Kraśnik nazywanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawiałem rolę, zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawianiu losu mego przemysłowi mojemu zostawiony. Mogłem mieszkać gdzie w mieście jakiém i żyć z procentu 2000 dukatów, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie na nim dziesiąta część ludzi znajduje się, z któremiby niecierpliwemu żyć można było, żeby się z niemiłemi mi ustawicznie nie zdybywać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób odgrodzenia się od złego człowieka, żeby mię nie nadszedł? Przydać do tego należy, że kiedy mojéj ojczyzny w zgromadzeniach między ludźmi nie zobaczę, cóż mię tam rozerwać i zabawić może? Ta myśl ze mną do stołu siada, z tą spać się kładę. Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad i dwie na wieczerzą, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając, miewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie miał. Jeden importun, że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mię kilka godzin gadaniem bez związku żadnego nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcéj nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodal trochę odemnie jesteś, przyjacielu Stryjeński, i coś jeszcze jest, co mię czasem od domu twojego odstręcza, a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający i więcéj stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam! Tu w powiatach okolicznych jakże już wiele nabiegałem się a przyjaciela znaléźć nie mogę. Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwym po upadku ojczyzny, bawiłem go w smutku, ratowałem trochę pieniędzmi i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potém zapomożony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojéj się uciekł przyjaźni, ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały nie dbać o niego potém. Inszy magnat, niby z powodu przyjaźni dla mnie, ofiarował mi 3000 dukatów, bylebym przy nim do śmierci mieszkał; podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym do śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknie-

go, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz, otóż przez wdzięczność bez żadnéj pretensyi, zwłaszcza niedaleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę." Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas u niego trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu posprzeczaliśmy się z sobą i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego, co mówię, a pan daruj mi, żadnéj nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać." Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które, gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazałaby mi zawsze powtarzać: tak jest, panie dobrodzieju."

Inszy magnat, otoczony równemi jak sam magnatami na bogatéj gali, z samemi tylko orderowemi rozmawiał a na uboższych ani oka zwrócić nie chciał! —Zacząłem coś mówić do niego, nie tylko mi nie odpowiedział, ale nawet z jakąś pogardą ręką kiwnął, żebym się z niemi nie mieszał. Wtenczas ja wzruszony pogardą mnie okazaną, rzeknę mu, do jego tylko pychy stosownie: „Wy magnaci zawsze szczęśliwsi jesteście od nas ubogiéj szlachty, bo jak dawniéj tak i teraz pod pod rządem rosyjskim wy we wszystkiem macie preferencyą." Na to niespodziewane zagadnienie z pychą spyta mnie magnat: W czémże to takiém mamy preferencyą? „Oto (odpowiedziałem) zaraz po upadku Polski wy najpierwsi magnaci pięścią w pyski braliście, a potém niektórych z naszych ubogich policzkowano." Mówiłem to śmiało, bo blizko siedział i słuchał gienerał rosyjski, lubiący mnie, i w tym powiecie komendę mający, który wkrótce mnie jeszcze pochwalił, mówiąc: „Dobrześ mu powiedział, bo dumny durak." Magnat zaś zrobił się dla mnie najgrzeczniejszym.

Do inszego magnata w inszém zgromadzeniu, tony sobie dającego, rzekłem: „A pan téż podatek wypłacił imperatorowi?" On rzekł: „skądżeto? wypłaciłem!" „A ja mu na to: i ja wypłaciłem, i tak chociaż już nie mam ojczyzny mojéj, przynajmniéj nie znęcają się nademną jak dawniéj w anarchii polskiéj wielkomożni, i mogę im prawdę powiedzieć bez bojaźni zemsty ich". Insi moi to niby w okolicach tutejszych przyjaciele przyszedłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzeczni jak dawniéj, ale mię już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi! myśleli, że urząd robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy o sobie, że pokorną cnotą najwyżéj się podniesiemy. Insi zabierali przyjaźń ze mną, żeby co zyskać, a widząc, że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoim przyjacielem, co mię jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwemi,



wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcéj, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jednym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich, pod tytułem: „Żale Sarmaty," jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd nie pisania, tak dotąd żadnych nie pisałem.

Ta magnatka najwięcéj mnie w oczy chwaliła i najgrzeczniejsze do mnie pisała listy, a pieniędzy moich od lat kilkunastu odebrać od niéj nie mogłem, i jeszcze mnie w wypłacaniu procentu krzywdziła. Insza pyszna nad miarę, ulegać sobie we wszystkiém żąda i najmniejsze jéj sprzeciwienie się uchybieniem nazywa, chce niby przyjaźni mojéj, ale boi się, czy się tém nie poniży, że się moją nazwie przyjaciółką. Insza mając nadzieję za lat moich młodszych, że z nią zawrę ślub sumienny, kiedym odpowiedział, że to zrobić może i z swoim lokajem, a ja nie będę mężem żony, która się imienia mego wstydzić ma, — odtąd najzimniéj ze mną, chociaż najgrzeczniéj postępowała. Insza gromiąc służących swoich, świadczyła się mną przytomnym: „wszak prawda (rzecze), że samo Pismo święte panów bogami ziemskiemi nazywa." Tak jest (odpowiedziałem), ale to było wtenczas, kiedy bałwany adorowano na ziemi. Insza nakoniec, żem na jéj faworyta pochwały, od niéj dawane, milczał, straciłem łaskę, ale cóż z tém czynić, kiedy faworyt wart był szubienicy! Nie wspominam tu żadnego z magnatów ani z magnatek po imieniu, mogą się oni poprawić — a ja nie jestem bez grzechu.

Po Repninie i Koszelewie, Rosyanach, którzy mnie lubili, policzyć trzeba trzech Georgianów, w wojsku rosyjskiém służących: gienerała księcia Bagrationa, księcia Cycyanowa i pułkownika Jakowlewa. Znałem dobrze tych trzech ludzi, że wszyscy serce najlepsze i szczerość rzadką mieli. Bagration konsystując z pułkiem swoim o 2 mile ode mnie, tak mnie ukochał, że mię duszą swoją i największym przyjacielem nazywał, był rozrzutny i byle co pieniędzy zebrał, zaraz bal dawał. Nie mogłem go od téj skłonności odwieść, wszelako wychodząc na wojnę przeciwko Francuzom za Pawła imperatora, obiecał mnie i Sicheniowi staroście, że byleby co pieniędzy na téj wojnie zebrał, nam wspólnym przyjaciołom do rąk oddać miał, ażebyśmy mu za nią wioskę jaką niedaleko od nas kupili, gdzieby z nami, podziękowawszy za służbę wojskową, do śmierci mieszkał. Sprawił się dzielnie na téj wojnie, i Paweł imperator jeszcze będącemu w Niemczech, 25 tysięcy rubli z kasy wojskowéj wyliczyć kazał. My o tém dowiedziawszy się, już z Sicheniem gotujemy się na kupienie mu wioski jakiéj, ale w pół roku powróciwszy z wojny, nic już pieniędzy u niego nie zastaliśmy, bo tamte (jak mówił) w Pradze na trzy bale wyekspensował.

Kiedy po powrocie swoim stał Bagration w Wołkowysku, znalazłem tam u niego kałmuka, wziętego od kozaków Dońców, a dla osobliwszego składu twarzy, tego człowieka na sługę pokojowego obrócono. Mówił ten kałmuk dobrze językiem mało-rosyjskim, który ja dosyć rozumiem i rozmówić się nim mogę. Pytałem go, czy ma żonę, odpowiedział, że i córki; kiedym go zagadał, że tam żona jego za Wołgą zostawiona, pewnie mu niewierna, on mnie rzecze: „Czy żona, czy córki moje, kiedy kogo lubią, za cóż mu nie mają dobrze uczynić, ale gdyby kto gwałtem łaski się u nich napierał, ja (gdybym był przytomny) albo i one same życie mu odebrać mogą." Dowiedziawszy się od niego, że nie jest chrześcijaninem, pytałem, jak ich naród wierzy o duszy ludzkiéj? Powiedział, że nieśmiertelna, i trupa człowieka, który żył niegodziwie, rzucamy (mówił) w wodę, albo psom na pożarcie dajemy, cnotliwego zaś pogrzebem czcimy. Prosił potém mnie najusilniéj, żebym za nim prosił księcia Bagrationa, ażebym go uwolnił od służby, chociaż zyskownéj i wygodnéj, bo wolałby nad wszystko powrócić do swoich nad Wołgę. Cóż cię tam tak nęci? zapytałem. A on mi na to: „Tabun, trawa, Wołga, aksny ryba," to jest, że nad pastwiska i stada, lepszéj zabawy niéma, nad wodę z Wołgi lepszéj wody nigdzie nie pije, i nad rybę tamże poławiającą się, aksny nazwaną, smaczniejzzego nie zna pożywienia. Takto, choćby gdzie nam najlepiéj było, w ojczyznie swojéj zawsze najmiléj. Ale kiedym go pytał, jak się Bóg w ich języku kałmuckim nazywa, padł na kolana i złożywszy ręce nad głową, powiedział: wiem o jego u nas nazwisku, ale przez największe tego świętego imienia uszanowanie, nigdy go nikt z nas nie wymówił, chyba wtenczas, kiedy kogo młodego z krajowców naszych, przez obowiązek sumienia, nauczyć imienia tego potrzeba było. Toż samo i żydzi tego słowa Jehowa, które znaczy Boga najwyższego, w hebrajskim nigdy nie wymawiają, tylko przeczytawszy go w księgach swoich, myślą i schyleniem się szanują; a my, nibyto oświeceni chrześcijanie, w naszych żartach, rozrywkach, Dalibóg, jak Boga kocham, przysięgam Bogu w potocznych dyskursach naszych zażywamy, a często i fałszów jeszcze naszych wezwaniem imienia Boga popieramy. Co się tyczy żydów, że tego imienia bożego Jehowa nie wymieniają, następujące zapytanie po hebrajsku żyda jakiegokolwiek, każdy pod zakonem odpowiedzieć obowiązany: pytam go zaś z twarzą seryo, Juda to? on koniecznie odpowie kendybardo. Pytam daléj, bamajdo? on odpowie bamilo. Tak przez zakon swój, za kwitnącego jeszcze królestwa żydowskiego obowiązani byli witać się z sobą żydzi, zdybawszy się, tak i teraz muszą odpowiedzieć, ale ze wstydem widząc się upodlonemi na ziemi; a najlepiéj we Lwowie, faktor mój, żyd żartobliwy, kiedym go zapytał: juda to? odpowiedział: parchato.



Jak się wyżéj rzekło, że rok bawiąc przy książeciu Dominiku Radziwille, dziecku natenczas w Zabłudowie, dla formowania jego obyczajów, 1000 dukatów corocznie kontraktem mi od opiekuna obiecanych, za rok ten jeden nie odebrałem, mimo tyle listów moich do nowego opiekuna księcia Michała Radziwiłła, wojewody wileńskiego pisanych, pieniędzy moich przez lat 13 nie odebrałem, bo on (jak wszyscy wiedzą) o swoich tylko, nie o małoletniego myślał intratach. W tak długim czasie nieodbierania téj sumy, mawiałem, Boże! odbierz te pieniądze, a będziesz miał za nie kościołek sobie wymurowany w mojéj kolonii.

Po wyjściu z opieki małoletniego Radziwiłła, zaraz pojechawszy do niego do Nieświeża, nazajutrz pieniądze mi zupełnie oddane były. Ale pierwéj oddałem mu niby memoryalik, w którym krótko wyraziwszy interes długu mojego, takim go kończę apologiem: „Altamor był jeszcze dziecięciem, a Polidor w leciech podeszły, prowadził go za rękę, ażeby ani po górzystych miejscach chodząc, upadłszy nie szwankował, ani po dołach w błocie się nie zwalał. Przyszedł czas, że Polidor zestarzawszy się, spokojnie już w chacie swojéj siedział, wtenczas przyszedł do niego Altamor i rzecze: Tyś mię prowadził w dzieciństwie mojém, ja przyszedłem cię w starości twojéj ratować, kładę przy tobie chleb, byś wygodniéj starość twoję przepędzał. Bóg wtedy spojraał z nieba na ten piękny wdzięczności przykład, i ponieważ Altamor nie miał już ojca ani matki, do niebian swoich rzecze: Ja temu cnotliwemu młodzianowi stanę odtąd za ojca i matkę. W. Ks. Mość jesteś Altamor, a ja Polidor, który interes mój względom jego polecam." Oddawszy mi książę pieniądze, nie chciał mię jeszcze przez tydzień z Nieświeża swojego wypuścić, gdzie stojąc u dominikanów, którzy tam mają nauki dla swojéj młodzieży teologiczne, takie ojcom teologom z prawdziwego zdarzenia zadałem pytanie: Dziakowski młody litwin, z siedmiu swemi równie młodemi kolegami, edukował się w Królewcu na księdza kalwińskiego, był to młodzian najcnotliwszy i najlepiéj się uczący. Wyszli raz z rana koledzy jego do ogrodu, przy kamienicy będącego, i znaleźli na drzewie powieszonego, już nieżywego Dziakowskiego, z takim napisem na ćwiartce papieru, przypiętym na piersiach: „Ojcze niebieski, idę do Ciebie, chociaż mię jeszcze nie zawołałeś, bo mi bez Ciebie tęskno." Pytałem ojców teologów i razem przeora ich, co też Bóg zrobił z tą ofiarą, kiedy w naszych ustawach nie może być w niebie tylko katolik; z drugiéj strony Dziakowski, przejęty miłością Boga, przekonany, że jego wiara najlepsza, bo nie rewokował, obiéra sobie śmierć najhaniebniejszą, bo powieszenie się, byleby prędzéj Boga swego widział, jakże go Bóg sprawiedliwy za to potępić ma? Stanęli teologi nie wie-

dząc co odpowiedzieć i przecież ksiądz przeor z litości do nieba wpuścił Dziakowskiego.

Poznałem także w Nieświeżu sektę żydowską, kitajowców w Litwie nazwaną, że nic wełnianego, chyba kitaj albo płótno nosić nie mogą, powszechnie zaś są gatunkiem karaimów czyli żydów, prosto trzymających się tekstu, a Talmud i wszelkie inne podania odrzucających. Prosili oni u rządcy lasów nieświeskich o drzewo dla siebie na bożnicę w témże mieście i kiedy rzekłem, iż mają w mieści bożnicę, oni mi odpowiedzieli, że do téj zgromadzać się nie mogą. Różnica zaś ich najpierwsza od innych i wszystkich ludzi podobno jest ta (jak mi ciż kitajowcy natenczas odpowiedzieli), że w nieszczęściach wielkich śmierci ojca, żony, dziecięcia, przyjaciela, pierwszego dnia płaczę. bom człowiekiem, ale przeklęty, kto płacze nazajutrz, bo nie wierzy w Boga, za którego zarządzeniem wszystko się dzieje. Rabin kitajowców mówił do mnie z takiém wzruszeniem, że poznać można było, iż mówi z serca i uczy mię razem wiary w Boga mojego.

W tęsknicy domowéj osobności najwięcéj bawią mię książki i gitara; książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie jak dla innych w powiecie obywatelów, blizko w Szereszewie konsystujący z pułkiem swoim generał rosyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka par Mr. Michaud, o wierze, prawach i obyczajach Indyanów, i tę przetłómaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niéj wiele mniéj ciekawych opisów.

Między generałami, którzy u mnie bywali, był generał Hlebow, bogaty Rosyanin. Nie mam tylko dwa osobne pokoje dla gości, które mu ofiarowałem, ale przyszedł z prośbą, ażebym jemu samemu pozwolił przed pokojem u mnie nocować, gdyż tamte, dane mu, ledwie syna jego i służących tyle obejmą. Pozwoliłem — ale może do 3-iéj po północy, raporta do generała przychodzące i różne głośne gadania przed poko[illegible] mi nie pozwoliły. Nazajutrz pytam go, czy spał w[illegible] bogiego Karpińskiego? a on mię zapyta: „Alboż [illegible]ie ten, co wiersze pisywał?" Kiedy mu się przy[illegible]azał sobie przynieść żurnal miesięczny, druko[illegible]órym mi czytał wspomnienie o mnie w takim [illegible]zczęśliwszych czasach Polski, najbardziéj tam [illegible]rą podnieśli prócz inszych Naruszewicz, Kra[illegible]ał u mnie przez trzy dni Hlebow i już nocle[illegible]e, a przez trzy dni u mnie bawiąc, zawsze, [illegible]mi dla mnie. — Tak pierwszy raz wiersze

wr[illegible]ział, odpo[illegible]wie wie lepiéj w[illegible] juda to? odp[illegible]



moje zrobiły mi dobrze między ludźmi, bo wprawdzie z téj miłéj zabawki w mojém życiu żadnego pożytku nie miałem.

Drugi generał Jazów, Rosyanin, mało znam ludzi, mających tak dobre serce, jak jego poznałem, bez najmniejszéj pychy, i myślił tylko, jakby biednym ludziom dobrze uczynić.

Trzeci generał Lewicki, między podobnemi sobie najpyszniejszy, kiedy do niego mówiłem mało rosyjskim językiem, on mi powié, żebym mówił po polsku, bo ten język rozumié.

Oficerowie jego powiedzieli mi, że on jest Polak z Połockiego. Wstydziłem się za niego, że on się wstydził przyznać, że jest Polakiem. Ale rzecz dziwna, że jak on był najcięższym w stanowisku swojém na wiosce mojéj, tak potém każdy oficer z Polaka był jemu podobnym, uciskając ludzi naszych, tony sobie nieszczęsne dając, a to, że będąc oficerem rosyjskim, już my bracia jego dawniejsi za niższych od niego poczytani.

Bawił mię czasem w mojéj osobności, ale najwięcéj głupstwami swojemi nudził, w sąsiedztwie mieszkający i często przejeżdżając wstępujący do mnie Niemiec spolaczały. Mnie szanował, żem był (jak powiadał) na akademii. Ministeryum pruskie, skąd on był rodem, przenosił nad wszystkie europejskie, że wszyscy tamtejsi ministrowie byli na akademii. Kiedy za panowania Pawła, generała rosyjskiego Hermana, który był wylądował z Rosyanami w Holandyi, wzięli w niewolę Francuzi, wziął go zaś prosty grenadyer francuski, mój Niemiec utrzymywał, że nie śmiałby i nie mógł prosty grenadyer brać w niewolę generała rosyjskiego, ale to był generał francuski, który miał nazwisko grenadyer i tak dopiero generał mógł wziąć w niewolę generała. Nie mogąc się inaczéj zbyć z domu nudnego tego głupca, kazałem chłopcu pilnować, jak tylko na dziedzińcu się pokaże, żeby wybiegł ku niemu i powiedział, żem już umarł i pochowany. Żałował mię zaraz bardzo, ale dowiedziawszy się, żem to ja dla niego tylko umarł, już mnie na szczęście moje nie odwiedza.

Żebym umartwienia, które zwyczajnie wydarzają się w gospodarstwie uniknął, od kilku lat oddałem rząd w całéj kolonii i dochody z niéj roczne wnukowi mojemu po rodzonéj siostrze Franciszkowi Kozieradzkiemu, a on z tych dochodów żywić mię, dwóch ludzi moich i trzy konie powinien, resztę potrzeb ułatwiam z procentu, który rocznie odbieram od 4000 czerwonych złotych. Najlepszego w nim widzę człowieka, sprowadził w dom mój dla pomocy siebie i brata swego młodszego, ale temu, chociaż majątku z ojca ani z matki niewiele miéć się spodziewającemu, edukacyi prócz umiejętności języka niemieckiego żadnéj niemającemu, pysznym go widząc nad miarę, powiedziałem: „Wybijaj sobie ile możności z głowy, żeś pan i mądry, a na to miejsce wbijaj sobie, żeś głupi, to miéć można jeszcze nadzie-

dząc co odpowiedzieć i przecież ksiądz przeor z litości do nieba wpuścił Dziakowskiego.

Poznałem także w Nieświeżu sektę żydowską, kitajowców w Litwie nazwaną, że nic wełnianego, chyba kitaj albo płótno nosić nie mogą, powszechnie zaś są gatunkiem karaimów czyli żydów, prosto trzymających się tekstu, a Talmud i wszelkie inne podania odrzucających. Prosili oni u rządcy lasów nieświeskich o drzewo dla siebie na bożnicę w témże mieście i kiedy rzekłem, iż mają w mieści bożnicę, oni mi odpowiedzieli, że do téj zgromadzać się nie mogą. Różnica zaś ich najpierwsza od innych i wszystkich ludzi podobno jest ta (jak mi ciż kitajowcy natenczas odpowiedzieli), że w nieszczęściach wielkich śmierci ojca, żony, dziecięcia, przyjaciela, pierwszego dnia płaczę. bom człowiekiem, ale przeklęty, kto płacze nazajutrz, bo nie wierzy w Boga, za którego zarządzeniem wszystko się dzieje. Rabin kitajowców mówił do mnie z takiém wzruszeniem, że poznać można było, iż mówi z serca i uczy mię razem wiary w Boga mojego.

W tęsknicy domowéj osobności najwięcéj bawią mię książki i gitara; książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie jak dla innych w powiecie obywatelów, blizko w Szereszewie konsystujący z pułkiem swoim generał rosyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka par Mr. Michaud, o wierze, prawach i obyczajach Indyanów, i tę przetłómaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niéj wiele mniéj ciekawych opisów.

Między generałami, którzy u mnie bywali, był generał Hlebow, bogaty Rosyanin. Nie mam tylko dwa osobne pokoje dla gości, które mu ofiarowałem, ale przyszedł z prośbą, ażebym jemu samemu pozwolił przed pokojem u mnie nocować, gdyż tamte, dane mu, ledwie syna jego i służących tyle obejmą. Pozwoliłem — ale może do 3-iéj po północy, raporta do generała przychodzące i różne głośne gadania przed pokojem spać mi nie pozwoliły. Nazajutrz pytam go, czy spał wygodnie w domu ubogiego Karpińskiego? a on mię zapyta: „Alboż wy Karpiński, i czy nie ten, co wiersze pisywał?" Kiedy mu się przyznałem, że ten sam, kazał sobie przynieść żurnal miesięczny, drukowany w Moskwie, w którym mi czytał wspomnienie o mnie w takim składzie: „że w najnieszczęśliwszych czasach Polski, najbardziéj tam kwitnęła literatura, którą podnieśli prócz inszych Naruszewicz, Krasicki i Karpiński." — Stał u mnie przez trzy dni Hlebow i już noclegi miałem najspokojniejsze, a przez trzy dni u mnie bawiąc, zawsze, aż przesadzał grzecznościami dla mnie. — Tak pierwszy raz wiersze



moje zrobiły mi dobrze między ludźmi, bo wprawdzie z téj miłéj zabawki w mojém życiu żadnego pożytku nie miałem.

Drugi generał Jazów, Rosyanin, mało znam ludzi, mających tak dobre serce, jak jego poznałem, bez najmniejszéj pychy, i myślił tylko, jakby biednym ludziom dobrze uczynić.

Trzeci generał Lewicki, między podobnemi sobie najpyszniejszy, kiedy do niego mówiłem mało rosyjskim językiem, on mi powié, żebym mówił po polsku, bo ten język rozumié.

Oficerowie jego powiedzieli mi, że on jest Polak z Połockiego. Wstydziłem się za niego, że on się wstydził przyznać, że jest Polakiem. Ale rzecz dziwna, że jak on był najcięższym w stanowisku swojém na wiosce mojéj, tak potém każdy oficer z Polaka był jemu podobnym, uciskając ludzi naszych, tony sobie nieszczęsne dając, a to, że będąc oficerem rosyjskim, już my bracia jego dawniejsi za niższych od niego poczytani.

Bawił mię czasem w mojéj osobności, ale najwięcéj głupstwami swojemi nudził, w sąsiedztwie mieszkający i często przejeżdżając wstępujący do mnie Niemiec spolaczały. Mnie szanował, żem był (jak powiadał) na akademii. Ministeryum pruskie, skąd on był rodem, przenosił nad wszystkie europejskie, że wszyscy tamtejsi ministrowie byli na akademii. Kiedy za panowania Pawła, generała rosyjskiego Hermana, który był wylądował z Rosyanami w Holandyi, wzięli w niewolę Francuzi, wziął go zaś prosty grenadyer francuski, mój Niemiec utrzymywał, że nie śmiałby i nie mógł prosty grenadyer brać w niewolę generała rosyjskiego, ale to był generał francuski, który miał nazwisko grenadyer i tak dopiero generał mógł wziąć w niewolę generała. Nie mogąc się inaczéj zbyć z domu nudnego tego głupca, kazałem chłopcu pilnować, jak tylko na dziedzińcu się pokaże, żeby wybiegł ku niemu i powiedział, żem już umarł i pochowany. Żałował mię zaraz bardzo, ale dowiedziawszy się, żem to ja dla niego tylko umarł, już mnie na szczęście moje nie odwiedza.

Żebym umartwienia, które zwyczajnie wydarzają się w gospodarstwie uniknął, od kilku lat oddałem rząd w całéj kolonii i dochody z niéj roczne wnukowi mojemu po rodzonéj siostrze Franciszkowi Kozieradzkiemu, a on z tych dochodów żywić mię, dwóch ludzi moich i trzy konie powinien, resztę potrzeb ułatwiam z procentu, który rocznie odbieram od 4000 czerwonych złotych. Najlepszego w nim widzę człowieka, sprowadził w dom mój dla pomocy siebie i brata swego młodszego, ale temu, chociaż majątku z ojca ani z matki niewiele miéć się spodziewającemu, edukacyi prócz umiejętności języka niemieckiego żadnéj niemającemu, pysznym go widząc nad miarę, powiedziałem: „Wybijaj sobie ile możności z głowy, żeś pan i mądry, a na to miejsce wbijaj sobie, żeś głupi, to miéć można jeszcze nadzie-

ję, że z ciebie coś będzie." Ta moja dana mu nauka skutkuje i lepszym się daleko zrobił. Starszy zaś brat jego, ten mój ulubiony, ma serce najlepsze.

Dawniéj, kiedy sam jeszcze rządziłem, on miał klucz od śpichlerza, w którym gorzałka w kufach chowana; pokazało się po przemierzeniu przedając kupcom, że w pół roku bycia jéj pod kluczem jego, niestało gorzałki podług percepty garcy dwieście kilkadziesiąt. Ja w pierwszym impecie zapalczywy, że czasem aż chorowałem, o czém on wiedział, rzuciłem się do kija na niego, a on klęknąwszy, rzecze: przez moje niedbalstwo, żem klucz czeladzi dawał od śpichlerza, gorzałka ta pewnie skradziona, bij mię jegomość, a nie gniewaj się, bo gniew zdrowiu dziadunia szkodzi." Opuściłem ręce i bić go nie mogłem, kiedy tak serce jego do serca mego przemówiło.

Chciałem go żenić, żeby weseléj z kobietami w domu moim było, ale kiedy już narzeczona przyszła żona jego, zadyktowała mu, aby zaraz kareta dla niéj, sześć koni i liberya była galonowana, porzucił fircyczkę, chcąc w domu gospodarnéj, nie zaś trwoniącéj majątek żony, jaką potém pojął, gospodarną i poczciwą kobietę, z któréj piękne ma dzieci. Wyjeżdża on corocznie po procent do księżnéj krajczynéj Sapieżyny na Wołyń, ponieważ stamtąd mil kilkanaście tylko do ojca jego, w kordonie austryackim mieszkającego, kazałem mu, ażeby siostrę swoję od ojca do mnie przywiózł, żeby (ponieważ już była 18-letnia, jak mi mówił brat jéj) i domem moim rządziła, i tenże dom, prawdziwie klasztorny, rozweselała. Stało się, jak-em żądał, i panna Katarzyna jadąc do mnie od ojca, wstąpiła z bratem w dom księżnéj krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, w czasie balu u téjże pani; fircyków wołyńskich mnóstwo i panien tamtejszych zgromadzenie bawiło się najweseléj, a moja Kasia, blizko księżnéj siedząc, pończoszki robiła. Sama księżna napisała mi to, że mówiła jéj, aby się wraz z drugiemi pannami bawiła; a ona jéj odpowié: jakaż dla mnie zabawa, kiedy tu nikogo nie znam, nawet pisała mi księżna, iż oka nawet na bawiącą się młodzież nie podniosła. Uważał to w kompanii będący młodzian, Walenty Polanowski, starosta ostrzki, majętny obywatel tamtejszy, i widząc pannę przystojną, bo między pięknemi prawdziwie rachować ją potrzeba było, o do tego patrząc na nią tak skromną, rozkochał się w niéj, który tyle już partyj przez bojaźń dostania złéj żony, odrzucił. Bawiła u księżnéj więcéj tygodnia wnuczka moja, i miłość do niéj Polanowskiego wzmogła się, wreszcie przyjechała z bratem do mnie, z listem księżnéj, o wszystkiém mi donoszącym. Znalazłem Kasię prawdziwie piękną, ale co pierwsza, cnotliwą, gospodarowała mi w domu najlepiéj, o Polanowskim zaś zawsze myślałem, że jak się zajął prędko ten ogień, tak i zgaśnie prędko. Aliści po 7-miu niedzielach bawienia w domu moim téj gospodarnéj dziewczyny, przyjechało do mnie szczęście jéj, Polanowski, z usilnemi za nim prośbami księżnéj i matki jego, ażebym mu tego małżeństwa nie odmawiał. Cóż miałem robić, kiedy to dla mojéj Kasi tak pomyślném było, a nadewszystko znalazłszy Polanowskiego grzecznym, cnotliwym, edukacyjnym, i jak teraz majątku więcéj dwóch milionów mającym. W tygodniu ślub im w moim pokoju dany i najszczęśliwszemi dzisiaj są małżonkami. Zdarzenie to zastanawia mię nad losem ludzkim na świecie; inszy biega przez całe życie i zdybać, choć umyślnie szuka, szczęścia swojego nie mógł, a téj sama fortuna szuka.



Polanowski najgrzeczniejszym jest teraz dla mnie, pisuje często, przysyła albo ciekawe książki francuskie, albo polskie druki i pisma.

Siedząc po większéj części w domu, że po kompaniach obywatelskich nieznośni mi się zrobili fircyki czyli zepsuta młodzież teraźniejsza, która nie lubiąc czytania książek i nie mając wiadomości rzeczy żadnych, wszystkoby decydować chciała, a nic gruntownie nie powié. Siedząc, jak mówię, w domu, napisałem najulubieńszą mi książkę: „Rozmowy Platona z uczniami swojemi," i tę wydrukowaną imperatorowi Aleksandrowi przypisałem. Przysłana mi od niego tabakierka kosztowna pamiątką będzie, jak był łaskawym na mnie. Książka ta uczy ludzi religii, jaką naturalnym rozumem wystawić sobie można, uczy razem i obyczajów, to myślałem, że może kiedyś obejrzą się ludzie i przypomną sobie cnotę, o któréj dzisiaj zapominają. Druga część tego Platona dotychczas nie wyszła, że ponieważ ona traktować miała o rządzie, ta materya, w teraźniejszych okolicznościach, ślizką zdała mi się i wolałem nic nie pisać, aniżeli pisać fałszywie. Wszelako zebrane myśli i moje i z inszych autorów w przydatku do téj historyi ludzi ze mną żyjących, którą teraz piszę, będą wypisane, gdzie i reszta myśli moich, od Platona już wydrukowanych pozostałych, umieszczone będą, gdzie razem położę i insze pisma moje, które w druku jeszcze nie były. Gdyby był król albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawienie losu mojego myśleli, byłbym mógł zapewnie nie równie więcéj dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczéj do roli, co mi teraz starość wygodniejszą zrobiła. Chciałem pisać poema, pod tytułem: „Bohatyr Straszny," jako jest już książka z włoskiego dawniéj przetłómaczona; gdzie w mojém dziele, ten niby Don Kiszot miał wojować z Bogami niebieskiemi, półbogami ziemskiemi, bogami wód i piekielnemi, wszystko to w wesołym sposobie wyrażone, dzieciom zabawką a razem nauką byłoby mitologii. Chciałem opisanie wierszem teraźniejszych państw Europy, co także młodzieży dla nauczania się łatwiejszego gieografii byłoby użytecznem. Tyle prócz tego notatów na różne tragiedye i komedye, jako zabierających mi czas, do gospodarstwa potrzebniejszy, które mię

i wyżywić może, popaliłem. Zostały tylko rozmowy Platona w francuskim języku przez kapitana Sempini przetłómaczone, i manuskrypt pod tytułem: „Dzieciom dla ich zabawki, historyj ciekawszych dawnego świata zebranie," który ten manuskrypt dla dzieci już jest w druku w Wilnie.

Co się tyczy emigranta Francuza Sempiniego, następujące zdarzenie zrobiło mi go najprzychylniejszym: Słyszałem o nim, że z inszemi nieszczęśliwemi emigrantami pod wodzą księcia Kondeusza, bawił na Wołyniu około Dubna. Zapewniony o jego statku i talentach, pisałem do niego nieznajomy do nieznajomego, ażeby przyjechał do Litwy, w okolice moje, a wystarałbym się mu sposobu jakiego życia. Był Sempini kapitanem w wojsku francuskiém, a znalazłem go, kiedy na mój list do mnie przyjechał, mającego uczciwą edukacyą. W sąsiedztwie swojém w domu pułkowników Engelhartów, uczył synów języka i gieografii, z pensyą kilkadziesiąt dukatów; widząc że to małém było dla niego poratowaniem, sprowadziłem aż z Mozyrskiego synów obożnego litewskiego Prozora, a z inszemi z sąsiedztwa mojego dziećmi, pensya jego do 300 dukatów corocznie przychodziła.

Bawił mię dom Engelhartów gdzie ten poczciwy Francuz z dziećmi swojemi bawił, i jak w wieku moim teraźniejszym z dziećmi się bawić dla mnie najmiléj, aby ich czego nauczyć, tak i oni ze mnie pożytek, a ja z nich rozrywkę miałem. Wdzięczny mi Sempini napisał piosnkę francuską na pochwałę moję, w któréj i swoję dla mnie wdzięczność wyraża. Tę pieśń śpiewały z nim dzieci jak przyjeżdżałem w dom ich, i chociaż potém przeniósł się w dom inszy, ja i tam o nim nie zapomniałem, albo bawiąc, albo przynajmniéj do uczniów jego pisując małe listy w materyach moralnych, ażeby mi w języku francuskim odpisywali, bez dokładania się guwernera, tylko jak sami myślą. Sempini się od kilku lat oddalił na miejsce zyskowniejsze, ja moję domową tęsknotę często przerywam jeżdżąc do domu téj cnotliwéj obywatelki wojskiéj Laskowskiéj, gdzie córka jéj, z inszemi kilką cnotliwemi panienkami, pod guwernantką zdatną edukowała się. Tam mi najmilsza zabawa była z dobremi temi dziewczętami, zadawałem pytania u nich będąc z tego, czego się uczyły, a oddalony pisując także do nich listy w materyach obyczajów. Prócz tego emigranta, sprzyjaźniłem się był, chociaż na krótki czas, z drugim: Comte de la Ferrone, bawiąc kilka niedziel w domu księżny krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, który takiém osobliwszém zdarzeniem znalazł się w domu księżny. Księżna krajczyna młodą będąc mężatką bawiła w Paryżu i miała znajomość z panem de la Ferrone na tenczas pułkownikiem. Potrzebna pieniędzy, jako nieznajoma, pożyczyć ich tam nie mogła. Pułkownik de la Ferrone zaręczył za nią w banku, pożyczono zaraz 2000 dukatów i w terminie wyznaczonym, z pieniędzy z Polski dla niéj przybyłych dług zapłaciwszy, wkrótce do Polski powrócila. Po trzydziestu kilku leciech, kiedy księżna w dobrach swoich wołyńskich za Dubnembawiła, dowiedziała się, że jakiś generał de la Ferrone, jest w Dubnie z księciem de Condé, pisze do niego list, dowiadując się, czy nie ten sam jest, który ją ratował kredytem swoim w Paryżu. Kiedy odpisał, że ten sam, posyła po niego karetę z prośbą, ażeby do niéj przyjechał; zrobił tak, jak żądała; przyjechawszy poznali się, ofiarowała mu w domu swoim wygody wszystkie, prócz których jeszcze 100 dukatów corocznie na potrzeby jego dawała, a tak on u niéj będący bez sposobu inszego, nieszczęśliwy emigrant, który niegdyś do 300000 franków z dóbr swoich liczył, do swojéj śmierci osiadł, która po kilku leciech nastąpiła. Jakież to zdarzenia teraz na świecie zdarzają się: ktoby się był spodziewał, że ten dawniéj bogaty pan we Francyi bo do 40 tysięcy franków intraty posiadający, będzie kiedyś kawałka chleba żądnym i w domu cudzym na kilka set mil od swego kraju odległym, za dobry swój uczynek żywionym do śmierci będzie.



Ale porzućmy cudze smutki, dosyć mając i swoich, kiedy w r. 1807 o kilkanaście tylko mil ode mnie, były te zawzięte i długie walki Francuzów z Rosyanami, gdzie od kilku miesięcy po kilkadziesiąt tysięcy trupów w zimowéj porze niepogrzebionych pod niebem na kupach leżało. W tém człowieczeństwa nieszczęściu, wspomniawszy na tyle świeżo srogą wojną zabitych, takem był sobie obrzydził mięso, żem go jeść nie mógł. A widząc często koło karczmy mojéj idących o jednéj ręce, albo różnemi sposobami skaleczonych, chleba kawałka żebrzących żołnierzy biednych rosyjskich, którym urzędnicy magazynowi żywności nawet w ich kalectwie nie dostarczali, nieraz z największém wzruszeniem serca pomyślałem: O kiedyż zstąpi na ziemię bóstwo to dobroczynny człowiek, mężny i litośny razem, kiedyż poznaczywszy granice, każdemu z monarchów postępować samowolnie zakaże, a w zdarzeniu krzywdy jakiéj jednego od drugiego, sąd deputowanych Europy naznaczy, którego wyroku jeśliby ktoś słuchać nie chciał, wtenczas wszyscy europejscy samowładni przeciwko niemu walczyć mają. Wtenczas to ten mąż znamienity, dotychczas po lasach tylko i ustroniach pokój kryjący się, sprowadziłby do miast i wiosek naszych, gdzie wesoły mieszkaniec kontent wyrobiony przez siebie chléb pożywałby, aniby mu głodny, a czasem tylko zuchwały żołnierz z rąk nie wydzierał. Jakże nas w téj mierze zawstydzają te dzieci Bramy, niewinni Indyanie, którym zwierzęcia nawet, a już dopiero człowieka nie godzi się zabijać. My ich zowiemy barbarzyńcami, ty Boże rozsądź, któryś na ziemi posadził ludzi, ażeby mnożyli się, rośli i kochali się, a oni się wadzą i zabijają, kto u nas barbarzyniec?

Ja okropnością wojen ustawicznych zmordowany, tym fałszem ludzi, którzy mnie otaczają, że z niemi żyć muszę, odstręczony od świata, nie mogąc mieć rozrywki z czytana dla słabości oczu ani z pisania czego dla niedostatku z wiekiem myśli i wyrazów, które kiedyś w głowie mojéj jak w zapaśnéj komorze zaraz znajdowałem, a teraz ten mój magazyn zupełnie pusty, czekam spokojny śmierci, ani jéj wzywając ani jéj się obawiając, śmierci, która mało bardzo szczęścia, a wiele nieszczęść w życiu mojém dokończy. Już ona ciebie mi najlepszego serca, Wincenty Matuszewiczu, wydarła? on majętny chciał żyć ze mną w domku moim do śmierci, że żyjąc na wielkim świecie, tęsknił do człowieka, jak mi to pochlebnie mówił. Już Elżbieta Branicka, siostra nieboszczyka króla, 80-letnia pani, oddawna łaskawa na mnie, i któréj dom lubiłem, napisawszy list do mnie sześciu dniami przed śmiercią swoją, ażebym do niéj przyjechał, zgasła. Już w tymże tygodniu wojska Laskowska, sąsiadka moja, skonała, któréj serce najlepsze znane dla wszystkich, a dla mnie w szczególności dom jéj był najmilszym, że tam często jeździłem, dla bawienia się z edukującemi się razem z córką jéj kilką szlacheckiemi pannami, do których tak jak do uczniów Sempiniego listy obyczajne pisałem. Te trzy śmierci w kilku niedzielach zdarzone, skwaśniły bardziéj życie moje.

Znowu zabłysnęła nadzieja większa, kiedy przez Bonapartego i Polaków z nim wojujących, Księstwo Warszawskie wzięte od Prus, Prusy przez Francuzów zgnębione ze wszystkiém, Austrya pod Austerlic upokorzona, o czém dzieje wieku tego obszerniéj będą opisywać.

Co się tyczy Polski, Bonaparte pamiętny, że Polacy córkę elektora saskiego na sejmie zrobili królową polską, ojca jéj zrobił księciem warszawskim i razem królem saskim, i wtenczas Napoleon zatrząsł Europą całą, który z ojca ubogiego szlachcica w Korsyce, cesarzem francuskim koronowany, rozwiódłszy się potém z pierwszą żoną, cesarza austryackiego córkę poślubił i z nią syna rzeźwego jak i on spłodził.

Gdyby był ten wielki Napoleon natenczas przestał, całą Europę upokorzyyszy, między upokorzonych królów wieczny pokój wprowadził, jakżeby go potomne wieki uwielbiały! Ale niesyty sławy, zapędził się za Rosyanami z ligą reńską z cesarza austryackiego wojskiem sobie nieprzychylném, a jednemi Fzancuzami i Polakami przywiązanemi najszczerzéj. Gdyby był po odebraniu Smoleńska traktat wieczny zrobił z Rosyą, Polska zostałaby jak za Sasów w granicach swoich dawnych. Ale on zapędziwszy się po odebraniu Smoleńska aż do stolicy dawnéj Rosyanów Moskwy, odebrał ją wprawdzie i spalił, ale



sam potém dla głodu w wojsku swojém i dla mrozów niezmiernych połowę wojska utraciwszy, ledwie z resztą uciekł i już potém nie powstał. Nakoniec i z Francyi wypędzony, na wyspie Elbie osadzony, a stamtąd, gdy jeszcze wypadłszy do Francyi, tłumy narodu tego do siebie pościągał, znowu przymuszony uciekać przez Europę przeciw niego powstałą, oddawszy się Anglikom, przez nich na wyspę świętéj Heleny zawieziony, pilnie strzeżony, spokojnie siedział i tam umarł.

Co do mnie, spodziewając się umrzéć nie zabawem, już testament napisałem, czyniąc podług woli mojéj zupełne rozporządzenie, a chcąc doprowadzić stałe postanowinie, uważając siebie coraz bardziéj cierpiącym i doświadczającym od lat 20-stu czarnéj melancholii, która coraz się bardziéj powiększa, przedsięwziąłem kupić wieś dziedziczną, abym, usunąwszy się od zgiełku wielkiego świata, z miłą dla mnie wnuka mego Franciszka Kozierowskiego familią, przepędził ostatek dni życia mojego. Ale już obrzydziłem sobie świat i ten wiersz często powtarzam: „O mundus immundus, a vita invita libera me, libera me.” W starości mojéj teraźniejszéj, przychodzą mi na myśl, i też melancholię powiększają, zdrożności moje młodszego wieku: takoż w życiu mojém byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w pierwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany, aż do chorowania, dlatego unikałem okoliczności i ku latom podeszłym, gospodarstwo domowe na wnuka mego Franciszka Kozierowskiego zupełnie zdałem. Byłem skłonny do kobiet, ale ostrożny, żem nigdy nie chorował, ani rozpustny, żem więcéj zdrowie nad rozkosz cenił. Byłem chroniący się o ile możności wydatków niepotrzebnych, a szanujących, do zadziwienia inszych, rzeczy nabyte, tak mam dotychczas zwierciadło z szufladami do golenia się, które całe służy mi od 44, a zegarek od 49 lat, tylko jak stary sługa pomalu idąc opóźniający się trochę. I taką oszczędnością przyszedłem do 130,000 i do kolonii Kraśnika, moim kosztem erygowanéj.

Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię, Boże mój, na słońcu wschodzącém siedzącego i oglądającego światy niepoliczone. — Gry hazardownéj i pijaństwa nie lubiłem. — Byłem trochę chełpliwym, ale w posiedzeniach w żartach nieupokarzający drugiego, pierwsze mi miłość własna wtrącała, a drugiego miłość bliźniego zakazywała. Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby na mnie były wyrządzone. Na nędzę ludzką osobliwie biednych tkliwy, i tę tkliwość, za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wziąłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi.

W roku 1812 podczas nieszczęśliwych rozruchów wojny, zniszczony w mojéj kolonii, nie wszystko utraciłem, bo 150 dukatów wrzucone w studnią ocalały, wkrótce wpadli kozacy, zabierając odzienie

i bieliznę moję. A z tych jeden przystąpił do mego kantorka i rzecze, otwórz, bo siekierą rozbiję, i daj pieniędzy. Dobyłem tam będących 60 dukatów złokowanych w tabakierce mi danéj od monarchy Aleksandra I., wysypałem je na stół i z uczuciem rzekłem do kozaka: „Nie zabieraj, na Boga proszę, biednemu starcowi tych pieniędzy.“— On odrachowawszy sobie 20 dukatów, resztę mnie oddał. Tę jego dobroczynność uwielbiam.

Wkrótce potém Franciszek Kozierowski, wnuk mój po siostrze, gospodarując przy mnie, ożenił się z Anną z Tołkaczów wdową Zdzitowiecką, przystojną i gospodarną. To zamęście weselszy dom mój zrobiło a chroniąc się kłopotów, ustąpiłem prawa mego 50-letniego z całym dochodem do kolonii Kraśnika temuż wnukowi. Naostatek uskuteczniłem moję chęć kupienia jakiéj wioski dziedzictwem, jakoż i kupiłem w powiecie wołkowyskim, wioskę Chorowszczyznę od W. J. Pana Wincentego Orzechowskiego, sędz. gnanicz. tegoż powiatu, za którą z poślinami do skarbu monarszego należnemi sto tysięcy złotych zapłaciłem. Po śmierci zaś mojéj wnuk, Franciszek Kozierowski, którego doświadczyłem od dzieciństwa przywiązania, i we wszystkiém dla siebie powolności, téjże wsi dziedzicem będzie, uskuteczniając jednak zawsze wolą i rozporządzenie moje w ostatnim testamencie moim uczynione. Sprowadziłem się do téj nowo kupionéj wioski od lat trzech i tu spokojnie mieszkam, gdzie zemną Kozierowski z żoną, z dziećmi i z całém gospodarstwem sprowadził się. Zabudowanie tu w Chorowszczyznie mam wygodne, blizko Łysków miasteczko, gdzie raz tylko przez rok wyjeżdżam, i to na spowiedź wielkanocną, a dla słabości zdrowia nigdzie więcéj, choć mam blizko sąsiadów wiele, którzy mię kochają. O dwie mile ode mnie mieszka starosta Sieheń, który od lat 40 jest moim przyjacielem, czasem u mnie bywa, ale choć go prawdziwie kocham, bywać u niego nie mogę, dla słabości zdrowia, w któréj ledwie mogę po pokoju przechodzić się, więcéj dnia na leżeniu i trochę siedzeniu przepędzając.

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego i będąc tak już na siłach słabym, żegnam się z wami najpierwéj, krewni moi, Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcéj od lat 40 przyjaciele moi: Karolu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Sieheniu, starosto krzemieńczucki, jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwemi i na tamtym świecie obaczyć się?! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie ojcze mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czém ty mnie w młodości mojéj napominałeś, ale przynajmniéj od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu (jak sobie przypomi-



nam) krzywdy nie zrobiłem. Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mię konając napominał i chociaż ta droga wiodła mię czasem do umartwienia, ale téż taż sama prawda wyznana (jakeś mi to przepowiedział) słodziła potém smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego sam jesteś położony, powiédz za dziecięciem twojém, że było ułomném, ale przynajmniéj starał się, aby zbrodniarzem nie był.

# DODATEK

## WIADOMOŚĆ O PSALMACH.

W pierwiastkach świata wszystkie narody, czyli towarzystwa, nie znając sposobu pisania, w ułożonych pieśniach wielkich ludzi dzieła, albo osad swoich przygody potomnym wiekom podawały. Tacy byli w Europie, według świadectwa Tacyta, Niemcy stare, tacy bardowie i druidowie, którzy, prócz umiejętności czarnych obrządków swoich, składali i śpiewali pieśni dawnych bohatyrów narodu. I niżeli Kadmus tebański do Grecyi przyniósł litery, toż samo i dawni Pelazgowie przez ciągłe z ust do ust podawanie czynili, z których pieśni, późniejsi już umiejący pisać złożyli się Grecyi poetowie, a z pierwszych i drugich najwymowniejszy Homer swoję układał Iliadę. Temiż samemi szczeblami narody afrykańskie i azyatyckie postępowały; a między inszemi, co dawniejszy od Greków chaldejski Abraham Izaakowi, ten wnukom, a ci dalszym rozrodzonym pokoleniom ustnie opowiadali, co potém Izraelita swojemi oczyma widział, to z czasem Mojżesz, ducha bożego pełny, już umiejący pisać, w księgach zostawił, albo do śpiewania ludowi podał.

Trzy tysiące lat przeminęło, jak Dawid kwitnął, którego psalmy, czyli pieśni święte, na wiersz polski nowo przetłómaczone czytelnikowi oddaję. Przez tyle wieków z hebrajskiego na chaldejski, arabski, etyopski, syryjski, wiele inszych azyatyckich; potém na grecki, łaciński, i wszystkie teraźniejszéj Europy języki, psalmy tłómaczone w tylu wiekach i narodach odziedziczyły już tę trwałą sławę, którą im próżno niektórzy z teraźniejszych nadwątlać pragną; i targając się zuchwale na tę poczesną starożytność, jedni, że się ustawicznie Dawid w swoich psalmach powtarza; drudzy, że w nich żadnego nie pilnuje porządku; insi, że mściwy, i dla nieprzyjaciół swoich nieubłagany, narzekają. Mąż, miłością Boga swego, i tém zaufaniem, na którém się nie zawodził, napełniony, czyliż dziwna, że się częściéj do tego zwraca, co ustawicznie w myśli, co w sercu swojém czuje? czyli



dziwna, że w zaciekach myśli tąż miłością zagrzany, tysiącznych rzeczy dotyka, i tysiączne dla nowych porzuca?

Ale wołanie zemsty na nieprzyjaciół, która wieków tamtych nie była miana za występek, którą nawet Homer w swoich bohatyrach jak cnotę jaką kładzie, i którą dopiero słodkie prawo ewanieliczne zmazało, nie ząb za ząb, jak u dawnych, ale odpuszczać nieprzyjaciołom rozkazując; wołanie Dawida o zemstę na nieprzyjaciół, z saméj zbytecznéj gorliwości o chwalę boską, albo o uciemiężenie nieszczęśliwych, pochodziło. Bo tento sam Dawid jest, który nie mścił się, ale darował krzywdę Saulowi, Semejemu, i tylu nieprzyjaciołom swoim; który w psalmie 7 podniósłszy ręce do góry woła: „Jeżelim oddawał złe za zło, niech upadnę przed nieprzyjaciołami mojemi.” Ten to sam Dawid, który w psalmie 138 odzywa się: „Wszakże, Panie, nie lubiłem tych, którzy Cię nienawidzili!.. i nieprzyjaciele Twoi, tém samém mojemi byli nieprzyjacielami.” Ale niechaj ci, którym zdaje się, że wtenczas próżnują, kiedy nikogo nie szarpią, niechaj potwarce na drugą stonę obejrzą się, na to mnóstwo najpiękniéj przez Dawida odmalowanych widoków! Zgrzyta mu zębami nieprzyjaciel, a fałszywa przyjaźń na boku stoi, i w czémby go podejść, uważa; bodziec cierniowy, kiedy boleje, aż mu do serca przechodzi; nachylony ku ziemi, wyschły, oczy częstém patrzaniem ku niebu mając zwątlone, stoi gdzie w kącie; a nieprzyjaciele jego rozprzestrzeniają się, i stykając na niego palcem, wyrzucają mu, że próżno słabemu swojemu Bogu zaufał.

Kiedy zaś tego Boga karzącego grzeszników opisuje, spuszcza go na skrzydłach wiatrów grubą odzianego chmurą, w któréj że sam światłem jest, ukryć się nie może. Gromy u Dawida są głosem Pańskim, a pioruny strzałami Jego. Chwieją się z bojaźni cedry na górach; morze na zawołaniu wały swoje aż ku niebu podniosło, a ziemia strwożona, ażeby się w niéj grzesznik nie ukrył, na poły się przedarła. Niezliczone w psalmach Dawida obrazy takie, naturalne i właściwe rzeczy opisywanie, wyrazy najtkliwsze, gdzie opowiada nieszczęścia swoje, opuszczenie od ludzi i krewnych, chorobę swoję, albo smutek, słowem wszystko to w nim ma cechę prawdziwéj a téj najwyższéj wymowy.

Przeto zdałoby się chcąc połączyć nabożeństwa nasze z pożytkiem, ażeby młodzież krajowa zamiast niektórych marnie poskładanych pieśni naszych, na codziennych nabożeństwach wybrane psalmy Dawidowe śpiewała; tym sposobem nietylkoby się do szanowania wielkiego Boga pobudzała, ale razem od dzieciństwa uczyłaby się wyrazów mocnych i wysokich, któreby do dalszéj wymowy prawdziwą drogę uścielały. I ponieważ starałem się, ażeby to tłómaczenie moje było jak najwierniejsze i łatwo zrozumiane, dlatego (jeżeli mę-

żom kościoła zdawać się będzie toż tłómaczenie moje z tekstem rozważyć, a szczęściem dla mnie zgodę tłómacza z oryginałem znajdą), za nadto hojną pracy mojéj miałbym nagrodę, żeby te ustawicznie modlące się ofiary, Bogu przy klasztorach panny poświęcone, nie w języku łacińskim, którego nie rozumieją, psalmy Dawida w godzinach swoich odmawiały; ale raczéj w ojczystym języku swoim. Aby tak odmawiana modlitwa, będąc od nich, jak być powinna, rozumianą, wzruszała im serce do tego Boga, którego dzisiaj tylko ustami chwalą.

Czemuby zaś psalmy tak nawet w łacińskim tekscie w niektórych miejscach nierozumiane były, przyczyną jest sama świętość pisma tego. Że naprzód owi starzy tłómacze, przekładając z inszém pismem i psalmy na język grecki, bojąc się, ażeby co z oryginalnego tekstu nie uronili, do słów się nawet przywięzywali; i gdy sposób tłómaczenia się hebrajski, jego (jak nazywamy) frazesy, w inszym języku co do słowa przełożone położyły się, w wielu pisma świętego miejscach ciemność zrobiły. Przyczynia się do tego, że język hebrajski (jak świadczą znający się na nim) ma tylko trzy tryby: *Indicativum, Imperativum, Infinitivum*; *in Imperativo* trzeciéj osoby nie ma; dwa zaś tylko *tempora*, czyli czasy, przeszły i przyszły, a resztę w języku różnym sposobem słowami ułożonemi do przygody swojéj obraca. Przyczynia się jeszcze i niewiadomość nasza miejsc Palestyny, albo przyległych krain, jako i tysiącznych wieku tamtego okoliczności, przygód i t. d. które, jako pisane do wiadomych im tylko napomknięte, nam zaś ciemne zostały. Stąd daléj poszło, że i tłómaczenie łacińskie, które równe do wierności tłómaczenia pobudki miało, a które dziś *Vulgata* nazywamy, w psalmach najbardziéj na wielu miejscach, przy wielkich nawet pomocach, z ciężkością zrozumiane być może.

Ale z łacińskiéj *Vulgata*, teraźniejsze tłómaczenie moje, nie przywięzując się do słów oryginału, gdzie jakie zawikłanie trafiło się, do sensu i łatwości wyrozumienia układałem. Najlepsze, które być mogły, psalmów edycye, w mojém tłómaczeniu mię prowadziły. Pierwsza paryska w roku 1727 wyszła; druga wiedeńska późniejsza, gdzie w konfrontowaniach z greckim i hebrajskim językiem, w przytoczeniach różnych wersyj i rozumienia ojców świętych, szukałem drogi do poznania jednego z drugiego sensów psalmisty. Gdzie tekst był łatwy do zrozumienia, tam nic a nic, ile możności, w tłómaczeniu mojém nie odmieniłem, pilny zawsze, więcéj literalnego co do słowa tłómaczenia się, niżeli okrasy wierszów. Gdzie zaś zawiłość jaka trafiła się, według oświecenia, które przed sobą miałem, i uwagi, jak można najbardziéj natężonéj, jaśniéj i do wyrozumienia starałem się przełożyć. Jeżeli szczęśliwie zamiarowi mojemu i żądaniom czytelnika w tém tłómaczeniu dogodziłem, do pociechy, którą stąd odnoszę,



Jp. Franciszek Dyonizy Kniaźnin, znany w literaturze polskiéj i łacińskiéj, należéć ma, który blizko trzydziestu różnych psalmów po psalmie w liczbie setnym przetłómaczył, i dokończenie pracy mojéj przyśpieszył.

Minęło lat dwieście, jak ojciec poetów polskich Jan Kochanowski *Psałterz Dawida* na polskie wiersze przełożył. Wielki ten mąż, tam gdzie sobie przypomniał czém był, w tłómaczeniu swojém nieporównany jest; takie są psalmy jego: 8, 29, 41, 78, 90, 132, 136, które, chyba tylko w słowach kilku przemieniwszy między teraźniejsze psalmy z niego przeniosłem: a poglądając na nie, i na robotę moję, żal i wstyd mi tylko pozostał, że albo on z równą pięknością reszty psalmów wytłómaczyć nie chciał; albom ja nie mógł. Prócz tego, psalmów Kochanowskiego kilkanaście, jako to: psalm 2, 5, 7, 11, 16, 27, 52, 62, 64, 65, 122, 123, 124, 125, 134, 139, po większéj części poprawionych i odmienionych do mego psałterza weszło. Reszta zaś, gdzie ten skądinąd nieśmiertelny człowiek, albo pracy sobie zadawać nie chciał, albo przydłuższemi w poezyi lirycznéj (jaka jest psalmów), nie tak dobrze brzmiącemi wierszami rzecz swoję rozwlekł; albo téż w wielu miejscach odstąpił od myśli tekstu, że nie miał w tamtym czasie tak dokładnego oświecenia, jak teraz z tylu edycyj późniejszych psałterza Dawidowego być mogło; albo nakoniec słońcu dając konie, i tym podobne wyrazy z poezyi greckiéj do hebrajskiéj nieleżycie przenosząc, resztę psalmów z gruntu tłómaczyć musiałem.

Przystąpmy teraz do niektórych wiadomości względem samego psałterza. Słowo psalm, psałterz, z łacińskiego języka wzięliśmy, a łacinnicy z greckiego. W greckim, psałterz znaczy granie na instrumencie dziesięciostrunnym, o którym wzmianka I. *Reg. Cap.* 6. To słowo także znaczy śpiewanie hymnów; i będzie pewna, że psalmy wszystkie w kościele jerozolimskim były śpiewane wraz z różnemi instrumentami muzycznemi, o których nazwiskach wiadomości nie masz, ale w samych psalmach częste się wspomnienie o nich znajduje. Czasem instrumenta uprzedzały śpiewanie psalmu, czasem przeciwnie, a czasem razem śpiewanie z instrumentami się zaczynało. O czém będzie jeszcze wyraźniéj w tytule psalmu 74.

W Psałterzu Dawidowym, ten który go zbierał, żadnego porządku, co należy do historyi, nie zachowywał. Psalm Dawida 71, na którym u mnie część pierwsza psałterza Dawidowego skończyła się, miarkując z ostatniego wiersza tegoż psalmu, powinienby być na końcu wszystkich psalmów położony. A przecież w drugiéj części tyle się jeszcze psalmów Dawida znajduje. Psalm trzeci, pewna jest, że wtenczas napisany, kiedy Dawid uciekał przed prześladowaniem Absalona, a psalm 50, dawniéj, kiedy tenże był naganiany od Natana proroka za zabójstwo i cudzołóstwo. Toż samo widzieć można i w in-

szych psalmach. Zdaje się, że psalmy dwa razy zbierane były. Pierwszy zbiór skończył się na psalmie 71, drugi zbiór potém uczyniono, podostawawszy Ezdrasz i inszych psalmów, co dla mnie powodem było, żem psałterz ten tłómaczony na dwie części podzielił, i pierwszą na wspomnionym psalmie 71, zakończył, jak właściwie zdaje się i w tekscie hebrajskim kończyć.

Żydzi i my mamy psalmów 150, ale Żydzi psalm 9 dzielą na dwoje, i u nich psalm 10 zaczyna się od tego: *Ut quid Domine recessisti longe?* Toż samo i z psalmem, według naszego porządku liczby, setnym trzynastym, bo u nich i ten psalm na dwa dzieli się, gdyż od tego miejsca: *Non nobis Domine, non nobis*, zaczynają psalm 114, ale téż znowu do nas przychdzą, bo nasz psalm 114 łączą u siebie na jeden z naszym 115! i znowu nasz 146, łączą u siebie z naszym 147.

Nie sam tylko Dawid autorem psalmów jest, ale i Mojżesz, Salomon, Azaf, Eman, i Etan Ezrahitowie, Aggeusz, Zacharyasz i t. d. Azaf, a po części niektórzy z jego następców, byli autorami psalmów, w tekście hebrajskim pod tytułem Azafa zapisanych. Jako Azafa psalmy jego są własne, widzieć można świadectwo 2. *Paralip. Cap.* 29. gdzie Ezechiasz rozkazuje lewitom: Chwalcie Pana psalmami Dawida i Azafa proroka. Każdy prawie psalm w hebrajskim ma swój osobny tytuł, które powszechnie są bardzo ciemne. Najpewniejsze są tytuły psalmów 40 i 64-tego, bo Żydzi do dziś dnia tytuły tych psalmów wraz z samemi psalmami śpiewają.

Jak cała biblia, tak w niéj i psalmy, prócz dawnego tłómaczenia owych siedmdziesiąt dwóch starców (którzy tylko pięć ksiąg Mojżesza na grecki język przełożyli), była potém na tenże język z oryginału hebrajskiego tłómaczona przez Akwilę ponckiego, Teodocyona ponckiego, Symmacha, i dwóch jeszcze tłómaczów nieznajomych. Z siedmdziesiąt dwóch tłómaczów i samego tekstu hebrajskiego przetłómaczona potém była biblia we Włoszech na język łaciński, a to tłómaczenie nazywało się włoskiém, które z czasem św. Hieronim poprawił, tego zaś włoskiego, albo poprawnego używał kościół aż do Sykstusa V, za którego wyszła *Vulgata*, za najlepszą uznana.

Ażeby psalmy lepiéj od nas zrozumiane były, namieniamy krótko o dawnych Izraelitów początku, ich ofiarach, ich kościele, ich królach, ich kapłanach, świętach, śpiewakach kościelnych, o prawach rolniczych, sądach, rządzie krajowym, i tym podobnych wiadomościach, które prócz biblii, gdzie tego narodu dzieje opisane, skądinąd jeszcze powziąć mogliśmy.

Arystoteles twierdzi u Klearcha, że Żydzi poszli od indyjskich mędrców, którzy się Kalanami nazywali, i tylko imię odmienili; Tacyt zaś, że z wyspy Krety wypłynęli, i będąc dawniéj mieszkańcami góry Idy, *Idaei*, a potém *Judaei* się nazywali. Ale bezpieczniéj wie-



rzyś Pismu, które o Abrahamie powiada, że z Ur chaldejskiego, ojczyzny swojéj, do Chananei przeniósł się, gdzie będąc gościem zamieszkał, spłodzonego syna Izaaka obrzezał, od którego znowu Jakób, inaczéj nazywający się Izrael, ojcem był dwunastu synów, a od nich dwanaście pokoleń, i naród cały wziął imie Izraelitów. Herodot twierdzi, że sami Egipcyanie, Kolchowie i Etyopi obrzezywali się; Żydzi zaś od Egipcyanów obrzezanie i wiele innych obrządków przejęli. Ale o obrzezaniu Żydów przeciwnie jest w Piśmie i ta tylko zostaje prawda, że Żydzi przejęli, długo potém pamiętali bożyszcza egipskie: tak Hieroboam w Dan i Betel złotego wołu odlać kazał, któremu się kłaniano.

Plutarch i Korneli Tacyt powiadają, że Żydzi osła za boga czcili, na pamiątkę jakoby, że na puszczy wody nie mając, osieł za paszą chodzący odkrył źródło. Ale ta bajka przeciwna jest wyżéj wspomnionéj prawdzie, że Izraelitowie wiele bożyszcz egipskich czcili, i od bałwochwalstwa egipskiego, w którém mieli upodobanie, długo odwyknąć nie mogli. Nie zdaje się tedy, ażeby kiedy czcić mieli osła, kiedy to bydlę w największéj u Egipcyan pogardzie było. Izraelitowie w Egipcie żadnego kraju swego nie mieli. Kraina Gozen dana im tylko była do mieszkania od Faraona, a za to zażywani byli do robót publicznych, do robienia cegły, noszenia gliny i chędożenia miast. Wszelako mieli Żydzi w Egipcie 70 starców, którzy pomniejsze sprawy sądzili, porządek niejaki między sobą układali; ale kryminalne sprawy do rządu państwa należały.

Mojżesz wyprowadził Izraelitów z niewoli egipskiéj, i w pięciu księgach, nazwanych potém z greckiego Pentateuchem, napisał im prawo, którego się dotychczas trzymają. Przed prawem napisaném od Mojżesza Chińczykowie, według zdania niektórych, daleko dawniéj przez prawa byli rządzonemi. Sam Egipt, z którego wyszli Izraelici, musiał być i był zapewne prawami natenczas rządzony, kiedy według samegoż Pisma świadectwa, tak potężném królestwem, i tak wydoskonalonym był narodem. Talmudystowie nawet piszą, że nie pierwszy Mojżesz wymyślił i złożył prawa; ale daleko przed nim było siedm owych sławnych w świecie Noego przykazań, których ktoby nie umiał, bez miłosierdzia go Izraelitowie podczas wojny zabijali. Sześć przykazań, jak oni mówią, Bóg sam nauczył Adama: 1-ód Chwalić Boga. 2-te Prawo to ludziom opowiadać. 3-cie Krwi ludzkiéj nie przelewać. 4-te Bałwanów nie czcić. 5-te Zdzierstwa nie czynić. 6-te Kazirodztwa nie popełniać. Potém Noe przydał 7-me: ażeby mięsa z krwią nie jeść.

Tak, przez napisane prawo Izraelitom, Mojżesz wprowadziwszy teokracyą, czyli najwyższy rząd ludu przy Bogu i wyrokach Jego zostawiwszy, przyprowadził Izraelitów do ziemi chananejskiéj, gdzie

dawniéj był gościem Abraham. Ziemia ta była częścią Palestyny o któréj daleko potém Hekateusz Abderyta, będący na wszystkich wyprawach azyatyckich z wielkim Aleksandrem, w książce swojéj o téjże Palestynie napisanéj świadectwo daje, że nad wszystkie kraje, które widział na świecie, Palestyna zapewne, co do żyzności i piękności, najpierwszą była. Takąto ziemię, zacząwszy pod Mojżeszem, zupełnie pod wodzem Jozue zawojowali Izraelici, wytępiwszy, albo w niewolę dawnych mieszkańców zabrawszy. Jozue podzielił Palestynę na części dwanaście, które dwunastu pokoleniom izraelskim rozdał, a nawet familie w każdém pokoleniu porachowawszy, na każdą głowę pewną rozległość gruntu sznurem oznaczył, ażeby tym sposobem wszyscy zrównani byli.

Mieli Izraelitowie prawa swoje rolnicze, jako to: niewolno było nikomu gruntu swojego dziedzictwem przedać; ktoby zaś grunt swój zastawił, mógł go każdego dnia odkupić, albo w lat 49 to jest w czasie jubileuszu darmo się do dziedzica wracał. Rabbi Majmon, ten najsławniejszy dziejów narodu swojego badacz, powiada, że przez sto rąk przeszłe, podczas jubileuszu grunta do dziedziców się powracały. Rozumne to prawo przywięzywało do rolnictwa wszystkie w szczególności osoby Izraelitów; bo choć kto roli nie miał, zawsze mu się, albo dziecięciu jego wracała, ażeby tak każdy koło roli pracował. Wszelako w przedażach, lub zastawach gruntu, zawsze wzgląd mieli na jubileusz. W Pentateuchu opisano dostatecznie Żydom, kiedy i jak długo zidmi odpocząć, co zachowywać podczas żniwa i winobrania, w którym roku z winogradu pożytkować należy, i t. d. O czém wspomniony rabbi Majmon obszerniéj jeszcze się rozwodzi.

Pewna miara gruntów dla obywatela, prócz ustaw w Sparcie Likurga i u dawnych Rzymian, wyznaczona była, świadkiem prawo Solona, którém, po dawnych zbytkach Rzymian, obostrzono, ażeby możniejszy więcéj nad 500 staj ziemi nie posiadał. Prawo zaś nieprzedawania gruntów, według Arystotelesa w księgach Polityki, od dawnych prawodawców Europy było także postanowiono; tak zrobił Oliksus Elijczyków król; i Lokrom zakazano, aby starych majętności nigdy nie przedawali. Chociaż rolą przedaną wracał u Izraelitów dziedzicowi jubileusz, ale domu nigdy; przecież do roku mógł dziedzic dom swój odkupić. Jeżeliby się kupujący gdzie ukrył, albo z przypadku przytomnym nie był, tedy złożywszy w urzędzie pieniądze, dziedzic miał prawo drzwi wyłupać i mieszkać. Prawo rolnicze u Izraelitów do zaprowadzenia babilońskiego wiernie zachowywane było, po którém zupełnie ustało, jako téż i jubileuszu więcéj nie obchodzono.

Jubileusz zaczynał się u Izraelitów od siódmego dnia miesiąc *Tisri*,



w siedm razy siedm lat po przeszłym, to jest w lat 49, a trwał rok cały, co wynosiło lat 50. Radość w tym czasie była powszechna, bo nawet sługom wolność dawano. Przez dziewięć dni pierwéj (mówi *Majmon*) jedli, pili i po miastach z koronami na głowach słudzy chodzili, w dzień ekspiacyi senatorowie (sanhedryn) w trąby zatrąbili i słudzy wolność odbierali, a grunta dziedzicom się wracały.

Mojżesz, wyprowadziwszy Izraelitów z niewoli, ustanowił sędziów za radą Jetra, teścia swego, którzy słuchali skarg ludu i rozsądzali spory. Ten sąd u nich nazwany był potém sanhedryn, i aż do ostatniego upadku Żydów sądził się nieustannie w Jerozolimie. Przed ustanowieniem królów, rządcy ludu sędziami się nazywali, przy których najwyższa władza bywała w czasie wojny, lub pokoju, ale nie o tych sędziach mówimy. Sanhedryn, czyli senat najwyższy sędziów narodu, składał się z siedmiudziesiąt osób z różnych pokoleń, ale najwięcéj z pokolenia Lewi wybranych. Zasiadali w kościele samym, gdzie o boskich i cywilnych rzeczach sądzili bez apellacyi. Dwóch między niemi było najstarszych; pierwszy nazywał się książęciem wszędzie, drugi ojcem sądu. Mojżesz, tworząc tych sędziów, kładł na nich ręce; ale z czasem wiele do tego ceremonij przydawano. Nie mógł zasiadać w sanhedryn cudzoziemiec żaden, i prawo wyciągało, ażeby był przynajmniéj z matki Żydówki urodzony. Senatorowie ci po wszystkich miastach Palestyny magistraty ustanawiali; a w każdém mieście po 23 sędziów sądziło. Do miasteczek zaś, gdzie więcéj nad 120 obywatelów nie było, trzech tylko sędziów posyłali. Gabiniusz, prokonsul Syryi, zmniejszył potém władzę sanhedrynu jerozolimskiego, kiedy takiż sąd w pięciu miastach Palestyny postanowił, jako to: w Gadarys, w Amatuncie, w Jerychu, w Seforze i w Jerozolimie. Prócz sądu sanhedryn w Jerozolimie, były tam jeszcze dwa rodzaje sędziów, każdy po 23 osób w sobie mający, a te dwa trybunały sądziły się przy dwóch bramach kościoła.

Królowie u Żydów najwyższą powagę mieli. Arcykapłan stał zawsze przy nim, i usiąść nie mógł, czego czynić nikomu nawet nie wolno było, kiedy król sam tylko najbliżéj przybytku siedział. Padano przed królami na twarz, choćby kto był i prorokiem; tak upadł Natan przed Dawidem. Taką zaś królom powagę robiła władza, którą większą daleko niżeli dawni sędziowie mieli; ale więcéj jeszcze téjże powagi pomazanie olejem świętym przyczyniało.

Po godności królewskiéj następowała u Izraelitów arcykapłańska. Mojżesz, sporządziwszy naczynia święte: lichtarz, stół, kielichy, nalewki, przybytek i arkę, gdzie złożył prawo, uczynił z rozkazu bożego Aarona arcykapłanem, a kapłanami czterech synów jego: Nadab, Abihu, Eliazar, Itamar. Pierwsi dwaj pomarli bezpotomni, od drugich zostało mnogie pokolenie. Mojżesz sam postanowił ośm kapłań-

stawali. Ponieważ i kapłani i Lewitowie służbą kościoła zatrudnieni byli, pierwsi i drudzy mieli do swojéj posługi naznaczonych nethineów, czyli zabranych na wojnach niewolników, a ci lewitom drwa i wodę nosili, i w jednym przysionku kościoła sypiali.

Tak lewitowie, jak i kapłani, kolejno według klas swoich przychodzili do Jerozolimy dla służenia w kościele przez miesiąc, po którym upłynionym, insza klasa w porządku następowała; ale na trzy najgłówniejsze święta w roku wszyscy się schodzili. Największa część zasiadających w sanhedryn była z lewitów, zażywano ich do urzędów, że dla ludzi byli nauką i przykładem. Lewitowie powinni byli jeszcze usługiwać kapłanom, i podczas ofiar, albo na organach grali, albo w kościele głosami śpiewali, całą noc w kościele bezsennie trawiąc; kapłani zaś, których był kolejny do służby miesiąc, spać mogli, ale na gołéj ziemi tak, jak i delfickiego Apollina popi.

Do Lewitów (jakośmy dopiero wspomnieli) należało śpiewać w kościele, i z tego tylko pokolenia wybierano na kantorów, czyli śpiewaków. Pierwsi z nich pochodzili od Kahat, drudzy od Gersona, trzeci od Merarego. Mieli szkołę do uczenia się śpiewania, i tak się w tém doskonalili, że niektórzy zadziwieniem byli wieku swego, najbardziéj w sztuce przykładania palca do ust, i tym sposobem rządzenia głosem swoim. Grali prócz tego na różnych instrumentach, nam nieznajomych; o zgadzaniu się zaś śpiewaków z instrumentami, wspomniało się wyżéj, i jeszcze się w tytule psalmu 74-go wspomni. Tych kantorów do śpiewania psalmów było na 4000. Instrumenta zaś muzyczne były z drzewa drogiego, srebrem, albo złotem przyozdobione. Prócz świąt wielkich, codziennie rano i w wieczór śpiewano. Naczelnicy śpiewaków, często razem i prorokami, czyli widzącemi bywali; tak Asaf, Heman, Idytun, ojcowie z synami swemi śpiewali i prorokowali (jak jest w Piśmie) przed oczyma Dawida. Podczas codziennych ofiar, lewitowie śpiewacy stali w kościele na pewnym gradusie kamiennym, podniesionym od ziemi na łokieć, długim zaś na 135 łokci, a ten gradus w kościele przedzielał pospólstwo od kapłanów. Kiedy zapalano całopalenie, póty powinni byli śpiewać, póki nie zgorzało.

Następujące zaś psalmy zwyczajnie codzień śpiewali. Pierwszego dnia tygodnia psalm 24, drugiego 48, trzeciego 82, czwartego 94, piątego 81, albo 91, szóstego 93, a w sabat nakoniec 92. Mieli kantorowie dwóch przełożonych: jeden był głosu, drugi instrumentów, którym zrobione psalmy Dawid, albo późniejsi po nim pisarze, do śpiewania oddawali. Prócz zaś tych śpiewaków nazwanych świętemi, byli jeszcze śpiewacy i śpiewaczki nazywane świeckie, a tych zażywano podczas obchodów pogrzebowych.

Ofiary do kościoła jerozolimskiego były niezliczone, ponieważ



jeden tylko był kościół w całéj Palestynie. Dzień największéj uroczystości i ofiar, był dzień 17 miesiąca *Tisri*, i nazywał się dniem oczyszczenia. Arcykapłan brał dwa kozły, jednego na ofiarę zabijał, drugiego posyłał na pustynią na górę Hazazel, skąd go na dół spychano; ale święta Wielkanocne zabijaniem mnóstwa bydląt na ofiarę były najsławniejsze. Mówi Flawius, że na to święto zabijano w kościele jerozolimskim na ofiarę 250,000 bydła, około czego sto dwadzieścia tysięcy kapłanów i lewitów się zatrudniało. Izraelici rano i wieczór codzień w kościele ofiarowali, i arcykapłan każdego ranka palił kadzidło przed zasłoną, która zasłaniała arkę; w sabat prócz tego co tydzień ofiarowano; ale roczne ich święta i ofiary były następujące:

1) Pascha dnia 14 miesiąca *Nizan*. 2) Zielone świątki dnia 7 miesiąca *Sivan*. 3) Święta ekspiacyi dnia 17 miesiąca *Tisri*. 4) Trąbki dnia 1 miesiąca *Tisri*. 5) Święto poświęcenia dnia 26 tegoż miesiąca. Do tych ofiar rocznych, jako i do ustawicznych, codziennie z wielką pilnością oltarze chędożono. Żydzi w ofiarach swoich części bydlęcia porządkiem ofiarowali: najpierwéj głowę, potém kark i t. d., ale najbardziéj dbano na nerki i tłustość z błonką około nich i około żołądka, którą ofiarując, składali na oltarz, mięso zaś jedli. Ta tłustość nazywała się u nich *Morim*, to jest rzecz pryncypalna; z trojga zaś tylko rodzajów bydląt odbierana była: z wołu, z owcy i z kozy. Kości z ofiary baranka palono, a przy paleniu tłustości na ofiarę arcykapłan czytał ośmioro błogosławieństwa z Pentateuchu, potém dodawał: „Więcéj nadto, com czytał przed wami, jest".

O wspaniałości i bogactwach kościoła jerozolimskiego czytać można do sytości w Piśmie świętém. Był on podzielony na dwoje, miejscem dla ludu i dla kapłanów; w podziale kapłanów król najbliżéj przybytku siedział. Prócz niezmiernéj wielkości kościoła tego, mogli jeszcze ludzie i na dachach jego mieścić się, że były z gankami, a płaskie. Za czasów Ezdry nethineów dla straży nocnéj kościoła było 392, odźwiernych zaś z kapłańskich familij 24, ale za czasów Dawida i Salomona odźwiernych i straży nocnéj było do 4,000; mieli swoich urzędników i odwiedzali straże z największą pilnością. Póki tylko na całą Palestynę jeden był kościół w Jerozolimie, póty nierównie większą miał do ofiar ludność; ale jak dziesięć pokoleń Izraela odłączyło się, a po zaprowadzeniu babilońskiém, Sanabalates, za pozwoleniem Aleksandra wielkiego, w Samaryi na górze Garyzym inszy kościół wystawił, natenczas jerozolimski, po pierwszém zburzeniu, od Zorobabela i Ezdrasza zbudowany, tyle ludności nie miał. Ale kościół w Samaryi, we 200 lat potém przez Hirkana obalony, znowu wielkość dawną jerozolimskiemu przywrócił.

Wszelako nie miał jeszcze tego mnóstwa ludu, które bywało da-

wniéj, bo tylko dwa pokolenia powróciły z niewoli babilońskiéj i zamieszkały Palestynę; reszta zaś, osiadłszy po różnych częściach świata, powrócić nie chciała, i tylko składki czyniąc, różne ofiary do Jerozolimy przysyłali. Na ten koniec mieli dwa miasta w Azyi: Noerdan i Nizybin, gdzie zwozili pieniądze na kościół, a potém je razem przewozili do Jerozolimy. Z tych składek niezmiernie zbogacony był kościół jerozolimski, że co w nim złota ów łakomy Krassus zabrał, to potém po zburzeniu za Tytusa znaleziono, wiarę nawet przechodziéby powinno, gdyby nas współczesnych pisarzów, a nawet samych Rzymian świadectwa nie zapewniały. Ale za czasów jeszcze Salomona kościół ten niezmierne bogactwa posiadał. Król ten (jak świadczą najdawniejsze tradycye żydowskie) niepoliczone złoto w grobie ojca swojego Dawida tajemnie zamknął, z którego około w 1200 lat potém Hirkanus oblężony od Antyocha 3000 talentów dobył, a późniéj jeszcze Herod niezmierne skarby zabrał. W przypiskach na polski język przetłómaczonego Tacyta, obszerniejsze opisanie niezliczonych bogactw kościoła jerozolimskiego, ktoby chciał być zupełniéj w téj mierze oświeconym, znajdzie.

Równie jak dawni Rzymianie, i Izraelici miewali poświęcenia miast swoich. Tych zaś było dwoje: pierwsze po wejściu Jozuego i odziedziczeniu kraju; drugie przez Ezdrasza po przyjściu z Babilonii. Trzeciego zaś poświęcenia miast Palestyny od przyszłego Mesyasza próżno czekają. Miasta u Izraelitów były ludne, ale nie bardzo się porządkiem wewnętrznym zatrudniały, co można poznać z psalmu 143, który sąsiedzkie miasta Filistynów, daleko porządniejsze od izraelskich, opisuje. Hekateusz u Flawiusza powiada, że za czasów jego było długości Jerozolimy na 50 staj; mieszkańców zaś w niéj mieściło się na dwakroć sto tysięcy. W mieście Izraelici nie mieli ogrodów żadnych, a trupy swoje chowali za miastem, i dwa tylko groby w saméj Jerozolimie, Dawida i Oldy. Mieli sześć miast *azylu*, czyli ucieczki, do których uciekali się ci, którzy niechcący kogo zabili, i aż po śmierci arcykapłana stamtąd powrócić mogli. Toż miały prawo i miasta lewitów, których było 42. Pod Rzymianami Jerozolima była miastem municypalném, jak insze; a od Klaudyusza cesarza uprosiła sobie prawo obmurowania się.

U Żydów była intolerancya, czyli niecierpienie cudzéj wiary największe. Ani się stroić, jak poganie, ani się żenić, ani jeść, ani mieszkać z człowiekiem inszego narodu i wiary nie mogli. Rabbi Zakut powiada, że za czasów Hirkana i Arystobula takie sobie prawo ustanowili: „Przeklęty niech będzie, który swego syna Grekom oddaje na naukę". Nawet jeżeli przypadkiem przyszli do lasów tych, które poganie w swojéj religii szanowali, nie powinni byli ani usiąść, ani odpocząć pod cieniem drzewa takiego; i jeżeli można, lasy takie zdaleka omijali; cóż dopiero! drzewa kawałka z nich wziąć nie mogli.



Religia ich była najczystsza, jako sam im to pisarz pogański Tacyt przyznaje: „Żydzi — mówi on — myślą samą jednego Boga wyznają, a tego najwyższego i wiecznego, nie mogącego się ani odmienić, ani zakończyć". I przekonali się sami Rzymianie, tylu baśniami o nich uprzedzeni, że prócz téj, żadnéj inszéj wiary nie mieli. Bo kiedy Pompejusz wielki, pierwszy z pogan, wszedł w Jerozolimie do *sancta sanctorum*, nic tam zupełnie nie zastał (gdyż owa dawna arka podczas zburzenia jeszcze przez Babilończyków zginęła), prócz miejsca próżnego. Stąd Lukan o nich: *et dedita sacris incerti Judaea Dei.* Wszelako tak czystą mając religią, którą się sprawiedliwie chlubili, zapominali często dawnego Boga, nowym sąsiedzkim bałwanom kłaniali się, jako w tylu miejscach świadczą dzieje Pisma, i z goryczą wyrzuca im to psalmista.

KONIEC.

Podlas. Biblioteka Wojewódzka im. Wł. Syrokomli w Białymstoku 79333

# SPIS RZECZY.


Str.

WSTĘP przez *Piotra Chmielowskiego* . . . . . v

I. PIEŚNI NABOŻNE.

1. Poranna . . . . . 3
2. Adwentowa . . . . . 4
3. O Narodzeniu Pańskiém . . . . . 4
4. O Męce Pańskiéj . . . . . 5
5. O Zmartwychwstaniu Pańskiém . . . . . 7
6. O Duchu Świętym . . . . . 7
7. O Wierze, Nadziei i Miłości . . . . . 8
8. O Opatrzności Boskiéj . . . . . 10
9. O Miłosierdziu Boskiém . . . . . 10
10. O Cierpliwości Chrześcijańskiéj . . . . . 11
11. O Dniu Sądnym . . . . . 12
12. Na pamiątkę . . . . . 13
13. O dobro rady Stanom Narodu . . . . . 14
14. O błogosławieństwo krajowi . . . . . 15
15. O powołaniu i podległości rządowi . . . . . 16
16. O miłości bliźniego . . . . . 17
17. O powinnościach chrześcijańskich . . . . . 17
18. Na procesyą Bożego Ciała . . . . . 18
19. Podczas pracy w polu . . . . . 19
20. O pogodę . . . . . 20
21. O deszcz . . . . . 20
22. Podczas chrzcin dziecięcia . . . . . 20
23. Podczas ślubów małżeńskich . . . . . 21
24. Przy grzebaniu umarłych . . . . . 21

| | | Str. |
|---|---|---|
| 25. | Do Najświętszéj Panny | 22 |
| 26. | Wieczorna | 22 |
| 27. | Do Boga. | 22 |
| II. | SIELANKI. | |
| 1. | Do Justyny o wdzięczności | 23 |
| 2. | Pożegnanie z Lindorą w górach | 24 |
| 3. | Do Justyny. Tęskność na wiosnę | 25 |
| 4. | Rozstanie się Medona | 26 |
| 5. | Do Justyny o Stateczności | 28 |
| 6. | Do Motyla | 29 |
| 7. | Do Skowonka | 30 |
| 8. | Korydon | 31 |
| 9. | Korydon szczęśliwy, myśl z Katulla | 32 |
| 10. | Korydon smutny, na śmierć Palmiry | 32 |
| 11. | Laura i Filon | 34 |
| 12. | Pasterz do owieczki straconéj | 40 |
| 13. | Do przyjaciół po rozstaniu się z Rozyną | 41 |
| 14. | Do Justyny | 42 |
| 15. | Dafne i Korydon | 43 |
| 16. | O Justynie | 45 |
| 17. | Dzieci u matki | 45 |
| 18. | Na odmienione Nad-Prucie | 48 |
| 19. | Nice do niestatecznego | 50 |
| 20. | Na posągi Rolnictwa i Poezyi | 50 |
| 21. | Rocznica imienin zmarłéj księżniczki Teresy Czartoryskiéj, jenerałowéj Ziem Podolskich, w Powązkach obchodzona | 51 |
| III. | PIEŚNI. | |
| | Księga I. | |
| 1. | Zabawa na ustroniu. Myśl z angiels. Arystypa | 55 |
| 2. | Do przyjaciela | 58 |
| 3. | Trwoga człowieka blizkiego śmierci | 58 |
| 4. | Przeciwko Deistom | 59 |
| 5. | Na piorun, blizko uderzający | 61 |
| 6. | Czas | 62 |
| 7. | Lament Gołębicy | 67 |
| 8. | Sady i Fatym | 68 |
| 9. | Na dzień urodzin Maryanny z Kalinowskich Ponińskiéj, Wojewodzicowéj Poznańskiéj | 69 |
| 10. | Na imieniny téjże | 70 |
| 11. | Na obraz tryumfu śmierci | 71 |





| | | Str. |
|---|---|---|
| 12. | Smutek | 71 |
| 13. | Do Faustyny, na niestateczność | 73 |
| 14. | O uspokojeniu z cnoty | 74 |
| 15. | O wielkości Boga | 75 |
| 16. | Do Wolności | 78 |
| 17. | Duma Lukierdy czyli Luidgardy | 84 |
| | Księga II. | |
| 1. | Stateczność | 87 |
| 2. | Zwycięstwo | 88 |
| 3. | Smutek | 89 |
| 4. | Trzeba się kochać | 89 |
| 5. | Róża | 90 |
| 6. | Zdrada | 91 |
| 7. | Tęskność, z francuskiego | 91 |
| 8. | Ona się nie skryje | 92 |
| 9. | Pożegnanie | 93 |
| 10. | Nieszczęście | 94 |
| 11. | Mazurek | 95 |
| 12. | Szczęśliwość | 95 |
| 13. | Wieśniaczka | 96 |
| 14. | Kloe nazwana Leszkiem Białym | 97 |
| 15. | Już ja nie ten | 97 |
| 16. | Przeciwko pojedynkom | 98 |
| 17. | Do Ign. Potockiego, pisarza lit., po śmierci żony jego, Elżbiety z książąt Lubomirskich | 102 |
| 18. | Głos zabitego do sądu | 103 |
| 19. | Na imieniny swojéj pani | 105 |
| 20. | Przyjaciołki nieszczęśliwe | 105 |
| 21. | Przewaga zawiści | 106 |
| 22. | O Mądrości | 106 |
| 23. | Przeciwko Fanatyzmowi | 108 |
| 24. | Do pani Elżbiety z książąt Poniatowskich Branickiéj, Kasztelanowéj Krakowskiéj, H. W. K., w dzień imienin jéj, Obraz cnoty | 109 |
| 25. | Do młodéj panienki | 111 |
| 26. | Żebrak przy drodze | 112 |
| 27. | Do pani Ogińskiéj, hetmanowéj W. W. X. Lit., na Aleksandrów, dom wiejski | 113 |
| 28. | Do dwóch Synogarlic | 114 |
| 29. | Przypomnienie dawnéj miłości | 115 |
| 30. | Szczęście przy Dorydzie | 116 |

Str.

Księga III.


1. Chustka Aryadny . . . . . 117
2. Do Temiry . . . . . 119
3. Odpowiedź do Filona . . . . . 119
4. O Temirze. . . . . 119
5. Do Pasterki . . . . . 120
6. Do Dobréj. . . . . 120
7. Do Zosi . . . . . 120
8. Na dedykacyą Ołtarza dobroci Elżbiety poświęconego . . . . . 120
9. Duma . . . . . 121
10. Do X. A. S. G. A. L. . . . . 121
11. Matka do córki . . . . . 122
12. Do Boga . . . . . 122
13. Ołtarz wdzięczności NN. . . . . 123
14. Do grzecznéj tylko Lindory, w lutym. . . . 124
15. Na Wokluz, wody i dom gocki pod Białym Stokiem 124
16. Korynny żal po młodości. . . . . 126
17. Do Zosi . . . . . 126
18. Do Macieja . . . . . 127
19. O św. Kazimierzu, królewiczu polskim, do Aleksandry z Czartoryskich Ogińskiéj, hetmanowéj W. X. L. . . . . 127
20. Do tejże, na dzień urodzin jéj . . . . . 127
21. Prawdziwa rozkosz. . . . . 128
22. Do Przyjaciela . . . . . 129
23. Córka tęskniąca do Ojca . . . . . 130
24. O prawdzie X. K. P. w dzień imienin jego . . 131
25. Życie w osobności . . . . . 133
26. Pieśń mazurska . . . . . 134
27. Do Elżusi . . . . . 135
28. Pieśń dziada Sokalskiego, w kordonie cesarskim. 136
29. O znikomości świata . . . . . 137
30. Z przypadku mostu spalonego w Wilnie, do księdza Poczobuta, rektora Akademii Wileńskiéj, i księdza Kundzicza, kanonika inflanck. 138
31. Żona do zmarłego męża . . . . . 138
32. Przeciwko samobójstwu Filon do Palmiry . . 139
33. Na Wiązownę, dom wiejski księżnéj Radziwiłłowéj M. W. X. Lit . . . . . 142
34. Matka do swego dziecięcia . . . . . 143




Str.


35. O Tęczyńskim . . . . . 143
36. Do A. T . . . . . 145
37. Do tejże . . . . . 145
38. Do mojéj przyszłéj . . . . . 146
39. Szczęście i nieszczęście, z francuskiego . . . 147
40. Kupido okradziony, z francuskiego . . . . . 148
41. Do księżnéj Lubomirskiéj, Wojewodziny Kijowskiéj, w roku 1794 . . . . . 149
42. Pieśń przyjacielska przy kielichu . . . . . 150
43. Pieśń Siostry do Siostry, na imieniny . . . . 150
44. Pieśń pasterska do Zosi . . . . . 151
45. Pieśń do Laury wodą płynącéj na wiosnę . . 151

IV. WIERSZE RÓŻNE.

1. Człowiek i Kamień, bajka . . . . . 152
2. Podróżny i Strumień, z francuskiego . . . , 152
3. Brat i Siostra . . . . . 153
4. Wilk i Liszka . . . . . 154
5. Bajka z francuskiego . . . . . 155
6. Orzeł i Sroka . . . . . 155
7. Słup i Telega, bajka . . . . . 156
8. Wiersze z poddanych czterech słów . . . . 156
9. Do Kloryny . . . . . 157
10. Nagrobek Nadziei . . . . . 157
11. Przestroga do Eufrozyny. . . . . 157
12. Do pracującéj na kościół . . . . . 158
13. Z Antologii poetów greckich niektóre tłómaczenia . . . . . 158
14. Do Księżnéj Eleonory Czartoryskiéj K. W. X. L. 162
15. Do N. N. . . . . 162
16. Pod portretem Elizy . . . . . 162
17. Niezawsze-śmy sławni. . . . . 162
18. Nadedrzwiami domu leśnego księżnéj Radziwiłłowéj K. W. . . . . 163
19. Do Marcina Zaleskiego . . . . . 163
21. Do księcia Konstantego Czartoryskiego, list wymawiający się . . . . . 164
22. Reguły powszechniejsze dla gospodarzów domu 164
23. Brutus o nieśmiertelności duszy. . . . . 166
24. Szczęście czyli opisanie raju. . . . . 167
25. Mrówka . . . . . 169
26. Wezyr Giafar do Haruna Al-Raszyd . . . . 174
27. Sumnienie. . . . . 177

| | | Str. |
|---|---|---|
| 28. | Kato o nieśmiertelnośai duszy | 182 |
| 29. | Irus blizki śmierci | 183 |
| 30. | Podróż z Dobiecka na Skałę | 188 |
| 31. | Do dziecięcia rodziców nieszczęśliwych. | 194 |
| 32. | Powrót z Warszawy na Wieś | 194 |
| 33. | List do Joachima Chreptowicza | 197 |
| 34. | Starzec i Córka, myśl z Voyageur sentimental do U. D. S. W. | 200 |
| 35. | Do Dymitra Koszelewa, Litewsko-Grodzieńskiego Gubernatora, oddając mu książkę Rozmów Platona | 202 |
| 36. | Horacyusza Oda XIV do Postuma | 203 |
| 37. | O podejrzliwości Jana Jakóba Rousseau. Wyjątek z poematu o imaginacyi przez L'Abbé De-Lille | 203 |
| 38. | Pieśń do Najjaśniejszego Imperatora Aleksandra, przez dwanaście panien ubogich, z powodu przybycia jego do Grodna wyposażonych przez obywatelów, śpiewana | 205 |
| 39. | Wyjątek z poema pana Delille o politowaniu nad służącemi | 206 |
| 40. | Do Elżbiety z Poniatowskich Branickiéj, kaszt. krak. z okoliczności sług jéj starych. | 207 |
| 41. | Klorys i Egla | 207 |
| 42. | Trzy panny do wybrania, niewinna, piękna, bogata | 208 |
| 43. | Pieśń wieśniaków puławskich w dzień imienin swojéj pani. | 209 |
| 44. | Pieśń do Kloi | 209 |
| 45. | Pieśni gości na zapustach do Maryanny Prozorowéj, Wojewodziny Witebskiéj | 210 |
| 46. | Pieśń na imieniny Felicyanny z Głuchowskich Laskowskiéj, Wojsk. Kobr. śpiewana od dzieci i wnucząt | 210 |
| 47. | Pieśń na drożyznę. | 210 |
| 48. | Fragment o sławie. | 211 |
| 49. | Na obory puławskie | 211 |
| 50. | Z okoliczności jabłoni przeze mnie szczepionéj w Brzostowicy, u szefa Stryjeńskiego, przyjaciela | 211 |
| 51. | Do Marcina Badeniego, kawalera orderu św. Stanisława, przyjaciela | 212 |





| | | Str. |
|---|---|---|
| 52. | Do Antoniego Korniłowicza Misyonarza, Nauczyciela Wymowy i Poezyi w szkole Łyskowskiéj | 213 |
| 53. | Pieśń do trzech Panien | 213 |
| V. | JUDYTA, TRAGIEDYA | 215 |
| VI. | ALCESTA, OPERA | 289 |
| VII. | CZYNSZ, KOMEDYA | 307 |
| VIII. | PODRÓŻ DO KRAKOWA I JEGO OKOLIC | 355 |
| IX. | OGRODY, POEMAT DELILLE'A | 361 |
| X. | O WYMOWIE W PROZIE ALBO WIERSZU | 419 |
| XI. | ROZMOWY PLATONA | 445 |
| XII. | PRZYPOWIEŚCI. | |
| | 1. Przykład uczynności dla bliźniego | 522 |
| | 2. Przykład religii | 526 |
| | 3. Przywary | 531 |
| XIII. | O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA | 533 |
| XIV. | PRZESTROGI | 553 |
| XV. | PAMIĘTNIKI | 557 |
| | DODATEK. WIADOMOŚĆ O PSALMACH | 650 |